

**MARION ZIMMER BRADLEY**

# **PANI AVALONU**

**Lady of Avalon**

**Tom 3 Kronik Avalonu**

**Tłumaczyła: Maria Frąc**

**TMN**

**Wydanie oryginalne: 1997**

**Wydanie polskie: 1999**

# OSOBY

## Część I

### Kapłani i kapłanki Avalonu

\* – postać historyczna () – postać zmarła przed rozpoczęciem opowieści

Cailleán – Najwyższa Kapłanka przybyła z Leśnego Domu

(Eilan) – była Najwyższa Kapłanka Leśnego Domu, matka Gawena

Gawen – syn Eilan i Gajusza Macelliusza

Eiluned, Kea, Marged, Riannon – starsze kapłanki

Beryan, Breaca, Dica, Lunet, Lysanda – młodsze kapłanki i dziewczęta przyjęte na wychowanie

Sianna – córka Królowej Czarownej Krainy

Bendeigid – były arcydruid, brytyjski dziadek Gawena

Brannos – wiekowy druid i bard

Cunomaglos – Najwyższy Kapłan

Tuarim, Ambios – młodzi druidzi

### Chrześcijańscy mnisi z Inis Witrin

\*Ojciec Józef z Arymatei – przywódca wspólnoty chrześcijan

Ojciec Paulus – jego następcą

Alanus, Bron – mnisi

### Rzymianie i inni

Ariusz – przyjaciel Gawena w wojsku

Gajusz Macelliusz Sewer starszy – rzymski dziadek Gawena

(Gajusz Macelliusz Sewer Syluryk) – ojciec Gawena, złożony w ofierze jako brytyjski Król Jednego Roku

Lucjusz Rufin – centurion dowodzący rekrutami w Dziewiątym Legionie

Kwintus Makryniusz Donat – dowódca Dziewiątego Legionu

Salwiusz Bufo – dowódca kohorty Gawena

Chodzący Po Wodzie – przewoźnik z ludu mieszkającego na bagnach

## **Część II**

### **Kapłani i kapłanki Avalonu**

Dierna – Najwyższa Kapłanka i Pani Avalonu  
(Becca – młodsza siostra Dierny)  
Teleri – księżniczka Durotrigów  
Cigfolla, Crida, Erdufylla, Ildeg – starsze kapłanki  
Adwen, Lina – dziewczęta wychowane w Avalonie

Ceridachos – arcydruid  
Conec – młodszy druid  
Lewal – uzdrowiciel

### **Rzymianie i Brytowie**

Aeliusz – triarcha (kapitan) „Herkulesa”  
\*Allektus – syn duovira z Venty, później w sztabie Karauzjusza  
\*Dioklecjan August – starszy cesarz  
Eiddin Mynoc – książę Durotrigów  
Gajusz Martinus – optio z Vindolandy  
Gnejusz Klaudiusz Pollio – magistratus Durnovarii  
\*Konstancjusz Chlorus – dowódca rzymski, późniejszy cesarz  
Witruwia – jego żona  
Kwintus Juliusz Cerialis – duovir z Venta Belgarum  
\*Maksymian August – młodszy cesarz  
\*Marek Aureliusz Mauzeusz Karauzjusz – nawarcha (admiral) floty brytyjskiej, późniejszy cesarz Brytanii  
Menekrates – dowódca okrętu flagowego Karauzjusza, „Oriona”  
Trelliusz – wytwórca okuć z brązu

### **Barbarzyńcy**

Aedfrid, Theudibert – Menapiowie, wojownicy Karauzjusza  
Hlodovic – frankoński naczelnik klanu Saliów

Radbod – naczelnik Fryzów  
Wulfhere – naczelnik Anglów

### **Część III**

#### **Kapłani i kapłanki Avalonu**

Ana – Najwyższa Kapłanka i Pani Avalonu  
(Anara i Idris – jej druga i pierwsza córka)  
Viviana – trzecia córka  
Igriana – czwarta córka  
Morgause – piąta córka

Claudia, Elen, Julia – starsze kapłanki  
Aelia, Fianna, Mandua, Nella, Rowan, Silvia – nowicjuszek w Domu Dziewcząt,  
późniejsze kapłanki

Nectan – arcydruid  
Talenos – młodszy druid  
Taliesin – główny bard

#### **Brytowie**

\*Ambrozjusz Aurelian – „cesarz”  
Bethoc – przybrana matka Viviany  
\*Biskup Germanus z Auxere – orędownik Kościoła ortodoksyjnego  
\*Categori – starszy syn Vortigerna  
Enniusz Klaudian – jeden z dowódców Vortimera  
Foriunatus – kapłan chrześcijański, wyznawca doktryny Pelagiusza  
Heron – człowiek z ludu bagien  
Neithen – ojczym Viviany  
Uther – wojownik Ambrozjusza  
\*Vortigern – Najwyższy Król Brytanii  
\*Vortimer – jego drugi syn

#### **Saksonowie**

Hengest – przywódca saksoński

Horsa – jego brat

## **Postacie mitologiczne i historyczne**

\*(Agrykola) – gubernator Brytanii A.D. 78-84

Arianrhod – brytyjska bogini wiązana z księżycem i morzem

\*(Boudicca) – królowa plemienia Icenów, która w A.D. 61 stanęła na czele Wielkiego Powstania

Briga/Brigantia – bogini poezji, opiekunka medycyny i kowali, boska akuszerka, terytorialna bogini Brytanii

\*(Calgacus) – brytyjski przywódca, który pokonał Agrykolę w A.D. 81

Camulos – bóg wojowników

\*(Caratacus) – przywódca brytyjskiego powstania z I w.

Cathubodva – bogini wojny, utożsamiana z Morrigan (Pani Kruków, Krucza Bogini)

Ceridwen – brytyjska bogini w typie „strasznej matki”, posiadaczka kotła wiedzy

Cernunnos, Rogaty – pan zwierząt i ciemnej połowy roku

Królowa Czarownej Krainy

Lugos – bóg światła i słońca, mistrz wszech sztuk

Maponus/Mabon – młody bóg, Syn Matki

Minerwa – rzymska bogini mądrości i medycyny, utożsamiana z Ateną, Sulis i Brigą

Modron – bogini Matka

Nehallenia – celtycka bogini czczona na terenach dzisiejszej Holandii

Nemetona – bogini gaju

Nodens – bóg chmur, suwerenności, medycyny, prawdopodobnie odpowiednik Nuady

\*(Pelagiusz) – brytyjski przywódca religijny z IV w.

Rigantona – Wielka Królowa, bogini ptaków i koni

Rigisamus – pan gaju

Sulis – bogini źródeł leczniczych

Tanarus – bóg gromowładny

Teutates – bóg plemienny

## WSPÓŁCZESNE ODPOWIEDNIKI NAZW GEOGRAFICZNYCH

Aquae Sulis – Bath

Armorica – Bretania

Branodunum – Brancaster, Norfolk

Brytania – Wielka Brytania

Caesarodunum – Tours, Francja

Calleva – Silchester

Cantium – Kent

Claesentum – Bitterne, na Ictis, w pobliżu Southampton

Corinium – Cirencester, Gloucester

Corstopitum – Corbridge, Northumbria

Danuvius – Dunaj

Demetia – Dyfed, Walia

Deva – Chester

Dubris – Dover

Durnovaria – Dorchester, Dorset

Durobrivae – Rochester

Durovernum Cantiacorum – Canterbury

Eburacum – York

Galia – Francja

Gariannonum – Burgh Castle, Norfolk

Gesoriacum – Boulogne, Francja

Glevum – Gloucester

Ictis – rzeka uchodząca do zatoki przy Portsmouth

Inis Witrin – Glastonbury, Somerset

Lindinis – Ilchester, Somerset

Londinium – Londyn

Luguvalium – Carlisle

Mendip Hills – wzgórza na północ od Glastonbury

Mona – wyspa Anglesey

Mons Graupius – góra w Szkocji, miejsce bitwy, w której Agrykola zniszczył ostatni punkt brytyjskiego oporu

Othona – Bradwell, Essex  
Portus Adurni – Portchester (Portsmouth)  
Portus Lemana – Lymne, Kent  
Rhenus – Ren  
Rutupiae – Richborough, Kent  
Sabrina Fluvia – rzeka Severn i jej ujście  
Segedunum – Wallsend, Northumbria  
Segonlium – Caernarvon, Walia  
Siluria – ziemie ludu Silurów w południowej Walii  
Sorviodunum – Old Sarum, w pobliżu Salisbury  
Stour River – rzeka przepływająca przez Dorchester, uchodząca w Weymouth  
Tamesis Fluvius – Tamiza  
Tanatus Insula – wyspa Thanet, Kent  
Vale of Avaion – równiny Glastonbury  
Vectis Insula – wyspa Wight  
Venta Belgarum – Winchester  
Venta Icenorum – Caistor, Norfolk  
Venta Silurum – Caerwent, Walia  
Vercovicium – fort Housesteads, Northumbria  
Vernemeton (najświętszy gaj) – Leśny Dom  
Vindolanda – Chesterholm, w pobliżu Corbridge  
Vivaconium – Wroxeter



Królowa Czarownej Krainy mówi:

*W świecie ludzi przyptywy mocy odwracają bieg... Ludzkie pory roku dla mnie trwają mgnienie oka, aczkolwiek od czasu do czasu jakiś rozbłysk przyciąga moją uwagę.*

*Śmiertelni mówią, że w Czarownej Krainie nic nigdy się nie zmienia, ale tak nie jest. Są miejsca, gdzie światy stykają się jak fałdy na kocu. Jednym z nich jest to, które ludzie zowią Avalonem. Kiedy matki ludzkości zagościły w tej krainie, mój lud, który nigdy nie miał ciała, przybrał postacie na ich podobieństwo. Oni wzniesli domy na palach na brzegach jeziora i polowali na bagnach, a my pracowaliśmy i bawiliśmy się wespół z nimi, był to bowiem poranek świata.*

*Mijał czas i zza morza, z unicestwionej świętej wyspy Atlantydy, przybyli mistrzowie pradawnej wiedzy – Poruszyli wielkie głazy, aby zaznaczyć linie mocy przecinające tę ziemię. Oni też ogrodzili kamieniami święte krynice i wycięli spiralną ścieżkę wokół Toru, oni doszukali się w ukształtowaniu krainy symboli swej filozofii.*

*Byli wielkimi mistrzami magii, znającymi zaklęcia umożliwiające śmiertelnikowi dotarcie do innych światów, sami jednak byli śmiertelni i po pewnym czasie ich rasa wymarła, my zaś pozostaliśmy.*

*Po nich przybyli inni, jasnowłose, roześmiane dzieci z błyszczącymi mieczami. Nie mogliśmy znieść dotyku chłodnego żelaza, toteż Czarowna Kraina jęła oddzielać się od świata ludzi – Ale starożytni mędrcy przekazali swoją wiedzę ludziom, i z kolei ich mędrców, druidów, przyciągała moc świętej wyspy. Kiedy rzymskie legiony maszerowały po ziemi, skuwając ją okowami brukowanych dróg i wycinając w pień tych, którzy stawiali opór, wyspa stała się schronieniem druidycznego rodzaju.*

*Wedle mojej rachuby było to tak niedawno. Ugościłam w swoim łóżu złotowłosego wojownika, który zawędrował do Czarownej Krainy. Usychał z tęsknoty, toteż odesłałam go, on wszakże zostawił mi dar w postaci dziecka. Nasza córka jest jasna i złota jak on i ciekawa ludzkiego dziedzictwa.*

*A teraz prąd mocy odwraca się i w śmiertelnym świecie pewna kapłanka zmierza do wzgórza Tor. Wyczułam w niej moc ledwie wczoraj, kiedy spotkałam ją na innym brzegu. Jak to się stało, że jest już stara? Tym razem wiedzie z sobą chłopca, którego duch też jest mi znajomy.*

*Wiele strumieni przeznaczenia płynie do miejsca spotkania. Tę kobietę, moją córkę i chłopca łączą odwieczne więzi. Na dobre czy na złe? Wyczuwam, że nadchodzi czas, kiedy przyjdzie mi związać ich, duszą i ciałem, z miejscem, które zowią Avalonem.*

**CZĘŚĆ I**

**CZARODZIEJKA**

**A.D. 96-118**

**1**

Słońce chyliło się ku zachodowi i spokojne wody Doliny Avalonu okryły się złotem. Tu i tam nad ich powierzchnię wyzierały rdzawe i zielone kępy, niewyraźne w połyskliwej mgiele, która pod koniec jesieni spowijała bagna nawet przy czystym niebie. Na środku Doliny jeden skalisty pagórek, zwieńczony ustawionymi głazami, wznosił się ponad inne.

Caillean, otulona w nieruchome fałdy błękitnego płaszcza starszej kapłanki, wodziła wzrokiem ponad wodą i czuła, jak spokój usuwa zmęczenie pięciodniowej wędrówki. Zdawało się, że była w drodze o wiele dłużej. Zaiste, podróż od popiołów stosu pogrzebowego w Vernemeton do serca Letniej Krainy trwała całe życie.

Moje życie... pomyślała. Nie powinnam już nigdy opuszczać Domu Kapłanek. Sześć miesięcy wcześniej wyruszyła z Leśnego Domu na czele gromadki kobiet, aby założyć wspólnotę kapłanek na tej wyspie. Sześć tygodni później wróciła, sama, zbyt późno, aby ocalić Leśny Dom przed zniszczeniem. Dobrze, że przynajmniej uratowała chłopca.

– Czy to Wyspa Avalon?

Głos Gawena przywiódł ją do rzeczywistości. Chłopiec zamrugał, jakby oślepiony światłem, ona zaś odparła z uśmiechem:

– Tak, a za chwilę przywołam barkę, która nas tam zabierze.

– Jeszcze nie, proszę... – Odwrócił się ku niej.

Chłopiec dorastał. Był wysoki, jak na dziesięciolatka, lecz jego ciało nadal sprawiało wrażenie złożonego z przypadkowych fragmentów – jakby tułów nie nadążał za nogami i rękami. Słońce podświetlało wyblakłe kosmyki jego brązowych włosów.

– Obiecałaś, że przed przybyciem do Toru odpowiesz mi na kilka pytań. Co mam mówić, gdy zapytają, co ja tu robię? Nie jestem pewien nawet własnego imienia!

W tej chwili wielkie oczy chłopca tak bardzo przypominały matczyne, że Caillean poczuła ucisk w sercu. To prawda, pomyślała. Obiecała, że z nim porozmawia, ale w drodze nie odzywała się prawie do nikogo, przytłoczona zmęczeniem i smutkiem.

– Jesteś Gawen – rzekła łagodnie. – Pod tym imieniem twoja matka poznała twego ojca i takie imię nadała tobie.

– Ale mój ojciec był Rzymianinem! – Głos chłopca zadrżał, jakby Gawen nie wiedział, czy odczuwać dumę czy wstyd.

– Prawda, i skoro nie miał innego syna, przypuszczam, że dla nich byłbyś Gajuszem Macelliuszem Sewerem, jak on i przed nim jego ojciec. Wśród Rzymian to szanowane imię. Niewiele słyszałam o twoim dziadku, lecz z tego, co mi wiadomo, był dobrym i honorowym człowiekiem. Twoja babka, księżniczka Silurów, imię Gawen nadała własnemu synowi, więc nie masz się czego wstydić.

Gawen wbił w nią spojrzenie.

– Doskonale. Ale to nie imię mego ojca będą szeptać na tej wyspie druidów. Czy prawdą jest... – Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz: – Zanim opuściłem Leśny Dom, mówili... czy to prawda, że ona – Pani Vernemeton – że ona była moją matką?

Caillean spojrzała nań spokojnie, pamiętając, z jakim bólem Eilan dochowywała tej tajemnicy.

– To prawda.

Pokiwał głową i wraz z długim westchnieniem opuściło go napięcie.

– Byłem ciekaw. Często marzyłem... wszystkie dzieci przygarnięte w Vernemeton chwaliły się, że ich matki są królowymi, a ich ojcowie są książętami, którzy pewnego dnia po nie wrócą. Ja też wymyślałem różne historie, ale Pani zawsze była dla mnie miła i kiedy śniłem po nocach o matce, zawsze była nią ona...

– Kochała cię – rzekła Caillean z jeszcze większą łagodnością.

– No to dlaczego nigdy mnie nie uznała? Czemu ojciec jej nie poślubił, skoro był takim sławnym i honorowym człowiekiem?

Caillean westchnęła.

– Był Rzymianinem, a kapłankom z Leśnego Domu nie wolno było wychodzić nawet za mężczyzn z plemienia i nosić ich dzieci. Może tutaj zdołamy to zmienić, jednak w Vernemeton... Gdyby twoje istnienie wyszło na jaw, niechybnie czekałaby ją śmierć.

– I tak jej nie uniknęła – wyszeptał. Nagle wydał się starszy. – Dowiedzieli się i zabili ją, prawda? Umarła przeze mnie!

– Och, Gawenie... – zdjęta żalem Caillean wyciągnęła ku niemu ramiona, lecz on odsunął się od niej. – Było wiele powodów. Polityka i inne rzeczy. Zrozumiesz więcej, kiedy dorośniesz. – Przygryzła wargi, lękając się mówić dalej, gdyż ujawnienie jego istnienia faktycznie było iskrą, od której rozgorzał płomień. W tym sensie jego słowa były prawdą.

– Eilan kochała cię, Gawenie. Wszak po twoim urodzeniu mogła odesłać cię do sierocińca, jednak nie zniosłaby rozstania z tobą. Stała przeciwko swojemu dziadowi arcydruidowi, byle cię tylko zatrzymać, i on zgodził się pod warunkiem, że nikt nigdy nie dowie się, czym jesteś dzieckiem.

– To nieuczciwie!

– Uczciwie! – warknęła. – Życie rzadko bywa uczciwe! Miałeś szczęście, Gawenie. Dziękuj za nie bogom i nie waz się uskarżać.

Chłopiec rumienił się i bledł na przemian, ale nic nie odpowiedział. Caillean poczuła, że jej złość gaśnie równie szybko, jak rozgorzała.

– Teraz to nie ma znaczenia, żyjesz i jesteś tutaj.

– Ale ty mnie nie chcesz – wyszeptał. – Nikt mnie nie chce.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Chyba powinieneś wiedzieć... Macelliusz, twój rzymski dziadek, pragnął zatrzymać cię w Deva i wychowywać jak własnego syna.

– Dlaczego zatem nie zostawiłaś mnie u niego?

Caillean popatrzyła na niego poważnie.

– Chcesz być Rzymianinem?

– Jasne, że nie! Kto by chciał? – zawołał z rumieńcem gniewu, a Caillean pokiwała głową. Druidzi wychowujący chłopców w Leśnym Domu zaszczepili w nich nienawiść do Rzymian. – Jednak powinnaś mi powiedzieć! Zostawić wybór!

– Zrobiłam to! Postanowiłam przybyć tutaj!

Bunt jakby wygasł w nim, odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na wodę.

– To prawda. Nie rozumiem tylko, dlaczego chciałaś, żebym...

– Ach, Gawenie – zaczęła bez śladu gniewu. – Nawet kapłanka nie zawsze rozumie, jakie siły nią kierują. Po części stało się tak, bo byłeś wszystkim, co pozostało mi po Eilan, którą kochałam niczym własne dziecko. – Ból ścisnął jej gardło na to wspomnienie. Minęła dłuższa chwila, nim znów mogła normalnie mówić. Wtedy, głosem twardym jak kamień, podjęła: – I częściowo dlatego, że wydawało mi się, iż twoje przeznaczenie splecione jest z naszym...

Gawen nie odrywał oczu od rozłożonej powierzchni wody. Ciszę burzył tylko delikatny plusk fal w szuwarach. Po chwili popatrzył na kobietę.

– Doskonale. – Mówił z wysiłkiem, starając się zachować zimną krew. – Zostaniesz moją matką, więc będę miał rodzinę?

Caillean popatrzyła na niego, przez chwilę niezdolna odezwać się słowem. Muszę zaprzeczyć, w przeciwnym razie pewnego dnia on złamie mi serce.

– Jestem kapłanką – rzekła wreszcie. – Tak jak twoja matka. Wiążą nas przysięgi składane bogom, niekiedy wbrew naszym pragnieniom... – Gdyby było inaczej, zostałabym w Leśnym Domu, aby ochronić Eilan, dodała w myślach. – Pojmujesz to, Gawenie? Rozumiesz, że choć cię kocham, muszę robić rzeczy, które sprawiają ci ból?

Energicznie pokiwał głową, a jej serce zamarło.

– Przybrana matko... co stanie się ze mną na Wyspie Avalon?

Caillean zastanowiła się.

– Jesteś zbyt duży, by przebywać wśród kobiet. Zamieszkaż z nowicjuskami i bardami. Twój dziadek był słynnym śpiewakiem, może odziedziczyłeś po nim talent. Chciałbyś zgłębiać sztukę bardów?

Gawen zamrugał, jakby go przestraszyła.

– Jeszcze nie... proszę... nie wiem...

– Zatem zapomnij o tym. Ponadto, kapłani będą potrzebowali nieco czasu, żeby cię poznać. Jesteś jeszcze bardzo młody, nie pora teraz decydować o twojej przyszłości...

A kiedy nadejdzie czas, nie będzie już Cunomaglosa i jego druidów, którzy mogliby osądzić, kim powinieneś zostać, pomyślała ponuro. Nie zdołałam uratować Eilan, ale przynajmniej mogę strzec jej dziecka, póki samo nie zacznie decydować o własnym losie...

– Czeka mnie wiele obowiązków – oznajmiła żywo. – Pozwól, zawezwę barcę i przewiozę cię na wyspę. Dziś, obiecuję, czeka cię tylko wieczerza i posłanie. Czy to cię zadowala?

– Musi... – wyszeptał. Sprawiał wrażenie, że wątpi w nią i w siebie.

Słońce zaszło. Niebo na zachodzie poróżnowiało, a mgły rozciągające się nad wodą przybrały barwę zimnego srebra. Tor ledwie było widać, jak gdyby, pomyślała, jakiś mag skrył wzgórze przed światem. Wspomniała inną jego nazwę, Inis Witrin, Szklana Wyspa. Wrażenie było dziwnie zatrważające. Przecież powinna być szczęśliwa, opuszczając świat, w którym Eilan wraz ze swoim rzymskim kochankiem splonęła na stosie druidów. Otrząsnęła się i wyłuskała z wiszącej u boku sakiewki kościaną świstawkę. Jej dźwięk, cichy i przesywający, niósł się wyraźnie nad wodą.

Gawen drgnął i rozejrzał się bacznie. Caillean wyciągnęła rękę. Otwartą wodę obrzeżały trzciny i błota, pocięte setką krętych kanałów. Z jednego, rozsuwając sitowie, wyłonił się dziób niskiej, kanciastej łodzi. Gawen ściągnął brwi, sądząc, że przewoźnik jest bardzo młody, był bowiem niewiele wyższy od niego. Dopiero gdy barka podpłynęła bliżej, zobaczył głębokie bruzdy na ogorzalej twarzy i srebrne nitki w ciemnych włosach. Przewoźnik pozdrowił Caillean ruchem dłoni i podniósł tyczkę, żeby dziób barki mógł wsunąć się na brzeg.

– To Chodzący Po Wodzie – wyjaśniła cicho Caillean. – Jego lud był tutaj przed Rzymianami, nawet zanim Brytowie dotarli na te wybrzeża. Jesteśmy tu od niedawna i nie zdążyliśmy nauczyć się ich języka, ale przewoźnik zna naszą mowę i powiedział mi, co znaczy jego imię. Na tych bagniskach życie jest ciężkie, toteż mieszkańcy z radością przyjmują żywność, jaką możemy im ofiarować, i nasze leki, kiedy zapadają na zdrowiu.

Chłopiec z kwaśną miną zajął miejsce na rufie. Siedział z ręką w wodzie, patrząc na zostawiane zmarszczki, gdy przewoźnik zaczął pchać barcę ku wyspie. Caillean westchnęła,

ale nie próbowała rozmową rozproszyć jego smutku. W zeszłym miesiącu oboje cierpieli dotkliwie wskutek utraty bliskich osób i gdyby Gawen był mniej świadom znaczenia tego, co zaszło w Leśnym Domu, znacznie trudniej byłoby mu zmagać się z rozpaczą.

Caillean otuliła płaszczem ramiona i odwróciła się, aby spojrzeć na Tor. Nie mogę mu pomóc. Sam musi radzić sobie z frasunkiem i niepewnością... jak ja, pomyślała niewesoło.

Pasma mgły zawirowały wokół nich, a potem zrzedły, gdy przed nimi ukazał się Tor. Z góry dobiegło głuche pohukiwanie rogu. Przewoźnik napał na tykę po raz ostatni i dno łodzi zazgrzytało na płyciźnie brzegu. Chodzący Po Wodzie wyskoczył i pociągnął dziób barki. Gdy łódź znieruchomiała, Caillean wysiadła.

Ścieżką nadciągało sześć kapłanek. Ciężkie warkocze spływały po surowym płótnie ich długich, przepasanych zielenią szat. Ustawiły się w szeregu przed Caillean.

Marged, najstarsza, schyliła się w pełnym czci ukłonie.

– Witajcie, Pani Avalonu. – Urwała, gdy jej oczy spoczęły na smukłej sylwetce Gawena. Na chwilę dosłownie odjęło jej mowę. Caillean niemal słyszała pytanie cisnące się na usta dziewczyny.

– To Gawen. Zamieszka tutaj. Pomówisz z druidami i znajdziesz mu miejsce na nocleg?

– Z przyjemnością, Pani – odparła szeptem kapłanka, nie odrywając oczu od Gawena, który zarumienił się ze złości.

Caillean westchnęła z ulgą: skoro sam widok dziecka płci męskiej – nawet teraz trudno jej było uważać Gawena za młodzieńca – tak działał na młode podopieczne, jej próby wyrugowania przesądów wyniesionych z Leśnego Domu miały duże szanse powodzenia. Obecność chłopca mogła przysporzyć wiele dobrego.

Ktoś stanął za dziewczętami. Przez chwilę sądziła, że to jedna ze starszych kapłanek, może Eiluned lub Riannon, wyszła ją powitać. Nieznajoma wszakże była zbyt niska. Caillean dostrzegła ciemne włosy; potem kobieta wyminęła kapłanki i stanęła wprost przed nią.

Caillean zamrugnęła. Obca, pomyślała i znów zmrużyła oczy, gdyż swobodne zachowanie kobiety wydawało się znajome – jak gdyby znała ją od początku świata. Nie mogła jednak sobie przypomnieć, kiedy – jeżeli w ogóle – ją widziała ani kim mogła ona być.

Przybyła nawet nie spojrzała na Caillean. Jej oczy, ciemne i czyste, spoczywały na Gawenie. Caillean zastanowiła się, dlaczego uznała kobietę za niską; sama była wysoka, lecz nieznajoma zdawała się ją przewyższać. Jej włosy, ciemne i długie, splecione były jak włosy innych kapłanek w jeden warkocz, ale skronie otaczał wąski wianek ze szkarłatnych jagód. Strój też miała odmienny, skąpy, ze skóry jelenia.

Kobieta popatrzyła na Gawena, po czym skłoniła się do ziemi.

– Synu Setki Królów – rzekła – bądź powitany w Avalonie...

Gawen spojrział na nią ze zdumieniem.

Caillean chrząknęła, szukając słów.

– Kim jesteś i czego chcesz ode mnie? – zapytała obcesowo.

– Od ciebie nic, na razie – odparła kobieta, równie oschle – i nie musisz znać mojego imienia. Mam sprawę do Gawena. Ty znasz mnie od dawna, Kosie, choć pamięć cię zawodzi.

Kos... „Loh-dubh” w hiberniańskim języku. Cailleán zamilkła na dźwięk imienia, którym wołano ją w dzieciństwie i którego nie wspominała prawie od czterdziestu lat.

Po latach znów poczuła siniaki i ból między udami, i dużo gorszy wstyd, i wrażenie zbrukania. Gwałtciciel zagroził, że ją zabije, jeśli wyjawii jego postępek. Wydało się jej wtedy, że tylko morze mogłoby na powrót uczynić ją czystą. Przedarła się przez jeżyny na skraj urwiska, nieświadoma cierni drących jej skórę, z zamiarem rzucenia się w fale, które pieniały się wokół skał ostrych jak kły.

I nagle cień wśród ciernistych krzewów stał się kobietą, nie wyższą od niej, ale nieporównanie silniejszą, która objęła ją, mrużąc z czułością, jakiej jej własna matka nigdy nie miała siły okazać, i zwąc ją imieniem z dzieciństwa. W końcu Cailleán zapadła w sen, w ramionach Pani. Po przebudzeniu jej ciało było oczyszczone, najgorszy ból stał się odległy, a wspomnienie ohydneho postępu niewyraźne jak zły sen.

– Pani... – wyszeptała. Po latach dzięki zgłębieniu wiedzy druidów mogła nazwać istotę, która ją uratowała.

Czarodziejka zwracała uwagę wyłącznie na Gawena.

– Panie, powiodę cię ku twemu przeznaczeniu. Czekaj mnie na skraju wody, przybędę po ciebie, gdy tylko wstanie dzień. – Skłoniła się ponownie, tym razem nie tak głęboko, i nagle zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

Cailleán zamknęła oczy. Nie okłamał jej instynkt nakazujący przyprowadzenie Gawena do Avalonu. Skoro Pani Krainy Czarów oddała mu hołd, rzeczywiście musiał tu coś znaczyć. Eilan raz w widzeniu spotkała Merlina. Co jej obiecał? Co prawda Rzymianin, ojciec tego chłopca, zginął jako Król Jednego Roku, aby uratować lud. Co to oznaczało? Przez chwilę niemal rozumiała ofiarę Eilan.

Zdławiony dźwięk, jaki wyrwał się z gardła Gawena, przywołał ją do rzeczywistości. Chłopiec był biały jak kreda.

– Kim ona jest? Dlaczego do mnie przemówiła?

Marged przeniosła spojrzenie z Cailleán na chłopca, wznosząc brwi w zdumieniu. Kapłanka zastanowiła się, czy ktokolwiek w ogóle coś widział.

– Ona jest Panią Starszego Ludu – tego, który zwany jest czarownym. Niegdyś uratowała mi życie, dawno temu. W dzisiejszych czasach Starszy Lud nieczęsto gości wśród ludzi i ona pojawia się tutaj nie bez przyczyny. Ale po co – nie wiem.

– Oddała mi pokłon. – Chłopak chrząknął i zduszonym szeptem zapytał: – Pozwolisz mi pójść, przybrana matko?

– Czy ci pozwolę? Nie śmiałybym cię zatrzymać. Musisz być gotów, kiedy po ciebie przyjdzie.

Popatrzył na nią, a błysk w jego czystych, szarych oczach przypomniał jej nagle Eilan.

– Zatem nie mam wyboru. Ale nie pójdę z nią, jeśli nie udzieli mi odpowiedzi!

– Pani, nigdy nie podważam twoich osądów – rzekła Eiluned – ale co cię opętało, żeby sprowadzać tu to dziecko płci męskiej?

Caillean napiła się wody z rógowego dzbanka i z westchnieniem usiadła przy stole. Niekiedy miała wrażenie, że w ciągu sześciu księżyców, jakie minęły od jej przybycia do Avalonu, młodsza kobieta nie robiła nic innego, tylko kwestionowała jej decyzje. Zastanowiła się, czy Eiluned nie oszukuje nawet samej siebie tym pokazem uniżoności. Miała ledwie trzydzieści lat, ale wyglądała starzej – chuda, z kwaśną miną, zawsze zajęta sprawami innych. Była jednak sumienna i stała się niezastąpioną pomocnicą.

Inne kobiety, odczytując jej złośliwy ton, spuściły oczy i zajęły się jedzeniem. Długa budowla, wzniesiona u stóp Toru na początku lata przez druidów, początkowo wydawała się zbyt obszerna. Kiedy jednak po okolicy rozeszły się wieści o nowym Domu Dziewcząt, nie brakowało chętnych i Caillean pomyślała, że być może trzeba będzie powiększyć salę przed nastaniem jesieni.

– Druidzi biorą jeszcze młodszych chłopców do nauki – rzekła spokojnie. Blask ognia pełgał po gładkiej twarzy Gawena, przydając mu lat.

– Zatem niech go sobie wezmą! On tu nie pasuje... – Spojrzała wściekle na chłopca, który przed nabraniem kolejnej łyżki prosa i fasoli spojrzał na Caillean, szukając u niej otuchy. Dica i Lysanda, najmłodsze z dziewcząt, zachichotały. Gawen poczerwieniał i odwrócił głowę.

– Na razie umówiłam się z Cunomaglosem, że umieści go u starego barda Brannosa. Czy to cię zadowala? – zapytała cierpko Najwyższa Kapłanka.

– Wyborny pomysł! – Eiluned pokiwała głową. – Starzec jest słaby, trzęsie się niczym osika. Żyję w strachu, że wpadnie w palenisko albo pobrnie w jezioro...

Mówiła prawdę, aczkolwiek Marged wybrała go nie z powodu słabości, lecz ze względu na dobrotliwą naturę.

– Kim jest to dziecko? – zaciekała się Riannon, siedząca po drugiej stronie stołu. Potrząsnęła rudymi lokami. – Czy nie jest jednym z wychowanków Vernemeton? I co tam się stało? Po okolicy krążyły zdumiewające pogłoski... – Jej oczy wyczekująco wpatrywały się w Najwyższą Kapłankę.

– Jest sierotą. – Caillean westchnęła. – Nie wiem, co słyszałaś, ale prawdą jest, że Pani Vernemeton nie żyje. Wybuchła rebelia. Kapłański stan druidyczny na północy został rozproszony, kilka starszych kapłanek poniosło śmierć. Wśród nich Dieda. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy Leśny Dom przetrwa. Jeśli nie, zostaniemy jedynymi strażnikami dawnej mądrości, mogącymi przekazać ją innym. – Czy Eilan przewidziała swój los i czy wiedziała, że przetrwa tylko nowa wspólnota w Avalonie?



Kapłanki siedziały sztywno, z szeroko otwartymi oczami. Jeśli uwierzyły, że to Rzymianie zabili Eilan i innych, tym lepiej. Caillean nie darzyła miłością Bendeigida, obecnego arcydruida, lecz choć mógł on być szalony, nadal był jednym z nich. Dlatego nie chciała go obwiniać.

– Dieda nie żyje? – Pełen słodczy głos Kei zabrzmiał piskliwie. Dziewczyna zacisnęła palce na ramieniu Riannon. – Przecież tej zimy miałam udać się do niej na dalsze nauki. Jak teraz nauczę młodsze świętych pieśni? To niepowetowana strata! – Przygarbiła się, łzy błysnęły w jej posmutniałych szarych oczach.

Zaiste, niepowetowana strata, pomyślała z goryczą Caillean, strata nie tylko wiedzy i umiejętności Diedy, ale kapłanki, jaką by się stała, gdyby nie przedłożyła nienawiści nad miłość. Dla niej to także była lekcja i powinna o niej pamiętać, kiedy wzbierała w niej fala goryczy.

– Ja cię wyszkolę... – rzekła cicho. – Nigdy nie zgłębiałam tajników sztuki bardów z Eriu, ale przecież święte pieśni i uświęcone urzędy druidycznych kapłanek wywodzą się z Vernemeton i znam je wszystkie.

– Och! Nie chciałam... – Kea urwała, oblewając się rumieńcem. – Wiem, że potrafisz śpiewać i grać na harfie. Zagraj nam teraz, Caillean. Minęło dużo czasu, od kiedy ostatni raz grałaś nam przy ogniu!

– To *creuth*, nie harfa... – zaczęła odruchowo Caillean. Westchnęła. – Nie dziś, moje dziecko. Jestem zbyt zmęczona. To ty powinnaś nam zaśpiewać i ukoić nasze smutki.

Zmusiła się do uśmiechu. Twarz Kei pojaśniała. Młodsza kapłanka co prawda nie mogła marzyć, że dorówna Diedzie, ale miała słodki i szczyry głos i uwielbiała dawne pieśni.

Riannon poklepała przyjaciółkę po ramieniu.

– Dziś wszystkie zaśpiewamy na chwałę Bogini i Ona nas pocieszy. – Odwróciła się do Caillean. – Dobrze, żeś do nas wróciła. Bałyśmy się, że nie zdążysz przed pełnią księżyca.

– Myślałam, że lepiej was wyuczyłam! – zawołała z przyganą Caillean. – Nie potrzebujecie mnie przy obrzędzie.

– Może i nie. – Riannon uśmiechnęła się szeroko. – Ale bez ciebie to nie byłoby to samo.

Kiedy wyszły z sali, było już całkiem ciemno – i zimno, ale wiatr, który zerwał się z nastaniem nocy, przegnał mgłę. Nad czarnym konturem Toru rozpościerało się usiane gwiazdami niebo. Caillean zerknęła ku wschodowi i ujrzała blask zapowiadający wzejście księżyca, choć on sam nadal był skryty za wzgórzem.

– Pospieszmy się – przynagliła pozostałe, szczelniej otulając się płaszczem. – Nasza Pani już wychodzi na niebiosa. – Ruszyła w górę ścieżką. Sznur kapłanek rozciągnął się za jej plecami, ich oddechy tworzyły białe obłoczki w chłodnym powietrzu.

Obejrzała się dopiero na pierwszym zakręcie. Drzwi sali stały otworem, w świetle lampy rysowała się ciemna sylwetka Gawena. Wyrażała przeraźliwą samotność, gdy chłopiec

patrzył w ślad za odchodzącymi kobietami. Przez chwilę Caillean chciała wezwać go, by się do nich przyłączył. To jednak z pewnością oburzyłoby Eiluned. I tak dobrze, że mógł być tutaj, na świętej wyspie. Potem drzwi się zamknęły i chłopiec zniknął. Caillean odetchnęła głęboko i podjęła wędrówkę na wierzchołek wzgórza.

Nie robiła tego od miesiąca i wysiłek niemal przerósł jej siły. Zadyszana stanęła na szczycie i czekała na pozostałe, walcząc z pokusą wsparcia się na jednym z głazów. Gdy minęły zawroty głowy, zajęła miejsce przy kamieniu ołtarzowym. Kapłanki jedna po drugiej ustawiały się w kręgu, obchodząc ołtarz zgodnie z kierunkiem wędrówki słońca. Lusterka z polerowanego srebra u ich pasków połyskiwały w trakcie marszu. Kea ustawiła święty Graal na kamieniu, a Beryan, która złożyła śluby w noc letniego przesilenia, napełniła go wodą ze świętej studni.

Właściwie tutaj nie było potrzeby tworzenia kręgu. Miejsce to samo w sobie było święte, nie skalane wzrokiem nie wtajemniczonych, ale gdy krąg kobiet został zamknięty, powietrze w jego wnętrzu stało się jakby cięższe i zastygło w bezruchu. Ucichł nawet wiatr, który przyprawiał Caillean o drżenie.

– Pozdrawiamy przeświatne niebiosy, płonące światłem. – Caillean wzniosła ręce, a kapłanki powtórzyły jej gest. – Pozdrawiamy świętą ziemię, z której wyrosliśmy. – Pochyliła się i dotknęła oszronionej trawy. – Strażnicy Czterech Ćwierci Świata, pozdrawiamy was. – Wszystkie razem obróciły się kolejno ku czterem stronom świata, a wówczas Moce, których imiona i kształty ukryte są w sercu Mądrości, roziskrzyły się przed ich oczami.

Caillean stanęła twarzą ku zachodowi.

– Oddajemy cześć przodkom, którzy odeszli. Miejcie w opiece nasze dzieci, o święci. – Eilan, ukochana moja, miej mnie w opiece... miej baczenie na swoje dziecko. Zamknęła oczy i przez chwilę miała wrażenie, że coś czuje, jakby delikatne muśnięcie po włosach.

Zwróciła się ku wschodowi, gdzie gwiazdy bledły w poświacie księżyca. Powietrze wokół niej zgęstniało, gdy pozostałe kapłanki powtórzyły jej ruch, czekając, aż skraj tarczy wyłoni się zza wzgórza. Coś zamigotało; oddech dobył się z ust kapłanki w długim westchnieniu, kiedy wysoka sosna na wierzchołku wzgórza wyraźnie zarysowała się na tle pojaśniałego nieboskłonu. Nagle pojawił się księżyc, ogromny i zabarwiony złotem. Z każdą chwilą wznosił się wyżej i w miarę odrywania się od ziemi stawał się coraz bledszy i jaśniejszy, aż wreszcie pożeglował swobodnie w niepokalanej czystości. Kapłanki wzniosły ramiona w adoracji.

Caillean z wysiłkiem opanowała głos, zmuszając się do pograżenia w znajomym rytmie obrzędu.

– Na wschodzie wstaje nasza Pani Księżyc – zaintonowała.

– Klejnot przewodni, klejnot nocy – podjęły chórem kapłanki.

– Święta jest każda rzecz skąpana w Twoim świetle... – Głos Caillean był coraz silniejszy, chór brzmiał coraz głośniej. Ona czerpała siłę z kapłanek, a one wzmacniane były jej natchnieniem.

– Klejnocie przewodni, klejnocie nocy...

– Prawy jest każdy czyn, jaki ujawnia Twe światło... – Każdy kolejny wers płynął z większą swobodą, moc z coraz większą siłą rezonowała między nią a pozostałymi kobietami. W miarę wzrostu energii było jej coraz cieplej.

– Czyste jest Twoje światło na szczytach wzgórz... – Caillean zakończyła wers i znalazła dość siły, by wyśpiewać odpowiedź, a inne głosy, podchwytyjąc ostatnią nutę, poparły ją w słodkiej harmonii.

– Czyste jest Twoje światło na polach i w lasach... – Księżyc jaśniał wysoko nad czubkami drzew. Caillean zobaczyła leżącą u swych stóp Dolinę Avalonu. Z czasem horyzont poszerzał się, póki nie ujrzała całej Brytanii.

– Czyste jest Twoje światło, omywające gościńce i wędrowców... – Caillean otworzyła ramiona w geście błogosławieństwa. Usłyszała, jak czysty sopran Kei wybija się ponad chór.

– Czyste jest Twoje światło na falach morza... – Jej westchnienie pomknęło nad wodę. Stopniowo traciła poczucie własnego ciała.

– Czyste jest Twoje światło wśród gwiazd na niebie. – Przepelniły ją promienie księżyca, muzyka przydała jej skrzydeł. Unosiła się między ziemią a niebem, widząc wszystko, z uniesieniem błogosławieństwa wzbierającym w duszy.

– Matko Światła, jasny miesiącu pór roku... – Caillean czuła, jak zmysły odmawiają jej posłuszeństwa, jak zawęża się pole jej widzenia. W końcu widziała tylko rozjarzony księżyc.

– Przybądź do nas, o Pani! Pozwól nam być Twym zwierciadłem!

– Klejnocie przewodni, klejnocie nocy...

Caillean usłyszała własny głos w śpiewie chóru. Pozostałe kobiety, wyczuwając narastającą energię, podjęły końcową nutę. Melodia załamywała się, gdy śpiewające nabierały tchu, ale brzmiała nieprzerwanie.

Kapłanki szybowwały na skrzydłach mocy. Nie potrzebowały sygnału, aby przygotować się do wyjścia zwierciadeł. Nie przerywając śpiewu, przesunęły się, tworząc półokrąg zwrócony wewnętrzną stroną ku księżycowi. Caillean, nadal po wschodniej stronie ołtarza, stanęła twarzą do nich. Melodia przeszła w niski pomruk.

– Pani, zstąp do nas! Pani, bądź z nami! Pani, przybądź do nas! – Opuściła ręce.

Dwanaście srebrnych luster błysnęło białym ogniem, gdy kapłanki uchwyciły w nie poświatę księżyca. Blade odbicia zatańczyły po murawie, gdy lusterka zwróciły się w stronę ołtarza. Światło rozbłysło na srebrnej powierzchni pucharu, rzucając jasne rozbłyski na nieruchome postacie kapłanek i stojące głązy. Potem, gdy blask luster skupił się w jednym punkcie, odbite promienie spotkały się na powierzchni wody. Dwanaście drżących malutkich księżyców zbiegło się jak krople żywego srebra i zlało w jeden wizerunek.

– Pani, Tyś, która jest bezimienna, a zwana wieloma imionami – wymruczała Caillean. – Tyś, która jest bez formy, atoli masz wiele obliczy. Jak miesiące przeglądające się w naszych zwierciadłach stają się jednością, tak dzieje się z Twoim odbiciem w naszych sercach. Pani, wołamy do Ciebie! Zstąp do nas, bądź z nami!

Wypuściła oddech w długim westchnieniu. Pomruk wyciszył się i zapadło milczenie pulsujące oczekiwaniem. Wzrok, uwaga, całe istnienie skupiało się na blasku światła w pucharze. Caillean odczuła znajomą zmianę w świadomości, gdy trans pogłębiał się, jakby jej ciało zniknęło i ze zmysłów ostawał się tylko wzrok.

Aczkolwiek nawet on zawodził, rozmywając odbicie księżyca w wodzie Graala. A może nie było to winą oczu, może zmieniała się poświata, coraz jaśniejsza, póki księżyc i jego odbicie nie połączyły się snopem światła. W blasku wirowały drobiny jasności, układając się w kształt świetlanej postaci, która patrzyła na nią połyskliwymi oczami.

*Pani, zawołało jej serce, straciłam tę, którą kochałam. Jak zdołam przeżyć, samotna?*

*Nie sama – masz siostry i córki, padła odpowiedź, cierpka i, może, zaprawiona odrobiną rozbawienia. Masz syna... i masz Mnie...*

Caillean ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że nogi się pod nią uginają i że osuwa się na kolana. Nie miało to znaczenia. Jej dusza powędrowała do Bogini, uśmiechającej się do niej z góry. Chwilę później miłość, którą składała w ofierze, spłynęła na nią w takiej obfitości, że przez mgnienie oka tylko to się liczyło.

Księżyc minął najwyższy punkt na nieboskłonie, nim Caillean odzyskała władzę nad sobą. Zniknęła Obecność, która je błogosławiła, i powietrze przenikał chłód. Wokół niej kobiety zaczynały się poruszać. Caillean zmusiła do wysiłku zesztyniałe mięśnie i podniosła się, drżąc na całym ciele. Fragmenty wizji nadal trwały w jej pamięci. Pani przemówiła do niej, wskazała to, co powinna wiedzieć, ale wspomnienie bladło z każdą chwilą.

– Pani, dzięki Ci za błogosławieństwo... – wymruczała. – Pozwól nam zanieść je światu.

Razem podziękowały Strażnikom. Kea podniosła srebrny puchar i wylała jasną strugę wody na kamień. Kapłanki okrążyły ołtarz w stronę przeciwną wędrowce słońca i zaczęły zstępować po ścieżce. Tylko Caillean pozostała przy kamieniu ołtarza.

– Caillean, nie idziesz? Robi się coraz zimniej! – Eiluned przystanęła wyczekująco, na końcu szeregu.

– Jeszcze nie. Muszę przemyśleć pewne rzeczy. Zostanę tu przez chwilę. Nie martw się, oponóż zapewni mi ciepło – dodała, choć już przenikały ją dreszcze. – Odejdź.

– Dobrze. – W głosie drugiej kobiety pobrzmiwało powątpiewanie, lecz Caillean powiedziała to rozkazującym tonem. Po chwili Eiluned odwróciła się i zniknęła za krzywizną wzgórza.

Kiedy odeszły, Caillean uklękła przy ołtarzu, obejmując kamień, jak gdyby zarazem mogła obłapić stopy stojącej tam Bogini.

– Pani, przemów! Rzeknij mi jasno, co mam uczynić!

Odpowiedziała jej cisza. W kamieniu nadal była moc, Caillean czuła ją jak delikatne mrowienie przebiegające przez kości, lecz Pani odeszła i głaz był zimny. Po pewnym czasie usiadła z westchnieniem. Gdy księżyc przesunął się po niebie, pręgi cieni wysokich menhirów pocięły wewnętrzny krąg. Caillean, zatopiona w sobie, mimowolnie błędziła wzrokiem po głazach. Dopiero kiedy wstała, uświadomiła sobie, że jej oczy przywierają do jednego z największych.

– Kto... – zaczęła. Nie kończąc pytania, poznała z pewnością, która naszła ją po południu, kto do niej zawitał. Usłyszała cichy śmiech i w poświęcie księżycy stanęła czarodziejka. Jak wcześniej, ubrana była w skąpy strój ze skóry jelenia i wieniec z jagód, jakby chłód jej się nie miał.

– Pani Krainy Czarów, pozdrawiam cię... – rzekła cicho Caillean.

– Witaj, Kosie – odparła czarodziejka ze śmiechem. – Wyrosłaś na łabędzia, pływającego po jeziorze z łabędiątkami u boku.

– Co tutaj robisz?

– A gdzie indziej miałabym być, dziecko? Inny Świat styka się z waszym w wielu miejscach, choć może nie są one tak liczne jak dawniej. Kamienne kręgi są bramami, w określonych porach, jak wszystkie krańce ziemi – górskie szczyty, jaskinie i brzeg, gdzie morze spotyka się z lądem... Ale pewne miejsca istnieją zawsze w obu światach, i spośród nich Tor jest jednym z najpotężniejszych.

– Czułam to – szepnęła Caillean. – I niekiedy na Wzgórzu Dziewic, w pobliżu Leśnego Domu.

Czarodziejka westchnęła.

– Tamto wzgórze jest świętym miejscem, teraz bardziej niż niegdyś, wszelako rozlana krew zamknęła bramę.

Caillean przygryzła wargi, znów widząc martwe popioły pod płaczącym niebem. Czy żał po Eilan nigdy nie wygaśnie?

– Dobrze zrobiłaś, opuszczając to miejsce – podjęła czarodziejka. – I zabierając chłopca.

– Co chcesz z nim zrobić? – Strach o Gawena wyostrzył brzmienie jej głosu.

– Przygotować go do jego przeznaczenia... A możesz powiedzieć, czego ty chcesz od niego, kapłanko?

Caillean zamruwała, próbując odzyskać kontrolę nad przebiegiem rozmowy.

– Jakie jest jego przeznaczenie? Czy poprowadzi nas przeciwko Rzymianom i przywróci dawne obyczaje?

– To nie jedyny rodzaj zwycięstwa – odpowiedziała Pani. – Jak myślisz, dlaczego Eilan zaryzykowała tak wiele, aby urodzić dziecko i zapewnić mu bezpieczeństwo?

– Była jego matką... – zaczęła Caillean, ale czarodziejka weszła jej w słowo.

– Była Najwyższą Kapłanką, wspaniałą. I w jej żyłach płynęła krew tych, którzy przynieśli największą ludzką mądrość na te brzegi. W ludzkich oczach zawiodła, a jej rzymski kochanek zginął w pohańbieniu. Ty jednak jesteś innego zdania.

Caillean nie spuszczała z niej oczu. Blizny wypalone przez szyderstwa, które, jak sądziła, dawno się zagoiły, rozgorzały nowym bólem w jej wspomnieniach.

– Ja nie urodziłam się na tej ziemi ani nie pochodzę z wysokiego rodu – rzekła głosem pełnym napięcia. – Chcesz mi powiedzieć, że nie mam prawa tu przebywać ani wychowywać tego chłopca?

– Kosie – kobieta potrząsnęła głową – słuchaj tego, co mówię. Spuścizna Eilan należy do ciebie poprzez naukę, pracę i dar Pani Życia. Eilan sama powierzyła ci to zadanie. Gawen jest ostatnim potomkiem rodu Wiedzących, a jego ojciec był synem Smoka ze strony matki, związanym krwią z tą ziemią.

– Dlatego nazwałeś go Synem Setki Królów... – sapnęła Caillean. – Jaki mamy z tego pożytek? I tak rządzą Rzymianie.

– Nie umiem ci powiedzieć. Wiem tylko tyle, że należy go przygotować. Ty wraz z druidami zaznajomisz go z najwyższą mądrością ludzkiego rodzaju. A ja, gdy zapłacisz mi wyznaczoną cenę, ukażę mu tajemnice krainy, którą zwiecie Brytanią.

– Wyznaczoną cenę – powtórzyła Caillean, przelękając ślinę.

– Nadszedł czas budowania mostów – oznajmiła Królowa. – Mam córkę, Siannę, pocztę z mężczyzną z twojego rodzaju. Jest w wieku chłopca. Życzę sobie, byś przyjęła ją do Domu Dziewcząt jako podopieczną. Naucz, ją waszych obyczajów i waszej mądrości, Pani Avalonu, a w zamian ja przekażę Gawenowi swoją wiedzę...

## 2

– Przybyłeś zatem, by wstąpić do naszego Zakonu? – zapytał starzec.

Gawen popatrzył na niego w zdumieniu. Kiedy kapłanka Kea poprzedniego wieczoru przyproceedziła go do Brannosa, odniósł wrażenie, że co prawda wiekowy bard jeszcze żyje, ale jego sztuka i rozum już dawno umarły. Włosy miał białe, ręce dotknięte chorobą nie mogły już szarpać strun harfy, a kiedy przedstawiono mu Gawena, podniósł się z łoża tylko po to, by wskazać stertę skór owczych w kącie, potem zaś legł na powrót i zapadł w sen.

Nie zapowiadał się zbyt obiecująco jako mentor w tym dziwnym miejscu, lecz owcze skóry były ciepłe i nie zapchłone, a chłopiec bardzo zmęczony. Opadł go sen, nim zdążył przebiec w myślach połowę wypadków, jakie spotkały go w zeszłym miesiącu.

Rankiem Brannos różnił się bardzo od wpeł przytomnego starca, którego Gawen poznał wieczorem. Wodniste oczy były zadziwiająco bystre i chłopiec poczuł, że oblewa go rumieniec pod ich spojrzeniem.

– Nie jestem pewien – odparł ostrożnie. – Moja przybrana matka nie powiedziała mi, co mam tu robić. Zapytała, czy chciałbym być bardem, ale znam tylko najprostsze pieśni, które śpiewały dzieci przygarnięte w Leśnym Domu. Lubię śpiewać, lecz chyba trzeba czegoś więcej, by zostać bardem...

Nie było to prawdą do końca. Gawen uwielbiał śpiewać, jednak arcydruid Ardanos, w owym czasie najbardziej szanowany bard wśród druidów, nie cierpiał go i nie pozwolił mu na naukę. Teraz wiedział, że Ardanos był jego pradziadkiem, tym, który chciał zabić Eilan, gdy poznał, że jest brzemienna, i rozumiał jego pobudki, ale nadal był bardzo powściągliwy w okazywaniu zainteresowania.

– Gdybym został wezwany na tę ścieżkę – zaczął z rozważą – czy już bym o tym wiedział?

Starzec kaszlnął i splunął w ogień.

– Co lubisz robić?

– W Leśnym Domu pomagałem przy kozach i niekiedy pracowałem w ogrodzie. Kiedy miałem wolny czas, grałem w piłkę z innymi dziećmi.

– Wolisz tedy próżnować, zamiast się uczyć? – Przenikliwie oczy wpatrzyły się w niego uważnie.

– Lubię robić różne rzeczy – rzekł z wolna Gawen – słuchać nauk także, jeśli są ciekawe. Uwielbiałem opowieści o bohaterach, które snuli nam druidzi. – Zastanawiał się, jakie historie poznawali mali Rzymianie, ale był zbyt mądry, by o to zapytać.

– Jeśli lubisz powiastki, tedy się dogadamy – zdecydował Brannos z uśmiechem. – Chcesz zostać?

Gawen wbił oczy w ziemię.

– Przypuszczam, że miałem bardów w swoim rodzie. Może dlatego Pani Caillean przysłała mnie do ciebie. Zatrzymasz mnie, gdy się okaże, że nie mam muzycznych zdolności?

– Niestety, potrzebuję twoich silnych rąk i nóg, nie muzyki. – Starzec westchnął, ściągnął krzaczaste brwi. – „Przypuszczasz”, że miałeś bardów w rodzinie? Nie wiesz? Kim byli twoi rodzice?

Chłopiec czujnie zmierzył go wzrokiem. Caillean nie kazała mu taić pochodzenia, ale prawda była dlań tak nowa, że zdawała się nierealna. Z drugiej strony, Brannos żył tak długo, iż być może nic nie mogło go zadziwić.

– Uwierzyłybyś, że do tego miesiąca nie znałem nawet ich imion? Teraz wiem, że nie żyją, i chyba nie zrobię im większej krzywdy, wyjawiając, kim byli... – Z zaskoczeniem usłyszał urazę we własnych słowach. – Mówią, że moją matką była Najwyższa Kapłanka Vernemeton, Pani Eilan. – Pamiętał jej słodki głos i zapach, który zawsze przywierał do jej woali. Mruganiem przepędził łzy. – Ale mój ojciec był Rzymianinem, rozumiesz więc, że nie powinienem był się narodzić.

Sędziwy Druid nie mógł już śpiewać, lecz słuch go nie zawodził. Usłyszał ponurą nutę w głosie chłopca i westchnął.

– W tym domu nie jest ważne, kim byli twoi rodzice. Sam Cunomaglos, który włada tutejszym stanem kapłańskim tak, jak Pani Caillean stoi nad kapłankami, pochodzi z rodziny garncarzy spod Londinium. Na tej ziemi żaden z nas nie jest do końca pewien, kim była jego matka czy ojciec. Nam zostają tylko pogłoski, a dla bogów liczy się tylko to, co sami z siebie czynimy.

To nie jest prawdą do końca, pomyślał Gawen. Caillean powiedziała, że widziała moje narodziny; ona wie, kim była moja matka. To jest pogłoska, ale muszę uwierzyć jej na słowo. Czy mogę jej zaufać? – zastanowił się nagle. Albo temu starcowi, albo komukolwiek z tutejszych? Dziwne, w tej chwili oczami umysłu zobaczył oblicze Królowej Krainy Czarów. Zaufał jej, i to napawało zdumieniem, gdyż nie był nawet pewien, czy jest ona prawdziwa.

– Wśród druidów naszego obrządku – ciągnął starzec – narodziny nie mają znaczenia. Wszyscy ludzie przychodzą na świat bez niczego i czy to syn arcydruida, czy też bezdomnego włóczęgi, każdy zaczyna jako kwilące nagie niemowlę – tak ja, jak i ty, syn żebraka czy króla setki królów – wszyscy ludzie tak zaczynają i wszyscy tak samo kończą, w całunie.

Gawen szeroko otworzył oczy. Pani Czarownego Ludu użyła tego samego zwrotu – „Syn Setki Królów”. Po tych słowach poczuł gorąco i zimno zarazem. Obiecała, że po niego przyjdzie. Może wtedy wyjawi znaczenie tytułu. Serce kołatało mu się w piersi – nie wiedział, z oczekiwania czy ze strachu.

Nim odmienił się księżyc, który powitał jej powrót do Avalonu, Caillean wciągnęła się w obowiązki tak dobrze, jakby nigdy nie opuszczała tego miejsca. Rankiem, kiedy druidzi wspinali się na Tor, aby powitać poranek, kapłanki odmawiały modlitwy przy ogniu. Wieczorem, gdy odległy przypływ morza podnosił poziom wód na bagnach, zwracali się ku zachodowi, by oddać cześć zachodzącemu słońcu. W nocy Tor należał do kapłanek; nów, pełnia i kwadry księżyca miały własne rytuały.

Zdumiewające, myślała w drodze za Eiluned do spichrza, jak szybko zakorzeniają się zwyczaje. Wspólnota kapłanek na świętej wyspie jeszcze nie uczciła pierwszego pełnego roku pobytu, a Eiluned podchodziła do pewnych rzeczy w taki sposób, jak gdyby miały moc prawa i sto lat tradycji.

– Pamiętasz? Kiedy Chodzący Po Wodzie przybył pierwszy raz, przyniósł nam worek jęczmienia. Tym razem przyszedł po leki z pustymi rękoma. – Eiluned mówiła bez chwili przerwy. – Musisz zrozumieć, Pani, że tak nie można. Mamy za mało wyuczonych kapłanek, by nieść pomoc tym, którzy mogą dać coś w zamian. A ty upierasz się, by przygarniać wszystkie napotkane sieroty. Nadszarpniemy posiadane zapasy, aby je wykarmić, chociaż jednego z pewnością nam nie braknie – wody!

Caillean dosłownie odjęło mowę; po chwili rzuciła zapalczynie:



– To nie byle sierota – on jest synem Eilan!

– Zatem niech go weźmie Bendeigid! Ostatecznie był jej ojcem.

Caillean potrząsnęła głową, rozpamiętując ostatnią rozmowę. Bendeigid był szalony. Gdyby tylko mogła temu zapobiec, nigdy nie dowiedziałaby się, że Gawen jeszcze żyje.

Eiluned podniosła belkę, która blokowała drzwi spichlerza. Gdy odciągnęła jedno skrzydło, coś małego i szarego czmychnęło w zarośla.

Eiluned z piskiem skoczyła w ramiona Caillean.

– Bodajby zaraza wytłukła to plugastwo! Bodaj...

– Cicho! – warknęła Caillean, potrząsając nią. – Nie złorzecz stworzeniu, które ma takie samo prawo do szukania żywności, jak my. I nie odmawiaj pomocy potrzebującym, szczególnie Chodzącemu Po Wodzie, który za słowo błogosławieństwa wozi nas swoją barką!

Eiluned odwróciła się, jej policzki pały złowieszczo.

– Wypełniam tylko zadanie, które sama mi poruczyłaś! – oburzyła się. – Jak możesz tak do mnie mówić?

Caillean puściła ją z westchnieniem.

– Nie chciałam urazić twoich uczuć ani dać ci do zrozumienia, że źle postępujesz. Nadal jesteśmy tu nowi, nadal uczymy się, co nam wolno i czego nam trzeba. Wiem jednak, że nasz pobyt tutaj byłby bezcelowy, gdybyśmy stali się równie twardzi i zaborczy jak Rzymianie! Jesteśmy tutaj, aby służyć Pani. Czyż nie powinniśmy ufać, że Ona nie opuści nas w potrzebie?

Eiluned z powątpiewaniem pokręciła głową, ale jej lica odzyskały normalne kolory.

– Czy przymierając głodem, przysłużymy się celom Pani? Popatrz – odsunęła kamienną płytę, przykrywającą dół w spichlerzu – komora na wpeł pusta, a tu jeszcze miesiąc do dnia przesilenia!

Dół jest w połowie pełny, chciała poprawić Caillean, ale zdołała się powstrzymać. Mianowała Eiluned dozorczynią zapasów właśnie z powodu jej zamięłowania do martwienia się o takie rzeczy.

– Są jeszcze dwa doły, nadal pełne – oznajmiła spokojnie – ale dobrze robisz, pokazując mi ten napoczęty.

– W spichrzach w Vernemeton było ziarna na kilka zim, a teraz mają niewiele gąb do wykarmienia – podsunęła Eiluned. – Może posłać do nich po zapasy?

Caillean zamknęła oczy, znów widząc stos popiołów na Wzgórzu Dziewic. Rzeczywiście, i Eilan, i wielu innych już nie potrzebowało jedzenia ani tej, ani żadnej innej zimy. Powtarzała sobie, że to praktyczna sugestia, że Eiluned nie chciała przysporzyć jej bólu.

– Zapytam. – Z trudem zapanowała nad głosem. – Ale jeśli, jak mówią, wspólnota kobiet z Leśnego Domu zostanie rozwiązana, nie możemy liczyć na wsparcie. I może wyjść nam na dobre, gdy zapomną o nas mieszkańcy Deva. Ardanos zadawał się z Rzymianami i niemal

sprowadził na nas nieszczęście. Myślę, że powinniśmy schodzić im z oczu, a to oznacza samodzielne staranie się o pożywienie.

– To twój problem, Pani. Ja troszczę się o zapasy, które już mamy. – Eiluned umieściła kamienną płytę na miejscu.

Nie, to sprawa Pani, pomyślała Caillean, gdy liczyły worki i beczułki. Jesteśmy tutaj z Jej powodu, i nie wolno nam o tym zapominać.

To prawda, że ona i wiele starszych kobiet nigdy nie znały domu innego od siedziby kapłanek, ale posiadały umiejętności, za sprawą których zostałyby przyjęte z otwartymi rękami w siedzibie każdego brytyjskiego naczelnika. Trudno byłoby odejść z Avalonu, lecz wówczas nie groziłby im głód. Z drugiej strony, przybyły służyć Bogini, ponieważ Ona je wezwała. Skoro zaś potrzeba Jej kapłanek, pomyślała Caillean z rodzącym się uśmiechem, to sama powinna znaleźć środki, aby je wykarmić.

– ...i nie mogę robić wszystkiego sama – dokończyła Eiluned.

Caillean drgnęła, uświadamiając sobie, że komentarze towarzyszki przerwały jej rozmyślenia. Pytająco uniosła brwi.

– Nie spodziewasz się chyba, że upilnuję każdego ziarenka prosa i rzepy. Każ paru dziewczętom pomagać mi w zamian za utrzymanie!

Caillean zmarszczyła czoło, rozważając rodzący się pomysł. Oto dar Pani, pomyślała, oto rozwiązanie. Dziewczęta po zakończeniu nauki były dobrze wyszkolone i mogły znaleźć miejsce w każdym domu w kraju. Dlaczego nie przyjmować córek ambitnych ludzi i nie uczyć ich przez pewien czas przed zamążpójściem? Rzymianie nie interesują się tym, co robią kobiety – nie muszą o niczym wiedzieć.

– Będiesz miała pomocnice – obiecała Eiluned. – Ty nauczysz je, jak dbać o gospodarstwo, Kea zaznajomi je z muzyką, a ja przekażę im stare podania naszego ludu i wiedzę druidów. Co będą opowiadały swoim dzieciom, jak myślisz? I jakie pieśni będą im śpiewały?

– Nasze, jak mniemam, ale...

– Nasze – przyznała Caillean – i rzymskim ojcom, widującym swoje potomstwo raz na dzień przy wieczerzy, nawet nie przyjdzie na myśl, by się temu sprzeciwić. Rzymianie są przekonani, że słowa kobiet nie mają znaczenia. Ale dzieci kobiet wychowanych w Avalonie będą mogły odebrać im całą wyspę!

Eiluned wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, na wpół rozumiejąc zamysły starszej kapłanki. Caillean podążyła za nią, dokonując dalszej inspekcji, lecz jej umysł pracował nad szczegółami pomysłu. Mieli już jedną dziewczynkę, Alię, nie przeznaczoną do życia kapłanki. Kiedy mała wróci do domu, rozpuści wieści wśród kobiet, a druidzi dadzą znać na książące dwory, gdzie nadal piastowano stare obyczaje.

Ani armie Rzymian, ani chrześcijańskie nauki o potępieniu nie przeważą pierwszych słów, które dziecko słyszy w ramionach matki. Rzym może władać ciałami ludzi, ale to

Avalon, myślała z rosnącym podnieceniem, to ta święta wyspa, bezpieczna pośród bagien, ukształtuje ich dusze.

Gawen ocknął się bardzo wcześnie i leżał, zbyt rozbudzony, aby na powrót zapaść w sen, choć brzask dopiero co zaczął rozjaśniać skrawek nieba widoczny przez szczelinę w murze z wikliny obrzuconej gliną. Brannos nadal pochrapywał cicho na swoim pośłaniu. Zza okna dobiegło czyjeś kaszlnięcie i szelest szat. Gawen wyjrzał na zewnątrz. Wysoko nad głową niebo było jeszcze ciemne, ale nad wschodnim horyzontem blada smuga różu zapowiadała świt.

W ciągu tygodnia, który upłynął od jego przybycia do Avalonu, zaczął poznawać tutejsze obyczaje. Mężczyźni gromadzili się przed salą druidów, byli to nowicjusze ubrani na szaro i kapłani w bieli, przygotowując się do odprawienia posług związanych ze wschodem słońca. Czekali w milczeniu; Gawen wiedział, że nikt nie śmie wymówić słowa, póki tarcza słońca nie zajaśnieje w całej okazałości ponad wzgórzami. Zanosilo się na ładny dzień; wychowany w druidycznej świątyni, znał się dość dobrze na przewidywaniu pogody.

Wyśliznął się spod ciepłych skór i założył ubranie, nie budząc wiekowego kapłana – dobrze, że nie przydzielili go do Domu Dziewcząt, gdzie byłby strzeżony jak młoda adeptka – i wysmyknął się z chaty. Było prawie ciemno, ale świeży zapach poranka przesycił wilgotne powietrze. Gawen odetchnął pełną piersią.

Jak gdyby wiedziona niemyym sygnałem, procesja witająca słońce ruszyła w kierunku ścieżki. Gawen przystanął w głębokim mroku pod okapem strzechy. Gdy druidzi zniknęli, jak najciszej zszedł nad jezioro. Czarodziejka kazała mu tu czekać. Codziennie przed wschodem słońca schodził na wyznaczone miejsce. Nie był pewien, czy kobieta przyjdzie, ale polubił te poranne wyprawy i widok dnia budzącego się nad bagnami.

Niebo zaczęło różowić się pierwszym blaskiem świtu. W coraz intensywniejszym świetle ukazywały się zabudowania skupione u stóp wzgórza. Z przodu była długa sala zgromadzeń, prostokątna, wzniesiona na rzymską modłę. Z tyłu połyskiwały strzechy okrągłych chat: największa należała do kapłanek, mniejsza do dziewcząt, i jeszcze jedna, nieco z boku, do najwyższej kapłanki. Za nimi były kuchnie, tkalnie i szopa z kozami. Widział nawet starsze, poszarzałe szczyty dachów budynków druidów po drugiej stronie wzgórza. Wiedział, że niżej na zboczu bije święta krynica, a za pastwiskami stoją podobne do uli chaty chrześcijan, skupione wokół głogu, który wyrósł z laski ojca Józefa.

Tam jeszcze nie był. Kapłanki, po naradzie nad zadaniami odpowiednimi dla chłopca, przydzieliły go do pasania mlekodajnych kóz. Pomyślał, że gdyby tak udał się do swego rzymskiego dziadka, nie musiałby pilnować kóz. Ale kozy nie były złymi towarzyszkami. Patrząc na jaśniejące niebo, doszedł do wniosku, że kapłanki rychło zaczną się krzątać i będą oczekiwać, że przyjdzie do sali na poranny chleb i napój piwny. A potem zaczną meczeć

kozy, dopominając się wyjścia na pastwisko. Ta pora dnia była jedyną, jaką miał wyłącznie dla siebie.

Znowu usłyszał w myślach słowa Pani: „Syn Setki Królów”. O co jej chodziło? Dlaczego on? Nie potrafił o tym zapomnieć. Wiele dni minęło od tego dziwnego spotkania. Czy ona wreszcie przyjdzie do niego?

Siedział przez długi czas na brzegu, patrząc, jak szara tafla wody pokrywa się srebrem pod bladym jesiennym niebem. Powietrze było rześkie; zdążył się już przyzwyczać do chłodu, odpieranego zresztą przez skórę baranią podarowaną mu przez Brannosa. Panowała cisza, ale niezupełna; gdy przestał się wiercić, dobiegł go szept wiatru w koronach drzew, westchnienie fal oblewających brzeg.

Zamknął oczy i wstrzymał oddech, gdy na chwilę dźwięki otaczającego go świata stały się muzyką. Usłyszał pieśń – nie potrafił określić, czy dobiega ona z zewnątrz, czy też coś śpiewa w jego duszy. Melodia była niewymownie słodka. Nie podnosząc powiek, wyjął z kieszeni wierzbową fujarkę, podarunek Brannosa, i przyłożył ją do ust.

Pierwsze tony zabrzmiały tak fałszywie, że niemal cisnął flet do wody, lecz po chwili popłynął czysty dźwięk. Gawen zaczerpnął powietrza, skoncentrował się i spróbował jeszcze raz. Znowu wysnuła się czysta nić dźwięku. Ostrożnie przesunął palce i powoli zaczął tkać z niej melodię. Gdy się rozluźnił, jego oddech stał się głębszy, opanowany... Chłopiec zatonął w rodzącej się melodii.

Nie od razu zdał sobie sprawę z pojawienia się Pani. Ukazywała się stopniowo: najpierw cień przysłonił światło lśniące nad jeziorem, potem zaznaczyły się kontury, a w końcu zarys przemienił się w postać jakby za sprawą magii sunącą nad powierzchnią wody. Dopiero po chwili dostrzegł niski dziób łodzi, na którym stała, i smukłą tyczkę w jej rękach.

Łódź przypominała nieco barkę, na której Chodzący Po Wodzie przewiózł ich na wyspę, ale była węższa. Pani kierowała nią długimi, doświadczonymi pchnięciami. Był zbyt zmieszany, by przyjrzeć się czarodziejce w czasie poprzedniego spotkania, Mimo zimna jej szczupłe muskularne ręce były nagie po same ramiona; ciemne włosy szesała od czoła, wysokiego i gładkiego, przeciętego ciemnymi skrzydłami brwi. Oczy też miała ciemne, i były błyszczące. Towarzyszyła jej dziewczynka, silnej budowy, z głębokimi dołeczkami w policzkach gładkich jak gęsta śmietana, z grubym warkoczem lśniącym miedzią i złotem jak włosy Pani Eilan – jego matki. Uśmiechnęła się do niego, marszcząc zabawnie różową buzię.

– To moja córka Sianna – oznajmiła Pani, mierząc go wzrokiem. Oczy miała jak ptak, bystre i przenikliwe. – A jakie imię nadano tobie, Panie?

– Moja matka nazwała mnie Gawen – odparł. – Po co...

Słowa Pani ucięły jego zapytanie.

– Umiesz kierować płaskodenną łodzią?

– Nie, Pani. Woda jest mi obca, nigdy nie byłem tego uczony. Ale nim ruszymy...

– To dobrze. – Po raz kolejny weszła mu w słowo. – Przynajmniej nie trzeba będzie cię niczego oduczać, a tylko nauczyć nowego. Na razie wystarczy, jak wsiądziesz, nie wywracając łodzi. Uważnie stawiaj nogi. O tej porze roku woda jest za zimna na kąpiel. – Wyciągnęła drobną dłoń, twardą jak skała, i pomogła mu zająć miejsce. Usiadł, chwytając się burty, gdy płaskodenka odbiła od brzegu. Wytrącił go z równowagi nie tyle chybotliwy ruch łódki, ile własna reakcja na komendę kobiety.

Sianna zachichotała. Pani skierowała na nią ciemne oczy.

– Skoro człowiek nie miał okazji czegoś się nauczyć, nie może tego wiedzieć. Czy przystoi szydzić z niewiedzy?

A co z moją niewiedzą? – zastanowił się Gawen. Nie powtórzył jednak pytania. Może Pani wysłucha go później, kiedy już dotrą do miejsca przeznaczenia.

Sianna mruknęła:

– Niespodziewana kąpiel w taki dzień, to ci dopiero... – Próbowała zrobić zmartwioną minę, ale nie mogła powstrzymać chichotu.

Pani uśmiechnęła się pobłaźliwie, napierając na tyczkę i kierując łódkę na szeroką wodę.

Gawen obejrzał się na dziewczynkę. Nie potrafił odgadnąć, czy Sianna stroi sobie z niego żarty, ale podobał mu się widok jej zmrużonych, lekko skośnych w śmiechu oczu, i chyba nie miałby nic przeciwko, gdyby się z nim droczyła. Była najradośniejszą istotką w przestrzeni zamkniętej przez srebrzystą wodę i blade niebo; miał ochotę ogrzać ręce w jej rdzawych włosach. Uśmiechnął się nieśmiało. Promienny uśmiech, jaki rozbłysnął w odpowiedzi, przepalił pancerz, pod którym próbował ukryć swoje uczucia. Dopiero znacznie później pojął, że w owej chwili jego serce otworzyło się dla niej na zawsze.

Teraz wiedział tylko tyle, że zrobiło mu się cieplej, i poluzował rzemień, który przytrzymał owczą skórę. Łódź sunęła płynnie po powierzchni wody, w promieniach słońca wędrującego po niebie. Gawen siedział spokojnie, spod rzęs zerkając na Siankę. Pani jakby straciła ochotę do rozmowy, a dziewczynka podążyła jej przykładem. Gawen nie śmiał przerywać milczenia; słuchał kwilenia ptaków i cichego plusku fal o burtę.

Woda była spokojna; od czasu do czasu marszczyły ją podmuchy wiatru, a tu i ówdzie wiry, tworzące się, jak wyjaśniła Pani, nad pniakami czy innymi podwodnymi przeszkodami. Jesienne deszcze podniosły wodę rozlewisk; Gawen patrzył na chwiejące się kępy wodnej trawy i wyobrażał sobie zatopione łąki. Nad powierzchnię wznosiły się pagórki, połączone gdzieśgdzie przez gęste sitowie.

Minęło południe, kiedy Pani wypchnęła płaskodenkę na żwirowy brzeg wyspy, która – przynajmniej w oczach Gawena – niczym nie różniła się od innych. Wysiadła i ruchem ręki kazała dzieciom uczynić to samo.

– Umiesz rozpalić ogień? – zapytała.

– Przykro mi, Pani. Tego też mnie nie nauczono. – Czuł rumieniec na policzkach. – Wiem, jak podsycać płomienie, ale u druidów ogień jest świętością. Wolno go wygaszać tylko przy specjalnych okazjach, a później rozniecają go kapłani.

– Oto, jak ludzie czynią tajemnicę z czegoś, co potrafi żona pierwszego lepszego wieśniaka – rzuciła pogardliwie Sianna.

Pani pokręciła głową.

– Ogień jest tajemnicą. Jak każda moc, może oznaczać niebezpieczeństwo, może być sługą albo bogiem. Liczy się to, jak jest wykorzystywany.

– A jaki płomień rozpalimy tutaj? – zapytał Gawen.

– Tylko ogień podróźnych, który posłuży do uwarzenia powszedniej stawy. Sianno, zabierz chłopca i pokaż mu, jak znaleźć hubkę.

Dziewczynka zamknęła ciepłe palce na dłoni Gawena.

– Chodź, musimy nazbierać suchej trawy, martwych liści, gałązek z powalonych drzew. Potrzeba nam wszystkiego, co pali się szybko i łatwo chwyta ogień. – Puściła jego rękę i podniosła garść patyków. Razem zebrali susz, a następnie spiętrzyli liście i gałązki w stosik w okopconym wgłębieniu wilgotnej ziemi. Niedaleko leżała sterta większych patyków. Najwyraźniej w tym miejscu rozpalono już ogień.

Kiedy Pani uznała, że stos jest dość duży, wyjęła ze skórzanego mieszka krzesiwo i kawałek stali i pokazała, jak krzesać iskry. Gawen nie wiedział, co myśleć: najpierw powitała go jak króla, a potem zagoniła do służebnych obowiązków. Patrząc w rodzący się ogień, przypomniał sobie jej słowa i dopiero wtedy zrozumiał. Nawet ten ogień, rozniecony w celu przyrządzenia stawy, był święty; może w czasach, kiedy Rzymianie władali światem, nawet święty król musiał wypełniać drobne, acz tajemne posługi.

Po chwili w górę strzeliły wąskie jęzorki płomieni, które Pani podsyciła większymi patykami. Kiedy ogień rozgorzał na dobre, wyjęła z płaskodenki worek z zającem. Zdarła skórkę i sprawiła szaraka małym kamiennym nożem, a następnie położyła na zielonych wtkach nad ogniem, który przygasł do żaru. Po chwili kropelki tłuszczu zaczęły syczeć na węglach. Powietrze zgęstniało od aromatycznej woni i żołądek Gawena skurczył się z oczekiwania. Chłopiec właśnie uświadomił sobie, że ominęło go śniadanie.

Pani podzieliła pieczone i podała po kawałku dzieciom; sama nie tknęła jedzenia. Gawen wgrzył się łapczywie w mięsiwo. Po skończonym posiłku Pani pokazała, gdzie zagrzebać kości i skórkę.

– Pani – zaczął Gawen, wycierając ręce o kaftan – dziękuję za poczęstunek. Nadal nie wiem, czego chcesz ode mnie. Czy odpowiesz mi teraz, gdy się już posililiśmy?

Patrzyła na niego z namysłem przez długą chwilę.

– Myślisz, że wiesz, kim jesteś, jednak nie masz racji. Mówiłam ci, jestem przewodniczką. Pomogę ci odkryć, do czego jesteś przeznaczony. – Ruszyła w kierunku łodzi, wzywając ich ruchem dłoni.

A co z tą setką królów? – chciał zapytać, lecz brakło mu śmiałości.

Czarodziejka wyprowadziła płaskodenkę na otwarte wody, gdzie rzeka wycięła łożysko wśród bagien; musiała pochyłać się głęboko, aby sięgnąć dna swoją tyczką. Wyspa, ku której płynęli, była wielka, oddzielona wąskim kanałem od lądu z zachodniej strony.

– Posuwajcie się w ciszy – przykazała, gdy wyszli na brzeg, i poprowadziła ich między drzewami.

Kiedy liście zaczynają opadać, bezszelestna wędrówka wśród pni i niskich konarów nie była rzeczą łatwą, suche liście szeleściły bowiem przy każdym kroku. Gawen był zbyt zajęty, aby zapytać, dokąd zmierzają. Czarodziejka poruszała się bezgłośnie, Sianna prawie równie cicho. Przy nich czuł się jak wielki, niezdarny wół.

Pani wzniosła dłoń, nakazując postój. Gawen odetchnął z ulgą. Powoli odsunęła gałąź leszczyny. Za nią rozciągała się łączka, na której jeleni skubał żółknącą trawę.

– Przypatrz mu się uważnie, Gawenie. Musisz poznać ich zwyczaje – powiedziała po cichu. – W lecie nie znalazłbyś ich tutaj. Wtedy wylegują się w skwarze dnia i tylko o zmierzchu wychodzą na paszę. Teraz, przed nadejściem zimy, muszą jeść jak najwięcej. Poznanie zwyczajów tropionej zwierzyny jest pierwszym obowiązkiem myśliwego.

– Mam zatem zostać myśliwym. Pani? – spytał szeptem.

Zastanowiła się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Nie ma znaczenia, co będziesz robić – odparła równie cicho. – Ważne, kim jesteś. Tego właśnie musisz się nauczyć.

Sianna wyciągnęła rączkę i pociągnęła go w zagłębienie w trawie.

– Stąd będziemy patrzeć na jelenia – wyszeptała. – Stąd wszystko widać.

Gawen przykucnął w milczeniu u jej boku, tak blisko, że nagle z całą mocą zrozumiał, iż Sianna jest dziewczynką, dziewczynką w jego wieku. Mało kiedy widział, a dużo rzadziej dotykał wcześniej osobę odmiennej płci; Eilan i Caillean znane mu przez całe życie niemal nie były dlań kobietami. Oszołomiony, poczuł, jak policzki oblewają mu się szkarłatem. Zawstydzony ukrył twarz w chłodnej trawie. Wdychał wilgotny, słodki zapach włosów Sianny i silną woń słabo wyprawionej skóry jej sukni.

Po chwili Sianna szturchnęła go w bok i wyszeptała:

– Patrz!

Na łące pojawiła się łania, z gracją, stawiająca zgrabne kopytka, które sprawiały wrażenie zbyt delikatnych, aby utrzymać jej ciężar. Parę kroków za nią truchtał jelonek, kudłata zimowa sierść zaczynała przysłaniać dziecięcą, plamistą szatę. Stworzenie podążało w trop za matką, ale w porównaniu z jej elegancją jego ruchy były niezdarne, bez odrobiny wdzięku. Jak moje... pomyślał Gawen z uśmiechem.

Patrzył, jak zwierzęta stąpają jedno za drugim, przystając, aby wciągnąć wiatr w nozdrza. Potem, być może spłoszona słyszalnym tylko dla niej odgłosem, łania poderwała głowę i

umknęła. Jelonek, sam na polance, najpierw zamarł, stał przez parę sekund bez ruchu, potem nagle pocwałował za matką.

Gawen wypuścił powietrze. Nie był świadom, że aż do tej chwili przetrzymywał je w płucach.

Eilan, moja matka... – powoli oswajał się z myślą, że Eilan była jego matką – przypominała tę łanię. Była do tego stopnia pochłonięta obowiązkami Najwyższej Kapłanki, że nie do końca zdawała sobie sprawę z mojego istnienia, a jeszcze mniej, kim albo czym jestem.

W tym czasie jednak prawie przyzwyczyił się do bólu. Dużo ważniejsza od wspomnienia była obecność Sianny u jego boku. Czuł jej drobne, wilgotne palce zaciśnięte na swojej dłoni. Chciał się poruszyć, ale ona wskazała na skraj lasu. Znieruchomiał, wstrzymując oddech, potem zobaczył cień na skraju polany. Usłyszał mimowolne sapnięcie Sianny, gdy na otwartą przestrzeń powoli wyszedł wspaniały jelen. Wznosząc dumnie łeb zwieńczony rosochatym porożem, kroczył z pełnym wdziękiu dostojnością.

Obrócił głowę i znieruchomiał na mgnienie oka. Gawen odniósł wrażenie, że byk dostrzegł go i spojrzał wprost na niego.

Usłyszał zduszony szept Sianny:

– Król Jeleni! Przyszedł, aby cię powitać! Czasami przez wiele dni z rzędu przypatrywałam się jeleniom, ale on się nie pojawiał.

Gawen podniósł się mimo woli. Na długą chwilę jego oczy zwały się ze ślepiami zwierzęcia. Potem jelen zastrzygł uszami i zebrał się do skoku. Gawen zagryzł wargi, przekonany, że to on go przestraszył, ale w następnej chwili czarno upierzona strzała zafurgotała w powietrzu i zaryła w ziemię w miejscu, gdzie stało zwierzę. Za pierwszą poszybowała następna. W tym czasie jelen już zniknął między drzewami, pozostawiając tylko rozkołysane gałęzie.

Gawen spojrzał tam, skąd nadleciały strzały. Spomiędzy drzew wyłonili się dwaj mężczyźni. Przysłonili oczy dłońmi i zerknęli na popołudniowe słońce.

– Stać! – Usta Pani nie poruszyły się, ale głos zdawał się dobiegać zewsząd. Myśliwi stanęli jak wryci, rozglądając się czujnie. – Ta zwierzyna nie na waszą miarę!

– Kto broni... – zaczął wyższy, natomiast jego towarzysz uczynił znak przeciw złu i szeptem nakazał mu zachować milczenie.

– Las sam tego zabrania, i Bogini, która daje wszystkim życie. Na inne jelenie możecie polować, bo to jest pora łowów, ale na tego – nie. Śmieliście grozić Królowi Jeleni. Odejdźcie i znajdźcie sobie inny trop.

Obaj mężczyźni dygotali. Nie wążąc się nawet podnieść strzał, odwrócili się i z trzaskiem wpadli między drzewa, z których wyszli.

Pani wysunęła się z cienia wielkiego dębu i gestem przywołała dzieci do siebie.



– Musimy wracać – oznajmiła. – Dzień chyli się ku końcowi. Cieszę się, że ujrzeliśmy Króla Jeleni. Chciałam, żebyś go zobaczył, Gawenie. Z tego powodu przywiodłam cię tutaj.

Gawen zaczął coś mówić, zamilkł jednak, jakby zmienił zdanie. Królowa zapytała:

– O co chodzi? Zawsze możesz wyjawic mi swoje myśli. Ja być może nie zawsze będę mogła odpowiedzieć, tobie jednak wolno pytać. Jeśli nie będę mogła spełnić twoich próśb albo gdy będę musiała ci czegoś zakazać, zawsze wyjaśnię powody.

– Powstrzymałaś tych ludzi przed polowaniem na jelenia. Dlaczego? I dlaczego byli ci posłuszni?

– To tutejsi, ludzie tego kraju, i są zbyt mądrzy, aby się sprzeciwiać. A co do jelenia, żaden łowca ze starszych ras nie tknąłby go świadomie. Król Jeleni może zginąć tylko z ręki Króla...

– Ale my nie mamy króla – szepnęła. Wiedział, że zbliża się do odpowiedzi, nie był jednak pewien, czy chce ją usłyszeć.

– Teraz nie – przyznała. – Chodź. – Ruszyła w drogę powrotną.

Gawen mruknął z rezygnacją:

– Żałuję, że muszę wracać. Jestem niechcianym brzemieniem dla mieszkańców Toru.

Ku jego zdumieniu Pani nawet nie próbowała go przekonywać, że jest inaczej. Zdziwił się, bo zdążył przywyknąć, że zwykle dorośli zawsze popierają decyzje innych dorosłych. Pani zawahała się, potem rzekła powoli:

– Również chciałabym, żebyś nie musiał wracać; nie chcę, żebyś był nieszczęśliwy. Ale każdy dorosły musi, prędzej czy później, w swoim życiu zrobić rzeczy, do których nie ma upodobania czy zdolności. I chociaż uważałabym za zaszczyt wychowywanie kogoś z twojego rodu, musisz pozostać w świątyni przez czas potrzebny na poznanie nauk druidów. Są one niezbędne także mojej córce.

Gawen na chwilę pogrążył się w zadumie.

– Ale ja nie chcę zostać druidem.

– Wcale tego nie powiedziałam – tylko że musisz pobrać stosowne nauki w celu wypełnienia swojego przeznaczenia.

– A jakie jest moje przeznaczenie? – wybuchnął.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz? – krzyknął i zobaczył, że twarz Sianny zbieleła. Nie chciał walczyć z jej matką, nie w obecności córki, ale musiał wiedzieć.

Przez długą chwilę czarodziejka patrzyła na niego bez słowa.

– Kiedy widzisz ponure i groźne chmury, poznajesz, że dzień będzie burzowy, prawda? Nie możesz jednak przewidzieć, kiedy spadnie deszcz ani jak będzie obfity. Podobnie jest z pogodą wewnętrznych światów. Znam jej przypływy i cykle. Znam jej znaki i widzę jej moce. Dostrzegam moc w tobie, dziecko; astralne prądy burzą się wokół ciebie jak wody nad ukrytym w odmętach drzewem. Moje słowa nie przyniosą ci pociechy, wiem jednak, że jesteś

tutaj nie bez powodu. Nie znam dokładnie tego celu, a gdybym go znała, nie wolno by mi było nikomu go wyjawiać. Dlaczego? Otóż aby doprowadzić do spełnienia proroctwa lub aby mu zapobiec, ludzie często robią właśnie te rzeczy, których nie powinni.

Gawen słuchał jej słów bez większej nadziei. Kiedy skończyła, zapytał:

– Czy wobec tego zobaczę cię jeszcze, Pani?

– Bądź tego pewien. Moja córka zamieszka wśród dziewcząt Avalonu. Gdy przyjdę zobaczyć się z nią, odwiedzę również ciebie. Czy kiedy znajdzie się wśród druidów, będziesz się o nią troszczył tak, jak ona o ciebie w lesie?

Gawen popatrzył na nią zdumiony; Sianna absolutnie nie pasowała do druidycznych kapłanek, których wzorem była Eilan czy może Caillean.

Więc miała zostać kapłanką?

Czy ona też była taka jak on? Czy ją również czekało jakieś Przeznaczenie?

### 3

Z nadejściem zimy dni stały się mroczne, wilgotne i chłodne. Nawet kozy straciły ochotę do wędrówek. Gawen coraz częściej podchodził do podobnych do uli chat, które leżały na dalekim krańcu pastwiska rozciągającego się u stóp Toru. Z początku, kiedy dobiegł go śpiew z większej okrągłej budowli, którą chrześcijanie zwali swoją świątynią, zatrzymał się w polu, ale zafascynowało go brzmienie melodii. Każdego dnia podchodził coraz bliżej.

Powtarzał sobie, że robi to tylko z powodu deszczu albo zimnego wiatru, że chce pilnować kóz, siedząc pod jakąś osłoną. Byłoby inaczej, gdyby miał towarzysza w swoim wieku, jednak Królowa Czarownej Krainy jeszcze nie wypełniła obietnicy i nie sprowadziła Sianny do Avalonu. Gawenowi doskwierała samotność, dlatego szukał rozrywki. Chował się, kiedy w pobliżu dostrzegał mnichów, ale ich muzyka poruszała go do głębi, choć inaczej niż muzyka druidycznych bardów.

Pewnego dnia, niedługo przed zimowym przesileniem, schronienie pod murem wydawało się wyjątkowo kuszące, gdyż w nocy nękały go koszmary, w których matka, otoczona płomieniami, wzywała syna na ratunek. Gawenowi serce ścisnęło się na ten widok, ale w śnie nie wiedział, że to on jest wzywany, i nic nie zrobił. Po przebudzeniu przypomniał sobie, że on jest jej synem. Zapłakał, gdyż za późno było na ratunek albo choćby na wyznanie, że pokochałby ją, gdyby tylko dała mu okazję.

Przykucnął pod ścianą z plecionki obrzuconej gliną i szczelnie otulił się owczą skórą. Tego dnia muzyka była szczególnie piękna, pełna radości, choć nie rozumiał słów. Rozproszyła lęki nocy, jak poranne słońce przegania przymrozek. Oczy chłopca przyciągnęła tęczowa gra światła na kryształkach szronu, powieki po chwili mu opadły i niespodziewanie zapadł w sen.

Przebudził go nie dźwięk, ale cisza. Śpiew urwał się, drzwi stanęły otworem. Z kościoła wyszło dwunastu mężczyzn, starych – przynajmniej tak mu się wydawało – odzianych w szare szaty. Z walącym sercem Gawen skulił się w futrach, jak mysz na widok przelatującej sowy. Na samym końcu szeregu dreptał mały staruszek, zgarbiony wiekiem, z całkowicie białymi włosami. Przystanął i rozejrzał się, a jego bystre oczy zatrzymały się na drżącym Gawenie. Zrobił parę kroków w jego stronę i pokiwał głową.

– Nie znam cię. Jesteś młodym druidem?

Mnich poprzedzający staruszką, wysoki mężczyzna o rzadziejących włosach i pokrytej plamami skórze, odwrócił się i zmierzył chłopca nieprzyjemnym wzrokiem. Staruszek podniósł rękę, w geście przygany lub błogosławieństwa, i mnich, nadal gniewnie marszcząc brwi, podążył za innymi braćmi do swojej chatki.

Gawen zerwał się, podniesiony na duchu uprzejmością staruszką.

– Nie, panie. Jestem sierotą, sprowadzonym tutaj przez przybraną matkę, bo nie mam innych krewnych. Ale moja rodzona matka była kapłanką, więc ja chyba też zostanę druidem.

Starzec popatrzył nań z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Prawdę rzeczesz? Myślałem, że kapłanki druidyczne związane są ślubami czystości, jak nasze dziewczęta, że nie wolno im wychodzić za mąż ani nosić dzieci.

– Nie wolno – przyznał Gawen, wspominając uwagi, jakie rzuciła Eiluned, gdy sądziła, że on nie słyszy. – Ludzie mówią, że nie powinienem być się narodzić. Albo że powinienem umrzeć wraz z matką.

Stary kapłan popatrzył na niego dobrotliwie.

– Mistrz, kiedy zamieszkiwał wśród nas, miał litość nawet dla cudzołożnic. A o małych dzieciach mówił, że do nich należy królestwo niebieskie. Nie pomnę jednakowoż, by wspominał coś o narodzinach, prawych czy nieprawych, dzieci.

Gawen ściągnął brwi. Czy jego dusza miała jakąś wartość w oczach tego starego kapłana? Po chwili wahania zapytał o to.

– Wszystkie ludzkie dusze są równe w oczach prawdziwego Boga. Twoja tak samo jak inne.

– Prawdziwego boga? – powtórzył Gawen. – Czy twój bóg, kimkolwiek jest, ceni moją duszę jak własną, mimo że nie należę do jego wyznawców?

Kapłan łagodnie odparł:

– Pierwsza prawda twojej wiary, tak samo jak mojej, mówi, że bóg, niezależnie od tego, jakim zwany imieniem, jest tylko jeden. Istnieje jedno Źródło, a On włada i nazarejczykami, i druidami.

Uśmiechnął się i osunął sztywno na ławę, która stała obok małego krzaka głogu.

– Rozprawiamy o nieśmiertelnych duszach, a jeszcześmy nie poznali swoich imion! Moi bracia, którzy wiodą śpiewy, to Bron, który był mężem mojej siostry, i Alanus. Brat Paulus ostatni przyłączył się do naszej kompanii. Ja jestem Józef, członkowie naszej kongregacji zwa-

mnie ojcem. Jeśli twój ziemski ojciec nie będzie temu przeciwny, byłoby mi przyjemnie, abyś i ty zwracał się do mnie w ten sposób.

Gawen szeroko otworzył oczy.

– Nigdy nie widziałem swojego ziemskiego ojca, a teraz on nie żyje, nie wiadomo więc, co mógłby powiedzieć. A co do matki, znałem ją, ale nie... – przełknął ślinę, wspominając sen – ale nie byłem z nią związany.

Kapłan patrzył na niego w milczeniu. Potem westchnął.

– Nazwałeś się sierotą, wszelako wcale nim nie jesteś. Masz Ojca i Matkę...

– W Innym Świecie... – zaczął Gawen, lecz ojciec Józef nie dał mu dojść do słowa.

– Wokół siebie. Bóg jest twoim Ojcem i Matką. Atoli na tym świecie też masz matkę, czyż nie jesteś bowiem wychowawcą młodej kapłanki Caillean?

– Caillean? Zwiesz ją młodą? – Gawen zdusił parsknięcie.

– Dla mnie, który naprawdę jestem stary, Caillean jest ledwie dziecieniem – odparł niewzruszenie ojciec Józef.

Chłopiec podejrzliwie zapytał:

– Czy ona mówiła coś o mnie? – Wiedział, że Eiluned i inne plotkowały o nim. Myśl, że mogły rozmawiać nawet z chrześcijanami, doprowadzała go do wściekłości.

Sędziwy kapłan uśmiechnął się do niego.

– Twoja przybrana matka i ja gawędzimy od czasu do czasu. W imię Mistrza, który mówił, iż wszystkie dzieci są dziećmi bożymi, będę ci ojcem.

Gawen potrząsnął głową, rozpamiętując pogłoski o chrześcijanach.

– Nie zechcesz mnie. Mam drugą przybraną matkę, Panią Starszego Ludu, który zważ czarownym. Znasz ją?

Staruszek pokręcił głową.

– Z żalem przyznaję, że nie dostąpiłem tego zaszczytu, acz jestem pewien, iż godna to osoba.

Gawen odetchnął swobodniej, lecz nie był jeszcze gotów zaufać temu człowiekowi.

– Słyszałem, że chrześcijanie mówią, iż wszystkie kobiety są złe...

– Nie ja – sprzeciwił się ojciec Józef. – Nawet sam Mistrz, kiedy mieszkał wśród nas, miał wiele przyjaciółek: Marię z Betanii, która chciała zostać jego żoną, i tę drugą Marię, z miasta Magdala, o której powiedział, że będzie jej wybaczone, bo miłowała. Wynika tedy jasno, iż kobiety nie są złe. Twoja przybrana matka, Caillean, jest złą niewiastą. Kobiety nie są złe, tylko czasami popełniają błędy albo nie mają racji – tak samo, jak mężczyźni. A jeśli niektóre czynią zło, to nie znaczy, że wszystkie są im podobne.

– Zatem Pani Starszego Ludu nie jest zła, ani też jej córka? – Staruszek nie sprawiał wrażenia groźnego, jednak Gawen chciał się upewnić.

– Nie znam Pani, więc nie wiem. Istnieje wiele opowieści o Starszych. Niektóre mówią, że to pomniejsi aniołowie, którzy nie stanęli ani po stronie Boga, ani po stronie Złego, który

się zbuntował, i zostali skazani na wieczne życie tutaj. Inne podają, że Ewa, zawstydzona posiadaniem liczego potomstwa, ukryła tu niektóre z dzieci, toteż zostały one nie pobłogosławionymi przez Boga duszami.

Moi mistrzowie nauczali, że lud Czarownej Krainy to duchy, które nie posiadając własnego głosu, przemawiają głosami natury. Z pewnością jednakże zostały stworzone przez Boga. I podczas gdy mieszkańcy Czarownej Krainy nigdy nie umierają, ci ze starszego rodzaju, którzy związali swój los z ludźmi, stali się śmiertelni, i jeśli wiodą prawy żywot, Wszehmogący nagradza ich duszami. Co do córki Pani, jest ona tylko dzieckiem. Jeśli należy po części do śmiertelnej rasy, zapewne już ma duszę. Czy dzieci mogą być złe? Mistrz rzekł był, że one stanowią królestwo niebieskie.

Ojciec Józef z uśmiechem spojrzał na Gawena.

– Często słuchałeś naszych śpiewów, prawda? Chciałbyś posłuchać w środku?

Gawen zerknął na niego podejrzliwie. Serce ciągnęło go do staruszka, ale miał dość dorosłych, którzy mówili mu, kim jest i co ma zrobić.

– Nie musisz – dodał kapłan – ale tam lepiej słyszeć... – Przemawiał z powagą, lecz chłopiec dostrzegł błysk w jego oku i wybuchnął śmiechem. – Po festiwalu zimowego przesilenia; kiedy będzie więcej wolnego czasu, mógłbyś nawet, jeśli zechcesz, nauczyć się śpiewać...

Gawen zeszywniał.

– Skąd wiedziałeś? Skąd wiedziałeś, że chcę tego nad wszystko inne? Ale czy Caillean wyrazi zgodę?

Ojciec Józef tylko się uśmiechnął.

– Zostaw to mnie.

Wielką salę spotkań przesyciała silna woń sosnowych gałęzi. Druidzi nacięli ich z drzew rosnących na sąsiednim wzgórzu wzdłuż traktu mocy, który wychodził z Avalonu. Ten szeroki szlak przecinał Tor od północnego wschodu i biegł do miejsca, gdzie najdalszy kraniec Brytanii wcinął się w zachodnie morza. Inne linie mocy przechodziły przez Tor od północnego zachodu i północy, znaczone stojącymi kamieniami, stawami albo wzgórzami w większości porośniętymi przez sosny. Caillean nie zbadała ich osobiście, ale widziała je, podróżując duchem. Miała wrażenie, że tego dnia wszystkie one tętnią mocą.

Zgodnie z rachunkami Druidów tej nocy nastął czas największej ciemności w roku. Nazajutrz słońce zacznie wracać z południowych nieboskłonów i choć najgorsza zima była jeszcze przed nimi, świeża już nadzieja na nadejście lata. Z tego węzła mocy, rozmyślała Caillean, jednocześnie udzielając Lysandzie wskazówek, jak przymocować koniec girlandy do słupa, wyślemy echa energii na cały kraj.

I taki był sens wszystkich ich poczynań, nie tylko wieczornego obrzędu. Z coraz większą siłą uzmysławiała sobie, że to schronienie na bagnach jest tajemnym ośrodkiem kraju.

Rzymianie mogli władać głową Brytanii, kierując z Londinium wszystkim, co działo się na zewnątrz, ale przez sam pobyt tutaj kapłanki Avalonu mogły przemawiać do jej duszy.

Po drugiej stronie sali rozległ się pisk i Dica, zaczerwieniona, przyskoczyła do Gawena i zaczęła smagać go gałązką sosny. Eiluned, groźna jak chmura burzowa, odwróciła się w ich stronę, ale Caillean była szybsza.

– Nie dotknąłem cię! – zawołał chłopiec, kryjąc się za plecami Caillean. Kątem oka kapłanka zobaczyła, jak Lysanda próbuje się wymknąć, i złapała ją w biegu.

– Pierwszym obowiązkiem kapłanki jest prawdomówność – rzekła surowo. – Jeśli będziemy mówić prawdę tutaj, zapanuje ona w całym kraju. – Dziewczynka przeniosła spojrzenie z niej na Gawena i oblała się rumieńcem.

– Przesunęła się... – wymamrotała Lysanda. – Chciałam dać kuksańca jemu.

Caillean wołała nie pytać dlaczego. W tym wieku chłopcy i dziewczęta byli jak koty i psy, stworzenia na przemian wrogie i zafascynowane swoją odmiennością.

– Nie przyszedłeś tutaj dla zabawy – rzekła łagodnie. – Myślisz, że wiążemy te gałęzie tylko dla ich słodkiej woni? One są święte; są rękojmią trwającego życia, gdy wszystkie inne gałęzie są nagie.

– Jak ostrokrzew? – zapytała Dica; jej oburzenie ustąpiło ciekawości.

– I zrodzona z błyskawicy jemiola, która żyje, nie dotykając ziemi. Jutro druidzi zetną ją złotymi sierpami, aby wykorzystać do swoich czarów. – Caillean urwała, rozglądając się dokoła. – Prawie skończyliśmy. Idźcie się rozgrzać, niedługo bowiem zajdzie słońce i wygasimy wszystkie ognie.

Dica, chuda i zawsze zmarznięta, śmignęła w stronę ognia, który na rzymską modłę palono w żelaznym koszu na środku pomieszczenia. Lysanda podążyła za nią.

– Daj mi znać, gdy zaczną zbyt mocno ci dokuczać – powiedziała Caillean do Gawena. – Są młode, a ty jesteś tutaj jedynym chłopcem w ich wieku. Ciesz się ich towarzystwem, bo po przejściu w stan kobiecy nie będą zachowywać się tak swobodnie. Zresztą, to nieważne – dodała, widząc jego zakłopotanie. – A może tak zapytasz Riannon, czy nie skruszyło się jakieś ciastko wypiekane na święto? My, które złożyłyśmy śluby, musimy pościć, ale nie ma powodu, by młodzi zaznali głodu.

Był jeszcze dość młody, aby radośnie wyszczerzyć zęby i pocwałować po słodycze.

Bez światła sala kapłanek wydawała się ogromna: przepastna przestrzeń chłodnego mroku, w którym mogli zgubić się zgromadzeni. Gawen przysunął się do Caillean, która przysiadła na środku na wielkim siedzisku. Czuł poprzez suknie ciepło jej ciała, co sprawiało mu przyjemność.

– I tak powstał Taniec Olbrzymów – mówiła Kea, na którą wypadła kolej snucia opowieści – i nie mogły temu zapobiec żadne złe moce.

Zbierali się w sali od zachodu słońca. Kapłanki prawły historie o wicherze i drzewie, o ziemi i słońcu, o duchach zmarłych i czynach żyjących, i o dziwnych istotach, które nie wiadomo, kim są, i które nawiedzają przestwór między światami. W opowieści Kei było skupisko potężnych głazów na omiatanej wichrami centralnej równinie. Leżała ona na wschód od Krainy Lata. Gawen słyszał o niej, lecz nigdy tam nie był. Zdawało mu się, że świat jest pełen cudów, których nie widział i których nigdy nie zobaczy, jeśli Caillean zatrzyma go tutaj na zawsze.

Ale w tej chwili cieszył się, że może tu przebywać. Wiatr w strzesze szeptał razem z Keą i chwilami chłopiec nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rozróżnia nawet jego słowa. Kapłanki mówiły, że w tym czasie ciemności po świecie krążą moce wrogie ludzkiemu rodzajowi i Gawen, słysząc tajemnicze poszepty, święcie im wierzył.

– I potwory nic nie działy? – zapytała Lysanda.

– Nie do końca – odparła Kea. Jej głos zdradzał tłumiony śmiech. – Największy z nich, którego imienia w noc taką jak dzisiejsza nie śmiem wypowiedzieć, przysiągł, że zburzy krąg kamienny, gdzie czcimy Matkę – ten, który leży na północ i na wschód stąd. Łączy nas jeden z traktów mocy, które biegną po całej ziemi, a tej nocy tamtejszy lud rozpali ogień na środkowym głazie.

– Ale co zrobił potwór? – chciał wiedzieć Gawen.

– No cóż, słyszałam, że zgarnął wielką stertę ziemi i dźwigał ją do kręgu, ale powstrzymany przez Panią, porzucił brzemień i czmychnął. Jeśli mi nie wierzycie, możecie iść i obejrzeć usypany pagórek na własne oczy. Leży na zachód od pierścienia z kamieni. Wysłałyśmy tam kapłanów i kapłanki, aby odprawiali obrzędy w czas wiosennego zrównania.

Silniejszy podmuch wiatru sprawił, że ściany zadygotały. Gawen przyłożył rękę do polepy, pewien przez chwilę, że to ziemia drży pod ciężkimi krokami pradawnego olbrzyma. A co z Czarownym Ludem? – zastanowił się wówczas. Co z Sianną i Królową? Ulatywały na skrzydłach wichru czy obchodziły święto w jakimś tajemnym miejscu głęboko pod ziemią? Od dnia spędzonego wspólnie na jeziorze obie często gościły w jego myślach.

– Jesteśmy tutaj bezpieczni?

Gawen był zadowolony, że zapytała o to mała Dica.

– Wyspa Avalon jest święta – odparła Caillean. – Gdy służymy bogom, żadne zło nie ma tu wstępu. – Zapadło milczenie. Gawen usłyszał, jak wiatr zajęczał przy kalenicy i zamilkł.

– Jak długo? – wyszeptała Dica. – Jak długo będziemy czekać na światło?

– Tyle czasu, ile zajęłoby ci wdrapanie się na szczyt Toru i zejście na dół – powiedziała Riannon, która jak inne kapłanki miała dar oceny upływu czasu.

– W takim razie druidzi, którzy przyniosą ogień, są w drodze na górę – wtrącił Gawen, pamiętając to, co rzekł mu Briannos.

– Czekają na północ, stawiając czoło zimnu i niebezpieczeństwu ciemności – dodała Caillean. – Zachowajcie spokój, moje dzieci, i pomódlcie się do Pani, by rozświetliła waszą

wewnętrzna ciemność, jest ona bowiem, choć możecie sądzić inaczej, głębsza i groźniejsza od nocy spowijającej świat.

Zamilkła. Przez długi czas nikt się nie poruszył. Gawen wsparł głowę na kolanie Caillean. Jedynie szmer oddechów zakłócał ciszę; nawet wiatr przycichł, jakby świat zamarł w oczekiwaniu wraz ze skulonymi tu ludzkimi duszami. Chłopiec drgnął, gdy coś dotknęło jego włosów; po chwili zrozumiał, że to ręka Caillean. Wstrzymał oddech, zdumiony, i coś, co było w nim zmrożone jak zimowy szron, poczęło tajać. Caillean miarowo, delikatnie gładziła jego czuprynę, a on przytulił policzek do jej uda, zadowolony, że w ciemności nikt nie może dostrzec jego łez.

Nie dźwięk, ale jakaś nieuchwytna zmiana, może samego powietrza, przyciągnęła jego uwagę. Nadal panował nieprzenikniony mrok, jednak cienie otaczające Gawena przestały nań napierać. Ktoś się poruszył; za drzwiami rozległy się czyjeś kroki.

– Słuchajcie! – Drzwi stały otworem, ukazując prostokąt granatowej czerni usianej gwiazdami. Wraz z mroźnym powietrzem do wnętrza sali wpadło tchnienie pieśni, tak delikatne, jakby śpiewały gwiazdy.

*Z ciemności zrodzi się światło,  
Z naszej ślepoty – wzrok;  
Niech cienie nocy pierzchną!  
Niech święte słowo mocy  
rzeczone tą porą nocy  
położy ciemności kres...*

Gawen spał się, wyęzając słuch, aby rozróżnić słowa. Ktoś sapnął i chłopiec poderwał głowę. Na szczycie Toru rozkwitło światło, maleńki, mrugający punkcik, za którym po chwili rozbłysnął drugi i trzeci. Dziewczęta szeptały, pokazując je sobie palcami, ale Gawen w milczeniu czekał na kolejną strofę pieśni.

*Gdy rok zatoczy cyklu krąg  
Ziemia uwolni się z lodu  
A zguby znajdą się wraz!  
Niech święte słowo mocy  
rzeczone tą porą nocy  
położy zimie kres...*

Smuga blasku popłynęła w dół, spiralnie okrążając Tor. Głosy cichły, gdy światło niknęło po drugiej stronie wzgórza, a potem odzywały się z nową siłą. Gawen zadrżał, jak wówczas, gdy przysłuchiwał się śpiewom chrześcijan. Podczas gdy liturgie mnichów były majestatycznym wyrazem, zatwierdzeniem ładu, melodie Druidów spotykały się i rozstawały, wzbijając się i cichnąc ze swobodą, a zarazem nieuchronną harmonią ptasiego śpiewu.



*Kiedy strata odmienia się w zysk  
A radość przekształca ból,  
Niech smutki walczą bez skutku.  
Niech święte słowo mocy  
rzeczone tą porą nocy  
położy śmierci kres...*

Podeszli już na tyle blisko, że w blasku pochodni można było dostrzec niosących je ludzi, kręty szereg odzianych w biel druidów. Gawen przestępował z nogi na nogę, pragnąc uczestniczyć w tworzeniu tej muzyki.

*Błogosławiona wieść przybywa  
Po zimie nastanie wiosna  
Oto odwieczna prawda.  
Niech święte słowo mocy  
rzeczone tą porą nocy  
położy lękowi kres...*

Śpiewacy, prowadzeni przez białobrodego Cunomaglosa, zbliżyli się do sali. Kobiety rozstały się, robiąc im przejście. Brannos, z obliczem rozjaśnionym uniesieniem muzyki, napotkał płomienne spojrzenie Gawena i uśmiechnął się.

Będę bardem, pomyślał chłopiec. Będę! Poproszę Brannosa, aby mnie wyuczył.

Idąc w głąb sali za innymi, zamrugał, oślepiiony po długim przebywaniu w ciemności. Blask tuzina płonących pochodni pełgał po uśmiechniętych twarzach. Gdy oczy Gawena przywykły do światła, wyłowił z tłumu jedną osobę. Złociste włosy tworzyły aureolę wokół twarzyczki jasnej jak dzień, oczy płonęły ogniem. Powoli, bardzo powoli dopasował do niej imię – Sianna – z trudem, bo nie była to ta sama ludzka dziewczynka, z którą wędrował i gawędził przez cały jesienny dzień. Dzisiaj wyglądała na nieodrodną córkę Czarownej Krainy.

Ktoś podał mu placek posypany ziarenkami maku i Gawen zaczął jeść, nie odrywając oczu od dziewczynki. Stopniowo, gdy pogryzał kęs za kęsem, zaczął dostrzegać zwyczajne szczegóły: piegi, które pstrzyły jej policzki, i plamę na rąbku spódnicy. Na zawsze jednak, może z powodu godzin spędzonych w ciemności, zachował w pamięci pierwszy wizerunek, jaśniejącą nieziemsko istotę nie z tego świata.

Pamiętaj! – przykazał sobie w myślach. Cokolwiek się stanie, ona jest właśnie taka! Pamiętaj!

Cailleán przeżyła dziesiątki nocy zimowego przesilenia, dziesiątki razy czekała na powrót światła, lecz za każdym razem nieodmiennie nadchodziła chwila, kiedy ogarniał ją lęk. Bała

się, że tym razem cud się nie zdarzy, ogień nie zapłonie i ciemność na wieki spowije świat. Tej nocy, jak zawsze, jej pierwszą reakcją na widok błysku na szczycie wzgórza była ulga. W tym roku być może miała więcej powodów do wdzięczności. Po tylu tragediach obietnica odnowy była szczególnie mile widziana.

Żar buchający z kosza na środku sali wraz z ogniem pochodni powodował szybki wzrost temperatury. Caillean rozchyliła poły płaszcza i rozejrzała się dokoła. Otaczały ją uśmiechnięte twarze. Nawet Eiluned pozwoliła sobie na okazanie zadowolenia.

Ojciec Józef, zakończywszy swoje nocne posługi, przyjął jej zaproszenie i przybył wraz z jednym z mnichów, nie wiecznie skwaszonym bratem Paulusem, ale młodszym, Alanusem.

W jakich innych ciałach, innych żywotach i krainach czekaliśmy razem, aby powitać powracające światło? – zastanawiała się. Widok ojca Józefa często nastrajał ją do podobnych rozmyślań. Perspektywa takich spotkań niosła dziwną pociechę, znaczyła, że wbrew smutkom i przykrościom teraźniejszego istnienia zawsze pozostaje coś wieczystego.

Ruszyła przez tłum, aby go powitać.

– W imię Światła, oddaję ci błogosławieństwo. Pokój wszystkim w tych murach – odpowiedział. – Muszę z tobą pomówić, Pani, o wychowaniu chłopca Gawena.

Caillean odwróciła się, szukając Gawena wzrokiem. Stał, zarumieniony, z oczami jak gwiazdy, po drugiej stronie ognia. Poczula ból w sercu. Zwróciła uwagę na Eilan, która wyglądała jak po inicjacji, kiedy wyszła z sadzawki. Caillean prześledziła kierunek jej spojrzenia i zobaczyła jasnowłosą dziewczynkę z twarzyczką tak świetlaną i żywą, jakby narodziła się z płomieni. Za nią, jak cień, stała Królowa Czarownej Krainy.

Caillean przeniosła spojrzenie z osłupiałego chłopca na promienną dziewczynkę i w sposób właściwy tym wyszkolonym jak ona poczuła, że wszystkie elementy wzoru są na swoich miejscach. Po nocy, której rozmawiała z Panią Czarownego Ludu, dużo myślała o dziecku, które obiecała przyjąć na wychowanie. Już nauczanie dziewcząt przybywających ze świata ludzi było trudne. Jak poradzi sobie z dzieckiem pochodzącym z Czarownej Krainy? Ale Sianna nie pojawiała się i po pewnym czasie powszednie troski przysłoniły niepokój.

– Ojcze, porozmawiam z tobą o chłopcu, lecz wprzód muszę powitać nowego gościa – rzuciła spieszenie.

On spojrzał w tym samym kierunku i rozszerzył oczy ze zdumienia.

– Tak, rozumiem. Chłopiec wspominał o nich, ale nie do końca mu wierzyłem. Z pewnością świat nadal jest miejscem cudów!

Gdy Caillean zbliżyła się, czarodziejka wyszła z cienia na jej spotkanie. Miała dar przyciągania powszechnej uwagi, kiedy tylko tego chciała, i rozmowy przycichły, gdyż ci, którzy wcześniej jej nie dostrzegali, nagle ją ujrzeli.

– Przybyłam, Pani Avalonu, aby upomnieć się o łaskę, jaką mi obiecałaś. – Niski głos Pani niósł się po sali. – Oto moja córka. Proszę, abys przyjęła ją na naukę.

– Widzę i witam – odpowiedziała Caillean. – Co do nauki, decyzja musi zostać podjęta przez samo dziecko, nikogo innego.

Czarodziejka mruknęła coś cicho i Sianna, pochylając głowę, stanęła przed Caillean. Blask ognia migotał w jej jasnych włosach.

– Wiem, że jesteś tutaj za zgodą swojego rodu, ale czy przybyłaś do nas z własnej woli, bez pogroźek czy przymusu? – zapytała Caillean.

– Tak, Pani – padła odpowiedź. Sianna mówiła cicho, ale wyraźnie i pewnie, choć musiała wiedzieć, że wszyscy na nią patrzą.

– Obiecujesz, że będziesz żyć w zgodzie ze wszystkimi kobietami tej świątyni i będziesz traktować każdą z nich jak matkę albo siostrę zrodzoną z własnej krwi?

Przez chwilę Sianna patrzyła w górę. Podobna była do nieznanego ojca, ale w jej spojrzeniu przebijała głębia oczu matki.

– Bogini mi dopomoże, obiecuję.

– Przez okres nauki dziewczęta należą do Pani i nie mogą oddać się żadnemu mężczyźnie, nim Bogini nie wyrazi zgody. Czy będziesz posłuszna temu prawu?

– Będę. – Sianna uśmiechnęła się wstydliwie i wbiła oczy w podłogę.

– Zatem witam cię wśród naszych dziewcząt. Kiedy dorośniesz, będziesz mogła, jeśli Bogini cię wezwie, przyjąć na siebie obowiązki kapłanki, ale na razie to jedyne śluby, jakimi możemy cię związać. – Otworzyła ramiona i przygarnęła dziecko do piersi, oszołomiona przez chwilę słodkim zapachem jej świetlanych włosów.

Potem cofnęła się, a inne, jedna po drugiej, powitały nową siostrę; ich wątpliwości rozwiewały się i twarze wyglądały – nawet Eiluned – gdy tylko dotknęły dziewczynkę. Caillean popatrzyła na jej matkę i w przelocie ujrzała uśmiech czający się w ciemnych oczach czarodziejki.

Rzuciła urok na dziewczynkę, dlatego tak chętnie ją przyjmujemy, pomyślała. Kiedyś to się skończy. Sianna musi poznać swoje miejsce, inaczej czekają ją przykrości. Przed dzieckiem, które musiało zaznajomić się z dyscypliną świątyni i odmiennością świata ludzi, było dość problemów. Z tego względu nie miała Królowej za złe tego niewielkiego czaru, który miał zapewnić udany początek.

– To Dica, a to Lysanda – przedstawiła ostatnie w kolejce. – Razem zamieszkacie w chatce przy kuchniach. Twoje posłanie czeka, a dziewczęta pokażą ci, gdzie położyć rzeczy. – Popatrzyła na suknię Sianny, ze zgrzebnej wełny haftowanej w liście i kwiaty, i z uśmiechem dodała: – Idź teraz i posil się. Rankiem znajdziemy ci przyodziewek, jaki noszą inne dziewczęta.

Odprawiła ją ruchem dłoni i Lysanda, śmielsza od pozostałych, złapała Siankę za rękę. Dziewczynki odeszły. Po chwili Caillean usłyszała głos Diki i perlisty śmiech Sianny.

*Traktujcie ją dobrze, a będzie dla was błogosławieństwem. Być może pewnego dnia okaże wam swoją wdzięczność...*

Caillean pojęła, że słowa te nie zostały wyrzeczone na głos dopiero wtedy, gdy odwróciła się i stwierdziła, że Królowa zniknęła. Nagle sala rozbrzmiała rozmowami i śmiechem, gdy ludzie poszczący przez cały dzień zajęli się jadłem rozłożonym na stołach. Dla Rzymian byłby to skromny posiłek, ale dla mieszkańców świątyni, przyzwyczajonych do gotowanego ziarna, zieleniny i sera, placki z owocami i miodem, duszone zające i pieczona dziczyzna stanowiły prawdziwą ucztę.

– To jest więc córka Pani Starszego Ludu, o której mówił mi Gawen? – zapytał ojciec Józef, stając u boku Caillean.

– Ona we własnej osobie.

– A ty radujesz się z jej przybycia?

– Gdyby było inaczej, nigdy nie przyjąłabym jej ślubów.

– Ona nie jest kurczęciem z twojego stadka...

– Ani z twojego, Ojcze – rzekła powoli Caillean. – Żebyś się nie pomylił. – Wzięła jabłko z koszyka i wbiła w nie zęby.

Ojciec Józef pokiwał głową.

– Toteż zdumiałem się, widząc jej matkę. Pochodzi ona z ludu, który był tutaj przed Brytami – a niektórzy powiadają, że przed ludźmi w ogóle. Z pewnością powitali Ludzi Mądrości, którzy przybili do tych wybrzeży z Zatopionej Krainy.

– Nie wiem na pewno, kim albo czym może być Pani Leśnego Ludu – powiedziała Caillean – ale pomogła mi kiedyś, gdy byłam w wielkiej potrzebie. Myślę, że jej lud posiada mądrość, którą nasz był utracił. Chciałabym sprowadzić wśród nas Starszy Lud i jego wiedzę. A ona obiecała uczyć mojego przybranego syna, Gawena.

– To o nim chciałem pomówić. Jest sierotą, nieprawdaż?

– To prawda – przyznała Caillean.

– Tedy, w imię Nauczyciela, który rzekł: „Niech małe dzieci przybędą do mnie”, pozwól swojemu wychowawcy Gawenowi być także moim synem. Prosił mnie, bym wprowadził go w tajniki naszej muzyki. Jeśli dziewczynka również zapragnie się uczyć, powinna zostać moją córką i siostrą Gawena w Chrystusie.

– Nie kłopotuje cię, że dzieci są zaprzysiężone starym bogom? – zapytała Caillean.

Jeden z druidów podniósł harfę i jał na niej wygrywać. Gawen stanął obok niego, wpatrując się w błyski światła na strunach.

– Nie przeszkadza mi, że złożyła wam śluby, choć bratu Paulusowi to się nie spodoba – rzekł z westchnieniem kapłan. – Jest nowy wśród nas i czuje, że nawet tutaj, na tym krańcu świata, powinniśmy nawracać każdego napotkanego.

– Słyszałam o nim – przyznała niewesoło Caillean. – Czyż nie uważa, że jeśli choć jedna osoba na świecie pozostanie poganinem, to zawiedziecie w swoim obowiązku? Czyż zatem nie powinnam zabronić Gawenowi kontaktów z wami? Nie chcę, by został nazarejczykiem.

– Taka jest wiara Paulusa. Nie powiedziałem, że moja. Człowiek, który wyrzeka się swojej pierwszej wiary, odstąpi zapewne od drugiej. Myślę, że ta prawda odnosi się także do niewiast. – Uśmiechnął się ze szczególną słodyczą. – Żywię wielki szacunek dla tych, którzy wyznają swoją wiarę.

Cailleán westchnęła i odprężyła się; wiedziała, że może powierzyć dzieci ojcu Józefowi.

– Słyszałem, że dziewczynka miała wolny wybór? W końcu chłopiec też sam zdecyduje, ścieżkami jakiej wiary podąży.

Przez chwilę patrzyła na niego, potem z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Masz rację, oczywiście. Trudno pamiętać, że wybór obowiązuje w obie strony i że nie tylko moja wola ma znaczenie, ani nawet jego, lecz wola bogów...

Podążyła ręką staruszkowi.

– Muszę odejść i sprawdzić, czy Sianna już się zadomowiła. Dziękuję ci bardzo za uprzejmość okazywaną Gawenowi; on jest dla nas bardzo ważny.

– To zaszczyt okazywać mu uprzejmość – zapewnił ojciec Józef. – Ja też muszę już odejść, wstajemy bowiem o świcie, aby oddać cześć naszemu Panu. Potem będę musiał wyjaśnić swoją decyzję bratu Paulusowi, który mniema, że już jestem zbyt pobłażliwy dla pogan. Mój Mistrz jednak nauczył mnie, że Prawda Boża jest ważniejsza od słów ludzkich i w swoich założeniach wszelka wiara jest jednym.

Cailleán popatrzyła na niego i obraz zafalował, jakby patrzyła przez ogień. Potem, przez chwilę, wydawał się jej wyższy, wyglądał jak mężczyzna w sile wieku z powiewającą ciemną brodą. Nosił białą szatę, ale symbol na jego szyi nie był krzyżem. Ona sama też była młodsza, odziana w ciemne woale.

– „I oto jest pierwsza z wielkich prawd” – Słowa te dobiegły z otchłani pamięci. – „Wszyscy bogowie są jednym Bogiem i nie ma religii wyższej nad Prawdę...”

Ojciec Józef rzekł po prostu:

– Niech Prawda zwycięży. – I dwoje Wtajemniczonych pożegnało się uśmiechami.

## 4

Drugiej zimy pobytu Gawena w Avalonie na wzgórzu rozgorzał pożar. Nikt nie wiedział na pewno, kto zaproszył ogień. Eiluned klęła się, że któraś z dziewcząt musiała dopuścić się niedbalstwa, grzebiąc w popiele węgle w palenisku w Wielkiej Sali. Tutaj nikt nie sypiał i nim blask pożogi przebudził kapłanki, cały budynek stał w płomieniach. Porywisty wiatr podsyczał je i przenosił iskry na strzechę Domu Dziewcząt.

Stamtąd ogień rozprzestrzenił się na chaty druidów. Gawena obudziło kasłanie starego Brannosa. Najpierw pomyślał, że starzec ma gorszą noc niż zwykle, ale gdy oprzytomniał, poczuł swąd i sam zaniósł się kaszlem. Zerwał się z posłania i pospieszył do drzwi.

Na tle płomieni z krzykiem miały się ciemne postacie. Tchnienie gorącego powietrza podniosło mu włosy z czoła, gdy zmienił się kierunek wiatru. Iskry z sykiem gasły na oszronionej trawie.

– Brannos! – zawołał, odwracając się. – Wstawaj! Gore!

Gawen poza owczą skórą nie posiadał nic, czego w razie utraty mógłby żałować. Naciągnął okrycie na grzbiet jedną ręką, drugą podnosząc staruszkę.

– Pospiesz się... wzuwaj buty... – Obuł Brannosa i złapał derkę, żeby otulić jego chude ramiona. Stary bard podniósł się chwiejnie, ale nie dał się zaciągnąć do drzwi.

– Moja harfa... – Wreszcie chłopiec dosłyszał coś z jego mamrotania.

– Nigdy na niej nie grasz... – zaczął. Przerwał mu atak kaszlu. Ogień widocznie sięgnął ich dachu, bo dym zaczął snuć się po izbie. – Idź – wysapał, pchając starca do wyjścia. – Uratuję ją!

Czyjaś twarz pojawiła się w drzwiach; ktoś złapał Brannosa i z krzykiem wyciągnął go na dwór. Gawen zawrócił. Ponad nim rozbłysnął nagle jęzor płomienia, podsycanego przez przeciąg z otwartych drzwi. Chłopak ruszył ku kątowi, w którym stał owinięty skórą instrument, cofnął się, gdy spadająca belka rozpadła się na polepie w snopie iskieł, potem skoczył do przodu, opędzając się od płonących kawałków strzechy jak od natrętnych much.

Harfa była prawie tak duża jak on, i ciężka, ale w tej chwili poczuł napływ sił i w żarze płomieni pulsujących pod powalą zdołał wywlec ją za drzwi.

– Głupi chłopcze! – krzyknęła Eiluned, z twarzą poznaczoną smugami sadzy, z dziko rozwianymi włosami. – Żeby też nie pomyśleć o tym, jaka rozpacz ogarnęłaby Caillean, gdyby coś ci się przydarzyło.

Gawen, któremu nogi marzły od zimnej ziemi, a tułów spływał potem od ognia, wlepił w nią oczy; odebrało mu mowę ze zdumienia, gdy usłyszał jej ton pełen złości. Potem zobaczył przerażenie w jej oczach i zrozumiał, że oskarżanie go było zasłoną skrywającą własny strach. Ludzie często robili rzeczy, które go złościły. Zastanowił się, które z nich były tylko obroną, postępowaniem jeża, który, wystraszony, groźnie nastawia kolce.

Będę myślał o niej jak o jeżu, postanowił, i kiedy mi dopiecze, przypomnę sobie, jakie z niej zahukane zwierzątko.

Kilku druidów próbowało zlać wodą ze świętej studni strzechy chat, które jeszcze nie stały w płomieniach, ale brakowało cebrzyków. Większość, zdjeta grozą, beczynnie wlepiła oczy w płomień. Długa sala stała w ogniu, płomień strzelające z dachu Domu Dziewcząt lizały niebo. Sala druidów też płonęła, podobnie jak kilka mniejszych budynków. Zwierzęta wypuszczone ze stajen beczały żałośnie; być może te zabudowania stały dostatecznie daleko, aby ocaleć z pożogi.

Kobiety szlochały, siedziały w grobowym milczeniu albo lamentowały, wpatrując się w płomień.

– Jak będziemy żyć? – szeptały. – Dokąd się udamy?

Brannos płakał, tuląc harfę w chudych ramionach.

Dlaczego narażał moje życie, aby ją ocalić? – zastanowił się Gawen. Potem, gdy wziął pod uwagę wielkość instrumentu, zdumiał się, jak tego dokonał.

I, niczym w odpowiedzi, dobiegły go słowa: *Zawsze znajdziesz siłę do tego, co konieczne...*

Brannos popatrzył w górę, jego oczy zaślniły w migotliwym blasku.

– Chodź – wychrypiał. Nie zwracając uwagi na Eiluned, chłopiec przyłączył się do starca. Bard złapał jego rękę, następnie położył ją na kolumience harfy. – Twoja... Ty ją uratowałeś. Jest twoja.

Gawen przełknął ślinę. Ogień zapalał złote błyski na polerowanym drewnie, zdobionym paskami metalu, i na brązowych strunach. Głosy brzmiące wokół niego zlały się w miękki pomruk, przycichł ryk szalejącego pożaru. Ostrożnie wyciągnął rękę i trącił strunę, wydobywając z harfy jedną słodką nutę.

Nie chciał, by ktoś usłyszał, ale dźwięk jakby zawisł w powietrzu. Ci stojący najbliżej odwrócili się, a dalsi, widząc ich poruszenie, też okazali zainteresowanie. Gawen popatrzył na nich, jego spojrzenie przenosiło się z jednej twarzy na drugą; pełen słodczy dźwięk na chwilę uwolnił ich od przestachu czy rozpacz. Wśród ciemnych postaci dostrzegł Caillean, otuloną szalem. Jej twarz w blasku ognia była poryta cierpieniem. Wyglądała staro. Kiedyś opowiedziała mu o stosie, na którym spłonęli jego rodzice. Czy myślała teraz o tym? Ogarnął go żal nad samym sobą, czy go zaszczyły – już nigdy nie dowie się, co utracił. Współczuł również kapłance, gdyż ona także знаła jego matkę.

A teraz oboje tracili wszystko po raz drugi.

Brzmienie harfy ucichło. Caillean spojrzała w nawiedzone oczy Gawena. Przez chwilę marszczyła brwi, jakby zastanawiając się, skąd on się tutaj wziął. Potem wyraz jej twarzy uległ zmianie. Później, gdy o tym rozmyślał, nasuwało się tylko jedno określenie opisujące to, co ujrzał w jej oczach: bezbrzeżne zdumienie. Caillean wyprostowała ramiona, odzyskując majestat Pani Avalonu.

– Pani... – odezwała się Eiluned w imieniu wszystkich – co się z nami stanie? Czy wrócimy do Leśnego Domu?

Caillean omiotła wzrokiem zebranych. Druidzi też na nią patrzyli, nawet Cunomaglos, ich przywódca, który przybył do Tor, aby zaznać spokoju kontemplacji, i w miarę rozrastania się wspólnoty był coraz bardziej nieszczęśliwy.

– Jesteście wolni, jak zawsze. Co chcielibyście zrobić? – Głos Najwyższej Kapłanki był zimny.

Twarz Eiluned jakby się skurczyła i po raz pierwszy Gawen znalazł w sercu odrobinę współczucia dla tej kobiety.

– Ty nam powiedz! – wyszlochała.

– Mogę wam tylko powiedzieć, co ja zrobię – rzekła nieco łagodniej Caillean. – Przysięgam założyć centrum starożytnej wiedzy na tym świętym wzgórzu. Ogień może strawić tylko to, co jest widoczne dla ludzkiego oka, co jest uczynione ludzkimi rękami. Serce Avalonu pozostaje... – Popatrzyła na Gawena. – Jak duch wzlatuje triumfalnie z ciała, które płonie na stosie, tak prawdziwego Avalonu nigdy nie złamią niedole ludzkiego świata. – Urwała, jak gdyby słowa te wzbudziły zdumienie nie tylko w słuchających, ale i w niej samej. – Posłuchajcie głosu serca. Ja zostanę i będę służyć Bogini na tym świętym wzgórzu.

Gawen popatrzył na innych i zobaczył, jak prostują plecy, jak nowe światło zapala się w ich oczach. Spojrzenie Caillean wróciło do niego i skoczył na nogi tak, jakby go zawołała.

– Zostanę – powiedział.

– I ja – zapewnił ktoś obok niego.

Gawen drgnął. Była to Sianna, która miała po matce dar bezszelestnego poruszania się. Zgłosili się inni, jeden przez drugiego, obiecując pomoc w odbudowie. Gawen uściśnął rękę dziewczynki.

Zima nie była najlepszą porą na budowę. Gawen chuchnął dla rozgrzewki w zgrabiące dłonie. Sięgnął z dachu nowego Domu Dziewcząt po powróśło ukręcone ze słomy, podane mu przez Siannę, i zaczął przywiązywać następny pęk słomy do żerdzi. Dziewczynka drżała, jej policzki, zwykle lekko zaróżowione, spurpurowiały z zimna. W Czarownej Krainie, powiedziała mu kiedyś, znamy tylko rześki chłód jesieni i słodkie ciepło wiosny. Zastanawiał się, dlaczego zgodziła się zamieszkać w krainach śmiertelników.

Ale nie narzekała, i on też się nie skarżył, nawet nie żałował, że ze względu na lekką budowę został posłany na dach, gdzie kasał go lodowaty wiatr. Uśmiechnął się do niej szeroko, gdy młody druid podniósł ku niemu następne naręcze słomy. Ułożył pęczek na właściwym miejscu i wziął od Sianny kolejny kawałek powroza, aby go umocować. Dobrze, że nowy budynek nie musiał być tak wielki jak stary. Kilka kapłanek schroniło się u Chodzącego Po Wodzie i jego krewnych, ale inne wróciły do swoich rodzin. Starsi druidzi i chłopcy zamieszkali w małym, podobnym do ula kościółku ojca Józefa. Niektórzy z mężczyzn odeszli. Odszedł nawet Cunomaglos, przywódca druidów, by szukać pustelni na wzgórzach. Jeden dom dla kobiet i jeden dla mężczyzn miały wystarczyć do lata. Dobrze, że nie poniosły szkody spichrze ani zwierzęta.

Odejście Cunomaglosa oznaczało oddanie władzy w ręce Caillean. Przynajmniej nikt, kto przybył z Vernemeton, tego nie kwestionował. Jeśli Najwyższa Kapłanka odczuwała rozczarowanie postawą tych, którzy opuścili Tor, nie rzekła ani słowa. Gawen miał wrażenie, że uważa ich za plewy, których odsianie poprawia jakość pozostałego ziarna. Słyszał, że podobnie było w świecie leżącym poza Doliną Avalonu, gdzie Trajan zwyciężył w wojnach domowych i zaprowadził porządek w cesarstwie.

Wiatr przybrał na sile. Gawen zadygotał i schował dłonie pod pachy.



– Zejdź – powiedziała Sianna – zamienimy się, chociaż na trochę. Jestem lżejsza od ciebie.

Gawen pokręcił głową.

– Jestem silniejszy... – zaczął.

Popatrzyła na niego ze złością, jej rumieniec pogłębił się, gdy żar gniewu przeważył nad zimnem.

– Pozwól jej – wtrącił nowy głos.

Gawen zamrugał ze zdziwienia. Na dole stała Caillean.

– Nie! – zawołał. – Tutaj jest za zimno!

– Sama postanowiła żyć wśród nas, a ja zawiodłabym w wypełnieniu przyjętego obowiązku, gdybym ją oszczędzała – oświadczyła kapłanka ponuro.

Sianna patrzyła to na nią, to na niego, jej oczy płonęły, jakby nie wiedziała, czemu się sprzeciwić: ostrym słowom Caillean czy trosce Gawena. Wreszcie złapała chłopaka za nogę w kostce i pociągnęła. Gawen wrzasnął i zaczął się zsuwać. Po chwili znalazł się na pokrytej słomą części dachu i nie miał się czego przytrzymać. Wylądował na stercie słomy u stóp Caillean.

Sianna odskoczyła i szybko niczym wiewiórka wspięła się na dach. On posłał jej pełne złości spojrzenie, ale skapitulował, słysząc dźwięczny śmiech. Potrząsając głową, wstał i sięgnął po powrósło. Caillean odeszła, marszcząc się chmurnie.

Wieczorem, gdy słuchał sprzeczki Brannosa i ojca Józefa na temat teorii muzyki, przyszło mu do głowy, że nigdy nie był tak szczęśliwy. Rozgrzany, z brzuchem pełnym owsianki, zakopał się w koce. Nie rozumiał dyskusji, ale dźwięczne frazy i brzmienie harfy były pokarmem dla jego duszy.

Minęła zima, za nią lato. Strawione przez pożar budynki zostały zastąpione nowymi, jeszcze lepszymi, a kapłanki zaczęły napomykać o budowaniu z kamienia. U Gawena początkowe niezdarne próby gry na harfie przerodziły się w prawdziwą umiejętność. Kontynuował naukę, śpiewając z ojcem Józefem i chrześcijanami, a jego chłopięcy sopran wybijał się nad ich niższe głosy.

W miarę upływu czasu zaczynał dostrzegać, że opuszcza go skrępowanie, jakie odczuwał w obecności Caillean. Przestał oczekiwać, że kapłanka będzie dla niego matką, i prawdę mówiąc, wcale już tego nie pragnął. Nie był pewien, co ona o nim myśli, ale gdy wspólnota Avalonu stała się bardziej bezpieczna, wielu pragnęło wstąpić w jej szeregi i Caillean była zbyt zajęta nauczaniem nowo przybyłych, aby poświęcać mu większą uwagę.

Dzieci oddane druidom z Toru na wychowanie zostały rozdzielone. Dziewczęta i chłopcy spędzali czas osobno, oddając się różnym zajęciom. Niektóre rzeczy robili jednak razem, kiedy wymagał tego tok nauki, i spotykali się w czasie świąt. I tak minęło sześć lat.

– Jestem pewna, że potraficie wymienić siedem wysp Avalonu, ale czy wiecie, dlaczego każda jest święta?

Pytanie Caillean wyrwało Gawena z zadumy. Była pełnia lata, ziemię spowijał senny spokój. O tej porze roku mieszkańcy Avalonu większość czasu spędzali pod gołym niebem, a Pani zbierała swoich uczniów pod dębem niedaleko skraju wody. Gawen był ciekaw, do czego zmierza Najwyższa Kapłanka. Tę wiedzę przyswoili sobie w dzieciństwie. Dlaczego wracała do niej ponownie?

Po chwili pełnego zaskoczenia milczenia Dica podniosła rękę. Z pyskatego chudzielca wyrosła na smukłą pannę; jej lisią twarzyczkę otaczała chmura imbirowych włosów. Język nadal miała cięty, ale teraz zachowywała się poprawniej.

– Pierwsza to Inis Witrin, Szklana Wyspa, na której wznosi się Święty Tor – odparła z przesadną powagą.

– A czemuż tak się nazywa?

– Bo... mówią, że widziana z Innego Świata skrzy się niczym światło w rzymskim szkle.

Czy było to prawdą? Szkolenie Gawena obejmowało wewnętrzne podróże, podobne snom na jawie, ale jeszcze nie było mu wolno opuszczać ciała i patrzeć na prawdziwy świat wzrokiem ducha.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Caillean. – A następna? – Jej spojrzenie zatrzymało się na jednej z młodszych podopiecznych, ciemnowłosej Breace z Dumnonii.

– Druga to Wyspa Brigi, wielka duchem, choć jej wysokość jest nieznaczna. Stamtąd to Bogini przybywa do nas jako Matka, niosąc nowo narodzone słońce. – Dziewczynka zarumieniła się z zakłopotania, ale odpowiedziała płynnie.

Gawen chrząknął.

– Trzecia to wyspa uskrzydłonego boga, w pobliżu wielkiej wioski ludzi z bagien. Bóg otacza opieką ptactwo wodne, którego nie wolno zabijać w pobliżu jego świątyni. Z wdzięczności ptaki nie kalają jej dachu.

Był tam kilka razy z Panią Czarownicą Krainy i na własne oczy przekonał się, że to prawda. Myśl o Królowej skierowała jego uwagę na Sianę, siedzącą za innymi, jak zwykle w czasie lekcji z Najwyższą Kapłanką. Spojrzenie Caillean złagodniało, gdy odpowiedział, ale z powrotem stwardniało, gdy zobaczyła, na kim zatrzymały się jego oczy.

– A czwarta? – zapytała ostro.

Zgłosił się Tuarim, krępy, ciemnowłosy chłopak przyjęty przez druidów przed rokiem. Gawen był dla niego wzorem do naśladowania.

– Czwarta jest wyspa na bagnach, która chroni Dolinę Avalonu przed wszelkimi złymi mocami.

– Piąta to wyspa przy stawie, nad którym stoi następna wioska ludu moczarów – powiedział Ambios, siedemnastolatek, którego w najbliższym czasie czekała inicjacja i wstąpienie w szeregi druidów. Przez większość czasu trzymał się z dala od młodszych, ale

teraz najwyraźniej zdecydował, że nadszedł czas okazać swoją wyższość. – Święte źródło bije tam spod potężnego dębu, w konarach którego co roku wieszamy dary.

Gawen zerknął na Siannę, ciekaw, czemu nie zgłosiła się do odpowiedzi – ona, która prawie wszystko wiedziała od chwili, gdy tylko nauczyła się mówić. Może, pomyślał, zauważając jej spuszczone oczy i skromnie splecione dłonie, może właśnie dlatego milczy. Popisywanie się wiedzą nie byłoby uczciwe. Lekki podmuch poruszył gałęziami dębu i słońce przedarło się przez listowie, zapalając skry w jej jasnych włosach.

Nie widziałem światła rozpromieniającego tę wyspę, pomyślał, ale widzę, jak płonie teraz w tobie... W tej chwili uroda Sianny nie budziła w nim żadnych skojarzeń. Co więcej, ją samą ledwo wiązał z dziewczyną, która przekomarzała i droczyła się z nim przed laty, przed wstąpieniem do kobiecego stanu i przed zakazem przebywania w męskim towarzystwie bez przyzwotki. Jej uroda była faktem, samoistnym i oderwanym, jak wdzięk czapli, która o świcie zrywa się do lotu nad jeziorem. Ledwo usłyszał odpowiedź Diki.

– Szósta wyspa jest domem dzikiego boga wzgórz, którego Rzymianie zwą Panem. Sprowadza on szaleństwo albo ekstazę, podobnie jak rosnący tam owoc winorośli, z którego wyrabia się mocne wino.

– Siódma to wysokie wzgórze – zaczął Ambios – strażnik i brama Avalonu. Jest tam wioska Chodzącego Po Wodzie, a jego lud zawsze przewoził barkami kapłanów na Tor.

– Dobrześ to wyraził – pochwaliła Caillean. – Ci, którzy mają złożyć śluby druidom, winni wiedzieć, iż nie byli oni pierwszymi kapłanami szukającymi wiedzy na wzgórzach Tor.

Popatrzyła surowo na Ambiosa, potem na Gawena, który w odpowiedzi zwrócił na nią oczy czyste jak kryształ. Za dwa lata wypadał czas jego inicjacji, a on jeszcze nie podjął decyzji. Czynił ciągłe postępy w grze na harfie; był dość dobry, by wstąpić na służbę do jednej z brytyjskich rodzin książęcych, które złożyły hołd Rzymowi, lecz nadal ceniły stare obyczaje. Albo mógłby udać się do swego dziadka – tego drugiego – i upomnieć się o swoje rzymskie dziedzictwo. Nigdy nawet nie widział rzymskiego miasta. Słyszał, że są one brudne i hałaśliwe. Krążyły plotki, że po latach pokoju plemiona z północy znów się burzą. Ale w dni takie jak ten, kiedy senny spokój Avalonu niemal dławił, nawet perspektywa wojny była kusząca.

– Wyspa Szklana, Wyspa Brigantii, Wyspa Skrzydeł, Wyspa Bagien, Wyspa Dębu, Wyspa Pana i Strażnica. Inne ludy zwały je inaczej, lecz w naszych nazwach tkwi ich istota, jak nauczyli nas mędrzy, którzy przybyli przez morze z Zatopionych Krain. Dlaczego właśnie te wyspy, a nie inne, uważane są za święte? Przecież, jak sami możecie zobaczyć, nie są ani najwyższe, ani największe, ani najwspanialsze.

Młodzi ludzie patrzyli na nią w milczeniu. Nigdy nie przyszło im na myśl, aby o to zapytać.

Caillean już otwierała usta, gdy spod drzewa dobiegł głos Sianny.

– Wiem...

Caillean gniewnie wzniosła brwi. Sianna ruszyła w stronę wody. Mówiła ze swobodą, jakby nie zdawała sobie sprawy, że chodzi o starożytne tajemnice. Może dla niej nie były to żadne tajemnice.

– To proste, naprawdę, kiedy się wie, jak patrzeć. – Podniosła trójkątny kamyk i ustawiła go na ziemi. – Tutaj jest Inis Witrin, a tu... – wzięła mniejszy, zaokrąglony, i ułożyła go poniżej pierwszego – Wyspa Bogini. Wyspa Skrzydeł i Wyspa Dębu leżą tutaj... – Umieściła dwa kamyki, mniejszy i większy, w ten sposób, aby z poprzednimi tworzyły lekko pochyły czworobok. – Następnie mamy Wyspę Pana i Wyspę Bagien... – Kolejne kamyki, maleńki i spiczasty, położyła blisko siebie na lewo i w górę od Wyspy Skrzydeł. – I Wrota... – Dodała większy, jeszcze dalej na lewo.

Zapominając o Caillean, młodzieńcy i dziewczęta zgromadzili się wokół Sianny. Gawen przyznał, że układ wysp może w ten sposób wyglądać z powietrza, ale co to oznaczało?

– Nie rozumiecie? – zdumiała się Sianna. – Pomyślcie o nocy, kiedy stary Rhys kazał wam patrzeć w gwiazdy. – Gawen uśmiechnął się na to wspomnienie: dziewczęta po jednej stronie wzgórza, chłopcy po drugiej.

– To Niedźwiedzica! – zawołała Dica. – Wzgórza tworzą wzór taki sam, jak gwiazdy w Wielkiej Niedźwiedzicy!

Inni pokiwali głowami, również dostrzegając podobieństwo. Potem wszyscy odwrócili się do Caillean.

– Ale co to oznacza? – zapytał Ambios.

– Więc jednak pragniecie wiedzy? – zapytała drwiąco Najwyższa Kapłanka.

Sianna zarumieniła się, wyczuwając przyganę w jej głosie, choć nie rozumiała, dlaczego została skarcona. W Gawenie wezbrała złość na Caillean.

– Ogon Wielkiej Niedźwiedzicy wskazuje na jej Dozorcę, najjaśniejszą gwiazdę na północnym niebie. Gwiazda, której odpowiada nasz Tor, jaśnieje pośrodku nieba. Oto, co zobaczyli na niebie starożytni mędrcy. Wzniesli świątynie na ziemi, żebyśmy nie zapomnieli czcić Mocy, która chroni tę krainę.

Gawen wyczuwał na sobie jej spojrzenie, ale nie odrywał oczu od bagnisk. Nagle przeniknął go chłód.

Kiedy Najwyższa Kapłanka zwolniła ich, zwlekał z odejściem i przystanął w cieniu wierzby w nadziei, że uda mu się zamienić słowo z Sianną.

– Nie próbuj jeszcze raz przejmować mojej roli! – przemówiła ostro Caillean.

Gawen zerknął przez liście. Sianna z zakłopotaną miną patrzyła na starszą kobietę.

– Przecież pytałaś...

– Stawiam pytania, aby ich zmusić do zastanowienia się nad tajemnicami nieba, nie dla dziecięcych igraszek!

– Zapytałaś, więc odpowiedziałam – mruknęła Sianna, wbijając oczy w ziemię. – Czemu przyjąłś mnie na naukę, skoro nie doceniasz tego, czym mogę podzielić się z innymi?

– Ty już w chwili przybycia do Avalonu miałas większy zasób prาดawnej wiedzy niż większość tych, którzy składają końcowe śluby. Możesz osiągnąć dużo więcej od nich... – Caillean urwała, jakby powiedziała więcej, niż zamierzała. – Muszę nauczyć cię rzeczy, których nie wiesz! – dodała karcąco. Potem odwróciła się i odeszła.

Kiedy kapłanka zniknęła, Gawen wysunął się z kryjówki i otoczył ramieniem dziewczynę, która zanosila się bezgłośnym szlochem. Targała nim złość i współczucie, ale ginęły one pod tymi uczuciami, które zrodził kontakt z jej delikatną skórą i słodka woń jej jasnych włosów.

– Dlaczego? – zawołała, kiedy znów mogła mówić. – Dlaczego ona mnie nie lubi? A jeśli nie chce mnie tutaj, czemu mnie nie odprawi?

– Ja chcę, żebyś tu była! – zapewnił ją z żarem. – Nie zważaj na Caillean... Ona ma wiele zmartwień i czasami bywa bardziej szorstka, niż jest w rzeczywistości. Postaraj się jej unikać.

– Spróbuję, ale to małe miejsce i nie zawsze mogę schodzić jej z drogi. – Sianna westchnęła i poklepała jego rękę. – Mimo wszystko, dziękuję. Bez twojej przyjaźni uciekłabym, nie bacząc na to, co powiedziałyby moja matka!

– Za rok czy dwa złożysz śluby kapłanki – pocieszył ją. – Wtedy będzie musiała uszanować cię jako osobę dorosłą.

– A ty zakończysz pierwszy etap druidycznego szkolenia... – Przez długą chwilę trzymała jego rękę. Jej dłonie, z początku zimne, teraz promieniowały ciepłem. Nagle przypomniał sobie tę drugą inicjację, która wiązała się z dojrzałością, i z jej rumieńca odgadnął, że ona też o tym pomyślała. Szybko odsunęła się od niego.

Tej nocy, gdy wrócił myślami do wydarzeń dnia, zrozumiał, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń i że związało ich nie wypowiedziane przyrzeczenie.

Minął rok, potem nadeszła kolejna zima, tak wilgotna, że cała Dolina Avalonu przemieniła się w błotniste jezioro. Woda wezbrała tak bardzo, że fale chlupotały tuż pod podłogami stojących na palach domostw ludzi bagien. Gawen, w drodze z wizytą do ojca Józefa, zdusił przekleństwo, gdy pośliznął się i z trudem zachował równowagę. Przechodził mutację i już nie śpiewał tak często podczas chrześcijańskich uroczystości. Nie zaprzestał jednak odwiedzin, gdyż ojciec Józef w młodości dużo podróżował i znał nie tylko żydowską tradycję muzyczną, ale teorie filozofów greckich i obaj znajdowali przyjemność w porównywaniu ich z naukami druidów. Kiedy tym razem wszedł do kościołka, nie zastał ojca Józefa.

– Modli się w swojej chacie – wyjaśnił brat Paulus. Jego pociągła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej w wyrazie dezaprobaty. – Bóg zesłał nań gorączkę, aby umartwić ciało, atoli rychło zostanie oczyszczony przez modły i poszczenie.

– Mogę się z nim zobaczyć? – zapytał Gawen; narastający niepokój ścisnął go za gardło.

– Nie trzeba mu nic od poganina – rzekł mnich. – Przyjdź do niego jako syn w Chrystusie, a zostaniesz powitany.

Gawen potrząsnął głową. Skoro ojciec Józef nie upierał się, by nawrócić go na nazarejczyka, z pewnością nie uda się to bratu Paulusowi.

– Mniemam, że nie zechcesz przekazać mu błogosławieństwa poganina – wycedził – mam jednak nadzieję, iż znajdziesz dość współczucia, aby powiedzieć mu, że z przykrością dowiedziałem się o jego chorobie i że ślę mu wyrazy miłości.

Po ciężkiej zimie wszyscy mieszkańcy Avalonu byli wychudzeni, ale jedynie przymieranie głodem mogłoby zahamować wzrost chłopca w wieku Gawena, myślała Caillean, patrząc na niego w czasie obrzędów odprawianych w dzień Nastania Wiosny. Miał siedemnaście lat, był wysoki, jak rodzina jego matki. Włosy, po zimie bez słońca, pociemniały mu na rzymski brąz. Wyraźnie zarysowana szczęka, kształt nosa i podbródka nadawały jego rysom jakąś orlą cechę. Fizycznie Gawen był mężczyzną, przystojnym mężczyzną, choć chyba jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Grał na harfie w czasie ceremonii, jego długie palce zdecydowanie pomykały po strunach. Oczy miał czujne, jakby się bał, że robi coś złego.

Czy to cecha jego wieku, zastanawiała się kapłanka, czy też ja wyrządziłam mu krzywdę, wymagając od niego zbyt wiele?

Po uroczystości przywołała go do siebie.

– Wyrosłeś – zagadnęła. Niespodzianie ogarnęło ją zakłopotanie, gdy spojrzała w jego czyste oczy. – Nabrałeś wielkiej wprawy w grze na harfie. Czy nadal uczysz się muzyki u ojca Józefa?

Gawen przecząco pokręcił głową.

– Zapadł na zdrowiu krótko po zimowym przesileniu. Byłem tam kilka razy, ale nie wpuścili mnie do środka. Powiedzieli, że już wcale nie wstaje z posłania.

– Mnie nie odmówią! – zawołała. – Ja pójdę, a ty będziesz mi towarzyszył.

– Dlaczego nie powiedziałeś, że ojciec Józef niedomaga? – zapytała, gdy schodzili ze wzgórza.

– Jesteś taka zajęta... – Urwał, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. – Myślałem, że wiesz.

Caillean westchnęła.

– Wybacz, przelewanie na ciebie moich strapień nie jest uczciwe. Ani obwinianie cię za to, że mówisz mi prawdę... Niekiedy wydaje się, że przez cały dzień ktoś domaga się mojej uwagi, ale mam nadzieję, że zawsze znajdę czas dla tych, którzy są w prawdziwej potrzebie. Wiem, minęło wiele dni od naszej ostatniej rozmowy, i teraz zbliża się pora złożenia ślubów druidycznych. Czas tak szybko płynie!

Minęli okrągłą chatę, wzniesioną dla kapłanek strzegących Studni Krwi, i sad, który tam zasadziły, szli teraz ścieżką wzdłuż grzbietu. Wokół chrześcijańskiej kaplicy skupiały się,

niczym kurczęta wokół kwoki, mniejsze chatki zakonników. Kościółek miał jeden okap nad drugim, przez co sprawiał wrażenie piętrowego. Młody mnich, zmiatający liście naniesione na ścieżkę przez nocny wiatr, przerwał zajęcie i wyszedł im na spotkanie.

– Przyniosłam nieco suszonych owoców i słodkich placzków dla ojca Józefa. – Caillean wskazała na koszyk. – Zechcesz mnie do niego zaprowadzić?

– Ojcu Paulusowi może się to nie spodobać... – zaczął mnich, potem jednak potrząsnął głowę. – Nieważne. Może twoje przysmaki skuszą ojca Józefa, który nie chce już przyjmować naszej prostej strawy. Jeśli zdołasz nakłonić go do jedzenia, zyskasz naszą wdzięczność, gdyż od święta narodzin Chrystusa zjada tyle, co ptaszek.

Poprowadził ich do jednej z okrągłych chatek, która tylko tym różniła się od innych, że wiodącą do niej ścieżynkę obrzeżały pobiałkowane kamienie. Odsunął na bok skórę przysłaniającą wejście.

– Ojczy, przyszła do ciebie Pani Avalonu. Zechcesz ją przyjąć?

Caillean zamrugła, próbując przyzwyczaić oczy do mroku po blasku wiosennego dnia. Ojciec Józef leżał na sienniku na podłodze, obok niego migotał ogarek. Drugi mnich wsunął mu pod plecy poduszki i przyniósł trójnożny zydelek dla Caillean.

Naprawdę wygląda jak ptak, pomyślała kapłanka, sięgając po rękę starca. Wychudłe piersi ledwo się poruszały; życie płonęło tylko w zapadniętych oczach.

– Stary przyjacielu! – szepnęła. – Jak się miewasz?

Coś, co mogło być śmiechem, zaszemrało w powietrzu.

– Zapewne ty, Pani, sama możesz zobaczyć! – Ojciec Józef wyczytał w jej oczach nie wyrzeczone słowa i uśmiechnął się łagodnie. – Czyżby członkowie waszego zakonu nie poznawali, kiedy nadchodzi ich pora? Moja wkrótce nadejdzie, i jestem kontent. Znów spotkam się z moim Mistrzem... – Zamilkł na chwilę, uśmiechając się do wspomnień.

Potem westchnął i jego oczy zatrzymały się na Caillean.

– Ale będzie mi brakowało naszych pogwarek. Chyba że starzec na łożu śmierci zdoła nakłonić cię do przyjęcia Chrystusa. Wtedy znów się spotkamy na końcu wszech rzeczy.

– Mnie też będzie brakowało rozmów z tobą – zapewniła Caillean, mruganiem odpędzając łzy. – I może w drugim życiu podążę twoją drogą. W tym jednak już złożyłam śluby.

– Prawda jest taka, że człek nie zna swojej drogi, nim nie dotrze do jej końca... – wyszeptał ojciec Józef. – Kiedy moje życie się odmieniło, nie byłem dużo młodszy od ciebie... Z przyjemnością opowiem ci tę historię, jeśli zapragniesz wysłuchać.

Caillean z uśmiechem ujęła jego wyciągniętą rękę. Była taka krucha, światło zdawało się przenikać przez nią na wskroś. Wiedziała, że Eiluned i Riannon będą wyczekiwały jej powrotu, aby pomówiła z dziewczętami, które starały się o przyjęcie do wspólnoty. Mogły poczekać. Od ludzi opowiadających o swoim dojściu do światła zawsze można było nauczyć się czegoś nowego, a ojcu Józefowi zostało niewiele czasu.

– Byłem kupcem z Judei, z miasta Arymatei, we wschodniej części cesarstwa. Moje okręty pływały wszędzie, nawet do Dumnonii, by wymieniać towary za cynę, i stałem się człowiekiem zamożnym. – Jego głos stopniowo nabierał siły. – W owych czasach nigdy nie wykraczałem myślami poza dzienne rachunki, a jeśli w snach niekiedy przypominałem sobie krainę, która teraz kryje się pod falami, i tęskniłem do jej mądrości, to zapominałem o wszystkim o świecie. Przy moim stole gościli sławni ludzie wszelkich rzemiosł, kiedy więc zaczęto mówić głośno o nowym nauczycielu z Galilei, zwanym Jeszua, jego też zaprosiłem.

– Czy wiedziałeś wtedy, że był on jednym z Synów Światła? – zapytała Caillean.

Bogowie zawsze przemawiali, w drzewie i we wzgórzu, i w milczeniu ludzkich serc, ale było powiedziane, że w każdym stuleciu wysyłają Oświeconego, by mówił do świata ludzkim głosem. Wiedziała jednak, iż mogą go usłyszeć jedynie nieliczni.

Ojciec Józef potrząsnął głową.

– Słuchałem słów Mistrza i znalazłem Go uprzejmym, ale nie znałem Go dobrze. Stare nauki nadal były przede mną ukryte. Widziałem jednak, że On niesie ludziom nadzieję, i nie skąpiłem grosza, kiedy Jego wyznawcy byli w potrzebie, i pozwalałem im świętować ucztę paschalną w domu, który należał do mnie. Byłem daleko od Jerozolimy, gdy On został pojmany. Nim wróciłem, już konał na krzyżu. Udałem się na górę kaźni, słyszałem bowiem, że jest tam Jego matka, i pragnąłem zaoferować jej pomoc.

Zamilkł, rozpamiętując, a w jego oczach rozbłysły łzy. Gawen, pojmując siłę uczucia bez rozumienia jego znaczenia, przerwał milczenie.

– Jaka ona była... jego matka?

Józef popatrzył na chłopca.

– Jak twoja bogini, kiedy w czasie żniw oplakuje śmierć boga. Była młoda i stara, słaba i twarda jak kamień. Zobaczyłem jej łzy i jałem przypominać sobie swoje sny. A potem stanąłem u stóp krzyża i spojrzałem na jej Syna.

Męka wyzwoliła go z ludzkiej powłoki. Wiedza o Jego prawdziwej naturze przychodziła i odchodziła – niekiedy krzyczał w rozpacz, a po chwili pocieszał tych, którzy trwali na dole. Kiedy popatrzył na mnie, oślepiło mnie Jego Światło, i w owej chwili przypomniałem sobie, kim sam byłem, w przeszłych czasach, i wspomniałem składane przyrzeczenia. – Starzec odetchnął głęboko. Był wyraźnie zmęczony, lecz nikt nie śmiałby zakazać mu mówienia.

– Mówili, że ziemia zatrzęsa się, gdy oddał ducha. Nie wiem, gdyż sam drżałem do trzewi. Później, kiedy przeszli go włócznią, ale upewnić się, że nie żyje, zebrałem nieco Jego krwi do flaszki, którą miałem przy sobie. I skorzystałem z wpływów, jakimi cieszyłem się wśród Rzymian, aby zabrać Jego ciało i złożyć je w grobie mojej rodziny.

– Ale on tam nie został... – wtrącił Gawen.

Caillean spojrzała na niego, licząc w myślach, od jak dawna uczy się muzyki u nazarejczyków. Musiał poznać również ich legendy.



– Nigdy Go tam nie było – rzekł ojciec Józef z nikłym uśmiechem. – Tylko ciało, które nosił... Mistrz przywdział je jeszcze raz, aby ukazać moc ducha tym, którzy sądzą, iż życie ciała jest wszystkim. Ja nie potrzebowałem Go oglądać. Ja wiedziałem.

– A dlaczego przybyłeś tutaj, do Brytanii? – zapytał Gawen.

W spojrzeniu Józefa zagościł smutek; teraz mówił dużo wolniej.

– Wyznawcy pozostawieni przez Mistrza zaczęli walczyć między sobą o przywództwo i o to, kto powinien interpretować Jego słowa. Nie chcieli mnie słuchać, a ja nie chciałem włączyć się w ich spory... Przypomniałem sobie wówczas ten zielony kraj za falami, gdzie żyli ci, którzy nadal w pewien sposób wyznawali pradawną mądrość... I tak tutaj znalazłem schronienie, a druidzi powitali mnie jak brata, który szuka Prawdy ukrytej za wszystkimi tajemnicami.

Zakaszłał i zamknął oczy, z trudem chwytając powietrze. Caillean wymruczała coś płynnie, pragnąc podzielić się z nim własną energią przez złączone dłonie.

– Nic nie mów – poprosiła, gdy otworzył usta i znowu zaniósł się kaszlem.

– Muszę... ci... rzec... – Zmusił się do głębszego oddechu i uspokoił się powoli, choć był wyraźnie słabszy. – Flakon ze świętą krwią...

– Czy nie mają jej w opiece twoi bracia?

Pokręcił głową.

– Jego matka kazała... krwi musi strzec kobieta. Przywiązałem flakon do starego pierścienia, w niszy... w świętej studni.

Caillean szeroko rozwarła powieki. Bogata w żelazo studzienna woda, choć była zimna i czysta jak lód, zostawiała rdzawe niczym krew plamy. Mędrzy zamierzchłej przeszłości wzniesli wokół studni domek wyciosany z jednego wielkiego kamienia. Tyle było widać i tyle było wiadomo każdemu. Istnienie wnęki w cembrowinie, dość wysokiej, by ukryć człowieka, było sekretem znanym tylko wtajemniczonym. Odpowiednie miejsce do ukrycia krwi ofiary, pomyślała wówczas, niewątpliwie używane do tego celu w starożytnych czasach.

– Rozumiem... – powiedziała powoli – i będę strzegła jej dobrze...

– Ach... – Ojciec Józef poprawił się na posłaniu. Jej obietnica sprawiła mu ulgę. – A ty... – popatrzył na Gawena – zechcesz przyłączyć się do mojego bractwa i związać starą mądrość z nową?

Chłopak wyprostował się, otworzył oczy jak przestraszony jeleń. Przez chwilę patrzył na Caillean – nie trwożliwie, jak się spodziewała, ale niezdecydowanie. Kapłanka zamrugała. Czyżby chłopiec chciał przystać do nazarejczyków?

– Dziecko, dziecko – mruknął Józef, pełen zrozumienia. – Nie chciałem naciskać. Kiedy nadejdzie właściwy czas, dokonasz wyboru...

Setki odpowiedzi tłoczyły się w myślach Caillean, ale zachowała milczenie, gdyż nie chciała dyskutować o religii z człowiekiem bliskim śmierci. Nie sądziła, by jałowa

egzystencja mnicha była tym, czego bogowie chcieli dla dziecka przez samą Panią Czarownego Ludu nazwanego „Synem Setki Królów”.

Ojciec Józef przymknął oczy. Caillean poczuła, że zapada w sen, i puściła jego rękę.

Kiedy wyszli z chatki, rozejrzała się w poszukiwaniu brata, który ich przyprowadził. Zamiast niego czekał ojciec Paulus; Caillean poznała, że tylko szacunek dla umierającego powstrzymuje go od wybuchu.

Jego spojrzenie złagodniało nieco, gdy za jej plecami pojawił się Gawen.

– Brat Alanus napisał nowy hymn. Przyjdiesz jutro, kiedy będziemy się go uczyć?

Gawen skinął głową, a Paulus oddalił się sztywno. Wystrzępiony dół szarego habitu zasyczał na kamieniach.

W następne dni po wizycie u ojca Józefa Gawen czekał w strachu na wieści o jego śmierci. Zdumiewające, wiadomość nie nadchodziła. Ojciec Józef walczył, a gdy nadeszło święto Beltane, inne sprawy zaprzętnęły jego myśli. Wraz z dwoma chłopcami przygotowywał się do inicjacji, która miała odbyć się w przeddzień festiwalu, i ogarniał go lęk.

Nie wiedział, jak wyrazić swoje uczucia. Nikt nigdy nie zapytał go, czy chce zostać druidem; wszyscy po prostu przyjęli, że tak jest, bo zakończył pierwszy etap szkolenia. Tylko ojciec Józef zasugerował, że może dokonać wyboru, lecz choć Gawen podziwiał czystość poświęcenia nazarejczyków i doszukał się wiele dobrego w ich naukach, żywot mnichów wydawał się jeszcze uboższy od tego, jaki wiedli druidzi na Torze. Oni przynajmniej nie byli całkowicie odcięci od kobiet.

Wspólnota Avalonu odziedziczyła tradycje Leśnego Domu, ale Caillean nie zmuszała nikogo do przestrzegania tych praw, które utrwaliły się przez wzgląd na wierzenia rzymskie. Kapłani i kapłanki Toru żyli w czystości, wszelako prawo to przestawało obowiązywać w święto Beltane i noc letniego przesilenia, kiedy z połączenia mężczyzny i kobiety rodziła się moc dająca życie krajowi. W tych rytuałach mogli jednak uczestniczyć tylko ci, którzy złożyli śluby.

Sianna została kapłanką minionej jesieni. Cekał ją udział w pierwszym święcie Beltane. W snach Gawen widział jej ciało skapane w blasku świętych ogni i budził się z jękiem, zakłopotany jednoznaczną reakcją własnego ciała.

W okresie przed rozbudzeniem cielesnych potrzeb, które tak bardzo go rozpraszały, chciał poznać mądrość czekającą druidów u krańca obranej przez nich drogi. Teraz ledwo pamiętał to czyste pragnienie. Nazarejczycy twierdzili, że położenie się z kobietą jest najczarniejszym grzechem. Czy bogowie ukarzą go za bezbożność, jeśli do złożenia druidycznych przysięg skłoni go tylko narastające pożądanie? Powtarzał sobie, że kieruje nim nie tylko żądza; z pewnością uczucie, jakim darzył Sianne, było miłością. Od czasu jej

wtajemniczenia nie przebywał z nią sam na sam. Co ona czuła? Czy przyjaźń, jaką mu zawsze okazywała, była tylko siostrzanym uczuciem, czy też czymś więcej?

Targały nim sprzeczne emocje, gdy patrzył nad moczarami ku odległej linii wzgórz. Czuł się jak ptak, który wyziera na świat przez pręty klatki. Z pewnością, pomyślał, stawanie się mężczyzną w rzymskich krajach jest dużo prostsze. Jakie byłoby jego życie, gdyby został przygarnięty nie przez Cailleana, a przez dziadka, Macelliusza? Czasami spokój Avalonu był dlań więzieniem, a widok tych samych twarzy nużył go do tego stopnia, że miał ochotę krzyczeć. Rzymianin natomiast był obywatelem całego świata.

Gawen pomyślał, że gdyby odszedł do Macelliusza, mógłby zostać żołnierzem jak ojciec. Żołnierze musieli tylko wykonywać rozkazy, nikt nie wymagał od nich podejmowania decyzji. Czasami wydawało mu się to bardzo pociągające. Kiedy indziej miał wrażenie, że każda napotkana osoba próbuje wydawać mu rozkazy, co rusz to inne, i wtedy jedynym, czego pragnął, była wolność.

Pewnego ranka przyłączył się do procesji witającej wschodzące słońce i usłyszał płynący z dołu lament. Jeszcze zanim zobaczył mnichów bezradnych jak zbłąkane dzieci, wiedział co się stało.

– Niestety – rzekł brat Alanus. Smugi łez znaczyły jego blade policzki. – Nasz ojciec Józef odszedł. Kiedy dziś rankiem Paulus wszedł do jego chaty, był już sztywny i zimny. Nie powinienem płakać, gdyż wiem, że jest teraz z naszym Mistrzem w niebie. Szkoda tylko, że odszedł sam, w ciemności, bez pociechy, którą mógłby mu przynieść widok jego synów, i jeszcze większa szkoda, że nie zostawił nam słowa pożegnania. Nawet gdy zmoęła go choroba, sama jego obecność napawała nas otuchą. Był naszym ojcem. Nie wiem, co teraz poczniemy!

Gawen pokiwał głową. Coś ścisnęło go w gardle, gdy wspomniał to dziwne popołudnie, kiedy starzec opowiedział im o swoim przybyciu do Avalonu. Nie widział Światła, o którym wspominał, ale dostrzegł jego odbicie w oczach starca i nie sądził, by ojciec Józef umierał samotnie.

– Był także moim ojcem. Muszę wrócić na wzgórze i zawiadomić druidów. – Ale myślał o Caillean, gdy spieszył w górę ścieżki.

Po południu Pani Avalonu zeszła z Toru w otoczeniu druidów, aby złożyć mnichom wyrazy współczucia. Zamieszanie poranka dobiegło końca. Z okrągłego kościoła rozległ się śpiew. Procesja druidów zatrzymała się przed wejściem. Gawen sam podszedł do drzwi.

Ciało starca leżało na marach przed ołtarzem, wokół niego płonęły lampy. W powietrzu wirowały smugi kadzidła, przysyłając pograżone w mroku sylwetki mnichów. Przez chwilę Gawen widział unoszącą się ponad nimi świetlaną postać, jak gdyby aniołowie, o których opowiadał ojciec Józef, pełniłi straż nad jego ciałem. Potem, jakby świadom spojrzenia pogańskich oczu, jeden z cienistych kształtów podniósł się z klęczek. Był to ojciec Paulus.

Gawen cofnął się, gdy nazarejczyk dotarł do drzwi. Oczy Paulusa były zaczerwienione od płaczu, ale smutek nie złagodził jego rysów. Popatrzył nieprzychylnie na Caillean.

– Co tutaj robisz?

– Przyszedliśmy dzielić wasz smutek – odparła łagodnie Najwyższa Kapłanka – i oddać hołd pamięci dobrego człowieka, Józef był bowiem ojcem nas wszystkich.

– Nie był tedy tak dobrym człowiekiem, na jakiego wyglądał, ani dobrym chrześcijaninem. Gdyby tak było, wy, poganie, tańczylibyście z radości – rzekł sucho Paulus. – Ale teraz ja jestem tu przywódcą i wymuszę na swoich braciach czystszą wiarę. Moje pierwsze zarządzenie położy kres kontaktom naszych braci z waszą przekłętą wspólnotą. Odejdź, kobieto. Ani wasze współczucie, ani obecność nie jest tu mile widziana.

Gawen przesunął się odruchowo, stając między rozmawiającymi. Druidzi pomrukiwali ze złością, lecz Caillean sprawiała wrażenie zdziwionej, a nawet rozbawionej.

– Niemile widziana? Ale czy to nie my zezwoliliśmy wam na budowę kościoła w tym miejscu?

– Tak było – przyznał kwaśno ojciec Paulus – lecz ziemia ta należy nie do was, a do Boga. Nie jesteśmy nic winni czcicielom demonów i fałszywych bogów.

Caillean ze smutkiem pokręciła głową.

– Zdradasz ojca Józefa jeszcze przed pochówkiem? On mówił, że prawdziwa religia zabrania bluźnić imionami, którymi człowiek zowie swoich bogów, są one bowiem wszystkie imionami Jedyne.

Ojciec Paulus nakreślił znak krzyża.

– Co za plugastwo! Nigdy nie słyszałem, by prawili takie herezje! Odejdź, inaczej wezwę braci, aby was przepędzili! – Poczzerwieniał, bryzgi piany osiadły na jego brodzie.

Twarz Caillean wyglądała niczym wykuta z kamienia. Kapłanka skinęła na druidów. Gdy Gawen odwrócił się, aby pospieszyć za nimi, Paulus przytrzymał go za rękaw.

– Synu, nie odchodź! Ojciec Józef miłował cię – nie oddawaj swej duszy bałwochwalstwu, a ciała pohańbieniu! Tam, w tym kamiennym kręgu wezwą Wielką Wszetecznice, którą zowią Boginią. Tyś jest nazarejczykiem we wszystkim prócz imienia! Klękałeś przed ołtarzem i wznosiłeś głos w świętych hymnach pochwalnych. Zostań, Gawenie, zostań!

Gawen zastygł w bezruchu, zdumienie odebrało mu mowę. Potem zalała go fala wściekłości. Uwolnił się, przenosząc spojrzenie z Paulusa na Caillean, która wyciągnęła rękę, jakby chcąc pociągnąć go za sobą.

– Nie! – sapnął. – Nie będziecie się o mnie użerać jak psy o kość!

– No to chodź z nami – powiedziała Caillean, on jednak pokręcił głową. Nie mógł przyłączyć się do ojca Paulusa, ale słowa kapłana splamiły także drogę druidów. Jego serce rwało się do Sianny, lecz czy śmiałyby teraz jej dotknąć? Nagle niepewność i pragnienia zmieniły się w głębokie przekonanie. Tutaj nie mógł zostać.

Zaczął się cofać, krok po kroku.

– Oboje chcecie osiąść moją duszę, ale należy ona wyłącznie do mnie! Walczcie o Avalon, jeśli chcecie, mnie jednak zostawcie w spokoju! Odchodzę... – i mówiąc te słowa, podjął decyzję – aby odszukać mojego rzymskiego krewniaka!

## 5

Gawen szybko wędrował przez bagna, korzystając ze wskazówek, jakich w ciągu lat nauki nie szczędziła mu Pani Czarownej Krainy. Prawdę mówiąc, była ona jedyną osobą, która mogłaby go dogonić. Pierwszy dzień podróży spędził w strachu, że Caillean wyśle ją w pościg. Nie wiadomo, z jakiego powodu – czy Pani odmówiła, czy przybrana matka nie wpadła na pomysł, aby poprosić ją o pomoc, czy też po prostu o to nie dbała – ale z żywych istot napotkał tylko hałaśliwe ptactwo wodne, rodzinę wydr i płochliwego jelenia.

Przez siedem lat ani razu nie wyszedł poza Dolinę Avalonu, lecz jego wykształcenie obejmowało wiedzę na temat całego kraju. Znał granice terytoriów plemion Brytanii, rozmieszczenie rzymskich fortec i miast oraz mapę linii, wzdłuż których płynęła moc. Wiedział dość, by znaleźć drogę na północ, a umiejętność życia w dziczy chroniła go przed głodem. Po dwóch tygodniach wędrówki stanął u bram miasta Deva.

Gawen jeszcze nigdy nie widział tylu ludzi w jednym miejscu, na dodatek zajmujących się tyloma różnymi rzeczami. Ciągnięte przez woły wielkie fury, załadowane czerwonym piaskowcem, skrzypiały na trakcie wiodącym do fortecy za miastem. Rozebrano część wału ziemnego z palisadą i w jego miejsce stawiano mur kamienny. Nie wyczuwało się pośpiechu – kraina została podbita i już się nie buntowała – jednak było jasne, że Rzymianom zależy na zachowaniu tego stanu rzeczy.

Ta myśl przyprawiła go o drzenie. Druidzi drwili z rzymskiej troski o władzę doczesną, ale tutaj nie brakowało również ducha i forteca z czerwonego kamienia stanowiła jego sanktuarium. Już nie było odwrotu. Gawen potarł dłońmi ramiona, próbując przypomnieć sobie łacinę – nigdy nawet nie przypuszczał, że będzie musiał posługiwać się tym językiem. Za sznurem osłów obładowanych siatkami pełnymi glinianych naczyń wkroczył pod sklepieniem bramy do rzymskiego świata.

– Przypominasz ojca, a jednak jesteś obcy... – Macelliusz Sewer popatrzył na Gawena i odwrócił wzrok. Robi tak, pomyślał Gawen, od mojego przybycia, jakby nie wiedział, czy radować się, czy też wstydić, że ma wnuka. Byłem w podobnej rozterce, kiedy dowiedziałem się, kim byli moi rodzice...

– Nie spodziewałem się, że mnie uznasz – powiedział. – Mam pewne umiejętności i sam dam sobie radę.

Macelliusz wyprostował się i po raz pierwszy Gawen ujrzał w nim rzymskiego oficera, którym wszak był w przeszłości. Wiek przygarbił mu szerokie plecy i przeredził włosy do kilku białych kosmyków, lecz oszczędził jego siły i nie zaćmił mu rozsądku. Gawen cieszył się, że zastał starca w dobrym zdrowiu. Niepokojące były tylko bruzdy smutku, które ryły jego oblicze.

– Boisz się, że mogę mieć przez ciebie kłopoty? – Macelliusz potrząsnął głową. – Jestem za stary, by się tym przejmować, a poza tym wszystkie twoje przyrodnie siostry są zamężne lub zaręczone, więc twoja obecność nie wpłynie na ich przyszłość. Adopcja byłaby najprostszym sposobem nadania ci mojego nazwiska, jeśli tego pragniesz. Wprzód jednak musisz mi powiedzieć, czemu przyszedłeś do mnie po tylu latach.

Gawen zamarł, sparaliżowany ostrym spojrzeniem, które niegdyś, w czasach czynnej służby Macelliusza, niewątpliwie musiało przyprawiać o drzenie każdego rekruta. Wbił oczy w swoje zaciśnięte dłonie.

– Pani Caillean mówiła, że pytałeś o mnie... Nie okłamała cię – dodał szybko. – W chwili waszego spotkania nie wiedziała, gdzie jestem.

– A gdzie ty byłeś?

Pytanie zabrzmiało niezmiernie łagodnie i Gawen poczuł się zagrożony. Z drugiej strony, wszystkie te wydarzenia rozegrały się w przeszłości – czy wyznanie prawdy mogłoby wyrządzić mu jakąś krzywdę?

– Jedna ze starszych dziewcząt, która pomagała opiekować się dziećmi w Leśnym Domu, ukryła mnie, kiedy mój drugi dziadek, arcydruid, uwięził moją matkę i ojca. A potem, kiedy było po wszystkim, Caillean zabrała mnie do Avalonu.

– Teraz wszyscy odeszli, druidzi z Leśnego Domu... – mruknął z roztargnieniem Macelliusz. – Bendeigid, twój „drugi dziadek”, zmarł zeszłego roku. Mówią, że do końca bredził o świętych królach. Nie wiedziałem, że jacyś druidzi ostali się w południowej Brytanii... Gdzie leży ten Avalon?

Pytanie padło tak niespodzianie, że Gawen odpowiedział bez namysłu. Dopiero potem zastanowił się, po co starcowi ta informacja.

– To tylko małe miejsce – wydukał poniewczasie – dom kobiet i paru starych mężczyzn, i wspólnota nazarejczyków u stóp wzgórza.

– Rozumiem zatem, czemu taki silny młody człowiek zapragnął odejść... – Macelliusz ożywił się i Gawen nieco się rozluźnił.

– Umiesz czytać?

– Umiem czytać i pisać po łacinie, mniej więcej tak, jak mówić, o znaczy niezbyt dobrze. – Nie była to pora odpowiednia na chwalenie się, że druidzi nauczyli go zapamiętywać ogromne ilości wiedzy. – Potrafię grać na harfie. Najlepiej jednak – zaznaczył, wspominając nauki Pani Czarownicy Krainy – radzę sobie w lesie na łowach.

– Tak przypuszczałem. Masz użyteczne podstawy. Macelliusze zawsze służyli w wojsku – dodał starzec z niespodziewanym zakłopotaniem. – Chciałbyś zostać żołnierzem?

Dostrzegając zachętę w jego oczach, Gawen zdobył się na uśmiech. Ledwie pół miesiąca temu, pomyślał, miałem zostać druidem-kapłanem. Wstąpienie do wojska oznaczałoby całkowite wyparcie się tej części spuścizny.

Macelliusz kontynuował:

– Znalazłbym ci odpowiednie miejsce. To ciekawe życie, a inteligentny człowiek może wybić się z szeregów i osiągnąć stanowisko gwarantujące mu władzę. Naturalnie, awans nie jest łatwy w tak spokojnym kraju, jakim stała się Brytania, lecz być może po zdobyciu doświadczenia zostałbyś wysłany gdzieś na pogranicze. No, tymczasem sprawdźmy, czy nie da się czegoś zrobić, abyś mówił jak Rzymianin.

Gawen przytaknął, a dziadek odpowiedział uśmiechem.

Następny miesiąc spędzili razem. Gawen w ciągu dnia towarzyszył Macelliuszowi w przechadzkach po mieście, a wieczorami czytał mu na głos wyjątki z mów Cycerona albo z relacji Tacyta z wojen Agrykoli. Urzędnicy z grubsza zaznajomili się ze sprawą adopcji, a Gawen odebrał pierwszą lekcję zakładania togi, stroju, przy którym szaty druidów zdawały się wzorami prostoty.

Był zafascynowany światem Rzymian i tylko we śnie jego duch tęsknił za Avalonem. W snach widział Cailleán uczącą dziewczęta. Nowe zmarszczki pobruździły jej czoło; od czasu do czasu spoglądała ku północy. Chciał powiedzieć jej, że ma się dobrze, ale po przebudzeniu wiedział, iż nie ma sposobu na przesłanie wieści bez narażenia Avalonu.

W przeddzień święta Beltane zapadł w niespokojną drzemkę, w której zobaczył Tor skąpany w blasku świętych ogni. Nie mógł jednak dostrzec Sianny. Jego duch zataczał coraz szersze kręgi, kolebiąc się jak namagnesowana sztabka. Nie było jej na Torze; znalazł ją wreszcie na kamiennej ławie przy świętej studni.

*Bez ciebie nie mam ochoty na tańce wokół ogni. Dlaczego mnie zostawiłeś? Nie kochasz mnie?* – zapytała ze smutkiem.

*Kocham cię, zapewnił, ale wszyscy służą Panu i Pani w święto Beltane.*

*Z wyjątkiem dziewczyny, która strzeże studni, rzekła z odrobiną gorzkiej dumy. Ojciec Paulus rządzi teraz nazarejczykami i nie zezwala im na kontakty z Avalonem. Jednak mnisi nie mają swoich świętych kobiet i nawet on nie może sprzeciwić się woli ojca Józefa, tak więc święte źródło jest strzeżone przez dziewczynę z Avalonu. Pełniąc tę służbę, mogę zachować dziewictwo i czekać na ciebie... Uśmiechnęła się do siebie. Jeśli nie zapamiętasz nic innego z tego snu, niech twoje serce zapamięta moją miłość...*

Gawen przebudził się z policzkami mokrymi od łez. Tęsknił do Sianny, lecz nie mógł nic poradzić. Odciał się od druidów, a do niej mógłby się zbliżyć wyłącznie jako kapłan.

Mniej więcej w czasie letniego przesilenia Rzymianie obchodzili święto Jupitera. Macelliusz, jako magistratus, brał udział w organizowaniu uroczystości i ponosił część kosztów. Siedział z innymi wielmożami na podeście, który wznosił się przy arenie, z Gawenem u boku. Pewnego dnia, oznajmił z dumą, zbudują prawdziwy cyrk i ojcowie miasta będą oglądać igrzyska z łoży, jak cesarz w Rzymie.

Gawen pokiwał głową. Władął łaciną coraz swobodniej i nie robił już tylu błędów, choć zachował brytyjską wymowę. Nadal jednak musiał pomyśleć, zanim cokolwiek powiedział, i mimo długich ćwiczeń z pismami Tacyta i Cyncerona nie potrafił przyłączyć się do pogaduszek innych młodych ludzi, którzy tego dnia towarzyszyli swoim ojcom.

W większości byli oni dużo młodszy. Poznawał tych, którzy nie znali go i zastanawiali się, dlaczego w tym wieku jeszcze nie służy w wojsku, i tych, którzy już o nim słyszeli i informowali pozostałych o półkrwi bękarcie, niespodziewanie adoptowanym przez Macelliusza. Zaśmiewali się, sądząc, że nikt ich nie słyszy, ale wyszkolone w lesie uszy Gawena wychwytywały drwiące słowa.

Nie szukałby wśród nich przyjaciół, nawet gdyby nim nie pogardzali. Nie rozumiał większości ich żartów, a tych, które zrozumiał, nie uważał za śmieszne. Wybrał Rzym, lecz przecież nie mógł wyprzeć się ludu Brytanii, z którego pochodził.

Obserwował gladiatorów, którzy walczyli na arenie. Podziwiał ich zręczność i żałował poległych. Nie pasuję tutaj... – pomyślał zmartwiony – tak samo, jak nie pasowałem do Avalonu. Nie powinienem był się narodzić!

Dobrze, że druidzi nauczyli go panowania nad sobą i uczuciami. Kiedy wrócili do domu, Macelliusz, zadowolony z udanej uroczystości, nie domyślił się jego rozpaczliwego nastroju. Promieniał, rozwodząc się nad wydarzeniami dnia.

– Oto, mój chłopcze, jak powinno wyglądać święto! Minie dużo czasu, nim Juniusz Waro albo inny z podobnych mu pyszałków zdoła dorównać w przygotowaniu mi tego dnia. – Przegarnął leżący na stole stos zwojów z wiadomościami, zatrzymał się przy jednym. Rozwinął rulon. – Cieszę się, że byłeś tam, młodzieńcze, i widziałeś...

Gawen, który z westchnieniem uwalniał się z duszących fałdów togi, poderwał głowę, słysząc zmianę w jego tonie.

– O co chodzi? – zapytał.

– Dobre wieści; ufam, że i ty uznasz je za takie. Znalazłem ci miejsce w wojsku. Wiadomość przybyła, gdy bawiliśmy na igrzyskach. Masz zameldować się w dziewiątym legionie, zwanym hiszpańskim, w Eburacum.

Legion! Teraz, gdy do tego doszło, Gawen nie wiedział, czy bać się, czy cieszyć. Wreszcie znajdzie się z dala od tych aroganckich gołowąsów, którzy z niego drwili, a poza tym być może wojskowe życie oderwie jego myśli od Avalonu.



– Ach, chłopcze, to właściwe rozwiązanie – wszyscy Macelliusze są żołnierzami – ale tylko bogowie wiedzą, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało! – Na twarzy Macelliusza wyraźnie malowało się wzruszenie. Wyciągnął ręce.

Gdy Gawen znalazł się w jego ramionach, z kłębowiska myśli wybiła się jedna – on też będzie tęsknił za starcem.

Rzymskie określenie armii pochodziło od określenia ćwiczeń, *exercitio*, i jak Gawen stwierdził w ciągu pierwszych dni służby, najwyraźniej właśnie temu oddawali się wszyscy po wstąpieniu w jej szeregi. Rekruci byli młodzi, wybrani ze względu na przemyślność i kondycję fizyczną, ale pokonywanie dwudziestu mil rzymskich w ciągu pięciu godzin w pełnym rynsztunku wymagało nie lada siły i wytrwałości. Kiedy nie maszerowali, ćwiczyli walkę wręcz w podwójnie obciążonej zbroi, mieczem lub pilum, albo musztrę, albo wznoszenie tymczasowych fortyfikacji.

Gawen zdawał sobie sprawę, że tereny otaczające Eburacum są bardziej surowe niż wzgórza, wśród których się wychował, lecz źródłem tej wiedzy były nie tyle zalewane potem oczy, ile poobcierane stopy i obolałe uda. Rekruci nieczęsto widywali zawodowych żołnierzy; zdarzało się, że ten i ów spalony na brąz weteran szydził na widok posuwającego się truchtem zmordowanego szeregu. Choć obozowe życie było niezwykle ciężkie, Gawen wytrzymywał więcej niż inni rekruci. Druidyczny trening dał mu opanowanie pozwalające znieść surową dyscyplinę armii, podczas gdy chłopcy z wysokich rodów rzymskich załamywali się i byli odsyłani do domów.

W miarę postępów wojskowej edukacji, rekruci otrzymywali dzień wolnego, mogli wówczas odpocząć, uporządkować odzież i podreperować uzbrojenie a nawet udać się do miasta, które wyrastało za murami fortecy. Brzmienie śpiewnej brytyjskiej mowy po wielu tygodniach spędzonych w łacińskim obozie było wstrząsem, przypomnieniem, że nadal jest Gawenem, a „Gajusz Macelliusz Sewer” to tylko przybrane imiona. Mimo to brytyjscy właściciele kramów i poganiacze mułów, którzy gawędzili tak swobodnie w jego obecności, nigdy by nie odgadli, że ten wysoki młodzian o rzymskich rysach, w legionowej tunice, rozumie każde ich słowo.

Na rynku w Eburacum panował rozgardiasz związany z ożywionym handlem. Tutejsi wieśniacy ciągnęli sznurem do miasta, aby sprzedać płody ziemi, a przekupnie zachwalali towary ze wszystkich części cesarstwa. Brakowało młodych ludzi z plemienia Brigantów, którzy zwykle przychodzili pogapić się na żołnierzy, i to budziło podejrzenia. Szeptano pokątnie o powstaniu, spekulowano o przymierzu z północnymi plemionami.

Gawen był zaniepokojony, ale zachował milczenie, plotki bowiem krążące po samej fortecy były dużo gorsze od tych, które usłyszał poza jej murami. Kwintus Makrynusz Donat, ich *legatus legionis*, zawdzięczał stanowisko patronatowi kuzyna-gubernatora, a senackiego trybuna, jego zastępcę, uważano powszechnie za bezmyślną kukłę, która nie powinna była

opuszczać Rzymu. Normalnie nikt nie przywiązywałby do tego wagi, ale choć sam Lucjusz Rufin, centurion dowodzący rekrutami, był przyzwoitym człowiekiem, pogłoski mówiły, że dowódcy poszczególnych kohort są ludźmi nad miarę okrutnymi i złośliwymi. Gawen przypuszczał, że tylko z powodu rzeczonyj przyzwoitości Rufin przyjął na siebie niewdzięczny obowiązek przekształcenia bandy wiejskich wyrostków w zbrojny kręgosłup cesarstwa.

– Jeszcze tylko tydzień do wyjścia – powiedział Ariusz, podając warząchew Gawenowi. Pod koniec lata nawet na północy Brytanii było ciepło i po porannym marszu woda ze studni, przy której się zatrzymali, smakowała lepiej od wina. Studnię tworzyło ledwie parę kamieni ułożonych wokół źródła, które sączyło się z dziury na zboczu. Ponad nimi droga wiała się przez wrzosowisko, które kwitło purpurą wśród suchej trawy. Poniżej teren opadał ku płątaninie pól i pastwisk, otulonych sierpniową mgiełką.

– Z radością złożę przysięgę – mówił Ariusz. – Po tych blachach normalna zbroją będzie lekka jak letnia tunika, a poza tym mam dość słuchania, jak regularni gwizdzą na nasz widok.

Gawen wytarł usta i przekazał warząchew druhowi. Ariusz pochodził z Londinium; był żyłasty, żwawy i nadzwyczaj towarzyski. Dla Gawena, niewprawnego w nawiązywaniu przyjaźni, stanowił istny dar bogów.

– Ciekawe, czy zostaniemy przydzieleni do tej samej kohorty. – Gdy zbliżał się koniec szkolenia, Gawen zaczynał martwić się o to, co będzie dalej. Jeśli opowieści, jakie starsi wojacy snuli im w zamian za wino, nie były wyssane z palca, życie w wojsku mogło być gorsze od szkolenia. Ale nie to budziło jego obawy.

Przez połowę życia przygotowywał się, że zostanie druidem, a potem uciekł. Czy jedno lato naprawdę przekonało go do złożenia przysięgi, która może i jest mniej święta, ale równie wiążąca?

– Obiecałem czerwonego kogucika Marsowi, jeśli dostanę się do piątej, do starego Hannonna – odparł Ariusz. – To szczwany lis, który zawsze zdobywa najlepsze kąski dla swoich ludzi.

– Też to słyszałem – przyznał Gawen, popijając kolejny łyk wody. On, który opuścił swoich własnych bogów, nie śmiał modlić się do bogów Rzymu.

Następny rząd spragnionych zbliżył się do studni. Gawen oddał warząchew i ustawił się w szeregu. Popatrzył na północ, gdzie biała droga wiała się jak wąż po wzgórzach. Wydawały się one kruchą barierą; nawet fort milowy w oddali wyglądał jak dziecięca zabawka wśród przestrzeni falistych pagórów. Droga, z obrzeżającym ją głębokim rowem *valluin* znaczyła *limes*, kraniec cesarstwa. Niektórzy marzyciele wśród inżynierów wojskowych mówili, że to za mało, że gwarancją bezpieczeństwa południowej Brytanii byłby jedynie prawdziwy mur. Ale jak na razie, umowna granica wystarczała. Jest ona symbolem, pojęciem jak samo

cesarstwo, rozmyślał Gawen, magiczną linią, której nie wolno przekraczać dzikim plemionom.

– Jedna strona nie różni się zbytnio od drugiej – powiedział Ariusz, wtórując jego myślom. – Co tam jest?

– My mamy kilka posterunków obserwacyjnych, a po drugiej stronie leży kilka tubylczych wiosek – poinformował jeden z rekrutów.

– To na pewno tam.

– Co masz na myśli?

– Widzisz ten dym? Pewnie mieszkańcy wypalają rżyska.

– Trzeba to sprawdzić. Dowódca wyśle patrol – powiedział Gawen. Centurion wydał rozkaz stawania w szyku. Niewątpliwie on także zobaczył dym i chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Gawen zarzucił plecak na ramiona i stanął w szeregu.

Tej nocy w forcie wrzało. Wszędzie, wzdłuż całej granicy, widać było słupy dymu, a niektórzy twierdzili, że wśród plemion wędruje wojenna strzała. Mimo tych niepokojących faktów i domysłów dowódcy legionu ograniczyli się do wysłania kohorty w celu wzmocnienia fortów posiłkowych wzdłuż *limes*. Cieszyli się towarzystwem oficerów z Devy, którzy przybyli na polowanie. Plotki często krążyły na pograniczu – nie zachodziła potrzeba stawiania oddziałów w gotowości tylko dlatego, że paru wieśniaków wypalało rżyska.

Gawen, wspominając relację Tacyty z powstania Boudicci, był zdumiony tą beztróską. Z drugiej strony, ostatnio nie wydarzyło się nic, co mogłoby poruszyć plemiona – o obecności Rzymian przypominał wyłącznie stały ślad podkutych ćwiekami sandałów na nadgranicznej drodze.

Dwie noce później, kiedy myśliwi wyruszyli na łowy, pożar wybuchł nagle na wzgórzach nad miastem. W fortecy wydano rozkaz stawania pod bronią, lecz pod nieobecność dowództwa obozowy prefekt nie był władny zarządzić wymarszu oddziałów. Po bezsennej nocy zwolniono żołnierzy, pozostawiając tylko posterunki, które obserwowały płynące po niebie pióropusze dymu.

Rekrutom z kohorty Gawena trudno było zasnąć, a nie mieli dużo czasu na odespanie nocy. Nawet weteranom nie pozwolono się wylegiwać. Wracali zwiadowcy rozesłani przez prefekta – z niepokojącymi wieściami. Symboliczna granica przestała wystarczać. Wojowniczy Nowantowie i Selgowie przekroczyli granicę, a ich kuzyni ze szczepu Brigante powstawali, by do nich dołączyć. W południe krwawe słońce płynęło po zasnutym dymem niebie.

Kwintus Makrynusz Donat pojawił się późną nocą, okryty kurzem i zarumieniony z podniecenia, a może z gniewu, że musiał przerwać polowanie. Człowiek jest szlachetniejszą zdobyczą, pomyślał Gawen, pełniący straż w chwili powrotu dowódcy. Z drugiej strony, zważywszy na liczbę uzbrojonych przeciwników, myśliwi mogli stać się zwierzyną.

– Teraz – mówili między sobą rekruci – ruszymy do boju. Te malowane na niebiesko dzikusy nawet nie spostrzegą, kto na nich uderzył. Legion rozbije ich w puch, będą zmykać jak spłoszone króliki do swoich nor na wzgórzach!

Minął jednak kolejny dzień beczynności. Dowódca zasięga języka, mówiono. Niektórzy utrzymywali, że czeka na rozkazy z Londinium, lecz w to raczej trudno było uwierzyć. Skoro zadaniem Dziewiątego nie była obrona granicy, to po co stacjonował w Eburacum?

Wreszcie trzeciego dnia po przerwaniu granicy rozbrzmiały legionowe trąbki. Choć rekruci jeszcze nie złożyli przysięgi, zostali rozdzieleni pomiędzy oddziały weteranów. Gawen, ponieważ potrafił radzić sobie w dzicy, i Ariusz, z powodów wiadomych tylko bogom armii, zostali przydzieleni jako zwiadowcy do kohorty Salwiusza Buto. Nawet gdyby mieli czas na skargi, żaden z nich by tego nie robił. Bufo nie był ani najlepszym, ani najgorszym z centurionów, i przez wiele lat służył w Germanii. Jego doświadczenie mogło zapewnić podkomendnym niejaką ochronę.

Starzy żołnierze jęknęli na widok rekrutów, ale ku uldze Gawena ostry rozkaz Bulona: „oszczędzajcie złość na wroga” szybko uciszył protesty. W południe wszyscy byli w drodze i Gawen zaczął błogosławić długie marsze ćwiczebne, które przyzwyczyły go do dźwigania plecaka i równomiernego truchtu.

Tej nocy rozbili umocniony, otoczony fosą i palisadą, obóz na skraju bagien. Po trzech miesiącach spędzonych w koszarach Gawen nie mógł zasnąć w nowych warunkach. Leżał w namiocie ze skór, wsłuchując się w odgłosy nocy, słyszalne mimo pochrapywania żołnierzy. Powietrze, które dołem wpadało do namiotu, niesło woń moczarów.

Może dlatego śnił o Avalonie.

We śnie druidzi, kapłani i kapłanki, zebrali się w kamiennym kręgu na szczycie Toru. Na zewnątrz kręgu na wysokich tykach jaśniały pochodnie; czarne cienie pomykały po kamieniach. Na ołtarzu płonął ogień. Caillean cisnęła w płomienie garść ziół. Dym wzbił się w niebo i skręcił ku północy, a druidzi wzniesli ręce w geście pozdrowienia. Widział ich poruszające się usta, ale nie potrafił rozróżnić słów.

Dym z ogniska zgęstniał, rozjarzył się czerwienią w blasku pochodni i ku jego zdumieniu przybrał kształt kobiety uzbrojonej w łuk i włócznię. Jej postać szybko rosła, podlegając ciągłym zmianom; twarz i ciało raz przypominały wiedźmę, raz boginię, ale włosy niezmiennie utkane były z dymu. Kapłani wyrzucili ręce z ostatnim okrzykiem i podmuch wiatru porwał dym z kręgu, unosząc go ku północy. Za tajemniczą postacią poszybowała czereda uskrzydłonych cieni. Pochodnie rozbłysły i zgasły. W ostatniej chwili Gawen zdołał ujrzeć Caillean. Stała z wyciągniętymi rękami; pomyślał, że wykrzykuje jego imię.

Przebudził się z drzeniem. Szczelinami wokół klapy przysłaniającej wejście namiotu sączyło się blade światło. Wstał, przestąpił nogi śpiących towarzyszy i wyszedł na zewnątrz. Mgła zalegała nad moczarami, ale niebo już jaśniało. Było bardzo cicho. Wartownik odwrócił

się w jego stronę i wznosił pytająco brew. Gawen wskazał w stronę latryny. Wilgotna trawa moczyła mu bosc stopy, gdy przechodził przez obóz.

W drodze powrotnej, chrapliwe krakanie rozdarło ciszę. W następnej chwili mgła pociemniała od czarnych skrzydeł. Kruki – tak wielkiego stada nie widział nigdy w życiu – nadlatywały z południa, aby okrążyć wzgórze. Trzy razy czarne ptaki przeleciały nad rzymskim obozem, potem pofrunęły na zachód, lecz złowróżbne krakanie słycać było długo po ich zniknięciu.

Wartownik skrzyżował palce w obronie przed złem; Gawen czuł, że nie musi usprawiedliwiać dreszczy. Znał teraz imię bogini, Bogini Kruków, do której modlili się kapłani Avalonu, i nie potrzebował druidycznych nauk, aby zinterpretować znak. Tego dnia mieli stanąć przeciwko wojownikom zbuntowanych plemion.

Ostry trzask pękającej gałęzi sprawił, że Gawen obrócił się z walącym sercem. Ariusz podniósł głowę, z twarzą oblaną rumieńcem, i przepaszająco rozłożył ręce. Gawen skinął głową i, bez słów, spróbował po raz kolejny pokazać, jak bezszelestnie poruszać się w gąszczu jałowca i orlicy. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, ile zawdzięcza Pani Czarownej Krainy. Nie potrafił zapanować nad nerwami i podskakiwał za każdym razem, gdy Ariusz narobił hałasu. Rozsądek podpowiadał mu, że parę wskazówek pomogłoby wychowanemu w mieście chłopakowi i że gdyby Brigantowie nadciągali w dużej sile, oni usłyszeli by ich wcześniej.

Na razie wytropili szlak końskich kopyt i dotarli do dymiących zgliszcz odosobnionej zagrody. Była zamożna; w popiołach znaleźli skorupy naczyń z czerwonej gliny i rozsypane paciorki. Natknęli się również na kilka ciał, w tym na jedno z odciętą głową. Skręciwszy za róg chałupy wzdrygnęli się na widok szklatego spojrzenia brakującej głowy. Wisiała na drzwiach, przybita sztyletem za włosy. Wieśniakowi najwyraźniej dobrze się powodziło pod rządami Rzymian i pewnie dlatego powstańcy potraktowali go jak wroga.

Ariusz lekko pozieleniał, wstrząśnięty samą sceną i szybkością, z jaką Gawen ją zinterpretował – jakby był świadkiem wydarzeń. Ale Brigantowie odeszli i oni musieli uczynić to samo. Rebelia wybuchła w pobliżu Luguvalium i rozprzestrzeniła się w stronę Eburacum wzdłuż *limes*. Gdyby buntownicy skręcili na południe, zwiadowcy wysłani w tamtym kierunku podnieśli by alarm.

Rozkazy Bufona były wyraźne. Jeśli Gawen i Ariusz nie zobaczą nieprzyjaciela przed południem, muszą sprawdzić, czy nie podąża on na wschód, naturalnym szlakiem w kierunku Eburacum. Musieli znaleźć dogodny punkt obserwacyjny, z którego mogliby wypatrywać Brigantów i ostrzec Rzymian, którzy zajmowali pozycje obronne przed miastem. Gawen rozejrzał się po okolicy i ruszył na wzgórze, rozszczępione jakimś pradawnym atakiem ziemi. Skały sterczały z urwisk jak gołe kości.

Stanęli w cieniu poskręcanych sosen na szczycie i otarli pot z twarzy legionowymi chustami, dzień stał się bowiem gorący. Gdy tylko odetchnęli, zaczęli zbierać drwa na ognisko sygnałowe. Za nimi trawiasta dolina tworzyła naturalny szlak dla tych, którzy szukali żyznych ziem bliżej morza. Było bardzo cicho. Zbyt cicho, pomyślał Gawen, patrząc na dolinę. Ciarki przeszły mu po plecach. Niezależnie od tego, czy buntownicy kontynuowali najazd, czy też wracali do domów, musieli przejść tą drogą. Może też mają zwiadowców, pomyślał, chowając się za drzewem. Może już się śmieją, planując wyłapanie Rzymian, którzy tak beztrzesko wyszli zza bezpiecznych murów.

Za doliną teren opadał na północ długimi tarasami, zasnutymi kłębam dymu. Gawenowi przyszedł na myśl Avalon; wyspa lubiała otulać się mgłą, jakby chciała skryć się przed światem. Pogranicze wyglądało podobnie. Przez pół roku żył w świecie swojego ojca, ale w tym miejscu, które nie należało ani do Brytanii, ani do Rzymu, stawał się niepokojąco świadom swojej odmienności. Rodziło się w nim pytanie, czy istnieje miejsce, do którego naprawdę by pasował.

– Ciekaw jestem, czy nowy cesarz zrobi coś w sprawie rebelii – dobiegł z tyłu głos Ariusza. – Ten Hiszpan, Hadrian...

– Żaden cesarz nie zawitał do Brytanii od czasów Klaudiusza – odparł Gawen, omiatając okolicę wzrokiem. Czy to tuman kurzu, czy dym z gasnącego ogniska? Podniósł się, mrużąc oczy, potem znów usiadł. – Brigantowie zrobiliby dużo dobrego, przyciągając jego uwagę...

– To prawda. Brytyjczycy nie potrafią się zjednoczyć. Ponieśli klęskę nawet wtedy, gdy mieli przywódcę, w bitwie pod Mons Graupius. To był ostatni zryw plemion.

– Podobnego zdania był mój ojciec – przyznał Gawen, wspominając, z jaką dumą dziadek opowiadał o wojskowej karierze swojego syna. – Był tam.

– Nigdy mi nie mówiłeś! – Ariusz odwrócił się ku niemu.

Gawen wzruszył ramionami. Trudno mu było myśleć o starszym Gajuszu jako o ojcu, choć wystarczało porównać portret z gabinetu Macelliusza z wizerunkiem, jaki widział w brązowym lustrze, aby dostrzec rodzinne podobieństwo. Pod Mons Graupius jego ojciec spisał się dzielnie. Gawen zastanawiał się, jak on sobie poradzi w podobnej sytuacji.

– O ile nie znajdą nowego przywódcy miary Calgacusa, nie będą zbyt długo stanowić zagrożenia – powiedział.

Ariusz westchnął.

– Niewątpliwie będzie po wszystkim, gdy tylko Dziewiąta ruszy do akcji. Hadrian usłyszy o nadgranicznej potyczce, to wszystko, jeśli w ogóle dotrą doń jakieś wieści. Ta bitwa nie będzie miała nawet imienia.

Niewątpliwie... – pomyślał Gawen. W ciągu trzech minionych miesięcy dokładnie poznał dyscyplinę i siłę armii rzymskiej. Zbuntowani wojownicy byli odważni, lecz zakrawałyby na cud, gdyby zdołali dorównać regularnym oddziałom. Przez chwilę mignął mu w pamięci sen

o Pani Kruków, lecz z pewnością były to tylko nocne fantazje. W świetle dnia rzeczywistością był żelazny krok legionów.

– A potem wszyscy wrócimy do koszar – ciągnął Ariusz. – I ćwiczeń... Co za nuda!

– Uczynili pustynię i nazwali to pokojem... – zacytował cicho Gawen. – Tacyt napisał tak o pacyfikacji północy po Mons Graupius. Po czymś takim możemy cieszyć się z nudy.

– Jesteś drażliwy z powodu czekania. – Ariusz nagle wyszczerzył zęby. – Wiem, ja też jestem niespokojny.

O to musiało chodzić. Jego wątpliwości były myślami, jakie chodzą po głowie przed bitwą, niczym więcej. Gawen zdobył się na uśmiech, nagle zadowolony z towarzystwa Ariusza, i zajął się lustracją północnych wzgórz.

Ariusz pierwszy zauważył nieprzyjaciela. Wrócił biegiem z krzaków, w które udał się za potrzebą, z podnieceniem wymachując rękami. Gawen wyskoczył spomiędzy sosen i zobaczył chmurę kurzu na zachodzie, gdzie słońce już opadało ku wzgórzom, a z chmury – wyłaniających się ludzi i konie.

Marsz Brigantów spowalniały zdobyczne woły, zaprzężone do wozów z łupami. Błąd, pomyślał Gawen. W bitwie tubylcze plemiona mogły uzyskać przewagę wyłącznie dzięki swojej mobilności. Wojownicy byli jednak liczniejsi, niż się spodziewał – całe tysiące. Popatrzył na południe, gdzie powinien czekać legion, zmierzył czas i odległość.

– Zaczekamy na przejście głównych sił wroga i wtedy rozpalimy ogień.

– A co potem? – zapytał Ariusz. – Jeśli zostaniemy odcięci od naszych szeregów, minie nas cała zabawa.

– Jeśli zaczekamy, bitwa sama przyjdzie do nas. – Gawen nie wiedział, czy przemawia przez niego nadzieja czy strach. Doszedł do wniosku, że największe niebezpieczeństwo będzie groziło im w czasie między rozpaleniem ognia a pojawieniem się – jeśli żołnierze dotarli na pozycje i zobaczą sygnał – rzymskiej armii.

Wróg był prawie pod nimi. Przeważali uzbrojeni po zęby Brigantowie, choć w straży przedniej dostrzegł także jeszcze dzikszych wojowników z północy. Ariusz zauważył jego spojrzenie. Z posępnym uśmiechem wyjął krzemień i kawałek stali. Iskra pojawiła się po kilku próbach i wkrótce kręta smużka dymu wzniosła się z hubki; dym zgęstniał, gdy dodali patyków, a potem strzelił żywy płomień. Odpowiednia miarka zielonych liści zmieniła barwę dymu z białej na szarą; kłęby zachwiały się, a potem popłynęły pionowo, plamiąc błękitne niebo.

Czy Rzymianie zobaczą dym? Gawen spał się, nie zaprzestając obserwacji. Nagle światło zamigotało na szczycie dalekiego wzgórza. Poznał srebrne lśnienie grotów niezliczonych oszczepów i pojedynczy błysk złota. Orzeł... Bez słowa wskazał sztandar legionu. Ariusz pokiwał głową. Plama cienia narosła pod znakiem, zgęstniała, spłynęła po zboczu, nieubłagana jak przypływ. Ryknęły trąby – ich dźwięk brzmiał słodko z daleka – i

ruchliwa masa podzieliła się na trzy kolumny: środkowa zwalniała, flanki natomiast szybko zmierzały wzniesieniami po obu jej stronach.

Brigantowie też dostrzegli żołnierzy. Na chwilę zamarli, potem rozbrzmiał głuchy ryk krowich rogów. Zapanował zamęt, gdy wojownicy przerzucali tarcze z pleców na ramiona i pochylali lance. Gawen i Ariusz, schodząc po przeciwnej stronie urwiska, zatrzymali się, gdy krzyki przybrały na sile. Przycupnęli pod osłoną jałowca, aby zobaczyć, co się dzieje.

Rzymska formacja nadszła z nieubłaganą regularnością maszyny wojennej, prostokąty ludzi poruszały się w liniach prostych w równym tempie, flanki wyginały się w łuk, aby chronić środek. Celtycki tłum pulsował dziką energią pożaru, z wyciem pędząc w stronę nieprzyjaciela.

Brytyjczycy widzieli rzymski manewr, ale nawet przywódcy nie mogli przewidzieć reakcji półdzikich wojowników. W chwili gdy wydawało się, że cała siła Brigantów zostanie otoczona i zmiażdżona przez Rzymian, kilka grup wojowników z północy wyrwało się z okrążenia.

– Uciekają! – zakrzyknął Ariusz, ale Gawen milczał.

Wojownicy nie wyglądali na przerażonych, tylko na wściekłych, i po chwili stało się jasne, że zataczają krąg, aby przypuścić szarżę na rzymską flankę. Wyniesienia, które umożliwiły Rzymianom okrążenie głównych sił wroga, nagle przestały zapewniać przewagę, gdyż celtyccy jeźdźcy byli jeszcze wyżej. Z wrzaskiem pognali kuce w dół.

W takim terenie żadna piechota nie mogła im sprostać. Legioniści popadli w rozsypkę, tratowani przez konie albo przez własnych towarzyszy, którzy próbowali zejść z drogi rozpędzonej watasze. W szeregach zapanowało zamieszanie. Gawen i Ariusz widzieli z góry, jak strzępią się zdyscyplinowane prostokąty, jak flanki cofają się ku środkowi, a frontowy szereg spotyka się z główną grupą pieszych wojowników.

Dwaj zwiadowcy z pełnym przerażeniem zafascynowaniem przyglądali się wrzącej masie ludzi. Gawen przypomniał sobie, jak kiedyś trafił wiewiórkę kamieniem; zwierzątko spadło w gniazdo pszczoł i po chwili zniknęło pod rojem rozjątrzonych owadów. Krzywił się na widok każdego ciosu. Nie wiedział, co jest gorsze – udział w bitwie czy bezsilne przyglądanie się śmierci towarzyszy.

Rzymianie, lepiej uzbrojeni, nie zostali pokonani od razu. Wielu oddało życie na miejscu, ale inni przedarli się i uciekli. Dowódca i jego sztab zajęli pozycję na niewielkim wzniesieniu i tam kierowały się fale wycofujących się żołnierzy. Czy Donat zdoła ich zebrać?

Gawen nigdy się nie dowiedział, czy dowódca choćby spróbował. W pewnym momencie wysokie szarże rzuciły się do ucieczki. Czerwone płaszcze Rzymian zniknęły pod nawałą pstrych strojów Brytyjczyków, w powietrzu błysnęły skrwawione miecze. Legionowy orzeł chwiały się ponad kłębowiskiem ciał, potem i on upadł.



– Na Jowisza... – jęknął Ariusz, z pobladłą twarzą. Gawen, widząc stado kruków krążące nad polem bitwy, wiedział, że tutaj władą już nie bóg Rzymu, ale Wielka Królowa, Pani Kruków, Cathubodva.

– Chodź – wyszeptał. – Nie możemy im pomóc.

Ariusz zataczał się, gdy ciężkim krokiem schodzili po przeciwnej stronie wzgórza. Gawen, sam zdruzgotany, nie miał czasu na współczucie. Jego zmysły były wyczulone do granic możliwości. Kiedy ponad tumultem pola bitwy usłyszał zgrzyt metalu o kamień, pchnął towarzysza w kępę paproci nad strumykiem i sykiem nakazał mu zachowanie ciszy.

Leżeli jak zastraszone króliki, gdy dźwięki brzmiały coraz głośniejsze. Gawen pomyślał o odciętej głowie, którą widzieli w zagrodzie. Niekiedy wojownicy zabierali z sobą takie trofea. Przez jedną straszny chwilę widział głowy, swoją i Ariusza, na palach przed siedzibą jakiegoś woja z północy. Poczł ucisk w gardle i z wysiłkiem przełknął ślinę. Bał się, że jeśli zacznie wymiotować, hałas zdradzi ich kryjówkę.

Zobaczył gołe nogi między liśćmi paproci i usłyszał śpiewających mężczyzn. Śmiali się, nucąc oderwane frazy, które mogły być pieśnią zwycięstwa. Gawen wsłuchał się w bełkotliwą mowę, próbując rozróżnić słowa.

Drgnął i popatrzył w górę, przymuszony szarpnięciem Ariusza. Ponad głowami wojowników kołysał się legionowy orzeł. Poczł, że Ariusz wstaje, i chciał go zatrzymać, ale przyjaciel już wyciągał *gladius*. Śpiew zamarł, ucięty błyskiem stali. Gawen przykucnął, z mieczem w pogotowiu, gdy Brigantowie wybuchnęli śmiechem. Z trwożą zdał sobie sprawę, że są ich prawie dwa tuziny.

– Dajcie mi orła! – zawołał chrapliwie Ariusz.

– Daj mi swój miecz! – odkrzyknął po łacinie najwyższy. – A może darujemy ci życie.

– Które spędzisz jako niewolnik wśród kobiet... – zakończył inny, wielki i rudowłosy.

– Oj, będą mieć z nim uciechę!

– Zadzurzą się w tych lokach... Hejże, a może to dziewczka, która poszła za swoim mężczyzną na wojnę!

Wojownicy w brytyjskim języku wdali się w sprośne spekulacje, co też kobiety uczynią z jeńcem. Przez chwilę Gawen, rozdarty między strachem o przyjaciela a narastającą paniką, która nagliła go do ucieczki, nie mógł się ruszyć. Potem wstał, jakby wbrew własnej woli.

– To szaleniec – zaczął w tym samym języku, łapiąc Ariusza za tunikę. – Bogowie mają go w opiece.

– Wszyscy jesteśmy szaleńcami. – Naczelnik Brigantów zmierzył go czujnie wzrokiem, próbując powiązać brytyjską mowę i rzymski strój. – I bogowie dali nam zwycięstwo.

To prawda, pomyślał Gawen, przy czym ja jestem najbardziej szalony. Nie mógł jednak trwać na uboczu i pozwolić, by jego przyjaciel został zabity. Pamięć o takim postępku naprawdę doprowadziłaby go do szaleństwa.

– Bogowie naszych ludów byli spokrewnieni – ciągnął – i nie będą z przyjemnością patrzeć, jak hańbicie bogów pokonanego wroga. On jest ich kapłanem. Dajcie mu orła i puście go wolno.

– A kimże ty jesteś, że wydajesz nam rozkazy? – zdumiał się naczelnik. Twarz pociemniała mu z gniewu.

– Jestem Synem Avalonu – odparł Gawen – i widziałem Cathubodwę na skrzydłach wiatru!

Wśród wojowników przetoczył się niespokojny pomruk i przez chwilę Gawen łudził się, że wygrał. Potem rudowłosy splunął i podniósł włócznię.

– Zatem zdrajca i głupiec w jednej kompanii!

W tej chwili Ariusz się uwolnił. Gawen spóźnił się o mgnienie oka, aby go powstrzymać. Z rozdzierającą jasnością widział, jak grot włóczni kreśli łuk na niebie.

Napiersnik mógłby powstrzymać cios, lecz zwiadowcy nosili jedynie kaftany z grubej skóry. Ariusz zatoczył się, gdy ostrze przeszło jego pierś, i w zdumieniu szeroko otworzył oczy. Jeszcze nim osunął się na ziemię, Gawen poznał, że rana jest śmiertelna. Była to jego ostatnia jasna myśl. Przed oczami ukazało mu się oblicze Cathubodvy i z wrzaskiem rzucił się do walki.

Poczuł wstrząs, gdy ostrze ugrzęzło w żywym ciele. Nie myśląc, wyrwał miecz, sparował cios i zanurkował pod ramieniem przeciwnika. Odległość była tak niewielka, że Celtowie nie mogli zamachnąć się swoimi dłuższymi mieczami. Krótsza głownia Gawena cięła sztychem w górę, orała ciało, zgrzytała na kości. Broń posłuszna długim godzinom ćwiczeń zadawała śmiertelne pchnięcia. Ogarnięty bojowym szałem wykrzykiwał klątwy druidów. Dla wroga były one straszliwsze od jego miecza.

Gdy oprzytomniał, Brigantowie znikali za szczytem wzniesienia. Osiem ciał leżało na skrwawionej ziemi. Siły go opuściły wraz z duchem, który w czasie walki przepędził jego ciało. Chwiejnym krokiem wrócił do Ariusza. Przyjaciel spoczywał bez ruchu, wbijając w niebo puste oczy. W pobliżu leżał porzucony przez uciekających orzeł Dziewiątego Legionu.

Pomyślał, że powinien pogrzebać ciało przyjaciela. Złożyć Ariusza w kurhanie bohatera, w wieńcu pobitych wrogów, z orłem jako nagrobkiem. Wiedział jednak, że nie starczy mu sił, a poza tym nie miało to teraz znaczenia. Ariusz nadal byłby martwy, jak wszyscy inni. Nawet orzeł nic dla niego nie znaczył; był tylko powodem śmierci.

Nie pasuję tutaj... – pomyślał mgliście. Miecz wysunął się z jego dłoni. Niezdarnie rozwiązał rzemienie skórzanego kaftana. Poczuł się dużo lepiej bez ciężkiego odzienia, ale nadal cuchnął krwią. Przywołał go cichy plusk wody. Pobrnął przez paprocie do sadzawki wypłukanej przez strumień i zanurzył twarz w chłodnej wodzie. Zmył krew z rąk i nóg, napił się łapczywie. Ze zdumieniem stwierdził, że krew należała głównie do wrogów. Woda poprawiła mu samopoczucie, ale krew, krew jego pobratymców, nadal brukała mu duszę.

Nie złożyłem przysięgi cesarzowi, pomyślał. Nie muszę zostawać w wojsku, nie muszę być rzeźnikiem! Czy mogliby go zatrzymać, gdyby powrócił do Eburacum? Nie miał pojęcia, ale wiedział jedno: wstyd zabiłby jego dziadka. Lepiej, żeby starzec uważał go za poległego, żeby nie wiedział, iż okropności bitwy zmusiły go do ucieczki. Patrząc na ciała poległych, pomyślał, że boi się nie śmierci, a jej zadawania.

Podniósł się ociężale. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca lśniły złoczone skrzydła orła.

– Wreszcie przestaniesz zabijać ludzi! – mruknął z zawziętością. Podniósł orła i zawlókł go do sadzawki. Woda zamknęła się nad nim jak nad skarbami składanymi bogom przez lud jego matki.

Po drugiej stronie wzgórza ludzie nadal walczyli i umierali, ale tutaj panował spokój. Gawen spróbował zebrać myśli i podjąć decyzję. Nie mógł wrócić do Legionów, a rzymskie rysi przyniosłyby mu zgubę wśród plemion. Było tylko jedno miejsce, w którym nikogo nie obchodziło jego pochodzenie, w którym liczyła się tylko jego dusza. Nagle, z bolesną tęsknotą, zapragnął wrócić do domu, do Avalonu.

## 6

W Dolinie Avalonu panował spokój pełni zniw. Złote promienie sączyły się przez koronę jabłoni, przesycając światłem wonny dym, który snuł się z paleniska. Użyczały też blasku welonom kapłanek i jasnym włosom siedzącej wśród nich dziewczyny. Woda w srebrnej misie poruszała się pod wpływem jej oddechu. Caillean wspierała palce na ramionach Sianny i czuła opuszczające je napięcie, gdy dziewczyna wpadała w coraz głębszy trans. Pokiwała głową. Od dawna czekała na ten dzień.

– Zachowaj spokój, tak jest właściwie – mruzczała. – Wdech... i wydech... I patrz w lustro wody. – Wzrok jej się mącił, gdy sama wdychała magię emanującą z palonych ziół. Szybko popatrzyła w inną stronę, próbując utrzymać świadomość na wodzy.

Sianna pochyliła się z westchnieniem i Caillean musiała ją przytrzymać. Była pewna, że dziewczyna ma dar Widzenia, lecz przed złożeniem ślubów kapłańskich nie miała prawa wykorzystywać jej do tego celu. Potem Gawen uciekł i Sianna pogrążyła się w rozpacz; tak zmizerniała, że Caillean zabroniła jej zajmować się magią. Minał miesiąc, nim zaczęła odzyskiwać siły i ducha. Caillean powitała tę zmianę z wielką ulgą. Córka Królowej Czarownej Krainy była najzdolniejsza ze wszystkich dziewcząt, jakie miała okazję uczyć – nic dziwnego, z takim dziedzictwem! Najwyższa Kapłanka wymagała od niej więcej niż od innych, lecz Sianna wszystko znosiła. Tylko ona mogłaby przyswoić sobie całą starożytną magię i posługiwać się nią po odejściu mentorki.

– Woda jest zwierciadłem – mówiła cicho Caillean – w którym można ujrzeć rzeczy odległe w czasie i przestrzeni. Poszukaj szczytu Tor i powiedz mi, co widzisz...

Sianna oddychała głębiej, z większą swobodą. Caillean dostosowała tempo własnego oddechu i poddała się magii w takim stopniu, żeby podzielić wizję dziewczyny, nie tracąc kontaktu z zewnętrznym światem.

– Widzę... krąg kamieni płonący w słońcu... Dolina leży poniżej... Widzę wzory... świetlane ścieżki, które łączą wyspy, widzę błyszczącą drogę, która wiedzie z Dumnonii w kierunku wschodniego morza...

Spod na wpół przymkniętych powiek Caillean spojrzała na znane wszystkim wzgórza, lasy i pola, pod którymi biegły jasne linie mocy. Jej nadzieje się spełniły: Sianna z równą łatwością mogła oglądać oba światy, zewnętrzny i wewnętrzny.

– Dobrze, bardzo dobrze – pochwaliła.

Sianna mówiła dalej:

– Podążam błyszczącą ścieżką na północ, w kierunku Alby. Podnosi się dym; granice są skąpane w krwi. Była tam bitwa, kruki uczują na pobojowisku...

– Rzymianie – wydyszała Caillean. Kiedy dotarli do nich wieści o powstaniu, druidzi wysłali swoje moce na pomoc, a kapłanki, porwane ich entuzjazmem, zapragnęły się do nich przyłączyć. Caillean wspomniała pierwszy napływ uniesienia, związany z perspektywą ostatecznego wypędzenia znieawidzonych Rzymian, a potem falę wątpliwości – czy był to właściwy sposób wykorzystywania mocy Avalonu?

– Widzę Rzymian i Brytów, ich ciała splątane na polu bitewnym... – mówiła drżąc Sianna.

– Kto zwyciężył? – zapytała Caillean. Wysłali swoją moc; słyszeli, że doszło do walki. A potem zapadła cisza. O ile Rzymianie w ogóle wiedzieli, co się stało, to nie pozwalali rozprzestrzenić się wieściom.

– Kruki uczują na ciałach przyjaciół i wrogów. Domy leżą w ruinie, bandy uciekinierów włączą się po kraju.

Najwyższa Kapłanka wyprostowała się, marszcząc czoło w zadumie. Gdyby rebelia została stłumiona bez większych problemów, Rzymianie nie przywiązywaliby do niej wagi większej niż do zwykłych rozruchów. Gdyby zbuntowane plemiona pokonały siły rzymskie, cesarstwo musiałoby oddać Brytanię. Połowiczna klęska mogła tylko rozwścieczyć okupantów.

– Gawen, gdzie jesteś? – wyszeptwała rozdygotana Sianna.

Caillean zeszytniała. Nadal miała znajomości w Devie. Wiedziała, że chłopiec udał się do dziadka, a potem został wysłany do Dziewiątego Legionu w Eburacum. Od tej pory żyła w strachu, że Gawen może wziąć udział w bitwie. Ale skąd ona mogła to wiedzieć? Nie zamierzała kazać Siannie go szukać, znała jednak łączącą ich więź i nie mogła oprzeć się pokusie, aby poznać prawdę, której potrzebowała tak rozpaczliwie.

– Poszerz krąg widzenia – przynagliła łagodnie. – Niech twoje serce zawiedzie cię do niego.

Sianna znieruchomiła, jeśli to było możliwe, jeszcze bardziej, wbijając oczy w światło i barwy wirujące w naczyniu.

– Ucieka... próbuje znaleźć drogę do domu. Wokół jest pełno wrogów. Pani, użyj magii, aby go ochronić!

– Nie mogę – odparła Caillean. – Moja moc może strzec jedynie tej Doliny. Pozostaje nam wnieść modły do bogów.

– Skoro ty nie możesz mu pomóc, musi zrobić to ktoś, kto jest bliższy niż Bogini, choć może nie tak potężny. – Sianna wyprostowała się z drżącym westchnieniem. Lustro wody wygładziło się, następnie zmętniało. – Matko! – zawołała. – Twój wychowaniec jest w niebezpieczeństwie! Matko – ja go Kocham! Sprowadź Gawena do domu!

Gawen poderwał głowę, nasłuchując, gdy szept poniósł się nad wrzosowiskiem. Dźwięk przybierał na sile. Na policzku poczuł muśnięcie zimnego powietrza i usadowił się wygodnie. To tylko wiatr, zrywający się jak zawsze o zachodzie słońca. Tylko wiatr, tym razem. Miał wrażenie, że w ciągu tych trzech dni, które minęły od bitwy, wyłącznie uciekał i szukał kryjówek. Bandy Brigantów i rozprężone oddziały legionistów stanowiły jednaką groźbę i mógł go zdradzić pierwszy napotkany pastuch. Zdołałby przeżyć, łowiąc we wnyki drobną zwierzynę i kradnąc jedzenie ze spiżarni okolicznych wieśniaków, ale robiło się coraz zimniej. Na północy był jednym z wielu, którzy uszli z rzezi, zagrożonym przez obie strony. Na południu stał się zwyczajnym zbiegiem. Tak naprawdę nie był dezserterem, lecz Rzymianie, rozwścieczeni dotkliwą klęską, z pewnością szukali kozłów ofiarnych.

Zadrżał i szczerzej otulił się płaszczem. Dokąd miał pójść? Czy istniało miejsce, w którym człowiek jego pochodzenia byłby u siebie? Czy takim miejscem mógł być Avalon? Patrzył, jak resztki światła gasną na zachodzie, i czuł, jak w jego sercu gaśnie nadzieja.

Tej nocy śnił o Avalonie. Tam też była noc. Dziewczęta tańczyły na Torze, ich szereg wił się między kamieniami. Było ich więcej, niż pamiętał; szukał wśród nich jasnych włosów Sianny. Postacie tkwały wzór w cieniach i w blasku księżyca, a murawa rozbłyskiwała pod ich stopami, jak gdyby taniec budził moc śpiącą we wzgórzu.

*Sianna!* – krzyknął, świadom, że nie może go usłyszeć. A jednak gdy wymówił jej imię, jedna z dziewcząt zatrzymała się, odwróciła, wyciągnęła ramiona. Była to Sianna; poznał jej gibkie ciało, znajome przekrzywienie głowy, jasną aureolę włosów. A za nią, jak cień, zobaczył postać jej matki, Królowej Czarownicy Krainy. Cień rósł, aż wreszcie stał się drzwiami w ciemności. Cofnął się, w strachu, że zostanie przez nie pochłonięty, a zmysł, który nie mógł być słuchem, odebrał jej słowa:

*Droga do wszystkiego, co Kochasz, wiedzie przeze Mnie...*

Gawen przebudził się o brzasku, zziębnięty, zeszywniały, ale, co dziwne! – z większą nadzieją w sercu. We wnyki złapał się młody zając i mięso zaspokoilo nękający go głód. Było południe, kiedy podjął ryzyko i zszedł w dolne partie wzgórz, aby napić się wody ze źródła. Wtedy szczęście znów go opuściło. Powinien był ruszyć w dalszą drogę zaraz po ugaszeniu pragnienia, ale zrobiło się ciepło, a on był bardzo zmęczony. Rozsiadł się pod wierzbą i przymknął oczy.

Przebudził go znenacka dźwięk, który nie był ani szumem wiatru w drzewach, ani pluskiem wody w strumyku. Usłyszał męskie głosy i tupot podkutych sandałów. Między liśćmi zobaczył rzymskich żołnierzy, i to nie zdemoralizowanych maruderów, jakich już spotykał. Był to regularny oddział pod dowództwem centuriona.

Poznając moją legionową tunikę, pomyślał, instynktownie szukając kryjówki. Za nim było wzgórze gęsto porośnięte drzewami. Ruszył ku nim pochylony, odsuwając witki wierzby. Był u podnóża, kiedy go zobaczyli.

– Stać!

Rozkazujący głos zatrzymał go na chwilę. Gdy rzucił się do ucieczki, ciśnięte *pilum* przeszło pobliski krzak i zagrzechotało na kamieniu. Gawen podniósł oszczep i odruchowo odrzucił go ku Rzymianom. Usłyszał przekleństwo. Poniewczasie zrozumiał, że nawet jeśli wcześniej nie mieli zamiaru go ścigać, to teraz niewątpliwie to zrobią.

Zaczął wierzyć, że ujdzie pogoni, gdy zbocze urwało się niespodzianie w miejscu, gdzie pradawny spazm ziemi rozszczepił skałę. Gawen zachwiał się na skraju przepaści, przenosząc spojrzenie z ostrych, kanciastych skał w dole na broń pościgu. Lepiej stanąć do walki, pomyślał desperacko, niż dać się zakuć w łańcuchy i być sądzonym za dezercję.

Widział już twarze żołnierzy, czerwone z wysiłku, ale straszliwie zdeterminowane. Wyciągnął długi sztylet, żalując, że odrzucił oszczep. I wtedy ktoś wykrzyknął jego imię.

Zamarł. Przecież legionieści nie traciliby tchu na wołanie, nawet gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Widocznie mamił go szum krwi w uszach albo wiatr między skałami.

*Gawenie – chodź do mnie!* Był to kobiecy głos. Odwrócił się mimowolnie. Cień spowijał dno przepaści, gęstniejąc na jego oczach. *Pamiętaj, droga ku bezpieczeństwu wiedzie przeze Mnie...*

Rozpacz pomieszała mi zmysły, pomyślał, i w tej samej chwili zobaczył błysk oczu w trójkątnej twarzy okolonej falami ciemnych włosów. Strach opuścił go wraz z cichym westchnieniem. Gdy pierwszy legionista dotarł na występ, Gawen z uśmiechem postąpił w pustkę.

Na oczach Rzymian uciekinier rozpląnął się w ciemności. Żołnierzy owionął chłód, oddech zimy zmroził im dusze, i nawet najdzielniejszy nie poważyłby się zejść na poszukiwanie ciała. Jeśli mieli do czynienia z wrogiem, był on już martwy. Jeśli z przyjacielem – był głupcem. Szybko zeszli ze wzgórz, nie chcąc nawet rozmawiać o tym, co

widzieli. Nim dołączyli do reszty oddziału, wspomnienie o zajściu znalazło się w tym zakamarku duszy, gdzie człowiek skrywa złe sny. Nawet centurion nie miał zamiaru wspominać o niczym w meldunku.

Z pewnością mieli inne, bardziej naglące sprawy na głowie. Niedobitki Dziewiątego Legionu powoli powracały do Eburacum, gdzie Szósty, przeniesiony z Devy, przyjmował ich z ledwo skrywaną pogardą. Mówiono, że nowy cesarz Hadrian jest wściekły i że być może osobiście przybędzie do Brytanii, aby sam mógł się zająć zaistniałym problemem. Ocalali legionieści z Dziewiątego zostali przydzieleni do innych jednostek, stacjonujących w różnych częściach cesarstwa. Nic dziwnego, że odpowiadali ponurym milczeniem, gdy ktoś nagabywał ich o niedawne przejścia.

Z tego powodu tylko centurion Rufin, który naprawdę przejmował się losem podległych mu rekrutów, miał wieści dla starego wiarusa, przybyłego wraz z wojskiem z Devy. Tak, pamiętał młodego Macelliusza. Chłopak został zwiadowcą i mógł zginąć w wielkiej bitwie. Nikt nie widział go od tego czasu.

Potem Szósty Legion wymaszerował z fortu, aby rozpocząć długie, brutalne zadanie pacyfikowania północy. Macelliusz wrócił do Devy, ciągle rozmyślając o losie chłopca, którego zdążył pokochać w ciągu spędzonych razem paru miesięcy.

Tego roku zima była długa i mokra. Burze szalały na północy. Ulewy przemieniły całą Dolinę Avalonu w szare morze, a wzgórza w prawdziwe wyspy, na których ludzie modlili się o rychłe nadejście wiosny.

W dzień równonocy Caillean przebudziła się wczesnym rankiem. Wstrząsały nią dreszcze. Choć otulona była wełnianymi kocami i leżała na sienniku okrytym owczą skórą, wilgotny chłód zimy przenikał ją do szpiku kości. Od kiedy przestała płynąć jej miesięczna krew, była zdrowa i pełna wigoru, jednak tego ranka, wspominając nasilający się zimą ból stawów, czuła się jak staruszka. Ogarnął ją nagły strach. Nie mogła sobie pozwolić na starość! Avalon tętnił życiem, nawet w zimie, a ona miała zbyt mało wyszkolonych kapłanek, na których mogłaby bezwarunkowo polegać. Avalon mógł nie przetrwać po jej odejściu.

Odetchnęła głęboko, pragnąc uspokoić przyspieszone bicie serca, rozluźnić naprężone mięśnie. Jesteś kapłanką? Co się dzieje z twoją wiarą? Uśmiechnęła się na myśl, że gani siebie jak jedną z dziewcząt. Nie wierzysz, że Bogini sama o wszystko zadba?

Poczuła pewną ulgę, choć z własnego doświadczenia wiedziała, że Pani skłonna jest pomagać przede wszystkim tym, którzy sami próbują sobie pomóc. Mimo wszystko do niej należał obowiązek wychowania następczyni. Gawen odszedł, ginął więc zapoczątkowany przez Eilan święty ród, ale Avalon musiał istnieć. Avalon, w którym zachowa jej pracę i nauki.

Sianna... To ona musi mnie zastąpić.

Dziewczyna złożyła śluby kapłańskie, ale w święto Beltane zapadła na zdrowiu i nie pojawiła się przy ogniskach. Potem została strażniczką studni, lecz ten obowiązek z powodzeniem mogła wypełniać jedna z młodszych dziewcząt. Niektórym kapłankom, zaznajomionym z przymusową czystością Leśnego Domu, trudno było dopatrywać się wartości w rytualnym łączeniu się mężczyzn i kobiet, jednak uczestnicy obrzędu nie czynili tego dla własnej przyjemności, nie oddawali się sobie bez reszty – byli przedstawicielami potężnych sił męskich i żeńskich, zwanych przez ludzi bogami. Przyszła Najwyższa Kapłanka Avalonu musiała złożyć ofiarę z własnego ciała.

Tego roku nie przyjmę do wiadomości żadnych wymówek. Sianna musi dokonać poświęcenia i oddać się bogu.

Ktoś zapukał do drzwi. Caillean usiadła na posłaniu, kuląc się z zimna.

– Pani! – Był to głos Lunet, stłumiony z podniecenia. – Łódź Chodzącego Po Wodzie dobija do przystani. Ktoś mu towarzyszy. Wygląda jak Gawen! Pani, musisz przyjść!

Caillean już była w ruchu, już wzuwała wysokie buty z owczej skóry i zarzucała na ramiona ciepły płaszcz. Otworzyła drzwi i zmrużyła oczy porażone blaskiem jasnego dnia. Powietrze, które przed chwilą było zimne, teraz uderzało do głowy jak orzeźwiające wino.

Spotkali się na ścieżce. Na dole Chodzący Po Wodzie już odbijał od błotnistego brzegu. Lunet i przebudzone jej krzykami kapłanki patrzyły na Gawena tak, jakby powstał z martwych.

Przyglądając się chłopakowi, Caillean zrozumiała ich zdziwienie. Gawen zmienił się. Był wyższy i szczuplejszy, mięśnie miał twarde, a koścista twarz należała niewątpliwie do mężczyzny. Jego oczy przepelniało zdumienie.

Potrząsnęła głową i ruchem dłoni odpędziła dziewczęta.

– Głuptasy, to nie Samhain, kiedy wracają zmarli. On nie jest duchem, tylko żywym człowiekiem. Nie stójcie bezczynnie, przynieście mu coś do picia i suche ubranie, zwawo!

Gawen zatrzymał się i rozejrzał. Caillean cicho wymówiła jego imię.

– Co się stało? – zapytał w końcu, zatrzymując spojrzenie na niej. – Tyle wody, a przecież nie widziałem deszczu, i skąd pączki na gałęziach, które niedawno straciły liście?

– Przecież mamy porę wiosennego zrównania – odparła, nie rozumiejąc.

Pokręcił głową.

– Bitwa odbyła się ledwie przed miesiącem, a potem wędrowałem...

– Gawenie – przerwała mu – wielka bitwa na północy miała miejsce w czasie żniw, przeszło pół roku temu!

Zatoczył się, a ona przez chwilę myślała, że upadnie.

– Ponad sześć miesięcy? Przecież Pani Czarownej Krainy uratowała mnie przed sześcioma dniami!

Caillean złapała go za rękę. Zaczynała pojmować.



– Czas biegnie inaczej w Innym Świecie. Wiemy, że byłeś w niebezpieczeństwie, nie było nam jednak wiadomo, co się z tobą stało. Chyba musimy podziękować Pani Czarownego Ludu za ocalenie ci życia. Miałeś szczęście – minęła cię zima, a była ona sroga. Ważne, że jesteś w domu. Trzeba podjąć decyzję, co z tobą zrobić.

Gawen westchnął, trochę drżąc, po czym zdobył się na uśmiech.

– W domu... Dopiero po bitwie zrozumiałem, że nie ma dla mnie miejsca ani w rzymskich, ani w brytyjskich krajach. Tylko tutaj, na tej wyspie, która nie do końca należy do świata ludzi.

– Nie zmuszę cię ponownie do dokonywania wyboru – rzekła ostrożnie Caillean, tłumiąc podekscytowanie. Jakież byłby z niego przywódca druidów! – Jeśli jednak nie złożyłeś innych przysiąg, ponawiam propozycję, którą słyszałeś przed odejściem.

– Gdyby minął jeszcze tydzień, złożyłbym przysięgę wierności cesarzowi, ale nadeszli Brigantowie i ruszyliśmy w bój nie zaprzysiężeni – odparł Gawen. – Brat Paulus będzie wściekły. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Spotkałem go w drodze na wzgórze. Błagał mnie o przyłączenie się do ich zakonu. Odmówiłem, a on coś wykrzyknął... Co się stało z nazarejczykami po śmierci ojca Józefa? Paulus wyglądał na obłąkanego, bardziej niż kiedykolwiek!

– Teraz to ojciec Paulus. Wybrali go na przywódcę. Wydaje się, że postanowił resztę braci zmienić w fanatyków na własne podobieństwo. To szkoda, tyle lat przeżyliśmy w pokoju. Paulus nie chce mieć do czynienia ze wspólnotą rządzoną przez kobiety. Nie utrzymujemy kontaktów od wielu miesięcy. Ale on nie jest ważny. To ty musisz zdecydować o własnej przyszłości – zakończyła.

Gawen przytaknął.

– Jak się wydaje, spędziłem pół roku w Innym Świecie na rozmyślaniach, czas bowiem upłynął tak szybko. Jestem gotów... – urwał, patrząc na stojące wokół chaty, a potem na zwieńczony głazami Tor – gotów stawić czoło przeznaczeniu, jakie zgotowali mi bogowie.

Caillean zamrugnęła. Przez chwilę widziała go w blasku złota, jak króla – a może był to ogień?

– Twoje przeznaczenie może być godniejsze, niż przypuszczasz... – rzekła nie swoim głosem.

Wizja zniknęła. Caillean spojrzała na Gawena, aby zbadać jego reakcję, lecz on wcale na nią nie patrzył. Zmęczenie zniknęło z jego twarzy. Kapłanka nie musiała się odwracać – wiedziała, że za jej plecami stoi Sianna.

Księżyc zachodził. W wejściu przydzielonej mu niskiej chaty Gawen widział cienki sierp muskający grzbiet wzgórza. Biedne maleństwo, spieszące do łoża; za chwilę miało pogрузić świat w ciemności. Zmienił pozycję i ułożył się wygodniej na posłaniu. Jutro wigilia święta Beltane. Leżał tu od zachodu słońca, kiedy księżyc był już wysoko na niebie. Miał czas na

zastanowienie, na przygotowanie duszy, jak powiedzieli. Czuł się równie nieprzyjemnie jak w czasie tych długich godzin, gdy z Ariuszem czekał na początek bitwy między Rzymianami a Brigantami.

Przybył tutaj z własnej woli. W każdej chwili mógłby wymknąć się pod osłoną ciemności. Nie znaczy to, że bał się, iż mieszkańcy Avalonu wypędzą go, gdyby zmienił zdanie – na okrągło pytali, czy podda się inicjacji dobrowolnie. Gdyby jednak odmówił i został, byłby skazany na oglądanie gorzkiego rozczarowania w oczach Caillean, a co do Sianny – cierpiałby znacznie dotkliwiej niż w czasie prób, którym zgodził się poddać, aby mieć prawo do jej miłości.

Jeszcze raz wyrzwał na zewnątrz. Księżyc zniknął. Układ gwiazd powiedział mu, że zbliża się północ. Niedługo przyjdą, a ja będę czekał. Dlaczego? Czy trzymała go tutaj tylko miłość do Sianny, czy jakaś głębsza potrzeba duszy?

Gawen chciał odejść, jednak doszedł do wniosku, że nie zdoła uciec przed rozterkami swojej dwoistej natury. Miał wrażenie, że jedynym sposobem osiągnięcia jedności jest wybranie czegoś, czemu mógłby służyć i czemu oddałby się całkowicie.

Coś zaszeleściło na zewnątrz; popatrzył w niebo i stwierdził, że układ gwiazd się zmienił. Przy chacie gromadzili się druidzi w białych szalach połyskujących widmowo w blasku gwiazd.

– Gawenie, synu Eilan, wzywam cię, w nocnej porze nienajbardziej widocznego księżyca. Czy nadal pragniesz poznać uświęcone tajemnice? – Był to głos Brannosa. Gawen poczuł ciepło w sercu. Starzec zdawał się być równie wiekowy jak wzgórza, jego pokrzywione chorobą palce już nie mogły trącać strun harfy, lecz w razie potrzeby nie brakowało mu dostojności i siły naczelnego kapłana.

– Pragnę. – Głos zabrzmiał chrapliwie w jego własnych uszach.

– Wyjdź tedy i niechaj rozpocznie się próba.

Zabrali go, w ciemności, do świętej studni. Szum wody był nieco inny. Zerknąwszy w dół, Gawen stwierdził, że woda opada. Widział stopnie wiodące w dół cembrowiny i wykutą z boku niszę.

– Aby odrodzić się w duchu, wprzód musisz zostać oczyszczony – oznajmił Brannos. – Zejdź do studni.

Drżąc na całym ciele, Gawen zrzucił odzienie i ruszył w dół. Tuarim, który złożył przysięgi zeszłego roku, podążył za nim. Drgnął, gdy młody człowiek ukląkł i zatrzasnął żelazne kajdany wokół jego kostek. Uprzedzono go o czymś takim i wiedział, że zdoła się uwolnić, gdyby zawiodła go odwaga, ale zimny ciężar metalu na ciele przepełnił go niespodziewanym lękiem. Nie odezwał się jednak słowem, gdy usłyszał szum wody ponownie napełniającej studnię.

Woda wzbierała szybko. Była lodowato zimna i przez pewien czas tylko to zaprzątało mu myśli. Ale przecież każdy kapłan, o którym myślał lekceważąco w czasie żołnierskiego

szkolenia, musiał przejść przez tę próbę; skoro oni to znieśli, on też musi wytrzymać. Starał się oderwać myśli od zimna. Zastanawiał się, czy święte naczynie, o którym mówił ojciec Józef, nadal tu jest, czy też Caillean przeniosła je do innej kryjówki. Być może gdyby spróbował, mógłby coś wyczuć, jakieś echo radości za osłoną bólu, ale rozpraszała go wzbierająca woda.

Nim sięgnęła piersi, Gawen ledwo czuł dolne partie ciała. Zastanawiał się, czy mięśnie będą mu posłuszne, gdyby spróbował ucieczki. A może to wszystko było podstępem, mającym sprowadzić nań śmierć bez słowa protestu? Pamiętaj! – przykazał sobie. – Pamiętaj, czego nauczyła cię Caillean! Wezwij wewnętrzny ogień!

Zimna woda sięgała mu do szyi; zaszczekał zębami. Rozpaczliwie przywołał wspomnienie ognia – iskry w mrokach umysłu, które rozbłyły, gdy wciągnął powietrze, a potem wybuchły płomieniem w każdej żyły. Światło! Zamknął świadomość przed wszystkim prócz tej jasności. Przez chwilę widział cień rozszczępiony błyskawicą, która oddzieliła blask od ciemności i w lawinowej reakcji wysłała w świat wzór, porządek, znaczenie...

Odzyskał czucie własnego ciała, lecz teraz na innym poziomie. Ciemność wokół niego rozjaśniło promieniowanie mające źródło w jego wnętrzu. Już nie było mu zimno – pomyślał, że w innych warunkach wewnętrzny żar zamieniłby wodę w parę. Roześmiał się, kiedy woda dotknęła jego ust.

W tej samej chwili poziom wody zaczął opadać. Dopływ został zamknięty, a odpływ otwarty i po niedługim czasie druidzi uwolnili go z kajdan. Gawen ledwo to zauważył. Był światłem! Ta nowa wiedza była jedyną rzeczą, o jakiej potrafił myśleć.

Poniżej studni rozpalono wielkie ognisko; gdyby zawiódł, może mógłby się przy nim ogrzać. Gdy kapłani powiedzieli, że musi przez nie przejść w kontynuacji próby, Gawen znowu wybuchnął śmiechem. Był ogniem – czemuż miałby bać się płomienia? I, nagi, przeszedł przez węgle, i choć żar osuszył wodę z jego ciała, nie sparzył nawet jednego palca.

Brannos czekał na niego po drugiej stronie.

– Przeszedłeś przez ogień i wodę, dwa żywioły, z których, jak nauczyli nas starożytni mędrcy, składa się świat. Pozostaje powietrze i ziemia. Aby zakończyć próbę, musisz znaleźć szczyt Tor – jeśli zdołasz...

Podczas przemowy starca inni kapłani podnieśli gliniane dzbany, w których żarzyły się zioła, i ustawili je wokół niego. Dym buchnął w górę, słodki i duszący; Gawen poznał cierpko-słodką woń ziół używanych do sprowadzania wizji, ale nigdy wcześniej nie spotkał się z nią w takim nasileniu. Mimowolnie wciągnął w płuca haust dymu i zaniósł się kaszlem. Zmusił się do ponownego oddechu, walcząc z narastającymi zawrotami głowy.

Nie broń się, daj się temu ponieść, przypomniał sobie dawne lekcje. Dym służył wielką pomocą w odrywaniu umysłu od ciała, choć bez dyscypliny duch mógł zatracić się w złych snach. Gawen, poddający się jego magicznym właściwościom już po napełnieniu świętym ogniem, nie potrzebował pomocy i bez strachu przekraczał granice zwyczajnej świadomości.

Z każdym oddechem czuł, jak dym coraz bardziej odrywa go od powszedniego świata; popatrzył na druidów i zobaczył ich w aureolach blasku.

– Wstąp na święte wzgórze i przyjmij błogosławieństwo bogów... – Głos Brannosa odbijał się echem we wszystkich światach.

Gawen zamrugał, patrząc na wznoszące się ponad nim zbocze. To powinno być dość łatwe, nawet kiedy jego duch błądził. Przecież tak często wspinał się na Tor w ciągu siedmiu lat! Uczynił pierwszy krok i poczuł, jak jego stopa zapada się w ziemię. Drugi – to było jak brodzenie w głębokiej wodzie. Popatrzył przed siebie; to, co uważał za blask ognia rozpraszany przez niską mgłę, było żarem promieniującym z samej ziemi, a wzgórze cechowała świetlista przejrzystość rzymskiego szkła. Głaz znaczący początek ścieżki był słupem ognia.

To było jak światło, które emanowało z jego ciała – jak aureole otaczające innych. Nie tylko ja! – stwierdził zdumiony. – Wszystko jest uczynione ze światła!

Otoczenie widziane w niezwykłym blasku nie było takie samo jak w codziennym świetle. Znana mu doskonale kręta ścieżka wiodła nie wokół Toru, ale prosto do wnętrza wzgórza. Ogarnął go lęk – a jeśli wizja opuści go i zostanie uwięziony pod ziemią? Ale ten nowy świat był taki interesujący; nie mógł oprzeć się pragnieniu sprawdzenia, co leży w świętym wzgórzu.

Gawen odetchnął głęboko i tym razem dym, zamiast go zdezorientować, wyostrzył mu wzrok. Droga była wyraźna. Ruszył nią śmiało.

Z leżącego najdalej na zachód miejsca Toru droga wiodła prosto w głąb wzgórza. Gawen znalazł się na szerokim zakręcie w jakimś przejrzystym ośrodku, który stawiał opór jak woda i łaskotał jak ogień, nie był jednak ani jednym, ani drugim. Gdy zatoczył pełny krąg i zaczął wracać, miał wrażenie, że jego ciało stało się jakby mniej stałe; nie przedzierał się, a płynął przez ziemię, i tylko skupienie na własnym świetle pozwalało mu zachować tożsamość.

Zbliżał się do punktu wyjścia. Droga nie układała się w spiralę, lecz raczej nakładała na siebie. Po raz kolejny okrążył wzgórze. Ta krzywizna była dłuższa; wyczuł, że zamiast zbliżać się, oddala się od środka. Wewnętrzny przymus kazał mu iść dalej, tak blisko powierzchni, że widział świat zewnętrzny jakby przez kryształową mgłę. Jeszcze raz zatoczył krąg i wreszcie droga zakręciła prosto w głąb wzgórza.

Był bardzo głęboko. Moc tętniła w sercu wzgórza tak silnie, że ledwo trzymał się na nogach. Parł naprzód, próbując dotrzeć do pulsującego centrum. Ogarnęła go ekstaza, gdy jego istota zaczęła ulegać rozpadowi w kontakcie z niewidzialną przeszkodą. Droga jest zatarasowana, powiadomił głos z głębi; nie zakończyłeś jeszcze przemiany.

Gawen cofnął się. Widział, że aby wyjść, musiał posuwać się do przodu, lecz ból oddalania się od środka był prawie nie do zniesienia. Ten krąg labiryntu miał promień mniejszy od poprzednich. Gawen pokonał zakręt i zachwiał się, gdy płynący przez Tor prąd mocy porwał go i poniósł ku sercu wzgórza.

Głos, dobiegający skądś spoza ster świata, obwieścił:

*Pendragon kroczy Ścieżką Smoka...*

Było to jak promienie skrzące się w kryształach, którymi zima przyozdabia gałęzie drzew; jak ryk trąb, jak srebrzysty potok dźwięków wszystkich harf świata; było to skończone piękno i skończona rozkosz. On był Głową Smoka i unosił się w rozżarzonej punkcie, który stanowił środek świata.

Po wieczności spędzonej poza czasem ktoś wezwał go ziemskim imieniem.

– Gawenie... – Wołanie było ciche, dobiegało z daleka. Był to kobiecy głos, który powinien znać. – Gawenie, synu Eilan, wróć do nas! Wyjdź z kryształowej jaskini!

Czemu miałby to robić, zastanawiał się, czemu miałby opuszczać miejsce, które było spełnieniem wszystkich pragnień?

Czy mógł to zrobić? – zastanawiał się, zanurzony w blasku piękna, które nie miało początku ni końca.

Ale głos nalegał, niekiedy dzieląc się na trzy głosy. W jego pamięci rozbłysły obrazy innego piękna, mniej doskonałego, acz w pełni realnego. Przypomniawszy sobie smak jabłka, pracę mięśni w czasie biegu, słodycz dotknięcia dziewczęcej ręki.

I wtedy zobaczył twarz. Sianna...

Muszę iść do niej, pomyślał, sięgając w głąb światłości. Ale nie mógł odejść, nie widząc drogi.

To próba Powietrza, domyślił się. Musisz wyrzec Słowo Mocy.

Nikt jednak nie zdradził mu, jakie to słowo.

W jego pamięci kołatały się fragmenty starych opowieści – tych snuty przez Brannosa, zawierających strzępy wiedzy bardów. Wiedział, że magia imion jest niezwykle silna, lecz przed nazwaniem czegoś należało najpierw nazwać siebie.

– Jestem synem Eilan, córki Bendeigida... – wyszeptał i, mniej chętnie, dodał: – Jestem synem Gajusza Macelliusza Sewera. – Otaczająca go obecność jakby zastygła w oczekiwaniu. – Jestem bardem i wojownikiem, i druidem wyszkolonym w magii. Jestem dzieckiem świętej wyspy.

– Co jeszcze?

– Jestem Brytonem i jestem Rzymianinem, i... – Znow coś mu się przypomniało: – Jestem Synem Setki Królów... – To chyba miało tu jakieś znaczenie, gdyż światłość zamigotała i przez mgnienie oka widział drogę. Ale nadal nie mógł się ruszyć. Jęknął, szukając w myślach innego imienia. Kim był? Kim był tutaj? – Jestem Gawen – oznajmił, a potem, wspominając siłę, która przyniosła go do wnętrza, dokończył: – Pendragon...

I wyrzekłszy to słowo, poczuł, jak się wznosi, jak pędzi tunelem światła, porwany przez jakąś niepojętą siłę. Siła owa wyrzuciła go na szczyt Toru i cisnęła, zasapanego, na wilgotną darń w kręgu kamieni.

Przez długą chwilę leżał, łapczywie chwytając powietrze. W uszach mu dzwoniło; powoli zdał sobie sprawę, że gdzieś w oddali ptaki witają świergotem wstający dzień. Trawa pod nim była mokra. Poczul palce... Zaciśnął je na murawie, mając świadomość jej siły, wdychając upojny zapach wilgotnej ziemi. Z bólem dotarło do niego, że znów jest tylko człowiekiem.

Wokół niego zbierał się tłum. Gawen podniósł się, przetarł oczy i stwierdził, że nie wszystko wróciło do normalności, wszystkich bowiem, choć słońce jeszcze nie wstało, spowijał blask. Największa jasność biła od trzech stojących przed nim postaci – trzech kobiet, w długich szatach i woalach, ze znakami Bogini na piersiach i czołach.

– Gawenie, synu Eilan, wezwałam cię do świętego kręgu...

Mówiły jednocześnie, jak jedna osoba. Gawenowi włos zjeżył się na karku. Wypreżył ramiona, tylko przez chwilę skrepowany swoją nagością. Przed nimi – przed Nią – był nagi nawet wówczas, gdy okrywało go odzienie.

– Pani – rzekł chrapliwie – oto jestem.

– Zostałeś poddany próbom ustanowionym przez druidów i przeszedłeś je pomyślnie. Jesteś gotów złożyć Mi przysięgę?

Gawen przytaknął, a wówczas jedna z postaci wysunęła się do przodu. Była wyższa od pozostałych i smuklejsza, choć przed chwilą wszystkie wydawały się jednego wzrostu. Wieniec z głogu tworzył nad jej welonem gwiazdzistą koronę.

– Jestem Panną, wieczystą Dziewicą, świętą Oblubienicą... – Jej głos był cichy, pełen słodyczy.

Gawen starał się rozpoznać rysy skryte woalem. Z pewnością była to jego ukochana Sianna, jednakże twarz i postać zmieniały się nieustannie – jak jego miłość do niej. Chwilami przypominała ona ojcowską, chwilami braterską, a chwilami darzył ją uczuciem kochanka, którym chciał zostać. Tylko jedna rzecz była pewna – kochał tę dziewczynę wiele razy wcześniej, na wiele sposobów.

– Jestem początkiem – mówiła. – Jestem odnową duszy. Jestem Prawdą, która nie może zostać zbrukana czy zafałszowana. Przysięgasz na wieki dopomagać temu, co wiedzie do Narodzin? Gawenie, czy przysięgniesz to mnie?

Wciągnął w płuca słodkie powietrze brzasku.

– Przysięgam.

Podeszła do niego, podnosząc woal. To była Sianna, zobaczył ją, gdy pochylił się, aby złożyć pocałunek na jej ustach. Ale poczuł też coś, czego dotyk przypominał białą ogień.

Potem odsunęła się od niego. Drżąc, wyprostował się, gdy ruszyła ku niemu środkowa postać. Wieniec z kłosów pszenicy wieńczył jej szkarłatny welon. Był ciekaw, kto odgrywał tę rolę w rytuale. Kobieta w jednej chwili wydawała się mała, w następnej zaś olbrzymia: masywna figura, której tronem był cały świat.

– Jestem Matką, wiecznie płodną, Panią tej krainy. Jestem wzrostem i siłą żywiącą wszystko, co żyje. Zmieniam się, lecz nigdy nie umieram. Będziesz służył sprawie Życia? Gawenie, przysięgniesz mi?

Z pewnością znał ten głos! Zerknął poprzez woal i zdrygnął się na widok błysku ciemnych oczu. Poznał, zmysłem innym niż wzrok, Panią Czarownej Krainy, swoją wybawicielkę.

– Ty jesteś Drzwiami do wszystkich moich pragnień – powiedział cicho. – Nie pojmuję cię, ale będę ci służył.

Roześmiała się.

– Czy nasiono rozumie moc, która każe mu wschodzić z ciemności w dzień, albo czy dziecię rozumie siłę, która wypycha go z bezpiecznego łona? Powinieneś być chętny, to wszystko, czego wymagam...

Otworzyła ramiona a on się w nie wtulił. Od czasu, kiedy dowiedział się, że jest ona Panią Czarownej Krainy, zawsze dzieliła ich przepaść. Ale teraz nie wzbraniał się przed nią i z ufnością tulił się do jej miękkich piersi. Szloch ścisnął go za gardło. Poczul się jak maleńkie dziecko piastowane w troskliwych ramionach, kojone starożytną kołysanką. Tuliła go jego prawdziwa matka. Wybuchły w nim wspomnienia tłumione od dzieciństwa; zobaczył jej białą skórę i jasne włosy i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że go kochała...

A potem znów stał samotnie przed Boginią. Ku niemu z trudem, pokonując ból, sunęła trzecia postać. Jej korona sporządzona była z kości.

– Jestem Staruchą – wychrypiała – Starożytną Panią Mądrości. Wszystko widziałam, wszystko zniosłam, wszystko oddałam. Jestem Śmiercią, Gawenie, bez której nic nie może ulec przemianie. Czy złożysz mi przysięgę?

Znam Śmierć, pomyślał Gawen, wspominając puste, oskarżycielskie spojrzenia zabitych przez siebie ludzi. Śmierć skosiła ich niczym żeniec łąn żyta. Co dobrego mogło z tego wyniknąć? W tej samej chwili nasunęła mu się myśl o snopach zboża na polach.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie – rzekł z wolna – będę służył nawet Śmierci.

– Obejmij mnie... – przykazała Starucha.

Nie pociągało go nic w jej zgarbionej postaci. Złożył jednak przysięgę, dlatego zmusił ołowiane stopy, by poniosły go ku niej. Czarne welony przysłoniły mu oczy, wokół niego zamknęły się jej kościste ramiona.

I przestał odczuwać cokolwiek. Unosił się w ciemności, w której niebawem rozbłysły gwiazdy. Zawieszony w pustce, zobaczył naprzeciw siebie kobietę w zwiewnych woalach, z dojrzałym pięknem w oczach. Była to Caillean i był to zarazem ktoś inny, komu w minionych wiekach służył i kogo miłował. Skłonił się głęboko, oddając jej cześć.

A potem, jak wcześniej, znów był sobą, roztrzęsiony po tylu przejściach, wlepiający oczy w kapłanki, czarną, białą i czerwoną. Na wschodzie niebo zaczynało jarzyć się pierwszym rumieńcem świtu.

– Przysiągłeś i twoja przysięga została przyjęta. – Znowu mówiły jednym głosem. – Pozostała jedna rzecz, wezwanie ducha Merlina, który może uczynić cię kapłanem i druidem, sługą Tajemnic.

Gawen ukląkł z pochyloną głową, gdy rozpoczęły śpiew. Początkowo było to nucenie bez słów, nuta nakładała się na nutę, aż poczuł mrowienie od wibrującego dźwięku. Potem zabrzmiały słowa – w nieznanym mu języku, lecz wyraźnie rozumiał zawartą w nich prośbę.

Najmędrzy, modlił się, przybądź do nas, jeśli taka twoja wola, przybądź przeze mnie. Wielce nam tutaj trzeba twojej wiedzy!

Poderwał głowę, słysząc czyjś zdławiony oddech, zamrugał w blasku ognia. Z początku pomyślał, że wstało słońce i Mistrz Mądrości nie przybył. Ale to nie było słońce.

Kolumna blasku lśniła w środku kręgu. Gawen wezwał w celu obrony własne światło i odmienionym wzrokiem zobaczył Ducha, którego wezwali, wiekowego, a zarazem w kwiecie wieku, wspierającego się na czarnoksiężskiej lasce, z białą brodą mądrości spływającą na piersi i w diademie z błyszczącym kamieniem na czole.

– Mistrzu, on przysiągł – zawołał Brannos. – Czy zechcesz go uznać?

Merlin rozejrzał się po kręgu.

– Uznaję go, atoli nie nadszedł jeszcze czas mego wejścia między was. – Skierował oczy z powrotem na Gawena i uśmiechnął się. – Przysiągłeś i przyjąłeś kapłaństwo, wszelako nie jesteś magiem. W kryształowej jaskini nadałeś sobie Imię. Powtórz mi, mój synu, jakimi Słowami się uwolniłeś?

Gawen szeroko otworzył oczy. Zawsze mówiono mu, że wydarzenia takich chwil muszą na wieki pozostać tajemnicą dzieloną tylko przez daną osobę i bogów. Gdy przypomniał sobie, co powiedział, zaczął pojmować, dlaczego te imiona, w przeciwieństwie do innych, należy wyjawiać.

– Jestem Pendragonem... – wyszeptał. – Jestem Synem Setki Królów...

Pomruk zdumienia przetoczył się wokół kręgu. Powietrze pojaśniało. Niebo na wschodzie rozblysło złotymi proporcami i promienie słońca obrysowały wzgórza. Ale nie na to wszyscy zebrani kierowali spojrzenia. Gawen poczuł na czole ciężar złotego diademu i zobaczył, że jego ciało spowija królewska szata, zdobiona haftem i klejnotami i kunsztem nie znanym żyjącym rzemieślnikom.

– Pendragon! Pendragon! – krzyknęli druidzi, nadając mu tytuł Świętego Króla, który włada nie mieczem, a duchem, i który jest żywym ogniem łączącym lud z zamieszkaną przez nich krainą.

Gawen wznosił ramiona na znak zgody i hołdu, a przed nim powstało słońce i jego blask pobłogosławił ziemię.



Smoki wytatuowane na przedramionach łaskotały Gawena w ciepłe popołudnie. Patrzył na nie ze zdumieniem, które nie opuszczało go od czasu pojawienia się Merlina. Wężowe sploty wiły się po twardym mięśniu. Zostały wyklute na skórze cierniami i zabarwione na niebiesko urzetem przez starca z ciemnego, drobnego ludu bagien. Gawen był jeszcze częściowo pogrążony w transie, gdy starzec przystąpił do dzieła; kiedy zaczął odczuwać ból, ponownie zepchnął świadomość w głąb jaźni. Tatuaz z początku piekł, ale później o jego istnieniu przypominało tylko lekkie swędzenie.

Kazali mu odpocząć. Kąpiel, przyobleczenie kaftana z haftowanego płótna i położenie się na posłaniu z baranich skór wydawało się ledwie odrobinę bardziej realne od przebytych prób. Gawen wierzył w to, co go spotkało, lecz zupełnie tego nie rozumiał. Druidzi nazwali go Pendragonem, pozdrawiali jak kapłana-króla, jak tych, którzy niegdyś władali krainami zatopionymi przez morskie fale, jednakże on nie mógł odpędzić wrażenia, że Dolina Avalonu jest bardzo małym królestwem. A może, jak Chrystus zwany królem przez ojca Józefa, miał stanąć na czele królestwa nie należącego do tego świata?

Może, rozmyślał, popijając rozwodnione wino z pucharu, który postawili przy jego boku, kiedy ta noc dobiegnie końca, zaczną panować z Sianną jako para królewska w Czarownej Krainie. Serce uderzyło mu mocniej na tę myśl. Nie widział dziewczyny od czasu obrzędu o świcie, ale wieczorem miała tańczyć wokół ogniska Beltane. On jako król będzie chodził wśród tancerek i wybierze tę, która przyciągnie jego uwagę. Już wiedział, kim ona będzie. Choć dużo czasu spędził w wojsku, wiódł wstrzemięźliwy żywot. Od czasu poznania Sianny pragnął wyłącznie jej i postanowił, że z nią pierwszą pozna rozkosze miłości.

Sama myśl o tym przyprawiła go o gotowość. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, połączyliby się już przed rokiem, ale on ją porzucił. Czy czekała? Wierzył, że tak, znał jednak nacisk wywierany na kapłanki i przymuszanie ich do uczestnictwa w obrzędzie, dlatego nie śmiał pytać. To nie miało znaczenia. Duchem należała do niego.

Nad bagnami poniosło się ciche dudnienie bębnow. Gawen słyszał, jak jego serce bije zgodnym rytmem, i uśmiechnął się, choć powieki mu ciążyły. Niedługo, już niedługo.

W przyszłym roku, myślała Cailleán, obserwując tancerzy, może trzeba będzie przenieść uroczystość na łąkę u stóp Toru. Na otwartej przestrzeni przy kamiennym kręgu ledwo starczało miejsca dla druidów i młodych kapłanek, a przez cały czas napływali ludzie z moczarów. Stali w mroku, którego nie rozpraszał blask ognia, i przypatrywali się wszystkiemu z zaciekawieniem. To naprawdę zdumiewające, jak szybko rozeszły się wieści o święcie. Oczywiście, mógł ich powiadomić stary łowca wezwany do wytatuowania smoków.

Druidzi zeszli ze wzgórza z blaskiem w oczach, więc kapłanki już od poranka wiedziały, co się wydarzyło. Caillean pomyślała, że naturalnemu oczekiwaniu na święto towarzyszy nie spotykana wcześniej intensywność. Z pewnością dziewczęta zadały sobie dużo trudu, żeby szczególnie starannie uczesać włosy i przyozdobić stroje. Dzisiejszej nocy miał chodzić wśród nich Król. Którą wybierze?

Caillean nie musiała zaglądać w srebrną misę z wodą, aby odgadnąć. Nawet gdyby Gawen nie darzył Sianny miłością od dzieciństwa, widok pięknej i pełnej wdzięku Dziewiczej Oblubienicy musiałby poruszyć jego serce. Kapłani i kapłanki Avalonu nie wiązali się węzłem małżeńskim na ludzką modłę; uczestnicząc w Wielkim Obrzędzie, byli narzędziami umożliwiającymi zjednoczenie Pana i Pani. Tej nocy miały odbyć się królewskie zaślubiny i związek Gawena z Sianną miał zesłać błogosławieństwo na kraj.

Wiedziała, że Gawen narodził się, aby wypełnić jakieś wielkie przeznaczenie, lecz nie domyślała się jego natury. Uśmiechnęła się. Na swój sposób była podekscytowana jak każda z młodych kapłanek; wyobrażała sobie Gawena i Siannę jako uświęconą parę królewską, która z jej poparciem z Avalonu włączyć będzie duszą Brytanii.

Dwa woły zakupione na święto piekły się na roznach u stóp wzgórza. Mięsiwo noszono na górę w koszach. Ludzie z bagien przynieśli dziczyznę, ptactwo wodne i suszone ryby. Wrzosowe piwo w skórzanych workach i miód w glinianych dzbanach stanowiły dodatkowe źródło wesołości. Między półksiężycem uczujących za kamiennym kręgiem płonęło ognisko Beltane.

Gdyby popatrzyła na południowy zachód, mogłaby zobaczyć blask ognia rozpalonego na Smoczym Wzgórzu. Wiedziała, że stamtąd widoczne jest kolejne ognisko, dalej następne, aż do samego Krańca Kraju. Ognie znaczyły też linię mocy biegnącą na północny zachód, w kierunku wielkiego kręgu kamieni przy świętym wzgórzu.

Tej nocy, powiedziała sobie z zadowoleniem, tej nocy wszystko w Brytanii jest połączone siecią światła, którą widzą nawet ci narodzeni bez duchowego wzroku!

Zbliżyła się dziewczyna z bagiennego ludu, z chmurą czarnych włosów przystrojonych wieńcem z dzikiej róży. Z wstydliwym wdziękiem przyklękła przed kapłanką i podsunęła jej koszyk z suszonymi jagodami zakonserwowanymi w miodzie. Caillean odgarnęła z czoła błękitny welon i z uśmiechem skosztowała owocu. Dziewczyna, ujrawszy srebrny półksiężyc błyszczący nad mniejszym, wytatuowanym na czole kapłanki, uczyniła znak czci i szybko spuściła oczy.

Po jej odejściu Najwyższa Kapłanka nie przysłoniła oblicza. Nastąpiła noc świętowania, kiedy otwierają się drzwi między światami i nic nie krępuje ducha. Nie zachodziła potrzeba zachowywania tajemnicy. Zresztą woal był tylko symbolem – Caillean wiedziała, jak w razie potrzeby przysłonić twarz iluzją cienia. Wychowywane przez nią dziewczęta były przeświadczone, że Caillean, podobnie jak Królowa Czarownej Krainy, potrafi rozplątać się w powietrzu.

Do bębna, który pulsował jak bicie serca w tle gwaru towarzyszącego obrzędowi, nagle dołączyła harfa. Jeden z młodych druidów przyniósł instrument na szczyt Toru, usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok drobnego, smągłego bębniasty i przekrzywiając jasnowłosą głowę, wsłuchiwał się w rytm. Po chwili do muzykowania przyłączyła się piszczałka – jej przenikliwe dźwięki brykały po harmonijnych akordach harfy niczym cielątko po kwiecistej łące.

Dziewczyna w różanym wieńcu zaczęła poruszać się w takt melodii, płynnie splatając ręce i kołysząc szczupłymi biodrami pod spódnicą ze skóry łani. Dołączyła do niej Dica z Lysandą, z początku nieśmiało, pełne wahania, a po chwili już całymi duszami oddane tańcowi. Bębniasta przyspieszył i wkrótce czoła tancerek zrosił pot, a cienkie płótno kaftanów przylgnęło do ich pleców i piersi. Jakież one piękne, myślała Caillean, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Nawet ona kołysała się w takt muzyki, a przecież minęło wiele lat, od kiedy ostatni raz tańczyła w czasie święta.

Jej uwagę zwróciła zmiana w rytmie tańca; tancerze zafalowali niczym woda w strumieniu, którego nurt burzy stopa wędrowca, i rozstąpili się na boki. Caillean ujrzała Gawena. Miał na sobie biały kilt króla, przepasany złotem. Królewski medalion starożytnej roboty spoczywał na jego piersi, a zielone liście dębu układały się w koronę na jego skroniach.

Prócz tych insygniów zdobiły go tylko niebieskie węże wyklute na przedramionach. Ale nie potrzebował niczego więcej. Miesiące ćwiczeń w rzymskim obozie wyrzeźbiły jego ciało, utwardziły mięśnie łydek i ud. Co więcej, resztki młodzieńczej miękkości zniknęły z jego rysów; jego twarz była męska, wyraźnie zarysowana, harmonijna. Chłopiec, którego kochała i o którego się bała, odszedł w przeszłość. Miała przed sobą mężczyznę.

I króla, dodała w myślach, widząc otaczającą go jasność. Czy go pragnęła? Caillean wiedziała, że nadal posiada moc spowicia się czarem, przy którym zbladłaby nawet promienna młodość Sianny. Przypuszczała jednak, że gdyby łączyła ich duchowa więź zainicjowana w minionych wiekach, Gawen wybrałby ją na swoją towarzyszkę, nawet gdyby wyglądała jak wiedźma. Tak czy owak, Sianna była młoda i mogła dać Gawenowi dziecko, natomiast ona, mimo mądrości i magii, nie była już w stanie tego uczynić.

On nie jest ukochanym mojej duszy, pomyślała z cieniem smutku. Dusza mężczyzny, który powinien zostać moim towarzyszem, nie zamieszkuje żadnego ciała. Jej fascynacja było wyłącznie naturalną reakcją kobiety na przytłaczający męski magnetyzm Króla i moc ogni Beltane. Tej nocy Gawen był ukochanym wszystkich – mężczyzn i kobiet, starych i młodych.

Czy w ten sposób Eilan widziała ojca chłopca, kiedy przyszedł do niej w blasku ogni Beltane? Gawen był wyższy od Gajusza, i choć zdecydowane rysy i dumny garb nosa czyniły go Rzymianinem, wydawało jej się, że dostrzega w nim, w osadzeniu oczu coś z Eilan. Teraz jednak Gawen nie przypominał rodziców, lecz kogoś, kogo znała w innym życiu, dawno temu.

– Król Jednego Roku – szeptano, gdy szedł wśród tancerzy.

Caillean stłumiła ból złego przecucia. Ojciec chłopca otrzymał ten tytuł przed śmiercią. Ale Gawen nosił święte węże. Nie był Królem Jednego Roku, którego darzono czcią przez jeden cykl pór, a następnie, gdy okoliczności tego wymagały, składano w ofierze. Był Pendragonem, który służy krajowi po kres swoich dni.

Dziewczęta skupiły się wokół niego i wciągnęły go do tańca, Caillean widziała, jak Gawen wybucha śmiechem, biorąc jedną z nich za rękę, jak obracają w koło, potem zostawia, zadyszana, i ze śmiechem porywa następną; jak zamyka tancerkę w krótkim uścisku i rzuca, wirującą, w ramiona czekającego młodzieńca. Tańczyli, póki wszyscy – poza Gawenem, gotowym bawić się całą noc – nie potracili tchu. Gdy brakło chętnych do tańca, zawiedli go do siedziska ukrytego miękką jelenią skórą – takiego samego, na jakim po drugiej stronie ognia spoczywała Caillean.

Przynieśli mu strawę i napitki. Dudnienie bębna ucichło i tylko słodki tryl kościanego fletu przebijał się nad gwar rozmów i śmiechu. Caillean napiła się rozcieńzonego wina i z łagodnym uśmiechem przypatrywała się zgromadzonym.

Dźwięk bębna, cichy i równomierny jak bicie serca, kazał jej się odwrócić.

Bębniasta, człowiek z bagien, musiał wiedzieć, kto nadchodzi. Caillean ściągnęła brwi, zastanawiając się nad zamiarami Chodzącego Po Wodzie i starca, który kroczył u jego boku. Nie mogły być wrogie – nie mieli innej broni prócz noży w pochwach u pasów – ale na pewno poważne, choć może tylko tak się wydawało w zestawieniu z beztróskim świętowaniem. Starszym towarzyszył młodszy mężczyzna, mierzący Gawena błyszczącym wzrokiem. Co też oni nieśli? Caillean podniosła się i wiedziona ciekawością szybko obeszła ognisko.

– Jesteś królem. – Gardłowy ton Chodzącego Po Wodzie wyrażał stwierdzenie, nie pytanie. Jego oczy prześliznęły się po smokach na rękach Gawena. – Jak starzy, którzy przybyli z morza. Pamiętamy. – Starsi pokiwali głowami. – Pamiętamy dawne opowieści.

– Jam jest – przyznał godnie Gawen. Caillean wiedziała, że kieruje nim pamięć o przeszłych żywotach, wyniesiona z obrzędu inicjacji. – Przybyłem raz jeszcze.

– Wręczymy ci tedy dar – oznajmił starzec – wykuty ze spadłej gwiazdy przez naszych pierwszych kowali, dawno, dawno temu. Kiedy pękł, scalił go czarnoksiężnik twojego ludu. W owych czasach, panie, korzystałeś z niego, aby nas chronić. Po twojej śmierci zabierzemy go i na powrót złożymy w bezpiecznej kryjówce. – Wyciągnął przed siebie zawiniątko, podłużny przedmiot okręcony malowaną skórą.

Zapadła cisza, gdy Gawen je przyjmował. Caillean słyszała bicie własnego serca, ciężkie i powolne. W zawiniątku, jak podpowiadały jej powracające wspomnienia, musiał kryć się miecz.

Była to długa ciemna głownia, mniej więcej rozmiaru miecza rzymskiego kawalerzysty, w kształcie liścia, przypominająca brązowe ostrza używane przez druidów podczas obrzędów.

Ale brąz nie miał takiego lustrzanego połysku. Gwiazdny metal... Słyszała o wykuwanych z niego ostrzach, lecz nigdy żadnego nie widziała. Kto by pomyślał, że bagienni ludzie mają taki skarb w swoim posiadaniu? Trzeba jednak pamiętać, że choć wiedli skromny żywot, ich plemię było bardzo stare.

– Pamiętam... – rzekł cicho Gawen. Rękojeść wpasowała się w jego dłoń jak zrobiona na miarę. Podniósł miecz i błyski odbitego światła zatańczyły na twarzach zgromadzonych wokół ludzi.

– Weź go tedy, aby nas bronić – powiedział Chodzący Po Wodzie. – Przysięgnij!

Miecz skoczył w górę z zadziwiającą lekkością. Chłopiec, którym do niedawna był Gawen, z pewnością by go upuścił. Teraz zręczny ruch nadgarstka kazał ostrzu ciąć łukiem powietrze. Jakie to dziwne, pomyślała Caillean, sami Rzymianie wyszkolili go na obrońcę tych, których uciskają.

– Przysięgłem służyć Pani – rzekł cicho Gawen. – Teraz przysięgam wam i Krajowi. – Obrócił miecz i przeciągnął ostrzem po wnętrzu dłoni. Nie musiał naciskać – głownia była niezmiernie ostra – i po chwili ciemna krew zaczęła skapywać na ziemię. – Tym życiem i tym ciałem – podjął – i obecnym duchem odnawiam złożoną wcześniej przysięgę...

Caillean zadrżała. Jakie wspomnienia wróciły do tego chłopca, gdy przebywał we wnętrzu wzgórza? Gdy szczęście mu dopisze, zatrą się z biegiem czasu. Trudno było normalnie żyć, gdy zbyt dobrze pamiętało się wcześniejsze żywoty.

– Życiem i śmiercią, panie, będziemy ci służyć. – Chodzący Po Wodzie dotknął krwi wsiąkającej w ziemię i przyłożył palec do czoła, pozostawiając czerwoną plamę. Inni młodzi ludzie uczynili to samo, potem ustawili się wokół Gawena jak straż honorowa, po dwóch z każdego boku. Młodzi druidzi, raczej rozbawieni, próbowali zrozumieć przemianę tego, kto ledwie przed rokiem był ich towarzyszem.

Caillean spojrzała w górę. Gwiazdy zmierzały ku północy, a ogień zaczynał przygasać. Astralne pływy zmieniały kierunek; zbliżał się czas odprawiania najtajemniejszej magii.

– Gdzie jest Sianna? – zapytał cicho Gawen.

Caillean uświadomiła sobie, że już wcześniej rozglądał się po tłumie.

– Wejdz do kręgu. Wezwij swą oblubienicę, a ona przybędzie.

W jego oczach zajaśniało światło, które nie było odbłaskiem płonącego ognia. Bez słowa ruszył w stronę kręgu głazów. Strażnicy podążyli za nim, ale zatrzymali się, kiedy minął dwie kamienne kolumny strzegące wejścia. Gawen przez chwilę patrzył na ołtarz, potem wznosił miecz i złożył go jak ofiarę przed kamieniem. Z pustymi rękami odwrócił się i spojrzał na przebytą drogę.

– Sianna! Sianna! Sianna! – zawołał, a tęsknota zawarta w okrzyku poniosła się przez wszystkie światy.

Na Torze zapadła cisza pełna oczekiwania.

Z daleka dobiegło ciche podzwanianie, jakby srebrnych dzwoneczków, a z nim rozbrzmiało dudnienie, szybkie i roztańczone, od którego serce skakało z radości. Caillean zerknęła w dół Toru i zobaczyła światła u podnóża. Wkrótce ujrzała twarze – mieszkańców bagien i innych, którzy nie byli ludźmi, ale mogli wśród nich przebywać w tę noc otwartych bram między światami.

Nad głowami przybyszów chwiało się prostokąt bieli, cienkie płótno niesione jak baldachim nad prowadzoną osobą. Muzyka zabrzmiała głośniejsze, głosy wzniosły się w weselnej pieśni. Świętujący rozstąpili się, gdy czoło procesji ukazało się na szczycie wzgórza.

Król na koronacji, pan młody na weselu, kapłan w czasie inicjacji; wszyscy dzielili chwałę boskości. A Gawen, patrzący, jak wiodą ku niemu pannę młodą, był nimi trzema.

Jakkolwiek wielkie było piękno Boga, przewyższało je piękno Bogini. Gdy podniesiono baldachim i dziewczyna ruszyła na spotkanie Gawena, Caillean pojęła, że nawet przy pomocy magii nie zdołałaby dorównać jej urodzie. Gdy Gawen spał, Sianna wróciła bowiem do królestwa matki: córkę Królowej Czarownicy Krainy ozdobiły klejnoty Innego Świata.

Gawen drżał na całym ciele, a serce waliło mu jak młotem. Cieszył się, że odłożył miecz; dygotał tak bardzo, że z pewnością uczyniłby sobie nim krzywdę. Ludzie z pochodniami, którzy tworzyli świątę Sianny, przystanęli poza kręgiem. Gdy Sianna minęła kolumny i szła ku niemu, światło jakby zgęstniało i świat na zewnątrz kręgu zniknął.

W tej chwili nie mógłby nazwać jej piękną – choć poznał arkana sztuki bardów, nie znalazłby w ludzkim języku słów, które mogłyby oddać jej urodę i jego uczucia. Chciał skłonić się i ucałować ziemię, po której stapała, lecz budząca się w nim boskość kazała mu ruszyć na jej spotkanie. Zobaczył odbicie tej boskiej siły w jej oczach.

– Wezwałeś mnie, ukochany, i jestem... – Jej głos był cichy; błysk w oczach przypominał mu ziemską dziewczynę, z którą przed laty pustoszył ptasie gniazda. Dzięki temu łatwiej było znieść boską moc, która tętniła w jego ciele.

– Nasze połączenie – wyrzekł z trudem – służyć będzie krajowi i ludziom. Pytam się ciebie, Sianno, czy w tobie nie wzbudzi niechęci?

– A co zrobisz, jeśli wzbronię? – Jej uśmiech zdradzał leciutką kpinę.

– Wezmę inną, pierwszą lepszą, i postaram się wypełnić swój obowiązek. Ale w tym akcie będzie uczestniczyło tylko moje ciało, nie serce ani dusza. Jesteś kapłanką. Chcę, żebyś wiedziała, iż zrozumiam, jeśli... – Patrzył na nią, pragnąc, by pojęła to, czego nie mógł wypowiedzieć na głos.

– Nie będę się wzbraniać – odparła – ty też nie.

Sianna przybliżyła się, położyła ręce na jego ramionach i odchyliła głowę, podnosząc usta do pocałunku. Gawen, z rękoma zwieszonymi u boków, pochylił się, by przyjąć to, co mu ofiarowała. I gdy jego wargi dotknęły jej ust, poczuł, że Bóg w pełni przeniknął jego ciało.

To było jak ogień, który przepelniał go poprzedniej nocy, ale delikatniejszy, bardziej złoty. Znał siebie, Gawena, ale był też świadom obecności tego, który wiedział, w przeciwieństwie do niego, jak rozwiązać skomplikowany węzeł przepaski Dziewicy i rozpiąć brosze, które podtrzymywały jej szatę. Po chwili stała przed nim, a słodkie krągłości jej ciała piękniejsze były od zdobiących ją klejnotów.

Wtedy ona rozpięła jego złożony pas i rozwiązała rzemienie kiltu, aż uwolnił się z odzieży. W zdumieniu dotknął jej piersi i po chwili napał na siebie, jakby chcieli stać się jedną istotą, i złączyli się w długim pocałunku.

– Gdzie legniemy, ukochana? – zapytał szeptem, kiedy odzyskał dech.

Sianna cofnęła się i spoczęła na kamieniu. Gawen stanął nad nią, czując silny prąd, który płynął ze środka wzgórza przez podeszwy jego stóp, pędził wzdłuż kręgosłupa. Zadrzał z przenikającej go mocy. Ostrożnie, jak gdyby przy każdym gwałtowniejszym ruchu mógł rozsypać się w kawałki, pochylił się nad nią, opadł między jej rozchylone uda, dopasował się do jej ciała.

W chwili połączenia poczuł opór jej dziewictwa i poznał, że nie skłamała, ale to już nie miało znaczenia. Osiągnął wymarzony cel; jako mężczyzna odczuwał niedościgłą rozkosz, jako bóg wiedział, że postąpił słusznie. Znieruchomieli na chwilę potrzebną na zaczerpnięcie oddechu, ale nie mogli oprzeć się mocy, która ich połączyła.

Gdy Sianna objęła go, zaczął poruszać się w rytm najstarszego ze wszystkich tańców świata. Poznał, że jest tylko kanałem dla wzbierającej w nim mocy, a odwieczny taniec nakazywał mu przelanie tej siły w kobietę, w ramionach której spoczywał. Poczuł, jak ona rozpala się pod nim, jak otwiera się jeszcze bardziej, i napał na nią, jak gdyby ludzkim ciałem mógł sięgnąć czegoś, co istniało poza granicami ludzkich możliwości.

W szczytowym momencie, kiedy miał wrażenie, że opuszcza go świadomość, usłyszał jej szept.

– Jestem ołtarzem...

– ...a ja ofiarą – odpowiedział i wreszcie znalazł ujście dla namiętności człowieka i potęgi boga.

Tętniący strumień energii, wzmocniony jednością Boga i Bogini, omywał Tor. Zbyt wielki, by pomieścić się w głównym kanale, przelewał się we wszystkie krzyżujące się na szczycie szlaki mocy i spływał nimi, niosąc błogosławieństwo całemu krajowi. Caillean, czekająca niespokojnie na zewnątrz kręgu, poczuła ten prąd mocy i usiadła z westchnieniem. Inni, odgadując co się stało, z rozjaśnionymi oczami zerwali się na nogi. Bębny, które były miarowo od czasu, gdy Sianna złączyła się z Gawenem, teraz wybuchły chaotycznym grzmieniem. Ktoś zawołał w uniesieniu; inni podjęli okrzyk, aż w końcu całe wzgórze huczało radością.

– Bóg połączył się z Boginią! – oznajmiła Caillean. – Pan ze swoją ziemią!

Bębniści, po początkowym tumulcie, zwolnili do żywego rytmu. Ludzie ze śmiechem rwali się do tańca. Wszyscy, nawet najstarsi druidzi, odczuli spadek napięcia. Wraz z nim odeszło zmęczenie i, jak się wydawało, opamiętanie. Ci, którzy wcześniej z boku przyglądali się zabawie, zaczęli kołysać się rytmicznie. Jakaś dziewczyna z bagienego ludu wyciągnęła starego Brannosa na plac przed ogniskiem. Starzec przytupywał i okręcał ją z wigorem, o posiadanie którego Caillean nigdy go nie posadzała.

Chociaż ogień przygasał, żar był większy niż wcześniej. Wkrótce tancerze spłynęli potem. Ku zaskoczeniu Caillean, jedna z jej kapłanek, Lysanda, pierwsza zrzuciła kaftan, a inne szybko podążyły jej śladem. Młodzieniec i kobieta z bagien, wyzwoleni z krępujących fałd odzienia, złapali się za ręce i skoczyli na szczęście przez ogień.

Patrząc na nich, Caillean pomyślała, że minęły lata, od kiedy widziała taką radość w czasie święta Beltane, a może nigdy nie była jej świadkiem, obrzędy w Vernemeton zostały bowiem zakazane z obawy przed niezadowoleniem Rzymian, a w Avaionie musieli na nowo uczyć się zwyczajów swego kraju. Połączenie się syna z rodu druidów z córką czarownego ludu przywróciło stary porządek. Tej nocy, pomyślała, patrząc na skaczących tancerzy, wszyscy mogą radować się świętem.

Ale żadna noc, jakkolwiek radosna, nie mogła trwać wiecznie. Para za parą, mężczyźni i kobiety oddalali się, aby odprawiać własne rytuały na zboczu wzgórza. Inni otulali się w płaszcze i kładli do snu na wrzosie obok ognia. Pochodnie wokół kręgu wypaliły się już dawno, ale i tak postronne oko nie mogłoby zajrzeć do środka. Cienie rzucane przez kamienie tworzyły barierę zapewniającą odosobnienie tym, którzy spoczywali na ołtarzu.

Niedługo przed świtem kilku z młodszych odeszło, aby ściąć drzewo Beltane i zebrać zielone gałęzie do przybrania zabudowań u stóp Toru. Taniec na cześć drzewa w dzień, choć równie radosny, był bardziej wymyślny od nocnych obrzędów przy ogniu. Dzięki niemu również nie wtajemniczone dziewczęta i dzieci miały szansę uczestnictwa w festiwalu.

Caillean, która tańczyła i piła mniej od innych, przyzwyczajona do czuwania, niestrudzenie obserwowała zabawę z szerokiego siedziska przy ogniu. Ale nawet ona zapadła w drzemkę, gdy brzask przegnał cienie nocy.

Dzień był piękny. Przez osłonę gałęzi, z których zbudowano szałas zapewniający nieco prywatności, Gawen spojrzął ze szczytu na szachownicę wody, lasów i pól skąpanych w blasku poranka Beltane. Był pewien, że nawet gdyby nie był tak szczęśliwy, uznałby ten dzień za piękny. Co prawda dokuczał mu ból mięśni w dziwnych miejscach, a nowe tatuaże ściągały boleśnie skórę, lecz były to tylko powierzchowne dolegliwości, ledwo zauważalne w porównaniu z cudownym uczuciem spełnienia, które śpiewało w każdej jego żyłce.

– Odwróć się – poprosił Ambios – a wyszoruję ci plecy. – Polał wodą kawałek płótna. Z drugiej strony przepierzenia, gdzie kąpała się Sianna, dobiegał słodki dźwięk dziewczęcego śmiechu.



– Dziękuję – powiedział Gawen. Każdy nowicjusz mógł się spodziewać, że będzie rozpieszczany po inicjacji, Ambios jednakże usługiwał mu z głębokim szacunkiem. To go zaskoczyło. Czy tak będzie zawsze? W ekstazie obrzędu świadomość, że jest królem, sprawiła mu wielką przyjemność. Jak będzie w dni powszednie?

Jego uwagę przyciągnęła swędząca skóra. Popatrzył na smoki. Pewne rzeczy uległy nieodwracalnej odmianie. Te tatuaże nigdy nie znikną. A Sianna należy do niego na zawsze.

Dokończył ablucji i ubrał kaftan bez rękawów, z płótna o barwie żywej zieleni, haftowany złotem. Nie przypuszczał, że druidzi mają takie wspaniałości w swoich schowkach. Zawiązał pas i przypiął miecz. Choć ostrze wyglądało jak nowe, skórzana pochwa zmatowiała, a szwy puszczały w niektórych miejscach. Wychodząc z szałasu, pomyślał, że będzie musiał sporządzić nową.

Myśli o mieczu pierzchły, gdy ujrzał Siannę. Była ubrana, jak on, w wiosenną zieleń i wkładała na głowę wianek ze świeżo zerwanych gałązek głogu. W promieniach słońca jej włosy lśniły niczym czerwone złoto.

– Pani... – Ujął jej rękę i pocałował. Czy jesteś równie szczęśliwa? – zapytał w myślach.

– Ukochany... – Szczęśliwsza, odpowiedziały jej oczy. Nagle zatęsknił za wieczorem, kiedy znów będą mogli być sami. Stała przed nim zwyczajna kobieta, ale dla niego bogini, która nawiedziła go minionej nocy, nie była bardziej piękna.

– Gawenie – panie... – wydukała Lysanda. – Mamy strawę dla ciebie.

– Posilmy się – mruknęła Sianna. – Do uczyty przygotowywanej na dole można będzie zasiąść dopiero po południu, kiedy skończą się tańce wokół drzewa.

– Ja już się nasyciłem – rzekł Gawen, ściskając jej rękę – ale niedługo zgłodnieję...

Sianna zarumieniła się, potem zaśmiała i pociągnęła go do stołu zastawionego zimnym mięsivem, chlebem i piwem. Już mieli usiąść, gdy z dołu dobiegł krzyk.

– Chcą, żebyśmy zeszli? – spytała Sianna. Natarczywość okrzyków nie pasowała do święta.

– Uciekajcie! – Teraz usłyszeli wyraźnie. – Nadchodzą – musicie uciekać!

– To Tuarim! – zawołała Lysanda, patrząc w dół. – Co tam się stało?

Gawen skoczył na równe nogi, wiedziony nakazem żołnierskiego szkolenia, które, jak mniemał, bezpowrotnie odeszło w przeszłość. Jego dłoń pewnie zamknęła się na rękojeści miecza. Sianna zaczęła coś mówić, potem, gdy spojrzała mu w oczy, bez słowa stanęła u jego boku.

– Mów. – Ruszył w stronę młodego druida, który biegiem pokonał skłon i teraz słał się z wysiłku na płaskim wierzchołku wzgórza.

– Ojciec Paulus i mnisi – wysapał Tuarim. – Mają sznury i młoty. On mówi, że obalą święte głazy na Torze!

– To starzy ludzie – rzekł uspokajająco Gawen. – Staniemy między nimi a kręgiem. Nie ruszą nas, nie wspominając o kamieniach, nawet jeśli rozum im odjęło. – Wiedział już, że od

roku chrześcijanami rządzi ojciec Paulus, lecz trudno mu było uwierzyć, że łagodni mnisi, z którymi muzykował, stali się takimi fanatykami pod wpływem jego grzmiących upomnień.

– Nie oni... – wybuchnął Tuarim. – To żołnierze. Gawenie, musisz uciekać. Ojciec Paulus posłał do Devy po Rzymian!

Gawen odetchnął głęboko, serce tłukło mu się w piersiach – miał nadzieję, że nikt nie dostrzeże jego wzburzenia. Wiedział, jak Rzymianie postępują z dezertkami. Przez chwilę rozważał myśl o ucieczce. Ale już raz to zrobił. Nadal palił go wstyd, bo porzucił wojnę, która nie była jego, i armię, której nie złożył przysięgi – jak mógłby żyć, gdyby opuścił lud, który pozdrowił go imieniem Pendragona na Świętym Torze?

– Dobrze! – Zmusił usta do uśmiechu. – Rzymianie są rozsądni i mają rozkazy chronić wszystkie religie. Wyjaśnię im sprawę i oni sami powstrzymają nazarejczyków przed obaleniem kamieni.

Twarz Tuarima wygładziła się. Gawen wypuścił powietrze z płuc, mając nadzieję, że jego słowa się sprawdzą. A potem było już za późno na zmianę zdania, gdyż sam ojciec Paulus, z twarzą czerwoną z wysiłku i furii, ukazał się na szczycie.

– Gawenie! Synu, mój synu, cóż oni ci uczynili? – Kapłan postąpił krok w jego stronę, załamując ręce. Za nim pojawili się trzej jego bracia. – Zmusili cię do oddania pokłonu swoim bałwanom? Czy ta nierządnicza skłoniła cię do hańby i grzechu?

Rozbawienie Gawena przerodziło się w gniew. Stał między Sianną a starcem.

– Do niczego nie zostałem zmuszony, i nie będę! A ta kobieta jest moją oblubienicą, więc trzymaj plugawy język za zębami! – Reszta nazarejczyków dotarła na szczyt. Istotnie mieli młoty i liny plecione z pasów skóry. Gawen ruchem ręki kazał Tuarimowi zabrać Siannę.

– Ona jest demonem, siłami wielkiego Kusiciela, który poprzez Ewę wydał ludzkość na pastwę grzechu! – wykrzyknął ojciec Paulus. – Ale jeszcze nie jest za późno, chłopcze. Nawet błogosławiony Augustyn okazał skruchę, choć całą młodość żył w grzechu. Jeśli ukorzysz się, ten jeden błąd nie będzie ci policzony. Odstap od niej, Gawenie. – Wyciągnął rękę. – Pójdź ze mną! – Gawen patrzył na niego w zdumieniu.

– Ojciec Józef był świętym mężem, błogosławionym duchem, który głosił ewangelię miłości. Jego być może bym posłuchał, ale on nigdy nie wyrzekłby takich słów. Tobie, starcze, odjęło rozum! – Popatrzył wściekle na braci, a w jego spojrzeniu było coś, co zmusiło ich do cofnięcia się o krok. – Teraz moja kolej wydawać rozkazy! – zawołał i poczuł, że spowija go astralna obecność królewskiego płaszcza. – Przybyliście do nas jako suplikanci, a my udzieliliśmy wam schronienia i pozwoliliśmy zbudować kościół obok naszego świętego wzgórza. Ale Tor należy do starych bogów, którzy strzegą tej krainy. Nie macie prawa tu przebywać; wasze stopy bezczeszczą świętą ziemię. I mówię wam, odejdźcie, żeby potężne moce, które zwiecie demonami, nie pokarały was śmiercią!

Podniósł rękę, a mnisi skulili się, jakby dzierżył w niej miecz. Gawen uśmiechnął się pośepnie. Za chwilę mieli wziąć nogi za pas. Wtedy usłyszał grzechot kamieni pod podkutymi sandałami. Przybyli Rzymianie.

Było ich dziesięciu, pod dowództwem spoconego decuriona, z krótkimi oszczepami *pilum* w każdej ręce. Z równą nienawiścią patrzyli na złych nazarejczyków i wściekłych druidów.

Decurion zerknął na złote hafty Gawena, najwyraźniej uznał, że to znak rangi, i zwrócił się do niego:

– Szukam Gajusza Macelliusza Sewera. Ci mnisi przysłali wieści, że go przetrzymujecie.

Ktoś za Gawenem sapnął, potem zapadła cisza. On potrząsnął głową, mając nadzieję, że ten człowiek nie jest w Brytanii na tyle długo, by poznać, jak wyraźnie jego rysy zdradzają rzymskie pochodzenie.

– Odprawiamy obrzędy naszej religii – rzekł spokojnie. – Nikogo nie przetrzymujemy.

– A kim ty jesteś, że tak mówisz? – Decurion skrzywił się pod hełmem.

– Zwę się Gawen, syn Eilan...

– Głupcze! – zawołał ojciec Paulus. – Sam Gajusz do ciebie przemawia!

Rzymianin szeroko otworzył oczy.

– Panie – zaczął – przysłał nas twój dziadek...

– Pojmać go! – wtrącił Paulus. – To dezterter z waszej armii!

Szereg żołnierzy zafalował niespokojnie. Druidzi nie spuszczaali z nich oczu. Ojciec Paulus pchnął jednego z braci w kierunku kamiennego kręgu.

– Ty jesteś młody Macelliusz? – Decurion patrzył na Gawena niepewnie.

Gawen odetchnął z ulgą. Jeśli to tylko dziadek pragnął z nim mówić, mógłby z tego wybrnąć.

– To moje rzymskie imię, ale...

– Gdzie służyłeś? – warknął Rzymianin.

Gawen odwrócił się, gdy usłyszał huk młota uderzającego w kamień. Dwaj mnisi okręcili sznurami kolumnę i szarpali zawzięcie, podczas gdy trzeci kołysał drugim głazem.

– Bacność, żołnierzu, i odpowiadaj!

Przez trzy długie miesiące Gawen przyzwyczał się reagować na taki ton. Nim zdążył pomyśleć, jego ciało przyjęło sztywną postawę, która mogła być wynikiem jedynie wojskowej musztry. W następnej chwili próbował się rozluźnić, ale szkoda już została uczyniona.

– Nie złożyłem przysięgi! – zawołał.

– Inni to osądzą – oznajmił decurion. – Pójdiesz z nami.

Od strony kręgu dobiegł huk i zgrzyt łupanej skały. Gawen odwrócił się, słysząc kobiecy krzyk. Zobaczył, jak filar w dwóch częściach upada na ziemię.

– Panie, powstrzymaj ich! – zawołał. – Nie wolno bezcześcić świątyni, a to jest święta ziemia!

– To są druidzi, żołnierzu! – splunął nazarejczyk. – Myślisz, że Paulinus i Agrykola wyłapali ich wszystkich? Rzym nie toleruje tych, którzy używają magii przeciw niemu. Druidzi są wyjęci spod prawa, a ich obrzędy zakazane. Twoim obowiązkiem jest zniszczyć wszystkich, którzy pozostali! – Skoczył ku drugiej kolumnie, która zaczynała kołysać się alarmująco, i zaczął pchać z całej siły. Mnisi z młotami, ośmieleni powodzeniem, zaatakowali następny kamień.

Gawen na ten widok zapomniał o własnym bezpieczeństwie, a wszystkie wspomnienia Rzymu zatopił przyływ królewskiego gniewu. Lekceważąc rozkazy decuriona, ruszył do kręgu.

– Paulusie, to miejsce należy do moich, nie do twoich bogów. Odejdź od tego kamienia! – Przemawiał nie swoim głosem; dźwięk wibrował w kamieniach. Inni mnisi pobledli i cofnęli się trwożliwie, ale Paulus wybuchnął śmiechem.

– Demonie, odmawiam! *Satanas, retro me!* – Naparł na kamień.

Gawen zacisnął ręce na jego kościstych ramionach; oderwał go od głazu i rzucił na ziemię. Gdy się wyprostował, usłyszał znajomy zgrzyt *gladiusa* dobywanego z pochwy. Odwrócił się, sięgając po własny miecz.

Legioniści pochylili włócznie, a Gawen rozprostował palce. Miał mętlik w głowie. Nie rozleję krwi na uświęconej ziemi! Nie wyświęcili mnie na wodza, lecz na świętego króla.

– Gajuszu Macelliuszu Sewerze, w imię cesarza nakładam na ciebie areszt. Złóż broń! – Głos decuriona dudnił w dzielącej ich przestrzeni. Rzymianin machnął mieczem.

– Pod warunkiem, że aresztujesz także ich. – Gawen wskazał na mnichów.

– Twoja religia jest zakazana, a ty jesteś zdrajcą – warknął oficer. – Oddaj miecz, bo każę ludziom zakłuć cię tam, gdzie stoisz.

To moja wina, pomyślał z odrętwieniem Gawen. Gdybym nie zapragnął poznać Rzymu, nigdy by się nie dowiedzieli o Avalonie!

Ale teraz wiedzą, odparła buntownicza część jego duszy. Po co tracić życie dla paru kamieni?

Gawen popatrzył na głazy. Gdzie była magia, która promieniowała z jednego na drugi, kiedy pojawił się Merlin? Były tylko skałami, dziwnie nagimi w świetle dnia, a on był głupcem łudzącym się, że jest królem. Ale nawet jeśli wszystko inne mijало się z prawdą, na tym kamiennym ołtarzu Sianna oddała mu swoją miłość. Choćby z tego względu nie mógł pozwolić, by został on zbrukany niegodnymi lękami ojca Paulusa. Poza szeregiem żołnierzy zobaczył Siannę i próbował pocieszyć ją uśmiechem, potem, żeby jej rozpacz nie odebrała mu odwagi, szybko odwrócił wzrok.

– Nigdy nie złożyłem przysięgi cesarzowi, za to przysiągłem bronić tego świętego wzgórza! – rzekł cicho, a starożytny miecz podarowany mu przez ludzi z bagien – ledwie zeszłej nocy – gładko wsunął się do jego ręki.

Decurion skinął. Słońce zaśniło na ostrym szpicu *pilum*. Potem rzucony kamień zadzwonił na żelaznym hełmie, i *pilum*, ciśnięte zbyt szybko, chybiło celu.

Druidzi nie byli uzbrojeni, ale na szczycie Toru leżało mnóstwo kamieni. Grad pocisków posypał się na legionistów, którzy przystąpili do ataku. Gawen zobaczył, jak przeszyty włócznią Tuarim osuwa się na ziemię. Kapłanki, dzięki bogom, zabrały Siannę.

Trzech żołnierzy ruszyło na niego, z przygotowanymi tarczami i mieczami. Gawen ugiął nogi w kolanach, przyjmując obronną postawę, odbił pierwszy cios z wprawą nabytą dzięki mistrze Rufina, i pchnął sztychem. Miecz przeciął rzemienie łączące brązowe płyty pancerza i zagłębił się w boku Rzymianina, który z wrzaskiem runął na ziemię. Gawen obrócił się w miejscu i ciął następnego. Przednia stal miecza przebiła napierśnik; zdumienie, jakie odmalowało się na twarzy legionisty, mogłoby wywołać uśmiech, lecz Gawen nie miał na to czasu. Atakował go trzeci żołnierz. Rzymianin znalazł się zbyt blisko, uniemożliwiając złożenie się do powtórnego ciosu. Gdy wrogie ostrze opadało, nieszkodliwie muskając mu plecy, Gawen wbił głownię pod zbroję, sięgając do samego serca.

Upadające ciało niemal wyrwało mu broń z ręki, na szczęście zdążył ją wyszarpnąć. Czterech młodych druidów leżało na ziemi. Z pomocą przybyło paru ludzi z bagien, jednak ich strzałki i strzały nie na wiele się zdały przeciwko zbrojom Rzymian.

– Uciekajcie... – Nagłaço pomachał ręką. Czemu ci durnie nie odeszli, kiedy jeszcze był czas? Druidzi jednak nie myśleli o ucieczce. Wykrzykując jego imię, próbowali przebić się do jego boku.

Atak Gawena był dla Rzymian kompletnym zaskoczeniem. Jeden legł pod jego pierwszym pchnięciem; drugi zdążył osłonić się tarczą i ciął na odlew. Miecz drasnął ramię Gawena, ale on nie czuł bólu. Zachwiał się, pchnięty w plecy, chwilę później odzyskał równowagę i potężnym zamachem odrąbał rękę napastnika. Pozostało pięciu i decurion; teraz byli ostrożniejsi, ale mimo wszystko miał jeszcze szansę. Dziko szczerząc zęby, zasypał przeciwnika gradem szybkich ciosów, aż wióry sypały się z tarczy.

Niebieskie smoki na jego rękach były teraz szkarłatne, i choć nadal nie odczuwał bólu, duża część przelanej krwi należała do niego. Zamrugnął, gdy przesunęła się nad nim fala cienia. Odskoczył, ociężale i niezbyt zwinnie, przed zamachem miecza. Zaryzykował ponowne spojrzenie w górę, gdzie na czyste niebo napływała ciemna mgła. To nie upływ krwi zaćmiewał mu wzrok.

Caillean i Sianna, pomyślał z ponurym zadowoleniem. One ich rozgromią. Muszę wytrwać.

Nadal miał pięciu przeciwników. Jego miecz błysnął, gdy zatoczył nim koło. Napastnik odskoczył, a Gawen wybuchnął śmiechem. Raptem, jak grom z jasnego nieba, poczuł cios między łopatkami. Pochylił się i runął na kolana, zastanawiając się, co ciągnie go ku ziemi, czemu tak trudno mu oddychać.

Potem spojrział w dół i zobaczył wystający z piersi złowrogi grot *pilum*. Pokręcił głową, nie wierząc własnym oczom. Zapadała ciemność, ale nie na tyle szybko, by powstrzymać rzymskie miecze od klucia jego pleców, nóg i ramion.

A potem mrok zasnuł mu oczy. Gwiazdny miecz wysunął się z pozbawionej czucia dłoni.

– Sianna... – wyszeptał i z westchnieniem, jak wówczas, kiedy składał życie w ramiona ukochanej, osunął się na świętą ziemię Avalonu.

## 8

– Żyje?

Caillean niezwykle delikatnie przyłożyła dłoń do piersi Gawena. Jej wewnętrzne zmysły, szukające życiowej siły, znalazły jedynie jej cień. Musiała sprawdzić puls, aby zyskać pewność.

– Żyje... – wychrypiała – choć tylko bogowie wiedzą dlaczego. – Tyle krwi! Ziemia na świętym Torze była nią przesiąknięta. Ile trzeba będzie deszczu, aby ją splukać?

– Moc króla trzyma go przy życiu – domyśliła się Riannon.

– Nawet królewskie męstwo nie mogło zdzierżyć takiej przewagi – powiedział Ambios. On też został ranny, na szczęście niezbyt poważnie. Poległo kilku jego towarzyszy, ale Rzymianie również zginęli, kiedy zapadła czarodziejska ciemność i tylko wzrok ducha mógł odróżnić przyjaciela od wroga.

– Powinam tam być – wyszeptała Caillean.

– Uratowałaś nas. Wezwałaś cień... – powiedziała Riannon.

– Zbyt późno... – Zabrakło jej tchu. Ciemność już przeminęła. Nie mogła tego widzieć, mając oczy zalane łzami. – Zbyt późno, aby uratować jego... – Była w swojej chacie, odpoczywając przed późniejszymi obrzędami, kiedy nadciągnęli Rzymianie. Wszyscy jej powtarzali, że to nie jej wina. Skąd mogła wiedzieć?

Żadne usprawiedliwienie nie mogło jednak zmienić faktu, że Eilan zmarła, ponieważ przed dziesięciu laty Caillean nie zdążyła na czas do Vernemeton. A teraz syn Eilan, którego nauczyła się kochać, leżał umierający, ponieważ nie była przy nim, gdy najbardziej jej potrzebował.

– Można go przenieść? – zapytała Riannon.

– Może – odparła Marged. Musieli pospieszyć do uzdrowiacza. – Ale niezbyt daleko. Lepiej byłoby zbudować nad nim szałas. Jeśli przetniemy drzewce, będzie można ułożyć go na plecach. To przyniesie mu pewną ulgę.

– Nie można tego wyciągnąć? – zapytał Ambios drżącym głosem.

– Jeśli to zrobimy, umrze od razu.

Szybko, nieświadom tego, co się z nim dzieje, pomyślała Caillean, nie później, w wielkich boleściach. Wiedziała jaka śmierć czeka ludzi o przebitych płucach. Natychmiastowe wyciągnięcie *pilum* byłoby dużo lepsze. Ale, aczkolwiek krótko, Gawen był Pendragonem, a zgony królów, podobnie jak Najwyższych Kapłanek, nie przypominały śmierci innych ludzi.

Powiedziała sobie, że Sianna musi mieć okazję pożegnać się z ukochanym. W głębi serca wiedziała, że na podjęciu takiej, a nie innej decyzji zaważyło jej własne pragnienie usłyszenia ostatniego słowa wychowanka.

– Przyniescie tutaj szałas, jaki rankiem zbudowaliście dla niego. Przetniemy drzewce *pilum* i opatrzymy go najlepiej, jak zdołamy.

Caillean odstąpiła od rannego i powoli ruszyła wokół kręgu. Podczas gdy Gawen walczył z Rzymianami, nazarejscy mnisi kontynuowali dzieło zniszczenia. Kolumny strzegące wejścia zostały powalone, wraz z trzema mniejszymi głazami, a w kamieniu ołtarzowym widniała wielka szczerba. Wiedzona długotrwałym nawykiem posuwała się zgodnie z biegiem słońca, lecz moc, która powinna budzić się w miarę jej ruchu i przemieszczać się płynnie z kamienia na kamień, wzbierała ospale bez siły czy kierunku. Jak Gawen, Tor został okaleczony i moc wyciekała przez zranione kamienie.

Caillean zwolniła, jak gdyby jej serce nie miało już siły tłoczyć krwi. Wyczuwała jego pospieszne, nierówne trzepotanie. Może ja także umrę. W tej chwili ta myśl nie sprawiała jej przykrości.

Na zewnątrz kręgu, na prowizorycznym posłaniu leżał Gawen, umyty i opatrzony. Obok niego czuwała Sianna. Powstrzymali krew płynącą z innych ran, lecz grot włóczni nadal tkwił w jego piersiach, a duch błąkał się na pograniczu śmierci i snu. Caillean siłą powstrzymała się od sprawdzenia, czy jego stan nie uległ zmianie. Gdyby się przebudził, ktoś by ją zawołał; nie chciała odbierać Siannie pociechy, którą dziewczyna mogła czerpać z samotnego czuwania u boku kochanka.

Zachodzące słońce ozłociło dolinę, płonęło w mgle, która zaczynała otulać niższe pagórki. Nic nie poruszało się na wodnych łąkach ani na wyspach porośniętych drzewami. Wszędzie, gdzie spojrzała, panował spokój. To złudzenie, pomyślała. W taki dzień winna szaleć burza i pożoga!

Wstrząsnęła nią fala nienawiści, gdy jej spojrzenie przesunęło się na wybielone deszczem chaty wokół kościółka ojca Józefa. Paulus unicestwił marzenie starca o dwóch wspólnotach żyjących w pokoju i odrębnymi ścieżkami zmierzających do wspólnego celu. Nawet tam nikogo nie dostrzegła. Ludzie z bagien donieśli, że mnisi uciekli po zapadnięciu ciemności, modląc się rozpaczliwie o ratunek przed demonami, które sami przywołali.

Za kościołem biegła droga na północ, do Aquae Sulis. Była teraz biała i pusta i minie sporo czasu, pomyślała, nim stary Macelliusz zacznie martwić się o żołnierzy i wysła następny oddział na poszukiwania.

Gawen zabił pięciu, a gdy zapadł magiczny mrok, uzbrojeni w małe noże ludzie z bagien rozprawili się z resztą. Ciała zabitych powlekli na bagna i potopili je, żeby dłużej nie brukały Toru. Ale mnisi niewątpliwie wyruszyli w drogę, aby powiadomić Rzymian, i armia otrzymała dokładne sprawozdanie z wydarzeń.

Przyjdą i dokończą to, co zaczęło się masakrą na Wyspie Monie, kiedy byłam dzieckiem. Zakon druidów zostanie unicestwiony, służba naszej Bogini odejdzie w przeszłość... Była to myśl trudna do zniesienia. Caillean stała, patrząc na ścielącą się u jej stóp krainę, gdy słońce, kryjąc się za widnokregiem, pogrążyło świat w ciemności.

Było już całkiem ciemno, gdy dotknięcie czyjejś ręki przywołało do rzeczywistości. Nie przybyło jej nadziei, ale chwila oderwania od spraw doczesnych przyniosła nieco spokoju.

– O co chodzi? Czy Gawen...

Riannon pokręciła głową.

– Nadal śpi. To my cię potrzebujemy. Pani, są tu wszyscy druidzi i kapłanki-nowicjuszki. Boją się; niektórzy chcą uciec przed powrotem Rzymian, inni chcą zostać i walczyć. Przemów do nich, powiedz nam, co mamy zrobić!

– Powiedzieć wam? – Caillean potrząsnęła głową. – Myślisz, że moja magia jest tak potężna, iż starczy wyszeptać zaklęcie i wszystko będzie dobrze? Nie mogłam uratować Gawena – czemuż myślisz, że zdołam dopomóc wam? – W przyćmionym świetle zobaczyła ból na twarzy Riannon i zduśliła dalsze słowa cisnące się na usta.

– Ty jesteś Panią Avalonu! Nie możesz zamknąć się w sobie dlatego, że utraciłaś nadzieję. Nęka nas ta sama rozpacz, a ty zawsze uczyłaś nas, że nie wolno ulegać uczuciom, że należy odnaleźć spokój i pozwolić, by decyzje podejmował nasz duch wieczysty...

Caillean westchnęła. Czuła się tak, jakby jej duch umarł, kiedy Paulus przewalał święte głązy, ale nadal wiązały ją obowiązki. To prawda, pomyślała, że najsilniejsze są te łańcuchy, które sami wykuwamy.

– Dobrze – odezwała się w końcu. – Ta decyzja zmieni życie nas wszystkich. Nie mogę podjąć jej za was, ale przyjdę i wspólnie naradzimy się, co począć.

Jeden po drugim, druidzi stanęli w poszarpanym kręgu. Ambios przyniósł siedzisko i Caillean opadła na nie ciężko. Dopiero teraz ogarnęło ją znużenie. Nauczyła się ignorować potrzeby ciała, lecz w tej chwili ciążył jej każdy jeden rok z przeżytych sześćdziesięciu lat.

Kilka lamp oliwnych stało na ziemi. W migotliwym świetle na twarzach obecnych zobaczyła odbicie własnej udręki i lęku.

– Nie możemy tu zostać. Niewiele wiemy o Rzymianach – zaczął Ambios – ale wszyscy słyszeliśmy, jak karzą tych, którzy atakują ich żołnierzy. W czasie wojny sprzedają jeńców na niewolników, a w czasie pokoju buntownicy są traceni na krzyżach...

– Nam, Brytom, nie wolno nosić broni, żebyśmy nie użyli jej przeciwko nim – odpowiedział inny.



– Dziwisz się? – zapytała Riannon z pełną goryczy dumą. – Popatrz, jakie straty sam Gawen zadał im swoim orężem! – Wszyscy odwrócili głowy, aby spojrzeć na nieruchome postacie w szalasię.

– To pewne, że nie będą mieli dla nas miłosierdzia – powiedziała Eiluned. – Słyszałam opowieści o tym, co zrobili kobietom z Mony. Leśny Dom powstał, aby dać schronienie tym, którzy przetrwali. Nie powinniśmy byli go opuszczać.

– Obecnie Vernemeton leży w ruinie – rzekła zmęczonym głosem Caillean. – Przetrwał tak długo tylko dzięki temu, że stary arcydruid, Ardanos, przyjaźnił się z kilkoma możnymi i wpływowymi Rzymianami. Od czasu pogromu żyliśmy tutaj w pokoju, bo wrodzy nam ludzie nie wiedzieli o naszym istnieniu.

– Jeśli nie opuścimy Avalonu, zostaniemy wybici albo sprzedani w niewolę. Ale dokąd możemy uciec? – zapytała Marged. – Nawet góry Demetii nas nie ukryją. Czy mamy prosić ludzi z bagien, żeby zbudowali nam łódki, którymi wyprawimy się na wyspy za zachodnim morzem?

– Niestety – westchnęła Riannon – biedny Gawen dotrze do nich przed nami.

– Moglibyśmy uciec na północ – podsunął Ambios. – Kaledonowie nie kłaniają się Rzymianom.

– Robili to w czasach Agrykoli – powiedział Brannos. – Kto zaręczy, że jakiś ambitny cesarz nie zechce upokorzyć ich ponownie? I lud z północy ma własnych kapłanów. Może nie przyjąć nas chętnie.

– Zatem istnienie Zakonu Druidów w Brytanii dobiegło kresu – podsumowała Riannon. – Musimy odesłać dzieci przyjęte na naukę z powrotem do rodzin, a sami w pojedynkę szukać ocalenia.

Brannos pokręcił głową.

– Za stary jestem na takie eskapady. Zostanę tutaj. Rzymianie będą mieli uciechę, łamiąc moje suche gnaty.

– I ja zostanę – oznajmiła Caillean. – Pani Eilan zobowiązała mnie do pełnienia służby Bogini na tym świętym wzgórzu. Nie złamię danego jej słowa.

– Matko Caillean! – zaczęła Lysanda. – Nie możemy zostawić... – Przerwał jej inny dźwięk. Sianna podniosła się i wołała do nich:

– Gawen się ocknął! Musicie przyjść!

Dziwne, pomyślała Caillean. Zmęczenie nie opuściło jej, ale to przestało być ważne. Pierwsza dotarła do Gawena, uknęła u jego boku i przesunęła ręce nad jego ciałem, żeby wyczuć siłę życia. Była ona stabilniejsza, niż mogła się spodziewać. Pomyślała, że przecież Gawen jest młody i w dobrej kondycji. Ciało nie odda ducha bez walki.

– Już mu opowiedziałam, co się wydarzyło po tym, jak popadł w omdlenie – oznajmiła cicho Sianna, gdy inni się przybliżyli. – A co wy postanowiliście?

– Nie ma schronienia dla zakonu – rzekł Ambios. Zerknął na blade oblicze Gawena i szybko odwrócił wzrok. – Musimy rozproszyć się i żywić nadzieję, iż Rzymianie nie uznają nas za wartych zachodu i nie zarządzają polowania.

– Gawena nie wolno ruszać, a ja go nie zostawię! – zawołała Sianna.

Caillean zobaczyła konwulsyjny ruch rannego i przykryła ręką jego dłoń.

– Nie ruszaj się! Musisz oszczędzać siły!

– Po co? – wyszeptał Gawen. Zdumiewające, w jego oczach skrzyły się iskry humoru. Przeniósł spojrzenie na Siannę. – Jej nie wolno narażać... dla mnie...

– Nie porzuciłeś świętych kamieni – powiedziała Caillean.

Spróbował zaczerpnąć powietrza i skrzywił się z bólu.

– Zatem było tam coś... do obrony. Teraz... już po mnie.

– Co będzie trzymać mnie na tym świecie, gdy ciebie na nim nie stanie? – krzyknęła Sianna, pochylając się nad nim. Jasne włosy spłynęły welonem na jego poranione ciało, jej ramionami wstrząsnął szloch. Gawen z bólem zdał sobie sprawę, że brak mu siły, aby podnieść zdrową rękę i uściskiem dodać jej otuchy.

Caillean, którą oczy szczypały od łez, położyła dłoń na ramieniu Sianny. Nagle poczuła mrowienie na skórze. Podniosła głowę i zobaczyła migotliwy owal w powietrzu, a w środku smukłą postać Królowej Czarownej Krainy.

– Jeśli kapłanka nie może cię chronić, córko, zatem musisz wrócić do Czarownej Krainy, wraz z tym mężczyzną. Nie umrze, jeśli znajdzie się pod moją opieką w Innym Świecie.

Sianna wyprostowała się; w jej oczach nadzieja walczyła z rozpaczą.

– I wróci do zdrowia?

Ciemne oczy czarodziejki spoczęły na Gawenie. Wyrażały nieskończone współczucie i nieskończony smutek.

– Nie wiem. Może za jakiś czas – bardzo długi czas, mierząc ludzką miarą.

– Ach, Pani – wyszeptał Gawen – jesteś dla mnie dobra, ale nie rozumiesz, o co prosisz. Chciałabyś obdarzyć mnie nieśmiertelnością starszej rasy, lecz cóż ja bym z tego miał? Nie kończące się cierpienie zranionego ciała i cierpienie ducha, kiedy wracałbym myślami do ludu Avalonu i zbezczeszczonych kamieni. Sianno, umiłowana moja, nasza miłość jest wielka, jednak tego by nie przetrwała. Chciałabyś do tego dopuścić? – Zakaszłał. Plama czerwieni na bandażach na jego piersiach wyraźnie pociemniała.

Łkając, pokręciła głową.

– Mogłabym zabrać ci te wspomnienia – powiedziała jej matka.

Gawen wyciągnął rękę, na której wił się królewski smok. Ciemne sploty silnie kontrastowały z bielą skóry.

– To też możesz zabrać? Wówczas byłbym martwy, bowiem to, co by zostało, już nie byłoby mną. Nie godzę się na ratunek, który nie obejmie druidów i świętych kamieni.

Czy jego ojciec posiadał tę mądrość? – zastanowiła się Caillean. Jeśli tak, Eilan wiedziała więcej ode mnie, a ja myliłam się w ocenie wszystkich tych lat. Zrozumiała to dopiero teraz.

Królowa obrzuciła ich spojrzeniem pełnym smutku.

– Jeszcze zanim wysoki lud przebył morze, przyglądałam się ludzkiemu rodzajowi i starałam się go poznać. Mimo wszystko nadal was nie rozumiem. Posłałam między was swoją córkę, aby nauczyła się waszej mądrości, a ona wraz z nią przyswoiła sobie wasze słabości. Widzę, że jesteście w rozpacz, dlatego zdradzę wam sposób, w który można uratować kapłanki i druidów Avalonu. To będzie trudne, nawet niebezpieczne, i nie mogę ręczyć za skutek, gdyż niewiele razy w swoim długim życiu słyszałam o podjęciu takiej próby. Nie zawsze się udała.

– Jakież inne wyjście? Matko, co masz na myśli?

Caillean przysiadła na piętach, mrużąc oczy. Zdawało jej się, że o tym rozwiązaniu napomykały stare opowieści.

– Istnieje możliwość oddzielenia tego Avalonu, który zamieszkujecie, od reszty ludzkiego świata. Rzymianie będą mogli zobaczyć tylko wyspę Inis Witrin, gdzie nazarejczycy mają swój kościół. Dla was będzie istniał drugi Avalon, przesunięty na tyle, że jego czas będzie biegł odrębnym torem; Avalon nie leżący ani w Czarownej Krainie, ani w ludzkim świecie. Przed wzrokiem śmiertelnika skryje go mgła mocy, którą będą mogli przebyć jedynie ci nauczeni jej przekształcania. – Jej tajemnicze spojrzenie zatrzymało się na Caillean. – Pojmujesz, Pani Avalonu? Ośmielisz się zaryzykować dla dobra tych, których kochasz?

– Jestem gotowa – odparła chrapliwie – nawet gdyby to miało mnie zabić. Poważę się w imię wiary, której przysięgam.

– Można tego dokonać tylko w czasie spiętrzenia przyływów mocy. Jeśli postanowicie czekać do dnia letniego przesilenia, wrogowie zdążą was pokonać, a poza tym nie sądzę, by Gawen dożył tego czasu.

– Przecież dopiero co zaczął cofać się przyływ Beltane, a obrzęd odprawiony zeszłej nocy wzbudził wielką moc – powiedziała szybko Caillean. – Zróbmy to teraz.

Zapadła noc, nim się przygotowali. Nie mieli możliwości przeniesienia całej Doliny Avalonu; już wpłynięcie na siedem świętych wysp było zadaniem niemal niewyobrażalnym. Caillean rozesłała pary kapłanów i kapłanek do węzłowych punktów mocy, gdzie rozpalono ogień z węgla ogniska Beltane. Pozostali zgromadzili się na Torze.

W chwili, gdy układ gwiazd oznajmił północ, Brannos stanął na szczycie i zadał w róg. Jego sękate ręce nie mogły już grać na harfie, ale płuca miał zdrowe i silne. Dźwięk, z początku cichy, stopniowo nabierał siły, jakby czerpał ją z samej nocy, przepelniał ciemność muzyką; Caillean pomyślała, że echo odbija się od samych gwiazd. Przebiegło ją drzenie wywołane chłodem nadciągającego transu. Zastanowiła się nad naturą potężnego brzmienia: nie mogła być fizyczna, czyż bowiem dźwięk wytworzony przez człowieka mógłby wypełnić

świat? I jakimi zmysłami ciała mógłby zostać odebrany? To, co słyszał jej duch, było manifestacją wyszkolonej woli starego druida.

Spojrzała na kromlech. Kamienny krąg został w miarę możliwości naprawiony, obalone kamienie były podparte, a potrzaskane fragmenty powiązано sznurami, lecz dziś prawdziwy krąg mocy tworzyły ludzkie ciała i ludzki duch. Mieszkańcy Avalonu ustawili się wokół świętych głazów – jeden pierścień wewnątrz i drugi na zewnątrz – stanowiąc żywe przedłużenia punktów mocy, którymi były kamienie. Mieli odprawić taniec, na który brakło czasu po południu. Caillean dała znak, by Riannon zaczęła grać.

Melodia dostojna i pełna wdzięku, jak czapla krocząca w sitowiu, była już stara, kiedy druidzi przybyli na tę wyspę. Dwa szeregi tancerzy ruszyły statecznie zgodnie z biegiem słońca, rozdzielając się, aby ominąć kamienie, przesuając między nimi i rozchodząc wokół następnych, i w ten sposób wijący się sznur światła oplótł wyniosłe głazy. Melodia przyspieszała z każdym kręgiem dopełnionym przez tańczących.

Caillean poczuła wzbierający prąd energii, ujrzała blask, manifestację mocy, która wirowała po obwodzie kręgu. Światło burzyło się przy uszkodzonych kamieniach jak woda napotykaląca przeszkodę w łożysku strumienia. Ale woda jest bezmyślna, podąża drogą najmniejszego oporu, natomiast potokiem siły kierowała determinacja tancerzy.

W miarę przyspieszania tempa tańca energia wrywała się z obwodu i, rozrzedzona, promieniowała na zewnątrz. Moc zawarta wewnątrz, niesiona własnym pędem, tworzyła odrębny, wolniejszy wir, załamujący się na wyłamanych kamieniach, ale silny. Najwyższa Kapłanka zakotwiczyła w ziemi Toru wić ducha. Robiła to tyle razy, jednak zawsze była zaskoczona, kiedy moc zaczynała przez nią płynąć.

Powietrze w kręgu gęstniało. Zamrugła; kamienie i tancerzy spowijała falująca złocista mgielka. Caillean podniosła ręce, aby zgromadzić światło. W wymiarze oddalonym ledwie o dech od ziemskiego czekała Królowa Czarownej Krainy. Jeśli druidzi zdołają zgromadzić dość mocy i jeśli Caillean starczy sił, aby ją skoncentrować, czarodziejka użyje jej do wciągnięcia Avalonu między światy.

Energia wzbierała w zawrotnie wirujących falach, coraz bardziej łamiących się na uszkodzonych kamieniach. Caillean walczyła o zachowanie równowagi, wspominając noc, kiedy w czasie burzy wracała na Tor z drugiej strony wody. Łódź tańczyła pod jej stopami, gdy Chodzący Po Wodzie zmagali się z falami i wichrem. Na brzegu przyjazne ręce czekały, aby udzielić pomocy, gdyby tylko Caillean mogła rzucić im linę. Próbowwała, ryzykownie wychylając się za burtę. Na próżno. Uratowało ich chwilowe przycichnięcie wiatru.

Teraz było podobnie. Caillean zachwiała się, pchnięta wzbierającą energią, i nie mogła odzyskać równowagi; zgromadziła moc, lecz nie zdołała nadać jej kierunku.

*Puszczaj!*

Nie wiedziała, czy głos dobiega z tego czy z tamtego świata. Nieważne, i tak nie mogła kontynuować. Gdy osłabła jej wola, nastąpił nieokielznany, chaotyczny wybuch energii i Caillean osunęła się na ziemię.

– Przepraszam... Nie byłam dość silna... – Caillean zdawała sobie sprawę z niewyraźnej mowy. Przetarła oczy, niepewna, czy jest przytomna, czy też to wszystko było snem. Stopniowo świat przestał wirować. Siedziała plecami do kamiennego ołtarza, wokół pochylały się twarze, raz lepiej, raz mniej widoczne. – Przepraszam – powtórzyła silniejszym głosem. – Nie chciałam was przestraszyć. Pomóżcie mi stanąć.

Dzięki bogom, że zachowała dość dawnej dyscypliny, by własnym ciałem powstrzymać powrotny podmuch mocy i nie dopuścić do zdewastowania kręgu. Rozejrzała się. Ludzie wyglądali na wstrząśniętych, ale trzymali się na nogach. Ona czuła się jak stratowana przez tabun koni; na szczęście po pewnym czasie bolesne kołatanie serca zaczęło ustępować.

Jej uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie poza kręgiem. Co oni robią? Czterej młodzi ludzie nieśli Gawena na noszach.

– Taka jego wola. Pani – rzekł Ambios z naciskiem, który znaczył: Nawet konający jest Królem... Przynieśli ławy i złożyli na nich nosze. Napięte mięśnie na policzkach Gawena wygładziły się, gdy wstrząsy ustały. Po chwili otworzył oczy.

Caillean popatrzyła na niego.

– Dlaczego?...

– Aby służyć ci pomocą, kiedy ponowisz próbę... – wyszeptał.

– Jeszcze raz? – Caillean potrząsnęła głową. – Zrobiłam wszystko, co umiem...

– Musimy spróbować inaczej – wtrąciła Sianna. – Czy nie uczyłaś nas mocy triady? Trzy punkty oparcia zawsze są lepsze od jednego.

– Masz na myśli mnie, Gawena i siebie? Dla niego niebezpieczne byłoby nawet przebywanie w kręgu. Kierowanie taką mocą niechybnie go zabije!

– I tak umrę, z ran albo z rąk Rzymian. Słyszałem, że ze śmiercią króla wiąże się wielka magia. Myślę, że umierając, będę miał więcej mocy niż przed tygodniem w pełni zdrowia. Widzisz, teraz pamiętam, kim jestem i kim byłem. Odrobina życia, jaka mi została, jest niewielką ceną za takie zwycięstwo.

– Czy Sianna też tak uważa? – zapytała z goryczą Caillean.

– Jego pokochałam... – Głos Sianny lekko się załamał. – Czy mogłabym mu odmówić? Zawsze był moim królem.

– Odnajdziemy się jeszcze. – Popatrzył na nią, potem na Caillean. – Czy sama nie nauczyłaś nas, że obecne życie to nie wszystko?

Caillean spojrzała mu w oczy, z uczuciem, że zaraz pęknie jej serce. Widziała wyraźnie nie tylko Gawena, ale i Siannę. Poznała, że w oczach dziewczyny płonie duch, który czasami kochała i z którym czasami walczyła – kiedyś, wcześniej.

– Niech tak będzie – zdecydowała z bólem. – Razem podejmiemy ryzyko, gdyż wszyscy troje jesteśmy ogniwami tego samego łańcucha. – Wyprostowała ramiona i powiodła wzrokiem po pozostałych. – Jeśli nie zmieniliście zdania, musicie zająć miejsca wokół kamieni i złapać się za ręce. Tym razem nie będziemy tańczyć, Zniszczone kamienie nie mogą zatrzymać energii. Musicie przesłać ją zgodnie z ruchem słońca przez splecione ręce, gdy zaśpiewamy...

Raz jeszcze cisza zapadła na Torze. Caillean wzięła głęboki oddech, zakorzeniła w ziemi swoją istotę i zaintonowała święty akord. Melodia z początku cicha, nabierała siły, gdy podchwytywały ją kolejne głosy, aż w końcu Caillean zaczęła widzieć wibracje w postaci mgiełki w powietrzu. Gdy brzmienie ustaliło się na równym poziomie, zaprzestała śpiewu. Sianna i Gawen także milczeli, ale czuła, jak chłoną dźwięk, aby skoncentrować się i skupić energię.

Monotonny pomruk podnosił na duchu, albo może to tylko ona zaczynała zapadać w głębszy stan, w którym beznamiętnie mogła obserwować wydarzenia. Pogłębiła koncentrację i zaintonowała drugą nutę akordu.

Kolejne dźwięki powodowały rozjaśnianie się mglistej światłości. Energia wzbudzona przez taniec była silniejsza, ale kapryśna; to światło wydawało się jednolite. Bardziej doświadczeni druidzi zajęli pozycje przy zniszczonych kamieniach, a ich siła równoważyła mniejsze umiejętności pozostałych.

Raz jeszcze Caillean zebrała siły i wyrzuciła w ciężkie powietrze trzecią nutę.

Gdy wyższe głosy młodszych kobiet zakończyły akord, pomyślała, że tym razem musi się udać. W blasku energii rozróżniała tęczowe migotanie, które powoli zaczynało obracać się zgodnie z ruchem słońca. Tej mocy, wznoszonej łagodnie falą własnego przyboru, nie można było opanować, ale wystarczyło nadać jej kierunek.

- Sławię święte głązy Avalonu – zaintonowała w czwartej nucie, podjętej przez chór.
- Sławię krąg światła i pieśni... – odpowiedziała echem Sianna.
- Sławię ducha, który szybuje mimo bólu... – Głos Gawena był zaskakująco silny.
- Święte najwyższe miejsce, które nami włada...
- Zieleni się trawa na jego stokach...
- Płatki kwiecica unosi wiatr...

Głosy wznosiły się kolejno, kontynuując zaklęcie. W tęczowym świetle Caillean ujrzała oderwane widoki Avalonu: mgłę otulającą tafłę jeziora o świtaniu, srebrzyste okruchy światła migocące w południe, skry płomienia wzdłuż sitowia pod koniec dnia. Odrodzone piękno Toru w czasie wiosny, zdobne girlandami kwitnących jabłoni, urodę zielonej pełni lata, spokój cichych szarych mgieł jesieni. Pieśń zwracała się do zielonych wysp, do niebosiężnych dębów i słodczy jagód strzeżonych przez dziką różę.

Nie było podniecenia pierwszej próby, tylko narastająca pewność, że na skrzydłach muzyki wzbijają się w przestworza. Moc zawarta w kręgu rosła, promieniując na zewnątrz do

granic terytorium druidów. Oś wielkiego i powoli obracającego się koła stanowiła trójca stojąca przy kamiennym ołtarzu. Caillean była świadoma obecności kochającego serca Sianny i dzielnej duszy Gawena, i siebie – nie była ani mężczyzną, ani kobietą, tylko jestestwem dążącym do najwyższej mądrości, koncentrującym uwagę na śpiewających towarzyszach.

Teraz zaczęła odnosić wrażenie, że słyszy inny głos, daleki, pełen słodczy, głos z Innego Świata. Jego pieśń również mówiła o Avalonie, ale sławiła piękno niedoścignione i wieczne, właściwe Avalonowi serca, który istnieje między światami.

Nic śmiertelnego nie mogłoby oprzeć się temu wołaniu. Duch Caillean trzepotał niczym skrzydła ledwo opierzonego ptaka, który pragnie wzbić się w przestworza. Drżenie wstrząsnęło ziemią; zachwiała się, zaciskając ręce na kamieniu ołtarza. Grunt pod jej stopami nie był już pewny, ale więź z Gawenem i Sianną stanowiła oparcie, gdy fale wibracji unosiły ją coraz dalej od zwyczajnej rzeczywistości.

Nie widziała już kamienia ani kręgu, tylko swych dwoje towarzyszy, unoszących się w mglistym świetle. Poznała, że opuścili ziemskie ciała, Gawena bowiem otaczała jasność znana jej z minionej nocy. Wyciągnęła do nich ręce i w chwili kontaktu sparzył ją płomień mocy, a potem ogarnął ją wielki spokój.

– Dokonało się... – oznajmił głos gdzieś nad nimi. Podnieśli głowy i zobaczyli Królową Czarownic Krainy taką jaką była ona po drugiej stronie. Opromieniało ją nieziemskie piękno, przy którym to, w które przyoblekała się czasami wśród ludzi, zdawało się ledwie skromnym przebraniem. – Spisaliście się dobrze. Pozostaje tylko wezwać chmury, aby skryły Wyspę Avalon przed światem. Wy, moje dzieci, powinniście wrócić do swoich ciał. Wystarczy, że zostanie pani Avalonu, przyzwyczajona do dłuższego bytowania w sferze dusz. Ona da świadectwo i pozna zaklęcie, które umożliwi przebywanie mgieł w drodze do zewnętrznego świata.

Caillean odstąpiła od swoich towarzyszy. Sianna, uśmiechnięta, zaczęła się odwracać, ale Gawen pokręcił głową.

– Pękł sznur, który wiązał mnie z cielesną powłoką.

Sianna szeroko otworzyła oczy.

– Jesteś martwy?

Ku jej zdumieniu Gawen uśmiechnął się szeroko.

– Czy wyglądam na nieżywego? Poddano się tylko moje ciało. Teraz jestem wolny.

I stracony dla mnie... – pomyślała Caillean. Och, mój słodki chłopcze, mój synu! Chciała go objąć, lecz ręce jej opadły. Teraz był poza jej zasięgiem.

– W takim razie zostanę tu z tobą! – Sianna przywarła doń kurczowo.

– To miejsce to tylko próg – wyjaśniła jej matka – wkrótce zniknie. Gawen musi pójść dalej, a ty powinnaś wrócić do ludzkiego świata.

– Avalon jest bezpieczny! Po co mam wracać?

– Jeśli nie dbasz o życie, którego jeszcze nie przeżyłaś, wróć dla dobra dziecka, które nosisz...

Sianna znów szeroko rozwarła powieki, a Caillean poczuła radosny skurcz w sercu. A więc była jeszcze nadzieja! Gawen promieniał coraz silniejszym blaskiem, wyzwajając się spod władzy ziemskich praw.

– Żyj, umiłowana, żyj i wychowaj nasze dziecko. W ten sposób część mnie pozostanie na tym świecie.

– Żyj, Sianno – poparła go Caillean – jesteś młoda i silna. Będę potrzebować twojej pomocy w trudnych chwilach.

Gawen wziął Siannę w ramiona, tak jasny teraz, że światło przenikało ją na przestrzał.

– To nie potrwa długo. A kiedy nadejdzie twój czas, znów będziemy razem.

– Obiecujesz?

Gawen roześmiał się.

– Tutaj można mówić tylko prawdę... – Gdy wyrzekł te słowa, blask stał się oślepiający.

Caillean zamknęła oczy i usłyszała, jak mówi: *Kocham cię...* I choć te słowa mogły być skierowane do Sianny, usłyszała je w swojej duszy i zrozumiała, że były przeznaczone również dla niej.

Kiedy uchyliła powieki, stała na szerokim błotnistym brzegu, zalewanym przez cofane przyptywem słonawe wody Sabriny. Obok niej stała Królowa Czarownicy Krainy, raz jeszcze w leśnym przebraniu, choć nadal towarzyszyła jej aura wspaniałości z Innego Świata. Noc dobiegała końca i robiło się coraz jaśniej. Nad ich głowami z krzykiem krążyły mewy, a wilgotne powietrze było ciężkie od zapachu odległego morza.

– Już po wszystkim? – zapytała szeptem Caillean.

– Obejrzyj się – padło w odpowiedzi.

Caillean spojrzała za siebie. Pomyślała, że nic się nie zmieniło. Potem zauważyła, że kamienie na Torze są całe i proste, jakby nigdy nie tknęła ich ręka profana, a stok za świętą studnią, gdzie stały chaty ojca Józefa i jego mnichów, jest pusty i zielony.

– Mgły was ochronią – wezwij je...

Caillean popatrzyła na zachód. Nad wodą kłębiły się przejrzyste opary, gęstniejące stopniowo w solidny mur morskiej mgły, jaka podnosi się o świcie.

– Jakim zaklęciem mam ją wezwać?

Pani wyjęła z sakiewki u pasa coś owiniętego pożółkłym płótnem. Była to mała złota tabliczka pokryta dziwnymi znakami. Ich widok przebudził dawne wspomnienia; Caillean wiedziała, że zostały one wypisane przez ludzi, którzy przybyli z potężnych krain teraz spoczywających na dnie morza. A kiedy jej dotknęła, pojęła znaczenie słów, choć nigdy nie słyszała ich uszami śmiertelniczeki.



W oddali gęsta mgła zakrzepła i zaczęła płynąć. Burzyła się, tocząc przez drzewa i trzciny na błotnistym brzegu, a w końcu zawarła Caillean w zimnym uścisku, który złagodził resztki bólu.

Ona podniosła rękę, rozsuwając opary na boki. Spowij nas, otocz nas, wciągnij nas głębiej w mgłę, gdzie nie sięgną nas pomsty ni klątwy żadnego fanatyka i gdzie znajdą nas tylko bogowie. Otocz Avalon mgłą, w której przetrwamy, bezpieczni na wieki!

Zaczął przenikać ją chłód. Na granicy zasięgu wzroku mgła wisiała ciężko nad wodą. Caillean wyczuwała, że za gęstymi oparami nie rozpościera się znajomy krajobraz, widziany niegdyś po drodze z Devy, ale coś niesamowitego, coś tajemniczego, tylko częściowo widocznego dla oczu śmiertelnika.

Była tutaj przez minuty czy godziny? Czuła skurcze i sztywność, jakby na własnych barkach dźwigała cały Avalon po wyboistej drodze.

– Dokonało się. – Głos Królowej zadrżał. Wydawała się mniejsza, jakby też wyczerpana po nocnym znoju. – Twoja wyspa leży między światem ludzi a Czarowną Krainą. Jeśli ktoś wyruszy na poszukiwania, znajdzie tylko świętą wyspę nazarejczyków, chyba że będzie mu znana starożytna magia. Możesz nauczyć zaklęcia parę osób z bagien, jeśli są tego godne. Prócz nich drogę przez mgłę będą mogli pokonywać tylko Wtajemniczeni.

Caillean pokiwała głową. Wilgotne powietrze było rześkie, jakby nowe. Od tej pory mieli mieszkać w czystej krainie, bez zobowiązań wobec książąt i cesarzy, podlegli wyłącznie bogom...

Mówi Caillean:

*Od chwili, gdy spowiły nas czarodziejskie opary, czas Avalonu jał płynąć torem odrębnym od tego, jaki obowiązuje w świecie na zewnątrz. Od Beltane do Samhainu i od Samhainu do Beltane, lata zataczały kręgi, i od owego dnia rozłączenia aż do dnia dzisiejszego stopa profana nie postąpiła na Torze. Gdy spoglądam wstecz, wydaje mi się, że minęło tak niewiele czasu. Ale córka, którą Sianna urodziła Gawenowi, jest teraz dorosłą kobietą i złożyła już przysięgę Bogini. A sama Sianna jest Panią Avalonu we wszystkim prócz imienia.*

*Starzejąc się, zaczęłam odsuwać się od świata. Dziewczęta otaczają mnie troskliwą opieką i nie obruszają się, gdy czasem tę czy ową zawołam imieniem matki. Prawda, wydarzenia przeszłości często są dla mnie bardziej żywe od tych obecnych. Mówi się, że najwyższa kapłanka ma dar rozpoznawania swojego czasu; myślę, że już niedługo będę zajmować to ciało.*

*Od czasu do czasu nowe dziewczęta przychodzą do nas na naukę, sprowadzane przez ludzi z bagien, którzy znają zaklęcie, albo przez nasze kapłanki, które niekiedy wychodzą do świata. Jedne zostają przez rok czy dwa, inne na zawsze, gdy złożą śluby kapłańskie.*

*W Avalonie zachodzą niewielkie zmiany w porównaniu z wypadkami rozgrywającymi się poza naszą Dolinę. Trzy lata po śmierci Gawena cesarz Hadrian osobiście przybył do Brytanii i kazał swoim wojskom wznieść wielki mur w poprzek północnych krain. Ale czy ten wał na zawsze zatrzyma dzikie plemiona na ich bagnach i w górach?*

*Jestem ciekawa. Mury nigdy nie są silniejsze od ludzi, którzy je obsadzają.*

*Oczywiście, ta sama prawda odnosi się do Avalonu.*

*Za dnia rozmyślałam o przeszłości i zeszłej nocy śniłam, że przewodzę obrzędowi pełni księżycy na szczycie Toru. Zajrzałam w srebrną czarę i zobaczyłam odbite tam wizje przyszłych czasów. Widziałam, jak cesarz Antoniusz wyprawia się na północ od Wału Hadriana, by zbudować następny ciąg umocnień w Albie. Rzymianie nie potrafili go utrzymać – porzucili swoje forty i wycofali się ledwie parę lat później. W przyszłości, co zdradziła mi czara, lata pokoju przedzielone będą latami wojny. Konfederacja plemion z północy przedrze się przez Wał i do Brytanii zawita następny cesarz, Septymiusz Sewer, aby zdusić powstanie i znaleźć śmierć po powrocie do Eboracum.*

*W moich wizjach minęło prawie dwieście lat i przez ten cały czas mgły strzegły Avalonu. W południowej Brytanii Brytyjczycy i Rzymianie stopili się w jeden lud. W Rzymie na tron wstąpił nowy cesarz, zwany Dioklecjanem, który postawił sobie za cel uzdrowienie cesarstwa po ostatnich wojnach domowych.*

*Na przemian z widokami rzymskich konfliktów widziałam moje kapłanki, pokolenie po pokoleniu oddające cześć Bogini na Świętym Tonie albo opuszczające Avalon, by zostać żonami książąt i przekazać światu drobinę starej mądrości. Niekiedy wydawało mi się, że jedna przypomina Gawena, druga ma urodę Eilan, a jeszcze inna, drobna i ciemnowłosa, wygląda jak Królowa Czarownej Krainy.*

*Nie zobaczyłam własnego odrodzenia w Avalonie. Według nauk druidów są dusze o nadzwyczajnej świętości, które, uwolnione z ciała przez śmierć, odchodzą na zawsze poza kręgi świata. Nie sądzę, żebym do nich należała. Może Bogini zlituje się i pozwoli, by mój duch strzegł moje dzieci, póki nie przykaże mu odrodzić się w nowym ciele.*

*A kiedy tak się stanie, możliwe, że Gawen i Sianna też przyjdą. Ciekawe, czy się poznamy? Może i nie, ale wydaje mi się, że w nowe żywoty wniesiemy cień wspomnienia naszej dawnej miłości. Może tym razem Sianna będzie mentorką, a ja będę pobierać nauki? Co do Gawena, on zawsze będzie Świętym Królem.*

**CZEŚĆ II**

**NAJWYŻSZA KAPŁANKA**

**A.D. 285-293**

**9**

Padalo od rana; uciążliwa, drobna mżawka nasycala wilgocią płaszcze podróżnych i zasnuwała welonami mgły pobliskie wzgórza. Czterej wyzwolenicy, wynajęci do eskortowania Pani Avalonu do Durnovarii, kulili się w siodłach, a woda skapywała z tęgich dębowych pałek kolebiących się u ich pasów. Nawet młodsze kapłanki i dwaj druidzi naciągnęli głęboko na oczy kaptury opończy z włochatej wełny.

Dierna westchnęła z żalu, że nie może uczynić podobnie. Babka przy wielu okazjach powtarzała jej, że Najwyższa Kapłanka Avalonu musi świecić przykładem, dlatego sama aż do dnia śmierci jeździła konno prosta jak świeca. Dierna mimo chęci nie mogła zlekceważyć wpojonych przykazań. Niekiedy dochodziła do wniosku, że nie zasługuje na zaszczyt wynikający z możliwości prześledzenia swojego pochodzenia aż do siódmego pokolenia wstecz, przez kolejne kapłanki do samej Pani Sianny. Na szczęście tym razem nakazy surowej dyscypliny, narażające ją na niewygodę, miały zakończyć się wraz z wędrówką. Teren wznosił się, częściej też napotykali innych podróżnych. Przed nocą staną w Durnovarii. Miała nadzieję, że dziewczyna, po którą jechali, okaże się warta poniesionych trudów.

Conec, młodszy z druidów, wyciągnął rękę. Dierna zobaczyła za drzewami wdzięczny łuk akweduktu.

– Rzeczywiście, jest cudowny – przyznała – zwłaszcza że mieszkańcy Durnovarii i tak mogą czerpać wodę z miejskich studni. Rzymscy wielmoże zasłynęli ze wznoszenia wspaniałych budowli w swoich miastach. Przypuszczam, że durotriscy książęta chcieli ich naśladować.

– Księcia Eiddina Mynoca bardziej interesuje poprawianie umocnień obronnych – stwierdził Lewal, starszy druid, krępy mężczyzna o włosach koloru piasku. Był uzdrowiaczem i wybrał się do miasta, aby zakupić zioła, które nie rosły w Avalonie.

– I dobrze – wtrącił jeden z wyzwolenców. – Piraci z Kanału z roku na rok dają się nam coraz bardziej we znaki.

– Flota wojenna powinna coś z tym zrobić – dodał drugi. – Po co płacimy podatki Rzymowi?

Młodziutka Erdyfulla trąciła konia nogą i podjechała do Dierny, jakby się obawiała, że banda rabusiów wyskoczy z pobliskiej kępy drzew.

Ze szczytu wzniesienia Dierna zobaczyła miasto leżące na kredowym cyplu nad rzeką. Fosa i wał obronny były takie, jak pamiętała, ale teraz osłaniał je nowy i jeszcze niewykończony mur z kamieni. U stóp urwistego cypla płynęła rzeka, brązowa i milcząca, obrzeżona pasami czarnego błota. Dierna pomyślała, że musi być pora odpływu, i zerknęła w stronę głębszej szarości, tam, gdzie niebo łączyło się z morzeniem. Mewy krzyczały na powitanie, zataczając kręgi nad ich głowami. Druidzi wyprostowali plecy, a konie, wyczuwając stajnie, przyspieszyły kroku.

Dierna pozwoliła sobie na głębokie westchnienie, które zdradziło, z jakim niepokojem wyglądała murów Eiddina Mynoca. W ich obrębie czekał odpoczynek, bezpieczeństwo i ciepło. Teraz mogła pozwolić sobie na rozmyślanie o dziewczynie, z powodu której wyruszyła w tę nużącą podróż.

– Teleri, słuchasz? Dziś będzie wieczerzała z nami Najwyższa Kapłanka. – Głos Eiddina Mynoca zadudnił niczym daleki grzmot.

Teleri zamruwała, odrywając myśli od nadciągającej szybko chwili, w której kapłanki zabiorą ją do Avalonu. Przywołała się do rzeczywistości. Stała w pracowni ojca w Durnovarii i skubała sukienkę jak zakłopotane dziecko.

– Tak, ojciec – odparła w nienagannej łacinie; ksiązę wymagał od wszystkich dzieci opanowania tego języka.

– Pani Dierna przebyła szmat drogi, aby cię zobaczyć, córko. Czy nadal pragniesz z nią wyjechać? Nie zamierzam odwozić cię od tego zamiaru, ale gdy raz podejmiesz decyzję, nie będzie już odwrotu.

– Tak, ojciec – powtórzyła Teleri, a potem, widząc, że ojciec czeka na coś więcej, dodała: – Tak, chcę jechać.

Nic dziwnego, że uznał, iż paraliżuje ją strach, gdy jąkała się jak niewolna kuchta. Ksiązę był pobłażliwym ojcem i nie przymuszał córki do niczego – jej rówieśniczki w większości już dawno zostały wydane za mąż, czy miały na to ochotę czy nie. Z kapłankami było inaczej. Jeśli chciały, brały sobie kochanków w świętych obrzędach i rodziły dzieci, ale nie należały

do żadnego mężczyzny. A poza tym kapłanki Avalonu znały potężną magię. Teleri milczała nie ze strachu, lecz ze szczęścia, które przepelniało ją na samą myśl o świętym wzgórzu.

Zaczęłyby śpiewać, krzyżeć, wirować po komnacie jak szalona, gdyby tylko spróbowała wyznać ojcu swoje prawdziwe uczucia. Tak bardzo pragnęła wyjechać do Avalonu! Aby zapobiec wybuchowi nieokiełznanej radości, spuściła skromnie oczy i krótko odpowiadała na jego irytujące pytania.

Będą tutaj wieczorem! – zaśpiewała w duchu, gdy tylko księżę pozwolił jej się oddalić. Zbudowany według rzymskiego planu dom miał wewnętrzne atrium. Teleri oparła się o filar kolumnady i popatrzyła na złane deszczem kwiaty w donicach. Pomyślała, że przypominają jej życie: są chronione, otoczone troskliwą opieką, ale odcięte od świata.

W atrium była drabina, po której można było wspiąć się na dach. Ojciec kazał ją ustawić, żeby z góry obserwować budowę nowych murów. Teleri podciągnęła spódnice, wdrapała się po drabinie, otworzyła klapę i zwróciła twarz na wiatr. Deszcz siekł jej policzki; przemoczył włosy i spłynął po szyi, tworząc wilgotną plamę na sukience. Nie przejmowała się tym. Mury ojca lśniły blado w strugach deszczu, a nad nimi widać było szary wał wzgórz.

– Niedługo zobaczę, co leży za wami – wyszeptła. – A potem będę wolna!

Dom, w którym stawał księżę Durotrigów podczas odwiedzin w plemiennym mieście, przypominał budowle Rzymian, ale zdobili go miejscowi rzemieślnicy, próbujący w rzymskim stylu oddać postaci z własnych wierzeń. Wnętrza urządzone lekceważąc wyrafinowane gusty, ale wygodnie. Grube pasiaste kobierce pokrywały zimne płyty posadzki, leżankę zaścierała narzuta ze zszytych lisich futer. Dierna popatrzyła tęsknie na skóry, wiedziała jednak, że gdy raz zatonie w ich miękkości, trudno będzie jej wstać.

Niewolnice księcia przyniosły wreszcie ciepłą wodę do obmycia. Dierna z ulgą zzuła wysokie buty i zrzuciła kaftan, który służył jej w czasie podróży. Założyła błękitną szatę z szerokimi rękawami, jaką nosiły kapłanki Avalonu.

Podniosła lusterko z brązu i zatknęła zbłąkany kosmyk, pod diademem warkoczy, w które splotła gęste włosy, w wilgotnym powietrzu bardziej niesforne niż zwykle. Naciągnęła na głowę skraj szala, zebrała go na piersiach i przerzuciła jeden koniec na plecy. Jej strój i uczesanie były surowe, nie nosiła też żadnych ozdób. Ich brak wyrównywała starannie utkana wełna, która miękko dopasowywała się do pełnych kształtów jej piersi i bioder. Ufarbowana na ten głęboki, a zarazem subtelny odcień błękitu, którego uzyskiwanie było sekretem świętej wyspy, zdawała się płonąć w zestawieniu z granatowoczarnymi włosami i przysparzała Diernie dostojęstwa. Dierna z uśmiechem popatrzyła na Erdufyllę, która bezskutecznie próbowała ułożyć fałdy swojego szala.

– Lepiej chodźmy. Księżę nie będzie zadowolony, gdy każemy mu czekać z wieczerzą...

Młodsza kapłanka westchnęła.

– Wiem. Ale inne kobiety będą w haftowanych kaftanach i złotych naszyjnikach. W tym stroju wyglądam tak bardzo zwyczajnie.

– Rozumiem. Kiedy pierwszy raz wyjechałam z babką poza Avalon, czułam to samo. Ona powiedziała mi, żebym im nie zazdrościła, bo noszą ozdoby tylko po to, aby przypodobać się mężczyznom. My nie potrzebujemy ich podziwu. Kiedy znajdziesz się między nimi, noś się z taką godnością, żeby poczuły się przesadnie wystrojone i zaczęły zazdrościć tobie.

Erdufylla miała wąską twarz i mysie włosy i nigdy nie miała być piękna, ale słuchając słów Dierny, dumnie wyprostowała ramiona. Gdy Najwyższa Kapłanka ruszyła do drzwi, podążyła za nią wdzięcznym, posuwistym krokiem, który był darem Avalonu.

Domostwo było duże, miało cztery skrzydła otaczające dziedziniec. Książę i jego goście zebrali się w wielkiej komnacie w skrzydle leżącym najdalej od drogi. Na jednej ścianie widniało malowidło przedstawiające sceny zaślubin Młodego Boga z Dziewczęciem Kwiatów na ciemnopomarańczowym tle, a mozaikową posadzkę zdobił przeplatający się wzór. Na pozostałych ścianach wisiały tarcze i włócznie; o tym, że jest to siedziba wojownika, przypominała również wilcza skóra wyściełająca krzesło Eiddina Mynoca.

Sam książę był w średnim wieku i nitki srebra gęsto przetykały jego ciemne włosy i brodę. Niegdyś potężną posturę zniekształciły teraz fałdy tłuszczu, a błyski w oczach coraz rzadziej zdradzały dowcip odziedziczony po matce, córce Avalonu. Żadna z jego sióstr nie wykazywała zdolności wartych kształtowania, ale zgodnie z przesłaną wiadomością najmłodsza córka, choć w miarę ładna, była „tak pełna mrzonek i fantazji, że równie dobrze mogła pójść do Avalonu”.

Dierna rozejrzała się po komnacie, odpowiadając na powitanie księcia wdzięcznym, choć oszczędnym skinieniem głowy. Była to kolejna cecha wpojona jej przez babkę: we własnej sferze Pani Avalonu równa jest cesarzowi. Inni goście – kilka matron ubranych po rzymsku, korpulentny jegomość w todze ekwity i trzech krzepcy młodzieńcy, z pewnością synowie Eiddina Mynoca – przyglądali się jej z mieszaniną szacunku i ciekawości. Dierna zastanowiła się, czy dziewczyna, po którą przybyła, jeszcze się stroi, czy też jest zbyt wstydliva, aby pokazać się towarzystwu.

Jedna z kobiet wyraźnie unikała jej spojrzenia. Kiedy kapłanka dostrzegła na jej piersiach srebrną rybę na delikatnym łańcuszku, domyśliła się, że jest ona chrześcijanką. Słyszała, że wiele ich zamieszkuje wschodnie części cesarstwa, ale choć mnisi nadal żyli na wyspie Inis Witrin, odpowiedniku Avalonu należącym do tego świata, w tej prowincji liczba chrześcijan była stosunkowo skromna. Wydawało się, że chrześcijanie, oddani sporom i dysputom, wkrótce wyniszczą się wzajemnie bez jakichkolwiek starań ze strony cesarza.

– Wasze mury, panie, chyżo pną się w niebo – stwierdził mężczyzna w todze. – I otaczają już połowę miasta.

– Będą ukończone, gdy następnym razem tu zawitacie – rzekł z dumą Eiddin Mynoc. – Niech wilki morskie z wyciem szukają sobie kolacji gdzie indziej, bo w krajach Durotrigów nic nie dostaną.

– Są wspaniałym darem dla twojego ludu – mówił człowiek w todze, nie bacząc na jego słowa. Dierna uświadomiła sobie, że już kiedyś go spotkała – był to Gnejusz Klaudiusz Pollio piastujący urząd starszego magistratusa.

– Jedyny to dar dopuszczany przez Rzymian – mruknął syn księcia. – Nie pozwalają nam zbroić naszych ludzi, a przecież zabrali za Kanał żołnierzy, którzy powinni nas bronić.

Jego brat energicznie pokiwał głową.

– To niesprawiedliwość, ściągają od nas podatki i nie dają nic w zamian. Przed przybyciem Rzymian przynajmniej mogliśmy bronić się sami!

– Jeśli cesarz Maksymian nam nie pomoże, obierzemy własnego! – dorzucił trzeci chłopak.

Nie podniósł głosu, ale Pollio usłyszał i zganił go wzrokiem.

– A kogóż to wybierzesz, zadziorny gołowąsie? Siebie?

– Nie, nie – wtrącił szybko jego ojciec – nie chodzi tu o jakąkolwiek zdradę. To tylko krew przodków, którzy bronili Durotrigów nim Juliusz Cezar przybył z Galii, burzy mu się w żyłach. Wszelako prawdą jest, że kiedy cesarstwo popada w kłopoty, potrzeby Brytanii schodzą na szary koniec. Z drugiej strony, lepiej nam w jego granicach, niż gdyśmy waśnili się między sobą...

– Flota powinna nas chronić. Co Maksymian i Konstancjusz robią z pieniędzmi, które im wysyłamy? Obiecali, że rozprawią się z piratami – mruknął jeden ze starszych, potrząsając głową. – Czyżby brakowało im admirałów, którzy mogliby poprowadzić flotę przeciwko bandytom?

Dierna z zainteresowaniem przysłuchiwała się dyspacie. Odwróciła się z rozdrażnieniem, gdy ktoś pociągnął ją za rękaw. Była to najstrojniejsza z kobiet, Witruwia, małżonka Polliona.

– Pani, słyszałam, że wybornie znacie się na ziołach i lekach... – Jej głos opadł do szeptu, gdy zaczęła opisywać palpacje serca, które budziły jej lęk.

Dierna, zaglądając pod zdobiące ją kosmetyki i klejnoty, rozpoznała przyczynę prawdziwego strachu i zmusiła się do słuchania.

– Czy zaszła jakaś zmiana w twoim miesięcznym cyklu? – zapytała. Mężczyźni, nadal dyskutujący o polityce, nie zwrócili uwagi, gdy kobiety odeszły na stronę.

– Nadal jestem płodna! – zawołała z oburzeniem Witruwia. Jej policzki pociemniały pod grubą warstwą różu.

– Na razie – rzekła łagodnie Dierna – ale przechodzisz spod opieki Matki pod rządy Mądrej. Przemiana ta potrwa kilka lat. Tymczasem musisz zażywać wyciąg z bylicy. Bierz po kilka kropel, gdy serce ci dokuczy, a będzie ci lżej.

Z sąsiedniej komnaty napłynął ponętny aromat pieczonego mięsiwa. Dierna zdała sobie sprawę, że ostatni posiłek spożyła rankiem. Pomyślała, że z pewnością córka księcia przyłączy się do nich w czasie wieczery, choć może Eiddin Mynoc hołdował zasadzie, że niezamężne dziewczęta powinny przebywać w odosobnieniu. W drzwiach stanął niewolnik, który oznajmił, że wieczerza czeka na biesiadników.

Gdy wyszli na korytarz, Dierna coś poczuła, może ruch powietrza, jakby gdzieś otwarto drzwi na dwór, i odwróciła głowę. Coś poruszyło się w cieniach po drugiej stronie korytarza; zobaczyła kobietę, idącą szybkim, lekkim krokiem, jakby niesioną przez wiatr. Najwyższa Kapłanka zatrzymała się tak niespodziewanie, że wpadła na nią idąca z tyłu Erdufylla.

– Co się stało?

Dierna nie mogła odpowiedzieć. Patrzyła na młodziutką dziewczynę, która niedawno przestała być dzieckiem, wysoką i smukłą jak wierzbowa witka, bladolicą i ciemnowłosą, o wyrazistej twarzy Eiddina Mynoca. Nigdy wcześniej jej nie widziała, lecz jednocześnie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że znają od dawna.

Jej serce zatrzepotało jak serce biednej Witruwii; zamrugła, przez chwilę bowiem widziała tę dziewczynę starszą, w szacie kapłanki, z jasnymi włosami, a potem jako dziecko, z kasztanowymi błyskami w ciemnych lokach i ze złotymi bransoletami wijącymi się jak węże wokół ramion.

Kim ona jest? – zapytała się w duchu. Albo kim była, i kim ja byłam, że witam jej powrót z taką bolesną radością? Wówczas usłyszała imię: *Adsartha...*

Chwilę później dziewczyna stanęła przed nią. Jej ciemne oczy rozszerzyły się na widok błękitnych szat, z płynną gracją osunęła się na kolana i przycisnęła do ust luźny kraj szala Dierny. Najwyższa Kapłanka w milczeniu patrzyła na jej pochyloną głowę, niezdolna do wykonania ruchu.

– Ach, oto ona, moje zbłąkane dziecko! – zawołał Eiddin Mynoc za jej plecami. – Teleri, moja droga, podnieś się. Co Pani o tobie pomyśli?

Ma na imię Teleri... Inne imiona i twarze popadły w niepamięć, przysłonięte widokiem dziewczyny. Dierna w końcu odzyskała oddech.

– W rzeczy samej, córko, czynisz mi zaszczyt – rzekła miękko – ale nie pora to ani mijsce, byś pozdrawiała mnie na klęczkach.

– A zatem będę miała okazję? – Teleri ujęła wyciągniętą dłoń Dierny i wstała. Nabożny podziw malujący się na jej twarzy już ustępował bezbrzeżnej radości.

– Czy tego pragniesz? – zapytała Dierna, przytrzymując jej rękę. Przymus zbyt potężny, aby nazwać go impulsem, przywołał kolejne słowa na jej usta. – Powtórzmy to w obecności kapłanek, ale ja zapytam cię teraz. Czy z własnej woli, bez przymusu ze strony ojca ni kogoś innego pragniesz wstąpić do świętej wspólnoty sióstr Avalonu?



Wiedziała, że Erdufylla spogląda na nią, zdumiona jej postępowaniem. Będąc Najwyższą Kapłanką, musiała podejmować najprzeróżniejsze decyzje, ale nieczęsto przekonanie o ich słuszności było tak silne, jak dzisiaj.

– Przysięgam na księżyc i gwiazdy, i zieleni ziemi – zapewniła gorliwie Teleri.

– Tedy pozdrawiam cię, wyprzedzając powitanie, jakie po powrocie zgotują ci nasze siostry. – Dierna ujęła w dłonie twarz Teleri i złożyła pocałunek na jej czole.

Tej nocy Teleri nie mogła zasnąć. Po wieczerzy Eiddin Mynoc uświadomił sobie, że kapłanki miały męczący dzień, życzył więc im dobrej nocy i wysłał córkę na spoczynek. Teleri przyznała, że ojciec ma rację i że sama powinna zwrócić uwagę na ich zmęczenie. Pocieszała się, że porozmawia z nimi w drodze do Avalonu – że do końca życia będzie rozmawiać z kapłankami – ale w duchu buntowała się przeciwko rozstaniu.

Spodziewała się, że spotkanie z Panią Avalonu wywrze na niej głębokie wrażenie. Wszyscy słyszeli opowieści o strzelistym Torze ukrytym, jak czarowna kraina, za mgłami, które mogli przekraczać tylko wtajemniczeni. Niektórzy uważali je za legendę, mało kto bowiem widział kapłanki goszczące w zewnętrznym świecie: zwykle występowały one w przebraniu. Jednakże stare plemienne rody królewskie znały prawdę i wiele ich córek spędzało jeden czy więcej sezonów na świętej wyspie. Czasami, kiedy wymagało tego dobro kraju, kapłanki zawierały Wielkie Małżeństwo z naczelnikami klanów przy ogniach Beltane. Wiedząc to wszystko, Teleri oczekiwała wstrząsu. Nie spodziewała się jednego: że powita Najwyższą Kapłankę jak ukochaną od dawna osobę.

Teraz uważa mnie za głuptasa! – ganiła się w myślach, przekręcając się na drugi bok. Na pewno wszyscy traktują ją z głębokim uszanowaniem. W opowiadanych historiach Pani Avalonu występowała jako postać budząca szczególny lęk i wyjątkowy podziw, i taka była prawda. Pani Dierna przypominała ogień latarni rozświetlający nocne niebo. W porównaniu z tym blaskiem Teleri czuła się jak bezcielesny duszek. Może rzeczywiście była duchem kogoś, kto znał Dierne w innym życiu.

Na tę myśl wybuchnęła śmiechem. Idąc dalej, mogła być Boudicą albo nawet cesarżową Rzymu. Bardziej prawdopodobne, pomyślała, że byłam dziewczką służebną Dierny. Wreszcie, z uśmiechem na ustach, zapadła w sen.

Teleri z chęcią wyruszyłaby w drogę następnego dnia z samego rana, ale musiała podporządkować się planom wszystkich. Ojciec podkreślił, że zezwolenie przybyszom z Avalonu na tak rychły wyjazd byłoby wyrazem braku gościnności, a poza tym przyjezdni chcieli wstąpić na targowisko. Teleri snuła się za Dierną niczym cień. Nie powtórzyła się chwila zadziwiającej zażyłości, jak przy pierwszym spotkaniu, ale przebywanie w towarzystwie starszej kobiety sprawiało jej dużą radość.

Stopniowo Teleri dochodziła do wniosku, że dzieląca je różnica wieku wcale nie jest taka wielka. Sama miała osiemnaście lat, a Najwyższa Kapłanka tylko dziesięć więcej. Różniły je

głównie odpowiedzialność i doświadczenie. Erdufylla powiedziała jej, że Dierna została Najwyższą Kapłanką w wieku dwudziestu trzech lat, nosząc w łonie swe pierwsze dziecko, córeczkę. Oddała ją na wychowanie, nim mała ukończyła trzy lata. Myśl o potomstwie Dierny sprawiła, że Teleri sama poczuła się jak dziecko. I tego wieczoru zapadła w sen przepełniona dziecięcym oczekiwaniem.

Wyruszyli w wilgotny i deszczowy poranek, zostawiając miasto pogrążone we śnie. Najwyższa Kapłanka nie zwlekała z wyjazdem, gdyż pierwszy etap podróży miał być długi. Wyzwoleniec, który otwierał bramę, ziewał i przecierał zaspane oczy. Otulone w ciemne płaszcze kapłanki przypominały cienie i nawet towarzyszący im mężczyźni wyglądali bezosobowo.

Teleri jechała w pełni rozbudzona; zawsze była rannym ptaszkiem, a nie mogąc doczekać się wyjazdu, zerwała się z łóżka przed wszystkimi. Trąciła kobyłę piętami i wysunęła się na czoło małej kawalkady, słuchając pierwszych ptaków witających śpiewem nowy dzień.

Zjeżdżali nad rzekę, kiedy usłyszała dziwnie obce ptasie zawołanie. Była jesień i wiele ptaków odleciało na południe. Teleri rozejrzała się, ciekawa, czy skrzydlaty śpiewak należy do nieznanego jej rodzaju. Mówiono, że moczary wokół Avalonu są istnym rajem dla wodnego ptactwa. Bez wątplenia znajdzie tam wiele nowych ptaków. Tryl powtórzył się, kobyłka zastrzygła uszami. Teleri, nagle zaniepokojona, zrzuciła kaptur, żeby mieć lepszy widok.

Coś poruszyło się w wierzbach. Teleri ściągnęła wodze i zagadnęła nadjeżdżającego wyzwolenca, który wyprostował się w siodle i sięgnął po pałkę, spoglądając we wskazanym przez nią kierunku. Potem rozległ się gwizd, wierzby zadrżały i w następnej chwili na drodze zaroiły się zbrojni.

– Uwaga! – krzyknął młodszy z druidów, jadący na czele. Błysnęła włócznia; kuc z rzeniem stanął dęba, gdy jeździec, krzywiąc się z bólu, osunął się na ziemię. Kobyłka Teleri poderwała kopyta, gdy dziewczyna szarpnęła cugle; widziała, że Dierna pozostała bez opieki, i chciała jak najszybciej znaleźć się u jej boku.

Drogę tarasowali uzbrojeni ludzie. Groty włóczni lśniły w porannym świetle, tu i tam błyskał dobyty miecz. Wyzwolenicy podnieśli pałki, ale był to marny oręż przeciwko bandyckim ostrzom. Jeden po drugim osuwali się z koni; ich wrzaski echem odbijały się od wzgórz. Wierzchowiec Teleri skoczył dziko, spłoszony wonią przelanej krwi. Dziewczyna ujrzała przed sobą skrzywioną twarz, na jej kostce zacisnęła się twarda, pokryta odciskami dłoń. Niewiele myśląc, chlasnęła pejczem wyszczerzoną gębę i przymusiła kobyłkę do biegu.

Dierna puściła wodze i podniosła rękę, kreśląc dziwne znaki w powietrzu. Teleri usłyszała szum w uszach, gdy Najwyższa Kapłanka zaczęła śpiewać; otaczający ją zamęt jakby zwolnił. Z tyłu dobiegł czyjś głuchy krzyk. Odwróciła się, zobaczyła ciężki oszczep szybujący ku Diernie i wbiła pięty w boki kobyły. Była zbyt daleko. Erdufylla, która wiernie trwała przy swojej pani, zasłoniła ją własnym ciałem.

Teleri widziała, jak ostry szpic wbija się w pierś kapłanki, widziała, jak siła uderzenia pcha ją w ramiona Dierny. Ktoś wrzasnął rozpaczliwie, spłoszone konie stanęły dęba i obie kobiety upadły pod roztańczone kopyta. Teleri znów śmignęła biczem; kolejny napastnik bluznął przekleństwem i szarpnął cugle z taką siłą, że kobyła z trudem zachowała równowagę. Kiedy dziewczyna próbowała się cofnąć, wyrwał jej wodze z ręki. Sięgnęła pod płaszcz po nóż zatknięty za pasem i pchnęła pierwszego, który chciał ściągnąć ją na ziemię, ale w następnej chwili inny od tyłu wysadził ją z siodła.

Wrzasnęła, nie zaprzestając walki, lecz silny cios w głowę pozbawił ją przytomności. Kiedy się ocknęła, leżała w lesie ze skrępowanymi rękami i nogami. Między drzewami widziała konie niknące na drodze. Jeźdźcy zarzucili płaszcze na głowy. Zastanowiła się, czy strażnicy przy bramie, widząc znajome wierzchowce, zainteresują się konnymi. Dwaj mężczyźni, pozostawieni do pilnowania więźniów, nie musieli ukrywać płowych włosów.

Piraci! – pomyślała z grozą. Sasi albo może Fryzowie z Belgiki. Nagle rozmowy toczone przy stole ojca, uważane wcześniej za nudne, nabrały brutalnego znaczenia. Odwróciła twarz, mrużąc oczy zasłane łzami gniewu.

Dierna leżała obok niej. Przez chwilę była pewna, że Najwyższa Kapłanka nie żyje, potem zobaczyła więzy na jej nogach i rękach. Złoczyńcy nie zadawaliby sobie trudu pętania zmarłej. Ale Dierna spoczywała w niepokojącym bezruchu. Jej jasna skóra bieląca jak kreda, na czole rozlewał się paskudny siniak, Teleri przyjrzała się jej dokładniej. Kapłanka żyła; tętnica na szyi pulsowała miarowo, a piersi, choć powoli, wznosiły się i opadały.

Za kapłanką leżały przy wleczone z gościńca ciała poległych. Był wśród nich młody druid i wyzwoleniec; z bólem w sercu Teleri dostrzegła Erdufyllę. Pomyślała, że nie powinna się dziwić – nikt nie mógł przeżyć takiej rany. Poza nią i Dierną ocalał tylko uzdrowiacz, Lewal.

Teleri wyszeptwała jego imię. Przez chwilę sądziła, że nie słyszy; gdy odwrócił się ku niej, skinęła w stronę kapłanki.

– Trafili ją?

Pokręcił głową.

– Chyba koń ją kopnął, gdy upadła, ale nie pozwolili mi jej zbadać.

– Przeżyje? – zapytała jeszcze ciszej.

Lewal na chwilę zamknął oczy.

– Jeśli bogowie pozwolą. W przypadku uderzenia w głowę możemy tylko czekać. Nawet gdybym był wolny, niewiele mógłbym działać. Okryłbym ją, żeby nie traciła ciepła.

Teleri zadrzała. Przestało padać, ale chmury były niskie i szare.

– Przeturlaj się, a ja zrobię to samo – powiedziała. – Może ciepło naszych ciał jej dopomoże.

– Nie pomyślałem... – Iskierka nadziei rozbłysła w jego oczach. Ostrożnie, nieruchomiejąc, gdy strażnicy zerkali w ich stronę, zaczęli przesuwać się ku Diernie.

Czas włókł się w nieskończoność, lecz w rzeczywistości minęły ledwie dwie godziny, nim usłyszeli powracających jeźdźców. Teleri pamiętała, że łotry mają w zwyczaju uderzać i błyskawicznie uciekać, unosząc zdobyte łupy, zanim ich ofiary otrząsną się i zbiorą siły do walki.

Jeden z wojowników postawił Teleri na nogi i przesunął dłońmi po delikatnej wełnie jej sukni. Kiedy zaczął ścisnąć jej piersi, splunęła mu w twarz; puścił ją ze śmiechem, mówiąc coś niezrozumiałego.

– Powiedziałem im, że jesteście bogaci i że liczymy na przyzwoity okup. Nauczyłem się ich języka, żeby handlować ziołami – dodał.

Jeden z piratów pochylił się nad Dierną, wyraźnie niepewny, jak pogodzić jej białe, delikatne dłonie z szorstkim, zgrzebnym płaszczem podróżnym. Po chwili wzruszył ramionami i wyciągnął sztylet.

– Nie! – krzyknęła Teleri. – Ona jest *sarcedos, opulenta*. Kapłanka! Bardzo bogata! – Niektórzy z nich musieli rozumieć łacinę. Popatrzyła rozpaczliwie na Lewała.

– *Gytha! Rka!* – zawołał.

Sas skrzywił się niedowierzająco, ale schował broń. Podniósł bezwładne ciało Dierny i zarzucił je na ramię. Inni popchnęli Teleri i Lewała jego śladem i wkrótce wszyscy troje leżeli jak worki na grzbietach ukradzionych koni.

W drodze Teleri żałowała, że nie straciła przytomności jak kapłanka.

Łodzie najeźdźców leżały wyciągnięte na brzeg w odosobnionej zatoczce, a przy nich rozbito tymczasowe obozowisko. Prymitywne namioty osłaniały łatwo psujące się łupy; reszta piętrzyła się w stosach pod gołym niebem. Jeńcy zostali ciśnięci obok sterty worków ze zbożem, a potem najwyraźniej zapomniani, gdy piraci zaczęli rozpalać ogniska i dzielić się zagarniętą żywnością i winem.

– Jeśli szczęście nam dopisze, zapomną o nas na dobre – szepnął Lewał, gdy Teleri zapytała, czy oni też dostaną coś do jedzenia – przynajmniej do jutra, póki nie odeśpią pijaństwa. – Wykręcił się i przyłożył grzbiet dłoni do czoła Dierny. Jęknęła, kiedy zdejmowali ją z konia, ale jeszcze nie odzyskała przytomności.

Zapadała ciemność. W obozie zapanował jako taki porządek, gdy mężczyźni skupili się wokół ognia. Wśród jasnych głów Sasów i Fryzów ciemniały włosy czarne i brązowe, a strzępy łamanej łaciny mieszały się z gardłowym językiem Germanów. Dezerterzy z armii i zbiegli niewolnicy zbratali się z barbarzyńcami. Tutaj jedynym wymogiem była brutalna siła i ramię zdatne do wiosła czy miecza.

Teleri poczuła apetyczną woń pieczonej świni i ślina napłynęła jej do ust. Odwróciła głowę i próbowała przypomnieć sobie słowa modlitwy.

Zapadła w niespokojną drzemkę. Po pewnym czasie zbudził ją chrzęst żwiru pod butami. Zaczynała się podnosić, gdy kopniak wymierzony w zębra poderwał ją w górę. Pirat wybuchnął śmiechem. Nie był czyściejszy od innych, ale futrzana kamizela obwieszona

złotem świadczyła, że jest ich naczelnikiem. Złapał Teleri za ramiona i poderwał ją na nogi, a kiedy zaczęła się szamotać, przycisnął do piersi, unieruchamiając związane ręce. Złapał ją za włosy i odchylił jej głowę. Przez chwilę patrzył na nią, szczerząc zęby, potem przycisnął wargi do jej ust.

Kiedy się wyprostował, część jego ludzi podjudzała go okrzykami, inni gniewnie marszczyli czoła. Teleri łapczywie chwytła powietrze, nie do końca wierząc w niecny postępek bandyty. Potem stwardniała dłoń wsunęła się za stanik jej sukienki, sięgnęła piersi i jego zamiary stały się oczywiste.

– Proszę... – nie mogła się odsunąć, ale mogła obrócić głowę w stronę hałastry – jeśli on zrobi mi krzywdę, nie dostaniecie okupu! Proszę, niech on mnie puści!

Niektórzy rzeczywiście znali łacinę. Dwaj czy trzej wstali, jeden zrobił krok w jej stronę. Nie zrozumiała, co powiedział, ale musiało to być wyzwanie, bo naczelnik puścił ją i sięgnął po miecz. Na chwilę wszyscy zamarli. Teleri widziała, jak blade oczy wodza przesuwają się z jednego opryska na drugiego, widziała, jak wszyscy po kolei spuszczaają głowy. Jej los został przypieczętowany, gdy naczelnik wybuchnął śmiechem.

Daremnie kopała i miotała się, gdy niósł ją do sterty pościeli po drugiej stronie ognia. W jej uszach brzmiał rechot rozochoconych bandziorów.

Przez długi czas Dierna błąkała się po świetle mgły i cieni. Zastanawiała się, czy to nie bagna wokół Avalonu – może na zawsze pozostanie na pograniczu dzielącym ochronną sferę wokół Świętego Toru od zewnętrznego świata. W pewnej chwili wyraźniej zobaczyła otoczenie. Stała na jednej z licznych wysepek, na niewysokim garbie porośniętym wierzbami i sitowiem. Pióra zaściewały błotniste podłoże; pokiwała głową – w pobliżu musiało być gniazdo dzikiej kaczki. Widziała swoje drobne, bose stopy i przemoczony kraj sukni, o czymś powinna pamiętać... Rozejrzała się niespokojnie.

– Dier-na... zaczekaj na mnie!

Zawołanie dobiegło z tyłu. Odwróciła się szybko, przypominając sobie, że przykazała młodszej siostrze zostać w domu, kiedy wyprawiła się po ptasie jaja dla kapłanki, która zapadła na zdrowiu. Dziecko nie posłuchało.

– Becca! Idę! Nie ruszaj się! – Dierna miała jedenaście lat i poznała moczary na tyle dobrze, że mogła wychodzić na nie bez opieki. Sześciolatka Becca była za mała, aby samodzielnie skakać z jednej kępy na drugą; Dierna nie zabrała jej, żeby nie spowalniała poszukiwań. Od zeszłego roku, od śmierci matki, mała nie odstępowała jej na krok i teraz też nie chciała zostać sama. Jakim cudem dotarła aż tutaj?

Dierna brodziła w ciemnej wodzie, rozglądając się bacznie. Gdzieś daleko zakwakała kaczka, ale w pobliżu nic się nie poruszało.

– Becca, gdzie jesteś? Pluśnij, daj mi znak dźwiękiem! – prosiła. Obiecała sobie w duchu, że kiedy tylko siostra będzie bezpieczna, sprawi jej lanie za nieposłuszeństwo. To

nieuczciwe! Nie mogła mieć choć paru godzin wyłącznie dla siebie? Czy zawsze będzie musiała opiekować się małą?

Z drugiej strony sąsiedniego pagórka dobiegł plusk. Zamarła, nasłuchując, póki się nie powtórzył. Próbowwała przyspieszyć, źle oceniła odległość i krzyknęła, gdy noga zapadła się w błoto. Grzęzła coraz bardziej. Dziko wymachując rękami, złapała zwieszoną gałąź wierzby, zaparła się drugą nogą o solidny grunt. Poruszając delikatnie stopą zasysaną przez bagno, powoli zdołała się uwolnić.

Była mokra do pasa. Drżąc na całym ciele, znów zawołała siostrę. Zza drzew dobiegło nierównomiernie chlupotanie.

– Dierna, nie mogę się ruszyć. Pomocy!

Dierna już wcześniej była przerażona, ale teraz lęk zmroził jej krew w żyłach. Łapała trzciny, nie zważając, że kaleczą jej dłonie, gramoliła się nad korzeniami drzew, przedzierała przez kępy ostrej trawy. Wołając bez przerwy, dotarła na drugą stronę wysepki. Zalegała tutaj gęsta mgła, nic nie mogła zobaczyć. Ale słyszała zawodzenie Becki; ruszyła, wiedziona jej głosem.

Drogę tarasowała wywrócona wierzba. Dierna chwyciła gałęzie, jej stopy zsuwały się po gnijącej korze.

– Becca! – krzyczała. – Gdzie jesteś! Odpowiedz!

– Pomocy! – Wołanie rozległo się ponownie.

Blask ognia zatańczył na jej zamkniętych powiekach i Dierna jęknęła. Była na moczarach – skąd zatem ogień? Ale to nie miało znaczenia; siostra ją wzywała i musiała spieszyć jej na ratunek. Ze świstem wciągnęła powietrze. Nie mogła się ruszyć! Nie czuła rąk ani nóg. Czyżby błoto ją także uwięziło? Przekręciła się na plecy, walcząc z obcością własnego ciała. Czucie na fali bólu wracało do zdrętwiałych kończyn.

Ktoś zanosił się śmiechem... Dierna zeszywniała. Potem wrzasnęła jej siostra.

Dierna usiadła, z trudem pokonując zawroty głowy. Spróbowała się podeprzeć, ale dopiero teraz spostrzegła, że ma związane ręce. Straciła równowagę i z powrotem osunęła się na ziemię. Uchyliła powieki; zobaczyła ogień, wykrzywione drwiąco twarze i białe ciało kobiety, która walczyła z mężczyzną w półkożuszk. Mężczyzna miał spuszczone spodnie; mięśnie różowych pośladków prężyły się, gdy próbował przyspilić ją do ziemi.

Kapłanka szeroko otworzyła oczy. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale natychmiast zrozumiała, co się dzieje. Jej siostra wołała o pomoc. Z gniewnym stęknieniem zerwała sznury na nadgarstkach i usiadła.

Zbójcy nie dostrzegli jej ruchu. Patrzyli na zmagania naczelnika, zakładając się, jak długo potrwają. Dierna zaczerpnęła powietrza, chcąc odzyskać nie spokój, ale kontrolę, która pozwoliłaby jej ukierunkować wściekłość.

– Brigo – wydyszała – Wielka Matko, udziel mi swojej mocy, aby ratować to dziecko! – Czym mogła się posłużyć? Nie było broni w zasięgu ręki, nawet gdyby mogła stanąć przeciwko tak wielu, ale niedaleko płonął ogień. Z kolejnym oddechem skierowała swą wolę w skaczące płomienie. Żar osmalił jej duszę, ale nie wyrządził szkody; był dobroczynny po zalegającym w pamięci chłodzie wody bagien. Zjednoczyła się z tym cierpieniem, wznosząc się, aż stanęła wyprostowana w płomieniach.

Wyglądało to tak, jakby płomienie skrzyły się w niewyczuwalnym wietrze. Jęzory pięły się w górę, formując postać kobiety. Przez chwilę unosiła się ona w powietrzu, syjąc iskrami z włosów, potem ruszyła ku walczącej parze. Zbójcy zerwali się jak oparzeni. Niektórzy, kreśląc palcami znaki odczyniające uroki, rzucili się do ucieczki. Jeden cisnął sztyletem; broń przeszła na wylot ognistą figurę i zagrzechotała na kamieniach.

Tylko łotr, który zamierzał zgwałcić Teleri nie zauważył niczego. Unieruchomił już nogi dziewczyny i próbował ściągnąć jej spodnie.

*Pożądasz ognia miłości? Pójdź w me ramiona!* – zawołała bogini.

Wyciągnęła płomieniste ręce; naczelnik z wrzaskiem stoczył się z dziewczyny. Zawył ponownie, gdy zobaczył, co go oparzyło, i przeturlał się na bok. Ogień piętrzył się nad nim złowieszczo, gdy pełził na czworakach, z nogami zaplątanymi w opuszczone spodnie. Gdy tylko odsunął się od dziewczyny, słup płomienia runął w dół i legł na nim tak, jak on na swojej ofierze. W okamgnieniu kudłata kamizela stanęła w płomieniach. Naczelnik wołał o pomoc, ale krzyk niósł mu nie większy ratunek, niż wcześniej dziewczynie – jego kamraci z trzaskiem łamanych gałęzi przedzierali się przez chaszczę, potykając się o własną broń i wpadając jeden na drugiego.

Ogień też nie zważał na rozpaczliwe wycie. Płonął niewzruszenie i dopiero kiedy ofiara przestała się miotać, wybuchnął deszczem iskier i przepadł.

– Dierna...

Kapłanka z westchnieniem wróciła do swego ciała. Ból przenikał jej ręce, w których powoli wracało krążenie. Lewał przeciął sznury na kostkach; zagryzła wargi, gdy kłujące ciarki w nogach ustąpiły dotkliwemu bólowi.

– Dierna, spójrz na mnie! – W polu widzenia pojawiła się twarz, blada, w obramowaniu potarganych czarnych włosów.

– Becca, żyjesz... – wyszeptała i zamrugowała zdziwiona, gdyż miała przed sobą nie dziecko, a dorosłą kobietę w podartej sukience odsłaniającej jedno ramię. W jej oczach jeszcze widniało przerażenie, a po policzkach płynęły strugi łez.

– Jestem Teleri, Pani. Nie poznajesz mnie?

Spojrzenie Dierny przesunęło się na ogień i dymiącą, bezkształtną bryłę, potem wróciło na twarz Teleri.

– Pamiętam. Myślałam, że jesteś moją siostrą... – Zadrżała, znów widząc zmarszczki na powierzchni ciemnej wody i blady cień poniżej. Skoczyła wówczas w toń, zacisnęła palce na ubraniu, potem na ręce siostry. Jej oddech przyspieszył, gdy wspomniała, jak ciężar wciągnął ją pod wodę, jak wynurzyła głowę i złapała kłodę unoszącą się na powierzchni. Zdołała zaklinować ją między korzeniami wierzby i wspierając się na niej, podjęła jeszcze jedną próbę.

– Ugrzęzła w ruchomych piaskach. Słyszałam jej krzyki, lecz za późno dotarłam na miejsce. Piaski ją wciągały, a ja byłam za słaba, żeby wydobyć ciało. – Dierna zamknęła oczy. Została na miejscu wypadku, bezradna, jedną rękę zaciskając na ramieniu siostry, a drugą przytrzymując się pnia. Trwała tak, gdy w nocy znaleźli ją wysłani na poszukiwania ludzie z pochodniami.

– Pani, nie płacz! – Teleri pochyliła się nad nią. – Mnie zdążyłaś uratować!

– Tak, i teraz ty będziesz moją siostrą. – Dierna podniosła głowę i zdobyła się na uśmiech. Wyciągnęła ramiona i Teleri wtuliła się w nie. Chyba dobrze zrobiła. Ją zdołam ustrzec, pomyślała. Nie utracę jej ponownie!

– Pani, dasz radę jechać konno? Musimy oddalić się przed powrotem tych zwierząt! – powiedział Lewal. – Zbierzcie żywność i bukłaki z wodą. Okulbaczę trzy konie i przepłoszę pozostałe.

– Zwierzęta... – powtórzyła Dierna, gdy Teleri pomagała jej wstać. – Nie, żadne zwierzę nie jest tak okrutne dla swoich pobratymców. Takie zło jest właściwe tylko ludziom. – Bolała ją głowa, ale miała doświadczenie w uśmierzaniu skarg ciała. – Pomóżcie mi wsiąść na konia, a utrzymam się w siodle. A co z tobą, maleńka? Bardzo cię zranił?

Teleri spojrzała na poskręcaną bryłę spalonego mięsa, które niegdyś było człowiekiem, i z trudem przełknęła ślinę.

– Posiniaczył mnie – szepnęła – ale nadal jestem dziewicą.

Ciałem, pomyślała Dierna, tylko ciałem. Ten demon zgwałcił jej duszę. Wspierając się na ramieniu dziewczyny, wyprostowała się i wyciągnęła rękę.

– Ten już nie skrzywdzi żadnej kobiety, ale inni uszli z życiem. Bodajby ogień Pani pochłonął ich wszystkich! Przeklinam ich ogniem i wodą, wichrami niebios i świętą ziemią, na której stoimy. Niechaj morze podniesie się przeciw nim i niechaj żaden port nie udzieli im schronienia. Żyją z miecza, może więc natkną się na tego, którego miecz ich wysiecze!

Dierna czuła, jak wraz z klątwą moc ulatuje z jej ciała. Z niezachwianą pewnością nieodłączną niekiedy uprawianiu magii wiedziała, że jej słowa zostały usłyszane w Innym Świecie; być może nie będzie jej dane poznać losu bandytów, lecz był on przesądzony. Jeśli Bogini wyświadczy jej łaskę, pewnego dnia spotka bohatera, który ich pokarał, i uściśnie jego dłoń. Zachwiała się i Teleri musiała ją podtrzymać.

– Chodźmy już, Pani – przynaglił Lewal. – Pomogę ci dosiąść konia. Czas ruszać.

Dierna pokiwała głową.

– Jedźmy do domu, do Avalonu...



Teleri wyjęła z koszyka kolejną garść wełny i dodała ją do pęku trzymanego w lewym ręku. Prawą ręką złapała odchodzącą od kądzieli nitkę i szarpnęła; szarpnięcie wprawiło w ruch wrzeciono. Zaczęła wprawnie skręcać przędzę. Ciepłe promienie wiosennego słońca grzały jej plecy i ramiona. Ten zakątek jabłkowego sadu, osłonięty od wiatru, był ulubionym miejscem nawet w zimie, ale dużo przyjemniejszym, gdy słońce zaczynało pieścić: pierwsze pączki.

– Twoja nić jest taka równa – westchnęła z podziwem mała Lina, przenosząc spojrzenie ze swojego nieforemnego wrzeciona na gładkie pasmo przędzy Teleri.

– Cóż, mam dużą praktykę – odparła z uśmiechem Teleri – choć nigdy nie przypuszczałam, że będzie mi ona przydatna w Avalonie, Sądzę jednak, że dopóki kapłani i kapłanki będą potrzebowali ubrań, dopóty ktoś będzie musiał prząść, tak jak my teraz. Na dworze mojego ojca kobiety też przędły, ale przy pracy nie umiały rozmawiać o niczym innym, jak tylko o mężczyznach i dzieciach. Dobrze, że tutaj pogwarki są ciekawsze. – Popatrzyła na starą Cigfolę, która opowiadała im o początkach Domu Kapłanek w Avalonie.

Lina spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Niektóre kapłanki też mają dzieci. Sama Dierna ma trójkę. Są takie słodkie. Marzę o tym, by kołysać własne dziecko w ramionach.

– Ja nie. Tylko to wolno było kobietom, wśród których się wychowałam. Ale może normalną rzeczą jest marzyć o tym, czego się nie ma.

– Dobrze, że mamy wybór – wtrąciła inna dziewczyna. – Kiedy dawno temu nasze kapłanki mieszkały w Leśnym Domu, nie wolno im było kłaść się z mężczyznami. Cieszę się, że zmienił się ten obyczaj! – dodała z żarem, który wzbudził wesołość jej towarzyszek. – Kapłanki Avalonu mogą rodzić dzieci, ale wcale nie muszą. Tutaj dzieci pojawiają się z woli Bogini, i naszej, nie dla przyjemności mężczyzn.

W takim razie ja nie będę miała dzieci, postanowiła Teleri, biorąc następną garść wełny.

Dzięki łasce Bogini i magii Dierny zachowała dziewictwo i nie pragnęła, aby ten stan uległ zmianie. Poza tym i tak została zaprzysiężona do życia w czystości do czasu zakończenia nauki i złożenia końcowych ślubów. Na dworze ojca była najmłodsza, a w Domu Dziewcząt w Avalonie najstarsza. Nawet królewskie córki, przysyłane tutaj przed zamążpójściem po odrobinę dodatkowej ogłady, zwykle bywały młodsze. Początkowo zastanawiała się, czy inne dziewczęta nie będą podśmiewać się z jej niewiedzy – straciła zbyt wiele czasu, a tyle było do nauczenia! Jednak po podróży odbytej z Dierną zdawało się, że minio woli przejęła część charyzmy Najwyższej Kapłanki i dziewczęta traktowały ją jak

starszą siostrę. Tak czy owak, nie miała przebywać z nimi zbyt długo. Spędziła w Avalonie prawie dwa lata. Kiedy nadejdzie lato, złoży śluby i zostanie najmłodszą z kapłanek.

Żałowała tylko, że tak rzadko widuje Diernę. Po powrocie pochłonięły ją obowiązki Najwyższej Kapłanki, a majestat sprawowanego urzędu onieśmielał podopieczne. Teleri powtarzała sobie, że powinna być wdzięczna za czas spędzony w towarzystwie Pani. Inne dziewczęta zazdrościły jej wspólnie odbytej podróży; nie wiedziały, że nawet teraz, choć księżyc odmienił się tyle razy, nadal budziła się ze szlochem z koszmarów, w których napastował ją saski naczelnik.

Wrzeciono stawało się coraz cięższe od nawiniętej wełny. Teleri postawiła je na płaskim kamieniu, na którym mogło swobodnie wirować, i wydłużyła nić między nim a palcami. Będzie musiała nawinać nitkę na motki, gdy tylko doprzedzie wełnę do końca.

Stara Cigfolla, choć miała zeszywniałe ręce, była najlepszą prządką z nich wszystkich i spod jej palców wysnuwała się delikatna lniana nić. Wełnę pozyskiwali z własnych owiec, ale len kupowali albo otrzymywali w darze. Część, przypuszczała Teleri, mogła pochodzić z magazynów ojca; od kiedy znalazła się w Avalonie, ojciec przysyłał różnorakie podarki.

– Przędziemy wełnę dla ciepła, a gruby len na praktyczne stroje – rzekła Cigfolla. – Co mamy zrobić z takiej nitki? – Wrzeciono zakręciło się i nić, tak cienka, że niemal niewidoczna, znowu się wydłużyła.

– Jest taka delikatna... Utkamy welony dla kapłanek? – zapytała Lina.

– Tak, ale nie dlatego, że jest lepsza, tylko że utkany z niej materiał jest niezmiernie cienki. Co nie znaczy, że wasza przędza powinna być mniej gładka czy równa – pouczyła surowo kobieta. – Drzewo jabłoni nie jest bardziej święte od dębu ani pszenica od ziarna jęczmienia. Wszystko ma swój własny cel. Tak samo jest z wami. Niektóre zostaną kapłankami, inne zaś wrócą do domu i wyjdą za męża. W oczach Bogini wszystko jest równe. Musicie dokładać wszelkich starań i z pełnym poświęceniem oddawać się temu, co Ona wam poruczy. Nawet jeśli będziecie przędły konopie na worki, musicie robić to jak najlepiej. Rozumiecie?

Tuzin par oczu spojrzał w jej zmętniałe źrenice i szybko zwrócił się w bok.

– Myślicie, że zostałyście przydzielone do przędzenia, żeby tylko mieć zajęcie? – Cigfolla pokręciła głową. – Moglibyśmy kupować ubrania, jak czynimy z innym towarem. Ale stroje utkane w Avalonie mają pewną zaletę. Przędzenie jest potężną magią. Popatrzcie na swoją pracę, a zobaczycie, jak łączą się włókna. W pojedynkę są niczym więcej, jak kosmykami na wietrze, jednak razem nabierają siły. Są jeszcze silniejsze, gdy śpiewa się w trakcie przędzenia, gdy w każdym pasemku wplata się czar.

– Jaki czar, Mądra, wplatasz w len, który będzie woalem pani Avalonu? – zapytała Teleri.

– W tę nić wplata się wszystko, o czym rozmawiamy. Cykle i sezony, odchodzące i powracające jak krążące wrzeciono. Inne rzeczy dodadzą się w tkaniu – przeszłość i

teraźniejszość, świat poza mgłami i ta święta ziemia skrzyżują się w wątku i osnowie na krośnie.

– A farbowanie? – zaciękała się Lina.

Uśmiech zagościł na twarzy Cigfolli.

– Jest ulubione przez boginię, która przenika nasze poczynania i nadaje barwę wszystkiemu, co robimy...

– I może zapewnia nam bezpieczeństwo – szepnęła Lina.

– W rzeczy samej – przyznała staruszka. – Przez większą część mego żywota Brytania żyła w pokój w obrębie zjednoczonego cesarstwa. I dobrze nam się powodziło.

– Targowiska są pełne dóbr, lecz ludziom brak pieniędzy, aby je kupować – powiedziała Teleri. – Może, żyjąc tutaj, tego nie dostrzegasz, ale ja przez wiele lat słuchałam skarg tych, którzy przychodzili na dwór mojego ojca. Towary, które sprowadzamy z innych części cesarstwa, stają się coraz droższe, ludzie żądają wyższej zapłaty za swą pracę, żeby móc je kupować, a wtedy nasi kupcy muszą podnosić ceny.

– Mój ojciec mawia, że to wszystko wina Postumusa, który próbował oderwać zachodnią połowę cesarstwa – skomentowała Adwen, mająca złożyć śluby razem z Teleri.

– Ale Postumus został pokonany – zauważyła Lina.

– Być może, jednak ponowne zjednoczenie cesarstwa nie zdało się na wiele. Ceny nadal idą w górę, a młodzi ludzie są wcielani do wojska i walczą gdzieś na drugim końcu świata, podczas gdy nikt nie strzeże naszych brzegów! – rzuciła gorączkowo Teleri.

– To prawda – poparły ją chórem dziewczęta. – Piraci atakują coraz częściej.

Cigfolla dodała garść lnu i puściła wrzecziono w ruch.

– Świat kręci się jak to wrzecziono... Jesteśmy pewni tylko tego, że dobro i zło następują po sobie. Bez tej zmiany nie mogłoby powstać nic nowego. Kiedy powtarzają się stare wzory, dzieje się to w odmienny sposób – oblicze Pani zmienia się, ale Jej moc pozostaje; Król, który oddaje życie za swój kraj, odradza się, aby ponownie poczynić ofiarę. Niekiedy mnie też przepełnia obawa, widziałam jednakże zbyt wiele przemijających zim, aby nie wierzyć w nadejście wiosny... – Wzniosła twarz ku słońcu i Teleri zobaczyła, że przepełnia ją światło.

Siedzenie i przedzenie z innymi kobietami nie było życiem, o jakim marzyła, kiedy błagała ojca, aby zezwolił jej na wyjazd do Avalonu. Czy zawsze będę pragnęła nieosiągalnego szczęścia? A może po jakimś czasie nauczę się czerpać zadowolenie z życia wśród otaczających nas mgieł?

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej, Trawa gęstniała i zieleniła się na wodnych łąkach, gdy promienie słońca wysuszały trzęsawiska. W świecie leżącym poza Avalonem drogi też obsychały; kupcy i podróżni zaczęli wędrować po kraju, przenosząc towary i wieści. Wyglądało na to, że tych drugich jest dużo więcej; towarów brakowało, gdyż poprawa pogody oznaczała początek sezonu żeglugi i wraz ze statkami kupieckimi na morze wyruszyli polujący na nie piraci.

Chociaż Dierna nie opuszczała Avalonu, nie była odcięta od świata. Wieści napływały od kobiet wychowanych na świętej wyspie czy tych, którym one kiedyś pomogły, od wędrownych druidów, od innych, tworzących sieć ogarniającą całą Brytanię. Informacje docierały do niej później niż do rzymskiego gubernatora, ale pochodziły z bardziej zróżnicowanych źródeł i wnioski, do jakich dochodziła, też były raczej odmienne.

Gdy księżyc dochodził pełni tuż przed letnim przesileniem. Najwyższa Kapłanka udała się na wyspę Brigi, aby w odosobnieniu pograżyć się w medytacjach. Przebywała tam trzy dni, nic nie jedząc, pijąc tylko wodę ze świętego źródła. Musiała zrozumieć i poddać analizie wszystkie dostępne informacje, i wierzyć, że Pani nauczy ją, co należy zrobić.

Pierwszy dzień zawsze był najtrudniejszy. Dierna przyłapywała się na rozmyślaniu o wszystkich zadaniach i o ludziach, których zostawiła u stóp Toru. Stara Cigfolla lepiej niż ona orientowała się w sprawach Avalonu, a Ildeg, choć niewiele starsza od niej, potrafiła utrzymać w ryzach podopieczne z Domu Dziewcząt. Dwie kobiety sprawdziły się wielokrotnie, gdy wcześniej opuszczała świętą wyspę, o to nie musiała się martwić.

Kapłanki rozumiały jej postępowanie, ale co z dziećmi? Jak im wytłumaczyć, żeby nie próbowały jej szukać? Ujrzała ich twarzyczki: najstarszej córki, smukłej i ciemnowłosej, zwanej dzieckiem czarownej krainy, i rudych swawolnych bliźniaczek. Pragnęła aż do bólu poczuć ich ciężar w ramionach. Powtarzała sobie, że córki, jak ona sama, narodziły się do służby Avalonowi i że nie jest za wcześnie, aby poznały tę cenę. Pierwsze dziecko, spłodzone przez druida w czasie obrzędu, już od niej odeszło. Wychowywała je rodzina z krwi Avalonu, która zbudowała swój dom z rozrzuconych kamieni starego druidycznego sanktuarium na wyspie Monie. Bliźniaczki, córki naczelnika, który zawezwał ją, aby pomogła mu odzyskać zauroczone pola, szybko musiały podążyć w jej ślady. Serce ją bolało na myśl o rozstaniu, ale one przynajmniej miały siebie.

Dierna potrząsnęła głową, pragnąc pozbyć się tych rozpraszających myśli. Umysł zawsze próbował oderwać się od spraw najistotniejszych, ale przepędzanie na siłę tych mniej ważnych wcale nie było dobre. Każda myśl musiała wypłynąć na powierzchnię, a potem rozwiąć się samoistnie. Dierna zapatrzyła się w mrugający płomyk lampki oliwnej.

Następnego dnia rano znalazła pod drzwiami koszyk z wielkimi grzybami, zebranymi przez mieszkańców bagien. Zostawiła go drobna, ciemnowłosa kobieta z moczarów, która jej usługiwała. Dierna uśmiechnęła się. Dokładnie oczyściła grzyby, poszatkowała je i wrzuciła do kociołka wraz z przyniesionymi ziołami. Pochyliła się nad kociołkiem i zaczęła śpiewać w trakcie mieszania.

Samo przygotowywanie wywaru był czarem i jeszcze nim wypła płyn, wzbijający się z ciemnej powierzchni gryzący dym zaczął oddziaływać na jej zmysły. Po długim dniu warzenia przelala dekokt do srebrnego kubka i zabrała go na dwór.

Chata, w której czuwała, otoczona była żywopłotem z głogu. Nad nim od wschodniej strony ukazał się księżyc. Jego owal połyskiwał blado jak macica muszli, a wracające do gniazd ptaki krążyły po rozłożonym niebie. Dierna wzniosła kubek w geście pozdrowienia.

– Tobie, Pani Życia i Śmierci, ofiarowuję tę czarę, ale to ja sama jestem ofiarą. Jeśli potrzebna będzie moja śmierć, oddaję się w Twoje ręce, lecz jeśli zechcesz, nagrodzisz mnie błogosławieństwem – wizją, tego, co jest i co musi być, i mądrością potrzebną do jej zrozumienia...

Efekt spożycia wywaru zależał od stanu grzybów, zdrowia pijącego i, jak została nauczona, od woli bogów. Z lekkim wahaniem podniosła czarkę do ust, wypła zawartość, krzywiąc się, gdyż smak był paskudny, i odstawiła naczynie na ziemię. Potem owinęła się płaszczem z jasnej, surowej wełny i legła na długim szarym kamieniu ołtarza.

Dierna zaczerpnęła głęboki haust powietrza i wypuściła je powoli. Odprężyła się stopniowo, wreszcie poczuła, że jej ciało łączy się z zimnym kamieniem. Ponad nią barwa kopuły nieba ciemniała ze świetlanego fioletu w szarość. Między jednym mrugnięciem a drugim zobaczyła migotanie pierwszej gwiazdy.

W następnej chwili zdawało jej się, że fala światła przemyka przez niebo. Oddech uwiązał jej w piersi. Zmusiła się do miarowego nabierania i wypuszczania powietrza; była to reakcja wyćwiczona przez lata, tłumiąca instynkt walki lub ucieczki. Widziała kiedyś młodą kapłankę doprowadzoną do obłędu, ponieważ brakło jej siły woli, aby zachować panowanie nad duszą, a zarazem bezwolnie poddać się bezmiarowi bodźców, które atakowały ciało, gdy duch grzybów przejął nad nim władzę.

Światło gwiazd pulsowało tęczowym blaskiem. Zakręciło jej się w głowie, a gdy zawroty minęły, skierowała świadomość do wewnątrz i skupiła się na punkcie światła płonącym w samym środku czaszki. Wszechświat obracał się wokół niej w wirach wielobarwnego światła, lecz wewnątrz miarowo tętniło obserwujące „ja”. Z mroków umysłu wychyliły się potworne kształty, jednak przepędziła je, tak jak wcześniej przegnała natrętne myśli.

Niepokój zmysłów zaczął słabnąć, wzrok skupiał się, aż znów, wpatrzona w nocne niebo, odzyskała świadomość ciała leżącego na kamieniu. Obserwowała niebiosa z nieprzerwaną uwagą, z koncentracją, której nie wytrzymałby nikt w normalnym stanie świadomości.

Poświata księżycyca rozjaśniała wschodnie niebo, ale Dierna patrzyła prosto w rozgwieżdżony przestwór, w którym, jak się zdawało, można by spadać w górę przez wieczność. Ale nie przybyła tutaj dla własnej przyjemności. Z wewnętrznym westchnieniem zaczęła śledzić wielkie konstelacje, które rządziły niebem. Wzrok śmiertelnika rozpoznałby tylko same gwiazdy, rozrzucone w pozornym bezładzie po niebie. Pograżona w transie Dierna widziała również widmowe kształty, od których gwiazdozbiory przybrały imiona.

Wysoko nad głową Wielka Niedźwiedzica stapała ociężale wokół bieguna. Zmierzała na zachód, a po zatoczeniu półkola miała opaść znów ku horyzontowi. Niedźwiedzica była

niebieskim odpowiednikiem wysp Doliny Avalonu – na podstawie obserwacji innych gwiazd, z którymi dzieliła niebo, Dierna mogła rozpoznać moce rządzące przyszłością.

Jej spojrzenie przesunęło się na południe ku gwiazdozbiorowi zwanemu Orłem – czy był to Orzeł Rzymu? Jaśniał, ale nie tak promiennie jak Smok wijący się pośrodku nieba. W pobliżu zasiadała Panna w niepokalanym majestacie. Dierna odwróciła głowę, szukając bardziej równomiernego blasku gwiazd wędrujących, i zobaczyła nad północnym skrajem zachodniego widnokregu płynne lśnienie Pani Miłości, a blisko niej rdzawy blask planety boga wojny.

Kolejna barwna fala przemknęła po niebie; znów zaparło jej dech i zmusiła płuca do pracy. Wiedziała, że teraz ziola wynoszą ją na ten poziom, gdzie obraz i znaczenie stają się jednym. Dwa światła rozbłyły promiennie: zobaczyła, jak bóg ściga boginię, a ona poddaje się i ulega mu w akcie, który jest także zwycięstwem.

Kluczem jest miłość, pomyślała. Miłość może być magią, która zwiąże wojownika z naszą sprawą... Jej spojrzenie, wędrując na południe wzdłuż horyzontu, zatrzymało się na planecie króla niebios. Ale władza pochodzi z południa... Zamrugła, bo przed jej oczami stanęły rzędy marmurowych kolumn, złożonych portyków, procesji i ludzi – w liczbie większej, niż w życiu widziała. Czy to był Rzym? Widok poszerzył się; ujrzała złote orły wiodące legiony w kierunku małej świątyni, gdzie z powitaniem czekała niewielka postać odziana w purpurę.

To było wspaniałe, ale obce. Czy taki lud mógł się przejmować troskami Brytanii, leżącej na krańcach cesarstwa?

Niech Orzeł zajmie się swoimi sprawami! Nie jego nam wzywać, a Smoka, by strzegł swego ludu jak dawniej... Jeszcze nie dokończyła myśli, gdy gwiazdzisty Smok przemienił się w tęczowego węża, który rozwinął sploty i sięgnął daleko na północ.

Jego opalizujący splendor przytłaczał i Dierna, wbrew własnej kontroli, dała się porwać wirowi wizji. Nie mogła ani ich powstrzymać, ani nad nimi zapanować. Plamy kolorów stały się chmurami pędzącymi nad sztormowym morzem. Wycie wichru uniemożliwiało usłyszenie czegokolwiek. Prądy mocy, które wiodły jej ducha w czasie podróży po kraju, zatraciły się w tej płątanie energii; opanowanie przerażenia, zmuszenie się do zaprzestania walki ze sztormem i odnalezienie rytmów, które pulsowały w tle ogłuszającego huku fal i zawodzenia wichury, niemal przekraczało jej siły.

Fale miały statkami, narażonymi na furie żywiołów bardziej niż ona, gdyż sporządzone były z desek i konopnych lin i obsadzone przez załogi z krwi i kości. Jej duch popędził, niesiony porywem wichru, ku największemu. Zobaczyła ludzi przy wiosłach. Porwani szaleństwem fal, nie wiedzieli, gdzie szukać bezpiecznego brzegu. Wśród nich tylko jeden człowiek stał niewzruszenie, pewnie zapierając nogi na podskakującym, rozkołysanym pokładzie. Był średniego wzrostu, miał głowę okrągłą jak kula i pierś potężną jak beczka.

Deszcz przylepił jego płowe włosy do skóry. Zachowywał spokój, choć jak inni patrzył z lękiem na szalejące morze.

Dierna wleciała wyżej, sięgając zmysłami ducha w głąb burzy. Zobaczyła fale łamiące się w bryzgach piany na ostrych kamieniach u stóp urwiska; za nimi woda była już spokojniejsza. Poprzez ulewę dostrzegła bladą krzywiznę plaży i mruganie światła na brzegu.

Kierowana z początku samym współczuciem, odnalazła na powrót dowódcę. Gdy przybliżyła się, wyczuła w nim siłę i hart nieposkromionego ducha. Czy był przywódcą, którego szukała?

Zaczerpnęła czystej energii burzy, formując kształt widzialny nawet dla oczu śmiertelnika. Postać, odziana w biel, sunęła powierzchnią morza. Jeden z żeglarzy krzyknął; po chwili wszyscy patrzyli w jej stronę. Dierna wysunęła widmowe ramię, wskazując w kierunku lądu...

– Widzicie? Idzie... – krzyczał żeglarz z oka na dziobie. – Biała pani, chodząca po falach!

Wiatr uderzył w wodę, zgarniając fale i kruche statki niczym potężna dłoń. Rozrzucił po morzu eskadrę, która zmierzała do Dubris. Marek Aureliusz Mauzeusz Karauzjusz, admirał, przytrzymał się stewy „Herkulesa” i usunął wodę z powiek.

– Ciągnąć równo – rozkazał Aeliusz, kapitan okrętu. – A ty wypatruj skał, nie morskiej piany!

Fala wysoka jak dom wzniosła się od sterburty, gładki garb zalśnił, gdy księżyc na chwilę przedarł się przez chmury. Pokład liburny przechylił się ostro, wiosła zamachały w powietrzu niczym odnóża żuka przewróconego na grzbiet. Z drugiej burty dobiegł złowieszczy trzask nadmiernie naprężonego drewna, a wiosła, zanurzone głęboko, zaczęły pękać pod naporem wody.

– Na Neptuna! – zawołał kapitan, gdy okręt z jękiem zaczął się prostować. – Jeszcze jeden taki podmuch, a obrócimy się do góry stępką.

Karauzjusz przytaknął. Nie spodziewali się takiego sztormu o tej porze roku. Wypłynęli z Gesoriacum o świcie, chcąc pokonać Kanał w najwęższym miejscu i wieczorem dobić do Dubris. Nie wzięli jednak pod uwagę tej piekielnej burzy. Wiatr zniósł ich daleko na zachód i tylko bogowie mogli doprowadzić ich do bezpiecznego portu. Bogowie albo duch widziany przez żeglarza na oku. Kapitan omiótł wzrokiem morze. Czy to jakaś postać, czy lśnienie księżycy na fali?

– Panie. – Niewyraźny kształt sunął między rzędami wiosłarzy. Karauzjusz poznał po palce człowieka, który wybijał rytm wiosłarzom. – Mamy sześć pękniętych wiosła i dwóch okaleczonych ludzi. Połamali ręce, nie mogą wiosłować. – Żeglarze pomrukiwali trwożliwie; narastała panika, gdy fale rozbijające się o burty zalewały ich lawy.

– Bogowie nas opuścili!

– Nie, przysłali nam przewodnika!

– Cisza! – Ostry głos Karauzjusza położył kres okrzykom. Admirał popatrzył na kapitana. Dowodził eskadrą, o ile jeszcze eskadra istniała, ale na „Herkulesie” władza należała do Aeliusza. – Kapitanie – rzekł cicho – Na takim morzu z wiosł nie ma żadnego pożytku, ale po burzy musimy ciągnąć równo z obu burt. – Aeliusz zamrugął; po chwili w jego oczach rozblęskło zrozumienie.

– Niech nadzorca przesadzi ludzi z ław po sterburcie i każe podjąć wiosłowanie.

Karauzjusz skierował oczy na morze. Po chwili zobaczył to, co widział żeglarz na dziobie: postać kobiety w białej fałdzystej szacie. Wyglądała na zboląłą, lecz z pewnością nie było to cierpienie ciała, bo jej stopy prawie nie dotykały fal. Spojrzała mu w oczy z rozpaczliwym, usilnym błaganiem i wskazała w stronę zachodu. Potem wydawało się, że miażdży ją wznosząca się fala i znikła.

Admirał zamrugął. Jeśli nie była to złuda zrodzona kaprysem księżycowej poświaty, widział ducha, ale z pewnością nie złego. Pomyślał, że nadchodzi czas zdania się na łaskę losu.

– Każ sterować w lewo. Będziemy uciekać przed wiatrem.

– Wpadniemy na mieliznę – przeraził się kapitan.

– Możliwe, choć moim zdaniem jesteśmy za daleko na zachód, aby to mogło nam zagrozić. A jeśli nawet, lepiej osiąść na mieliznie niż wyrzucić się do góry dnem, co z pewnością się stanie, jeśli uderzy nas następna fala. – Karauzjusz wychował się na bagnistych brzegach Rhenusu i znał niebezpieczeństwa morza, ale płycizny Belgiki wydawały się przyjazne w porównaniu z tym oszalałym żywiołem.

Okręt tańczył pod ich stopami, lecz zmiana kursu pozwoliła w pewnym stopniu przewidywać jego ruchy. Fale, pędzone wiatrem, niosły „Herkulesa” do przodu. Za każdym razem, gdy dziób zsuwał się w dół, Karauzjusz zastanawiał się, czy tym razem pójdą na dno, ale następna fala podnosiła okręt i woda kaskadami spływała z galeonu i brązowego taranu.

– Jeszcze bardziej na lewo – przykazał sternikowi. Tylko bogowie znali ich pozycję, ale krótkie pojawienie się księżyca pozwoliło mu zorientować się w stronach świata. Jeśli zjawia nie kłamała, mieli wylądować bezpiecznie gdzieś na brytyjskim wybrzeżu.

Kołysanie zelżało odrobinę, gdy ustawili się z wiatrem, choć od czasu do czasu w burtę uderzała fala poprzeczna. Połowa załogi czerpała wodę. Okręt potrzebował siły swojego imiennika, aby dotrzeć brzasku.

Ale Karauzjusz już się nie bał. Kiedy był dzieckiem, stara wieszczka rzuciła dla niego patyki i wyczytała z nich, że czeka go świetna przyszłość. Już stopień admirała eskadry był dużym osiągnięciem dla człowieka z ludu Menapiów, jednego z mniejszych plemion germańskich zamieszkującego deltę rzeki Rhenus. Jeśli ta wizja przyniesie mu ocalenie, to czyż nie będzie to widomym znakiem bogów, iż jest mu przeznaczone coś lepszego? Zdarzało się, że ludzie gorszego pochodzenia sięgali po purpurę, choć nigdy nie dowodzili na morzu.



Admirał zapatrzył się w fale. Gdzie jesteś? Czego chcesz ode mnie? – krzyczał w duchu. Ale biała pani zniknęła. Widział tylko spienione grzbiety fal, coraz niższe, gdy sztorm przechodził bokiem.

Dierna odzyskała świadomość własnego ciała tuż przed świtem. Księżyc zaszedł i ciężkie chmury napływały z południa, przysłaniając gwiazdy. Burza! Nie była tylko snem. Burza była prawdziwa i nadszła, aby rzucić wyzwanie lądowi. Wilgotny wiatr burzył jej włosy, zdrętwiałe mięśnie słały skargi. Dierna zadrżała, czując się bardzo samotna. Ale nim przemówi do innej osoby, musi wydobyć z głębi wizji obrazy, które pokierują jej decyzjami w nadchodzących miesiącach. Dokładnie pamiętała ruch gwiazd, lecz z ostatniej wizji zostały się ledwie fragmenty. Był tam okręt, miotany po smaganym wiatrem morzu, i był mężczyzna...

Zwróciła twarz ku nadszłej burzy i wzniosła ramiona.

– Bogini, uchowaj go, kimkolwiek jest – wyszeptała błagalnie.

Słońce przedarło się przez chmury nad Kanałem i zaczęło przegłądać się w brązowych kałużach na brzegu i w szarych falach morza, gdy rybak z Clausentum, szukający drewna wyrzuconego przez sztorm, rozprostował plecy i wyciągnął rękę.

– Żagiel! – Jego krzyk podchwycili inni. Zebrali się, wskazując na ciemny garb wyspy Victis, obok którego rósł prostokąt splamionych solą płócien. Nawet na brzegu odczuli siłę nocnej wichury. Jakim sposobem statek mógł przetrwać sztorm na morzu?

– Liburna – rozpoznał jeden z nich, zauważając ludzi siedzących dwójkami przy wiosłach.

– Z admirałem na pokładzie! – zawołał drugi na widok proporca powiewającego na maszcie.

– Na cycki Amfitryty, to „Herkules”! – wykrzyknął potężnie zbudowany handlarz, który nigdy nie pozwalał innym zapomnieć, że dwadzieścia lat spędził na morzu. – Przez dwa sezony służyłem na nim jako sternik. Sam Karauzjusz musi być na pokładzie!

– Ten, który przed miesiącem pokonał dwa pirackie okręty?

– Ten, który dba o brzęczącą monetę w naszych sakiewkach jak o podszewkę we własnej! Przysięgam jagnię bogu, który go uratował – sapnął kupiec. – Jego śmierć byłaby dla nas wielką stratą!

Liburna powoli opłynęła Victis, kierując się ku nabrzeżom Clausentum.

Kupcy i rybacy spłynęli brzegiem jak potok, a za nimi ciągnęli przebudzeni krzykami mieszkańcy wioski.

„Herkules” spoczywał na brzegu prawie tydzień, podczas gdy wokół krzatali się cieśle, opatrując zadane przez sztorm rany. Clausentum było zapomnianym portem, ale skutnicy znali swój fach, nawet jeśli poczynione przez nich naprawy nie mogły sprostać wymogom

floty. Karauzjusz skorzystał z okazji, aby naradzić się z urzędnikami i wypytać krążących po porcie handlarzy o szlaki pirackich okrętów. Wolne chwile spędzał samotnie na brzegu, lecz nikt nie śmiał zapytać go o powody posepnej zadumy.

Tuż przed letnim przesileniem Karauzjusz i wyremontowany „Herkules” wzięli kurs na Gesoriacum.

Tym razem morze było gładkie jak szklana tafla.

W Avalonie przygotowywano się do odprawienia odwiecznych obrzędów letniego przesilenia; obyczaje te były stare już wówczas, kiedy pierwsi druidzi zawitali do Brytanii. W stóp Toru porykiwało bydło, okadzane dymem z ogni rozpalonych przez kapłanów. Teleri cieszyła się, że może śpiewać z innymi dziewczętami wokół drugiego ogniska, świętego, roznieconego na szczycie wzgórza.

Wyglądała białą sukienkę, podziwiając Diernę, że z takim wdziękiem rzuca kadzidło w płomienie. Wszystkie ruchy Najwyższej Kapłanki cechowała niezachwiana pewność – może odpowiedniejsze byłoby słowo władczość – wynikająca, jak przypuszczała, z trwającej całe życie praktyki. Ona sama przybyła służyć Tajemnicom tak późno, że trudno jej było uwierzyć, iż kiedykolwiek będzie poruszać się w taki sposób, by wszystkie jej poczynania wydawały się częścią misterium.

Na dole wpędzono bydło między ognie, a ludzie wznosili do bogów prośby o błogosławieństwo. Wysoko na szczycie recytowano litanie o tym, że wszystkie rzeczy, zarówno światło, jak i ciemność, muszą przeminąć. Księżyc w pełni zmniejszał się i zostawał połknięty przez noc, aby odrodzić się jako sierp srebrnego światła. Cykl słońca trwał dłużej, ale Teleri wiedziała, że najdłuższy dzień w roku jest początkiem jego ubywania. A jednak w najgłębszej ciemności zimy słońce rodziło się na nowo.

Co jeszcze, zastanowiła się wówczas, podporządkowane było przemijaniu? Imperium rzymskie obejmowało połowę ziemi. Wiele razy bywało zagrożone i zawsze jego orły wracały w jeszcze większej chwale. Czy kiedyś Rzym osiągnie pełnię władzy i zacznie chylić się ku upadkowi? I czy ludzie rozpoznają tę chwilę, kiedy ona nadejdzie?

Dierna odstała od ognia, kłaniając się Ceridachosowi, najstarszemu z druidów i Arcydruidowi Brytanii. Dochodziło południe najdłuższego dnia, kiedy moc światła jest największa, dlatego ceremonie powinni poprowadzić kapłani. Kiedy zapadnie ciemność, kapłanki odprawią własne obrzędy. Starzec rozłożył ramiona, zafurkotały jego szerokie rękawy.

– Co istniało na początku? Spróbujcie sobie wyobrazić – nicość, ziejąca pustka? Nabrzmiwające łono, brzemienne światem? Istniało w zarodku Coś, a jednak nie przypominało niczego, co można sobie wyobrazić, była to bowiem Siła, była to Próżnia... Wieczna, niezmienna Jedność...

Urwał, a Teleri zamknęła oczy i aż zachwiała się na myśl o tym ogromie. Druid przemówił z nową siłą:

– Atoli nadeszła chwila rozłamu – wibracja zburzyła bezruch...

*Oddech wypuszczony w bezgłośnym krzyku  
I Coś wybuchło w płomieniach -  
Boska Ciemność i Boskie Światło  
Czas i Przestrzeń zaistniały w pełni mocy  
Pan i Pani, Święta Para -  
Siostry, Bracia, przywołajcie ich tutaj!*

– Zwiemy Go Lugosem! – krzyknęli druidzi. – Panem Światła! – Za ich plecami młodszy mężczyźni zaczęli nucić.

– Zwiemy Ją Rigantoną, Wielką Królową! – zawołały w odpowiedzi kapłanki z drugiej strony kręgu.

Teleri otworzyła usta, aby wesprzeć chór nutą o trzecią część wyższą niż ta wyśpiewywana przez druidów.

Za pierwszymi posypały się kolejne imiona. Teleri słyszała je w formie oszłamiających zmysły wybuchów blasku. Czowała moc narastającą wokół kapłanów, którzy stali po drugiej stronie kamiennego ołtarza, i czowała rodzącą się w odpowiedzi energię kapłanek.

Dierna wysunęła się do przodu, wznosząc wysoko dłonie. Gdy przemówiła, Teleri poczuła słowa rezonujące we własnej krtani, i poznała, że Najwyższa Kapłanka przemawia w imieniu ich wszystkich.

*Ja jestem Morzem Kosmicznym i Pierwotną Nocą,  
Ja jestem łonem Ciemności i Światła;  
Jestem bezpostaciową przemianą, wieczystym spoczynkiem.  
Formą, z której powstaje wszelka materia;  
Jestem Kosmiczną Matką, Wielką Głębią,  
Z której życie wylania się i dokąd powraca.*

Ceridachos stanął naprzeciwko niej, z drugiej strony ołtarzowego kamienia. Teleri zamrugła, w twarzy starca, promieniującej mocą, ujrzała bowiem młodzieńca i wojownika, ojca i uzdrowiciela. A kiedy odpowiedział kapłance, usłyszała zwielokrotnione głosy, współbrzmiające z jego słowami.

*Ja jestem Wiatrem Czasu, wieczystym Dniem,  
Ja jestem podporą życia, ja jestem Drogą;  
Ja jestem Słowem Mocy, pierwotną iskrą,  
Inicjującą wszelkie ruchy i czyny;*

*Jestem kosmicznym Ojcem, promienną różdżką,  
Źródłem energii, nasieniem Boga!*

Dierna wyciągnęła ręce nad stosikiem drewna ułożonym na kamieniu, wnętrzem dłoni w stronę kapłana.

– Z mojego łona...

– Za moją wolą... – Druid też wyciągnął ręce. Teleri zamrugła, widząc, jak powietrze mieni się w wąskiej szczelinie między ich dłońmi.

– Jawi się Światło Życia! – zawołali jednocześnie kapłan i kapłanka, a starannie ułożone patyczki zajęły się płomieniem.

– Płonie już Święty Ogień! – wykrzyknął druid. – Triumfuje światło i w tej chwili dzielimy jego moc. Jednocząc siły, sprawimy, że jego blask nie opuści nas w porze największych ciemności, i dzięki temu odniesiemy zwycięstwo.

– Ten ogień będzie latarnią przewodnią, światłem widocznym w całym kraju – zawołała Dierna. – Niechaj sprowadzi nam Obrońcę, który zapewni Brytanii pokój i bezpieczeństwo! – Wyjęła z ognia płonące drewnienko.

– Niechaj się stanie! – potwierdził kapłan. On też wysoko unióśł zapalony kawałek drewna.

Druidzi i kapłanki kolejno wyciągali zagwie i odsuwali się od siebie, aż krąg płomieni otoczył gorzejące na środku ognisko. Wyglądało to tak, jakby słońce płonące wysoko na niebie zesłało w dół promienie i użyczyło blasku swoim wyznawcom.

Teleri, patrząc w górę, osłoniła oczy przed jasnością nieba. Potem przetarła je, gdyż po błękicie sunęła plamka czerni. Inni też ją dostrzegli – pokazywali jedni drugim i snuli domysły. Popadli w milczenie, gdy rozpoznali orła, nadlatującego z południa, znad morza. Orzeł zbliżał się coraz bardziej, jakby przyciągany przez płomienie.

Zawisł wprost nad ich głowami. Opadł, zatoczył trzy kręgi ponad ołtarzem, spiralnie wzbił się w niebo, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zlał się ze światłem.

Teieri zamknęła porażone oczy, ale pod powiekami zachował się wizerunek wielkiego ptaka tańczącego w blasku słońca. Orzeł odleciał wolny – dlaczego więc miała wrażenie, że pokonał przymus ciągnący go do ognia tylko po to, by następnie wpaść w pułapkę słońca? To wymysły rozbudzonej wyobraźni, przekonywała się usilnie, schodząc za innymi z Toru. Jeśli bowiem iluzją była wolność dzikiego pana nieba, to czy cokolwiek mogło być naprawdę wolne? Wówczas wspomnienie pochodzące sprzed obecnego życia podsunęło jej koncepcję paradoksu wolności, która może istnieć jedynie jako część większego schematu. Umysł zbuntował się przed przyjęciem tego do wiadomości i chwila olśnienia uleciała bezpowrotnie, jak orzeł.

– Miło cię widzieć. Niemal straciliśmy już nadzieję po tym sztormie. – Maksymian August z uśmiechem podniósł głowę znad woskowych tabliczek.

Karauzjusz stanął na baczność, uderzył ręką w piersi na znak pozdrowienia. Nie spodziewał się, że w Gesoriacum zastanie młodszego cesarza. Maksymian, przysadzisty, szpakowaty i z zaznaczającym się coraz wyraźniej brzuchem, zawiadywał zachodnią częścią imperium. W czasie prawie dwudziestu lat służby Karauzjusz nauczył się traktować go z szacunkiem przynależnym najwyższemu cesarzowi.

– Bogowie byli mi przychylni – odpowiedział. – Zaginął jeden z moich okrętów, ale innym udało się wrócić do Dubris. Sam zostałem rzucony w dół Kanału i szczęśliwie dobiłem do Clausentum, nie lądując na skałach i nie zostając na otwartym morzu.

– Rzeczywiście szczęście ci dopisało. Bogowie jednak lubią sprzyjać tym, którzy nie poddają się nawet przy braku nadziei. Masz szczęście Karauzjuszu, a jest ono rzadsze nawet od talentu. Utrata ciebie sprawiłaby nam ogromną przykrość.

Maksymian ruchem ręki kazał mu usiąść. Drugi, młodszy mężczyzna obecny w komnacie też zajął miejsce. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby rozpoznać w nim regularnego żołnierza. Jego postawa była znacząca; trzymał się prosto, jakby nosił na tunice niewidzialny napierśnik. Był o pół głowy wyższy od Karauzjusza, miał żółtawe, rzadziejące włosy.

– Znasz Konstancjusza Chlorusa, jak mniemam? – powiedział cesarz.

– Tylko z dobrego imienia.

Konstancjusz cieszył się dużą popularnością w czasie służby w Brytanii. Plotki mówiły, że wziął sobie wówczas miejscową kobietę na stałą konkubinę. Od tego czasu stoczył kilka znaczących potyczek na germańskiej granicy. Karauzjusz przyjrzał mu się uważniej; gdy Konstancjusz uśmiechnął się, jego twarz przez chwilę przypominała szczere, otwarte oblicze chłopca. Potem rysy na powrót stężały w nieprzeniknioną maskę. Idealista, pomyślał Karauzjusz, który nauczył się skrywać duszę. Tacy ludzie mogli być użytecznymi przyjaciółmi – albo niebezpiecznymi wrogami.

A jak on się prezentował? Z włosami wybielonymi przez słońce i słoną wodę, ze skórą spaloną na ciemny brąz, nie różnił się wiele od innych wilków morskich. Jedynie oczy, rozjaśnione wspomnieniem wizji doświadczonej w sztormową noc, przeczyły jego pospolitej urodzie.

– Z przyjemnością usłyszysz, że za towary odebrane rabusiom, pojmanym przez ciebie w zeszłym miesiącu, otrzymaliśmy niezłą zapłatę – oznajmił Maksymian. – Przekonywałeś mnie, że potrzebna jest nam nowa baza na południowym wybrzeżu... Jeszcze parę takich zwycięstw, a znajdziemy niezbędne fundusze.

Jego uśmiech krył w sobie coś nieodgadnionego. Karauzjusz zmarszczył czoło, świadom, że nie wszystko zostało powiedziane. Bogowie wiedzieli, iż od dawna opowiadał się za utworzeniem nowej bazy, ale miał niewielką nadzieję, że zostanie wysłuchany.

– Kto będzie nią dowodził? – zapytał ostrożnie.

– A kogo byś polecił? – odpowiedział pytaniem cesarz. – Wybór należy do ciebie, Karauzjuszu, powierzam ci flotę brytyjską i forty na saksońskim brzegu.

Na jego twarzy musiał pojawić się wyraz niedowierzania, gdyż nawet Konstancjusz pokazał zęby w uśmiechu. Karauzjusz ledwo go widział – przed oczami miał obraz stąpającej po falach kobiety w bieli.

– Teraz musimy omówić szczegóły i rozkład sił po obu stronach Kanału – ciągnął z ożywieniem Maksymian. – Jakimi siłami chciałbyś dysponować i jak chciałbyś je podzielić? Nie mogę obiecać ci wszystkiego, o co poprosisz, ale...

Karauzjusz nabrał powietrza w płuca, starając się skupić wzrok i uwagę na stojącym przed nim człowieku.

– Przede wszystkim potrzebujemy nowej bazy. Na wybrzeżu poniżej Clausentum jest dobra zatoka, nadająca się do umocnienia. Chroni ją wyspa Vectis, a zaopatrzenie można ściągać z Venta Belgarum. – Obraz kobiety płowiął; zastępowały go marzenia, jakie snuł, chodząc po pokładzie liburny w trakcie długiej żeglugi przez Kanał.

Teleri nie miała ochoty opuszczać Avalonu. Próbowwała się wymówić, kiedy krótko po letnim przesileniu Dierna wybrała ją na towarzyszkę podróży. Wrażenia przerosły jej oczekiwania. Już na długo przed dotarciem do Venta Belgarum nie mogła udawać braku zainteresowania i zachłannie rozglądała się po okolicy. Dawna stolica Belgów leżała w dolinie o łagodnych zboczach, pokrytych zielonymi kobiercami łąk i urozmaiconych kępami drzew. W porównaniu z trzęsawiskami wokół Toru żywna ziemia wydawała się pewna i budziła zaufanie. W dolinie miało się poczucie bezpieczeństwa i trwałości, różniące się charakterem od spokoju starożytnych ech, jakie Teleri wychwytywała w Avalonie. W samym mieście panował gwar i zamęt właściwy dniu targu, lecz mimo to czuła się nadzwyczaj odprężona.

Kapłankom zaproponowano gościnę w domu duovira Kwintusa Juliusza Cerialisa, najznamienitszego z miejscowych urzędników, potomka starego królewskiego rodu. Nikt nie domyśliłby się tego z jego wyglądu. Tęgi, promieniujący zadowoleniem z własnej osoby, był bardziej rzymski od Rzymian. Przedkładał łacinę nad mowę przodków i Teleri, która władała tym językiem równie dobrze, jak brytyjskim, często była proszona o tłumaczenie jego wypowiedzi młodszymi kapłankami, Adwen i Cridzie. Nawet Dierna czasami uciekała się do jej pomocy, jej zasób słów bowiem, choć dobrze rozumiała język Rzymian, nie zawsze wystarczał przy oficjalnych dysputach.

A jednak mogliby sobie bez niej poradzić. Teleri zastanawiała się, dlaczego, jeszcze przed złożeniem ślubów, została wyrwana ze spokoju Avalonu.

Pogoda nadal była wspaniała, słońce płonęło na bezchmurnym niebie. W tym roku, mimo wcześniejszych burz, zboże obrodziło, a i zbiory siana dobrze się zapowiadały. Najwyraźniej, jak raczył zauważyć Cerialis, bogowie sprzyjali ludziom. Teleri jednak tęskniła do rześkiej morskiej bryzy w Durnovarii, bo wysokie wzgórza wokół Venty zatrzymywały wiatr i w dolinie panował skwar. Z zadowoleniem przyjęła oświadczenie Diorny, że ruszą w dół wybrzeża w celu pobłogosławienia ziemi pod nową fortecę morską.

Okazało się, że chodzi o coś więcej niż o przyjemną przejażdżkę brzegiem morza. Kiedy jedna z kobiet zapytała, dlaczego Najwyższa Kapłanka Avalonu miałaby błogosławić rzymski fort, Diorna przypomniała orła, który pojawił się w trakcie obrzędu w dzień przesilenia.

– Niegdyś byliśmy wrogami, ale obecnie od Rzymian zależy nasze bezpieczeństwo – zakończyła.

Teleri, wspominając bandycki napad Saksonów, gorąco przyznała jej rację.

– Uff, nareszcie nadciąga bryza! – zawołał Cerialis. – Ostudzi wam zaróżowione liczka, moje drogie panie!

Teleri westchnęła. Choć Cerialis miał kapelusz z szerokim rondem, był czerwony i sapał z gorąca. Może chłodny podmuch jemu też przyniesie ulgę.

Na noc stanęli w Clausentum. Zaprawiony jeździec mógł przebyć trasę z Venty w jeden dzień, ale Cerialis był pewien, że podróż z kobietami potrwa trochę dłużej. Na południowy wschód od miasta nowa droga odbijała daleko od brzegu i dopiero teraz, gdy zakręciła, Teleri ujrzała między drzewami błękitną przestrzeń wody.

– Myślisz, że kilka nowych fortec odbierze śmiałość Saksonom? – Teleri przytrzymała się poręczy konnej lektyki i popatrzyła pytająco na Cerialisa.

– Zapewne, zapewne! – Mężczyzna energicznie pokiwał głową. – Każdy mur i każdy okręt stanowią dla tych morskich mętów informację, że Brytania jest nieugięta. – Wyprostował się w siodle i Teleri przez chwilę sądziła, że wzniesie rękę w salucie.

– Jestem odmiennego zdania – powiedział jego syn Allektus, podjeżdżając na swojej klaczy. – Siła fortów i okrętów zależy od obsadzających je żeglarzy i żołnierzy, ojczu. Bez załogi okręty przemieniają się w stosy gnijącego drewna, a mury w porastające pleśnią ruiny.

Allektus był w jej wieku, może nieco młodszy, i w przeciwieństwie do ojca suchy jak szczapa i spięty. Miał wąską twarz i wyraziste ciemne oczy. Wyglądał na kogoś, kto w dzieciństwie często chorował. Może dlatego nie zaciągnął się do wojska, myślała Teleri.

– Prawda, oczywiście... – Cerialis rzucił chłopcu zakłopotane spojrzenie.

Teleri ukryła uśmiech. Duovir był przedsiębiorczym człowiekiem, ale plotka mówiła, że jego syn, choć słabowity ciałem, radzi sobie z cyframi niczym czarnoksiężnik. Dzięki jego przemyślności rodzinna fortuna została pomnożona do tego stopnia, że jej część można było

przeznaczyć na roboty publiczne i rozrywki. Cerialis wiedział, że tego właśnie oczekiwano po magistratusie. Teleri, patrząc na ostry profil młodzieńca, pomyślała, że Allektus jest kukułką w gnieździe tłustego gołębia, albo może jakimś szlachetniejszym ptakiem – krogulcem. Tak czy owak, było jasne, że starszy mężczyzna w ogóle nie rozumie swojego syna.

– Cóż, ten nowy admirał zdołał namówić cesarza do wzmocnienia naszej obrony – rzuciła niefrasobliwie. – Z pewnością świadczy to, iż przynajmniej on godzien jest naszego zaufania.

– Owszem. Jeśli przywódcy nie budzą szacunku, zawodzą nawet ich najlepsi ludzie – zauważył zamyślony Cerialis.

W spojrzeniu Allektusa dostrzegła pogardę, skrytą tak szybko, że nie mogła być jej pewna.

– To samo odnosi się do kobiet – dodała oschle. Wątpiła, czy armia rzymska, mimo tradycji i dyscypliny, sprostałaby próbom nakładanym na kapłanki Avalonu. Jej spojrzenie powędrowało w przód, gdzie w drugiej końskiej lektyce jechała Dierna z małą Adwen. Zdusiła zazdrość, wiedząc, że to niegodne uczucie. Może, myślała, Najwyższa Kapłanka zaprosi ją do siebie w drodze powrotnej.

Lektyka przekrzywiła się, gdy zaczęli zjeżdżać na brzeg morza. Teleri wyprostowała ramiona, kiedy wyjechali spod niskich gałęzi drzew, i rozejrzała się po okolicy. Teren przy północno-zachodnim krańcu rozległej zatoki, łączącej się z morzem przez kanał, oczyszczono z krzaków i wyrównano pod przyszły fort. Miejsce to zapewniało ochronę przed sztormami i piratami, choć w taki śliczny letni dzień groźba jednych czy drugich wydawała się nierealna.

Forteca zapowiadała się imponująco. Wykopano już rowy pod fundamenty prostokąta murów i bastionów w kształcie litery U. Wnętrze zajmowało powierzchnię kilku akrów. Cerialis poinformował, że forteca będzie większa od innych na wybrzeżu, nawet od Rutupiae. Gdy podjechali bliżej, popatrzył na robotników z dumą właściciela. Teleri wiedziała, że takie umocnienia zawsze są wznoszone przez wojsko, ale tutaj kopacze mieli różne stroje.

– Mądra jesteś, skoroś to zauważyła, bardzo mądra – rzekł Cerialis, spoglądając w tę samą stronę. – To niewolnicy z moich włości, przysłani do pomocy. Pomyślałem, że poniesienie części kosztów budowy forticy chroniącej Ventę będzie dla miasta bardziej przydatnym wkładem niż wznoszenie nowego amfiteatru.

Skrzywienie wąskich warg Allektusa nie do końca było uśmiechem. Czy nie pochwałał takiej decyzji? Nie, pomyślała Teleri, pamiętając, co mówił wcześniej. Możliwe, że to on zaszczerpił pomysł w głowie ojca.

– To wyśmienity plan, i jestem pewna, że nowy dowódca potrafi docenić pomoc – powiedziała ciepło i zobaczyła, że ziemiste policzki młodzieńca lekko pokraśniały.

Ale jego oczy wpatrzone były w budowniczych. Kilku ludzi chodziło wzdłuż rzędów kopaczy, nadzorując prace. Gdzie jest admirał? – zastanowiła się Teleri. Dierna nagle wyprostowała plecy i przysłoniła oczy dłonią. Allektus ściągnął wodze i spiał się jak dobry pies myśliwski. Teleri prześledziła wzrokiem kierunek jego spojrzenia. Jeden z oficerów,



odziany szykownie w czerwoną tunikę i pas nabijany płytkami ze złoczonego brązu, szedł ku nim w towarzystwie drugiego mężczyzny. Mężczyzna ów, silnej budowy, miał na sobie żeglarski kaftan bez rękawów, spłowiały od słońca i wiatru do tego stopnia, że niepodobna było odgadnąć jego pierwotnej barwy. Jego włosy były sztywne od potu, a wysokie czoło poczerwieniało od słońca.

Allektus zsunął się z końskiego grzbietu i ruszył im na powitanie. Teleri szeroko otworzyła oczy, gdy oddał honory temu w niepozornym stroju. Czy to o nim mówiły wszystkie opowieści? Mężczyzna szedł rozkołysanym krokiem człowieka, który dużo czasu spędza na morzu. Jego spojrzenie wędrowało po twarzach przybyszów. Dziwne, pomyślała Teleri. W podobny sposób Dierna lustrowała kapłanki przez rozpoczęciem ceremonii.

Dierna przyglądała się Karauzjuszowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jakby z aprobatą. Rzymianin uściskiem rąk przywitał się z Allektusem i jeszcze raz omiół wzrokiem lektyki. Szeroko otworzył oczy na widok Najwyższej Kapłanki. Potem zapanował zamęt i gwar towarzyszący przedstawianiu się. Kiedy Teleri pomyślała o tym później, doszła do wniosku, że mina Dierny wyrażała rozpoznanie. Musiało to jednak być jej wymysłem, Dierna bowiem sama przyznała, że nigdy wcześniej nie spotkała Karauzjusza.

Za niskim pasem mierzei osłaniającej zatokę słońce chyliło się ku zachodowi. Karauzjusz stał przed podwalinami swojej fortecy, obserwując kapłanki przygotowujące się do rytuału. Legioniści stali w szyku przed tym, co pewnego dnia miało stać się bramą, a za nimi po obu stronach skupili się miejscowi robotnicy.

Miesiąc wcześniej, kiedy zaczęły roboty, ze świątyni Jowisza w Venta Belgarum przybył kapłan i poświęcił wołu, a następnie haruspik odczytał przepowiednie. Były pomyślne – ale prawdę mówiąc, Karauzjusz nie pamiętał przypadku, by haruspik, wróżący już po przygotowaniu planów i wyasygnowaniu funduszy, nie zdołał doszukać się korzystnej woli bogów we wnętrznościach ofiarnego zwierzęcia.

– Przez tysiąc lat i dwakroć po tysiąc fundamenty te głosić będą chwałę Rzymu...

Wyborne prorocstwo, pomyślał Karauzjusz. A jednak kapłan, żwawy, krągły jegomość, właściciel najlepszego kucharza w Vencie, nie wywarł zbyt wielkiego wrażenia. Patrząc na przywdziane w błękit kapłanki, Karauzjusz zrozumiał, dlaczego uznał, że rzymska ceremonia nie wystarczy i dlaczego poprosił Panią Avalonu o przybycie, gdy tylko dowiedział się o jej bytności w okolicy. Forteca Arduni była rzymska, ale miała przecież chronić Brytanię.

Przez cały rytuał rzymski pocił się w swojej todze, stojąc w żarze południa. Obrzęd brytyjski miał się odbyć wieczorem. Karauzjusz założył płócienną tunikę ufarbowaną purpurą, ozdobioną na brzegach miejscowym haftem, i lekki wełniany płaszcz spinany złotą broszą. Ubiór na tyle mocno przypominał stroje mieszkańców rozlewisk Germanii, by przywołać wspomnienia przeszłości, której wyrzekł się był, kiedy przysiągł służyć Rzymowi. Lud jego ojca składał ofiary Nehallenii. Był ciekaw, do jakiej bogini modlono się tutaj.

Jasność zapłonęła na zachodzie. Admirał odwrócił się i zobaczył niknące za widnokregiem słońce. Nad garbem wzgórza widniał sam skraj świetlanej tarczy, przypominający czapę z płynnego metalu. Gdy słońce zniknęło, łagodniejszy blask przyciągnął jego spojrzenie. Jedna z kobiet zapalała pochodnie. Podniosła je i przez chwilę stała niczym bogini z rękami pełnymi światła. Zmrużył oczy i poznał najmłodszą kapłankę, córkę, jak mówiono, jakiegoś miejscowego króla. Wcześniej uznał ją za wyniosłą i zimną, ale teraz, z ogniem skrzącym się w ciemnych włosach i bladą skórą jaśniejącą w blasku, wyglądała przepięknie.

Najwyższa Kapłanka, z twarzą skrytą pod welonem, stanęła za nią z dwoma innymi: jedna trzymała gałązkę jarzębiny, a druga różdżkę z drzewa jabłoni obwieszoną srebrnymi dzwonekami.

– Nastąpiła godzina między dniem a nocą, kiedy możemy wędrować między światami – oznajmiła uroczyście. – Wznoszone tu mury, uczynione z kamienia, zdolne będą odeprzeć oręż ludzi. My wszakże wzniesiemy inną barierę, duchową tarczę, która da odpór duchom waszych wrogów. Przyświadczone aktowi konsekracji, wy, którzy służycie Brytanii i Rzymowi!

– Ja dam świadectwo – zgłosił się Karauzjusz.

– I ja – powiedział Allektus za jego plecami.

– I ja – oświadczył poważnie Cerialis.

Dierna przyjęła ich słowa lekkim skłonieniem głowy. W taki sposób, pomyślał Karauzjusz, cesarzowa może przyjmować posługę. Przypuszczał, że we własnej sferze Najwyższa Kapłanka Avalonu musi być równa cesarzowej. Czy rzeczywiście była ona kobietą z jego wizji? A jeśli tak, czy o tym wiedziała? Według niego jej zachowanie było dziwne; nie potrafił odgadnąć, czy go polubiła, czy tolerowała jego obecność tylko ze względu na piastowane stanowisko.

Kapłanki ruszyły w prawo. Słyszał delikatny szmer srebrnych dzwoneczków.

– Jak długo musimy tu stać? – zapytał po pewnym czasie Cerialis. Kapłanki dotarły do lewego rogu przyszłych fortyfikacji i zatrzymały się, aby złożyć ofiarę duchom kraju. – Nie wiem, po co im świadkowie. Przecież nic nie widać.

– Nic? – wyszeptał Allektus drżącym głosem. – Nie czujesz tego? Wznoszą śpiewem mur mocy. Nie widzisz, jak powietrze migoce tam, gdzie przeszły?

Cerialis chrząknął i rzucił zażenowane spojrzenie na admirała, jakby mówiąc: To tylko chłopiec, głowę ma pełną fantazji. Ale Karauzjusz widział Panią Avalonu kroczącą po falach. Teraz co prawda nie dostrzegał niczego nadzwyczajnego, lecz wydawało mu się, że jakiś wewnętrzny zmysł potwierdza spostrzeżenia Allektusa.

Czekali, gdy kapłanki kontynuowały zgodny z ruchem słońca przemarsz wokół odległego boku prostokąta, a potem zwróciły się w ich stronę. Trwał długi zmierzch północy; barwy zachodu pogłębiły się ze złota w róż, a z różu w purpurę, jakby niebo przysłonił cesarski

plaszcz. Procesja oddała cześć narożnikowi po prawej stronie, następnie skręciła w kierunku przestrzeni głównej bramy.

– Przybliź się, ty, który będziesz strzec tego miejsca przed naszymi wrogami! – zawołała Pani. Karauzjusz dopiero po chwili zrozumiał, że chodzi o niego, i ruszył ku Diernie. Zatrzymał się tuż przed nią. Jej twarz była ukryta pod welonem, tym niemniej wyczuwał siłę jej spojrzenia. – Co oddasz, człowieku morza, aby zapewnić bezpieczeństwo ludowi tego kraju? – Jej głos brzmiał łagodnie, lecz pytanie miało niepokojący wydźwięk.

– Przysięgłem służyć cesarstwu – zaczął, ale ona pokręciła głową.

– To nie jest sprawa woli, lecz serca – rzekła z naciskiem. – Czy w razie potrzeby, gdy przyjdzie ci bronić tego kraju, będziesz gotów przelać swą krew serdeczną?

Tego kraju... – pomyślał. W ciągu lat spędzonych we flocie Kanału, Brytania podbiła jego serce; czuł do niej żołnierskie przywiązanie – w wojsku każdy darzy uczuciem posterunek, w którym długo stacjonuje. Ale kapłanka nie o to go pytała.

– Urodziłem się w zamorskim kraju i przy narodzinach zostałem pobłogosławiony w imię jego bogów... – powiedział cicho.

– Atoli przebyłeś morze i powierzyłeś swoje życie mocy Bogini, której ja służę – odparła Dierna. – Pamiętasz?

Próbował przebić wzrokiem woal, dostrzec rysy, równie niewyraźne jak niegdyś w czasie sztormu.

– To ty!

Poważnie pokiwała głową.

– I teraz żądam zapłaty za udzielenie ratunku. Twoja krew zwiąże cię z tą ziemią. Wyciągnij rękę.

W jej głosie brzmiało takie przekonanie, że on, który jednym słowem mógł wysłać na morze całą brytyjską flotę, posłuchał bez wahania.

Światło pochodni załśniło na małym sierpie w jej dłoni. Nim zdążył zadać pytanie, przeciągnęła ostrym czubkiem po miękkiej skórze wewnętrznej strony ręki. Zagryzł wargi, gdy zapiekło, i patrzył, jak ciemna krew skapuje na ziemię.

– Karmisz tę ziemię, jak ona wykarmiła ciebie – wyszeptała Pani. – Krew za krew, dusza za duszę. Jak ty służbą i przeznaczeniem zostałeś zobowiązany do jej strzeżenia, tak ona nie odmówi ci wsparcia... – Popatrzyła na niego i głos jej zadrżał, gdy podjęła: – Pamiętasz? Twoje ciało zostało spłodzone przez zamorskie plemię Menapiów, wszelako dusza twoja jest dużo starsza. Już to robiłeś!

Karauzjusz zadrżał i spojrział na ciemne plamy, na własną krew wsiąkającą w ziemię. Tak, widział to wcześniej... Odetchnął głęboko, nagle wyczuwając woń lasu, przyniesioną przez chłodniejsze powietrze, zmieszaną z zapachem morza. Doświadczył przelotnej wizji. Zobaczył wysokie wzgórze zwieńczone stojącymi kamieniami. Otaczali go wrogowie, Rzymianie. Krew z jego ran bryzgała na ziemię, gdy wymachiwał błyszczącym mieczem...

Potem jedno z łuczyw zaskwierzało i to przywołało go do terażniejszości. Teraz rozumiał, że uczucie, jakim darzył Brytanię, było czymś więcej niż przywiązaniem. Miał bronić tego kraju nie tylko z ambicji, ale z miłości.

Dierna skinęła na najmłodszą kapłankę, zwaną Teleri, która przekazała pochodnie swoim towarzyszkom. Dziewczyna z poważną i skupioną miną wytarła jego rękę przygotowaną szmatką, po czym przewiązała ranę paskiem białego płótna.

Najwyższa Kapłanka wyrysowała pieczęć nad miejscem, gdzie krew wsiąkła w ziemię.

– Dla tych, którzy przybywają w pokoju, ta droga będzie stała otworem – zaintonowała śpiewnie – a dla niosących wojnę będzie nieprzebyta! – Zwróciła się twarzą ku zachodowi, wznosząc ramiona, i jakby w odpowiedzi nad zatokę wypłynęła srebrna tarcza księżycy.

Następnego dnia Cerialis zaprosił rzymskich oficerów na ucztę wyprawianą na brzegu morza. Dierna stała pod dębem i przyglądała się, jak służba rozstawia stoły i ławy, kiedy przybyli goście. Karauzjusz, aby okazać honory gospodarzowi, przywdział białą wojskową tunikę z czerwonymi lamówkami oraz pas i sandały; ufarbowana na czerwono skóra nabijana była ozdobnymi płytkami i ćwiekami ze złoconego brązu. Dziś od pierwszego wejścia rozpoznawało się w nim rzymskiego dowódcę, ale zeszłej nocy, kiedy błogosławili fundamenty fortecy, wyglądał jak król...

Czy ta ceremonia miała dla niego głębsze znaczenie? – zastanawiała się Dierna. Nie spodziewał się jej wezwania, ale na nie odpowiedział. Prawdę powiedziawszy, nie miała zamiaru wiązać go przysięgą, kiedy jednak podeszły do bramy, wizerunki mężczyzny z okrętu i tego obserwującego ze wzgórze nałożyły się na siebie i stały jednością. Wówczas poznała, że nie kamień i zaprawa murarska będą strzegły Brytanii, ale krew tych, którzy przysięgli jej bronić. Po zaprzysiężeniu kraj znał swego obrońcę, bogowie też go znali, jednakże czy on sam rozumiał wagę tego aktu?

Potrzebne było coś więcej, coś, co sprawiłoby, aby on sam pragnął wywiązać się z narzuconego obowiązku. W nocy nawiedziły ją sny o świętych królach i królewskich mariażach. Płomienie pochodni na tle nocnego nieba utworzyły nagle wizerunek i wtedy narodził się pomysł – Teleri może się to nie spodoba, pomyślała wówczas, ale tak będzie słusznie. Nie chciała się zastanawiać, co sama poczuje, gdy ujrzy ją jako oblubienicę Karauzjusza.

Niewolnik Cerialisa podsunął jej koszyk z jagodami na zaostrenie apetytu przed ucztą. Skinęła głową i poczęstowała się, po czym przytrzymała chłopca za rękaw.

– Jeśli jest jeszcze trochę czasu, pójdę na spacer brzegiem morza. Idź do rzymskiego dowódcy i zapytaj, czy zechce mi towarzyszyć.

Gdy chłopak się oddalił, Dierna doszła do wniosku, że tego posunięcia także nie miała w planach. Z pewnością impuls nie pochodził od niej. Od czasu wizji doświadczonej tuż przed

letnim przesileniem kierowali nią bogowie; jeśli raz otworzyła duszę na ich polecenia, nadal musiała wierzyć, że wypełnia ich wolę, nie własną.

Manierom admirała nie można było nic zarzucić. Zachowywał stosowną odległość między nimi, gdy zmierzali powoli w stronę wody – nie dotykał jej, lecz szedł dość blisko, aby podtrzymać ją, gdyby potknęła się na śliskich kamieniach. Oczy miał czujne, jakby prowadziła go ku wrogowi.

– Zastanawiasz się, w co się wplątałeś. I nie darzysz mnie zaufaniem – zagadnęła cicho. – To częsta reakcja po takiej chwili. Kiedy podniecenie wygasa, zakradają się wątpliwości. Rankiem po mojej inicjacji chciałam uciec z Avalonu. Nie obawiaj się, nie stało się nic, co mogłoby splamić twój honor.

Podniósł brew i na moment jego twarz złagodniała: zmiękły twarde bruzdy, wygładziły się policzki. Zauważyła tę zmianę z przyspieszonym biciem serca. Chciałabym zobaczyć, jak się śmieje – pomyślała.

– Zależy co, dokładnie, przysiągłem...

– Bronić Brytanii, nawet do śmierci... – zaczęła, ale on potrząsnął głową.

– To już jest moim obowiązkiem. Tam było coś więcej. Czy twoja magia mnie zniewoliła?

W milczeniu przeszli kilka kroków. Dierna popadła w zadumę. Fakt, że uświadamiał sobie moc obrzędu, był dobrym znakiem, ale z drugiej strony musiała zważać na własne słowa.

– Nie jestem czarownicą, tylko kapłanką Wielkiej Bogini, i wiązanie twojej woli byłoby sprzeczne z moimi przysięgami... A jednak wierzę, że zostałeś związany. Przez samych bogów – ciągnęła – nim spotkaliśmy się w tych ciałach.

– Kiedy zobaczyłem cię w czasie sztormu? – zapytał Karauzjusz. Jego twarz znów się zmieniła; tym razem rysy nie odbijały wesołości, lecz głęboką powagę. Dierna znowu poczuła dziwne ukłucie bólu, przejmujące – gorszego nie mogłoby sprawić ostrze wnikające w serce. W czasie rytuału widziała nałożone na jego twarz oblicze innego człowieka, młodszego, o rzymskich rysach i włosach. Wiedziała, że w swoim czasie był on świętym królem. Ale kimże była ona w owym dawnym życiu?

– W jaki sposób żyjąca kobieta mogła chodzić po falach?

– Moje ciało spoczywało pogrążone w transie. Widziałeś ducha, zdolnego do odbywania podróży dzięki dyscyplinie Tajemnic Avalonu.

– To nauki druidów? – zapytał podejrzliwie.

– Mądrość, którą druidzi zachowali, nauczeni przez tych, którzy przybyli wcześniej z zamorskiej Zatopionej Krainy. Mój święty zakon chroni resztki tej starożytnej wiedzy. Nadal jest moc w Avalonie – i dodała – moc, która może dopomóc ci w obronie tego kraju. Z naszym wsparciem bez chwili zwłoki będziesz wiedział o napaści piratów i wypłyniesz im na spotkanie, kiedy z łupami wracać będą do domów.

– A niby jak otrzymam tę pomoc? – Posepnie wykrzywił wargi. – Obowiązki rzucają mnie w górę i w dół wybrzeża, w tę i z powrotem przez morze. Nie możesz cały czas bytować w formie ducha, aby służyć mi radą!

– To prawda, we własnym świecie spełniam powinności, które są równie pilne jak twoje. Ale ktoś z mojego ludu, będąc u twego boku, mógłby pomagać ci w pewnych rzeczach i w sprawach większej wagi nawiązywać ze mną duchowy kontakt. Proponuję przymierze i aby je przypieczętować, oddam ci jedną z kapłanek.

Karauzjusz potrząsnął głową.

– Armia nie zezwala na trzymanie kobiet w charakterze...

– Ona będzie twoją żoną – przerwała mu Dierna. – Nie jesteś żonaty, o ile mi wiadomo.

Zamrugął ze zdumienia, a jego spalona słońcem skóra pociemniała.

– Jestem oficerem na służbie... – rzekł trochę bezradnie. – Kogo mi przeznaczyłaś?

Dierna wydała bezgłośnie westchnienie ulgi.

– Już od dawna odwykłeś od słuchania rozkazów – powiedziała z uśmiechem – i uważasz mnie za władczą osobę, wiem. Mam jednak na myśli nie tylko służbę dla kraju, ale i twoje dobro. Oddam ci Teleri, córkę Eiddina Mynoca. Pochodzi z rodu wystarczająco wysokiego, by związek z nią nie przyniósł ci ujmy, a poza tym jest piękna.

– To ta, która trzymała pochodnie w czasie obrzędu? Rzeczywiście, jest urodziwa, ale zamieniłem z nią ledwie dwa słowa.

Dierna pokręciła głową.

– Nie zmuszę jej do tego małżeństwa wbrew woli. Kiedy uzyskam zgodę dziewczyny, porozmawiam z jej ojcem. W oczach świata będzie wyglądało tak, jakby wszystko zostało umówione między tobą a nim w zwyczajowo przyjęty sposób.

Teleri nie bez żalu opuści Avalon, rozmyślała, ale z pewnością doceni okazję zostania małżonką człowieka o takiej władzy. Z mimowolnie przyspieszonym pulsem zmierzyła wzrokiem szerokie ramiona admirała i jego silne, zwinne ręce i przez chwilę żałowała, że nie może wybrać go dla siebie przy ogniach Beltane.

Teleri była jednak młodsza i dużo urodziwsza. Ona, Dierna, miała wypełniać swoje obowiązki w Avalonie, a Karauzjusz znajdzie szczęście w ramionach żony.

Niebo zaczęło się chmurzyć. Teleri odrzuciła welon na czoło i wciągnęła w płuca parne powietrze. Kołysanie lektyki, w której jechały wyboistym traktem do Venta Belgrum, przyprawiało ją o lekkie mdłości, a pogoda tylko pogarszała samopoczucie. Byłoby gorzej tylko wtedy, gdyby rozpoczęła się ulewa.

Dobrze, że przynajmniej w drodze powrotnej jechała z Dierną. Zerknęła na starszą kobietę, nieruchomą wbrew ruchom lektyki, trwającą z zamkniętymi oczami, jakby pogrążoną w medytacji. Kiedy opuścili Portus Adurni, cieszyła się, gdyż wracali do domu, ale im dłużej Dierna milczała, tym większe ogarniało ją napięcie.

W połowie drogi do Clausentum ominęli oddział żołnierzy, którzy wyrównywali łożę drogi i układali w nim kamienie. Dalej trakt był wysypany żwirem i bardziej gładki. Wreszcie Najwyższa Kapłanka poruszyła się, jakby przebudzona zmianą ruchu.

Teleri otworzyła usta, lecz słowa Dierny padły pierwsze.

– Jesteś w Avalonie prawie trzy lata. Wkrótce będziesz mogła złożyć śluby. Czy jesteś z nami szczęśliwa?

Teleri szeroko otworzyła oczy.

– Szczęśliwa? – wydukała. – Avalon jest domem mego serca. Nigdy i nigdzie nie byłam szczęśliwsza! – Niekiedy złościła ją surowa dyscyplina, ale Avalon był dużo lepszy niż dwór ojca, w którym czuła się jak w klatce.

Dierna pokiwała głową. Jej oczy były puste, pozbawione wyrazu.

– Staralam się ze wszystkich sił – mówiła Teleri. – Czy kapłanki nie są ze mnie zadowolone?

Posępne spojrzenie drugiej kobiety złagodniało.

– Są, i to bardzo, Sprawujesz się doskonale. – Po chwili milczenia zapytała: – Co zobaczyłaś, kiedy błogosławiłyśmy fortecę?

Teleri patrzyła na nią bez słowa, wracając myślami do oświetlonego przez pochodnie placu i do mrugających gwiazd.

– Myślę, że wzbudziłyśmy moc. Czułam ciarki na skórze... – Niepewnie spojrzała na starszą kobietę.

– A ten rzymski dowódca, Karauzjusz... Co o nim myślisz?

– Wydaje się silny... odpowiedzialny... i chyba uprzejmy – mówiła z namysłem. – Byłam zaskoczona, gdy wzięłaś jego krew do błogosławieństwa.

– Tak miało być. – Twarz Dierny rozjaśnił przelotny uśmiech. – Przed letnim przesileniem, kiedy oddaliłam się w poszukiwaniu wizji, ujrzałam go. – Teleri czuła, jak rozszerzają się jej oczy, gdy słuchała opowieści kapłanki. – On jest Orłem, który nas uratuje, on jest Wybranym Obrońcą – oznajmiła na koniec Dierna. – Zaproponowałam mu przymierze z Avalonem.

Teleri ściągnęła brwi. Jej zdaniem Karauzjusz był stary i nie sprawiał wrażenia bohatera. Dierna kontynuowała:

– Bogini dała nam okazję, a ten człowiek, choć nie pochodzi z naszej krwi, ma starożytną duszę. Niestety, jest ledwo tego świadom. Potrzebuje kogoś, kto mu o tym przypomni i będzie jego łącznikiem z Avalonem...

Teleri nagle poczuła mdłości. Dierna ujęła jej rękę.

– Zdarzało się wcześniej, że dziewczę wyszkolone w Avalonie było oddawane królowi czy wodzowi wojennemu, aby związać go z Tajemnicami. Kiedy sama byłam dziewczynką, Eilan, księżniczka Demetów w rzymskim języku zwana Heleną, została żoną Konstancjusza Chlorusa. On jednak musiał opuścić granice Brytanii. Nastął czas, by odnowić przymierze.

Teleri z trudem przełknęła ślinę i wyszeptała:

– Dlaczego mówisz to mnie?

– Ponieważ jesteś najbardziej bystra i obdarzona największymi przymiotami spośród dziewcząt jeszcze nie związanych ślubami i pochodzisz z wysokiego rodu, który Rzymianie traktować będą z szacunkiem. To ty musisz odejść z Karauzjuszem jako jego żona.

Teleri odsunęła się od niej; sama myśl o położeniu się z mężczyzną przywiodła wspomnienia obłapiających ją twardych rąk Sasa. Nie potrafiła powstrzymać fali mdłości i wychyliła się z lektyki. Słyszała, jak Dierna każe niewolnikom zatrzymać konie. Opróżniony żołądek już jej nie dokuczał i świat przestał wirować.

– Wysiądź – dobiegł ją spokojny głos kapłanki. – W pobliżu płynie strumień. Umyj się i napij. Poczujesz się dużo lepiej.

Niewolnicy pomogli jej wysiąść z lektyki. Teleri zaczerwieniła się z zakłopotania, gdy spoczęły na niej zaciekawione spojrzenia innych kapłanek. Allektus, który dowodził eskortą, popatrzył na nią z troską w oczach.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Dierna.

Teleri wytarła usta i usiadła. Woda orzeźwiła ją i rzeczywiście poczuła się lepiej na solidnej ziemi. Z niezwykłą wyrazistością widziała gromadzące się chmury i szkarłatne maki w trawie, i błysk strumienia. Tehnienie wiatru poruszyło wilgotne włosy na jej czole.

– Nie mogę – wyszeptała – nie mogę tego zrobić. Wybrałam Avalon, ponieważ chciałam służyć Bogini. I ty sama wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, dlaczego nie mogę oddać się mężczyźnie. – Dierna mogła nie zdawać sobie sprawy, o co prosi. Dlaczego chciała oddać ją w taką niewolę? W rzymskim świecie żona była niewolnicą męża, a ona nawet nie знаła tego człowieka!

Dierna westchnęła.

– Kiedy wybrano mnie na najwyższą kapłankę, próbowałam uciec. Byłam wówczas brzemienna i wiedziałam, że jeśli pogodzę się z losem, to nigdy nie będę matką dla własnego dziecka, moją pierwszą troską będzie bowiem dobro Avalonu. Przez całą noc leżałam na bagnach, zanosząc się płaczem, a wokół mnie wirowały mgły. Po długim czasie dotarło do mnie, że inni mogą zatroszczyć się o moje dzieci, ale istotnie w owym czasie nie było nikogo, kto mógłby zająć się pochówkiem zmarłej Pani Avalonu, Rozpaczalam z powodu utraty prostych kobiecych radości, lecz jeszcze bardziej nękało mnie poczucie winy. Wiedziałam, że jeśli odmówię przyjęcia na swoje barki obowiązków najwyższej kapłanki, już nigdy nie odzyskam spokoju ducha. Byłam rozdarta i myślę, że śmierć jest lżejsza od tego, co wtedy przeżywałam.

Tuż przed wschodem słońca, kiedy brakło mi łez, otoczyło mnie ciepło, delikatne jak matczyne ramiona. W tej chwili zrozumiałam, że mojemu dziecku nie zabraknie miłości, sama Bogini będzie bowiem nad nim czuwać, i że nie muszę lękać się, iż sprawię zawód tym, którzy są ode mnie zależni, ponieważ Ona będzie działać przeze mnie.



Dlatego mogłam prosić cię, byś to zrobiła, Teleri, choć wiem, jakie to będzie trudne. Składając śluby Avalonowi, przysięgamy służyć Pani zgodnie z jej wolą, nie naszą. Myślisz, że nie wolałabym zatrzymać cię przy sobie i patrzeć, jak piękniejesz niczym młoda jabłotka? – Dierna znów wyciągnęła rękę, i tym razem Teleri się nie odsunęła. – Znaki były zbyt jednoznaczne, aby w nie powątpiewać. Brytania potrzebuje tego człowieka, lecz on jest wwikłany w obecne życie zbyt mocno, aby pamiętać mądrość swojej duszy. Ty musisz być jego Boginią, moja droga, ty musisz go przebudzić!

Diernie głos uwiązał w gardle. Teleri popatrzyła na nią i zrozumiała, że starsza kobieta rzeczywiście darzy ją głębokim uczuciem.

– Pani jest okrutna, skoro tak nas wykorzystuje! – zawołała. W sercu płakała: Nie kochasz mnie na tyle, aby mnie przy sobie zatrzymać? Nie widzisz, jak bardzo chcę zostać?

– Ona czyni to, co trzeba, dla dobra wszystkich... – wyszeptwała kapłanka – i służąc Jej, musimy robić to samo.

Teleri dotknęła wówczas jasnych włosów starszej kobiety, a Dierna przygarnęła ją do piersi.

Po jakimś czasie Teleri poczuła wilgoć na policzkach. Nie wiedziała, czyje to łzy – jej własne, czy też samej Pani płaczącej na niebie.

## 12

Zboże zostało zebrane w snopy, a siano w sterty. Ziemię spowijał spokój żniw. Pola poza Doliną Avalonu przeplecione były złotem. To dobry omen, powtarzała w duchu Dierna, gdy zamknęły się za nimi mgły Avalonu. W drodze rozmyślała o zaaranżowanym związku. Małżeństwa zwykle zawierano wiosną albo na początku lata, ale dla Karauzjusza z pewnością będzie lepiej, gdy ożeni się z nastaniem zimy, która kładła kres najazdom rozbójników morskich. W ten sposób zyska czas na poznanie żony przed ponownym wyruszeniem do walki. Sama czuła się nieco zmęczona, ponieważ przez dwa miesiące zajmowała się przygotowaniem Teleri do zamążpójścia.

Bez wątpienia Teleri była blada z tego samego powodu. Gdy wsiadały do krytego wozu, przysłanego po nie z Durnovarii przez Eiddina Mynoca, krzepiąco poklepała towarzyszkę po ramieniu. Dziewczyna pracowała bez chwili wytchnienia, najciężej ze wszystkich, kończąc szkolenie oraz ucząc się patrzeć w wodę i dostrzegać w niej wizje.

Oczywiście, wizje najłatwiej ukazywały się w świętej sadzawce, ale srebrna misa miała sprawować się równie dobrze. Widząca musiała tylko okadzić ją świętym dymem, a wodę pobłogosławić odpowiednim zaklęciem. Wynik nie zależał od wody, ale od przymiotów tego, kto w nią spoglądał. Ona sama opanowała tę sztukę na tyle dobrze, że mogła dostrzegać wizje w błotnistej kałuży, przy pomocy ledwie paru oddechów i bez żadnych ziół. Niekiedy nawet

zdarzało się, że Wzrok nachodził ją niespodzianie, i te wizje, wymuszone potrzebą, były najważniejsze ze wszystkich.

Ale Teleri nadal wierzyła, że świętość leży w formie przedmiotów, dlatego otrzymała w posagu szkatułę z pradawną srebrną misą, złobioną w splecione spirale przyciągające oko, i kilka dzbanów wody ze świętej sadzawki.

Teleri wyglądała przez szczelinę w skórzanych zasłonach, jakby mogła przebić wzrokiem mgły spowijające Tor. Dostrzegła tylko chrześcijański kościół i skupisko chat, w których zamieszkiwali tamtejsi mnisi. Wyżej, nad świętą studnią, stały niegdyś domy świętej wspólnoty. Nad nimi górował zaokrąglony szczyt Toru, nagi od czasów pierwszej Najwyższej Kapłanki, kiedy to mnisi zrzucili na dół święte kamienie. Czasami, patrząc z zewnątrz, trudno było uwierzyć, że ci, którzy mieli moc przebycia mgieł, znajdowali za nimi Wielką Salę Avalonu i Dom Dziewcząt, Drogę Procesyjną i nienaruszone kamienie.

W wyobraźni Dierny wszystko to było bardziej realne od rzeczywistej scenerii. Wiele rzeczy zmieniło się od czasu, kiedy Pani Caillean magicznym sposobem oddzieliła Avalon od świata. W czasach Sianny zaczęto budować z kamienia. Nim jej córka została Najwyższą Kapłanką, stały już mury Wielkiej Sali, długie jak w rzymskiej bazylice, choć kryte nie dachówkami, a strzechą. Wnuczka Sianny poświęciła pierwsze kolumny Drogi Procesyjnej. Babka Dierny zbudowała nowy Dom Dziewcząt.

A co ja zbuduję? – zastanowiła się wtedy. Potrząsnęła głową, odpowiedzią na to pytanie była bowiem przedsięwzięta podróż. Jej poprzedniczki budowały z kamienia, ale ona, pierwsza, która od wielu lat skierowała uwagę na świat zewnętrzny, wznosiła niewidzialne gmachy w sercach ludzi. Przynajmniej w sercu jednego człowieka. On z kolei, jeśli dobrze położyła fundamenty, miał wznieść mur z ludzi i okrętów, który powstrzyma Saksonów skuteczniej od wszelkich kamiennych zapór.

Dierna wsparła się wygodnie na skórzanym, miękkim oparciu, gdy wóz ruszył. Kotary zasunęły się. Teleri zamknęła oczy, lecz ręce miała splecione zbyt mocno, aby sądzić, że zapadła w sen. Kapłanka chmurnie zmarszczyła czoło, gdy zauważyła, jak szczupłe stały się jej nadgarstki. Po pierwszym wybuchu Teleri już nie sprzeciwiała się małżeństwu. Przeciwnie, robiła wszystko, o co ją poproszono, posłusznie jak każda córka Avalonu. Dierna założyła, że Teleri pogodziła się z losem, ale teraz przyszło jej na myśl, iż dziewczyna pograżyła się w wirze przygotowań, aby uniknąć zastanawiania się nad przyszłością.

– Teleri – przemówiła cicho. Powieki dziewczyny uchylły się odrobinę. – Sztuka widzenia w tafli wody działa na dwa sposoby. Będziesz zaglądać w wodę co wieczór w poszukiwaniu wizji, które powiedzą ci, co dzieje się w Brytanii. Zobacysz obrazy, które ja ci prześlę albo które po pewnym czasie sama zaczniesz wyławiać. Tafla wody może również być wykorzystywana do przesyłania wiadomości. W transie, jeśli przygotujesz się właściwie i nie zabraknie ci silnej woli, będziesz mogła wysyłać do mnie wieści. Jeśli coś się stanie, jeśli będziesz w potrzebie – zawołaj mnie, a przybędę.

Teleri odpowiedziała, nie otwierając oczu.

– Trzy lata spędziłam w Avalonie. Spodziewałam się, że doczekam wyświęcenia, nie zamążpójścia. To było jak sen. Ale teraz wracam do świata. Powiedziałaś mi, że zostanę oddana dobremu człowiekowi. Mój los nie jest gorszy od tego, jaki spotyka inne dziewczęta wysokich rodów. Będzie lepiej, gdy zerwiemy kontakty...

Dierna westchnęła.

– Mówisz, że przeżyłaś trzy lata wśród kapłanek. Avalon odcisnął na tobie swoje piętno, Teleri, choć nie nosisz półksiężyca między brwiami. Twoje życie już nigdy nie będzie takie, jak było, ty bowiem już nigdy nie będziesz taka sama. Nawet jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, będzie mi łatwiej, gdy będę wiedziała, jak sobie radzisz. – Zamilkła, ale Teleri nie odezwała się ani słowem. – Jesteś na mnie zła, może nie bez powodu. Nigdy jednak nie zapominaj, że nawet jeśli nie zwrócisz się do mnie, to pocieszysz cię sama Bogini.

Teleri wyprostowała się i popatrzyła jej w oczy.

– Tyś jest Panią Avalonu... – rzekła z wolna. – Tyś jest moją Boginią. – Potem znów odwróciła się w drugą stronę.

Pani, cóżem uczyniła? – myślała Dierna, patrząc na profil dziewczyny, czysty i niewzruszony jak rzymska płaskorzeźba. Ale przeznaczenie niemal się dokonało, a potrzeba, która wymusiła tę zdradę – jeśli była to zdrada – nie zanikła. Zamknęła oczy. Pani, Ty znasz wszystkie serca. To dziecko nie pojmuje, że to, o co nas prosisz, jest równie trudne dla mnie, jak dla niej. Ześlij jej pocieszenie, którego nie chce przyjąć ode mnie, Pani, i miłość...

Karauzjusz podciągnął luźny kraniec togi i spróbował przypomnieć sobie, co mówił Pollio. Człowiek ten był właścicielem ziemskim na terytoriach Durotrigów, a poza tym prowadził interesy handlowe w Rzymie – krótko mówiąc, był przedsiębiorczy i miał rozległe koneksje. Z drugiej strony, prawie wszyscy zaproszeni przez księcia Eiddina Mynoca na ślub córki wywodzili się z wysokich rodów albo posiadali władzę, albo jedno i drugie. Odziani w togi lub haftowane lniane szaty, tworzyli arystokratyczne grono, którego nie powstydziliby się żaden pałac w cesarstwie. Jedyne stojąca przy drzwiach kapłanka w niebieskich sukniach przypominała, że Brytania posiada własnych bogów i własne Misteria.

– Doskonały alians – powtórzył Pollio. – Oczywiście, z radością usłyszeliśmy, że Maksymian powierzył ci dowodzenie, ale skolidacenie się z jedną z najwybitniejszych familii sugeruje bardziej osobiste zainteresowanie sprawami Brytanii.

Karauzjusz nadstawił ucha. Nagle poświęcanie uwagi gadaniu Polliona przestało wymagać zachodu. Kapłanka zaproponowała małżeństwo, aby zapewnić łatwiejszą łączność. Czyżby związek z córką brytyjskiego księcia miał polityczny wymiar, którego nie przewidział? Kleopatra oddała Antoniuszowi cały Egipt, ale w jego przypadku wszystkim, czego pragnął od Teleri, było utrzymywanie więzi z Avalonem. Musiał wyjaśnić księciu Eiddinowi Mynocowi i innym, że nie dąży do niczego więcej.

Pollio poczęstował się smażonym ciastkiem z tacy podsunętej przez niewolnika i kontynuował:

– Byłem w Rzymie. Brytania od trzech stuleci wchodzi w skład cesarstwa, a w stolicy nadal uważają, że nasza prowincja leży na krańcach ziemi. Kiedy czasy stają się ciężkie i trzeba pomyśleć o obronie, o nas przypominają sobie na samym końcu, po zaspokojeniu wszelkich innych potrzeb. Czyż nie widzieliśmy już, jak wojujący między sobą cesarze wycofywali żołnierzy z naszej granicy?

– Złożyłem przysięgę cesarzowi... – zaczął Karauzjusz, ale Pollio mówił dalej:

– Można służyć na wiele sposobów. Może nie będziesz zbyt skory do realizowania swoich ambicji w Rzymie, jeśli ktoś będzie czekał na ciebie tutaj, co? Twoja narzeczona jest dość piękna, aby mężczyzna nie miał ochoty opuszczać domowych pieleszy. – Admirał nastroszył się na tę uwagę. – Pamiętam ją, kiedy była zahukaną panienką; zdecydowanie zmieniła się na korzyść!

Karauzjusz popatrzył na Teleri, która stała z ojcem po drugiej stronie komnaty, pod girlandą splecioną z kłosów pszenicy i suszonych kwiatów. Trudno mu było wyobrazić ją sobie jako niezdarnego podlotka. Pachnąca wonnościami, w klejnotach i szkarłatnym jedwabiu sprowadzonym ze wschodnich krain cesarstwa, była jeszcze ładniejsza niż w fortecy. Królewski strój, noszony z godnością tylko podkreślał jej urodę.

Jak gdyby świadoma jego zainteresowania, odwróciła się i przez chwilę widział wyraźne linie jej twarzy przez różowawą mgiełkę welonu. Przypominała posąg bogini w czasie festiwalu. Szybko spojrzał w inną stronę. Był mężczyzną z właściwymi swej płci potrzebami i nigdy nie gardził wdziękami kobiet, a im wyższa była jego pozycja, tym bardziej ich zdobycie stawało się łatwe. Miewał różne kobiety, i obozowe dziewczki, i wyniosłe kurtyzany w Rzymie, nigdy jednak nie dzielił łoża ani z córką królewskiego rodu, ani z taką pięknnością. Łatwo byłoby oddawać jej cześć, pomyślał. Nie był pewien, czy sprosta roli męża.

– Zdenerwowany? – Aeliusz, który zostawił „Herkulesa” w Clausentum i przybył służyć wsparciem, ścisnął admirała za ramię. – To normalne! Mawiają, że wszyscy czują się tak przed ślubem. Nie przejmuj się – po zgaszeniu pochodni wszystkie kobiety są takie same. Pamiętasz, jak przepłynąłeś łódką deltę Rhenusu? Wszystko będzie dobrze. Płyn powoli i zapuszczaj sondę! – Wybuchnął śmiechem, gdy Karauzjusz oblał się rumieńcem.

Dotknięcie w ramię uwolniło go od wysłuchiwanie kłopotliwych pouczeń. Karauzjusz odwrócił się i napotkał ciemne, pełne żaru spojrzenie szczupłego młodzieńca. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

– Panie, od zeszłego lata spędziłem dużo czasu na rozmyślaniach – zagaił chłopak. – Wielką rzecz czynisz dla Brytanii. – Zacinał się odrobinę, jakby słowa nie mogły nadażyć za kierującymi nim emocjami.

Był to Allektus – to on przybył z ojcem na rytuał błogosławienia ziemi pod fortecę Portus Adurni i odprowadził kapłanki do domu. Karauzjusz kiwał głową, gdy chłopak mówił:

– W dzieciństwie często zapadałem na zdrowiu, dlatego nie służę w wojsku, ale znam się na pieniądzach. Wiem, że bez nich nie osiągniesz swoich celów. I że potrzebujesz więcej, niż cesarz będzie skłonny wyasygnować. Jeśli przyjmiesz mnie do swego sztabu, będę służył ci całym sercem.

Karauzjusz ściągnął brwi, patrząc na młodzieńca okiem dowódcy. Allektus nie nadawał się na wojownika, ale wyglądał zdrowo i jeśli wszystkie zasłyszane historie były prawdziwe, wcale się nie przechwalał. Miał rację; admirał zaczął sobie uświadamiać, że ochrona mieszkańców Brytanii, jakiej się po nim oczekuje, może daleko wykraczać poza granice nakreślone przez Maksymiana. Ale tyle mógłby im dać, powiedział sobie w duchu, gdy przyszedł mu na myśl opowieści o oficerach samozwańczo ogłaszających się cesarzami.

– Co na to twój ojciec?

Światło zapłonęło w oczach Allektusa.

– Zgadza się. Myślę, że byłby ze mnie dumny.

– Doskonale. Możesz przyłączyć się do mojego sztabu nieoficjalnie, i pracować z nami tej zimy. Jeśli udowodnisz swoją wartość, zastanowimy się nad stałym przydziałem, gdy wiosną zacznie się kampania.

– Panie! – Allektus zasalutował z takim entuzjazmem, że nagle wydał się dużo młodszy. Widać było, że targają nim emocje; chwila była nieco krępująca.

Karauzjuszowi zrobiło się go żal.

– Oto mój pierwszy rozkaz: dowiedz się, kiedy się rozpoczną obrzędy!

Allektus wyprężył się i odmaszerował krokiem, który najwyraźniej pomyślany był jako żołnierski. Karauzjusz zastanowił się, czy słusznie postąpił, przyjmując go do sztabu. Młodemu Brytonowi, w którym cieleca młodość i stateczna dojrzałość tworzyły ciekawą mieszankę, w towarzystwie brakowało pewności siebie, ale jak wieść niosła, był on bystrym i agresywnym przedsiębiorcą. Armia wykorzystywała ludzi o różnorodnych uzdolnieniach. Jeśli Allektus potrafi sprostać fizycznym wymogom służby i okaże się odporny na wojskowy dryl, naprawdę może stać się bardzo użyteczny.

Admirał pogrzyżył się w zadumie, rozmyślając o obowiązkach dowódcy. Zaplanowali wesele pod koniec sezonu żeglugowego, żeby nie kolidowało ze służbą, ale dobra pogoda utrzymywała się dłużej niż zwykle. Było to dobrodziejstwem dla tych, którzy z daleka przybywali na uroczystość, lecz paru bezczelnych Saksonów też mogło skorzystać z okazji i wyruszyć na ostatnią wyprawę przed początkiem sztormów. Gdyby tak się stało, on byłby tutaj, zamiast w jednej z fortec nad Kanalem, i nim doszłyby go wieści o napadzie, po wilkach morskich nie zostałoby śladu...

Nie wzrok ani nie słuch, lecz jakiś bardziej subtelny zmysł wyrwał go z zadumy. Kiedy podniósł głowę, stała przed nim Dierna.

Odetchnął pełną piersią i ruchem dłoni wskazał tłum zebrany w komnacie.

– Sprawiałaś się dobrze, wszyscy czekamy na twoje rozkazy. Jesteś zadowolona?

– A ty? – Spokojnie spojrzała mu w oczy.

– Obawiam się, że przed końcem dnia nie wygram żadnej bitwy.

Dierna wzniosła brew.

– Boisz się?

– Od spotkania z tobą słyszałem dziwne opowieści o Avalonie. Mówią, że Rzym podbił druidów, ale nie ich kapłanki; że jesteście czarodziejkami, jak te, które zamieszkują wyspę Senę w Armoryce, dziedziczkami starożytnych mocy. – Niewzruszenie stawiał czoło ludziom, którzy nastawali na jego życie, ale wytrzymanie spojrzenia tej kobiety wymagało całej jego woli.

– Jesteśmy tylko śmiertelniczkami – rzekła łagodnie kapłanka – choć nasze szkolenie jest żmudne, i może prawdą jest, że strzeżemy tajemnic, które Rzymianie zaprzepaścili.

– Jestem obywatelem Rzymu, ale nie Rzymianinem. – Po raz kolejny zatknął za pas luźny kraj togi. – Kiedy byłem chłopcem, czarownice Menapiów zamieszkiwały jeszcze rozlewiska Germanii, gdzie Rhenus wpada do północnego morza. Miały własną wiedzę, ale w tobie wyczuwam coś bardziej zdyscyplinowanego, coś co przypomina mi kapłanów spotkanych w Egipcie.

– Możliwe... – Przyjrzała mu się z zainteresowaniem. – Mówi się, że ci, którzy zdołali ujść z Zatopionych Krain, znaleźli schronienie w wielu zatokach, i że Tajemnice Egiptu podobne są naszym. Pamiętasz?

Karauzjusz zmrużył oczy, zaniepokojony szczególnym brzmieniem jej głosu. O coś podobnego pytała go w Portus Adurni.

– Czy pamiętam? – powtórzył, a ona z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Nieważne. Dzisiaj powinieneś myśleć o pannie młodej...

Oboje spojrzeli na Teleri.

– Jest bardzo piękna. Nie spodziewałem się, że poślubię ją w takiej konwencjonalnej rzymskiej ceremonii.

– Jej ojciec chciał być pewien, że związek zostanie zaakceptowany – odparła Dierna. – Parę lat temu jedna z naszych kobiet została oddana rzymskiemu oficerowi, Konstancjuszowi, zgodnie z naszymi zwyczajami, i teraz słyszymy, że uważana jest za jego konkubinę.

– A jakie są obrzędy Avalonu?

– Mężczyzna i kobieta zbliżają się jako kapłan Pana i kapłanka Pani. On symbolizuje moc Rogatego, który przynosi życie polom i stadom, a ona przyjmuje go jako Wielką Bogini, Matka i Oblubienica.

Poruszyło go brzmienie jej głosu. Przez czas potrzebny na zaczerpnięcie oddechu czuł się tak, jakby przypominał sobie coś dawno zapomnianego, ale niezmiernej wagi. Potem usłyszał beczenie ofiarnej owcy i zagadkowa chwila przeminęła.

– Nie odmówiłbym udziału w takim obrzędzie – zapewnił cicho. – Ale nadszedł czas rytuałów Rzymu. Pobłogosław nas. Pani Avalonu, a my nie poskąpimy starań, by wszystko było jak najlepiej.

Haruspik stanął w drzwiach, wzywając ich ruchem dłoni. Karauzjusz wyprostował się, czując na przedramionach znajome swędzenie, które pojawiała się, ilekroć w podnieceniu czekał na początek bitwy. Niewielka różnica, zdecydował. Wysunął się do przodu i weselni goście ustawili się za jego plecami. Niby zwyczajna uroczystość, ale dla niego było to jak wyruszenie na nieznane morza.

Poza sypialną komnatą nadal trwała uczta. Księżę, szczęśliwy, że miał tracić córkę na rzecz Avalonu, oddał ją znamienitemu człowiekowi, zakupił mnóstwo beczek galijskiego wina i goście raczyli się trunkiem bez najmniejszego skrepowania. Karauzjusz, spoglądając na żonę, żałował, że nie może zrobić tego samego. Ale dobry oficer nie oddaje się pijaństwu na służbie.

A to była służba. Kobieta czekająca nań w wielkiej łożnicy była piękna. Przypuszczał, że nie brakuje jej temperamentu i, skoro została wyszkolona w Avalonie, umiejętności. Była jednak dziwna.

Nie przyszło mu do głowy, że w czasie tej nocy może pojawić się jakiś problem. Ladacznice nigdy nie robiły ceregieli. Pojął, że po tym związku oczekuje czegoś więcej. Teleri leżała nakryta po samą brodę, patrząc na niego wzrokiem strwożonej lani. Karauzjusz uśmiechem spróbował dodać jej odwagi i zaczął się rozbierać. W świetle prawa rzymskiego była jego żoną, ale obyczaj brytyjski, podobnie jak ten respektowany przez jego lud, wymagał skonsumowania małżeństwa – dopiero wówczas nabierało ono mocy.

– Mam zgasić lampę? – zapytał.

Bez słowa pokiwała głową, Karauzjusza ogarnął chwilowy żal – jaki był cel poślubiania pięknej kobiety, skoro nie można było podziwiać jej wdzięków? Ale zbyt wielkie piękno mogłoby go onieśmielić, podczas gdy w ciemności wszystkie kobiety były jednakowe. Ściągnął narzutę i usłyszał skrzypnięcie łóżka, gdy legł obok niej. Teleri nadal milczała. Z westchnieniem wyciągnął rękę i pogładził jej włosy. Miała niezwykle gładką skórę. Jego palce, jakby same, przesunęły się z jej policzka na szyję, a stamtąd do prężnej krągłości piersi. Ona sapnęła i zeszywniała, drżąc pod jego dłonią.

Czy powinien umizgać się do niej, zabawiać miłosną rozmową? Jej milczenie odbierało mu odwagę i żadne myśli nie przychodziły mu do głowy. Ale podczas gdy umysł nie był gotowy, ciało, reagując na dotyk sprężystej skóry pod palcami, nie było opieszale. Karauzjusz próbował zwolnić, zaczekać, póki ona również nie będzie gotowa, ale Teleri leżała nieruchomo, biernie, gdy rozchylił jej uda. A potem już nie mógł wytrzymać. Opadł na nią z jękiem, mocno chwytając ramiona. Zaszlochała i zaczęła się bronić, lecz on już zdobył upragnioną nagrodę.

Wkrótce było po wszystkim. Teleri skuliła się na boku, plecami do niego. Karauzjusz leżał przez długi czas, wsłuchując się w jej oddech, próbując odgadnąć, czy nie płacze. Nie wydawała żadnego dźwięku. Stopniowo zaczął się odprężyć. Powtarzał sobie, że to niezły początek, że będzie dużo lepiej, gdy do siebie przywykną. Miał niewielkie nadzieje na miłość, ale gdy zamieszkają razem, z pewnością zaczną darzyć się szacunkiem i traktować z wyrozumiałością, a tyle przecież łączyło większość znanych mu par.

Nie był przyzwyczajony do dzielenia łoża i sen długo nie nadchodził. Leżał spokojnie, rozmyślając nad żołnierskimi rozporządzeniami; żałował, że nie może zapalić lampy, aby nad nimi popracować. Nie wiedział, czy żona zasnęła, a jeśli tak, nie chciałby jej przebudzić. Po pewnym czasie zapadł w niespokojną drzemkę; śnił, że stoi na rozkołysanym pokładzie, walcząc z pozbawionymi twarzy wrogami.

Kiedy usłyszał pukanie, z początku uznał, że to huk taranu bijącego w burtę jego okrętu. Potem rozbrzmiały głosy; powoli zaczął rozumieć słowa.

– Pani, trzecia godzina. Nie można nic zrobić przed świtem. Na Junonę, to noc poślubna admirała! Nie wolno mu przeszkadzać!

– Jeśli wpadnie w gniew, przyjmę winę na siebie – odpowiedział kobiecy głos. – A czy ty przyjmiesz na siebie odpowiedzialność za odmówienie mu prawa do ważnych wieści?

– Wieści? – powtórzył pytająco wartownik. – Nie przybył żaden posłaniec...

– Nie potrzebuję ludzkich posłańców. – Głos kobiety zmienił się i Karauzjusz, nakładając szatę, poczuł chłód, który nie miał nic wspólnego z nocnym powietrzem. – Wątpisz w moje słowa?

Biednemu strażnikowi, rozdartemu między posłuszeństwem rozkazom a mocą, kapłanki, została oszczędzona odpowiedź, gdy Karauzjusz otworzył drzwi.

– Co się stało?

Twarz Dierny, pełna napięcia, odprężyła się nieco. Kapłanka uśmiechnęła się. Stała w płaszczu zarzuconym na nocny strój, jej rozpuszczone włosy spływały na ramiona niczym płomień.

– Saksonowie uderzyli – oznajmiła z chmurną miną.

– Skąd wiesz... – zaczął, lecz ona tylko się zaśmiała.

– Ty dotrzymałeś swojej części naszej umowy. Myślisz, że ja nie dotrzymam swojej? Wiedziałam, jak bardzo boisz się zostawiać wybrzeże bez ochrony i tej nocy zajrzałam do Widzącej Czary. Mówiłam ci, że tego właśnie uczyłam Teleri przez całą jesień.

Sapnął, w pełni rozbudzony, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów.

– I co zobaczyłaś?

– Miasto w płomieniach, chyba Clausentum, i dwie długie łodzie na brzegu. Nie będą spieszyć się przy plądrowaniu miasta, przekonani, że nikt im nie przeszkodzi. Jeśli nie zmitręzysz czasu, zdążysz na poranny odpływ i będziesz czekać na nich za wyspą Victis, kiedy wyruszą w drogę powrotną.



Karauzjusz pokiwał głową. Wartownik przysłuchiwał się z rozdziawionymi ustami, ale karnie stanął na baczność, gdy admirał zaczął wydawać rozkazy. Karauzjusz skrył uśmiech; potem wszystkie inne myśli zniknęły, przysłonięte oczekiwaniem, jakie wzbudziła w nim perspektywa bitwy. To umiał robić.

Zimę spędzili w Dubris, rzymskim forcie na południowo-wschodnim wybrzeżu, na plemiennych ziemiach Cantium. Teleri spodziewała się, że znienawidzi tę krainę, choćby dlatego, że nie była Avalonem. Jeśli jednak willa nad kredowymi urwiskami, gdzie umieścił ją Karauzjusz, była klatką, to przynajmniej wygodną, a wielcy, powolni, jasnowłosi Cantowie, tak różni od jej ziomków z zachodu, okazali się bardzo uprzejmi i powitali ją serdecznie.

Karauzjusz często był nieobecny, nadzorując budowę nowej fortecy w Portus Adurni albo dodatkowych umocnień w Dubris. Część dóbr, które odebrał pokonanym piratom w dzień po weselu, wróciła do prawowitych właścicieli. W petycji wysłanej do Rzymu poprosił o zezwolenie na sprzedaż tych towarów, których właścicieli nie można było ustalić, i zyski przeznaczył na ochronę Saksońskiego Brzegu.

Nawet kiedy wracał do domu, większość czasu spędzał ze swoimi oficerami, mozoląc się nad mapami czy omawiając strategię. Początkowo Teleri była z tego zadowolona. Bała się, że dotyk tego człowieka przywoła wspomnienia próby gwałtu. Dyscyplina Avalonu bardzo jej się przydała. Kiedy Karauzjusz kładł się z nią do łóżka, wystarczało oderwać umysł od ciała i wówczas nic nie czuła – ani bólu, ani strachu. Nie zdawała sobie sprawy, że mąż coś zauważa, ale po pewnym czasie zaczęła podejrzewać, że unika jej świadomie.

W okresie zimowego przesilenia Rzymianie obchodzili Saturnalia. Admirał nagroził swoich ludzi urlopami i wrócił do willi na zasłużony wypoczynek. W wigilię przesilenia wyprawili ucztę. Był to czas wesołości i mężczyźni bez umiaru zapijali się słodkim galijskim winem. Nawet Teleri pozwoliła sobie wypić więcej niż zazwyczaj. W Avalonie w tę noc odprawiano święte obrzędy, witając nowo narodzone słońce. Widziała te uroczystości tylko raz i zanosila się szlochom na wspomnienie ich piękna.

Z tego powodu zapomniała o zwykłej wstrzemięźliwości. Była zaskoczona, kiedy nogi się pod nią ugięły, gdy wstała od stołu.

– Nie mogę chodzić! – krzyknęła. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, ona nagle też uznała, że to zabawne. Roześmiała się i straciła równowagę. Karauzjusz pochwycił ją i uniósł w ramionach. Trzymał ją z zakłopotaną miną, jakby nie wiedział, skąd wzięła się przy jego piersi. – Jestem twoją żoną... – poważnie pokiwała głową – nie dziwota, że mnie nosisz...

Świat wirował szaleńczo, gdy niósł ją korytarzem. Przywieriała do niego mocno i nie puściła nawet wtedy, kiedy położył ją na łóżku.

– Przysłać służącą, żeby cię rozebrała? – zapytał, próbując rozewrzeć jej palce.

– Ty mnie rozbierz – wymamrotała – mężu... – Popatrzyła mu w twarz z uśmiechem. Wiedziała, że odczuwa nie pożądanie, ale samotność. Jeśli Karauzjusz z nią zostanie, nie będzie myślała o Avalonie.

– Wypiłaś odrobinę za dużo – zaznaczył, ale mięśnie jego ramion nie były już twarde jak skała pod jej palcami.

Zachichotała.

– Ty też!

– Prawda – przyznał tonem człowieka, który dokonuje niespodziewanego odkrycia.

Pociągnęła go za tunikę i Karauzjusz runął obok niej na posłanie, a potem, raczej niezdarnie, pocałował ją w usta. Przyjemnie jest, myślała, gdy tarł jej ubranie, być tak blisko drugiej osoby. Tym razem miała zamiar oddać mu się całkowicie, lecz w miarę rozwoju wypadków odrywała się od nich stopniowo. Kiedy wreszcie nakrył ją swoim ciałem, uciekła w przypadkowe obrazy i znalazła wśród nich, nieoczekiwanie, twarz Allektusa.

Rankiem Teleri przebudziła się z bólem głowy i pomieszаныmi wspomnieniami. Była sama w łóżku, ale płaszcz Karauzjusza leżał na podłodze. Wspólnie spędzona noc nie była snem. Wreszcie, myślała, gdy służąca pomagała jej zakładać ubranie, przestała się go bać. Kiedy jednak spotkali się przy śniadaniu, Karauzjusz wydawał się niepewny i nieco zawstydzony. Może też cierpiał na ból głowy.

Jeśli nocne zajście nie pogorszyło ich stosunków, to wcale nie zbliżyło ich ku sobie.

Gdy jeden po drugim mijały dni mrocznej pory roku, Karauzjusz częściej sprowadzał do willi starszych oficerów. Teleri spędzała dużo czasu w towarzystwie Allektusa i ze współczuciem wysłuchiwała jego skarg na surowe wymagania żołnierskiego życia.

– Jesteśmy finansowani tak bardzo nieudolnie! – zawołał, gdy spacerowali wzdłuż urwiska. – W Brytanii zbiera się podatki, wysyłane następnie do Rzymu. Potem, jeśli cesarzowi to odpowiada, ich część płynie z powrotem. Żaden kupiec nie dorobiłby się w taki sposób! Czy nie byłoby sensowniej wyliczyć, ile przypada na obronę Brytanii, i odciągać tę sumę z wysyłanych podatków?

Teleri przytaknęła ruchem głowy. Z pewnością w jego ustach miało to sens. Przyzwyczajona do cywilnego rządu, w ogromnej części finansowanego z kontrybucji magnatów pełniących lokalne urzędy, nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad problemami obrony całej prowincji.

– Czy nie moglibyśmy zwrócić się o darowizny do ludzi, których chronią forty Karauzjusza?

– Będziemy musieli, chyba że Maksymian przyśle więcej. – Allektus odwrócił się, wsparł ręce na biodrach i wpatrzył się w morze. Teleri odniosła wrażenie, że wojskowe życie wyszło mu na dobre. Żar w jego spojrzeniu nie uległ zmianie, ale godziny ćwiczeń przybrązowiły mu skórę, wyprostowały plecy i rozbudowały mięśnie szczupłej sylwetki.

– Pożyczyłem trochę pieniędzy na procent. Odzyskam je na początku sezonu żeglugowego, dzięki czemu będzie z czym zacząć. Ale pieniądz rodzi pieniądz. Poproszenie moźnych o darowizny jest doskonałym pomysłem... – Obdarzył ją uśmiechem, który nie do poznania odmienił jego rysy. – Tylko że wyciśnięcie złota z tych ludzi będzie wymagało czegoś więcej niż czyste argumenty. Nie skąpią grosza tylko wtedy, gdy mogą zyskać przewagę nad sąsiadami. Korzyści w postaci umocnień, mających na celu obronę ziemi innego plemienia, nie podziałają na ich wyobraźnię. Musisz pójść ze mną, Teleri, i oczarować ich, by potrzęsnęli kiesą! Z pewnością nie zdołają oprzeć się twemu uśmiewowi...

Zarumieniła się mimo woli, myśląc, że wbrew narzekaniom służba wywarła na niego korzystny wpływ – tak pod względem fizycznym, jak towarzyskim. Rok temu nie miałby śmiałości, by prawić takie komplementy.

Ociepliło się, choć burze nadal smagały ziemię. Karauzjusz przeprowadził się z willi do samej fortecy i zabrał z sobą Teleri. Przymierze z księciem Eiddinem Mynokiem i aura Avalonu same w sobie miały duże znaczenie, ale nie były głównym powodem poślubienia dziewczyny. Nadszedł czas, aby dowiedzieć się, czy można osiągnąć inny, sekretny cel wiążący się z jej obecnością. Teleri szybko udawała się na spoczynek – nie było to ani dziwne, ani trudne, skoro on spędzał wieczory ze swymi ludźmi. Nikt nie wiedział, że Teleri wstaje przed świtem i wpatruje się w wodę w srebrnej misie, oczyszczając umysł i czekając na wieści z Avalonu.

Początkowo miała kłopoty z koncentracją, ale w miarę upływu czasu zaczęła uważać te chwile za najlepszą część dnia. W spokojnych godzinach przed wschodem słońca, kiedy wokół niej wielka forteca pogrążona była we śnie, mogła niemal wyobrazić sobie, że nadal przebywa w Domu Dziewcząt. Rozmyślała o rzeczach, których tam się nauczyła, i była zdumiona tym, że tak dużo pamięta i że lepiej wszystko rozumie.

W pewną noc pod koniec miesiąca Marsa przyłapała się na rozmyślanii o Diernie – nie z gniewem, który wcześniej tyle razy brukał jej myśli, a z żalem. Ta zmiana, niczym usunięcie kamienia uwalniającego wodę spiętrzoną przez tamę, przywołała nowy obraz. Teleri zobaczyła formujące się na powierzchni wody oblicze Najwyższej Kapłanki.

Rozszerzone oczy kobiety powiedziały jej, że ona też ją dostrzegła. Przeszył ją niespodziany ból, gdy uświadomiła sobie, że Dierna spogląda na nią z ulgą i miłością. Jej usta się poruszyły. Teleri nie usłyszała słów, lecz odgadła pytanie i odpowiedziała krzepiącym uśmiewem, a potem na migi zapytała, jak wiedzie się w Avalonie. Dierna zamknęła oczy, na jej twarzy odmalowało się skupienie. Jej wizerunek się rozmył. Przez chwilę Teleri widziała Avalon, leżący spokojnie w blasku gwiazd. Zobaczyła Dom Dziewcząt i mieszkanie kapłanek, tkalnię, farbiarnię i kuchnię, i szope, w której suszyły zioła i poddawały je obróbce, jabłkowy sad, gaj dębowy, wodę lśniąca w świętej studni i górująca nad wszystkim spiczastą sylwetkę Toru.

Teleri opuściła powieki, próbując wyobrazić sobie fortecę Dubris i poru w którym zacumowane okręty wznosiły się i opadały na falach, tej myśli przesunęły się na Karauzjusza, barczystego i skupionego, z liczniejszymi niż przed rokiem pasemkami siwizny we włosach. Przy jego boku pojawiła się druga, nieproszona postać: Allektus z oczami płonącymi podnieceniem. Chwilę później wola Teleri, nienawykła do takiego wysiłku, osłabła. Dziewczyna zamrugła i zobaczyła w misie tylko lśnienie wody, a w oknie blade światło brzasku.

Karauzjusz wyprostował się, odrywając oczy od mapy wybrzeża. Skrzywił się, gdyż mięśnie pleców zabolowały go przy zmianie pozycji. Jak długo się pochylał? Mapę, wyrysowaną na skórze, można było zwijać i przenosić albo przypinać do deski. Przy obrazkach fortec i miast leżały drewniane krążki wyobrażające okręty i zapasy, łatwe do policzenia i do przesuwania. Gdyby równie łatwo można było przemieszczać okręty i wojska! Kaprysy pogody i ludzkich serc mogły pokrzyżować najbardziej logiczne plany.

W fortecy panował spokój właściwy porze między północą a świtem, kiedy śpią wszyscy prócz strażników na murach. Czuwał także on i Allektus. Młodszy mężczyzna przesunął trzy drewniane „worki zboża” z malowanego obrazka Dubris do Rutupiae i pytająco spojrzał na dowódcę.

– Myślę, że wystarczy. – Narysował kreskę na tabliczce. – Nie obrośniemy tłuszczem, ale nikt nie będzie głodny. – Spróbował stłumić ziewnięcie.

– Sen też jest potrzebny – rzekł Karauzjusz, przypatrując mu się z uśmiechem. – Nawet tobie i mnie. Idź do łóżka, Allektusie, i śpij dobrze.

– Nie jestem zmęczony, naprawdę. Inne forty...

– Mogą zaczekać do jutra. Zrobiłeś więcej, niż trzeba.

– Jesteś zadowolony z mojej pracy?

Karauzjusz zmarszczył czoło, zastanawiając się, dlaczego chłopak zadał to pytanie.

– Zeszłej jesieni przyjąłeś mnie nieoficjalnie – ciągnął Allektus. – Oficerowie w twoim sztabie znają mnie, ale wszędzie indziej cieszyłbym się większym poważaniem, gdybym nosił mundur. To znaczy... – dodał z wyraźną trudnością – o ile zasłużyłem...

– Allektusie! – Karauzjusz chwycił go za ramiona. Młodszy mężczyzna wyprężył się; jego ciemne oczy błyszczały, jakby powstrzymywał wzbierające łzy. Admirał pomyślał o Teleri – oboje mieli delikatną budowę i ciemną karnację właściwą plemionom żyjącym na zachodzie. Być może byli spokrewnieni.

– Mój chłopcze, czy w to wątpisz? Obecnie trudno mi sobie wyobrazić, jak radziłem sobie bez ciebie. Jeśli zależy ci na mundurze, będziesz go miał.

Na twarzy Allektusa rozbłysnął promienny uśmiech. Chłopak skłonił się i pocałował admirała w rękę. Karauzjusz puścił jego ramię, nieco zaskoczony, ale również wzruszony tym spontanicznym zachowaniem.

– Ruszaj do łóżka – przynaglił łagodnie. – Nie musisz doprowadzać się do kresu sił, aby okazać mi swoje oddanie.

Po odejściu Allektusa Karauzjusz stał i patrzył za nim z nie gasnącym uśmiechem na twarzy. Jeśli Teleri urodzi mi syna, nie miałbym nic przeciwko, gdyby był do niego podobny, pomyślał. Pojął ją z innych powodów, ale wszak była jego żoną. Dlaczego miałby odmawiać sobie nadziei na potomka, który, zrodzony na tej ziemi, podążyłby w jego ślady?

Żwawszym niż zwykle krokiem ruszył do swoich kwater. Teleri jasno dała do zrozumienia, że jego zabiegi nie są mile widziane, ale przecież większość kobiet chciała mieć dzieci. I może, jeśli ten pomysł przypadnie jej do gustu, stanie się miłsza dla ojca swego dziecka.

Wszedł do jej komnaty i zastał puste łóżko.

Przez chwilę stał jak porażony, zdumiony siłą bólu, jaki ogarnął go na myśl o zdradzie. Potem wrócił mu rozsądek. Nawet gdyby Teleri należała do kobiet chętnych do romansowania, była zbyt inteligentna, aby robić to w nocy, kiedy każdy śpiący w forticy był odliczony, a warty przemierzały teren. Po cichu pchnął drzwi prowadzące do sąsiedniej izby.

Na niskim stoliku płonęła lampa. Blask pełgał po krawędzi srebrnej misy i rozjaśniał fałdy białych szat Teleri. Płomień zachwiał się, poruszony przeciągiem, ale ona nawet nie drgnęła. Ledwo wając się oddychać, ukląkł obok niej.

Wpatrywała się w ciemną powierzchnię wody, poruszając ustami.

– Dierna... – wyszeptała i zastygła w milczeniu, jakby nasłuchując odpowiedzi.

– Pani – przemówił Karauzjusz odrobinę głośniejszym głosem niż ona – niech twój wzrok przeszuka wybrzeża Brytanii. Co widzisz? – Sam nie był pewien, do której z nich się zwrócił i która mu odpowiedziała.

– Ciemną wodę... Widzę rzekę, niskie brzegi, wierzchołki drzew na tle gwiazd. – Stracił dech w piersiach, a Teleri zachwiała się. – Silny prąd... lśniąca fala... wiosła błyszczące nad wodą...

– Czy to okręty wojenne? Ile? – zapytał ostro. Ona skrzywiła się, lecz udzieliła odpowiedzi.

– Sześć... płynących w górę rzeki...

– Gdzie? – Tym razem nie podniósł głosu, ale nie zdołał zapanować nad jego siłą. – Jaka to rzeka? Jakie miasto?

– Widzę most... i mury z czerwonego kamienia... Dierna mówi... to Durobrivae! Ruszaj! Musisz się spieszyć! – Ostatnie słowa, mimo że padły z ust Teleri, tak bardzo przypominały głos Dierny, że Karauzjusz aż zamrugał. Potem żona osunęła się w jego ramiona.

Z walącym pulsem zaniósł ją do łóżka. Choć nagliła go potrzeba ruszenia w drogę, starannie otulił ją narzutą. Nie przebudziła się, jej oddech już zwolnił i pogłębił się do regularnego rytmu. Jej rysy tchnęły oderwanym spokojem westalki, albo dziecka, i w owej chwili nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógł spoglądać na nią z pożądaniem.

– Pani, dzięki ci. – Pochylił się i złożył pocałunek na jej czole. Wyszedł z komnaty i myśli o Teleri uleciały mu z głowy, gdy tylko wykrzyknął rozkazy.

Z militarnego punktu widzenia ta pora roku przyniosła prawie same sukcesy. Co prawda wzrok Dierny nie był nieomylny, Teleri nie zawsze udawało się zrozumieć jej przesłania, a poza tym zdarzało się, że Karauzjusz przebywał na morzu i nie można było go uprzedzić. Ale, jak obiecała Najwyższa Kapłanka, przymierze z Avalonem umożliwiło Karauzjuszowi jeśli nie doszczętne rozgromienie wroga, to przynajmniej zachowanie nad nim przewagi. Bywało, że Rzymianie nie nadążali z ratunkiem i nie mogli zapobiec splądrowaniu danej osady, lecz często mieli czas, aby wziąć odwet i odbić łupy. Statki kupieckie wypływające z portów Brytanii były ciężkie od towarów, po które nikt się nie zgłosił i które Karauzjusz wysyłał do Rzymu.

Pod koniec lata, kiedy stogi siana piętrzyły się wysoko na łąkach, a proso kłoniło się przed kosą żeńca, Karauzjusz zwołał radę brytyjskich dowódców ze wszystkich terytoriów Saksońskiego Brzegu, aby omówić przyszłą obronę Brytanii. Z pomocą Teleri działał dużo więcej, niż Maksymian się po nim spodziewał. Ale to było jeszcze za mało. Żeby kraj zyskał całkowite bezpieczeństwo, musiał jakimś sposobem nakłonić do udzielenia pomocy mieszkańców z głębi wysp. Na miejsce spotkania wyznaczono bazylikę w Venta Belgarum, jedyną budowlę w okolicy na tyle wielką, by zdołała pomieścić wszystkich zaproszonych.

Karauzjusz wstał, machinalnie poprawiając togę, aby ułożyła się we wdzięczne fałdy znane z rzymskich posagów. W ciągu dwóch minionych lat wymagano od niego przywdziewania togi tak często, że przestał się skarżyć na związane z tym niewygody. Gdy udrapował luźny koniec na ramieniu i wzniósł rękę, prosząc zgromadzonych o uwagę, przyszło mu na myśl, że rzymski ideał *digniteu* jest niczym więcej, jak skutkiem noszenia togi – każdy, kto dbał o porządek stroju, po prostu musiał wykonywać niespieszne, pełne dostojęstwa ruchy.

– Przyjaciele, nie mam daru wymowy i daleko mi do rzymskich oratorów. Jestem żołnierzem. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie *Dux Tractus Armorican et Nervicani*, a strzeżenie wybrzeży po obu stronach Kanału to twarda służba. Wobec tego musicie mi wybaczyć szorstki język i żołnierską bezpośredniość. – Urwał, patrząc na zebranych, którzy siedzieli na ławach. Sądząc z ich strojów, mógłby zwracać się do senatu w Rzymie, ale tu i ówdzie dostrzegał potomków czystej celtyckiej krwi, wyróżniających się jasną cerą i rdzawymi włosami, albo wyraziste, szlachetne rysy przedstawicieli jeszcze starszej rasy.

– Wezwałem was tutaj – podjął – aby omówić kwestię obrony waszych rodzinnych ziem, które stały się moim domem.

– Wszak takie jest zadanie wojska – zauważył jakiś mężczyzna z tylnych rzędów. – I ty wypełniasz je dobrze. Co ja mam do tego?

– Nie jest tak dobrze, jak mogłoby być. – Inny obywatel spiorunował przedmówcę wzrokiem, następnie spojrzął z wyrzutem na Karauzjusza. – Nie minęły dwa miesiące, jak te morskie szumowiny uderzyły na Vignicis i zniszczyły moje warsztaty. Gdzieżście wtedy byli?

Karauzjusz zmarszczył się gniewnie, a Allektus u jego boku wyszeptał:

– Nazywa się Trebelliusz i jest właścicielem odlewni brązu. Zaopatruje nasze okręty w liczne okucia.

– Chyba ścigałem zbójców, którzy zatopili statek wiozący twój ładunek – odparł gładko admirał. – Rzeczywiście, twoje wyroby dobrze nam służą i modłę się do bogów, abys szybko podjął produkcję. Zapewne nie sądzisz, że chcę narażać na ryzyko rzemiosło, którego wyrobów tak rozpaczliwie nam potrzeba. – Odpowiedział mu pochwalny pomruk zgromadzonych.

– Flota stara się jak może, Trebelliuszu. Nie narzekaj – wtrącił Pollio, który pomagał zorganizować spotkanie.

– Robimy, co w naszej mocy – zapewnił Karauzjusz – ale czasami Jak raczył zauważyć nasz przyjaciel, to za mało. Mamy tyle okrętów, ile mamy, i nie możemy być wszędzie. Gdybyśmy zdołali dodatkowo umocnić istniejące fortece i zbudować kolejne i gdybyśmy mieli okręty do ich obsługi, nie musielibyście płakać nad złupionymi domostwami i spalonymi murami.

– Wszystko to prawda – stwierdził delegat z Clausentum – ale czego spodziewasz się po nas?

Karauzjusz szukał natchnienia w pokrytej freskami ścianie, gdzie Jowisz, nacechowany wybitnym podobieństwem do Dioklecjana, nagradzał wawrzynem Herkulesa o twarzy Maksymiana.

– Spełnienia obowiązku przynależnego ojcom obywateli i przywódcom miast. Jesteście przyzwyczajeni do ponoszenia kosztów robót i gmachów publicznych. Proszę tylko, żebyście przeznaczyci część tych środków na swoją obronę. Pomóżcie mi wznieść więcej fortec i nakarmić moich ludzi!

– Dopiekło im do żywego – mruknął Allektus, gdy w sali wybuchła dyskusja.

– Jedną rzeczą jest budowanie miast. – Pollio przyjął na siebie rolę rzecznika. – Do tego zostaliśmy spłodzeni i temu staramy się sprostać, choć ledwo nas na to stać. Obrona natomiast jest obowiązkiem cesarza. No bo po cóż innego obciążamy lud wysokimi podatkami i wysyłamy należności do Rzymu? Płacimy na obronę, a cesarz trwoni nasze pieniądze na Syrię albo kolejną kampanię przeciwko Gotom.

– Zabieranie wszystkiego i nie dawanie niczego w zamian to jawne złodziejstwo! – zagrzmał ksiązę Eiddin Mynoc. – Zatrzymaj w Brytanii ściągane tu podatki, na wsparcie naszego rządu, a z przyjemnością będziemy ci płacić.

Ściany zadygotały, gdy większość zebranych krzykami wyraziła swoje uznanie. Karauzjusz próbował powiedzieć im, że jemu wolno tylko sporządzać raporty i wysyłać propozycje, nie może jednak zmusić cesarza, aby go wysłuchał. Nikt nie zwracał uwagi na jego słowa.

– Cesarz musi nam pomóc – zawołał ktoś. – Jeśli ty wystosujesz petycję do Dioklecjana, a my cię poprzemy, będzie musiał nas wesprzeć. Każdy, kto chce być zwany cesarzem Brytanii, musi zasłużyć na ten tytuł!

– Co zrobisz? – zapytał Allektus. Karauzjusz skrzywił się, dostrzegając lęk w jego oczach.

Cerialis kazał ustawić leżanki do uczyty w ogrodzie. Zmierzch późnego lata kładł się welonem złocistej mgiełki na drzewach, zza których dobiegał delikatny plusk rzeki w trzcinach. W takiej scenerii przerywanie marzeń o pokoju rozmową o wojnie wydawało się świętokradztwem.

– Pchniemy poselstwo do Dioklecjana. – Karauzjusz mówił cicho, jakby bał się niepożądanych uszu, choć w pobliżu był tylko Allektus i Aeliusz. – Oczywiście, musimy to zrobić, choć wiem, jak bardzo uszczuplone są jego zasoby, i nie mam wielkiej nadziei na ulgi ze strony Rzymu.

Wychylił kielich, mając nadzieję, że wino przytępi nękający go ból głowy. Poprosił o dolewkę czekającego w pogotowiu niewolnika.

– Nie rozumiem, jak wy, Brytyjczycy, możecie być tak krótkowzroczni! Błaganie cesarza o fundusze nic nie da. On musi dbać o całe cesarstwo i może mieć na uwadze miejsca będące w większej potrzebie niż Brytania.

– W tym kłopot – przyznał ponuro Cerialis. – Już skłonienie moich rodaków do wyjrzenia poza miejskie mury jest zadaniem dość trudnym, cóż więc tu mówić o wybieganiu myślami poza nasze brzegi. Zrozumienie problemów imperium wręcz przerasta ich możliwości. Oto, jak oni to widzą: zapłacili za ochronę i nie powinni płacić drugi raz...

Karauzjusz zamknął oczy; głowa go bolała, jakby ktoś próbował rozłupać ją na dwoje. Z jednej strony, powodowany reakcjami wszczepionymi przez dwadzieścia lat służby, złorzeczył tym prowincjuszom, którzy nie rozumieli, że wszystkie części cesarstwa zależą od siły całości. Z drugiej zaś „ja” zrodzone wówczas, gdy krew puszczona przez kapłankę wsiąkała w ziemię, powtarzało natarczywie, że nic, nawet przysięga złożona cesarzowi, nie jest ważniejsze od bezpieczeństwa Brytanii.

– Zrobiłem, co tylko mogłem, aby zdobyć pieniądze. Dostępne mi środki nie pozwalają na więcej. – Głos Allektusa zdawał się dochodzić z wielkiej odległości.

– Dostępne środki... – powtórzył jak echo admirał i z wewnętrznego zamętu wyłonił się pewien pomysł. Skoro ani cesarz, ani brytyjscy książęta nie zamierzali ustąpić, powinien znaleźć inne rozwiązanie. Podniósł się na łokciu, patrząc poważnie na współbiesiadników. –



Bogowie przyświadczą, że próbowałem grać zgodnie z zasadami! Ale obowiązek zmusza mnie do ich nagięcia, posłuchajcie więc, co postanowiłem. Kiedy zdobywamy jakiś statek, nawet cesarskie prawo zezwala mi na udział w przyzie. Na tej zasadzie od dziś Brytania będzie otrzymywała swoją część zysków. Ufam, Allektusie, że będziesz pisał meldunki w sposób, który... wszystko zaciemni.

## 13

Wysoki i czysty gwizd wartownika popłynął nad moczarami. Usłyszano go u stóp Toru i wibrujący krzyk przekazał wiadomość w górę.

– Nadchodzi. Przyzwijcie mgły i wyślijcie barkę, która przewiezie go do Avalonu!

Dierna zarzuciła długi welon na głowę i ramiona. Niezwyczajne podniecenie przyspieszyło bicie jej serca; przystanęła, zaskoczona własną reakcją, następnie odetchnęła głęboko i wyszła z mrocznego wnętrza domu w jasność letniego dnia. Spojrzała krytycznie na czekające kapłanki.

Crida, dostrzegając jej spojrzenie, potrząsnęła głową.

– Boisz się, że przyniesiemy ci wstyd? Dlaczego tak się przejmujesz? To tylko Rzymianin.

– Nie całkiem – odparła Najwyższa Kapłanka. – Pochodzi z ludu niezbyt różniącego się od naszego. Jak wielu naszych młodych ludzi, został siłą rzucony do rzymskiego tygła. I jest człowiekiem naznaczonym przez bogów...

Crida, uciszona, zakryła twarz welonem. Dierna pokiwała głową i ruszyła w dół krętą ścieżką. Gdy zbliżyły się do brzegu, na ich spotkanie wyszedł Ceridachos ze wszystkimi regaliami arcydruida. Towarzyszył mu Lewal, który już wcześniej miał okazję poznać gościa.

Dierna była ciekawa, jak Tor wypadnie w oczach admirała. Z biegiem lat pierwsze chatki o wiklinowych, bielonych ścianach ustąpiły zabudowaniom kamiennym, ale nadal gnieździły się w tym samym miejscu, na zboczu. Tylko wielka Droga Procesyjna w szpalerze kolumn przypominała swym majestatem dzieła Rzymian, choć miała odrębne przeznaczenie. A kamienie wieńczące Tor były starożytne już wówczas, gdy Rzym był ledwie skupiskiem chałup na siedmiu wzgórzach.

W cieniu jabłoni leżała wyciągnięta na brzeg wielka barka Avalonu. Została zbudowana za czasów matki Dierny. Była na tyle duża, by pomieścić nie tylko ludzi, ale i konie. Napędzano ją wiosłami, a nie popychano tyczką, jak mniejsze łodzie, w których mieszkańcy bagien prześlizgiwali się przez sitowie. Dierna zajęła miejsce na dziobie i kazała wiosłarzom ruszać. Barka bezgłośnie wypłynęła na rozlewisko. Przed nimi nad wodą migotała jasna mgielka, otulająca dalekie wzgórza woalem złota. Kiedy dotarli na środek jeziora, Dierna

wstała, zachowując równowagę dzięki długoletniej praktyce, choć prawdę powiedziawszy, tego dnia powierzchnia jeziora była gładka jak podłoga do tańca.

Wciągnęła powietrze w płuca i wzniosła ręce, przebijając palcami, jakby prędką niewidzialną nicią. Wioślarze podnieśli wiosła i barka znieruchomiła, jakby zawieszona w przestrzeni między światami. Zaklęcie, którym przyzywało mgły, było tkane w umyśle, ale objawiało się w świecie zewnętrznym: stosowne ruchy łączyły oba elementy. Oddech Dierny nabierał mocy; czuła drżenie mięśni w krtani, choć jeszcze nie dobytek głosu. Zamknęła oczy, wołając do Bogini i gromadząc siły do potężnego aktu woli.

Poczuła szarpnięcie zmieniających się poziomów i oparła się pokusie otwarcia oczu – wiedziała, że chwila między czasami jest najbardziej niebezpieczna. Od kiedy Pani Caillean wzniosła barierę mgieł do ochrony Avalonu, wiele kapłanek uczyło się tego zaklęcia. W każdym stuleciu trafiały się jedna czy dwie, które, wysyłane dla sprawdzenia umiejętności, ginęły bezpowrotnie między światami, gdy nie udało im się rozdzielić mgieł.

Polem nagle owiał ją podmuch zimnej wilgoci. Dierna otworzyła oczy i zobaczyła szarą wodę i niewyraźne kształty drzew, a kiedy mgły rozstały się, szkarłatny płaszcz oczekującego na brzegu człowieka. Teleri nie było. Kiedy porozumiewały się za pośrednictwem Widzącej Czary, Dierna odniosła wrażenie, że wychowanka jej wybaczyła. Aż do tej chwili łudziła się, iż przybędzie wraz z mężem.

Jej myśli pożeglowały na południowy zachód. *Teleri, nadal cię kocham. Nie rozumiesz? To konieczność wypędziła cię z Avalonu, nie ja!*

Teleri, spacerująca w ogrodach otaczających willę w Dubris, zachwiała się. Przez chwilę była oszołomiona, jakby patrzyła w Widzącą Czare. Dobrnęła do kamiennej ławy i osunęła się ciężko, i oczyma wyobraźni ujrzała Panią Avalonu. Jej wizerunek wzbudził tak silną tęsknotę, że niemal omdlała.

Karaujusz płynie do Avalonu, powiedziała sobie w myślach. Będzie siedział u boku Dierny, i ona być może pozwoli mu wspiać się na Święty Tor.

Czyżby źle postąpiła, odrzucając zaproszenie Najwyższej Kapłanki? Początkowo rozpaczliwie pragnęła udać się do Avalonu, pragnęła wrócić. Zrezygnowała z okazji nie dlatego, że przestało jej na tym zależeć, ale dlatego, że zależało jej tak bardzo.

Życzę im, aby cieszyli się z tego spotkania! Zacisnęła w palcach fałdy szaty. Co do mnie, jeśli kiedykolwiek wrócę, do Avalonu, żywa czy martwa, już nigdy go nie opuszczę...

– Oto Dolina Avalonu – oznajmiła Dierna, gdy barka wypłynęła z mgieł i sunęła w kierunku Toru. Karaujusz wyprostował się i zamrugał niczym człowiek budzący się ze snu. Ludzie z jego eskorty podnieśli protest, gdy kazał im zostać z końmi na brzegu, ale kapłanka, przyzwyczajona do odczytywania wyrazu twarzy, dostrzegła ulgę w ich oczach i poznała, że oni także słyszeli opowieści o świętej wyspie. Nawet książęta z brytyjskich domów

królewskich nieczęsto mieli okazję stąpać po tej świętej ziemi. Kiedy zachodziła potrzeba, kapłanki udawały się do nich i błogosławiły kraj.

Dierna wystosowała zaproszenie do Karauzjusza nie ze względu na jego wysoką pozycję w rzymskim świecie, ale ponieważ miała sen. Czuli, że wróży on dobrze jej zamiarom i że admirał, nawet o tej porze roku, w okresie sprzyjającym żegludze, odpowie na jej wezwanie. Prawdą było też to, że kiedy pod koniec zeszłego lata Karauzjusz postanowił finansować swoje operacje z pieniędzy za towary odbierane pojmanym piratom, wszystko szło jak najlepiej. Flota odnosiła same sukcesy i zdobyła bogate przyzy, a zyski ze sprzedaży zostały wydane na budowę nowych okrętów i ochronę brzegu. Być może wróg był zbyt wyczerpany, aby ich niepokoić.

Pod jabłoniemi stały odziane na niebiesko kapłanki, a za nimi szereg druidów. Gdy barka zbliżyła się do brzegu, razem zaczęli śpiewać.

– O czym mówi ta pieśń? – zapytał Karauzjusz, gdyż śpiewano w nie znanym mu starożytnym dialekcie brytyjskiego języka.

– Wysławia Obrońcę, Syna Setki Królów...

Karauzjusz był zbity z tropu.

– Zbyt wielki honor, jeśli jest przeznaczona dla mnie. Mój ojciec pływał podobną barką po kanałach delty, gdzie Rhenus wlewa się do północnego morza.

– Duch posiada królewską godność, która przewyższa krew. Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej.

Barka dobiła do brzegu i Karauzjusz wysiadł, Crida wysunęła się z szeregu i podała mu powitalny kubek, sporządzony ze zwykłej gliny, ale wypełniony czystą, żelazistą wodą ze świętej studni. Dierna nic nie powiedziała; niepodobna było odgadnąć jej uczuć z powodu welonu przysłaniającego twarz.

Przekazała gościa pod opiekę Lewalowi, który miał go nakarmić i oprowadzić po budowlach skupionych u stóp Toru, a sama odprowadziła kapłanki do czekających na nie obowiązków. Spotkali się ponownie w porze wieczornego posiłku.

– Druidyczne kapłaństwo odprawia swoje obrzędy na Torze w świetle dnia – rzekła Dierna, wiodąc Karauzjusza ku Drodze Procesyjnej. – Noc zaś należy do kapłanek.

– Rzymianie powiadają, że godzinami ciemności włada Hekuba i że jej córki-wiedźmy skrywają w mroku nocy uczynki, których nie śmiały popełniać za dnia.

– Myślisz, że jesteście czarownicami? – Dotarli do kamiennych filarów, które strzegły drogi. Dierna popatrzyła na Karauzjusza i zobaczyła w nachyleniu głowy i linii ramion napięcie, którego nie było wcześniej. – Cóż, bywają przypadki, kiedy stwierdzenie to odpowiada prawdzie – gdy wymaga tego dobro kraju. Ale zapewniam, nie mam zamiaru wyrządzić ci krzywdy ani nie nagnę twojej woli żadną magią.

Wszedł za nią między kolumny i stanął jak wryty.

– Może nie będziesz musiała... jest tu dość magii, aby każdemu zrobić zamęt w głowie.

Dierna wytrzymała jego pełne niepokoju spojrzenie.

– A więc czujesz to! Jesteś dzielnym człowiekiem, Karauzjuszu. Jeżeli nie opuści cię odwaga, Tor nie wyrządzi ci krzywdy. Powiem ci tylko jedno: jeśli moje wizje są wiarygodne, chadzałeś tą drogą już wcześniej...

Popatrzył na nią z przestachem. Resztę drogi pokonali w milczeniu. Księżyc, któremu tylko dnia brakowało do pełni, ukazał się nad wzgórzami i piął po wschodnim nieboskłonie. Przechodzili na przemian z ciemności w blask, powoli okrążając wzgórze. Nim dotarli na szczyt, księżyc pokonał czwartą część podniebnej drogi; cienie kamieni kładły się pasami czerni w poprzek kręgu, ale ołtarz na środku był skąpany w poświęcie i stojące na nim srebrne naczynie z wodą błyszczało jak oświetlone od środka.

– Pani, dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? – Słowa były obcesowe, ale głos drżący. Dierna poznała, że Karauzjusz próbuje pogodzić się z faktami, których zarazem nie chce przyjąć.

– Zachowaj spokój, Karauzjuszu – poprosiła cicho, przechodząc na drugą stronę kamiennego ołtarza. – Kiedy stoisz na pokładzie okrętu, czyż nie słuchasz wiatru i nie próbujesz wyczuć usposobienia morza? Zachowaj milczenie i pozwól, aby kamienie przemówiły do ciebie. Widziałeś, jak Teleri spoglądała w srebrną misę, więc wiesz, że to nic strasznego. Teraz nadeszła twoja kolej.

– Wyszkoliłaś Teleri na kapłankę – zauważył. – Ja jestem żołnierzem, nie kapłanem. Nie znam się na sprawach ducha, na wszelkie zaszczyty zasłużyłem siłą rozumu i ramienia.

– Wiesz więcej, niż pamiętasz! Nie pasuje do ciebie przyznawanie się do porażki przed podjęciem próby. Zajrzyj w czarę, panie... – jej głos złagodniał – i powiedz mi, co widzisz...

Stali naprzeciwko siebie, podczas gdy księżyc wędrował po wyżynach nieba. Karauzjuszowi czas się dłużył, ale dla Dierny, przyzwyczajonej do takiego czuwania, była to pora wytchnienia od powszednich trosk. W miarę pogłębiania się ciszy z coraz większą wyrazistością uświadamiała sobie, że już kiedyś, w innym czasie i w innym miejscu, stała twarzą w twarz z tym mężczyzną przy kamieniu ołtarza.

Karauzjusz zatoczył się, chwiejnie dobrnął do kamienia i pochylił się nad srebrną misą. Głowa mu opadła, jakby przyciągnięta przez wodę. Dierna nakryła dłońmi jego ręce zaciśnięte na kamieniu, pomagając mu zachować równowagę i równoważąc swoją mocą tę, która przepływała przez niego. Zajrzała do czary podwójnym wzrokiem wizji i gdy zaczęły kształtować się obrazy, wiedziała, że Karauzjusz widzi to samo.

Księżyc przeglądał się w wodzie; Dierna patrzyła na wyspę omywaną falami srebrzystego morza. Nigdy nie widziała jej oczami tego ciała, w które wniknął jej duch ale nie był jej obcy widok naprzemiennych pierścieni ładu i wody, żyznych pól blisko morza i okrętów w wewnętrznej zatoce. Na szczycie centralnej wyspy, pociętej szerokimi stopniami tarasów, wznosiły się świątynie, lśniące bledo w poświęcie księżyca. Wyspa była wielka jak cała Dolina Avalonu, ale jej kontury odpowiadały Świątemu Torowi. Była to dawna kraina,

macierz tajemnic. Dierna wiedziała, że patrzy na wyspę, z której uciekli nauczyciele druidów, na wyspę spoczywającą obecnie na dnie morza.

Zmienił się punkt widzenia – teraz patrzyła na wyspę z tarasu otoczonego marmurową balustradą. Obok niej stał mężczyzna. Wytatuowane smoki wiły się wokół jego silnych rąk zaciśniętych na poręczy, a na jego czole połyskiwał królewski diadem: tarcza słońca błada w świetle księżyca. Miał ciemne włosy i obce, orle rysy, ale Dierna poznała ducha, który wзираł z jego oczu.

Oczy te rozszerzyły się, kiedy odwrócił się ku niej.

– Serce Płomienia!

Wiedziona niespodziewaną, nie dającą się wyjaśnić potrzebą, wyciągnęła do niego ramiona. On sięgnął ku niej i nagle wizja zniknęła w powodzi wody, która runęła na nich ogromną falą.

Z bijącym sercem Dierna przyzwalała na pomoc kapłańską samodyscyplinę, aby zachować spokój. Kiedy wróciła do realnego świata, Karauzjusz klęczał, podpierając się na rękach, a woda z przewróconej srebrnej misy lała się lśniącem strumieniem na kamień. Szybko zbliżyła się do niego.

– Oddychaj głęboko – wyszeptała, przytrzymując go za ramiona, dopóki nie ustały wstrząsające nim dreszcze. – Powiedz mi, co widziałeś?

– Wyspę... w blasku księżyca... – Przysiadł na piętach, pocierając przedramiona. Popatrzył na nią. – I ciebie, jak myślę... – Potrząsnął głową. – Potem widziałem inne sceny. Ja też tam byłem! – Rozejrzał się dzikim wzrokiem. – Toczono walkę i ktoś próbował zniszczyć kamienie! – Spojrzał na nią z chmurną miną. – Zniknęło. Nie pamiętam nic więcej...

Dierna westchnęła, pragnąc wziąć go w ramiona, jak tamtego, dawno, dawno temu. Ale, jeśli on sam tego nie wiedział, nie do niej należało wyjaśnianie łączącej ich więzi. Prawdę mówiąc, sama nie była pewna znaczenia wizji; jednoznaczne były tylko emocje, jakich doświadczyła. Kochała tego mężczyznę w innym życiu – może w niejednym – i, wracając myślami do czasu ich pierwszego spotkania, zrozumiała, że nadal go kocha. Była kapłanką, wyszkoloną do panowania nad sercem i wolą, i nawet do ojców własnych dzieci nie czuła niczego prócz szacunku i chwilowej namiętności zrodzonej w rytuale. Czy mogła być taka zaślepiona?

– Byłeś królem morza – zaczęła cicho – dawno temu, w kraju, który już nie istnieje. Morze zawsze było przedmurzem Brytanii. Tutaj przetrwała niewielka część tamtej tradycji. Co do kamieni... – Westchnęła. – Dawno temu mężczyzna zwany Gawenem poległ w ich obronie. On też był świętym królem. Nie wiem, czy byłeś nim, czy też wizja objawiła ci się dlatego, że jesteś wojownikiem. Tak czy owak, wierzę, że odrodziłeś się po to, by raz jeszcze przysłużyć się Brytanii jako jej obrońca.

– Przysiągłem służyć cesarstwu... – odparł drżąco Karauzjusz. – Dlaczego to mi się ukazało? Nie jestem królem.

Dierna wzruszyła ramionami.

– Sam tytuł nie ma znaczenia. Liczy się tylko poświęcenie, a tego już dokonałeś, oddając własną krew w czasie konsekracji fortecy. Masz królewską duszę, panie morza, związaną z Tajemnicami. I myślę, że zbliża się dzień, w którym będziesz musiał zdecydować, czy chcesz podporządkować się swemu przeznaczeniu.

Podniósł się, a ona wyczuła, że odgradza się od niej duchowym murem. Bez wątplenia w człowieku tym była siła, choć nie wyszkolona. Ona postąpiła tak, jak kazała jej Bogini. Cokolwiek on postanowi, jej przyjdzie się z tym pogodzić. W milczeniu sprowadziła go na dół.

Rankiem przez bagna nadeszły pilne wieści dla Karauzjusza. Dierna kazała sprowadzić na wyspę posłańca z zawiązanymi oczami i teraz czekała, gdy admirał wyjmował zwój ze skórzanej tulei.

– Czy to piraci? – zapytała, gdy zobaczyła zmianę wyrazu jego twarzy.

Pokręcił głową, patrząc na nią z mieszaniną gniewu i niedowierzania.

– Nie Saksonowie, to rzymscy złodzieje! – Skierował oczy na zwój i tłumaczył: – Zostałem oskarżony o zmowę z wrogami Rzymu i zdradę cesarza... Mówią, że rozmyślnie czekam z zaatakowaniem piratów, póki nie znajdą się w drodze powrotnej, żeby przechwycić ich łupy! Głupcy – myślą, że mogę być wszędzie naraz albo odgadywać zamiary barbarzyńców? – Przewinał pergamin i wybuchnął zimnym śmiechem. – Najwyraźniej, tutaj bowiem oskarżają mnie o zawiązywanie tajnych paktów z najeźdźcami, pokazywanie im, gdzie mają uderzyć, a następnie dzielenie się zdobyczą. – Potrząsnął głową. – Nie byłoby dziwne, gdybym kiedyś wystąpił przeciwko Rzymowi!

– Przecież wydajesz pieniądze na Brytanię!

– Prawda, ale czy oni mi uwierzą? Wzywają mnie do Rzymu, gdzie mam zostać osądzony przez cesarza. Nawet jeśli zostanę uniewinniony, niewątpliwie wyślą mnie na drugi koniec cesarstwa i nigdy nie zezwolą na powrót do Brytanii.

– Nie jedź!

Karauzjusz pokręcił głową.

– Złożyłem przysięgę cesarzowi...

– Przysiągłeś temu krajowi, niejednym raz, że będziesz bronić Tajemnic. Czy w armiach Dioklecjana jest ktoś, kto może poszczycić się tym samym?

– Jeśli odmówię, stanę się buntownikiem. To będzie oznaczało wojnę domową. – Popatrzył na nią z ponurym wyrazem twarzy.

– Kto może cię powstrzymać? Maksymian wdał się w wojnę z Frankami nad Rhenusem, a Dioklecjan z Gotami nad rzeką Danuvius. Nie mają w zapasie sił, by przywołać do porządku krnąbrnego admirała, który, cokolwiek mogą myśleć o jego metodach, występuje w obronie cesarstwa. A jeśli dojdzie do wojny, to nie będzie ona pierwsza. – Wytrzymała jego

kamienne spojrzenie i dodała: – Dioklecjan był synem niewolników, a jego chwała została przepowiedziana przez druidyczną kapłankę w Galii. Ja przemawiam z równym autorytetem.

Rozwarł szeroko powieki.

– Nie pragnę być cesarzem!

Dierna obnażyła zęby w uśmiechu.

– Wracaj do swojej floty, Karauzjuszu, i sprawdź, czy zyskasz poparcie. Ja będę modlić się do bogów, aby cię mieli w opiece. Jeśli dojdzie do walki, być może sam stwierdzisz, że nie masz innego wyboru, jak tylko przyjąć owoce zwycięstwa!

Teleri tłumaczyła służebnej, jak należy spakować szaty na podróż z fortu Dubris do willi, kiedy w drzwiach jej kwatery pojawił się legionista.

– Pani, przybył posłaniec. Wyjdiesz do niego?

– Czy coś się stało admirałowi? – Serce jej załomotało i przez moment nie wiedziała, czy było to wyrazem nadziei czy lęku. Rok wcześniej Karauzjusz sprzeciwił się cesarzowi i stworzył własną flotę, która skutecznie powstrzymywała najazdy Saksonów. W tym sezonie zamierzał osiągnąć jeszcze więcej.

Przed trzema dniami wyruszył w morze, aby zanieść wojnę na terytoria saksońskie. Gdyby puścił z dymem ich wioski, może nie byłiby tacy skorzy do najeżdżania Brytanii. Ale w ogniu bitwy mógł polec nawet dowódca. Teleri czuła się winna. Mąż był dla niej dobry, i był obrońcą jej ludu. Z trwogą uświadomiła sobie, jak bardzo doskwiera jej powinność, która zatrzymuje ją u jego boku.

– Chyba nie – odparł legionista. – Myślę, że wiadomość jest przeznaczona dla Karauzjusza. Ale goniec prawie nie mówi po łacinie, a jego brytyjski jest dialektem, którego żaden z nas nie rozumie.

– Dziękuję. – Teleri rzuciła ostatnie słowo instrukcji służącej i poszła za żołnierzem do wartowni przy bramie.

Posłaniec, ogorzały rybak w spłowiałym kaftanie, patrzył na kamienne mury z taką miną, jakby myślał, że lada chwila runą mu na głowę. Rozpromienił się, kiedy Teleri powitała go w dialekcie Durmwarii.

– Pochodzi z Armoryki – mruknęła, gdy zalał ją potokiem słów. – Tamtejszy lud często handluje z naszym i mówi podobnie. – Pochyliła głowę, uważnie wsłuchując się w słowa posłańca. Mówił jeszcze, gdy do wartowni wszedł Allektus.

– Maksymian rusza na nas? – zapytał po łacinie, kiedy historia dobiegła końca.

– Tak powiedział – przyznała Teleri. – Ale czemu cesarze postanowili zadziałać? Myślałam, że Dioklecjan przyjął do wiadomości oświadczenie Karauzjusza, który kategorycznie zaprzeczył zarzutom, i wybaczył mu niesubordynację.

– Tak było przed rokiem – zauważył posepnie Allektus – kiedy cesarze walczyli nad Rhenusem. Tej wiosny doszły nas wieści, że Maksymian zawarł pokój z Frankami w Belgice.

Naprawdę sądzisz, że Rzym będzie wiecznie tolerować nasze nieposłuszeństwo? Moim zdaniem, nie powinniśmy się dziwić, że młodszy cesarz skorzystał z zawieszenia broni i przystąpił do budowy okrętów w Armoryce. – Skrzywił wargi. – Ostatecznie, sami budowaliśmy tam naszą flotę. Żałuję tylko, że nie mamy więcej czasu na przygotowania!

– Ale Karauzjusz nie chce walczyć z Maksymianem! Jest związany przysięgą z cesarzami!

– Przysięga przypieczętowana krwią w Portus Adurni wiąże głębiej. Byłaś tam – słyszałaś, że zobowiązał się bronić tego kraju.

Im dłużej Allektus służy w armii, myślała Teleri, szacując wzrokiem jego prostą sylwetkę, tym lepiej się prezentuje. Nie można było zaprzeczyć, że Karauzjusz jest wybitnym wodzem, ale to zmysł do interesów młodszego mężczyzny zapewniał środki niezbędne do prowadzenia wojny. Nieśmiałość, która jeszcze nie tak dawno odejmowała mu lat, ustąpiła miejsca dumie.

– Chcesz, żeby się zbuntował... – zaczęła powoli. – Żeby ogłosił się cesarzem Brytanii!

– Tak. Chcę. Chrześcijanie mawiają, że człowiek nie może służyć dwóm panom. Karauzjusz musi dokonać wyboru. – Allektus podszedł do otwartej bramy i stanął, patrząc na morze. – Nie tylko kupcy korzystają na poprawie handlu. Może ty tego nie dostrzegasz, ale ja wiem, skąd pochodzą pieniądze i dokąd wędrują. Teraz każdemu dobrze się powodzi. W świątyniach ludzie modlą się do Karauzjusza, jakby już był cesarzem... Niechaj nim zostanie, niechaj będzie nam panem, jakiego potrzebujemy. Maksymian zmusi go do podjęcia decyzji!

Potrząsnął głową i z sakiewki u pasa wyjął woskowane tabliczki. Odwrócił się do rybaka.

– Zapytaj tego człowieka, ile statków widział i z iloma ludźmi na pokładzie. Zapytaj go, kiedy postawili żagle – mówił z ożywieniem. – Jeśli nie mogę stanąć u boku swego dowódcy z mieczem w dłoni, dam mu to, co może być więcej warte – informacje potrzebne do zaplanowania bitwy i flotę przygotowaną do ruszenia pod jego rozkazami! Szybko – okręt, który poniesie wiadomość, musi zdążyć na odpływ!

Rzymianie przeciwko Rzymianom! Sama myśl o tym przyprawiła Teleri o drżenie. Bogini, chroń Karauzjusza! – błagała w myślach, zawstydzona gorączkowym zapałem w oczach Allektusa – i wybac mi wątpliwości! Dziś wieczór zajrzę do srebrnej misy. Może również Dierna ma wieści.

Rybak przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą, próbując zorientować się w sytuacji. Teleri odetchnęła szybko i zaczęła go wypytywać.

Karauzjusz stał na rufie, kołysząc się zgodnie z ruchem płynącej pod żaglami triremy. Najniższy rząd wiosłarzy wystarczał do utrzymania kursu; pozostali nabierali sił przed starciem. Okręty płynęły w szyku, w trzech kolumnach, z wyjątkiem wysłanej na zwiady szybkiej i zwrotnej liburny. Rozmyty pas lądu zielenił się po prawej burcie, niskie wzgórza i piaszczyste wydmy od zachodu przechodziły w skaliste urwiska. Morze od strony brzegu



wyglądało przyjaźnie, o ile zmarszczki poprzeczne w stosunku do fal zdradzały obecność ukrytych prądów.

Ukończony w zimie „Orion”, z burtami jaśniejącymi bielą świeżego drewna, był największym statkiem pod jego komendą i dorównywał rozmiarem największym trójrzędowcom minionych epok. Na dziobie prężył się drewniany myśliwy, mierzący z łuku do niewidzialnego celu. Rzeźba była rzymska, ale to Dierna zasugerowała nazwę dla flagowego okrętu. Powiedziała, że w konstelacji o tym imieniu drzemie moc, która przyniesie zwycięstwo. Na pokładzie rufowym stała kapliczka z posązkami bogini w hełmie, z tarczą i włócznią. Rzymscy oficerowie zwali ją Minerwą, lecz również w tym przypadku wybór należał do Najwyższej Kapłanki. Przykazała ona Karauzjuszowi, by czcił w niej boginię Brigę, otaczaną kultem w Avalonie na Wyspie Dziewic.

– Pani, zwracam się do ciebie z ciężkim sercem – mruknął Karauzjusz. – Nie chcę walczyć z Maksymianem. Ześlij znak, który pozwoli mi wybrać właściwą drogę. Jeśli dojdzie do walki, to przez wzgląd na tych dzielnych ludzi, którzy mnie poparli, okaż nam łaskę i nagródź zwycięstwem.

Rzucił na ołtarz, kolejną garść jęczmienia i wylał libatio wina. Menckrates, mianowany przez niego kapitanem „Oriona” wziął szczyptę kadzidła i cisnął ją na węgle. Zapach morza w przyjemny sposób złączył się ze słodką wonią palonego w kapliczce kadzidła.

Nawet w trakcie modlitwy jakaś część umysłu Karauzjusza kalkulowała, planowała, przygotowywała się do bitwy. Po otrzymaniu wiadomości od Allektusa wycofał się z delty Rhenusu i ruszył do Dubris, gdzie już czekały eskadry z Rutupiae i Adurni. Od Teleri też przybyły wieści – flota Maksymiana ruszyła w morze i zmierzała przez Kanał. Teleri widziała w wizji trzy eskadry po dziesięć okrętów pełnych ludzi. Karauzjusz dysponował większą flotą, lecz musiał ją rozdzielić, aby bronić całej prowincji, podczas gdy Maksymian mógł uderzyć pełną siłą na dowolnie wybraną fortecę.

Teleri pisała, że Najwyższa Kapłanka obiecała wezwać wiatr, który spowolni Maksymiana. Mogłoby to o pewien czas opóźnić konfrontację. Powinno wystarczyć, myślał Karauzjusz, wiatr przeciwny cesarskiej flocie niósł ich bowiem w dół Kanału tak szybko, że już mijali Portus Adurni.

Maksymian miał przewagę liczebną, lecz wioślarzami i majtkami na jego okrętach byli niewolnicy i rybacy, spieszenie wdrożeni do służby przez oficerów odwołanych z patroli na Morzu Śródziemnym i Rhenusie. Cesarz mógł liczyć, że przyciśnie przeciwnika do brzegu i wymusi bitwę na okrętach szczepionych burtami, aby wykorzystać obsadę żołnierską.

Niedostatek stanu liczebnego okręty floty brytyjskiej mogły nadrobić dużą manewrowością, a ich załogi – doświadczeniem. Poza tym przeciwnik nie znał Kanału i mogło to zapewnić przewagę. Karauzjusz przykazywał sobie, żeby strzec się przed popadnięciem w nadmierną pewność siebie. Saksonowie, do walki z którymi zdążył przywyknąć, byli dobrymi żeglarzami, ale jako wojownicy dążyli raczej do zdobycia

indywidualnej chwały niż do osiągnięcia wspólnego zwycięstwa. Jego ludzie nigdy nie walczyli z okrętami pod dowództwem Rzymian.

Wiedząc, że znajduje się pod obserwacją swoich ludzi, Karauzjusz zakończył modły i zamknął drzwi kapliczki. Menekrates zabrał kadzielnicę i wyrzucił węgle za burtę. Karauzjusz rozejrzał się i wyszczerzył zęby. Miał dobry okręt, od brązowej ostrogi, która cięła fale tuż poniżej linii zanurzenia, po ciężkie lniane żagle. I dobrą załogę – wyszkolonych oficerów, którzy przez dwa lata wzbogacali doświadczenie, walcząc z piratami, dwa tuziny doborowych legionistów i stu sześćdziesięciu dwóch wiosłarzy, ludzi wolnych, oddanych sprawie Brytanii. Nadto bogowie zesłali ładny wiosenny dzień, z nielicznymi obłokami i słońcem świecącym od rufy – dzień, w który z zadowoleniem powita śmierć albo wiktoria.

Brakowało mu Allektusa, którego cięty, nieco zgryźliwy dowcip niejedną raz rozweselał melancholijne godziny. Niestety, młodszy mężczyzna uczciwie zasłużył na miejsce w sztabie admirała, natomiast na morzu żołądek odmawiał mu posłuszeństwa.

Mewy z wrzaskiem okrążyły maszt, potem poszybowały w stronę lądu – pierzaści piraci zachłanniejsi od każdego Sasa. Cierpliwości, pomyślał admirał, niedługo się najecie.

Majtek na oku podniósł alarm. Karauzjusz spał się. Osłonił ręką oczy i omiół wzrokiem morze.

– Liburna! – powtórzył żeglarz. – Ciągnie na wszystkich wiosłach...

– Jaki sygnał? – warknął admirał, zbiegając po dwa stopnie na raz na pomost między rzędami wiosłarzy.

– Wróg w zasięgu wzroku!

Karauzjusz zobaczył podskakujący maszt i wodę spienioną przez wiosła. Niewielki okręt stopniowo rósł w oczach, wreszcie w bryzgach piany podciągnął do burty triremy niczym kaczątko wracające pod skrzydła matki. Admirał poczuł skurcz w brzuchu. Nadeszła chwila podjęcia decyzji.

– Jaka siła? – zawołał, zaciskając ręce na relingu.

– Trzy eskadry! Płyną w górę Kanału w szyku rejsowym na podniesionych żaglach.

Karauzjusz wyczuł, że zaczyna porywać go pęd wypadków.

– Przygotowują się do lądowania w Portus Adurni, zamyślając przeczekać do zmroku i wziąć nas przez zaskoczenie. Ale to my zrobimy im niespodziankę, chłopcy. – Odwrócił się do załogi. – Podnieść tarcze!

Rząd złożonych tarcz poderwał się w górę i odbił promienie słońca, które rozbłysły w powietrzu jak spadająca gwiazda. Taki sygnał mógł ich zdradzić, ale nawet gdyby jakiś bystrooki obserwator dostrzegł błysk, nie widząc żagli na horyzoncie, mógłby tylko domyślać się jego znaczenia. Za plecami Karauzjusza zwijano pasy płótna, które osłaniały wiosłarzy od słońca. Ludzie sprawdzali, czy mają miecze pod ręką, obsady środkowych i górnych rzędów stanęły do wiosła.

Plusk fal o burtę w nagłej ciszy wydał się hukiem gromu. Jakiś cień przesunął się po pokładzie; Karauzjusz poderwał głowę i zobaczył czarną sylwetkę orła morskiego. Słońce stało niemal nad głową i ptak wyraźnie rysował się na tle nieba. Skręcił, niesiony na białoczarnych skrzydłach, i okrążył statek, raz, drugi, trzeci, po czym z krzykiem poszybował na zachód, jak gdyby prowadząc Brytyjczyków na wroga.

– Omen! – Krzyk Menekratesa ledwo przebił się przez nagły szum w uszach Karauzjusza. Bogowie odpowiedzieli; wszystkie dotychczasowe skrupuły pierzchły.

– Pan Niebios sam oddaje ich w nasze ręce. Naprzód! Orzeł wskazuje nam drogę!

Pokład zadrżał pod jego stopami, gdy sto osiem wiosel wzniosło się i uderzyło w morze. „Orion” skoczył do przodu, przechylił się lekko i wyrównał, gdy wiosłarze złapali rytm. Dziób coraz szybciej pruł spokojne fale. Za okrętem flagowym posłusznie dążył rząd większych trirem, ustawionych jedna za drugą, przez co trudno było je policzyć. Po obu stronach płynęły lżejsze okręty. Admirał stwierdził z zadowoleniem, że nie gubią szyku, co dowodziło doskonałego opanowania sztuki żeglarskiej.

Karauzjusz zmrużył oczy i ocienił je ręką. Na horyzoncie błysnęła biel. Wyszczерzył zęby.

– Chodźcie, ślicznotki, śmiało – nie wiecie, ilu nas jest – wmówcie sobie, że stanowimy łatwy kąsek, i chodźcie tutaj!

Zdawało się, że wróg go usłyszał. Gdy w polu widzenia pojawiła się reszta floty Maksymiana, zobaczył surowe kształty zdejmowanych w pośpiechu żagli i spienione kilwatery, gdy załogi chwyciły za wiosła. Formacja klina, w jakiej żeglowały, zacieśniła się, ale nie straciła na prędkości. Karauzjusz skinął na trębacza.

Menekrales wykrzyknął rozkaz. Sternik „Oriona” naparł na rudel i pokład przechylił się na sterburtę, gdy wielki trójrzędowiec wszedł w płynny zwrot. Rząd masztów za rufą wykrzywił się, okręty jeden po drugim powtarzały manewr. Wiosłarze „Oriona” ciągnęli w dotychczasowym tempie, lecz pozostałe triremy nabierały prędkości, a mniejsze, szybsze okręty w dwóch zewnętrznych kolumnach wręcz śmigały po wodzie, przygotowując się do oskrzydlenia floty przeciwnika.

– Orionie – wyszeptał Karauzjusz – tam są twoje psy! Oby bogowie zesłali im dobre łowy! – Rzymski dowódca będzie dążył do abordażu, aby zapewnić sobie zwycięstwo dzięki przewadze liczebnej. Flota brytyjska musiała postawić sobie za cel zniszczenie albo uszkodzenie jak największej liczby okrętów przeciwnika, zanim dojdzie do walki wręcz.

Dwie floty zbliżały się szybko. Ordynans Karauzjusza przyniósł tarczę i hełm. Na dziobie i rufie ustawiono oszczepy, procarze przygotowali kamienie. Karauzjusz widział już błysk zbroi na pokładzie nadciągającej triremy, Po raz ostatni zlustrował wzrokiem otoczenie. Jako admirał mógł opracować strategię, ale w sytuacji zmieniającej się z chwili na chwilę sposób wypełnienia odebranych rozkazów zależał od poszczególnych kapitanów. Teraz, gdy kości zostały rzucone, pomyślał z dziwną ulgą, sam nie był ważniejszy od zwykłego majtka.

„Orion” przechylił się na burłę, gdy Menekrates wydał rozkaz zaatakowania mniejszego okrętu wytypowanego na pierwszą ofiarę. Wróg, widząc niebezpieczeństwo, zaczął zawracać. Okazja staranowania go dziobem przepadła, ale z powodu dużej szybkości brytyjskiej triremy zderzenie było nieuniknione. Załoga z lewej burty wysoko poderwała wiosła, gdy świeżo wyostrzona ostroga „Oriona” przeorała rząd wiosel przeciwnika i wyłobiła bruzdę w jego burcie. Okręt nie został zniszczony, ale przynajmniej na pewien czas wykluczony z walki. Oszczepy zagrzechotały na pokładzie; wiosłarze „Oriona” natarli na wiosła i wycofali okręt spoza ich zasięgu, kierując się ku głównym siłom wroga.

Krzyki i ryk trąb z drugiej strony oznajmiły, że eskadry skrzydłowe zaczynają nacierać na klin przeciwnika od tyłu; nawet lżejsze jednostki mogły wyrządzić dotkliwe szkody, atakując ostrogami od rufy.

Następny okręt, skupiający uwagę na „Herkulesie”, zbyt późno zauważył nową groźbę. Karauzjusz zeskoczył na pomost między rzędami wiosłarzy i przytrzymał się rozpórki, gdy „Orion” taranował wroga. Zaskrzypiały belki poszycia, kilka oszczepów zaszumiało w powietrzu, ale ludzie Menekratesa uwolnili „Oriona”, zanim ofiara osiadła głębiej w wodzie i uwięziła go na dobre. Jeden z marynarzy padł z oszczepem w ramieniu, ale jego kamraci nie kwapili się do broni – wiedzieli, że samo morze szybko go pomści.

Nagły wrzask i szcęk broni zapowiedziały początek walki wręcz na innym okręcie. „Orion” pędził do przodu. Maszty trójrzędowców kołysały się nad wodą jak wierzchołki drzew w czasie burzy. Za nimi Karauzjusz widział skaliste urwiska brzegu, coraz bliższe i groźniejsze.

Grad wystrzelonych z procy kamieni zaświszczał mu nad głową. Majtek pełniący służbę na dziobie zatoczył się i upadł. Jeden z żeglarzy skoczył mu na ratunek. Ranny wstał o własnych siłach, brocząc krwią z rany na skroni i klnąc jak najęty.

Okręt, z którego miotano pociski, zwracał się ku nim dziobem, ale nie dość szybko. Na rozkaz Menekratesa „Orion” przypuścił szarżę ku bezbronnej burcie.

Zderzyli się, strzaskane wiosła frunęły w górę niczym pęk patyków na rozpałkę. Odłupana drzazga jak strzała przeszła szyć jednego wiosłarza. Dziób „Oriona” zanurzył się, ściągany ciężarem tonącego okrętu. Oseki świsnęły w powietrzu, ale majtkowie zdołali je odbić. Przez długą chwilę Karauzjusz obawiał się, że okręty pozostaną sczepione, na szczęście raz jeszcze „Orion” zdołał się uwolnić. Brzeg widniał coraz bliżej. Karauzjusz zerknął na słońce i zrozumiał, że zaczyna się popołudniowy przypływ. Złapał trębacza za ramię i wykrzyczał komendę do jego ucha...

Po chwili ponad jęki umierających okrętów i ludzi wzbil się sygnał odwrotu. „Orion” cofnął wiosła i Rzymianie ryknęli z radości. Ale nie znali tego brzegu i tutejszych przypływów.

Gdy brytyjskie okręty zaczęły się wycofywać, Rzymianie próbowali ruszyć w pościg. Ich cięższe i gorzej obsadzone triremy były zbyt powolne, dlatego musieli ograniczyć się do

miotania przekleństw. Bardziej ruchliwy przeciwnik przegrupowywał się, czekając, aż przyływ przybierze na sile i zepchnie wroga na nieprzyjazny brytyjski brzeg. Rzymscy dowódcy, zajęci obserwowaniem Brytyjczyków, poniewczasie dostrzegli niebezpieczeństwo. Kilku ustawiło okręty dziobami do brzegu, wypatrując zatoczek, w których mogliby znaleźć schronienie. Inne trójrzędowce, w bryzgach piany wzbijanych przez młóćące wodę wiosła, odpływały powoli od groźnego brzegu, zmierzając na otwarte morze.

Karauzjusz czekał, zajęty rachowaniem czasu i odległości, gdy „Orion” płynął niespiesznie w ślad wroga, gotów odciąć mu drogę ucieczki. Poza stromymi klifami brzeg wyginał się w płytką zatokę; Admirał rzucił na nią okiem i znów wydał rozkaz trębaczowi.

Ryk rogu poniósł się nad falami, gdy „Orion” wzywał swoje psy do ponownego ataku. Karauzjusz wskazał na największy z pozostałych okrętów wroga i pokład przekrzywił się, gdy weszli w zwrot. Rzędy wioseł wznosiły się i opadały w potężnych pociągnięciach, trirema sunęła z zawrotną szybkością; wysiłek potrzebny do jej osiągnięcia był morderczy, możliwy jednak do utrzymania na niewielkim dystansie dzielącym obie jednostki. Karauzjusz już rozpoznawał twarze. Zobaczył centuriona, z którym służył nad Rhenusem, kiedy obaj byli ledwie podrostkami, i podniósł miecz w salucie. Rzymski kapitan, dostrzegając niebezpieczeństwo, próbował zawrócić; admirał ujrzał w przelocie rzeźbioną nimfę morską, która zdobiła dziób. Ale wroga trirema musiała zmagać się z przyływem, a siła morza sprzyjała „Orionowi”. Zderzenie było tak potężne, że oba okręty niemal skoczyły nad wodę, a ludzie powypadali za burty.

Karauzjusz padł na kolana, wokół niego przewracali się legioniści. Pęd wbił „Oriona” do połowy w drugi okręt; żadna siła wioseł nie mogłaby ich rozdzielić. Wioślarze już porzucali ławy i chwyтали za broń. Admirał dostrzegł błysk miecza; poderwał się z pokładu i wznosił tarczę, a wówczas opuściły go wszystkie myśli prócz tych związanych z koniecznością obrony.

Ludzie, z którymi walczył, byli weteranami tysięcy takich potyczek. Szybko otrząsnęli się z szoku wywołanego zderzeniem i przegrupowali się, ze śmiercionośną wprawą wycinając drogę na przedni pokład „Oriona”. Karauzjusz przyjął na tarczę grad ciosów, ciężki miecz musnął jego hełm. Stracił równowagę i musiał przykłęknąć. Przeciwnik już złożył się do ostatniego ciosu, gdy jakiś majtek i wioślarz zwarci w śmiertelnym uścisku wypchnęli go za burtę.

Karauzjusz zerwał się na nogi ze słowem dziękczynnej modlitwy. Ludzie miotali się w wodzie, wśród połamanych wioseł leżały zmasakrowane ciała. Tam, gdzie tylko było wolne miejsce, żywi rąbali mieczami albo dźgali włóczniami. Walka toczyła się również na pokładzie drugiego okrętu. Admirał nie potrafił osądzić, na czyją stronę chyli się szala zwycięstwa. Sapnął, gdy zobaczył piętrzące się nad nimi urwisko.

Złowrogi cień padł na złączone statki i paru ludzi poderwało głowy, ale większość była zbyt zajęta walką, by zważać na cokolwiek innego. A w następnej chwili było za późno.

Rzymska trirema uderzyła bokiem w skały, wzniosła się na fali i osiadła z trzaskiem poszycia. Dziób „Oriona” z jękiem dartej drewna zaczął uwalniać się z jej burty.

Rzymski okręt był martwy, ale jego załoga nadal mogła odnieść zwycięstwo, przenosząc walkę na „Oriona”. Karauzjusz zgrzytnął zębami i wezwał resztki sił, gdy na pokład wtargnęli legionieści z tonącej jednostki.

Wcześniej uznał, że bitwa jest zajadła, ale teraz stała się ona dziesięćkroć bardziej zażarta, bardziej desperacka niż jakakolwiek potyczka z saksońskimi piratami. Miecz ciążył mu coraz bardziej, lewa ręka drętwiała od uderzeń przyjmowanych na tarczę. Krwawił z tuzina draśnięć; wkrótce wpływ krwi spowolni jego ruchy i refleksy.

„Orion” oderwał się od rzymskiego trójrzędowca i teraz sam znalazł się na łasce przyływu; nie było nikogo, kto mógłby zająć się sterem.

Wokół leżeli martwi, ale centurion z podkomendnym przedarli się przez mur ciał i przypuścili atak. Karauzjusz zaparł stopy w deski pokładu i przygotował się do obrony. Może powinien był zadowolić się planowaniem bitwy i pozostać na brzegu; bez wątplenia tak postąpił Maksymian. Młodzi ludzie nie dopuszczają do siebie myśli, że mogą zginąć, przeleciało mu przez głowę, gdy miecz uderzył w jego hełm. Rzemienny pasek pękł i hełm potoczył się po pokładzie. Starsi też nie, dodał w myślach, zmuszając zmęczoną prawicę do sparowania następnego ciosu.

Pośliznął się na kałuży czyjeś krwi i upadł na kolano. Zerkając przez ramię, stwierdził, że wir walczących zepchnął go ku kapliczce Pani. Ze świstem wciągnął powietrze i wypuścił je powoli, a wówczas zdesperowanie ustąpiło wielkiemu spokojowi. Pani, moje życie należy do ciebie, zakrzyknął w duchu.

Cień wzniosł się ponad nim. Karauzjusz próbował osłonić się tarczą, świadom, że już nie zdąży. Wtedy poczuł drzenie przebiegające deski; pokład podskoczył i ostrze, które miało rozłupać mu czaszkę, chybiło celu. Przez mgnienie oka widział bezbronną szyję przeciwnika; zamachnął się mieczem i krew bluznęła szkarłatnym strumieniem, gdy Rzymianin osuwał się na pokład.

Karauzjusz wyprostował się z trudem, wspierając się na mieczu. W pobliżu nie było żywego człowieka. Stał pewnie na nogach i zdał sobie sprawę, że brzeg już się nie porusza. Ziemia Brytanii wyciągnęła ramiona, aby ich uratować: „Orion” leżał na mieliźnie.

Walka na pokładzie dobiegła końca. Ci, którzy przeżyli, prostowali plecy, a pod krwią, którą byli wymazani, Karauzjusz poznawał rysy swoich ludzi. Inne okręty, kołyszające się niedaleko brzegu, w większości były brytyjskie.

Żyję! Rozglądał się, zdjęty bezgranicznym zdumieniem. Odnieśliśmy zwycięstwo... I wydawało mu się, że widzi uśmiech na twarzy posążka w kapliczce.

Tej nocy większe brytyjskie okręty, ze zdobycznymi na holu, rzuciły kotwice w płytkich wodach niewielkiej zatoki, mniejsze zaś zostały wyciągnięte na piaszczysty brzeg. Ludzie

rozbili obóz na pobliskiej łące i dzielili się prowiantem. Gdy po okolicy rozeszła się wieść o zwycięstwie, nad morze zjechały wozy wyładowane jedzeniem i piciem.

Żołnierze usadzili dowódcę na stosie drewna okrytym płaszczami zdartymi z wrogów. Karauzjusz powtarzał sobie, że powinien wydawać rozkazy, kreślić nowe plany, ale w głowie mu szumiało z powodu utraty krwi i wypitego wina, które ktoś znalazł na wrogim okręcie flagowym. I ze szczęścia. Wieczór był piękny, a ludzie, jego ludzie, byli najdzielniejszymi i najlepszymi w świecie. Patrzył na nich z uśmiechem promiennym jak zachodzące słońce, a oni odwzajemniali się pochwalnymi okrzykami, tym głośniejszymi, im więcej lało się wina.

– Przeszaną nazywać nas gburami z prowincji! – zawołał jeden z wioślarzy.

– Brytyjskie okręty są najlepsze, podobnie jak ich załogi! – dodał inny.

– Koniec z rozkazami od durnia, który siedzi w Rzymie!

– Te wody należą do Brytanii, i to my będziemy ich bronić!

– Karauzjusz je obroni! – Imię odbiło się echem od urwisk.

– Karauzjusz cesarzem! – wykrzyknął Menekrates, potrząsając mieczem.

– Imperator, imperator... – Jeden po drugim, wszyscy podjęli okrzyk.

Sam Karauzjusz czuł się przytłoczony ich entuzjazmem. Orzeł Jowisza powiódł go do boju, a Pani Brytanii uratowała mu życie. Nie mógł już dłużej wątpić. Kiedy więc ludzie z jego floty podnieśli go na tarczach, aby ogłosić cesarzem, wyrzucił ręce w górę, przyjmując ich miłość i ich kraj.

## 14

Nieraz, kiedy powietrze gęstniało nad wzgórzami i kłęby mgły staczały się na moczary poniżej Wału, Teleri niemal mogła sobie wyobrazić, że znów przebywa w Avalonie. I zawsze była zaskoczona, że ta myśl sprawia jej taki ból. To nie Kraj Lata, powtarzała sobie, gdy kucyk niósł ją drogą, ale bagna krain Brigantów, a ona nie jest już kapłanką Avalonu, lecz cesarzową Brytanii.

Wyprzedzający ją jeździec ściągnął wodze i spojrzał na nią pytająco, jakby usłyszał jej westchnienie. Teleri zdobyła się na uśmiech. W ciągu dwóch lat od ogłoszenia Karauzjusza imperatorem Allektus stał się jej dobrym przyjacielem. Źle znosił długie marsze i marny był z niego żeglarz, ale jako urzędnik nie miał sobie równych. Cesarz potrzebował jemu podobnych jeszcze bardziej niż dowódcę.

Czasami zdumiewała się, że Karauzjusz tak długo utrzymuje swoją pozycję. Kiedy pogodził się z decyzją armii i przywdział cesarską purpurę, spodziewała się, że jeszcze przed końcem roku Rzym nawiedzi kraj ogniem i mieczem. Wydawało się jednak, że pan Brytanii może wzniecać bunt z bezkarnością większą niż generał z każdej innej prowincji – przynajmniej wówczas, gdy panuje na morzach i cieszy się łaską Avalonu. Mimo wszystko

Teleri odniosła wrażenie, że nawet Karauzjusz był zaskoczony, kiedy Maksymian po przegranej bitwie morskiej w odpowiedzi na jego proklamację przysłał chłodny, formalny list, w którym zwał go bratem-cesarzem.

Bez wątpienia Rzymianie mieli swoje powody: pokój zawarty przez Maksymiana z Frankami nie przetrwał; cesarz nadal usiłował powstrzymać ich klany od najazdu na Galię i pacyfikował Alamanów nad Rhenusem, a Dioklecjan walczył z Sarmatami i Gotami nad Danuviusem. Plotki mówiły też o kłopotach w Syrii. Rzymowi brakowało ludzi do walki w innych prowincjach. Dopóki Brytania nie zagrażała reszcie imperium, cesarze musieli myśleć, że bez większych szkód mogą ją pozostawić własnej przemyślności – i obronie. A Karauzjusz uczył się, że władanie Brytanią to coś więcej niż obrona Saksońskiego Brzegu.

Teleri spojrzała niespokojnie na szarą linię muru, który wił się po wzgórzach. Po jego drugiej stronie żyli wolni i nieokiełznani Piktowie, którzy, mimo że byli Celtami jak tutejsi Brigantowie, siali w sercach swych rzymskich kuzynów postrach równy temu, który na południu wzbudzali Sasi.

Teleri nasunęła głębiej kaptur ciężkiego płaszcza, gdy mgła zgęstniała, a świat skurczył się do skrawka drogi otoczonego szarą nicością. Wilgoć przyciemniła piaszczystą nawierzchnię traktu i skropliła się paciorkami na wrzosie. Jeśli mgła się utrzyma, przyjdzie im zapalić pochodnie, choć było dopiero popołudnie. Przewodnik podniósł rękę, nakazując wstrzymać konie. Teleri, nasłuchując, ściągnęła wodze. Przy takiej pogodzie trudno było rozpoznać dźwięki, ale coś się zbliżało...

Eskorta otoczyła ją, z włóczyniami w pogotowiu, gotowa do walki. Ucieczka w warunkach tak podłej widoczności byłaby szaleństwem. Wyteżając słuch, Teleri rozpoznała rytmiczny tupot i podzwanianie, zbyt regularne, jak na bezładny trucht piktyjskich jeźdźców. Hałas był coraz bardziej wyraźny, coraz bliższy. Allektus cofnął wierzchowca, aby zatarasować drogę. Teleri usłyszała zgrzyt stali, gdy dobywał miecza. Zastanowiła się, w jakim stopniu potrafi nim władać. Wiedziała, że ćwiczył z jednym z centurionów, ale dopiero od dwóch lat. Mimo wszystko determinacja, z jaką znalazł się między nią a potencjalnym niebezpieczeństwem, sprawiła jej przyjemność.

Przez chwilę panował bezruch. Potem wydawało się, że kształty zestalają się z mroku i z mgły wyłonił się oddział legionistów. Żołnierze zatrzymali się równo jak jeden mąż.

– Gajusz Martynus, optio, z garnizonu w Vindolandzie, przydzielony jako eskorta cesarzowej. – Dowódca zasalutował elegancko.

– Pani Teleri ma już eskortę... – zaczął Allektus.

– Przybyliśmy, aby wzmocnić was w drodze do Corstopitum – zauważył kwaśno optio. – Zeszłej nocy Piktowie przedarli się przez mur w Vercovicium. Cesarz podążył za nimi, a nas wysłał, żebyśmy bezpiecznie doprowadzili was do schronienia. – Miał taką minę, jakby obowiązek eskortowania cesarzowej budził jego głęboką niechęć; zadanie to było zapewne niczym w porównaniu z zabawą, jaką mieli jego towarzysze ścigający Piktów.



Karauzjusz chciał, żeby została w Eburacum, i teraz Teleri zrozumiała dlaczego. Zawsze uważała Wał za barierę równie nieprzebytą, jak mgły otaczające Avalon, lecz ta wstęga kamieni wyglądała krucho na tle rozległych przestrzeni moczarów. Była tylko dziełem ludzi, a w tym, co zbudowała jedna grupa, inna mogła uczynić wyłom.

Nim dotarli do Corstopitum, zapadła ciemność, a mgła przeszła w mżawkę. Miasto leżało na północnym brzegu rzeki, gdzie wojskowa droga krzyżowała się ze starym traktem do Alby. Od niedawna liczba jego mieszkańców wzrosła, gdyż sprowadzono nadzorców spichlerzy i licznych rzemieślników, którzy wyrabiali sprzęt dla wojska. Podążali główną ulicą w kierunku zajazdu. Na Teleri, którą nogi bolały po długiej jeździe, a wilgotne ubranie ziębiło w plecy, miasto wywierało przygnębiające wrażenie. Liczne budynki stały opustoszałe, inne chyliły się ku ruinie i wymagały naprawy.

Od lat każdy cesarz przybywający na inspekcję Wału zatrzymywał się w Corstopitum, toteż zajazd był przestronny i wygodny. Nie miał mozaikowych posadzek, ale podłogi z desek okryte grubymi pasiastymi kobiercami miejscowego wyrobu, a sceny myśliwskie, wymalowane na ścianach przez jakiegoś żołnierza-artystę, cechował toporny urok. Suche ubrania i węgle płonące w koszu stopniowo przegnały ziąb i nim Teleri przyłączyła się do Allektusa w wielkiej izbie biesiadnej, odzyskała siły i humor na tyle, aby ze zrozumieniem wysłuchać jego narzekań.

– Cesarz jest silnym człowiekiem i chronią go nasi bogowie – odparła, kiedy po raz trzeci zaczął się zastanawiać, czy Karauzjusz też znalazł jakieś schronienie. – Człowiekowi przyzwyczajonemu do kołysania się na chwiejnym pokładzie w ryku sztormu nie zaszkodzi byle mżawka.

Allektus wstrząsnął się i wyszczerzył zęby. Szeroki uśmiech wymazał bruzdy zmartwienia, które przydawały mu lat.

– On sam o siebie zadba – powtórzyła. – Cieszę się ogromnie, że jesteś tu ze mną.

– Nasza spółka sprawdza się doskonale. – Spoważniał, ale jego twarz zachowała chłopięcy wygląd, do którego ciągnęło ją serce. – On ma siłę i władzę, i umiejętność podporządkowywania sobie ludzi. Ja jestem myślicielem, liczącym, zapamiętującym i przewidującym rzeczy, których nie ma czasu dostrzec człowiek czynu. A ty, pani, jesteś Świętą Królową, Twoja miłość umiła wszelakie trudy!

Miłość! Teleri wzniosła brew, ale zachowała milczenie, nie chcąc podważać jego wiary. Kochała Diernę i Avalon, i to zostało jej odebrane. Karauzjusz gościł teraz w jej łożu dużo częściej – zostawszy cesarzem, zapragnął dziedzica, lecz ona nie zachodziła w ciążę. Może dziecko by ich zbliżyło; co prawda nauczyła się patrzeć na męża z szacunkiem i pewnym podziwem, ale wiązał ich głównie obowiązek.

Czy kochała Brytanię? A czym była Brytania? Lubiała ziemie Durotrigów, gdzie przyszła na świat, jednakże tutaj, w tych północnych moczarach, nie dostrzegała niczego wartego

miłości. Może gdyby dane jej było zgłębiać Tajemnice tak długo jak Diernie, nauczyłaby się, jak kochać abstrakcję.

Ale przecież to umiejętność Dierny do troszczenia się o abstrakcje skazała ją na wygnanie. Teleri nie pragnęła być cesarzową Brytanii bardziej, niż władać samym Rzymem. Dla niej jedno i drugie było równie nierealne. Przestała nawet marzyć o wolności. Zastanowiła się nagle, czy jest zdolna do głębszego przejmowania się czymkolwiek.

Więści od Karauzjusza dotarły ledwie godzinę przed jego przybyciem. Cesarz spoczywał w końskiej lektyce, z głębokim cięciem na udzie, zadany przez piktyjskiego jeźdźca.

– Potrafię nieźle walczyć na morzu, nawet kiedy pokład tańczy mi pod nogami – powiedział im, krzywiąc się, gdy chirurg wojskowy zakładał nowy opatrunek na ranę – ale walka z końskiego grzbietu to zupełnie coś innego! Powstrzymaliśmy ich jednak i ledwie pół tuzina uszło z życiem, aby powiadomić swoich wodzów, że cesarz brytyjski chroni te krainy równie dobrze jak wówczas, gdy należały one do Rzymu.

– Nie możesz jednak być wszędzie, panie, nawet gdybyś na koniu radził sobie jak Sarmata. Siła Wału leży w ludziach, oni zaś muszą mieć czego bronić. Ostatnim cesarzem, który umacniał fortyfikacje, był Sewer, dwa pokolenia temu. Cały region wymaga obwarowania, a nie mamy funduszy, by zwieźć nowe drewno i kamień.

– Prawda – przyznał Karauzjusz – zauważ jednak, że tutaj zaludnienie spada i wiele budynków świeci pustkami. Kamienie z wyburzonych domów posłużą do umocnienia pozostałych. Miasto będzie mniejsze, ale silniejsze... – Zagryzł wargi, gdy medyk przewiązywał ranę. – Jak Brytania... – dokończył spieszenie, a krople potu zalśniły na jego czole.

Allektus niecierpliwie potrząsnął głową.

– Bardzo źle? – zapytał, gdy chirurg zaczął składać instrumenty. – Czy okaleczenie będzie trwałe?

Lekarz, Egipcjanin, po dziesięcioleciach przeżytych z dala od rodzinnego słońca nadal okulany w szale i rękawice, z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Jest silnym człowiekiem. Leczyłem gorsze rany, z którymi następnego dnia ludzie ruszali do bitwy.

– Ja zajmę się chorym – powiedziała Teleri. – Kiedy cesarzowa wydaje rozkazy, nawet cesarz musi posłuchać.

Chirurg pokiwał głową.

– Dojdzie do siebie, jeśli będzie leżał spokojnie i pozwoli ciału wracać do zdrowia, ale zostanie mu blizna.

– Kolejna... – mruknął żałośnie Karauzjusz.

– Zasłużyłeś na nie, narażając życie w potyczce, którą mógłby pokierować dowódca z pięcioletnim stażem! – skarcił go surowo Allektus.

– Gdybyśmy mieli takich w zapasie – westchnął cesarz. – W tym kłopot. Kiedy przestaliśmy odprowadzać podatki do Rzymu, Brytania lepiej się powodzi, ale to tylko stanowi pokusę dla wilków, które ciągną lądem i morzem. Ludzi z południowych plemion obowiązywał zakaz noszenia broni przez tyle pokoleń, że nie nadają się nawet do milicji. Na domiar złego nikt nie kwapi się do opuszczania swych domostw i wstępowania do wojska. Słyszałem, że podobnie działo się w pierwszych dniach rzymskiego cesarstwa.

– I jak poradzono sobie z tym problemem? – zapytała Teleri.

– Wcielano do armii ludzi ze świeżo podbitych barbarzyńskich krain, którzy nie zapomnieli, że są wojownikami.

– Cóż, trudno uwierzyć, by Dioklecjan pozwolił ci najechać swoje tereny werbunkowe – zauważył Allektus.

– Prawda... ale nie będę szukał ludzi gdzieś daleko w świecie... – Karauzjusz popadł w milczenie i nie protestował, kiedy chirurg nakazał Teleri i Allektusowi opuścić izbę.

Będzie nieznośnym pacjentem, gdy przeminie pierwszy ból, myślała Teleri. Sprawiał wrażenie dziwnie bezradnego i niespodziewanie ogarnęło ją współczucie.

Przez zimę, gdy rana się goiła, Karauzjusz rozmyślał nad problemem zrównoważenia zasobów pieniężnych i stanu liczebnego swoich wojsk. Administracja pod kierownictwem Allektusa spisywała się znakomicie, ale z pieniędzy leżących bezczynnie w skarbcu był niewielki pożytek. Musiał wydać je na zaciągi. Tylko kogo? Dzikie plemiona z północy były odwiecznym wrogiem, nie do przyjęcia przez mieszkańców rzymskiej Brytanii, nawet gdyby zgodziły się wstąpić na cesarską służbę. Wiedział, że musi szukać gdzie indziej.

Coraz częściej marzył o piaszczystych wrzosowiskach i porośniętych sitowiem moczarach własnego kraju po drugiej stronie Kanału, o żyznych polach wydartych morzu. Uprawiali je ludzie solidni i godni zaufania, będący również dobrymi wojownikami. W ich ojczyźnie zawsze brakowało ziemi dla młodszych synów. Gdyby tak wysłał wiadomość, z pewnością niektórzy odpowiedzieliby na jego wezwanie.

A co z Saksonami? Ich ziemie na wschód od kraju Jutów i nad północnym morzem były równie ubogie jak te w krainach Menapiów. Wyruszali na zbójckie wyprawy nie tylko dla chwały, ale dlatego, że za łupy mogli kupić żywność i przeżyć chude miesiące. Gdyby zwrócił się do nich jako pobratymiec, mógłby związać ich traktatem, a gdyby trybutem zdołał zapewnić bezpieczeństwo Brytanii, nie byłby pierwszym cesarzem przekupującym wroga.

Zrobi tak po powrocie do Londinium, postanowił. To było jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy.

W Idy miesiąca Maius trzy żagle pojawiły się na południowo-wschodnim wybrzeżu Brytanii. W minionych latach nawet najgłupszy pastuch nauczył się poznawać łaciate,

skórzane żagle saksońskich okrętów. W nabrzeżnych wioskach podniesiono alarm; zapadła cisza, gdy długie łodzie spokojnie popłynęły dalej.

Wartownicy w Rutupiae, pomni rozkazów, w ponurym milczeniu patrzyli na łodzie wchodzące w ujście Stour i płynące na wiosłach w górę rzeki – Pod koniec dnia dobiły one do Durovernum Cantiacorum, plemiennego miasta Cantiów, otoczonego nowymi murami, które różowiały, w promieniach zachodzącego słońca.

Karauzjusz stał na werandzie bazyliki, gdy germańscy naczelnicy maszerowali główną ulicą w asyście swoich wojowników. Otaczali ich legionieści z pochodniami, pełni obaw, że być może przyjdzie im bronić odwiecznych wrogów przed nienawiścią mieszkańców. Jeśli Sasowie zauważali napięcie, nie dawali tego po sobie poznać. Wilcze uśmiechy na ich twarzach zdawały się wskazywać, że z radością skorzystają z pierwszego pretekstu do bijatyki.

Karauzjusz wystosował do nich zaproszenie, które jasno precyzowało warunki spotkania. Gdyby zapomniał, jak z nimi mówić, miał przy sobie młodego menapiańskiego wojownika, którego sprowadził z Germanii. Dla podkreślenia znaczenia spotkania ubrał się na germańską modłę: długie, zebrane w kostce spodnie z pierwszorzędnej wełny ufarbowanej na ciemne złoto, lniany niebieski kaftan zdobiony lamówkami z greckiego brokatu, naramienniki i złoty diadem. U pasa, na którym połyskiwały złote medaliony, wisiał dobrze wysłużony miecz rzymskiej jazdy – przypomnienie, że jest wojownikiem – a na ramiona zarzucił płaszcz z cesarskiej purpury.

Strój ten czynił z niego wodza z prawdziwego zdarzenia, nie był to żaden przebiegły Rzymianin, który za złoto sprzedałby własny honor, ale król i dawca pierścieni, z którym wolny wojownik może godnie zawiązać przymierze. Obserwując przybliżających się gości, Karauzjusz nie myślał jednak o symbolice stroju, lecz o tym, w jakim stopniu jest on wygodniejszy od rzymskiego.

W bazylice zasiedli do uczyty przy długim stole. Karauzjusz z germańskimi naczelnikami zajął miejsce u szczytu. Ich ludzie siedzieli na ławach wzdłuż boków, gdzie niewolnicy poili ich szczerze galijskim winem. Brytyjczycy przywykli uważać wszystkich piratów za Saksonów, ale w rzeczywistości należeli oni do różnych plemion. Wysoki mężczyzna po prawej stronie cesarza, Hlodovic, był Frankiem z ludu, który nawet teraz przysparzał wielkich kłopotów Maksymianowi. Obok niego zasiadał grubas z posiwiałą brodą, jeden z ostatnich pozostałych na północy Herulów, który wraz ze swoimi wojami przystał do angielskiego przywódcy, Wulfhere'a. Ostatni siedział skrzywiony Fryzyjczyk zwany Radbodem.

– Masz dobre wino – rzekł Wulfhere, opróżniając puchar i podsuwając go po dolewkę.

– Twoje zdrowie – powiedział Karauzjusz, wznosząc swój kielich. Wcześniej przewidująco kazał wypełnić go do połowy stopionym woskiem. Służąc we flocie, nauczył się pić bez umiaru, ale germańscy wojownicy słynęli z mocnych głów i aby zasłużyć na ich szacunek, należało dotrzymać im kroku.

– Z przyjemnością napijemy się twojego wina, chociaż u siebie mamy amfory z równie dobrym – wtrącił Hlodovic.

– Przyplaconym krwią – zauważył Karauzjusz. – Lepiej trzymać takie wino w darze, a krew rozlewać w szlachetniejszym celu.

– Doprawdy? – zaśmiał się Hlodovic. – Czy twoje wino nie pochodzi z Galii? I czy jego zapasy nie zmalały, od kiedy poróżniłeś się z Maksymianem?

– Przez parę sezonów wasi kuzynowie dawali mu zajęcie w Belgice. – Karauzjusz wybuchnął śmiechem. – Nie ma ani okrętów, ani ludzi, by przeszkadzać Brytanii w handlu.

– Wino jest dobre – zgodził się Radbod – atoli złoto lepsze.

– Mam złoto... dla przyjaciół. I srebro z mendipskich kopalń.

Karauzjusz dał znak i niewolnicy zaczęli wnosić koszyki z chlebem, półmiski z jajami, serem i ostrygami oraz tace z cieleciną i sarniną.

– A jakich darów spodziewasz się w zamian od swoich „przyjaciół”? – zapytał Hlodovic, odcinając gruby plaster z leżącego przed nim udźca. Ucztowali po barbarzyńsku, na siedząco, ale naczelnicy na równi z Rzymianami cenili wykwintną zastawę, toteż stoły uginały się od srebrnych talerzy i szklanych kielichów.

– Niech wasza młodzież szuka chwały na innych brzegach. Nagroda będzie jeszcze większa, jeśli sami wystąpicie przeciwko tym, którzy będą atakować nas z morza.

– Wszak ty, panie, jesteś dzielnym wojownikiem. Czemu miałbyś pozbawiać się takiej przyjemnej rozrywki? – zapytał Wulfhere ze śmiechem, podnosząc puchar do ust.

– To prawda, lubię walczyć na morzu, lecz teraz jestem najwyższym królem i muszę spędzać dużo czasu na północy, gdzie toczę wojnę z tamtejszym Malowanym Ludem.

– I pod swoją, nieobecność chciałbyś postawić wilki na straży owiec? – Wulfhere z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jeśli wilki są honorowe, zaufałbym im bardziej niż psom – odparł Karauzjusz. Pierwsza partia mięsiwa zniknęła ze stołu i teraz wojownicy rozprawiali się z pieczonym w całości dzikiem, posmarowanym miodem i otoczonym wianuszkami jabłek.

Wulfhere przestał jeść i popatrzył na cesarza.

– Nie jesteś Rzymianinem, choć zwą cię imperatorem...

Karauzjusz uśmiechnął się.

– Urodziłem się na menapiańskich bagnach, teraz jednak należę do Brytanii.

– My, wilki, jesteśmy głodne i mamy liczne szczenięta do wykarmienia – wtrącił Radbod.

– Ile byś dał?

Gdy po mięsiwie wniesiono gotowane owoce, słodkie pieczywo i ciasta, dyskusja stała się bardziej konkretna. Jedną po drugiej opróżniano amfory galijskiego wina. Karauzjusz pił z gośćmi kielich w kielich i miał nadzieję, że rankiem będzie pamiętał wszystko, co zostało powiedziane.

– Tedy dobiliśmy targu – oznajmił wreszcie Hlodovic. – Mam tylko jeszcze jedną prośbę.

– Co takiego? – Karauzjusz czuł, że wino krąży mu w żyłach. – A może było to uczucie zwycięstwa.

– Żebyś opowiedział nam wszystkim, jak pokonałeś flotę cesarza Maksymiana...

Karauzjusz wstał powoli, przytrzymując się stołu, póki świat nie przestał wirować, potem, stawiając kroki z przesadną uwagą, rozpoczął długą wędrówkę ku drzwiom. Udało się! On przysiągł na Jowisza, że będzie płacić trybut, a barbarzyńscy naczelnicy, klnąc się na Saxnota i Ing, i na Wodena z Włócznią, zobowiązali się dotrzymać umowy. Teraz kiwali się przy stole, z głowami wspartymi na rękach, podczas gdy ich ludzie pochrapywali na posłaniach przygotowanych na podłodze. On – Karauzjusz – był zwycięzcą, tak w negocjacjach, jak w picciu, tylko on jeden bowiem był w stanie wyjść z sali o własnych siłach.

Marzył o tym, by wyciągnąć się we własnym łóżku. Nie – chciał znaleźć się w łóżu Teleri. Chciał iść do niej prosto z pola bitwy i złożyć w darze zwycięstwo. Przy drzwiach czekał Aedfrid, najmłodszy z Menapiów. Karauzjusz wsparł się na jego ramieniu i zarechotał, gdy stwierdził, że język mu się płacze. Ale wyłuszczył swoje zamiary na tyle jasno, że chłopak powiódł go korytarzami i przez drogę do sąsiedniego domu, należącego do miejscowego magistratusa, gdzie rozlokował się dwór cesarski.

– Czy trzeba ci pomocy, panie? – zapytał Aedfrid, gdy zbliżali się do sypialni. – Mam wezwać twego sługę czy...

– Nie... – Karauzjusz dobrotliwie machnął ręką. – Jestem żeglarzem, wiesz? We flocie śmieją się z tych... którzy mają słabą głowę. Sam zdejmę ubranie... – Nie trafił nogą na stopień i wyciągnął ręce, aby przytrzymać się ściany. – Może żona mi pomoże... – Roześmiał się.

Kręcąc głową, wojownik otworzył drzwi do komnaty cesarzowej i podniósł pochodnię, aby oświetlić mu drogę.

– Teleri! – zawołał Karauzjusz. – Udało się! Wygrałem! – Skoczył w stronę łóżka, poprzedzany chwiejnym cieniem. – Wilki morskie zaprzysięgły przymierze! – Przez cały wieczór posługiwał się germańskim językiem i nie zdawał sobie sprawy, że nadal w nim mówi.

Pościel poruszyła się; w blasku pochodni ujrzał białą twarz żony i szeroko otwarte oczy. Potem usłyszał przeszywający krzyk.

Karauzjusz cofnął się o krok i runął na podłogę. Przerażenie w oczach Teleri było ostatnią rzeczą, jaka wryła mu się w pamięć, nim wzięło go we władanie wino wypite na ucztach.

Rankiem cesarz przebudził się z potwornym bólem głowy i wrażeniem, że ma w ustach kuchenne odpadki. Skrzywił się, mając nadzieję, że germańscy naczelnicy czują się jeszcze gorzej. Czyżby się starzał, skoro jedna noc hulanki przyprowadziła go o tak złe samopoczucie. Otworzył oczy i zobaczył, że leży w łóżku Teleri. Sam.

Jęknął głośno i drzwi się otworzyły, Zręczny i taktowny sługa zdjął z niego splamione winem germańskie ubranie, umył go i odział w czystą tunikę.

Karauzjusz znalazł Teleri w mniejszej jadalni, gdzie często jadali śniadania. Popatrzyła na niego, a on stanął jak wryty, na jej twarzy bowiem malowało się coś, co ujrział w nocy: przerażenie.

– Wybacz – rzucił sztywno – że cię niepokoiłem. – Teleri bez słowa wbiła oczy w talerz.  
– Chciałem powiadomić cię o swoim zwycięstwie. Zawarliśmy umowę. Germańscy wodzowie przyślą wojowników.

– Saksonów... – syknęła, mnąc w dłoniach fałdy spódnicy.

– Fryzów, Franków i Herulów – poprawił, zastanawiając się nad jej stanem. Przecież wiedziała o ich przybyciu.

– Dla mnie wszyscy oni są saksońskimi wilkami! Myślałam, że to nie będzie miało znaczenia... że upłynęło tyle czasu... – Potrząsnęła głową i łzy błysnęły w jej oczach.

– Teleri! – zawołał, podchodząc do niej.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła. Zerwała się gwałtownie, przewracając ławę. – Jesteś jednym z nich! Myślałam, że jesteś Rzymianinem, ale kiedy patrzę ci w twarz, widzę jego!

– Kogo, Teleri? – zapytał Karauzjusz. Głos dygotał mu z wysiłku, jaki podjął, żeby powstrzymać wybuch.

– Sasa... – odpowiedziała tak cicho, że musiał wyteńczyć słuch – człowieka, który chciał mnie zgwałcić, kiedy miałam osiemnaście lat.

Schodziło lato roku najspokojniejszego, jak tylko sięgnąć pamięcią. Saksonowie, pomni świeżej jeszcze przysięgi, z kabzami pełnymi brytyjskiego złota, skierowali uwagę na inne wybrzeża. Ale mieszkańcy Hibernii nie mieli takich skrupułów. Zaczęli najeżdżać ziemie Silurów i Demetów i cesarz ruszył na zachód, aby ich bronić.

Teleri chciała pozostać u ojca, jednakże Karauzjusz, świadom znaczenia królowych u zachodnich plemion, osądził, iż mądrzej będzie pokazać się z małżonką. Przywiezienie żony mogło też świadczyć o jego ufności we własne siły. Teleri przypuszczała, że być może cesarz ma nadzieję, iż w podróży zdoła ją ułagodzić i przekonać do podjęcia współżycia. Próbowwała zapanować nad uczuciem odrazy, jednak od czasu uczyły w Cantiacorum nie potrafiła znieść jego dotyku. Widziała w nim wroga, nawet kiedy nie nosił menapiańskiego stroju ani nie otaczał się barbarzyńskimi przybocznymi.

Jako cesarzowa miała własną służbę, jechała w konnej lektyce otoczona swoimi ludźmi. Odmawiając dzielenia łoża, tłumaczyła się zmęczeniem i potrzebą wypoczynku. W Venta Silurum mieli zamieszkać razem i tam wymówki staną się dużo trudniejsze. Z tego powodu, kiedy zbliżyli się do ujścia Sabriny, poprosiła o zezwolenie na wyjazd do świętych wód Aquae Sulis. Karauzjusz, może w nadziei, że czas zagoi rany, wyraził zgodę.

W noc przed rozstaniem stanęli w Corinium, dawnej stolicy plemienia Dobunni, gdzie Fosse Way\* krzyżowała się z głównym traktem na zachód. Miasto było małe, ale zamożne, słynne z kunsztu układaczy mozaik. Teleri osądziła, że urządzone zbytkownie *mansio* być może dorównywało najlepszym zajazdom w samym Rzymie. Ułożona wygodnie na leżance rozkoszowała się luksusem, gdy w drzwiach stanęła Dierna.

Jak zawsze, Najwyższa Kapłanka zdominowała otoczenie, którego przepych wydał się nagle przesadny, a nawet tandetny w porównaniu z klasyczną prostotą jej błękitnej szaty. Teleri przypomniała sobie, że przecież jest teraz cesarzową, która siłą rzeczy przewyższa każdą kapłankę. Usiadła, zapytując ostro, co ją tu sprowadza.

– Powinność. Przybyłam, żeby porozmawiać z twoim mężem i tobą. – Kapłanka zajęła miejsce na ławie.

Teleri przyjrzała się jej uważnie; ręce starszej kobiety były mocno splecione, zaprzeczając jej opanowaniu.

– On wie, że tu jesteś? – Teleri siadła swobodniej, układając malowniczo fałdy szkarłatnej palii.

Dierna nie musiała odpowiadać; do komnaty wszedł Karauzjusz z Allektusem. Za nimi Teleri ujrzała wysoką postać barbarzyńskiego przybocznego i spięła się mimo woli. Po chwili zamknięte drzwi usunęły z widoku przyczynę niepokoju.

Cesarz zatrzymał się, powitał Diernę salutem.

– Pani, czynisz nam zaszczyt.

– To prawda – przyznała – ale ty nie zaszczytasz nas wcale tym barbarzyńskim przyodziewkiem.

Teleri szybko wciągnęła powietrze. To mu dopiekło do żywego! Karauzjusz popatrzył na germańskie spodnie i zarumienił się, ale kiedy podniósł głowę, w jego spojrzeniu nie było skruchy.

– Urodziłem się barbarzyńcą – rzekł cicho. – To strój mojej młodości, w dodatku wygodny. I takie są ubiory moich sprzymierzeńców.

Oczy Dierny rozbliły.

– Odrzucasz zatem bogów Brytanii, którzy wynieśli cię tak wysoko? Nurzanie się w błocie to żaden wstyd dla świni, ale człowiek powinien być mądrzejszy. Stałeś na Świętym Torze i słyszałeś śpiew letnich gwiazd. Chcesz wyrzec się mądrości gromadzonej przez tyle żywotów i cofnąć do bagna, w którym taplają się prymitywne rasy? Należysz już nie do nich, tylko do Brytanii!

– Istotnie, ale czymże jest Brytania? Drzewo chroniące ludzi wyciąga ramiona ku niebu, lecz musi być zakorzenione w ziemi, inaczej umrze. Brytania to coś więcej niż Avalon. W swoich podróżach po wyspie widziałem przybyszów ze wszystkich zakątków cesarstwa,

---

\* *fosse* (ang.) – rów, fosa: starożytna droga w Brytanii z rowami po obu stronach, dł – ok. 300 km. znacząca granicę pierwszego etapu rzymskiej okupacji (przyp. tłum.).



których synowie umiłowali ten kraj jak własny. Będę chronił ich wszystkich – wszystkich tych, którzy oddali się pod moją władzę. Nie wolno ci obwiniać mnie za to, że szukam ratunku, gdzie tylko można... – Jego spojrzenie zatrzymało się na Teleri i szybko umknęło w bok.

– Wsparli cię książęta Brytanii – zawołał Allektus. – Potomkowie starej celtyckiej krwi uczynili cię cesarzem! Oddasz ich dar niewolnikom?

Karauzjusz wyprostował się. Twarz mu pałała.

– Ty też mnie atakujesz? Myślałem, że na twoją lojalność mogę liczyć!

– Być może musisz lepiej zastanowić się nad własną – rzucił gorzko Allektus. – Skoro ty postanowiłeś wrócić do swoich korzeni, nie skarż się, gdy ja przypomnę, że moi ojcowie byli królami wśród Belgów!

Przez długą chwilę Karauzjusz patrzył na niego bez słowa. Potem przeniósł spojrzenie na Diernę, następnie na Teleri, która spuściła oczy. Westchnął.

– Myślcie sobie, co chcecie, ale nie macie racji. Pamiętam doskonale, kto okrzyknął mnie imperatorem. Żołnierze i wioślarze, nie brytyjscy książęta, którzy już nie noszą broni. Niegdyś Brytania była celtycka, lecz teraz już nie jest. W Moridunum są ludzie, przedstawiciele wielu ras, którzy przelewają krew w waszej obronie. Moje miejsce jest przy nich. Opuszczam was, żebyście mogli swobodnie pofilozofować.

Teleri-cesarzowa Brytanii jechała do Aquae Sulis, by zażyć kąpieli i złożyć ofiarę tamtejszej bogini, ale Teleri-kobieta szukała w siarkowych wodach pociechy dla skłopotanej duszy. Zastanawiała się, czy ją znajdzie. Dierna postanowiła jej towarzyszyć. Nawet jako cesarzowej, Teleri trudno było odmówić Pani Avalonu. Gdy lektyka zakołysała się na kamiennym moście nad rzeką Avon, popatrzyła na porośnięte lasami wzgórze, które górowały nad miastem, i zaczął ogarniać ją spokój.

Dzielnica świątynna została wzniesiona w stylu helleńskim przez cesarza Hadriana. W jego czasach, myślała Teleri, zbliżając się do świątyni, musiało tu być wspaniale, ale mijające lata wygładziły kamienie i odbarwiły freski. Miała wrażenie, że miejsce to stało się przedłużeniem Avalonu, przytulnym i wygodnym jak ulubiony strój, przez długie noszenie dopasowany do figury właściciela.

Zatrzymała się na dziedzińcu przed ołtarzem naprzeciw źródła i rzuciła parę szczypt kadzidła na węgle. Wyczuwała obok siebie obecność Dierny, jej moc przytającą pod welonem niczym światło wśród cieni. Kapłanki Sulis przywitały Panią Avalonu jak równą sobie; w ich kulcie nie miała ona żadnej władzy i ta świadomość sprawiła Teleri pewną satysfakcję.

Ruszyły przez dziedziniec i po stopniach świątyni, gdzie z piedymentu spoglądała groźnie otoczona nimfami strażniczka, Gorgona. Wewnątrz przed wizerunkiem Minerwy Sulis

płonęły kaganki, rzucające refleksy światła na złocone rysy. Oblicze bogini, nacechowane spokojną zadumą, wyzierało spod niezbyt stosownego w tym miejscu – żołnierskiego hełmu.

Pani, pomyślała Teleri, patrząc na rzeźbę, czy możesz nauczyć mnie mądrości? Czy możesz obdarować mnie spokojem? Znienacka naszło ją wspomnienie kapłanek śpiewających na Świętym Torze, skąpanych w srebrnym blasku księżyca. Czuła wtedy obecność samej Bogini, przepelniającej ją światłem. Tutaj wyczuwała tylko echa jej mocy i nie potrafiła określić, czy różnica leży w naturze świątyni czy w jej własnej duszy.

Drugiego dnia pobytu zażyła kąpieli. Wszystkim innym odwiedzającym zakazano wstępu na teren świątynny, aby zapewnić prywatność cesarzowej i jej dworcom. Za kolumnadą otaczającą termy Teleri dostrzegła dziedziniec i ołtarz, przed którym modliła się poprzedniego dnia. Światło odbijało się od wody i migotało na belkowanym suficie; mgielka wilgoci z podgrzewanego basenu w sąsiedniej sali spowijała powalę tajemniczym cieniem. Woda była letnia i silnie pachniała siarką, lecz kąpiący się szybko przywykali do ostrej woni. Teleri położyła się na plecach i spróbowała się odprężyć. Nie mogła zapomnieć pełnego zgrzyoty spojrzenia męża i bólu w oczach Allektusa – równie silnego, choć wynikającego z innej przyczyny. Dusza darła się jej na strzępy, gdy widziała ich skłóconych.

Kapłanki Sulis kazały im przejść do basenu z gorącą wodą, zasilanego, jak inne, ze świętego źródła, ale podgrzewanego przez hypocaustum. Teleri aż sapnęła z gorąca, lecz skoro Dierna zanurzyła się tak chętnie, jakby to było jezioro Avalonu, zacisnęła zęby i podążyła za jej przykładem. Przez pewien czas myśli miała zaprzątnięte wyłącznie reakcjami ciała. Czuła przyspieszone bicie serca i pot obficie spływający z czoła.

Dokładnie w chwili, gdy pomyślała, że zaraz omdleje, kapłanka pomogła jej wyjść z basenu i zaprowadziła ją do caldarium z chłodną wodą, która wydawała się jej lodowato zimna. Potem, z podrażnionym każdym nerwem i krwią szumiącą w uszach, pozwolono jej wrócić do Wielkiej Łaźni. Skrajne temperatury pobudziły ją i zarazem wyczerpały. Rozluźniła się i pogrążyła w obojętnej zadumie.

– To łono Bogini – zaczęła cicho Dierna. – Rzymianie zwą ją Minerwą, a ci, którzy przybyli przed nimi, Sulis. Dla mnie ona jest Brigą, Panią tej ziemi. Unosząc się w jej wodach, wracam do swoich źródeł i odnawiam siły. Dziękuję, że pozwoliłaś mi sobie towarzyszyć.

Teleri odwróciła się w jej stronę, podnosząc brwi. Taki dworny komentarz zasługiwał na odpowiedź.

– Jesteś mile widziana. Nie roszczę sobie prawa do takich wzniosłych medytacji, ale muszę przyznać, że też odnalazłam tu ukojenie.

– W Avalonie również panuje spokój. Żałuję, że przymusiłam cię do odejścia. Mój cel był szczytny, lecz oznaczał ciężki los dla niechętnej osoby. Powinnam była znaleźć inny sposób.  
– Dierna na wpół unosiła się w zielonkawej wodzie; brązowe loki otaczały jej twarz, pełne piersi, z sutkami pociemniałymi od karmienia dzieci, przebijały powierzchnię.

Teleri aż sapnęła. Poświęciła trzy lata życia, a teraz jej mentorka sugerowała, że to nie było konieczne?

– Dałaś wyraźnie do zrozumienia, że los Brytanii zależy od mojej współpracy. Jakie było inne wyjście?

– Nie powinnam dopuścić do małżeństwa takiego, jakie zawierają obywatele Rzymu. To było niewłaściwe. – Dierna wstała w kaskadzie wody spływającej z długich włosów. – Nie rozumiałam wówczas, że Karauzjusz jest przeznaczony na króla i że musi połączyć się ze świętą królową wedle odwiecznego zwyczaju.

– Cóż, co się stało, to się nie odstanie... – zaczęła Teleri.

Kapłanka potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Obecnie cesarza kusi podążenie inną drogą, toteż związanie go ze starożytnymi Tajemnicami nabrało jeszcze większej wagi. Musisz sprowadzić go do Avalonu, Teleri, i odprawić z nim Wielki Rytuał.

Teleri podniosła się tak szybko, że woda zafalowała w basenie.

– Nie! – syknęła. – Przysięgam na Boginię tego świętego źródła! Wygnałaś mnie z Avalonu i nie wrócę tam tylko dlatego, że raczyłaś zmienić zdanie. Możesz sobie omotać Karauzjusza jaką tylko chcesz magią, ale pierwszej ziemia zatrzęsie się, a niebiosa runą, nim ja wrócę do ciebie!

Ruszyła do schodków wyciętych z boku basenu, gdzie niewolnice czekały z ręcznikami. Czowała na sobie spójrzenie Dierny, ale nie odwróciła głowy.

Następnego dnia rano powiedziano jej, że Pani Avalonu odjechała. Przez chwilę czuła ból utraty, lecz kiedy wspomniała, co między nimi zaszło, była zadowolona z takiego obrotu spraw. Przed południowym posiłkiem trębacze obwieścili przybycie gościa. Był to Allektus. Jego widok sprawił jej tak wielką radość, że nawet nie zapytała, gdzie jest cesarz. Porośnięte drzewami wzgórze wokół Aquae Sulis stały się jej więzieniem. Nagle zatęskniła za falistymi pagórkami ponad Durnovari<sup>1</sup> i widokiem morza.

– Zabierz mnie do ojca, Allektusie! – krzyknęła. – Zabierz mnie do domu! – Z twarzą na przemian zarumienioną i bladą, Allektus pochylił się i pocałował ją w rękę.

## 15

Tej zimy pewien generał w Egipcie podążył przykładem Karauzjusza i ogłosił się cesarzem. W odpowiedzi władcy Rzymu wynieśli do godności cesarów dwóch młodszych generałów – Galeriusza, który miał pomagać Dioklecjanowi na wschodzie, i Konstancjusza Chlorusa na zachodzie. Decyzja sprawiała wrażenie rozsądnej, gdyż w jej wyniku nie tylko przywołano do porządku Egipcjan, ale – z poparciem Konstancjusza – Maksymianowi

wreszcie udało się zdusić buntowniczych Franków i Alamanów nad Rhenusem. Gdy w imperium zapanował pokój, cesarzowie Rzymu mogli wreszcie zająć się pomniejszymi kłopotami, jakich przysparzała na przykład Brytania.

Kiedy morza uspokoiły się z nadejściem nowego roku, liburna z porpcami Konstancjusza okrążyła wyspę Tanatus, wpłynęła na rzekę Temesis i zawinęła do Londinium. Przywiezione zwoje zawierały prostą wiadomość. Dioklecjan i Maksymian August wzywali Karauzjusza do zrzeczenia się praw do prowincji brytyjskiej. Nakazywali mu powrót do Rzymu, gdzie miałby zostać osądzony. Odmowa byłaby jednoznaczna z wypowiedzeniem wojny rozgniewanym cesarzom, którzy mieli do dyspozycji wszystkie legiony cesarstwa.

Cesarz Brytanii siedział w gabinecie w pałacu gubernatora w Londinium, niewidzącym wzrokiem patrząc na list Dioklecjana. Już nie musiał go czytać – znał każde słowo na pamięć. W pałacu panowała cisza, ale z zewnątrz dobiegał pomruk przypominający huk fal, nabrzmiewający chwilami do ryku sztormu.

– Ludzie czekają – oznajmił Allektus, siedzący bliżej okna. – Mają prawo zostać wysłuchani. Musisz im powiedzieć, co postanowiłeś.

– Wiem – odparł Karauzjusz. – Posłuchaj, ich gwar brzmi jak ryk morza. Rozumiem ocean, ale lud Londinium jest bardziej zmienny i dużo niebezpieczniejszy. Czy stanie za mną, jeśli sprzeciwię się żądaniu cesarza? Wszyscy radowali się, kiedy przyjąłem purpurę. Zapewniłem im dostatek. Wątpię jednak, czy poprą mnie z równym entuzjazmem, jeśli zawiodę.

– Możliwe, ale nie pozyskałeś ich brakiem zdecydowania. Chcą wierzyć, że wiesz, co robisz, i że ich domostwa i środki do życia pozostaną bezpieczne. Powiedz im, że będziesz bronić Londinium, a ojedną zadowoleni.

– Chcę czegoś więcej. Chcę, żeby to była prawda. – Karauzjusz odepchnął krzesło i zaczął krążyć po mozaikowej posadzce. – A nie sądzę, by temu celowi przysłużył się wymarsz z wojskiem za Dubris i bezczynne czekanie na Konstancjusza.

– Co innego można zrobić? Londinium jest sercem Brytanii, tłoczącym życiodajną krew, inaczej czemu miałbyś zakładać tu mennicę? Miasto zasługuje na obronę.

Karauzjusz zatrzymał się przed nim.

– Cały kraj potrzebuje ochrony, a kluczem do niej jest siła morska. Nawet wzmocnienie fortów na Saksońskim Brzegu nie jest rozwiązaniem. Muszę stoczyć bitwę na ziemiach wroga. Nie wolno dopuścić, by na naszym wybrzeżu wylądował choć jeden nieprzyjacielski legionista.

– Udasz się do Galii? – zapytał Allektus. – Ludzie pomyślą, że ich porzucasz.

– W Galii leży morska baza Gesoriacum. Jeśli Konstancjusz ją zdobędzie, stracimy znaczący punkt obrony, a wraz z nim stocznie i trasy zaopatrzeniowe łączące nas z cesarstwem.

– A jeśli przegrasz?

– Pokonałem ich wcześniej... – Karauzjusz znieruchomiał z zaciśniętymi pięściami.

– Twoja flota była w szczytowej formie dzięki nieustannym utarczkom z Saksonami. Teraz połowa załóg została odkomenderowana do wzmocnienia garnizonów na Wale. Co zrobisz? Wezwiesz swoich barbarzyńskich sprzymierzeńców?

– Gdy będę musiał...

– Nie wolno ci! – Allektus skoczył na równe nogi. – Już dałeś im zbyt wiele. Jeśli zwyciężysz z ich pomocą, zażądają jeszcze więcej. Tak jak ty jestem za wolnością Brytanii, ale wolałbym podlegać Rzymowi niż saksońskim wilkom!

– Teraz podlegasz władzy Menapiańczyka! – Karauzjusz sam zwrócił uwagę na podniesiony głos i starał się nad nim zapanować. – Gubernatorzy Brytanii pochodzą z Galii, Dalmacji i Hiszpanii – i legiony, które cię bronią, noszą cudzoziemskie miana.

– Może oni wszyscy urodzili się barbarzyńcami, ale zostali ucywilizowani. Uznają, że ten kraj jest celtycki. Saksonowie dbają tylko o pełne brzuchy. Ich plemię nigdy nie zapuści korzeni w brytyjskiej glebie.

Karauzjusz westchnął, wspominając, jak kapłanka nakarmiła jego krwią ziemię tego kraju.

– Udaj się na południe, gdzie ludzie nadal pamiętają, jak ratowałem ich domy, i powiodę ochotników do Gesoriacum – zawyrokował. – Ty rozumiesz tutejszych kupców, Allektusie. Zostań w Londinium i sprawuj rządy pod moją nieobecność.

Przelotny, zagadkowy rumieniec zabarwił ziemiste policzki młodszego mężczyzny. Karauzjusz zastanowił się nad jego przyczyną. Z pewnością po tak długim okresie wspólnej pracy Allektus musiał wiedzieć, że cesarz mu ufa. Ale nie było czasu na głowienie się nad czyimiś uczuciami. Karauzjusz otworzył drzwi i zawołał podwładnego. Wydał mu instrukcje dotyczące odjazdu.

Na Torze początek lata był zwyczajowo przeznaczony na farbowanie włókien wełny i lnu, uprzedzonych w trakcie długiej zimy. Zgodnie z tradycją Pani Avalonu pomagała przy tej pracy. Powodem było dawanie przykładu dziewczętom, ale Dierna zawsze odnosiła wrażenie, że zwyczaj ten utrwały najwyższe kapłanki, dla których po objęciu urzędu przygotowywanie barwnika i zanurzanie przędzy w roztworze było miłym urozmaiceniem, umożliwiającym oderwanie się od innych obowiązków. Nie znaczy to, że zadanie było proste – dobranie właściwych proporcji barwników i czas kąpieli w celu otrzymania odpowiedniego odcienia błękitu wymagały doświadczenia i pewnego oka. Mistrzynią w tej dziedzinie była Ildeg i Dierna odczuwała zadowolenie z pracy pod jej kierunkiem.

Kilka ociekających motków wełny już kołysało się na gałęziach wierzby, lekko zaplamionych, gdyż przed rokiem służyły w tym samym celu. Wzdłuż brzegu strumienia parowały kotły z farbą. Ildeg przechodziła od jednego do drugiego, sprawdzając, czy wszystko przebiega prawidłowo. Mała Lina, która pomagała Diernie, przyniosła dwa motki i

położyła je na macie, po czym dorzuciła szczapę do ognia. Ważne było utrzymanie roztworu barwnika w stanie bliskim wrzenia, nie dopuszczając jednak do zagotowania.

Dierna powiesiła motek na haku i zanurzyła go w kotle. Farba z urzetu miała odcień głęboki jak błękit fal na otwartym morzu. Miała okazję sprawdzić trafność porównania, gdy Karauzjusz zabrał ją na swoim flagowym okręcie na Kanał, daleko, aż ląd zniknął z oczu. Śmiał się z jej niewiedzy i powiedział, że powinna zrozumieć wody, które chronią jej umiłowaną wyspę. Dierna zajrzała do kotła i znów zobaczyła morze – ruch mieszała wytwarzał prądy i białą pianę na falach.

Być może Karauzjusz jest teraz na morzu, myślała, i toczy bitwę. Doszły ją wieści, że wyruszył do Gesoriacum z każdym dostępnym okrętem. Nie zabrał Teleri – nawet gdyby Dierna dostrzegła w wizji coś, co mogłoby być przydatne, bez innej kapłanki wyszkolonej do odebrania wiadomości albo rytuału przygotowania i świętych ziół do zwiększenia mocy nie miała sposobu przekazania informacji. Przypuszczała, że nawet gdyby znała przebieg wydarzeń, nie przejmowałaby się zbyt mocno.

– Wyciągnij wełnę, moja droga, bo zrobi się za ciemna. – Głos Ildeg wyrwał ją z zadumy. Dierna wyjęła motek i zaniósła parujący na wierzbę. Lina odeszła uzupełnić zapas.

Dierna odetchnęła głęboko, kwaśne opary przyprawiały ją bowiem o zawroty głowy, i ostrożnie zanurzyła drugi motek w ciemnoniebieskim morzu... Liść spadł do kotła i zataczał leniwe kręgi na powierzchni. Chciała go wyjąć, naraz rzuciła mieszało z cichym okrzykiem. To nie był liść, tylko okręt, z tuzinem podobnych wokół, pojawiających się i znikających w kłębach pary. Złapała brzeg garnka, nieświadoma, że parzy jej dłonie, i pochyliła się, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć coś więcej.

Widziała wszystko z lotu ptaka krążącego nad walczącymi w dole okrętami. Ujrzała „Oriona” i parę innych. Nawet gdyby nie znała ich z widzenia, rozpoznałaby je po szybkości i zwrotności, z jaką się przemieszczały. Pozostałe okręty – większe, cięższe i bardziej niezdarne – musiały należeć do Rzymian. Za nimi ujrzała długą, zakrzywioną plażę; bitwa toczyła się nie na otwartym morzu, lecz w zatoce. Jak to się stało, że Karauzjusz dał się zwabić w taką pułapkę? Wcześniejsza walka z armorykańską flotą Maksymiana była sprawdzianem żeglarskiego rzemiosła, lecz tutaj o zwycięstwie miała zdecydować nie sztuka, tylko brutalna siła. Rzymskie okręty przypierały przeciwnika do brzegu i kolejno wymuszały walkę wręcz na szepionych pokładach.

Uciekaj! – zawołało jej serce. Nie masz szans, musisz się wyrwać! Wyteżyła wzrok; przez chwilę wyraźnie widziała Karauzjusza ze skrwawionym mieczem w dłoni. Czy on ją widział? Czy słyszał? Potem fala czerwieni przysłoniła wizję. Morze przemieniało się w krew! Musiała krzyknąć, w następnej chwili usłyszała bowiem wołające ją głosy, jakby z daleka, i czyjeś dłonie odciągnęły ją od kotła.

– Czerwona... – wyszeptała. – Woda jest pełna krwi...

– Nie, Pani – powiedziała Lina – farba w wodzie jest błękitna! Och, Pani, popatrz na swoje ręce!

Dierna jęknęła cicho, gdy chwycił ją ból. Kapłanki zebrały się wokół niej i w zamieszaniu, jakie towarzyszyło opatrywaniu poparzeń, nikt nie pomyślał, aby zapytać, co zobaczyła.

Następnego dnia rano kazała Adwen spakować swoje rzeczy. Wezwała ludzi z bagien, by przewieźli ją wraz z Lewalem i młodszym druidem przez mgły do zewnętrznego świata. Zachowywała się z rezerwą, która wykluczała zadawanie pytań, ale nawet gdyby towarzyszący jej kapłani zaczęli ją wypytywać, nie śmiałyby wyjawić im swojej wizji – o ile rzeczywiście było to prawdziwe Widzenie, a nie omamy zrodzone z lęków. Zmierzała do Portus Adurni, bo tam miał dotrzeć Karauzjusz – albo wieści o jego śmierci. Jeśli żył, będzie potrzebował jej pomocy. Musiała znać prawdę.

Znojna podróż zajęła im cały tydzień. Nim dotarli do Venta Belgarum, ręce Dierny zagoiły się i jeden ból ustąpił miejsca drugiemu. Złe wieści rozchodziły się z szybkością wiatru, już wszyscy w zachodnim kraju wiedzieli o wielkiej bitwie pod Gesoriacum. Przez całą noc Dierna rzucała się bezsennie na posłaniu, zbyt załęczniona, by szukać Karauzjusza na drogach ducha. Nie wiedziała, czy przeżył.

Rankiem otrzymała dalsze informacje. Flagowa trirema wróciła z cesarzem na pokładzie, lecz towarzyszyły jej nieliczne okręty. Flota, która niegdyś budziła trwogę w sercach Sasów, przestała istnieć wraz z większością załóg. Konstancjusz Chlorus gromadził siły, aby zbrojnie wkroczyć na terytorium Brytanii. Ludzie pomrukiwali niespokojnie. Ci, którzy żyli w dostatku pod rządami uzurpatora, bali się utracić majątek. Biedacy wzruszali ramionami, nie przejmując się perspektywą zmiany panów albo szacując z góry splendory, jakie spłyną na tych, którzy pomogą najeźdźcom.

Niezależnie od tego, co czekało zwyciężonych, los Karauzjusza był przesądzony. Dierna wiedziała, że Konstancjusz nie będzie miał litości. Jej kuc zarzucił łbem i ruszył truchtem, gdy nagle ścisnęła mu boki piętami.

Powietrze w Portus Adurni wydawało się ciężkie, choć od morza ciągnęła odświeżająca bryza. Nawet gdyby Dierna nie słyszała niepokojących pogłosek, bez trudu domyśliłaby się powagi sytuacji. W fortecy niemal wyczuwało się smak lęku. Znaczący był również fakt, iż oficer dowodzący nie odmówił, kiedy poprosiła o widzenie z cesarzem, a przecież miał do czynienia z cywilem, który nie miał czego szukać w wojskowym posterunku, mającym wkrótce się znaleźć w strefie wojny. Było jasne, że skape, zdesperowane siły Karauzjusza gotowe są przyjąć wszelką pomoc, choćby w postaci mglistej obietnicy jakiejś miejscowej wiedźmy.

Karauzjusz pochylał się nad rozpostartą na stole mapą Brytanii, przesuwając w te i z powrotem drewniane krążki, obmyślając posunięcia i dyspozycje. Brzydka szrama szpeciła

jego policzek, na łydce widniały zwoje bandaża. Dierna przystanąła w drzwiach; jego widok sprawił jej tak wielką ulgę, że aż osłabła i przez chwilę nie mogła się ruszyć. On, choć nie zdradziła się żadnym dźwiękiem, podniósł głowę znad mapy.

– Teleri? – wyszeptał. Dierna stanęła w kręgu światła lampy. Karauzjusz zamrugał. Nadzieja, która ożywiła jego rysy, ustąpiła czemuś innemu. Może lękowi.

Dlaczego się dziwię? – pomyślała, pragnąc spowolnić szybkie bicie serca. Chciałam, by ją pokochał. Nie powinnam tu przychodzić... On już szedł w jej stronę.

– Pani – rzekł chrapliwie – przybyłaś przepowiedzieć powodzenie czy rozpacz? – W jego oczach zagościł spokój, lecz był to spokój człowieka, który z rezygnacją czeka na wyrok przeznaczenia. Czy tylko tyle dla niego znaczyła? Czy cenił ją tylko jako prorokinię? Dierna zagryzła wargi, gdy zrozumiała, że nigdy nie pozwoliła na więcej.

– Nie. Przybyłam ofiarować pomoc, o ile zdołam.

Zmarszczył brwi, rozmyślając.

– Przybywasz z Avalonu? Szybko. A może Teleri wysłała... – Gdy zaprzeczyła, smutek zasnuł mu oczy.

– Nie ma jej z tobą? – spytała.

– Jest w Durnovarii, u ojca. – Zapadło niezręczne milczenie.

Teraz Dierna popadła w zadumę. W Aquae Sulis stało się dla niej jasne, że Teleri jest nieszczęśliwa. Sytuacja musiała być jednak dużo gorsza, niż, przypuszczała. Ona mnie obwinia, uświadomiła sobie. Dlatego nie chce ze mną rozmawiać. Teraz jednakże nie mogła nic zrobić. Tłumiąc niepokój, stanęła u boku Karauzjusza i popatrzyła na mapę.

– Jak myślisz, gdzie wylądaje Konstancjusz i w jakiej sile?

– Najpierw musi zająć się Londinium – odparł. Poznała, że omawianie problemu niesie mu pewną pociechę. Nie był człowiekiem potulnie godzącym się z losem, a rozmowa stanowiła namiastkę akcji. – Może uderzyć bezpośrednio – kontynuował – lecz musi liczyć się z tym, że jeśli miasto przystąpi do obrony, to lądowanie będzie trudne. Mógłby wysadzić wojska na wyspie Tanatus i pomaszerować przez Cantium, jednakże wie, że na południu nadal cieszą się silnym poparciem. Ja na jego miejscu podzieliłbym siły i zaryzykował atak widłowy. Poza Tanatusem wysadziłbym żołnierzy gdzie indziej, może między Portus Adurni a Clausentum. W Clausentum mieści się pomocnicza mennica Allektusa i jak najszybsze jej opanowanie byłoby rozsądnym posunięciem.

W trakcie mówienia przesuwając kolorowe krążki po mapie i przez chwilę Dierna widziała, niczym w świętej studni, żołnierzy maszerujących przez kraj. Potrząsnęła głową, aby przepędzić złudzenie, i skupiła spojrzenie na mapie.

– A jak wyglądają twoje siły?

– Allektus trzyma Londinium. Ogołociłem posterunki na Wale i żołnierze maszerują na południe, by wzmocnić garnizon stolicy. Poślę tam więcej ludzi, do Venty również. Obronę musimy opierać na miastach. Poza fortecami morskimi na południu nie ma innych umocnień.



Nie były potrzebne, od czasów Klaudiusza bowiem walki zawsze toczyły się na wybrzeżach i na północnej granicy. Jeśli zechcesz, możesz mi pomóc. Jedź do Durnovarii i zapytaj księcia Eiddina Mynoca, czy wystawi oddział swoich ludzi.

– Ale Teleri...

– Teleri opuściła mnie – rzekł bezbarwnym tonem, potwierdzając jej obawy. – Nie proszę o wyrazy współczucia. Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że nasze małżeństwo było tylko symbolem przymierza. Ona nigdy mnie nie chciała, a ja nigdy tak naprawdę nie miałem czasu, aby zabiegać o jej względy. Żałuję, że nie dałem jej szczęścia. Nie mogłem zatrzymać jej wbrew woli. Nie mogę też wymagać, by w moim imieniu przypominała księciu o zawiązanym przymierzu.

Jego rysy zastygły w maskę pozbawioną emocji, która zwykle skrywa głęboki ból. Dierna przygryzła usta; wiedziała, że nie powinna obrażać go współczuciem. Zaażowała to małżeństwo dla dobra wszystkich, jak sądziła, lecz w rezultacie zraniła dziewczynę, którą kochała jak siostrę, i mężczyznę, którego... szanowała? Czy szacunkiem można nazwać to, co do niego czuła? Powiedziała sobie, że jej uczucia nie mają znaczenia. Było tyle do zrobienia.

– Pojadę, oczywiście – zaczęła powoli, zastanawiając się, czy Teleri będzie skłonna z nią rozmawiać. – Ale poczułabym się lepiej, gdybyś dowództwo w Londinium przekazał komuś innemu. – Nie była pewna, co ją zaniepokoiło. Czyżby coś, co Allektus powiedział w Corinium?

– Bardziej doświadczonemu oficerowi? – zapytał Karauzjusz. – Allektus wie, że w sprawach militarnych może zdać się na dowódcę garnizonu. Nasza sprawa wymaga poparcia cywilów, a Allektus żyje dobrze z każdym kupcem w Londinium. Tylko on może ich do czegoś nakłonić, jeśli to w ogóle możliwe. Ufam mu tym bardziej, że nie służy w regularnej armii. Zawodowy oficer w obliczu legionów cezara mógłby przypomnieć sobie, że przysięgał najpierw Dioklecjanowi. Jestem pewien, że Allektus nigdy chętnie nie odda Brytanii z powrotem we władanie Rzymian.

– Masz rację – przyznała, myśląc o jego królewskim pochodzeniu – lecz czy jest równie wierny tobie, jak temu krajowi?

Karauzjusz wyprostował się, mierząc ją wzrokiem, a ona zamarła, świadoma nagłego napięcia.

– Czemu miałoby cię to obchodzić? – zapytał ze zmęczeniem w głosie.

Dierna stała w milczeniu, niezdolna udzielić odpowiedzi.

– Przecież tobie nie zależy na cesarzu Brytanii, ty chcesz świętego króla – mówił. – Wezwałeś mnie na wyspę za sprawą swojej magii i dałeś mi królewską narzeczoną; nakłoniłaś mnie do złamania przysięgi wierności i wyparcia się własnego kraju. Ale Allektus jest tutejszy. On nigdy nie wzbudzi w tobie wstrętu strojem barbarzyńcy...

Sprzeczką w Corinium aż nazbyt dobrze wryła mu się w pamięć. Serce jej się kroilo na widok jego smutnego uśmiechu, choć chwilę później stwierdziła, że w oczach Karauzjusza widnieje nie tylko ból, ale i duma.

– Mogę być barbarzyńcą z urodzenia, Pani, ale nie jestem głupi. Myślisz, że nie rozumiem, iż byłem tylko twoim narzędziem służącym do obrony Brytanii? Ale narzędzie może się popsuć, a wówczas rzemieślnik bierze następne. Czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że poniechasz prób uwolnienia kraju od Rzymu, jeśli ja upadnę?

Dierna poczuła pieczenie niespodziewanych łez, jednakże nie mogła odwrócić oczu. On cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Nie... – wyszeptała w końcu – lecz tylko dlatego, że to Bogini dzierży narzędzia i ja również jestem Jej posłuszną...

– Zatem dlaczego płaczesz? – Przysunął się o krok. – Dierno! Skoro oboje jesteśmy bezwolnymi narzędziami, może choć raz zaprzestaniesz manipulowania innymi wedle własnego pojęcia obowiązku i powiesz mi prawdę?

Prawdę... powtórzyła w myślach z rozpaczą. Czy ja znam prawdę? Może pozwalam sobie jedynie na dostrzeżenie obowiązku?

– Płaczę – wyszeptała – bo cię kocham.

Karauzjusz zamarł. Dierna widziała, jak opuszcza go napięcie. Po chwili pochylił głowę.

– Kocham... – powtórzył w taki sposób, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

A dlaczego on miałby mnie kochać?

– To nieważne – dodała spiesznie. – Zapytałeś, więc odpowiedziałam.

– Jesteś Najwyższą Kapłanką Avalonu, świętą jak rzymska westalka. – Popatrzył na nią. Diernę przeniknął dreszcz z powodu siły nagle ujawnionych przez niego emocji. Nie miała prawa oczekiwać miłości i nie sądziła, że mogłaby znieść jego nienawiść. – Wyznanie, co czujesz, nie uwłacza ani tobie, ani mnie. – Karauzjusz nie odrywał od niej oczu, jak gdyby jej twarz była księgą napisaną w jakimś obcym języku, który próbował odczytać.

– Nie mówiłam jako Najwyższa Kapłanka, tylko jako kobieta... – wyszeptała. Jej oczy znów wypełniły się łzami.

– A kiedy ostatni raz wolno jej było kochać? – zapytał z cieniem humoru. – Cesarz Brytanii może powiedzieć to samo.

Przez łzy widziała, jak odmieniają się jego rysy. Poznała twarz widzianą w srebrnej czarze na Torze, gdy razem szukali wizji. Z nagłym przekonaniem pomyślała: Już kiedyś go kochałam.

Karauzjusz wyprostował się. Powoli wróciła doń aura, która zawsze nadawała mu pozór najwyższego człowieka w każdym otoczeniu. Nie była to aura władzy cesarskiej, lecz dostojność Króla. Miał rację, nazywając po imieniu to, czego ona pragnęła dla Brytanii. Jednak poszukiwanym przez nią Świętym Królem nie był Allektus, tylko on.

Karauzjusz wyszedł i powiedział coś do wartownika. Zamknął dokładnie drzwi i wrócił do niej.

– Dierna...

Serce zaczęło tłuc jej się w piersiach, siły ją opuściły – nie mogła się ruszyć. Karauzjusz złapał ją za ramiona i pochylił się nad nią niczym spragniony nad źródłem. Westchnęła, zamykając oczy, i przywarła do niego całym ciałem. Zadrzała, boleśnie świadoma uczuć Kartezjusza, jego pragnienie bowiem było jej pragnieniem. I w tej chwili nie dbała, czy jest on królem czy cesarzem – był dla niej po prostu mężczyzną.

Oderwał wargi od jej ust i sięgnął do zapinek jej sukni. Dierna nie protestowała: jej ręce wędrowały po jego ciele z równym zapałem. W ostatnich chwilach jasności umysłu z rozbawieniem zauważyła, że zachowuje się jak dziewica. Prawdę mówiąc, знаła mężczyzn tylko z ceremonialnych pokładzin w czasie druidycznych obrzędów, nigdy nie wzięła sobie kochanka po prostu dla przyjemności. Zastanowiła się mgliście, jak dopełni tego aktu, bo w pokoju nie było żadnego posłania.

Karauzjusz pocałował ją namiętnie, a ona wtuliła się w jego ramiona; miała wrażenie, że jej kości roztapiają się, że płynie na jego spotkanie niczym rzeka do morza. On podniósł ją i położył na stole, na mapie Brytanii. Dierna zaśmiała się cicho, dostrzegając symbolikę i rozumiejąc, że Bogini pobłogosławi to spieszne spełnienie, Najwyższa Kapłanka bowiem, choć bez przygotowania czy stosownej oprawy, i cesarz łączyli się w Wielkim Rytuale.

Mury miejskie wzniesione przez Eiddina Mynoca były mocne i wysokie, zasłaniając morze. Teleri mogła chodzić cały dzień i nie być narażona na widok, który kojarzył się jej z Karauzjuszem. Od przyjazdu z Aquae Sulis dużo czasu spędzała na spacerach, ku rozpaczy przydzielonych jej przez ojca służebnych, a po wizycie Dierny wprost nie mogła usiedzieć na miejscu.

Niekiedy zastanawiała się, co Najwyższa Kapłanka chciała jej powiedzieć. Nie przyjęła jej z obawy, że będzie nakłaniać ją do powrotu do męża – albo do Avalonu. Z drugiej strony Dierna dużo czasu poświęciła na rozmowy z księciem, więc może wcale nie miała zamiaru się z nią spotykać. Tak czy owak, po odjeździe kapłanki jej bracia i ich przyjaciele dosiedli pełnokrwistych rumaków, aby z radością ćwiczyć kawaleryjskie manewry i uczyć się, jak zastosować umiejętności myśliwskie do potrzeb pola bitwy. Wkrótce też mieli wyruszyć, a wówczas już nie będzie przypominało jej Karauzjusza i jego wojny.

Mewa z krzykiem zniżyła lot nad ścieżką. Teleri wzdrygnęła się, kreśląc palcami znak przeciw złu.

– Och, pani, nie wolno ulegać takim zabobonom – zganiała ją służka, Julia, od niedawna chrześcijanka. – Nie ptaki są złe, tylko ludzie.

– Chyba że nie był to zwyczajny ptak, ale iluzja Złego – dodała Belh, pomocnica Julii. Roześmiała się, gdy Julia przeżegnała się spiesznie.

Teleri odwróciła się plecami; ich słowa były dla niej równie pozbawione znaczenia, co kwilenie ptaka.

– Pójdziemy na rynek obejrzyć talerze i misy.

– Pani, byłyśmy tam ledwie dwa dni temu... – zaczęła Julia.

– Kupiec spodziewa się nowej dostawy – ucieła Teleri i ruszyła tak szybkim krokiem, że dziewczynie brakło tchu na kolejne argumenty.

Słońce zachodziło, kiedy ruszyły w drogę powrotną. Służące dźwigały ostrożnie dwa ciemnobrązowe dzbany przyozdobione scenami myśliwskimi. Zakupy na pewien czas zaprzętnęły uwagę Teleri, ale straciła zainteresowanie nimi jeszcze przed wejściem do ojcowskiego domu. Na zapytanie dziewcząt, co z nimi zrobić, wzruszyła ramionami i powiedziała, że mogą zanieść je gospodyni albo wyrzucić na śmietnik.

Udała się do swoich komnat i padła na leżankę. Po chwili wstała; była zmęczona, jednakże lękała się zasnąć, gdyż zbyt często nękały ją złe sny. Zdążyła z powrotem usiąść, gdy w drzwiach stanął niewolnik.

– Pani, ojciec cię wzywa – oznajmił z głębokim ukłonem. – Przyjechał pan Allektus!

Teleri zerwała się tak gwałtownie, aż jej pociemniało w oczach i musiała przytrzymać się rzeźbionego zagłówka. Allektus przybył jako rzecznik cesarza czy też z innego powodu? Nagle przejęta i zakłopotana, zdjęła stołę pokrytą kurzem po całym dniu noszenia.

– Każ przynieść wody do mycia i powiedz Julii, żeby przyszykowała mi tunikę z różowego jedwabiu i odpowiedni welon!

Kiedy Teleri przyłączyła się do ojca i jego gościa, sprawiała wrażenie opanowanej. Zajęła miejsce przy stole, a wtedy rozmowa zesłała na bliską inwazję.

– Więc twój wywiad zapowiada rychłe przybycie Rzymian? – zapytał książę.

– Nie sądzę. Konstancjusz nie ma dość okrętów przewozowych, aby na raz zabrać wszystkich potrzebnych mu ludzi, poza tym musi zbudować więcej okrętów wojennych. Pokonał Karauzjusza pod Gesoriacum, jednakże nasi chłopcy też dali mu się we znaki.

Allektus napił się wina, spoglądając ku Teleri. Zarumienił się na jej widok, ale przywitał ją oficjalnie. Wygląda zdrowo, pomyślała wówczas, z cerą zabrązowaną od przebywania na słońcu. I poważniej – dawna chłopięcość zniknęła bez śladu.

– A czy chłopcy, których tu mamy – spytał książę – również poradzą sobie z Rzymianami?

– Jeśli się zjednoczymy. W drodze słyszałem groźne pomruki. Nasz lud, dzieci starej celtyckiej krwi, budzi się z uśpienia. Wyrwanie się spod rzymskiego jarzma to dużo, chociaż niektórzy mówią, że powinniśmy pójść dalej i wybrać króla, który nie będzie cudzoziemcem.

Teleri popatrzyła na ojca, który spokojnie obierał jabłko.

– A niby jak miałyby zostać wybrany ów najwyższy król? – zapytał. – Gdyby nasz lud potrafił się zjednoczyć, Cezar – ten pierwszy – nigdy nie postawiłby nogi na tej ziemi. Nasza

tragedia polega na tym, że zawsze chętniej rwaliśmy się do bitki między sobą niż do walki z obcymi.

– A jeśli dojdziemy do porozumienia? Jeśli pojawi się znak wyróżniający człowieka wybranego przez naszych bogów? – zapytał łagodnie Allektus.

– Zawsze jest wiele omenów i wiele interpretacji. Kiedy nadchodzi pora, naczelnik musi sądzić z tego, co widzi...

Teleri szeroko otworzyła oczy, zastanawiając się, czy ona śni na jawie czy oni. A co z Karauzjuszem? Ale rozmowa już zesłała na tematy bardziej ogólne, na szkolenie ludzi i zapasy żywności, i trasy przerzucania ich z miejsca na miejsce.

Wieczór był ciepły i po kolacji Allektus zapytał Teleri, czy pospaceruje z nim po atrium. Przez pewien czas przechadzali się w milczeniu, wreszcie Allektus zatrzymał się i zaczął:

– Teleri, dlaczego opuściłaś Karauzjusza? Czy był dla ciebie okrutny? Czy zrobił ci krzywdę?

Pokręciła głową z rezygnacją. Spodziewała się czegoś takiego.

– Czy mnie skrzywdził? Nie, Karauzjusz nic mi nie zrobił, ale patrząc na niego, widziałam Sasa.

– Nigdy go nie kochałaś?

Zwróciła się w jego stronę.

– Nigdy. Ale ty go miłowałaś, Allektusie, albo był on przynajmniej twoim bohaterem! Co chcesz mi powiedzieć?

– Myślałem, że on uratuje Brytanię! – zawołał. – Lecz była to tylko zmiana panów. I ja zawsze pozostawałem w jego cieniu. A ty należałaś do niego...

– Czy naprawdę myślisz to, co powiedziałaś mojemu ojcu, czy chciałaś go tylko wypróbować? – zapytała.

Wypuścił oddech w długim westchnieniu.

– Teleri, mógłbym poprowadzić ten kraj. Rządy wspierają się na pieniądzach, a one są pod moją kontrolą. Pochodzę z rodu książąt belgijskich i z Silurów ze strony matki. To za mało, wiem, ale gdybyś ty mnie pokochała... Podążyliby za mną, gdybyś zgodziła się zostać moją królową.

Zacisnęła w palcach tkaninę sukni.

– Ale czy ty mnie kochasz, czy tylko chcesz poślubić, jak on, bo to pomoże ci zdobyć władzę? – Spojrzała na niego.

Allektus drżał.

– Teleri – szepnął. – Czy nie widzisz, co do ciebie czuję? Jawisz mi się w snach, ale co miałem zrobić? Kiedyśmy się poznali, ty byłaś kapłanką Avalonu, potem szybko zostałaś żoną Karauzjusza. Podałbym ci własne serce na tacy, gdyby to miało sprawić ci przyjemność, wolałbym jednak ofiarować ci Brytanię. Daj mi swoją miłość, a przestaniesz być cesarżową. Ja uczynię cię najwyższą królową.

– A co z moim mężem?

Jego oczy, przed chwilą świetlane i szczerze, stwardniały.

– Spróbuję go przekonać, chyba że się nie da...

Jej cesarz pozwolił odejść bez przeszkód, jednak nie wyobrażała sobie, że mógłby dobrowolnie zrzec się władzy. Gdy Allektus padł przed nią na kolana, sprawy Karauzjusza przestały ją obchodzić. Młody człowiek pocałował ją w rękę, następnie wtulił usta we wnętrze dłoni.

Jak delikatnie, pomyślała. On też nie próbowałby jej zatrzymać, gdyby chciała odejść. Kiedy popatrzyła na jego schyloną głowę, poczuła napływ... politowania?... protekcyjnego współczucia? – i po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę, że ona również ma władzę. Karauzjuszowi była potrzebna jako ogniwo wiążące go z Brytanią i Avalonem. Ten człowiek potrzebował jej miłości.

Leciutko pogładziła jego włosy, a kiedy podniósł głowę, przyjęła go w ramiona.

Posłaniec Eiddina Mynoca oznajmił cesarzowi, że ludzie księcia opuszczą Durnovarię w Idy Juniusa. Proponował, żeby jakiś oficer przejął nad nimi komendę w Sorviodunum, gdzie główna droga z południowego zachodu spotyka się z traktami z Aquae Sulis i Glevum.

Kilka dni przed letnim przesileniem Karauzjusz, wyczerpany tygodniową naradą z senatorami w Vencie, postanowił osobiście ruszyć im na spotkanie. Do jazdy konnej nadal zakładał germańskie bryczesy, ale doradcy podpowiedzieli mu, żeby menapiąską straż przyboczną ubrać w stroje rzymskie. Wyglądają teraz, myślał, zerkając na konnych za plecami, jak zwyczajni rekruci z dowolnej części cesarstwa.

Kiedy dotarli do Sorviodunum, Durotrigów jeszcze nie było. Pogoda dopisywała; dzień był zbyt piękny, aby siedzieć beczynnie w murach, dlatego Karauzjusz ruszył dalej w stronę Durnovarii. Jadąc na czele oddziału, wyobrażał sobie, że stoi na pokładzie okrętu – kołysał się na końskim grzbiecie i miał wrażenie, że ścielące się przed nim pagórki są morskimi falami.

Dochodziło południe, gdy jeden z Menapiów z okrzykiem wskazał na drogę. Karauzjusz zobaczył tuman kurzu. W ciągu paru ostatnich lat nauczył się poznawać jazdę i ocenił, że nadciągają jakieś cztery dziesiątki konnych, w tempie nie polecanym przez żadnego doświadczonego dowódcę. Przypuszczał, że gna ich nie konieczność, ale uniesienie. Ścisnął łydkami boki wierzchowca. Menapiowie podążyli za nim kłusem, spiesząc na spotkanie Durotrigów.

Uśmiechnął się, poznając po ciemnych włosach najstarszego brata Teleri. Przybysze prezentowali się wspaniale – co prawda ich ekwipunek, pobrząkujący ozdobami i powiewający chwastami, odpowiedniejszy był na paradę niż do bitwy, ale nie brakowało im energii i zdecydowania. I, oczywiście, byli niezrównanymi jeźdźcami.

Tylko jeden człowiek dosiadał konia bez niewymuszonego wdzięku pozostałych. Zaciekawiony Karauzjusz ocenił oczy ręką. Poznał Allektusa dopiero po dłuższej chwili,

gdyż nigdy wcześniej nie widział go w stroju innym od rzymskiego. Młodszy mężczyzna miał na sobie szafranowy kaftan i szkarłatny płaszcz; wyglądał jak belgijski książę, co zresztą odpowiadało prawdzie.

Wyglądało na to, że od kiedy wystąpili przeciwko Rzymowi, nie tylko on, Karauzjusz, doszukiwał się rodowych korzeni. Cesarz uśmiechnął się szeroko, gdy Durotrigowie zatrzymali się w tumanach kurzu, i pomachał ręką na powitanie.

– Allektusie, chłopcze, co tutaj robisz? Myślałem, że jesteś w Londinium.

– Tu jest mój kraj i moi ludzie – odparł Allektus. – Tutaj winienem przebywać.

Karauzjusz poczuł lekki dreszcz niepokoju, ale nie przestał się uśmiechać.

– Jak widzę, twoi Durotrigowie są, w doskonałej kondycji. – Patrzył na nich coraz bardziej zdenerwowany, bo ani myśleli odpowiedzieć na jego uśmiech.

Brat Teleri wysunął się do przodu.

– Uważasz, że tylko wy, Rzymianie... Germanie, powinienem rzec, umiecie walczyć? Celtyccy wojownicy wprawili w drżenie mury Rzymu, kiedy wy dopiero wyłaziliście ze swoich błot.

Menapiańczyk Theudibar warknął groźnie, lecz Karauzjusz nakazał mu zachowanie spokoju.

– Gdybym wątpił w waszą dzielność – zaczął spokojnie – nie prosiłbym twojego ojca o posiłki. Brytania potrzebuje wszystkich swoich synów do walki w swojej obronie – i tych, których przodkowie walczyli z Cezarem, i potomków legionistów z Sarmacji i Iberii, i z każdego zakątka cesarstwa, którzy zapuścili korzenie w tym kraju. Wszyscy teraz jesteśmy Brytami.

– Nie ty – parsknął jeden z Durotrigów. – Ty urodziłeś się za morzem.

– Przełałem krew za Brytanię. Sama Pani Avalonu przyjęła moją ofiarę. – Nawet w takiej chwili myśl o Diernie radowała mu serce. W Portus Adurni dał z siebie coś więcej niż krew; w jej ramionach wylał nasienie, istotę życia, i narodził się na nowo.

– Ale odrzuciła ją Pani Brytów – powiedział Allektus. Wojownicy rozstąpili się, aby go przepuścić. – Córka Eiddina Mynoca już nie jest twoją żoną. Nastąpił koniec przymierza i cofamy naszą przysięgę wierności.

Karauzjusz zeszywniał z gniewu. Czyżby ten chłopak oszalał?

– Plemiona wydają dzielnych ludzi – podjął w ostatniej próbie pojednania – jednak od trzech stuleci, wyjąwszy łowy, nie noszą oni broni. Bez pomocy stacjonujących w Brytanii legionów będziecie łatwym kąskiem dla Konstancjusza.

– Legiony – Allektus prychnął pogardliwie – pójdą za tym, kto zapłaci. Czyż nie tego uczy historia twojego cesarstwa? A mennice należą do mnie. Czy z miłości, czy dla pieniędzy, wszyscy w Brytanii będą walczyć z najeźdźcą. Ale musi im przewodzić potomek starej krwi.

Żyła zaczęła pulsować na skroni Karauzjusza.

– Ty...

Allektus pokiwał głową.

– Może byłoby inaczej, gdyby Teleri dała ci syna. Ona jednak odrzuciła twoje nasienie. I zdała władzę w moje ręce.

Karauzjusz wbił w niego niewidzące oczy. Wiedział, że nigdy nie zyskał miłości Teleri, ale nie zdawał sobie sprawy, że wzbudzał w niej nienawiść. To bolało, nadal bowiem myślał o niej ciepło, nawet kiedy Dierna pokazała mu, co to znaczy kochać. Rozsądek podpowiadał mu, że Allektus mówi mu to wszystko, aby go zranić. Z pewnością udałoby mu się, gdyby nie bezgraniczne oddanie Dierny. Wspomnienie jej miłości odradzało Karauzjusza niczym żywa woda i najgorsze szyderstwo nie mogło zranić jego męskiej dumy. To Dierna, nie Teleri, była dawczynią władzy.

Ale Durotrigowie wyraźnie wierzyli Allektusowi, a on, Karauzjusz, nie mógł zdradzić Dierny mówiąc im, co mu ofiarowała.

– Ci ludzie nie zostali zaprzysiężeni – zaczął z wolna – ale ty, Allektusie, dałeś mi słowo. Jak mogą ci zaufać, skoro mnie zdradzasz?

Allektus wzruszył ramionami.

– Przysięgłem na bogów Rzymu, tych samych, którym ty przysięgałeś przed Dioklecjanem. Jedna złamana przysięga jest warta drugiej. Oko za oko, jak mawiają chrześcijanie.

Karauzjusz trącił konia piętami i podjechał bliżej, zmuszając rozmówcę do spojrzenia mu w oczy.

– Łączyło nas coś więcej od przysięgi, Allektusie – rzekł cicho. – Myślałem, że zyskałem twoją miłość.

Młodszy mężczyzna lekko skinął głową.

– Bardziej kocham Teleri.

Teleri, pomyślał Karauzjusz, nie Brytanię.

– Bierz ją z moim błogosławieństwem – oznajmił ponuro. – Może dla ciebie będzie lepsza, niż kiedykolwiek była dla mnie. Ale co do Brytanii, wierzę, że legiony są za mądre, by posłuchać niedoświadczonego młokosa, nawet gdy ma on garście pełne złota. Może też się zdarzyć, że inne plemiona nie będą zbyt chętne do podporządkowania się Belgowi, który podbił ich przed przybyciem Rzymian. Proszę bardzo, próbuj, Allektusie, choć nie sądzę, by lud tego kraju podążył za tobą, a ja nie porzucę tych, którzy obdarzyli mnie zaufaniem...

Z pogardliwą miną zawrócił konia. Oddalił się może na długość dwóch wierzchowców, kiedy jeden z Manepiów krzyknął ostrzegawczo. Karauzjusz zaczął się odwracać, dlatego oszczep rzucony przez brata Teleri trafił go nie w plecy, a w bok.

Przez chwilę czuł tylko uderzenie, potem ciężar drzewca wysunął grot z rany. Gdy oszczep zagrzechotał na drodze, poczuł gorąco pod żebrami, a dopiero potem pierwsze ostre



ukłucie bólu. Usłyszał krzyki i szcęk mieczy. Zakwiczał koń. Karauzjusz zamrugał, próbując skupić wzrok, i zobaczył, jak jeden z przybocznych osuwa się na ziemię.

Jeszcze żyję, pomyślał, a ludzie za mnie umierają! Odzyskał jasność umysłu po głębokim oddechu i dobył miecza. Pchnął wierzchowca w stronę Allektusa, lecz dzieliło ich zbyt wielu ludzi. Ostrze błysnęło, pędząc w jego stronę; odbił je, pchnął, poczuł wstrząs, gdy trafił, i zobaczył śmierć przeciwnika. Miałem szczęście, pomyślał. Narastająca w nim bitewna wściekłość z każdą chwilą przydawała mu siły. Menapiowie, widząc śmiałe poczynania cesarza, nabrali odwagi i z równą furją przystąpili do ataku.

Czas stanął w miejscu, a gdy zaczął płynąć, wróg zniknął. Karauzjusz usłyszał tętent podkutych kopyt, zobaczył, że Durotrigowie odjeżdżają wraz z Allektusem. Wymachiwali rękami, jakby skłóceni.

– Panie – zawołał jeden z jego ludzi. – Ty krwawisz!

Karauzjusz schował miecz do pochwy i przycisnął rękę do boku.

– To nic poważnego – sapnął. – Udrzyj pas ze swojego płaszcza i zatamuj krew. Przewyższali nas liczbą, ale też popuściliśmy im krwi. Jeśli teraz odjedziemy, dobrze się zastanowią, nim ruszą naszym tropem.

– Do Sorviodunum? – zapytał Aedfrid.

Cesarz pokręcił głową. Zdrada Allektusa pokrzyżowała wszystkie jego plany. Wiedział, że przed powrotem do zdrowia nie wolno mu nikomu zaufać. Przekręcił się w siodle, aby obejrzeć bok. Z rany płynęła krew, co utrudniało jej ocenę, ale nie musiał się przypatrywać, aby poznać, że jest źle. Miejscowi medycy mogli sobie z nią nie poradzić. Wyprostował się, patrząc na zachód, gdzie wzgórza roztapiały się w błękitnej mgielce.

– Obwiąż mi bok – rozkazał Theudibertowi.

– Panie, rana jest bardzo głęboka. Musimy sprowadzić pomoc.

– W ten sposób – powiedział Karauzjusz, pokazując. – Tę ranę można zaleczyć jedynie w Kraju Lata. Zawróćmy jakby do miasta i skręcimy, gdy tylko znikniemy z pola widzenia. Będą trwonić czas, szukając nas na drodze. Żywo, i nie zwalnijcie z mojego powodu. Gdy nie będę mógł utrzymać się na koniu, przytroczcie mnie do siodła, a gdy nie będę mógł mówić, pytajcie o drogę do Avalonu.

## 16

Dierna sapnęła z bólu, gdy coś zakłuło ją w boku. Nić pękła jej w palcach i wrzeczono potoczyło się po trawie.

– Pani! Co ci się stało? – zawołała Lina, wyznaczona w tym miesiącu na jej służącą. – Pszczoła cię ucięła czy ukłułaś się w rękę? – Nadbiegające kobiety zasypały Dierne lawiną podobnych pytań.

Kapłanka przycisnęła ręce do boku i odetchnęła głęboko, walcząc z bólem. To nie było serce; piekący ból pulsował niżej, pod klatką piersiową, jakby coś tam wnikało. I cierpienie nie było całkowicie wewnętrzne. Ostrożnie pomacała skórę; była wrażliwa, a jednak gdy kobiety rozpięły jej kaftan, nie zobaczyła śladu skaleczenia.

Żadne zaklęcie ani zły urok nie mogły przedrzeć się przez ochronę Dierny wbrew jej woli. A żył tylko jeden człowiek, przed którym otworzyła się tak całkowicie, że mogłaby odczuwać jego cierpienie. Zrozumiała, że w akcie miłosnym oddała Karauzjuszowi nie tylko ciało – oddała mu część własnej duszy. Wysłała swój duch na ścieżkę, którą sączył się ból, i wyczuła tęsknotę udręczonego mężczyzny.

– Trafiła ją strzała elfa – oświadczyła ponuro stara Cigfolla. – Podnieście ją ostrożnie, moje córki. Musimy zanieść ją do łóżka.

Dierna odzyskała głos.

– To nie... mój... ból. Muszę odpocząć, ale ty... Adwen... idź do świętej studni. Ktoś... nadchodzi... Sprawdź, czy Wzrok ci go ukaże!

Przez całe popołudnie Dierna spoczywała w chłodnym półmroku swojej izby, z pomocą całej nabytej samodyscypliny, utrzymując się w stanie transu, który wynosił ją poza ból. Stopniowo cierpienie fizyczne stało się znośne, ustępując narastającemu poczuciu pilności. Karauzjusz szukał jej, ale czy zdąży na czas?

Plan był dobry, myślał Karauzjusz, ściągając wodze i chwytając urywanie powietrze, ale on przecenił swoją wytrzymałość. Mimo opatrunku każdy krok zadawał mu katusze. Kiedy stanął przed wyborem między przystankiem a utratą przytomności, osądził, że mniej czasu zabierze przerwa w podróży. Musiał jednak odpoczywać coraz dłużej i częściej, a na poprzednim postoju wojownicy ze straży tylnej podjechali galopem i zameldowali, że Durotrigowie podążają ich śladem.

– Pozwól nam, panie, zostać tutaj i przygotować zasadzkę – poprosił Theudibert. Karauzjusz pokręcił głową. Zarośla utrudniały manewrowanie, a zarazem były zbyt niskie, żeby się w nich ukryć. – Zatem niech paru z nas ruszy doliną, gdzie grunt jest miękki i zachowa ślady kopyt – zaproponował wojownik – podczas gdy ty z innymi prześlizgniesz się przez wrzosowisko. Jeśli szczęście dopisze, podążą za nami.

Cesarz przyzwolił. W ten sposób ocaleje przynajmniej paru ludzi. Ponadto tylko w tym wypadku mógł kazać im, by go opuścili. Allektus zdradził ich, ale ci chłopcy złożyli przysięgę *comitatus* i pragnęli oddać życie za swojego wodza.

– Niech Nehalennia was błogosławi i strzeże. – Poleciał ich opiece germańskiej bogini, gdy odjeżdżali w huku kopyt.

– Chodź, panie – przynaglił Theudibert – ruszajmy, póki ich tętent głuszy stąpanie naszych koni.

Wojownik chwycił wodze jego wierzchowca, gdyż on sam już nie miał na to siły; Karauzjusz zdusił krzyk, gdyż ruch wyzwolił kolejne fale obezwładniającego bólu.

Scena ta powtarzała się kilka razy w ciągu dwóch kolejnych dni. Menapiowie byli wytrzymali i przyzwyczajeni do jazdy w trudnym terenie, ale Durotrigowie znali okolicę. Chociaż wybieg dał uciekinierom trochę czasu, Karauzjusz wiedział, że wrogowie i tak ich znajdą. Miał jednak nadzieję na rychłe dotarcie do Avalonu. Szacunek, jakim Brytonie otaczali świętą wyspę, był jedyną gwarancją bezpieczeństwa.

Po południu trzeciego dnia zbliżyli się od wschodu do bagien Kraju Lata. Karauzjusz tak osłabł, że nie mógł samodzielnie utrzymać się w siodle i jechał przywiązany do Theudiberta. Menapiowie umieli radzić sobie na moczarach, lecz konie zapadały się po brzuchy. Dwaj wojownicy zabrali je więc i odjechali, pozostawiając tylko wierzchowca dla Karauzjusza. Sześciuosobowy oddział ruszył ostrożnie wokół jeziora, szukając wioski, której mieszkańcy mogliby zabrać cesarza do Avalonu.

Nie przyszło im na myśl, że Brytyjczycy, znając kraj na wylot, domyślili się, dokąd zmierzają uciekinierzy, i jadą grzbietem Poldens, aby ich wyprzedzić. Karauzjusz, który mógłby przewidzieć takie posunięcie, był półprzytomny. Z omdlenia wyrwał go nagły wstrząs i przekleństwo Theudiberta. Wyprostował się w siodle i rozejrzył.

Zapadał zmierzch. Po drugiej stronie przestrzeni spokojnej wody zobaczył stojące na palach chaty mieszkańców bagien. Przed nimi, na cyplu odchodzącym z pasma wzgórz, czekali konni; ich sylwetki wyraźnie rysowały się na tle ciemniejszego nieba.

– Ukryję cię na bagnach. – Theudibert rozwiązał sznur i opasał Karauzjusza wolnym końcem.

– Nie... – wychrypiął Karauzjusz. – Wolę umrzeć w walce. Poślij Aedfrida do wioski. Niech poprosi, żeby wezwali Panią Avalonu.

Jeszcze przed chwilą nie mógł się ruszać, ale teraz, widząc przed sobą wroga, zdołał zsiąść z konia i wyciągnąć miecz.

– Dobrze – powiedział Theudibert, gdy jeźdźcy ruszyli w ich stronę. – Jestem zmęczony uciekaniem. – Uśmiechnął się i po chwili Karauzjusz odpowiedział grymasem.

W końcu wszystko staje się przerażająco proste. Takie odczucia miewał zawsze przed rozpoczęciem bitwy, kiedy wszystkie plany i przygotowania okazywały się nieodpowiednie i stawał twarzą w twarz z wrogiem. Ale wcześniej stawał do walki w pełni sił. Tym razem mógł tylko mieć nadzieję, że zdoła zadać jeden czy dwa dobre ciosy, nim go powalą.

Grzechot podkutych kopyt zadudnił mu w uszach. Jeden z koni źle stąpnął i przewrócił się, ale pozostałe pędziły na niego z szybkością wichru. Karauzjusz rzucił się w bok i pchnął mijającego go jeźdźca. Błysnęła włócznia Theudiberta i Bryton spadł na ziemię. Przyskoczył następny jeździec; cesarz cofnął się w błotnistą wodę, z trudem zachowując równowagę. Koń zatrzymał się, nieskory do wchodzenia na niepewny grunt, Jeździec zeskoczył z siodła i pośliznął się; gdy przytrzymał się końskiej grzywy, miecz Karauzjusza wgryzł się w jego bok.

Kolejne chwile zwały się w serię oderwanych obrazów. Karauzjusz wspierał się o plecy Theudiberta, na wpół przenosząc na niego ciężar swego ciała. Poczłł uderzenie, potem drugie; wiedział, że został trafiony, ale już nie czuł bólu. Pociemniało mu w oczach; nie wiedział, czy to noc czy upływ krwi utrudnia mu widzenie. Natarli na nich następni jeźdźcy. Usłyszał pełen zdumienia okrzyk Theudiberta i zatoczył się, gdy stracił oparcie w towarzyszu. W ostatnim przypiływie furii obrócił się, tnąc płasko mieczem. Trafił zabójcę Theudiberta w kark, gdy Bryton pochylał się, aby wyciągnąć włócznię.

Karauzjusz zachwiał się, z trudem wznosząc coraz cięższy oręż. Ale już nie miał z kim walczyć. Tuzin ciał leżał wokół niego, rannych i zabitych. Z grzbietu wzgórze dobiegały odgłosy bitwy, lecz nie mógł dostrzec walczących. Potem tamten hałas również ucichł. Moi dzielni chłopcy dali mi ostatnią szansę, pomyślał. Nie wolno jej zmarnować.

Po prawej stronie gąszcz wierzb schodził do samej wody. Gdyby skrył się wśród splątanych gałęzi, nikt nie mógłby go znaleźć. W głowie mu szumiało z powodu utraty krwi, lecz znalazł jeszcze siły, by pobrać ku drzewom.

Przez trzy dni i trzy noce Dierna czuwała, a jej duch rwał się do człowieka, którego obdarzyła miłością. Pod koniec drugiego dnia duchowy kontakt zaczął się rwać, jakby Karauzjusz na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Trzeciego dnia męczarnie nasiliły się, a wraz z nimi strach, który ledwo znosiła. Ostatniej nocy zapadła w sen pełen koszmarów – uciekała przez krwawe morze przed demonami pozbawionymi twarzy.

Ocknęła się, gdy szary świt najdłuższego dnia w roku wnikał do izby prostokątnym wejściem. Uświadomiła sobie, że zbudziło ją pukanie.

– Wejdz – wyszeptwała. Usiadła, po raz pierwszy od trzech dni wolna od bólu. Czyżby Karauzjusz nie żył? Nadal jednak czuła duchową więź.

Sylwetka Liny zarysowała się na tle jaśniejszego nieba.

– Pani, przybył człowiek z bagiennoego ludu. Mówi, że była walka na brzegu jeziora. Jeden z wojowników dotarł do ich wioski. Powiedział, że muszą znaleźć jego pana i zabrać go do Pani Avalonu.

Dierna podniosła się i złapała płaszcz. Z trudem mogła utrzymać się na nogach. Lina już niosła koszyk z opatrunkami i leczniczymi ziołami. Kapłanka w drodze nad jezioro wspierała się na pomocnym ramieniu dziewczyny, ale nim wsiadły na barke, świeże powietrze wróciło jej siły.

Przebyli mgły i podpłynęli do wioski bagiennoego ludu, do chat wznoszących się na palach ponad trzcinami. Wśród czekających w pogotowiu drobnych, smagłych mieszkańców wyróżniał się wysoki, jasnowłosy młodzian, który niespokojnie krążył po brzegu i patrzył na nich z roztargnieniem.

– *Domina* – pozdrowił ją w topornej, obozowej łacinie. – Zaatakowali nas Durotrigowie pod wodzą Allektusa. Karauzjusz został ranny. Kazał nam przywieźć się tutaj. A my, na świętych bogów, spełniliśmy jego życzenie.

– Gdzie on jest? – przerwała mu Dierna.

Chłopak z rozpaczą potrząsnął głową.

– Wysłał mnie do wioski po pomoc, ale ludzie zobaczyli bitwę i ogarnął ich strach. Rozumiem ich... – Omiótł spojrzeniem niewysokich mieszkańców bagien. – Wyglądają przy mnie jak dzieci, choć wiem, że są dorośli. Wróciłem na pobojobisko i znalazłem tylko poległych. Ale wśród nich nie było ciała mego pana. Te mikrusy nie wychodzą w ciemności z domostw ze strachu przed demonami. Wyruszyliśmy na poszukiwania o brzasku, lecz nie znaleźliśmy Karauzjusza!

Cesarz Brytanii leżał na wpół na łądzie, na wpół w jeziorze, patrząc w blasku nowego dnia, jak jego krew barwi wodę szkarłatem. Nie przypuszczał, że świt może być taki piękny. Noc wypełniały koszmary. Wydawało się, że godzinami przedzierał się przez korzenie i brnął w błocie, które próbowało zawrzeć go w oślizgłym uścisku. Myślał, że trawi go gorączka, ale teraz było mu zimno – zbyt zimno – stracił czucie w nogach i nie mógł nimi poruszyć. Nie takiego końca się spodziewał.

Biały łabędź wychynał z oparów przywierających do wody i przepłynął obok niego, wdzięczny niczym senna zjawa. Leżąc na brzegu jeziora, skąd nie było widać wzgórz, mógł wyobrazić sobie, że znajduje się w swoim kraju, gdzie Rhenus, ojciec rzek, dzieli się na wiele odnóg w drodze do morza. W jego ojczyźnie, pamiętał, zadawali potrójną śmierć ludziom składanym bogom w ofierze. Skrzywił usta w parodii uśmiechu, gdy uświadomił sobie, że sam już przecierpiał dwie trzecie – był podziurawiony włóczniami i na wpół utopiony.

To dar, pomyślał. Odzyskałem przytomność, miał konać w malignie. Ostatnie, co mogę zrobić, aby dokończyć dzieła... Pamięć wykraczająca poza obecne życie podpowiedziała: Bogini nigdy nie umiera, ale Bóg oddaje swe życie za kraj. Wiedział teraz, że robił to wcześniej, aktem woli przemieniając ofiarę bezsensownej przemocy w ofiarę składaną bogom.

Sznur wiążący go wcześniej z Theudibertem nadal zwisał mu u pasa. Niezdarnymi palcami poluzował węzeł i zadzierzgnął go na szyi, potem owinał drugi koniec wokół konaru drzewa. Chciał jak najdłużej stać wyprostowany, poranek bowiem był niezwykle piękny, nie sądził jednak, że wytrwa zbyt długo.

Gdzieś poza tymi mgłami spała cesarzowa jego serca. Czy będzie wiedziała, jak bardzo ją kochał? Składał się w darze tobie, pomyślał, i Bogini, której służysz. Urodziłem się za morzem, ale umieram dla Brytanii. Może to nie miało znaczenia. Dierna kiedyś powiedziała mu, że niezależnie od różnych imion, wszyscy bogowie są jednym bogiem. Żałował tylko, że nie zobaczył jej po raz ostatni.

Słońce wzniosło się wyżej, rozbłyśki tańczyły na wodzie. Pomyślał, że cekiny światła przypominają skry krzesane przez słońce na oceanie... Potem zmarszczki przemieniły się w fale, śpiew w jego uszach przerodził się w szum wiatru w takielunku, a on poczuł się tak, jakby stał na rozkołysanym pokładzie okrętu niosącego go przez morze. Przyszło mu wówczas na myśl, że jeśli bogowie są jednym, to tak samo jest z wodami – wszystkie są łonem bogini, najbardziej starożytnym z mórz.

Przed dziobem okrętu wyrosła wyspa, opasana urwiskami z czerwonego kamienia i zielonymi polami. Na środku wznosiło się strzeliste wzgórze, a z jego wierzchołka złocony dach świątyni rzucał wyzwanie słońcu.

Znał to miejsce, i w tym otoczeniu poznał również siebie. Nosił insygnia kapłana na czole i królewskie smoki na przedramionach. Zrobił krok wznosząc ręce w geście pozdrowienia, nie dbając, że ciało, które był opuścił, zwisło bez życia na pętli.

Z drugiej strony wody dobiegł głos kobiety, którą miłował w każdym kolejnym żywocie.

Dierna szła brzegiem jeziora, wykrzykując imię ukochanego. Teraz, kiedy była tak blisko, powinna prowadzić ją łącząca ich więź. Za nią ciągnęli pozostali. Wiodła ich z zamkniętymi oczami, podążając tropem ducha błędzącego między światami.

Otworzyła oczy i zobaczyła mężczyznę wplątanego w korzenie drzewa, na wpół zanurzonego w wodzie, tak oblepionego błotem i drobinami sitowia, że już wydawał się częścią ziemi, na której spoczywał. Aedfrid wyminął ją i stanął jak wryty, gdy zobaczył sznur na szyi Karauzjusza. Uczynił znak czci, po czym drżącymi rękami rozsuptał węzeł i wyciągnął ciało pana na brzeg.

Mieszkańcy bagien zaszemrali z grozy. Aedfrid popatrzył błagalnie na Diernę.

– To nie była haniebna śmierć. Rozumiesz?

Pokiwała głową, niezdolna wykrztusić słowa. Ból ścisnął ją za gardło. Czy nie mogłes trochę zaczekać? – krzyczało jej serce. Nie mogłes zaczekać, aby pożegnać się ze mną?

– Zabiorę go i wyprawię mu pogrzeb bohatera... – powiedział wojownik, ale ona pokręciła głową.

– Karauzjusz został wybrany przez naszą boginię na króla. W tym życiu, czy w następnym, jest związany z tą ziemią. A poprzez niego – dodała, gdy w olśnieniu spłynęła na nią nowa wiedza – poprzez niego nasz lud został związany z Brytanią, która pewnego dnia będzie do niego należeć. Owiń go w mój płaszcz i złóż na barce, a my przygotujemy grób w Avalonie.

Przez cały dzień, najdłuższy w roku, Pani Avalonu siedziała w świętym gaju ponad studnią, czuwając obok ciała swego cesarza. Gdy wiatr zmieniał kierunek, słyszała urywki pieśni śpiewanej przez druidów na Torze. Rolę Najwyższej Kapłanki pełniła Ildeg. Dierna umiała tłumić emocje, kiedy czekała ją pilna praca, ale nauczyła się również, że przychodzi

taki czas, gdy nawet szkolenie nie może uciszyć krzyku serca. Każda osoba biegła w magii wiedziała, że w takiej chwili należy usunąć się na ubocze, żeby nie wypaczyć przepływu mocy.

Gdybym dzisiaj weszła do kręgu, z pewnością doprowadziłabym do jego zniszczenia, myślała, patrząc na zastygłe rysy Karauzjusza. Nadal jestem w płodnych latach, ale czuję się jak Starucha Śmierć...

Obmyli ciało Karauzjusza w wodzie ze świętej studni i opatrzyli jego straszliwe rany. Teraz przygotowywano dla niego grób obok Gawena, syna Eilan, w którego żyłach wedle niektórych opowieści też płynęła rzymska krew. Miała pogrzebać go jak króla Brytanii, ale nie nosło to pociechy. Było to zimne łoże dla człowieka, z którym dzieliła radość miłości.

Gdyby starczyło mi odwagi, rzuciłabym się do grobu i połączyła z nim w Wielkim Rytuale, jak w zamierzchłych czasach, kiedy Królowa w ślad za swoim panem podążała do Innego Świata... Nie była jednak jego żoną; żal z tego powodu ciążył jej nawet bardziej niż jego utrata. Przeklęła dumę, która uczyniła ją głuchą na głos serca. Zrozumiała, że wszystko to było jej dziełem – ona podjęła decyzję, która zmusiła Karauzjusza i Teleri do zawarcia niechcianego małżeństwa, ona doprowadziła do zdrady Allektusa. Gdyby się nie wtrącała, Karauzjusz nadal żeglowałby po ukochanym morzu, a Teleri byłaby szczęśliwa jako kapłanka w Avalonie. Dierna kołysała się, obejmując ramiona i roniąc łzy nad nimi trojgiem.

Dużo później, kiedy przebrzmiały już echa śpiewu i ziemię spowił długi zmierzch przesilenia, rozpacz wypaliła się i Dierna usiadła, rozglądając się z otępieniem. Czowała się pusta, jak gdyby łzy wymyły z niej wszystkie uczucia. Ale jedna myśl pozostała. Choć ona płakała, inne kobiety miały lec tej nocy w ramionach mężów, a ich dzieci spać spokojnie w pobliżu, ponieważ Karauzjusz obronił Brytanię.

Dudnienie bębnow, powolne jak bicie jej serca, poniosło się w powietrzu. Dierna wstała, gdy z Toru zaczęła zstępować procesja odzianych na biało druidów. Odsunęła się, żeby mogli zabrać mary, i ruszyła za nimi. Schodzili na brzeg jeziora, gdzie czekała udrapowana czernią barka, by unieść pana mórz w ostatnią podróż.

Grób wykopano na Strażniczym Wzgórzu, Bramie Avalonu, najdalszej wyspie leżącej w obrębie mgieł. Dla tych, którzy nie mogli ich przebyć, na wyspie nie było nic interesującego, tylko biedna wioska ludu bagien, podobnie jak nic prócz paru chrześcijańskich pustelni nie stało u stóp Toru. Ale dawno temu tutaj pogrzebano innego Obrońcę Avalonu, żeby jego duch stał na straży Doliny, imieniem Obrońcy druidzi powitali Karauzjusza, kiedy pierwszy raz przybył na wyspę. Wpadało, żeby jego ciało spoczęło obok tego, dla kogo powstała pieśń.

Nim dotarli do Strażnicy, zapadła ciemność. Pochodnie płonęły kręgiem wokół grobu; ich światło przydawało złudnego ciepła rysom człowieka, który spoczywał na ziemi, i jarzyło się na białych szatach druidów i na błękitnych sukniach kapłanek. Dierna odziana była w czerń i choć blask ognia skrzył się i migotał jak spadające gwiazdy na skrawkach złota naszytych na

czarnym welonie, żadne światło nie mogłoby przeniknąć jego cieni, tej nocy bowiem była ona Panią Ciemności.

– Słońce nas opuściło... – zaczęła, gdy ucichły śpiewy. – Tego dnia królowało w pełni chwały, lecz musiało ustąpić przed nocą. Od tej chwili moc światła będzie malała, aż chłód pełni zimy zawładnie światem. – Gdy mówiła, nawet pochodnie zdawały się przygasać. Arkana Tajemnic przykładały ogromną wagę do cyklicznych zmian Natury; Dierna zrozumiała je w głębinach duszy.

– Opuścił nas duch tego człowieka... – Jej głos zdrzął leciutko. – Niczym słońce panował w całej wspaniałości i jak słońce ustąpił przed mrokiem. Dokąd udaje się słońce w zimnej porze roku? Mówiono nam, że do południowych krajów. Tak samo duch Karauzjusza wędruje do Letniej Krainy. Płaczymy nad jego odejściem, lecz przecież wiemy, że w sercu zimowej ciemności światło odradza się na nowo. Oddajemy ciało ziemi, z której powstało w nadziei, że promienny duch znów przyoblecze się w cielesną powłokę i zjawi się wśród nas w godzinie potrzeby.

Gdy złożyli ciało do grobu i zaczęli je zasypywać, Dierna usłyszała czyjś szloch, ale jej oczy były suche. Wypowiedziane słowa nie dały jej pocieszenia. Karauzjusz jednak nie poddał się, kiedy los zwrócił się przeciw niemu, i Dierna wiedziała, że ona też tego nie może zrobić.

– Karauzjusz odniósł zwycięstwo, lecz jest już teraz w świetle ducha. W tym świetle jego morderca nadal żyje i chełpi się swoim postępkiem. Uczynił to Allektus, Allektus, którego kochał, Allektus, który musi zapłacić za zdradę! W tej chwili, kiedy zaczyna odwracać się przyływ mocy, rzucam na niego przekleństwo.

Dierna zaczerpnęła powietrza i wzniosła ramiona ku niebu.

– Moce Nocy, wzywam was nie czarami, lecz siłą starożytnych praw Konieczności, byście dopadły mordercę. Niechaj żaden dzień nie będzie dla niego jasny, ogień go nie ogrzewa, a miłość okazuje się fałszem, dopóki nie odpokutuje za swoją zbrodnię!

Odwróciła się, wskazując pluskające w dole fale jeziora.

– Moce Morza, z którego łona wszyscyśmy się wyłonili, potężny oceanie, na którego prądach wszyscy się unosimy, niechaj moje klątwy zwiódą go na manowce! O, Morze, podnieś się i pochłoń mordercę, i zatop go w swych mrocznych głębiach!

Uklękła obok grobu i pogrzebała palcem w miękkiej ziemi.

– Moce Ziemi, której oddajemy jego ciało, niechaj zabójca nie znajdzie spokoju na twojej powierzchni! Niechaj wąpi w każdy stawiany krok, każdego mężczyznę, na którym polega, i każdą kobietę, którą kocha, dopóki nie rozewrze się pod nim i nie pochłonie go przepaść.

Dierna wyprostowała się, z ponurym uśmiechem patrząc na zalęknione twarze.

– Jestem Panią i jako Pani rzucam na Allektusa, syna Cerialisa, klątwę Avalonu. Takom rzekła i niechaj tak się stanie!



Koło roku obróciło się ku żniwom; pogoda dopisywała, ale po kraju niczym letnie burze hulały pogłoski. Cesarz zniknął. Niektórzy mówili, że nie żyje, zamordowany przez Allektusa. Inni przeczyli temu, zastanawiając się gdzie było ciało? Ci wierzyli, że Karauzjusz skrywa się przed wrogami. Jeszcze inni szeptali, że ruszył za morze, by poddać się Rzymowi. Pewne było tylko to, że Allektus ogłosił się najwyższym królem i rozsyłał jeźdźców po całej Brytanii, wzywając naczelników i dowódców na wielkie zaprzysiężenie w Londinium.

Lud Londinium wznosił radosne okrzyki. Teleri wzdrygnęła się i zaciągnęła skórzane zasłony powozu. Wewnątrz było duszno, ale nie mogła znieść tego hałasu lub może naporu tak wielu oczu, tak wielu umysłów, wszystkich skupionych na niej. Było zupełnie inaczej, kiedy przybyła tu wcześniej z Karauzjuszem. Wówczas jednak on został zaakceptowany jako cesarz, jeszcze zanim do niego dołączyła. Przypuszczała, że różnica bierze się stąd, iż tym razem ma wziąć udział w ceremonii – powinna być dumna i podekscytowana. Dlaczego zatem czuła się niczym jeniec w pochodzie triumfalnym rzymskiego zdobywcy?

Do bazyliki weszła w lepszym nastroju, choć tutaj również tłoczyło się zbyt wiele osób. Wokół zastawionych do uczyty stołów zasiadali książęta i urzędnicy. W przeciwieństwie do ulicznego motłochu przypatrywali się jej z mniejszą ciekawością, za to z większym wyrachowaniem. Teleri, z dumnie podniesioną głową, przywarła lekliwie do ramienia ojca.

– Czego się boisz? – zapytał książę. – Już jesteś cesarzową. Gdyby kiedyś przyszło mi na myśl, że wychowuję Panią Brytanii, najalbym uczonego Greka na twego mentora.

Zobaczyła błysk w jego oku i spróbowała się uśmiechnąć.

Zlepek jaskrawych barw u końca długiego przejścia między stołami rozszczepił się w postaci. Zobaczyła Allektusa, w purpurowym płaszczu na szkarłatnej tunice, który ginął w otoczeniu wyższych mężczyzn. Jego oczy pojaśniały na jej widok.

– Witam cię, książę Eiddinie Mynocu – zagaił oficjalnie. – Przywiodłeś córkę. Czy zechcesz oddać mi ją za żonę?

– Panie, po tośmy przybyli...

Teleri przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego. Czy jej nikt nie zapyta? Może, powiedziała sobie, wyraziła zgodę owej nocy w Durnovarii, przy czym reszta – zabicie Karauzjusza i wszystko, co z tego wynikło – była tylko konsekwencją.

Wysunęła się do przodu, a Allektus ujął jej dłoń.

Nastąpiła uczta, która zdawała się trwać bez końca. Teleri skubała jedzenie, obojętnie przysłuchując się rozmowom. Rozprawiano o darze, jaki Allektus wręczył żołnierzom podczas proklamacji. Zgodnie z tradycją tak czynił cesarz wstępujący na tron, szczególnie samozwaniec, ale datek Allektusa przekroczył wszelkie oczekiwania. Z drugiej strony, kupcy chyba liczyli na większe względy. Wszyscy dyskutowali, jedynie naczelnicy starej celtyckiej krwi poświęcali jej nieco uwagi. Teleri zrozumiała, że ojciec miał rację – przybyli po części z jej powodu.

Przed wspólnym udaniem się do małżeńskiej łóżnicy Allektus pofolgował sobie w picciu. Teleri musiała wesprzeć się o ścianę, gdy się na nią zatoczył. Uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała, by do tego stopnia przestał nad sobą panować. Pieszczoty pierwszego męża były czymś, co musiała po prostu znosić. Pomagając Allektusowi zdjąć ubranie, zaczęła się zastanawiać, czy jej drugi mężczyzna w ogóle będzie w stanie wypełnić męzowską powinność.

Zaprowadziła go do wielkiego łoża i położyła się obok niego. Teraz, gdy zostali sami, musiała zapytać go o pewne rzeczy – była ciekawa, jak umarł Karauzjusz. Nie była zaskoczona poczuciem winy, które ogarnęło ją na wieść o morderstwie; od chwili gdy przyjęła miłość Allektusa, podświadomie wiedziała, co zamierzał zrobić. Ale nie spodziewała się bólu.

Kiedy odwróciła się ku niemu, już chrapał. W ciemnych godzinach nocy przebudził się, krzycząc, że Konstancjusz nadciąga z wielką armią ludzi ze skrwawionymi włóczyniami. Przytulił się do niej ze szlochem, a Teleri pocieszała go niczym dziecko. Był szczęśliwszy, gdy służył Karauzjuszowi. Ona, jeśli nie była szczęśliwa, miała przynajmniej honor. Kogo z nich trojga mogłaby winić za tę tragedię? A może wszystkiemu winna była Dierna, myślała z goryczą.

Po pewnym czasie Allektus zaczął ją całować, jego umizgi stały się bardziej zapamiętałe, aż wreszcie posiadł ją z rozpaczliwą gwałtownością. Potem znów zasnął. Teleri leżała przez długi czas w ciemności. Ona, która marzyła o wolności, sama wybrała tę klatkę. Ale już się stało i musiała to znosić.

Gdy w końcu zapadła w niespokojną drzemkę, śniła o tym, że modli się do Bogini. Nie robiła tego z taką żarliwością od czasu, kiedy była dziewczyną marzącą o ucieczce z domu ojca.

W Avalonie Dierna też pogodziła się z losem. Rzuciła klątwę na Allektusa; jej wypełnienie należało zostawić potężniejszym mocom. Przez pewien czas wydawało się, że moce nie dbają o przekleństwo. Minęła rocznica śmierci Karauzjusza, a świat toczył się obojętnie i niezmiennie. Kapłanka czekała, choć nie potrafiła powiedzieć na co.

Upłynął kolejny rok. Jeśli nawet Brytania nie była szczęśliwa pod rządami Allektusa, nikt nie śmiał zaprotestować. Uzurpator nadal opłacał się barbarzyńcom i na Saksońskim Brzegu panował spokój. Co do Konstancjusza, choć jego flota pokonała Karauzjuszową, nie obyło się bez dotkliwych strat, Zgodnie z przewidywaniami zmarłego cesarza inwazja na wyspę została odłożona, bo zbudowanie statków przewozowych i galer do ich strzeżenia wymagało czasu i pieniędzy.

Księżyc płynął wysoko po niebie. Choć zaczynało go ubywać, nadal zaćmiewał gwiazdy letniego nieba. W jego blasku strzecha na Domu Dziewcząt połyskiwała, a kolumny Drogi

Procesyjnej jarzyły się blado. Dierna odetchnęła głęboko chłodnym powietrzem nocy. Wokół panowała cisza. Niepokój, który nie pozwalał jej zasnąć, musiał być duchowej natury. Coś się zmieniało i pogłos tych zmian rezonował na wewnętrznych płaszczyznach.

Minął kolejny rok, od kiedy Brytania odrzuciła pana wybranego przez Avalon, i w tym okresie Najwyższa Kapłanka nie opuszczała swojej wyspy, ale od czasu do czasu docierały do niej pogłoski. Konstancjusz wreszcie rozpoczął inwazję. Niektórzy mówili, że wylądował w pobliżu Londinium i tam starł się z siłami Najwyższego Króla. Inne doniesienia napomykały o wojsku, które wylądowało w Clausentum i maszerowało na Callevę. Gdyby Karauzjusz żył, Dierna wezwałaby na pomoc całą magię Avalonu, lecz po jego śmierci nie chciała już ingerować w sprawy zewnętrznego świata.

Miała już wrócić do łóżka, gdy ujrzała kogoś pędem wbiegającego na wzgórze. Była to Lina, wyznaczona w ramach kapłańskiego szkolenia do czuwania przy świętej studni. Najwyższa Kapłanka pospieszyła w jej stronę.

– Uspokój się, jestem tutaj. – Objęła roztrzęsioną dziewczynę ramieniem i podprowadziła do ławki. – Odetchnij głęboko, raz i drugi. Już jesteś bezpieczna... – Przytuliła ją, póki łkanie nie przeszło w urywane sapnięcia. – Powiedz mi, córko, co cię wystraszyło?

– Studnia! – Lina odetchnęła drżąc. – Blask księżyca padał na wodę jasną jak lustro. Zjrzałam do studni i nagle otoczyła mnie magia, i zobaczyłam ludzi walczących mieczami. To było straszne! Tyle krwi! Cieszę się, że nie słyszałam ich krzyków.

– Czy byli to Rzymianie? Widziałaś Allektusa?

– Chyba tak... Rzymscy żołnierze zaatakowali obóz brytyjski. Namioty stały w płomieniach. W blasku księżyca i ognia wszystko było widać jak na dłoni. Rzymianie stawili się w pełnym rynsztunku, ale nasi zostali zaskoczeni w czasie snu. Tylko niektórzy zdążyli chwycić tarcze i miecze, reszta była bezbronna. Najzagorzalszy bój toczył się wokół chudego, ciemnowłosego mężczyzny w złotym diademie. Walczył dzielnie, choć niezbyt wprawnie.

Allektus! – pomyślała Dierna. Wreszcie dosięgła go moja kłątwa.

– Jeden po drugim żołnierze z jego straży padali pod ciosami wroga. Rzymianie wezwali Króla do poddania się. Gdy tego nie uczynił, dźgali go włóczniami, póki nie runął na ziemię.

– A zatem nie żyje – powiedziała głośno Dierna – i Karauzjusz został pomszczony. Spoczywaj w pokoju, ukochany, i ty, który go zdradziłeś. Może w innym życiu znów się spotkamy.

Tej jesieni, gdy cesarz Konstancjusz płał w pochlebstwach, jakich nie szczędzili mu mieszkańcy odbitej stolicy, ulewy smagały ziemię. W Dolinie Avalonu chmury przysłoniły szczelnie Tor i kłębiły się nisko nad wodą – wydawało się, że mgły chroniące Avalon zasnuły cały świat. Choć ołowiane niebo ciążyło nad ziemią, Dierna czuła się tak, jakby z jej barków zdjęto wielkie brzemie. Kapłanki podniesione na duchu jej dobrym nastrojem zaczęły napomykać o budowie nowej zagrody dla owiec i wymianie poszycia na sali spotkań.

Pewnego ranka niedługo po zrównaniu dziewczyna opiekująca się owcami przybiegła z pastwiska z płaczem, bo jedno z jagniąt wydostało się przez prowizoryczne ogrodzenie i zginęło. Po tygodniu deszcz przeszedł w drobni mżawkę, a rzednące chmury niosły nadzieję na słońce, więc Dierna postanowiła osobiście udać się na poszukiwania. Miała nadzieję, że ruch dobrze jej zrobi po miesiącach przeżytych w nużącym odrętwieniu.

Zadanie nie było łatwe. Ulewy podniosły poziom wód i niektóre miejsca, zwykle suche, przemieniły się w grząskie bagno. Dierna ostrożnie wybierała drogę, zastanawiając się, co też skłoniło głupiutkie stworzenie do opuszczenia wzgórza. Rozmokły grunt doskonale zachowywał ślady. Podążała tropem wiodącym wokół wzgórza nad świętą studnię i w dół, przez sady, brzegiem jeziora w kierunku niskiego wzgórza Brigi z kapliczką w otoczeniu jabłoni.

Dierna przystanąła zdziwiona, gdyż wzgórze, zwane wyspą tylko zwyczajowo, naprawdę się nią stało. Wiedziała, którądy biegnie ścieżka, teraz zalana wodą. Wydało jej się, że pod drzewami dostrzega coś szarego. Podniosła długi kij zniesiony na brzeg i weszła w wodę, starannie gruntując dno. Wyjrzało słońce, lecz warstwa niskiej mgły była zbyt gruba, aby promienie mogły się przebić.

Mgła zakotłowała się wokół niej, gdy tylko zrobiła pierwszy krok. Przy trzecim straciła z oczu miejsce, z którego przyszła, i cel, do którego zmierzała. Opary gęstniały, wokół jej kostek chlupotała błotnista woda. Ogarnął ją pierwotny lęk. To moja ziemia! – zganiała się w myślach. Znam tę ścieżkę od czasu, gdy nauczyłam się stawiać pierwsze kroki – znajdę drogę nawet z zawiązanymi oczami albo we śnie! Zrobiła głęboki wdech, wzywając na pomoc dyscyplinę narzucaną niemal przez całe życie.

I gdy szum w uszach przycichł, usłyszała wołanie.

– Dier-na, pomocy!

Głos był słaby z powodu odległości albo wyczerpania; mgła nie pozwalała odgadnąć przyczyny. Dierna ruszyła tam, skąd dochodził.

– Proszę... czy ktoś mnie słyszy?

Dierna odetchnęła ciężko i pociemniało jej w oczach, gdy przeszłość stopiła się z terażniejszością.

– Becca! – zawołała chrapliwie. – Krzycz! Becca, idę do ciebie! – Przyspieszyła, badając drogę kijem.

– Och, Bogini, błagam... Tak bardzo chciałam znaleźć drogę... – Słowa zlały się w niezrozumiały bełkot, ale wskazały drogę. Dierna odwróciła się i wpadła w głębszą wodę. Wysłała przed sobą zmysły, jak wówczas gdy szukała Karauzjusza, i wreszcie dostrzegła kontury drzewa i przywierającą do korzeni postać kobiety.

Zobaczyła splecione ciemne włosy, oblepiające głowę niczym wodorosty, i szczupłą, ubłoconą rękę. Osoba, którą wyciągnęła na wyższy grunt, była lekka jak dziecko. Ale nie była dzieckiem. Dierna przytuliła ją do piersi i spojrzała w wymizerowaną twarz Teleri.

– Myślałam... – Miała zamęt w głowie. – Myślałam, że to moja siostra...

Niedowierzenie zniknęło z twarzy Teleri. Zamknęła oczy.

– Zgubiłam się we mgle – wyszeptowała. – Błądziłam od czasu, gdy wyprawiłaś mnie z Avalonu. Teraz próbowałam wrócić.

Dierna patrzyła na nią bez słowa. Kiedy usłyszała o małżeństwie Teleri z Allektusem, ją także chciała przekląć, lecz nie starczyło jej energii. Wydawało się, że nawet bez jej klątwy Teleri została ukarana przez te same moce, które spowodowały upadek mordercy Karaujusza. Teleri jednak żyła. Mgła wirowała wokół nich niczym lepki woal. W żadnym ze światów Dierna nie widziała nic żyjącego prócz Teleri, siebie i jabłoni.

– Przebyłaś mgły... – powiedziała powoli. – Można tego dokonać, tylko będąc kapłanką albo przechodząc przez Czarowną Krainę.

Napłynęła myśl, powoli, jakby wynurzając się z głębokich wód. Czy mogła wybaczyć tej kobiecie, dla miłości której Allektus zwrócił się przeciwko swojemu panu? Czy mogła wybaczyć sobie to, że powodowana pewnością, iż zna wolę Bogini, zgotowała im wszystkim tak straszne przeznaczenie? Dierna westchnęła, uwalniając się od brzemienia, o istnieniu którego nawet nie wiedziała.

– Nie mnie szukałaś... – szepnęła Teleri. – Wybacz...

– Nie ciebie? Przyrzekam, że każdą kobietę w tej świątyni traktować będę jak siostrę, matkę i córkę, jak własnych krewnych... – Głos kapłanki nabierał siły, gdy powtarzała przysięgę Avalonu.

– Dierna... – Teleri wzniosła na nią swe ciemne oczy, nadal takie kochane, wypełniające się łzami. Dierna próbowała przywołać uśmiech na usta, ale sama zaniósła się szlochom i mogła tylko jeszcze mocniej przygarnąć ją do piersi i ukołysać jak dziecko.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, nim wrócił spokój. Otoczyła je chmura bieli, zrobiło się zimno.

– Jesteśmy tu w pułapce, chyba że mgły się rozwieją – powiedziała radosnym tonem, który klócił się ze słowami. – Ale głód nam nie grozi, bo na drzewie wiszą jeszcze jabłka. – Delikatnie oparła Teleri o pień i podniosła się, aby zerwać owoc. Wtedy, zobaczyła poruszenie w powietrzu za wyspą, a polem jakby sączącą się z mgły posłać kobiety. Kobieta płynęła łódką używaną przez mieszkańców bagien.

Dierna znieruchomiała, mrużąc oczy i próbując przebić wzrokiem opary. Kobieta wyglądała znajomo, a jednak, gdy kapłanka przywołała na myśl ludzi z wioski na moczarach, nie mogła przypomnieć sobie ani jej twarzy, ani imienia – Mimo chłodu nieznajoma była bosa, odziana jedynie w skórę jelenią, a jej czoło wieńczył wieniec z czerwonych jagód.

– Witaj – zagadnęła, gdy wreszcie odzyskała mowę. – Czy mogłabyś przewieźć dwie zbłąkane kobiety na Tor?

– Pani Avalonu, któraś jest, i Pani Avalonu, która będziesz, po was przybyłam... – usłyszała w odpowiedzi.

Zamrugła, wreszcie rozumiejąc, kto po nie przyplął, i schyliła głowę w ukłonie.

Szybko, żeby Królowa Czarownej Krainy nie zniknęła tak, jak się pojawiła, Dierna wniosła Teleri do łodzi i sama zajęła miejsce. Chwilę później płaskodenka wsunęła się w chmurę. Tutaj mgła była bardzo gęsta i jasna – taka, jaką niekiedy widuje się podczas przeprawy do zewnętrznego świata.

Ale jasność, jaka na nie spłynęła po przebyciu mgieł, była czystym światłem Avalonu.

Dierna mówi:

*Zeszłej nocy, kiedy księżyc ukazał się w pełni po wiosennym zrównaniu, Teleri zasiadła na miejscu prorokowania. Minęło dużo czasu, od kiedy praktykowano ten rodzaj Widzenia – ostatnia była Pani Caillean, jeszcze zanim kapłanki zamieszkały w Avalonie – jednakże szczegóły rytuału przetrwały w długiej pamięci druidów. Obecnie Wzrok rzadko mnie nawiedza, tedy w chwili nastania wielkiej potrzeby należało podjąć ryzyko i spróbować.*

*Światem włada Konstantyn, syn Konstancjusza, a chrześcijanie, przez pewien czas zdawałoby się wyniszczeni wewnętrznymi sporami, zjednoczyli się pod wpływem prześladowań Dioklecjana i teraz panoszą się jako faworyci jego następcy. Bogowie Rzymu z zadowoleniem dzielili się modłami wiernych z bogami Brytanii, nie próbując ich rugować, ale bóg chrześcijan jest zazdrosnym panem.*

*W Avalonie Teleri zasiadła na wysokim trójnogu, otulona welonem ciemnych włosów. Dym z palonych świętych ziół zesłał na nią wizje i umożliwił zobaczenie tego, co ma nastąpić.*

*Ujrzała Konstantyna rządzącego w pełni chwały, zastąpionego przez niegodnych synów. Inny władca, przybywający później, starał się przywrócić dawnych bogów, ale zmarł młodo w dalekim kraju. Za jego czasów barbarzyńcy raz jeszcze najechali Brytanię, a za nimi przybyli ludzie z Eriu. Mimo to nasza wyspa kwitła jak nigdy wcześniej, z wyjątkiem świątyn dawnych bogów. Zbeczszczone przez chrześcijan, którzy zwali naszą Boginię demonem, odarte z dachów ruiny z wyrzutem patrzyły ku niebu.*

*Po pewnym czasie inny brytyjski generał, czerpiąc natchnienie z dzieła Karauzjusza, obwołał się imperatorem i pożegłował z legionami do Galii. Został pokonany, a więci do niewoli żołnierze już nie wrócili z Armoryki. Wtedy to barbarzyńcy z Germanii fala za falą jęli wlewać się do cesarstwa i wreszcie przemaszerowali przez bramy samego Rzymu. Brytania, opuszczona przez legiony, ogłosiła niepodległość.*

*Minęło ponad sto lat. Malowani Ludzie ruszyli hurmem z północy, pustosząc żyzne ziemie. Potem nastął nowy pan, Vortigern, którego lud obwołał Najwyższym Królem. Krwią wywodził się on ze starego rodu, jak Allektus, atoli jak Karauzjusz w celu ochrony Brytanii sprowadził zza morza saskich wojowników.*

*Próbowałam powstrzymać potok wizji i zapytać, jaką rolę w tej dziwnej przyszłości mógłby odegrać Avalon.*

*Teleri wykrzyknęła coś nieskładnie, uginając się pod natłokiem chaotycznych, trudnych do zrozumienia obrazów. Musiałam szybko wyprowadzić ją z transu, co było trudne, gdyż zawędrowała naprawdę daleko w przyszłość.*

*Teraz Teleri śpi. Ja nie mogę zaznać spokoju, gdy tylko bowiem udaję się na spoczynek, widziane przez nią obrazy odzywają w mej pamięci i boją się o kapłanki, które po nas nastaną na świętej wyspie – co czeka je w kraju, który odrzuca Boginię, wszystkie jej dzieła i mądrość.*

**CZEŚĆ III**

**CÓRKA AVALONU**

**A.D. 440-452**

**17**

Mróz rzadko nawiedzał Brytanię. Choć brakowało jeszcze dziesięciu dni do święta Samhain, ostatni sztorm wyprał ziemię z barw jesieni, pozostawił szklistą warstewkę lodu w każdej koleinie i przydał ostrości wiatrowi. Nawet proste drogi rzymskie stały się zdradliwe. Wyspa Mona, oddzielona od Brytanii wąskim kanałem, była skuta lodem. Jej mieszkańcy od wielu dni nie widzieli obcej twarzy.

Dlatego Vivianę ogarnęło tym większe zdziwienie, kiedy wyjrzawszy z obory, zobaczyła podróżnego, który skręcił na ścieżkę wiodącą do zagrody. Jego wielki, kościsty muł był zbryzgany błotem po brzuch; sam nieznamy wyglądał bezkształtnie, szczelnie okutany w płaszcze i szale, spod których wystawały tylko stopy. Zamrugła, przez chwilę pewna, że go zna. Oczywiście, nie było to możliwe. Schyliła się po ciężki skopek z mlekiem i ruszyła do domu. Jej drobne stopy przebijały lód, który pokrywał kałuże.

– Ojcie, idzie jakiś człowiek, cudzoziemiec...

Północna śpiewność brzmiała w jej głosie, choć przysła na świat w Kraju Lata. Przyrodni brat kiedyś szepnął, że urodziła się w jeszcze bardziej nieprawdopodobnym miejscu, na wyspie zwanej Avalonem, która wcale nie jest częścią tego świata. Ojciec ofuknął go i, prawdę mówiąc, na drugi dzień Viviana już nie dawała bratu wiary, no bo jakim cudem miejsce leżące w środku lądu mogło być wyspą? Jednakże niekiedy widziała je w snach i budziła się z dziwnym poczuciem utraty. W snach jej prawdziwą matką była Pani, lecz tylko tyle wiedziała.

– Jaki cudzoziemiec? – Jej ojciec, Neithen, wyszedł z szopy z naręczem drew.



– Wygląda jak kupa łachmanów, opatulony przed zimnem, ale ty też tak robisz, i ja. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Zmykaj stąd, dziewczyno... – Neithen machnął kawałkiem drewna – bo mleko zamarźnie.

Viviana ze śmiechem zniknęła w drzwiach, ale Neithen został na podwórzu, obserwując muła krocącego po ścieżce. Viviana, zajęta zdejmowaniem szala i płaszcza, usłyszała wymianę zdań. Znieruchomiała, żeby posłuchać. Bethoc, jej macocha, odłożyła warząchew i zastygła przy garnku.

– Taliesin! To ty – usłyszały słowa Neithena. – Wiatr cię tu przygnał?

– Wiatr z Avalonu, który nie będzie czekać na poprawę pogody. – Głos nieznajomego mimo chryпки spowodowanej zimnem brzmiał szczególnie pięknie, był dźwięczny i głęboki.

– Jakoś nie myślę, że przebyłeś taki szmat drogi, aby przekazać Vivianie matczyne pozdrowienia z okazji Samhainu! Wchodź, człowieku, nim szejniesz z zimna. Nie miałbym czym się szczyścić, gdyby najlepszy bard w Brytanii zamarzył na moim progu. Nie, nie, idź do izby, ja zaprowadzę muła do stajni.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich ktoś wysoki i smukły pod zwałami odzieży. Viviana cofnęła się, ciekawie wlepiając w niego oczy. Nieznajomy zdejmował kolejne warstwy odzienia, siejąc drobinkami lodu na porządnie wyszorowane i gorące kamienie paleniska. Pod spodem nosił białą wełnianą szatę druida. Tym, co zniekształcało jego sylwetkę, był futerał z foczej skóry, który zdjął z ramienia i ostrożnie położył na polepie.

Wyprostował się z wdziękiem. Miał piękne ręce i włosy tak jasne, że Viviana nie potrafiła powiedzieć, czy są złote, czy srebrne. Ich linia cofała się od wysokiego czoła. Niewiele się zmieni na starość, pomyślała, choć jej już wydawał się stary.

Przybysz zobaczył dziewczynkę i otworzył szeroko oczy.

– Przecież ty jesteś dzieckiem!

– Skończyłam czternaście lat i mogę już wyjść za mąż! – oznajmiła buńczucznie, wyciągając się na palcach. Zdumiał ją widok niespodzianej słodyczy w jego uśmiechu.

– Oczywiście, jakżeby inaczej – zapomniałem, że jesteś jak matka, która nie sięga nad moje ramię, tylko że każdy zapamiętuje ją jako wysoką.

Skłonił się macosze Viviany. Wrogie spojrzenie kobiety złagodniało do obojętnej akceptacji.

– Błogosławieństwo temu domowi i jego niewieście – powiedział miękko.

– I podróżnemu, który czyni zaszczyt naszemu ognisku – odparła Bethoc – choć nie sądzę, by twoje przybycie było dla nas błogosławieństwem.

– Ani ja – poparł ją Neithen, wchodząc do izby.

Gdy powiesił płaszcz, Bethoc naląła jabłecznika do drewnianego kubka i podała go gościowi, mówiąc:

– Ale podejmę cię gościnnie. Niedługo będzie kolacja. – Odwróciła się do kociołka wiszącego nad ogniem, a Viviana zaczęła wyjmować drewniane miski.

– Co więc masz nam do powiedzenia? – zapytał Neithen.

Viviana znieruchomiała z miską w rękach.

Taliesin westchnął.

– Córka Pani, Anara, zmarła przed miesiącem.

Moja siostra, pomyślała Viviana, zastanawiając się, czy powinna odczuwać smutek – wcale jej nie pamiętała.

– To ta, która poślubiła syna Vortigerna? – zapytała półgłosem Bethoc.

Jej mąż potrząsnął głową.

– Nie, tamta to była Idris. Ona też nie żyje, zmarła w połogu, jak słyszałem. – Odwrócił się do Taliesina. – Przykro mi to słyszeć... – Zamilkł, najwyraźniej czekając na wyjaśnienie powodów wizyty.

– Pani Ana przysłała mnie, abym przywiódł Vivianę do Avalonu...

– Mój dom jest tutaj! – zawołała dziewczynka, patrząc to na ojca, to na barda.

Taliesin spochmurniał.

– Wiem. Ale pani Ana potrzebuje cię.

– Ojcie! Nie pozwól mu mnie zabrać!

Na twarzy Taliesina odmalowało się zdumienie.

– Nie powiedziałeś jej?

– Czego mi nie powiedział? – Viviana podniosła głos. – O co tu chodzi?

Neithen poczerwieniał i umknął ze spojrzeniem.

– O to, że nie jestem twoim ojcem i nie mam prawa cię zatrzymywać. Miałem nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała poznać prawdy.

– Wobec tego czyją jestem córką? Mówisz, że nie jesteś moim ojcem. Czy zaraz powiesz, że Pani nie jest moją matką?

– Och, ona jest twoją matką – przyznał ponuro Neithen. – Dała nam, mnie i Bethoc, ten dom, i ciebie na wychowanie. Obiecała, że ta ziemia zawsze będzie należała do nas, a ty zostaniesz naszym dzieckiem, chyba że przypadkiem twoje siostry zemrą, nie zostawiając córek. Skoro starsza, którą zatrzymała przy sobie i szkolili na kapłankę, nie żyje, ty jesteś jej jedyną dziedziczką.

Viviana poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– I nic się nie zmieni, jeśli powiem, że nie chcę jechać?

– Potrzeba Avalonu przewyższa wszystkie nasze pragnienia – powiedział łagodnie Taliesin. – Przykro mi, Viviano.

Wyprostowała się dumnie, walcząc ze wzbierającymi łzami.

– Zatem nie obwiniam cię. Kiedy mamy jechać?

– Chciałbym od razu, lecz mój biedny muł musi odpocząć, inaczej zajeżdżę go na śmierć. Ruszemy jutro o świcie.

– Tak szybko! – Pokręciła głową. – Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– To śmierć, moja droga, przyszła bez uprzedzenia. Jesteś dość duża, żeby rozpocząć szkolenie, a wkrótce pogoda uniemożliwi podróżowanie. Jeśli nie zabiorę cię teraz, nie pojawisz się w Avalonie przed wiosną.

Gdy wspięła się na poddasze, aby spakować rzeczy na drogę, trysnęły wstrzymywane łzy. Czuła się jak sierota. To oczywiste, że jej matką powodowała konieczność, nie miłość. Avalon jawił się baśniowym snem, lecz ona nie chciała opuszczać ludzi, którzy stali się jej rodziną, ani skalistej wyspy, którą zwykła nazywać domem.

Taliesin siedział przy ogniu, z kubkiem grzanego jabłeczniaka w dłoni. Wyspał się w cieple i wygodzie, po raz pierwszy od wielu dni. Dom emanował spokojem. Ana dokonała dobrego wyboru, oddając Neithenowi córkę na wychowanie. Szkoda, że musiał ją stąd zabrać. Oczami wyobraźni zobaczył twarz Pani taką, jaką widział po raz ostatni: szerokie czoło pobrużdżone nowymi zmarszczkami, zaciśnięte usta i spiczasty podbródek. Niektórzy uważali ją za małą, brzydką kobietę, ale od dnia, w którym przed dwudziestu laty przybył do druidów, dla niego była Boginią.

Ana została wyszkolona przez własną matkę, a ona przez swoją ciotkę, jak mu mówiono. Spuścizna nie zawsze przechodziła z matki na córkę, lecz przez stulecia wiele dzieci Avalonu wzeniało się w książęce rody Brytanii i wysyłało swoje córki na powrót na świętą wyspę, aby z kolei one zostały kapłankami. Pośrednio dziecko Any mogło prześledzić swoje pochodzenie do Sianny, która, jak powiadano, była córką Królowej Czarownej Krainy.

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Ze stryszku wylaniała się para nóg w spodniach i owijaczach. Wytrzeszczył oczy na widok zsuwającego się po drabinie cudaka w za dużym kaftanie. Cudak zwinnie zeskoczył z ostatnich szczebli i z wyzywającą miną odwrócił się w jego stronę. Bard wzniosł brew i grymas Viviany przemienił się w uśmiech, który przeistoczył jej twarz nie do poznania.

– To rzeczy twojego przybranego brata?

– Nauczyłam się jeździć konno po męsku; czemu więc nie miałabym się ubierać jak mężczyzna? Patrzysz wilkiem – czyżby mojej matce miało się to nie spodobać?

Tłumiona wesołość wykrzywiła jego usta.

– Nie będzie zachwycona. – Święta Brigo, pomyślał, ona jest kapka w kapkę jak Ana. Ho, ho, przyszłe lata zapowiadają się nad wyraz ciekawie.

– I dobrze! – Viviana przysiadła obok niego, wspierając łokcie na kolanach. – Nie chcę jechać. Jeśli będzie miała zastrzeżenia, powiem jej, że ja też nie miałam ochoty opuszczać domu!

Taliesin westchnął.

– Nie mogę cię obwiniać. – Odsyłanie jej w dzieciństwie, a potem przyzywanie bez uprzedzenia było niegodziwe – traktowano ją jak jarmarczną kukielkę, pomyślał. Ana zawsze kierowała się własnym widzimisię. Ja sam też tańczyłem, jak mi przygrywała...

Zobaczył, jak twarz Viviany zamiera, i zrozumiał, że go usłyszała. Niewiele myśląc, wykonał subtelny gest lewą ręką; jej zdumienie minęło i dziewczyna spokojnie sięgnęła po kubek. Będzie musiał bardziej uważać. Ta mała nie przeszła jeszcze szkolenia, lecz mogła odziedziczyć wszystkie talenty matki. A on nigdy nie potrafił ukryć niczego przed Panią Avalonu.

Słońce minęło najwyższy punkt na nieboskłonie, kiedy wyruszyli, Taliesin na mule, a Viviana na mocnym, drobnym kucu z północy. Pas wody dzielący wyspę od lądu zamarzał na mur i mogli pokonać go bezpiecznie. Przejechali przez wieś, która wyrosła obok legionowej fortecy w Segontium i skręcili na rzymską drogę, wiodącą przez kraj Deceangłów do Devy.

Drobna i delikatnie zbudowana Viviana była wytrzymała jak ciemnocy mieszkańcy bagien, do których była podobna, lecz do tej pory odbywała przejażdżki tylko po wyspie Monie, dlatego jazda szybko ją zmęczyła. Mimo to nie zostawała w tyle, nie okazywała znużenia ni słabości; Taliesin, będąc druidem przywykłym do ignorowania skarg ciała, nawet nie przypuszczał, że długie godziny spędzone w siodle mogą być dla dziewczynki męczarnią. Viviana nie widziała swojej matki, od kiedy skończyła pięć lat. Cały czas zastanawiała się, kim może być jej ojciec i czy on także mieszka w Avalonie. Miała nadzieję, że ją pokocha.

Jechała z łzami marznięcymi na policzkach i wieczorem była zbyt wyczerpana i obolała, aby zasnąć. Stopniowo, kiedy jechali na południe doliną Wye, przyzwyczajając się do trudów, choć nadał nie mogła polubić ani jazdy, ani swojego kucyka. Zdawało się, że zwierzaka opętał jakiś demon niezależności – upierał się na podążaniu własnymi ścieżkami i wcale jej nie słuchał.

Miedzy Devą a Glevum rzymskie panowanie nie pozostawiło wielu śladów. Wieczorem przystawali u pasterzy albo ich rodzin, które żyły na wzgórzach. Gospodarze witali druida z czcią równą boskiej, a Vivianę przyjmowali jak swoją. W krainach leżących bardziej na południu ziąb nie przestał doskwierać, lecz drogi poprawiły się i od czasu do czasu podróżni widzieli kryte łupkiem wille wśród rozległych pól.

Na północ od Corinium Taliesin skręcił na trakt wiodący do jednej z nich, wygodnej starej siedziby z wewnętrznym podwórcem.

– Swego czasu – powiedział – kapłan z moim powołaniem był honorowym gościem w każdym brytyjskim domu, a i Rzymianie traktowali go z szacunkiem należnym duchownemu pokrewnej wiary. W dzisiejszych czasach chrześcijanie zatruli umysły tylu ludzi – zwąc wyznawców innej wiary demonami, nawet kiedy czczą oni dobrych bogów – że podróżuję w przebraniu wędrownego barda i ujawniam się tylko tym, którzy pozostali wierni dawnym obyczajom.

Ujądanie psów zapowiedziało ich przybycie i w oknach pojawiły się głowy zaciekawionych mieszkańców.

– A tutaj kogo spotkamy? – zapytała Viviana.

– Ci ludzie to chrześcijanie, na szczęście nie fanatycy. Juniusz Priscus jest dobrym człowiekiem, który dba o zwierzęta i przejmuje się zdrowiem ludzi, ale uważa, że sami winni troszczyć się o swoje dusze. I uwielbia słuchać gry na harfie. Przyjmie nas serdecznie.

Z domu wyszedł otoczony sforą psów silnie zbudowany mężczyzna z wianuszkami rudych włosów wokół łysiny. Kucyk właśnie ten moment wybrał sobie na strojenie fochów i nim dziewczyna przywołała go do porządku, Priscus już ich witał.

Wieczereż spożyli na rzymską modłę: mężczyźni spoczywali na leżankach, kobiety zaś siedziały na ławach blisko ognia. Córka gospodarza, Priscilla, wiecznie zdumiona ośmiolatka, wysoka niemal jak Viviana, była urzeczona nową znajomą. Przycupnęła na stołeczku u jej stóp, co rusz podsuwając półmiski z jedzeniem. Viviana objadała się bez opamiętania, ostatnio bowiem gościli u ubogich ludzi i bała się uszczuplać ich skromne zapasy. Teraz wydawało jej się, że minął cały wiek, od kiedy najadła się do syta albo kiedy było jej ciepło. Zaabsorbowana potrawami, nie zwracała uwagi na rozmawiających, ale nasyciwszy głód, jąła się przysłuchiwać. Dysputa zeszła na Najwyższego Króla.

– Ale czy możesz z ręką na sercu przyznać, że Vortigern postąpił źle? – zapytał Taliesin, odstawiając kubek z winem. – Nie pamiętasz, jak przybył z Rzymu biskup Germanus? Byliśmy wówczas w tak rozpaczliwej sytuacji, że on sam, jako że przed wstąpieniem do Kościoła służył w legionach, powiódł żołnierzy przeciwko Piktom. Było to w roku przyjscia na świat tego dziecka. – Uśmiechnął się do Viviany, po czym odwrócił do gospodarza. – Saksonowie, których Vortigern osiedlił na północy, trzymają w ryzach Malowanych Ludzi; przenosząc Votadinów do Demetii i Cornoviów do Dumnonii, umieścił silne plemiona tam, gdzie mogą nas bronić przed najazdami z Hibernii, a angielski wódz Hengest i jego ludzie strzegą Saksońskiego Brzegu. Tylko w czasie pokoju możemy sobie pozwolić na wewnętrzne waśnie, ale trudno uwierzyć, żeby Vortigern został ukarany wojną domową za swoje sukcesy.

– Saksonów jest zbyt wielu – zauważył Priscus. – Vortigern oddał Hengestowi całe Cantium, by wesprzeć swój lud. Rada popiera Vortigerna, i ja go również akceptuję, ale naszym prawowitym cesarzem jest Ambrozjusz Aurelian, jak przed nim jego ojciec. Walczyłem w jego szeregach pod Guollopum. Gdyby jeden bądź drugi odniósł jednoznaczne zwycięstwo, wiedzielibyśmy, na czym stoimy, a tak biedna Brytania prawdopodobnie znajdzie się w położeniu dziecka, do którego dwie matki rościły sobie prawo. Król Salomon – kazał rozdrzeć maleństwo na dwoje, aby zaspokoić ich ambicje.

Taliesin potrząsnął głową.

– Cóż, o ile pamiętam, groźba króla wróciła rozsądek kłócącym się kobietom. Może z naszymi przywódcami będzie podobnie.

Gospodarz westchnął.

– Przyjacielu, to wymaga czegoś więcej niż groźby. To wymaga cudu. – Przez chwilę leżał z posępną miną, następnie podniósł się, śląc uśmiech żonie i dziewczynkom. – Ale to zbyt ponura rozmowa na mroźny wieczór. Skoro już podjadłeś, Taliesinie, czy rozweselisz nasz pieśnią?

Spędzili w willi dwie noce. Druidzi uczyli swoich kapłanów przewidywać pogodę i Taliesin oznajmił, że jeśli nie ruszą w drogę, nie zdążą do Avalonu przed śniegiem. Viviana ze smutkiem opuszczała gościnne progi. Mała Priscilla przytuliła się do niej, obiecując, że nigdy jej nie zapomni, a ona, wyczuwając dobre serduszko dziecka, zastanawiała się, czy w Avalonie znajdzie podobne jej towarzyski. Jechali przez ten dzień i następny, chwytając parę godzin snu w przydrożnej chacie pasterza. Viviana nieczęsto odzywała się w trakcie długiej jazdy, wyjąwszy pomstowanie na krnąbrnego kuca. Kolejną noc spędzili w gospodzie w Aquae Sulis. Viviana zachowała w pamięci widok chyłących się ku ruinie wspaniałych budowli i zapach siarkowej pary. Nie było jednakże czasu na zwiedzanie i następnego dnia ruszyli drogą do Lindinis.

– Czy dziś wieczór dojedziemy do Avalonu? – zawołała Viviana.

Taliesin odwrócił się. Dotarli do wzgórz Mendips i wierzchowce zwolniły kroku.

Zmarszczył brwi.

– Na dobrym koniu byłbym pewien, że tak, ale te chabety albo idą własnym tempem, albo wcale. Spróbujemy.

Po południu poczuł wilgoć na dłoni i podniósł głowę. Z zachmurzonego nieba prószyły płatki pierwszego śniegu. Dziwne, w śniegu było jakby ciepłej, ale bard wiedział, że to tylko złudzenie. Kiedy przecięli trakt obsługujący kopalnię ołowiu, zaczęła zapadać ciemność, dlatego skręcił ku skupisku budynków w kępie drzew.

– Latem wyrabiają tu dachówki – wyjaśnił – ale o tej porze roku warsztaty stoją puste. Jeśli w miejsce zużytego przyniesiemy nowe drewno, nikt nie będzie miał nic przeciwko naszemu noclegowi. Zatrzymywałem się tu wcześniej.

W warsztacie panował wilgotny chłód, który zagościł tu po odejściu robotników i nie chciał ustąpić przed ciepłem ognia. Viviana usadowiła się blisko płomieni, a bard nastawił wodę na kaszę.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy podał jej miskę. – Prawda, nie prosiłam o zabranie w tę podróż, ale dziękuję ci za opiekę. Mój ojciec – mój ojczym – nie mógłby zrobić nic więcej.

Taliesin rzucił jej szybkie spojrzenie, poczym jął nakładać kaszę do swojej miski. Oliwkowa skóra poszarzała mu z zimna, ale skry płonęły w jego ciemnych oczach.

– Ty jesteś moim ojcem? – zapytała znienacka Viviana.

Zamarł na długą chwilę, jednak jego umysł nie zaprzestał pracy. Sam w trakcie długiej jazdy stawiał sobie to pytanie. Był nowo wyświęconym kapłanem i po raz pierwszy jako

mężczyzna pojawił się u ognia Beltane, kiedy została poczęta. Ana, choć pięć lat starsza od niego, już urodziła dwie córki i nosiła piękno Bogini niczym koronę.

Pamiętał, że ją całował, i pamiętał smak wypitego miodu na jej ustach. Owej nocy wszyscy pili, spotykając się i rozstając w ekstazie tańca. Od czasu do czasu jakaś para przywierała do siebie i, potykając się, odchodziła w cienie, aby połączyć się w tańcu najstarszym ze wszystkich. Pamiętał kobietę krzyczącą w jego ramionach, gdy wylewał w nią swoje nasienie i swoją duszę. Niestety, porwany uniesieniem, nie pamiętał ani jej twarzy, ani imienia.

Dziewczynka czekała. Zaslugiwała na odpowiedź.

– Nie wolno ci pytać mnie o to. – Zdobył się na uśmiech. – Żaden pobożny człowiek nie może przypisywać sobie ojcostwa dziecka Pani. Nawet zbydlęceni Saksonowie są mądrzejsi. Pochodzisz z królewskiego rodu Avalonu i to wszystko, co ja czy ktokolwiek inny może ci powiedzieć.

– Przysiągłeś na Prawdę. Czy nie możesz mi jej wyznać?

– Każdy mężczyzna byłby dumny, mogąc nazwać się twoim ojcem, Viviano. Bez słowa skargi zniosłaś trudy podróży. Kiedy sama pojawisz się przy ogniach Beltane, może zrozumiesz, czemu nie mogę udzielić ci odpowiedzi. Prawda jest taka, moje dziecko: to możliwe, ale nie jestem pewien.

Viviana podniosła głowę i na długą chwilę uwięziła jego spojrzenie. Mimo szkolenia nie mógł oderwać oczu od jej twarzy.

– Skoro jeden ojciec został mi odebrany – rzekła wreszcie – muszę znaleźć innego, a prócz ciebie nie znam nikogo, kogo chciałabym za ojca.

Taliesin patrzył na nią, skuloną przy ogniu niczym mały brązowy ptaszek, i po raz pierwszy, od czasu jak został bardem, zabrakło mu słów. Ale myśli mnożyły się licznie. Ana może pożałować, że wyprawiła mnie w tę podróż. To nie Amara, idąca potulnie czy to po wodę, czy na śmierć, na każde skinienie Pani. Ja jednak nie będę żałował – ta dziewczyna wyrośnie na niezrównaną kapłankę Avalonu!

Viviana czekała.

– Może lepiej nie mówmy nic twojej matce – zaproponował – ale obiecuję ci, że będę dla ciebie jak najlepszym ojcem.

Stanęli nad jeziorem, kiedy zapadał zmrok. Viviana rozglądała się bez entuzjazmu. Wczorajszy śnieg pokrył błoto i trzciny warstwą białego puchu, na który sypały się świeże płatki. Kałuże zamarzyły i lód pokrywał wodę siwą jak cyna; tafle połyskiwały lekko w gasnącym świetle. Dalej na brzegu stało kilka chat, wyniesionych na palach nad bagna. Po drugiej stronie wody wznosiło się wzgórze, ze szczytem skrytym w chmurach. Z tamtej strony dobiegł dźwięk dzwonu.

– Tam zmierzamy?

Przelotny uśmiech rozjaśnił twarz Taliesina.

– Mam nadzieję, że nie – chociaż, gdybyśmy nie należeli do Ludu Avalonu, Inis Witrin byłaby jedyną świętą wyspą, jaką moglibyśmy zobaczyć.

Zdjął z gałęzi wierzby krowi róg rzeźbiony w spirale i zadał. Dźwięk poniósł się gardłowo w nieruchomym powietrzu. Viviana z zainteresowaniem czekała na to, co miało nastąpić. Bard spoglądał w stronę chat, dlatego ona pierwsza zobaczyła, jak coś, co z daleka wyglądało na kupkę chrustu poruszyło się.

Była to stara kobieta, okutana w wełniane sztuki odzieży zwieńczone złachmanioną czapą z szarego futra. Sądząc po wzroście i ciemnych oczach, musiała pochodzić z bagienno ludu. Viviana była ciekawa, czemu Taliesin patrzy na staruszkę tak osobliwie – z rozbawieniem i czujnością, jak człowiek, który niespodzianie natyka się na żmiję.

– Miłościwy panie i młoda pani, lódz nie może przyplłynąć w taki ziąb. Zechcecie spocząć w mojej chacie i zaczekać na poprawę pogody?

– Nie – odparł Taliesin zdecydowanie. – Przysiągłem jak najszybciej dostarczyć to dziecko do Avalonu, poza tym jesteście zdrożeni. Chcesz, żebym został krzywoprzysięcą?

Kobieta zaśmiała się cicho, a Viviana poczuła gęsią skórę. Może tylko chłód był jej przyczyną.

– Jezioro zamarzło. Może przejdziecie na przełaj. – Popatrzyła na Vivianę. – Skoro jesteś kapłanką z urodzenia, musisz mieć dar przewidywania i będziesz wiedziała, którędy można iść bezpiecznie. Nie brak ci odwagi na taką próbę?

Dziewczyna wpatrywała się w nią w milczeniu. Prawda, od kiedy sięgała pamięcią, widywała różne rzeczy, jednak fragmentarycznie i przelotnie, dlatego wiedziała, że bez wyszkolenia nie może zaufać Wzrokowi. W słowach staruszki doszukała się znaczenia, którego nie była w stanie do końca pojąć.

– Lód jest zdradliwy. Sprawia solidne wrażenie, a potem pęka z trzaskiem i człowiek idzie na dno – powiedział bard. – To dziecko zaznało znojów uciążliwej drogi. Z przykrością patrzyłbym, jak tonie...

Słowa zawisły w mroźnym powietrzu. Viviana zobaczyła, że staruszkę przeniknęło drżenie, ale musiało to być złudzenie, w następnej chwili bowiem odwróciła się, klasnęła w dłonie i wykrzyknęła piskliwie zawołanie w nie znanym jej języku.

Drobni ciemni ludzie w grubych futrach chyżo zsunęli się po drabinach – było pewne, że od początku ukradkiem przyglądali się spotkaniu. Z kryjówek w trzcinach wyciągnęli baręk, długą i niską, zdolną pomieścić nawet wierzchowce, z dziobem owiniętym ciemną materią. Lód zatrzeszczał i skruszył się, gdy pchnęli ją na jezioro. Viviana była zadowolona, że oparła się pokusie popisania się swoimi możliwościami. Czy staruszka zezwoliłaby jej na próbę? Z pewnością wiedziała, że lód jest cienki.

W barce piętrzyły się futra. Viviana wtuliła się w nie z rozkoszą, poczuła bowiem na twarzy lodowate palce wiatru, gdy przewoźnicy naparli na tyczki i barka zaczęła oddalać się



od brzegu. Z zaskoczeniem ujrzała, że staruszka, którą uważała za wieśniaczkę, zasiada na dziobie – wyprostowana, jakby chłód się jej nie miał. Wyglądała inaczej, jakby znajomo.

Znaleźli się na środku jeziora. Mężczyźni odłożyli żerdzie i chwycili za wiosła. Wiatr przybrał na sile, barka zakotłosała się na fali. Za kurtyną śniegu całkiem wyraźnie zarysował się brzeg wyspy z okrągłym kościołem z ponurego szarego kamienia, gdy wiosłarze wyjęli wiosła z wody.

– Pani, czy teraz wezwiesz mgły? – zapytał jeden w brytyjskim języku.

Przez jedną straszliwą chwilę Viviana była przekonana, że człowiek ów zwraca się do niej, po czym ze zdziwieniem stwierdziła, że słowa skierowane są do dziwnej pasażerki. Kobieta stanęła na dziobie barki. Teraz nie wyglądała ani na taką niską, ani na taką starą. Twarz dziewczynki musiała odzwierciedlać jej uczucia, po obliczu Pani, nim szybko odwróciła się w stronę wyspy, przemknął bowiem drwiący uśmiech. Viviana nie widziała matki od piątego roku życia i nie pamiętała jej rysów, ale teraz ją poznała. Oskarżycielsko popatrzyła na Taliesina – mógł ją uprzedzić!

Jej ojciec, jeśli był jej ojcem, wbijał oczy w Panią, która, wznosząc ramiona, z chwili na chwilę stawała się wyższa i piękniejsza. Przez czas potrzebny na zaczerpnięcie oddechu stała wyprężona nieruchomo, potem z jej ust popłynął ciąg dziwnych sylab składających się na jedno wyraźne zawołanie. Wzniesione ramiona opadły.

Viviana poczuła drzenie, przenikające ją do szpiku kości, które przeniosło ich z jednej rzeczywistości w drugą. Jeszcze zanim mgły zaczęły migotać, wiedziała, co się dzieje. Mimo to nadal szeroko otwierała zdumione oczy, gdy opary rozstały się i ujrzała wyspę Avalon. Krajobraz rozświetlały ostatnie promienie słońca, które nie jaśniało w znanym jej świecie. Kamienie kręgu na wierzchołku Toru wolne były od śniegu, ale biel skrzyła się na brzegu i niczym kwiecie okrywała konary jabłoni, gdyż Avalon, nawet teraz, nie był całkowicie oderwany od ludzkiego świata. Viviana nigdy później nie zobaczyła czegoś równie pięknego.

Wiosłarze ze śmiechem pociągnęli wiosła i szybko podprowadzili barkę do pomostu. Zostali dostrzeżeni – odziani na biało druidzi oraz dziewczęta i kobiety w sukniach z surowej wełny lub w błękitnych szatach kapłanek wybiegli na powitanie. Pani Avalonu, zrzucawszy przebranie, pierwsza wysiadła na brzeg i odwróciła się, by podać rękę Vivianie.

– Córkę, bądź powitana w Avalonie.

Viviana, która już miała ująć podaną dłoń, zastygła w bezruchu. Zmęczenie i trudy długiej podróży znalazły ujście w potoku słów.

– Skoro jestem witana tak gorąco, dlaczego zwlekałaś z wezwaniem mnie, a jeśli jestem twoją córką, dlaczego bez słowa uprzedzenia wyrwałaś mnie z jedyne go znanego mi domu?

– Nigdy nie tłumaczę się ze swoich postępów. – Głos Pani nagle stał się chłodny.

Viviana przypomniała sobie ten ton z czasów, kiedy była bardzo mała; czekała na pieszczoty, a zamiast nich otrzymywała oziębłość gorszą od klapsa.

Po chwili, nieco łagodniej, Pani dodała:

– Córko, nadejdzie czas, kiedy będziesz robiła to samo. Ale na razie, dla własnego dobra, musisz podporządkować się dyscyplinie jak każda nowicjuszka z wieśniaczego domu. Rozumiesz?

Viviana stała bez słowa, gdy Pani – nie mogła nawet w myślach nazywać jej matką – skinęła na jedną z dziewcząt.

– Rowan, zabierz ją do Domu Dziewcząt i daj jej suknię nowicjuszki. Powinna złożyć ślubowanie przed wieczornym posiłkiem.

Dziewczyna była smukła; spod szala, który zarzuciła na głowę i ramiona, wysuwały się kosmyki jasnych włosów. Kiedy obie zniknęły z pola widzenia Pani, powiedziały:

– Nie lękaj się...

– Ja się nie boję. Jestem wściekła! – syknęła Viviana.

– No to dlaczego dygoczesz i z całych sił trzymasz mnie za rękę? – zapytała ze śmiechem blondynka. – Naprawdę, nie ma się czego bać. Pani nie gryzie. Nawet nie szczeka zbyt wiele, jeśli pilnie słucha się jej poleceń. Zobaczysz, niedługo będziesz zadowolona, że tu jesteś.

Viviana potrząsnęła głową. Gdyby matka okazała gniew, mogłabym myśleć, że mnie kocha...

– I zawsze pozwala nam pytać. Niekiedy bywa niecierpliwa, ale nie wolno ci okazać, że się jej boisz – to wprawia ją w złość. I nie możesz dopuścić, żeby zobaczyła twoje łzy.

Zatem zaczęłam dobrze, od oporu. Kiedy w drodze myślała o matce, nie tak wyobrażała sobie spotkanie po latach.

– Widziałaś ją wcześniej?

– Jest moją matką – odparła Viviana, przez chwilę ucieszona konsternacją koleżanki. – Ale jestem pewna, że ty znasz ją lepiej ode mnie. Nie widziałam jej od dzieciństwa.

– Że też nam nic powiedziała! – zawołała Rowan. – Może uznała, że będziemy inaczej cię traktować. Albo może dlatego, że w pewnym sensie wszystkie jesteśmy jej dziećmi. Jest nas cztery – paplała – ty i ja, Fianna i Nella. Będziemy spać razem w Domu Dziewcząt.

Doszły do budynku. Rowan pomogła jej zdjąć zabrudzone w podróży ubranie i umyć się. Viviana bez żalu pozbyła się chłopięcego odzienia. Z radością założyłyby zgrzebny worek, byle tylko był czysty i suchy. Rowan podała jej kremową suknię z grubej wełny i szary płaszcz, miękki i ciepły.

Po wejściu do sali spotkań stwierdziły, że Pani też się zmieniła. Zniknął wszelki ślad po starej kobiecie. Pani stała w szacie i płaszczu o barwie ciemnego błękitu, w wieńcu z jesiennych jagód na czole. Tym razem, gdy Viviana spojrzała w jej ciemne oczy, poznała – nie matkę, której nie pamiętała, ale twarz dostrzeganą w leśnej sadzawce, gdy się w niej przeglądała.

– Dziewczę, czemuś przybyło do Avalonu?

– Bo po mnie przysłałaś – odparła butnie Viviana.

Oczy matki pociemniały z gniewu, ale pomna wskazówek Rowan patrzyła w nie śmiało. Stojące z tyłu dziewczęta zachichotały nerwowo. Śmiech ucichł jak nożem uciął, gdy Pani spojrzała w ich stronę.

– Czy pragniesz wstąpić do wspólnoty kapłanek Avalonu z własnej nieprzymuszonej woli? – wycedziła zimno, nic sobie nie robiąc ze spojrzenia Viviany.

To ważne, pomyślała Viviana. Wyprawiła Taliesina na Monę i kazała mnie przywieźć, ale ani on, ani ona nie mogą mnie zmusić, żebym tu została – mimo swej władzy. Ona mnie potrzebuje i wie o tym. Przez chwilę kusiło ją, żeby zaprzeczyć.

W końcu postanowiła zostać, nie ze strachu ani nie z miłości do matki, nawet nie z powodu zimna, jakie panowało w zewnętrznym świecie. W czasie przeprawy przez jezioro i wcześniej, kiedy jechała z Taliesinem, zaczęły budzić się w niej zmysły, które trwały w uśpieniu w czasie życia na farmie. Kiedy matka przeprowadzała ich przez mgły, Viviana poczuła smak magii, która była jej dziedzictwem, i zapragnęła więcej.

– Niezależnie od powodów, z jakich tu przybyłam, chcę zostać, z własnej nieprzymuszonej woli – oznajmiła wyraźnie.

– Tedy przyjmuję cię w imieniu Bogini. Od tej pory jesteś poświęcona Avalonowi. – I po raz pierwszy od chwili przybycia na wyspę matka przygarnęła Vivianę do piersi.

Późniejsze wydarzenia zlały się w jedną plamę – wezwanie do uważania wszystkich kobiet wspólnoty za swoje krewne, imiona, którymi je przedstawiano, obietnica zachowania czystości. Strawa, niewyszukana, ale dobrze przyrządzona, zmęczenie i ciepło ognia sprawiły, że Viviana zapadła w półsen przed końcem posiłku. Nowicjuszki ze śmiechem zaciągnęły ją do Domu Dziewcząt, pokazały łóżko i dały jej lnianą koszulę pachnącą lawendą.

Viviana nie zasnęła od razu. Posłanie wydawało się obce, podobnie jak oddechy pozostałych dziewcząt i poskrzypywanie budynku na wietrze. Niby śniąc na jawie, ujrzała wszystko, co wydarzyło się od przybycia Taliesina do zagrody przybranych rodziców.

Usłyszała, jak Rowan przewraca się na bok. Po cichu wypowiedziała jej imię.

– O co chodzi? Zimno ci?

– Nie. – Nie w ciebie, pomyślała. – Chciałam cię zapytać... Ty jesteś tu już od pewnego czasu... Co się stało z Anarą? Jak zmarła moja siostra?

Zapadło długie milczenie, zakończone przeciągłym westchnieniem.

– Doszły nas tylko szept. Nie jestem niczego pewna. Ale... ukończyła szkolenie i wysłano ją za mgły, aby samodzielnie znalazła powrotną drogę. Co było dalej, tego może nie wie nawet sama Pani. Nie przyznawaj się, że ci powiedziałam – od czasu wypadku nikt nie wypowiada jej imienia. Słyszałam tylko, że kiedy nie wróciła, zarządzono poszukiwania i znaleziono ją na bagnach, utopioną...

Pani Avalonu szła przez sad nad świętą studnią. Zielone, twarde jabłka zaczynały powlekać się pierwszym rumieńcem. Są małe i niedojrzałe jak dziewczęta, które skupiły się u stóp Taliesina, myślała, ale z czasem dojrzeją. Słyszała głosy dziewcząt i niższe w tonacji odpowiedzi mężczyzny. Spowijając się czarem, który miał skryć ją przed ich wzrokiem, podeszła bliżej.

– Cztery Skarby strzeżone są w Avalonie od czasu przybycia Rzymian na tę ziemię – mówił bard. – Czy wiecie, jakie i dlaczego są święte?

Cztery nowicjuszeki siedziały na trawie, chyląc ostrzyżone głowy: jasną rudą, ciemną i brązową. Ścięto im włosy dla wygody, co było zwyczajne w lecie. Viviana sprzeciwiała się, gdyż włosy, lśniące i bujne niczym końska grzywa, stanowiły jej największą ozdobę. Podała się jednak zabiegowi i jeśli płakała, to nikt tego nie widział.

Jasnowłosa Rowan podniosła rękę.

– Jednym z nich jest Miecz Misteriów, prawda? Oreż Gawena, jednego z pradawnych królów?

– Gawen nosił go, ale miecz jest dużo starszy, wykuty z ognia niebios... – Głos barda zabrzmiał śpiewnie, gdy przytaczał legendę.

Viviana siedziała jak zauroczona. Anie przemknęło przez głowę, czy by nie powiedzieć jej, że ścięcie włosów nie było wcale pomyślane jako kara. Ale Pani Avalonu nie tłumaczyła się ze swoich poczynań i nie wyświadczyłaby temu dziecku przysługi, gdyby zaczęła je rozpieszczać. Oddech uwiązał jej w gardle, gdy ujrzała nałożoną na twarz Viviany wizję bladej twarzy Anary pod wodą, z włosami wplątanymi w sitowie. Po raz kolejny powtórzyła sobie, że Anara umarła, ponieważ była słaba. Dla własnego dobra Viviana musiała ścierpieć wszystko, co było konieczne, aby uczynić ją silną.

– A jakie są inne Skarby? – zapytał Taliesin.

– Włócznia, jak sądzę – odparła Fianna. Słońce połyskiwało na jej włosach o barwie jesieni.

– I Taca – dodała Nella, wysoka jak Viviana, choć młodsza, z szopą brązowych loczków.

– I Kielich – szepnęła Viviana – będący, jak mawiają, tym samym, co Kocioł Ceridwen i Graal, który Arianrhod przechowywała w swojej kryształowej świątyni, cały wysadzany perłami.

– Wszystkie te przedmioty równe są świętością wodzie z naszej studni. A jednak, gdybyście spojrzały na nie bez stosownego przygotowania, mogłyby wydać się podobne do innych, zwyczajnych – dlatego uczymy się, że wielka świętość może tkwić w rzeczach powszedniego użytku. Ale gdybyście ich dotknęły... – potrząsnął głową – byłoby inaczej,

zetknięcie bowiem z Tajemnicami bez przygotowania niesie pewną śmierć. Z tego powodu trzymane są one w ukryciu.

– Gdzie? – zapytała Viviana.

Coś załśniło jej w oczach. Co? – zastanowiła się jej matka. Ciekawość, cześć czy żądza władzy?

– To również jest jedna, z Tajemnic – odparł Taliesin – którą, znając wtajemniczeni pozwani na ich strażników.

Viviana usiadła, mrużąc oczy, gdy bard mówił dalej.

– Wystarczy, abyście wiedziały, jakie są Skarby i jakie jest ich znaczenie. Nauczono nas, że Symbol jest niczym, a Rzeczywistość wszystkim, i że na rzeczywistość, która zawiera symbole, składają się cztery żywioły: Ziemia i Woda, Powietrze i Ogień.

– Ale czyż nie mówiłeś nam, że symbole są ważne? – wtrąciła Viviana. – Rozmawiamy o żywiołach, właściwie ich nie rozumiejąc. Symbole są tym, z czego korzystają nasze umysły do odprawiania magii...

Taliesin spojrział na dziewczynkę z uśmiechem przepojonym niezwykle słodyczą i Ana poczuła ukłucie bólu. Jest zbyt gorliwa, pomyślała. Należy poddać ją próbie!

Vivianę przeniknął dreszcz. Odwróciła się i poprzez czarodziejską osłonę zobaczyła stojącą matkę. Ana popatrzyła na nią zimno. Po chwili Viviana zarumieniła się i spuściła oczy.

Pani odeszła szybko między drzewa. Mam trzydzieści sześć lat, pomyślała, i nadal jestem płodna. Mogę mieć więcej córek. Ale tymczasem ta dziewczyna jest moim jedynym dzieckiem i nadzieją Avalonu.

Viviana przysiadła na piętach, pocierając plecy rękami. Za nią parowały wyszorowane kamienie ścieżki; przed nią czekały następne, jeszcze suche. Kolana też ją bolały, a dłonie miała czerwone i spękane od wody. Po wyschnięciu wyczyszczone kamienie wyglądały tak samo, jak te nietknięte – nie było to dziwne, gdyż zmywała je po raz trzeci.

Pierwszy raz był zrozumiały, bo krowy zbłądziły z pastwiska i zanieczyściły ścieżkę. Wyznaczenie Viviany do uprzątnięcia nawozu nie było niesprawiedliwe, gdyż to ona ponosiła odpowiedzialność za ich pilnowanie.

Ale drugie i trzecie szorowanie nie było konieczne. Viviana nie bała się ciężkiej pracy – przywykła do niej na farmie ojczyma – ale czy mógł kryć się jakiś duchowy sens w powtarzaniu czynności wykonanych sumiennie i bez zarzutu? Albo w pasaniu bydła, czym równie dobrze mogła zajmować się w domu?

Chcieli, żeby uwierzyła, iż teraz Avalon jest jej domem, rozmyślała niewesoło, zanurzając szczotkę w cebrzyku i omiatając dokładnie następny kamień. Ale dom jest tam, gdzie człowiek jest kochany i mile widziany... Pani nad wyraz jasno dała do zrozumienia, że

sprowadziła córkę do Avalonu nie z miłości, lecz z potrzeby. Viviana w odpowiedzi robiła to, o co ją proszono, bez cienia zapału i radości.

Mogłoby być inaczej, mówiła sobie w duszy, przechodząc do kolejnego kamienia, gdyby nauczyła się magii. Ale ta wiedza zastrzeżona była dla starszych adeptów. Nowicjuszkom pozostawało wysłuchiwanie dzieciennych bająn i przywilej obsługiwanie starszych. A ona nie mogła uciec! Od czasu do czasu jedna ze starszych dziewcząt towarzyszyła Pani w podróżach, lecz młodsze nie opuszczały Avalonu. Gdyby Viviana spróbowała zrobić to na własną rękę, zgubiłaby się we mgle i w końcu, jak siostra, zatonąła w bagnie.

Może, gdyby poprosiła, Taliesin zabrałby ją z wyspy. Była przekonana, że ją pokochał. Był jednak poddany Pani – czy naraziłby się na jej gniew dla dziewczyny, która być może wcale nie była jego dzieckiem? W ciągu roku i trzech kwartałów, które upłynęły od jej przybycia, Viviana tylko raz widziała matkę naprawdę rozeźloną – kiedy dowiedziała się, że Najwyższy Król odprawił żonę, kobietę wychowaną w Avalonie, i wziął sobie inną, córkę Sasa Hengesta. Przyczyna gniewu znajdowała się poza zasięgiem, w Londinium, toteż furia Pani skierowała się na Avalon i atmosfera wręcz zgęstniała od napięcia – do tego stopnia, że Vivianę ogarnęło zdumienie, gdy podniosła głowę i ujrzała niezmacony błękit nieba. Najwyraźniej prawdą było to, co nauczyciele mówili adeptom o konieczności panowania nad uczuciami.

Będę musiała ją przechytrzyć, powiedziała sobie Viviana, posuwając się kawałek po kawałku do przodu. Mam czas. A kiedy osiągnę wiek inicjacji i wyślą mnie za mgły, po prostu odejdę...

Słońce zachodziło, przemieniając obłoki w złociste proporce, i wokół zapadła cisza charakterystyczna dla tej chwili, kiedy świat zastyga w zawieszeniu między nocą a dniem. Viviana zrozumiała, że powinna się pospieszyć, jeśli chce skończyć przed wieczną. A tu zabrakło jej wody. Podniosła się z kolan i wzięła cebrzyk.

Studnia, otwierana jedynie w czasie pewnych uroczystości, mieściła się w pradawnej kamiennej komorze. Woda płynęła kanałem do Zwierciadlanego Stawu, do którego kapłanki zaglądały, aby zobaczyć przyszłość, i z którego nadmiar przelewał się między drzewami do rynny. Z niej można było czerpać wodę do picia czy innych celów, takich jak szorowanie kamieni.

Kiedy Viviana mijała Zwierciadlany Staw, jej krok stał się mniej żwawy. Jak nauczał Taliesin, najważniejsza była rzeczywistość, nie symbol, a rzeczywistość była taka, że woda w korycie była dokładnie tą samą wodą, co w Stawie. Rozejrzała się. Czas uciekał, nikogo nie było w pobliżu... Zrobiła szybki krok w bok i zanurzyła kubek w stawie.

Staw był pełen ognia.

Cebrzyk wysliznął jej się z rąk i zagrzechotał na kamieniach, a ona opadła na kolana, szeroko otwierając oczy. Przywarła do cembrowiny sadzawki, z jękiem wpatrując się w obrazy, niezdolna oderwać od nich oczu.

Płonęło miasto. Czerwone płomienie lizały zabudowania, strzelając w złotych jezorach, gdy znajdowały nowe źródło paliwa, i wielka kolumna czarnego dymu plamiła niebo. Postacie, czarne na tle pożogi, wnosiły dobra z płonących domostw. Przez chwilę Viviana myślała, że to mieszkańcy próbują ratować dobytek; potem zobaczyła błysk miecza. Jakiś mężczyzna upadł, strumień krwi trysnął z jego szyi, a zabójca wybuchnął śmiechem i cisnął wyrwaną mu szkatułkę na derkę, na której już piętrzyły się podobne drobiazgi.

Ciała leżały na ulicach; w oknie na piętrze zobaczyła czyjąś twarz, z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku. Jasnowłosi barbarzyńcy roili się wszędzie, zabijając ze śmiechem na ustach. Wizja zniekształciła się, objęła szerszą scenerię; drogami wychodzącymi z miasta uciekali ludzie, niektórzy prowadzili zwierzęta zaprzężone do wozów z dobytkiem, inni sami ciągnęli wózki lub dźwigali toboły na plecach, albo, co gorsza, biegli z pustymi rękami – nawet ich oczy ziały pustką z powodu okropieństw, jakich doświadczyli.

Przeczytała nazwę „Venta” na obalonym kamieniu, ale tereny otaczające miasto były płaskie i podmokłe; nie była to Venta Silures. Miasto, które widziała, musiało leżeć daleko na wschodzie – było stolicą dawnych ziem Icenów. Zająła myśli takimi przypuszczeniami, żeby oderwać się od przerażających scen.

Ale wizja nie chciała przeminąć. Viviana zobaczyła wielkie miasto Camulodunum z bramą w płomieniach i wiele innych rzymskich osiedli łupionych i trawionych pożarami. Saksońskie tarany tłukły w mury i rozbijały wrota. Kruki uskakiwały na boki, gdy bandy grabieżców hulały po wyludnionych ulicach, a po ich odejściu wracały, by ucztować na nie spalonych ciałach. Parszywy pies, triumfalnie szczerząc kły, przebiegł przez forum z odrąbaną ludzką ręką w pysku.

Na wsi zniszczenia były mniej dotkliwe, jednakże ciemne skrzydło terroru omiotło cały kraj. Widziała, jak mieszkańcy odosobnionych willi grzebią srebra i umykają na zachód, tratując dojrzewające zboże. Zdawało się, że cały świat umyka w popłochu przed saksońskimi wilkami.

Ogień i krew ubiegały się o lepsze miejsce w szkarłatnych wirach, które zaćmiewały jej oczy; szlochała, lecz nie mogła oderwać wzroku. Stopniowo uświadomiła sobie, że ktoś coś mówi, że przemawia do niej od dłuższego czasu.

– Oddychaj głęboko... Dobrze... To, co widzisz, jest daleko, nie może wyrządzić ci krzywdy... Wciągnij powietrze i wypuść... Uspokój się i powiedz mi, co widzisz...

Viviana odetchnęła drżąc, z większą swobodą zaczerpnęła tchu i mruganiem spędziła łązy. Wizja trwała, ale teraz było tak, jakby oglądała sceny we śnie. Jej świadomość unosiła się gdzieś poza ciałem; wiedziała tylko, nie bardzo się tym przejmując, że ktoś ją wypytuje, a ona odpowiada.

– Na pewno tej dziewczynie można zaufać? Czy można wykluczyć możliwość, że histeryzowała albo wymyśliła to wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę? – dociekał stary Nectan, Arcydruid i głowa druidów Avalonu.

Ana uśmiechnęła się sardonicznie.

– Nie pocieszaj się myślą, że chronię swoją córkę. Kapłanki powiedzą ci, że wcale jej nie faworyzuję, i zabiłabym ją własnymi rękami, gdybym uznała, że sprofanowała Tajemnice. I jaki byłby cel w wymyślaniu takiej historii, skoro nie miała słuchaczy? Viviana była sama, dopóki jej przyjaciółka nie zaciekała się, czemu nie przyszła na wieczerzę, i nie poszła jej szukać. Nim mnie wezwano, już trwała w głębokim transie. Myślę, że się zgodzisz, iż potrafię odróżnić prawdziwą wizję od udawania.

– W głębokim transie? – powtórzył Taliesin. – Przecież jeszcze nie zaczęła szkolenia!

– Prawda. Wyprowadzenie jej wymagało ode mnie całego doświadczenia!

– I później też ją wypytywałaś? – zapytał bard.

– Kiedy Bogini zsyła wizję tak nagłą i przytłaczającą, należy ją przyjąć. Nikt nie śmie odrzucić ostrzeżenia – rzekła Pani, tłumiąc własny niepokój. – W każdym razie szkoda i tak została wyrządzona. Mogliśmy tylko wyciągnąć z dziewczyny jak najwięcej i zająć się nią po...

– Czy nic jej nie będzie? – zaniepokoił się Taliesin. Kolory spłynęły z jego twarzy.

Ana ściągnęła brwi. Nie przypuszczała, że tak bardzo polubił dziewczynę.

– Viviana odpoczywa. Nie sądzę, żebyś miał powody do zmartwień, pochodzi z mocnej rasy – powiedziała oschle. – Będzie rozdrażniona i obolała po przebudzeniu, ale jeśli cokolwiek zapamięta, wszystko wyda się jej odległe jak sen.

Nectan chrząknął.

– Dobrze. Jeśli była to prawdziwa wizja, co mamy zrobić?

– Pierwszą rzecz już zrobiłam, pchnęłam posłańca do Vortigerna. Jest pełnia lata, a dziewczyna widziała pola gotowe do żniw. Będzie miał niewiele czasu.

– O ile zechce go wykorzystać – wtrąciła z powątpiewaniem Julia, starsza kapłanka. – Ta Saksonka, która wodzi go na... – Zamilkła, gdy zobaczyła minę Any.

– Nawet gdyby Vortigern zebrał całą straż przyboczną i ruszył przeciwko Hengestowi, nie działałby wiele – wtrącił szybko Taliesin. – Barbarzyńcy są zbyt liczni. Powtórz nam jeszcze, co Viviana wykrzyknęła na końcu?

– Orły odleciały na zawsze. Białe Smoki podnoszą łby i pochłaniają ziemię... – wyszeptała Ana, drżąc na całym ciele.

– To nieszczęście, którego się obawialiśmy – rzekł posepnie Talenos, młodszy druid – przeznaczenie, które, mieliśmy nadzieję, nigdy nie nastanie!

– Co proponujesz zrobić, poza zawrotem głowy i biciem się w piersi niczym chrześcijanie? – zapytała uszczypliwie Ana. Było tak źle, jak powiedział, i gorzej, pomyślała, wspominając



słowa Viviany – żołądek odmawiał jej posłuszeństwa i nie tknęła ją od czasu, gdy je usłyszała. Nie mogła jednak dopuścić, aby zobaczyli, że paraliżuje ją strach.

– Co możemy zrobić? – zapytała Elen, najstarsza z kapłanek. – Avalon został oderwany od świata, aby służyć jako schronienie; od czasów Karauzjusza trzymamy jego istnienie w tajemnicy. Musimy czekać, póki ogień nie wypalą się wokół nas. Tutaj przynajmniej będziemy bezpieczni... – Inni popatrzyli na nią pogardliwie i Elen, zmieszana, zamilkła.

– Musimy modlić się do Bogini o pomoc – podsunęła Julia.

– To za mało. – Taliesin pokręcił głową. – Jeśli Król jest niezdolny albo niechętny poświęcić się za lud, wtedy musi to zrobić Merlin Brytanii.

– Ale nie mamy... – zaczął Nectan. Jego rumiane policzki pobrały. Ana, choć już ogarniał ją lęk, gdyż domyślała się, do czego zmierza Taliesin, poczuła gorzkie rozbawienie: stary kapłan bał się, że będą oczekiwać, iż to on przyjmie na siebie rolę Merlina.

– ...Merlina – dokończył Taliesin. – Nie mieliśmy kapłana noszącego ten tytuł, od kiedy Rzymianie pierwszy raz najechali Brytanię; wówczas Merlin oddał życie, żeby Caractacus mógł kontynuować walkę.

– Merlin jest jednym z naszych Panów, promienną duszą, która odmówiła wyjścia poza ziemską sferę, żeby mieć nas w opiece – rzekł Nectan, poprawiając się na ławie. – Ponowne wcielenie pomniejszyłoby jego moc. Możemy modlić się o jego przewodnictwo, ale nie wolno nam prosić, by znów zagościł między nami.

– Nawet gdyby tylko to mogło nas uratować? – zapytał Taliesin. – Skoro jest tak bardzo oświecony, będzie wiedział, czy odmówić. Jedno jest pewne – nie przybędzie, jeśli go nie poprosimy!

Julia pochyliła się.

– W czasach Caractacusa to nie zadziałało. Król, dla którego zginął Merlin, został pojmany, a Rzymianie wybili druidów na świętej wyspie.

Nectan przytaknął skinieniem.

– I chociaż to było nieszczęściem, ówcześni Rzymianie-zdobywcy są tymi samymi ludźmi, nad wyniszczaniem których teraz lamentujemy! Czy nie jest możliwe, że pewnego dnia będziemy żyć z Saksonami w pokoju, tak jak pogodziliśmy się z Rzymem?

Inni skierowali na niego oczy i Nectan zamilkł pod ciężarem ich spojrzeń.

Rzymianie, myślała Ana, byli żołnierzami, ale żołnierzami cywilizowanymi. Saksonowie są niewiele lepsi od górskich wilków.

– Nawet gdyby Merlin narodził się jutro – rzekła – mogłoby być za późno, nim stałby się mężczyzną.

– Słyszałem o innym sposobie – powiedział półgłosem Taliesin – kiedy żyjący człowiek otwiera swoją duszę na przyjęcie Innej...

– Nie! – Strach sprawił, że jej głos smagnał go niczym bicz. – W imię Bogini, zakazuję ci! Nie chcę Merlina, chcę ciebie, tutaj! – Wytrzymała jego spojrzenie, wzywając całą swą

moc. Po dręczącej chwili, która zdawała się trwać wieki, zobaczyła, jak wygasa bohaterskie światło w jego szarych oczach.

– Pani Avalonu powiedziała, ja będę posłuszny – mruknął. – Ale coś ci powiem. – Popatrzyl na nią. – W końcu trzeba będzie złożyć ofiarę.

Viviana leżała w łóżku w Domu Dziewcząt, obserwując pyłki kurzu tańczące w ostatnich promieniach słońca, które wpadały ukośnie przez szczelinę między zasłoną a obramowaniem wejścia. Czula się rozbita fizycznie i psychicznie. Starsze kapłanki powiedziały jej, że to dlatego, iż nie została przygotowana do odbierania wizji. Jej ciało prężyło się, mięśnie napinały się jeden po drugim; dziwne, że nie miała połamanych kości. Jej umysł został wciągnięty w drugą rzeczywistość. Gdyby matka nie otworzyła własnego umysłu i nie odnalazła jej, mogłaby zaginać w niej na zawsze.

Najbardziej zdumiewało ją to, że matka zdecydowała się podjąć takie ryzyko i że jej własny duch nie wzdragał się przed kontaktem. A może Pani chciała tylko usłyszeć opis wizji, podszeptowała powątpiewająca część jej natury. Mimo wszystko w umyśle Any musiało być coś, co przyciągnęło umysł córki. Viviana podejrzewała, że były bardziej podobne, niż każda z nich miałaby ochotę przyznać. Może, pomyślała z uśmiechem, dlatego tak trudno dojść im do porozumienia.

Pani Avalonu była wyszkoloną kapłanką. Viviana mogła posiadać wszystkie talenty matki, a nawet więcej, lecz dopóki nie nauczyła się z nich korzystać, mogła stanowić zagrożenie dla siebie i dla otoczenia.

To doświadczenie otrzeźwiło ją dużo skuteczniej niż jakakolwiek kara, jaką mogła wyznaczyć jej matka. I musiała przyznać, że sama na to zasłużyła. Prawda, zima po jej przybyciu była jedną z najsrozszych, jak tylko sięgano pamięcią; lód, który w Samhain był cienki niczym koronka, w środku zimy skuł całe jezioro i bagieny lud przywoził im żywność na saniach. Przez pewien czas wszyscy byli tak bardzo pochłonięci sprawą przeżycia, że nikt nie myślał o szkoleniu. Od tamtej pory Viviana wykonywała swoje obowiązki byle jak, niemal prowokując matkę, aby okazała swoje niezadowolenie.

Zasłona poruszyła się i Viviana poczuła zapach, od którego ślinka napłynęła jej do ust. Rowan przeszła między łózkami i z uśmiechem postawiła zakrytą tacę na ławie.

– Przespałaś całą noc i dzień. Musiałaś zgłodnieć!

– Rzeczywiście – przyznała Viviana. Skrzywiła się, podciągając się na łokciu, Rowan zdjęła serwetkę, odsłaniając miskę z gulaszem. Viviana zabrała się za jedzenie. W potrawie były kawałki mięsa, co ją zaskoczyło, bo kapłanki w trakcie szkolenia pozostawały na lekkiej diecie, aby oczyścić ciała i zwiększyć wrażliwość. Bez wątpienia starszyzna uznała, że podwyższona wrażliwość jest ostatnią potrzebną jej rzeczą.

Choć była wygłodniała, żołądek nie chciał przyjąć więcej niż połowy porcji. Położyła się z westchnieniem.

– Będziesz spać? – zapytała Rowan. – Przyznaję, wyglądasz jak obita kijami.

– I tak się czuję. Chcę odpocząć, lecz boję się koszmarów.

Zachłanna ciekawość rozbłysła w oczach Rowan, gdy dziewczyna pochyliła się nad Vivianą.

– Powiedzieli nam tylko, że widziałaś jakieś nieszczęście. Co to było? Co zobaczyłaś?

Vivianą targnęły dreszcze; proste pytanie przywołało na powrót straszliwe sceny. Za drzwiami rozległy się głosy i Rowan odsunęła się od chorej. Viviana westchnęła z ulgą, gdy zasłona odchyliła się i do izby weszła Pani.

– Widzę, że jesteś otoczona troskliwą opieką – rzekła chłodno Ana.

Rowan uczyniła szybki znak czci i zniknęła za drzwiami.

– Dziękuję ci... za sprowadzenie mnie z powrotem – powiedziała Vivianą. Zapadło krępujące milczenie. Dziewczyna zauważyła, że policzki matki barwi lekki rumieniec, nieco żywszy niż zwykle.

– Nie mam w nadmiarze... macierzyńskich uczuć – powiedziała z niejakim trudem Ana – i zapewne nic w tym złego, skoro przed matczynymi muszę wypełniać zobowiązania kapłanki. Jako twoja kapłanka, zrobiłabym to samo. Ale cieszę się, widząc, że wracasz do zdrowia.

Vivianą zamrugała. Z pewnością nie o takich słowach marzyła, kiedy w dzieciństwie wyobrażała sobie matkę. Ale Ana potraktowała ją z większą życzliwością niż kiedykolwiek w ciągu dwóch spędzonych tu lat. Czy ośmieli się poprosić o odrobinę więcej?

– Lepiej mi, ale boję się zasnąć... Gdyby Taliesin zagrał na harfie, miałabym lepsze sny.

Przez chwilę matka wyglądała na rozgniewaną. Potem chyba jakaś nowa myśl wpadła jej do głowy, bo przyzwoliła.

Kiedy późnym wieczorem bard usiadł przy jej boku, także sprawiał wrażenie niespokojnego i spiętego. Viviana zapytała o powody, lecz on tylko uśmiechnął się i rzekł, że miała dość własnych kłopotów, jak na jeden dzień, i nie będzie obarczał jej swoimi. I nie było smutku w muzyce, którą wyczarował z błyszczących strun harfy; kiedy zapadła w sen, był on głęboki i bez widziadeł.

Następny rok udowodnił proroczy dar Viviany. Zapewniło jej to pewną pozycję wśród kapłanek, ale dziewczyna wolałaby raczej znosić ich drwiny. Z początkiem żniw zaczęły napływać wieści, które, choć złagodzone odległością, nie mogły być gorsze. Hengest Sas, skarżąc się, że Vortigern nie dostarczył obiecane wynagrodzenia, pustoszył miasta Brytanii ogniem i mieczem. W ciągu paru krótkich miesięcy południe i wschód kraju zostały zrównane z ziemią. Strumienie uciekinierów napływały na zachód.

Saksonów było wielu, lecz nie starczyło im sił na zajęcie całej wyspy. Cantium znalazło się w rękach Hengesta; terytoria Trinovantów na północ od Tamesis stały się terenami łowieckimi East Seax; ziemie Icenów okupowali ich angielscy sprzymierzeńcy. Wszędzie

indziej najeźdźcy uderzali i wycofywali się. Brytowie, którzy uciekli, już nie wracali do swoich domów, z czego bowiem mieli żyć, skoro nie było targów, na których mogliby sprzedawać swoje wyroby i towary? Podbite krainy przypominały wrzód na ciele Brytanii, a ich okolice ogarniało odrętwienie, jeszcze zanim dosięgła je gorączka.

Dalej na zachód życie toczyło się mniej lub bardziej normalnie, pomijając wszechobecny strach. W Avalonie, oderwanym od świata, kapłankom trudno było cieszyć się z bezpieczeństwa. Od czasu do czasu bagieny lud znajdował na moczarach błakającego się uciekiniera. Chrześcijan otaczali opieką mnisi na swojej wyspie, a paru innych trafiło do Avalonu.

Najwyższy Król, choć przez żonę spowinowacony z Saksonami, nie siedział beczynnienie. Powoli napływały wieści, że broni Londinium, że jego synowie próbują zebrać ludzi i odbić zagarnięte ziemie, zwracając się o ludzi i wsparcie do nietkniętych krain Brytanii.

Wiosną następnego roku, kiedy Viviana skończyła siedemnaście lat, pewien mieszkaniec bagien przebył mgły i przyniósł ważną wiadomość. Syn Najwyższego Króla wybierał się z prośbą o pomoc do Avalonu.

W Domu Dziewcząt nowicjuszek tuliły się pod kocami, wiosna bowiem dopiero się zaczynała i było jeszcze zimno.

– Widziałaś go? – wyszeptwała mała Mandua, która dołączyła do nich zeszłego lata. – Jest przystojny?

Dziewczyna była młoda, ale nad wiek rozwinięta, i Viviana nie sądziła, by wytrzymała ona w Avalonie na tyle długo, aby zostać kapłanką. Z drugiej strony, ona sama nadal była nowicjuską i choć nie przewyższała swoich koleżanek wzrostem, była wśród nich najstarsza. Z dziewcząt, które powitały ją w dzień przybycia na wyspę, pozostała tylko jej przyjaciółka Rowan.

– Wszyscy książęta są przystojni, a księżniczki piękne – powiedziała ze śmiechem Rowan. – To ich przywilej.

– Czy to nie on kiedyś poślubił twoją siostrę? – zaciekała się Claudia, uciekinierka. Pochodziła z dobrej rodziny z Cantium, lecz nigdy nie wspominała o przeszłości.

Viviana pokręciła głową.

– Moja siostra Idris była żoną Categirna, starszego syna Vortigerna. Ten jest Vortimer, młodszy. – Widziała go przelotnie, kiedy przybyli; miał ciemne włosy jak ona, ale był wyższy. Pomyślała, że wygląda zbyt młodo, by nosić miecz. Zmieniła zdanie, gdy zobaczyła jego oczy.

Drewniane, wstawiane zimą drzwi na końcu izby stanęły otworem i dziewczęta odwróciły się w tamtą stronę.

– Viviano – rozbrzmiał głos jednej ze starszych kapłanek – matka cię wzywa. Chodź i przywdziej ceremonialną szatę.

Viviana wstała, zastanawiając się nad przyczyną wezwania. Pięć par zaokrąglonych oczu patrzyło, jak zarzuca płaszcz na ramiona, ale żadna z dziewcząt nie śmiała odezwać się słowem. Czy nadal będę dziewicą, myślała, gdy wrócę? Słyszała opowieści o magicznych obrzędach, które wymagały takiej ofiary. Ten pomysł przyprawił ją o dreszcz, ale gdyby istotnie tak się stało, wreszcie musieliby uczynić ją kapłanką.

Pani czekała z innymi w Wielkiej Sali, odziana w szkarłatny strój Matki, natomiast Elen, w czerni, wyznaczona została do roli Staruchy. Nectan też był ubrany na czarno, a Taliesin osłepiał szkarłatem. Żadna szata nie dorównywała jednak jej bieli. Czekamy na księcia, pomyślała, domyślając się teraz wszystkiego.

Jej matka odwróciła się, choć Viviana nie usłyszała żadnego dźwięku, i kazała jej założyć welon. Wszedł książę Vortimer, w białym wełnianym kaftanie pożyczonym od jednego z młodszych druidów. Jego spojrzenie przywarło do Pani Avalonu. Ukłonił się nisko.

Boisz się? Słusznie. Viviana uśmiechnęła się pod woalem, gdy, bez słowa, Pani wywiodła wszystkich z Sali. Kiedy ruszyli na Tor, zdała sobie sprawę, że sama jest przerażona.

Księżyc był dziewiczo młody; lśniący, wąziutki sierp skłaniał się ku zachodowi z nastaniem północy. Jak ja, pomyślała Viviana, patrząc w niebo. Zadrzała, bo pochodnie ustawione po obu stronach ołtarza nie dawały ciepła, a tylko kapryśne światło. Odetchnęła głęboko, jak została nauczona, pragnąc, by ciało zobojętniało na chłód.

– Vortimerze, synu Vortigerna... – Pani mówiła cicho, jednak jej głos wypełnił cały krąg – po coś tu przybył?

Pozostałe dwie kapłanki wysunęły się, prowadząc księcia przed oblicze Pani. Zatrzymały się po przeciwnej stronie ołtarza. Z miejsca przy ramieniu Any Viviana zobaczyła szeroko otwarte oczy przybysza i domyśliła się, że widzi on nie drobną, ciemnicą kobietę, która była jej matką, lecz wysoką i dostojną Najwyższą Kapłankę Avalonu.

Vortimer ciężko przełknął ślinę, ale zapanował nad głosem.

– Przybyłem w imieniu Brytanii. Wilki szarpiają jej ciało, a chrześcijańscy kapłani nie robią nic innego, jak tylko powtarzają nam, że cierpimy za swoje grzechy. Ale nie ma grzechu w dzieciach palonych we własnych domach ani w niemowlętach, których główki rozbija się o kamienie. Widziałem takie rzeczy na własne oczy Pani, i przysięgam je pomścić. Proszę o pomoc starych bogów, starożytnych obrońców mojego ludu!

– Dobrze mówisz, ale ich darów nie otrzymuje się za darmo – zwróciła mu uwagę Najwyższa Kapłanka. – My służymy Wielkiej Bogini, która jest bezimienna, a jednak nosi wiele imion, i choć nie posiada formy, ma wiele twarzy. Jeśli przyszedłeś, aby poświęcić życie w Jej służbie, wtedy może zechce wysłuchać twojego wołania.

– Moja matka, wychowana na tej świętej wyspie, nauczyła mnie miłować dawne obyczaje. Oddam wszystko, co zjedna mi przychylność Avalonu.

– Nawet życie? – Elen postąpiła krok do przodu. Vortimer pobałdł lekko, ale pokiwał głową. Śmiech starej kobiety przypominał grzechot suchych kości. – Być może pewnego dnia ktoś upomni się o twoją krew, wszelako nie dzisiaj...

Nadeszła kolej Viviany.

– Ja nie proszę cię o krew – zaczęła cicho – ale o duszę...

Odwrócił się i spojrzał na nią tak intensywnie jakby jego płonące oczy mogły przepalić welon.

– Należy do ciebie... – Zamrugał. – Zawsze do ciebie należała. Pamiętam... Składałem już tę ofiarę.

– Ciało i duch muszą zostać oddane – oznajmiła surowo Ana. – Jeśli naprawdę jesteś chętny, złoś siebie na kamieniu ołtarza.

Vortimer zdjął biały kaftan i położył się, nagi i drżący, na zimnym kamieniu. Jest pewien, że chcemy go zabić, pomyślała Viviana, wbrew moim słowom. Wyglądał młodziej, leżąc tak na ołtarzu; doszła do wniosku, że nie może być starszy od niej o rok czy dwa.

Elen i Nectan ruszyli na północ i południe, Taliesin na zachód, a ona zajęła miejsce na wschodzie. Mrucząc cicho, Najwyższa Kapłanka stanęła na skraju kręgu i, obracając się zgodnie z ruchem słońca, zaczęła tańczyć między kamieniami. Przeplotła w ten sposób krąg raz, drugi i trzeci; gdy mijała Vivianę, dziewczyna poczuła, jakby jej świadomość przeniosła się na inną płaszczyznę. Odmienionym wzrokiem ujrzała promienne migotanie na stojących kamieniach, które jakby zawisły w powietrzu. Najwyższa Kapłanka zakończyła taniec i wróciła na środek kręgu.

Viviana wyprostowała się, mocno zapierając stopami o ziemię, gdy kapłanka wyciągnęła ramiona ku niebu. Powietrze przesycił zapach kwitnących jabłoni, kiedy odwiecznymi i tajemnymi imionami wzywała moce strzegące Wschodniej Bramy.

Głos starej Elen zawibrował i odbił się echem, gdy ciepło południa wypełniło krąg; potem Taliesin wezwał śpiewnie zachód i Vivianę porwał przyływ mocy. Dopiero kiedy ucichła inwokacja Nectana wzywającego strażników północy, poczuła, że znów stoi na ziemi. Krąg, do którego wróciła, nie leżał już całkiem w tym świecie. Vortimer przestał dygotać; rzeczywiście, w kręgu zrobiło się ciepło.

Ana odkorkowała szklany flakonik, który wisiał u jej paska, i ciężki zapach oleju zawisł w powietrzu. Elen wylała olej na palce i pochyliła się nad stopami Vortimera, aby nakreślić na nich pieczęć mocy.

– Wiążę cię ze świętą ziemią – wyszeptwała. – Żywy czy martwy, należysz do tego kraju.

Najwyższa Kapłanka wzięła olej i delikatnie namaściła genitalia. Młodzieniec zarumieniał się, gdy członek stwardniał pod jej palcami.

– Zaklinam cię na nasienie życia, które nosisz, byś służył Pani ze wszystkich swoich sił.

Podawała flakonik Vivianie, która stanęła przy głowie Vortimera i zaczęła rysować znak na jego czole. Zamrugła, gdy wspomnienia, które nie pochodziły z tego życia, ukazały jej

jasnowłosego mężczyznę o oczach niebieskich jak morze, a potem chłopca z królewskimi smokami świeżo wytatuowanymi na rękach.

– Poświęcam Jej wszystkie twoje marzenia i pragnienia, twojego świętego ducha... – rzekła miękko i zdumiała się słodkim brzmieniem własnego głosu. Zastanowiła się, czy w tych innych żywotach darzyła go miłością. Podnosząc welon, pochyliła się i pocałowała go w usta, i przez chwilę widziała odbijający się w jego oczach wizerunek bogini.

Przyłączyła się do matki i Elen u stóp Vortimera. Gdy złapały się za ręce, poczuła oszałamiającą zmianę i chwilową panikę, gdy odeszło jej doczesne, „ja”. Drżała jak liść osiki. Znała obrzęd namaszczenia, choć nigdy wcześniej w nim nie uczestniczyła.

Potem jej własną świadomość zastąpiła Inna, skupiona na trzech postaciach stojących w kręgu, ale nie zawarta przez nie, tylko obejmująca cały świat. Viviana rozpoznawała pozostałe twarze Jej troistej natury, a jednak Ona była jedyną; chociaż przemawiała trzema parami ust, Jej słowa jednym głosem docierały do leżącego na dole człowieka.

– *Ty, który szukasz Bogini i wierzysz, iż wiesz, o co prosisz... Wiedz, że nigdy nie będę tym, czego się spodziewasz, ale zawsze czymś innym, i czymś więcej...*

Vortimer podniósł się i ukląkł na kamieniu. Jakże mały się zdawał i słaby.

– *Sluchasz Mojego głosu, atoli usłyszysz Mnie w milczeniu; pragniesz Mojej miłości, atoli kiedy ją otrzymasz, poznasz strach; błagasz Mnie o zwycięstwo, atoli w klęsce zrozumiesz Moją moc.*

*Czy wiedząc to wszystko, nadal jesteś gotów złożyć ofiarę? Czy oddasz Mi siebie?*

– Pochodzę od Ciebie... – Głos mu się załamał. – Mogę tylko oddać Ci Twoją własność... Nie proszę o nic dla siebie, tylko dla ludu Brytanii. – Gdy Vortimer odpowiedział, jasność w kręgu nasiliła się.

– *Jestem Wielką Matką wszelkiego stworzenia, mam liczne potomstwo. Myślisz, że ludzkie poczynania mogą zaprzepaścić tę ziemię albo oderwać ciebie ode Mnie?*

Vortimer skłonił głowę.

– *Jesteś wielki sercem, moje dziecko, tedy na pewien czas spełnią się twe pragnienia. Przyjmuję twoje usługi, jak przyjmowałam je wcześniej. Byleś świętym królem i cesarzem. Jednak znów powinieneś chronić Brytanię. Dokonasz rzeczy, które możliwe są do wykonania przez jednego człowieka, wszelako nie nadszedł jeszcze czas pokonania Saksonów. Inne imię będzie pamiętane przez wieki, a twoje wysiłki w tym życiu tylko uturują mu drogę... Czy to ci wystarcza?*

– Musi. Pani, przyjmuję Twoją wolę... – powiedział cicho.

– *Odpuść teraz. Jak ty Mi służyłeś, tak Ja dotrzymam danego ci słowa. Powrócisz, kiedy Brytania znów znajdzie się w potrzebie...*

Jego twarz rozpromieniła się, gdy Bogini zamknęła go w ramionach. Kiedy odeszła, Vortimer skulił się na kamieniu i zasnął jak dziecko.

Pod koniec lata słońce płonęło na bezchmurnym niebie i przemieniało trawę w złoto. Druidzi wykopali sadzawkę na skraju jeziora, gdzie kapłanki mogły zażywać kąpieli. W takie upalne dni odzienie nie było potrzebne; kobiety rozpościerały suknie na trawie, gdzie schły w promieniach słońca, a same gawędziły na ławkach w cieniu rozłożystego dębu.

Od ostatnich postrzyżyn włosy Viviany zdążyły odrosnąć, lecz wystarczał energiczny ruch głowy, aby otrząsnąć z nich wodę. Przyzwyczała się już do krótkiej fryzury, a w taki ciepły dzień nawet cieszyła się, że włosy jej nie ciążyą. Rozpostarła kaftan na murawie i położyła się, pozwalając słońcu spiekać plecy na brąz równy temu, jaki już pokrywał ręce i nogi. Jej matka siedziała na pieńku. Kryła się w cieniu, ale głowę odchyłała ku słońcu.

Julia czesała jej włosy. Zwykle były one zwinięte wokół głowy i przytrzymywane szpilkami, ale rozpuszczone opadały poniżej bioder. Gdy grzebień wznosił kolejne ciemne pasma, kasztanowe lśnienie przebiegało po nich falami płomienia. Mrużąc oczy, Viviana obserwowała, jak Ana pręży się z rozkoszy niczym kotka. Normalnie uważała, że matka jest mała i brzydka, pomarszczona i kanciasta – z wyjątkiem, oczywiście, rytuałów, kiedy przyoblekała się w piękno Bogini. Teraz jednak wyglądała urodziwie.

Niczym bogini w miniaturze: ciało wyrzeźbione ze starej kości słoniowej, płaski brzuch poznaczony srebrnymi rozstępami cięż, strzeliste, jędrne piersi. Sprawiała wrażenie szczęśliwej. Zaciekawiona Viviana spojrzała na przestrzał, jak ją nauczono, i zobaczyła aurę Any przesyconą różowym blaskiem. Najjaśniejszy płonął nad brzuchem. Nic dziwnego, że promieniała, oglądana także normalnym wzrokiem.

Zmroziło ją nagle podejrzenie. Viviana podniosła się. Ciągnąc kaftan za sobą, zbliżyła się do matki.

– Masz piękne włosy – zagadnęła zdawkowo. Ana otworzyła oczy. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Zdecydowanie zaszła w niej jakaś zmiana. – Miałaś wszak dużo czasu, żeby je zapuścić. Zostałaś kapłanką w wieku piętnastu lat, prawda? I następnego roku powiłaś pierwsze dziecko – dodała z zadumą. – Ja mam już dziewiętnaście. Nie sądzisz, matko, iż nadszedł czas mojej inicjacji, żebym też mogła zacząć zapuszczać włosy?

– Nie. – Ana nie zmieniła pozycji, ale napięła mięśnie.

– Dlaczego? Jestem najstarszą nowicjuską w Domu Dziewcząt. Czy mam zostać najstarszą dziewicą w historii Avalonu?

Ana usiadła. Złość nie do końca przysłoniła jej dobrotliwy nastrój.

– Ja jestem Panią Avalonu, i tylko ja mogę zadecydować, czy jesteś gotowa!

– Jakiej to lekcji nie opanowałam? Jakiego zadania nie wypełniłam? – krzyknęła Viviana.

– Posłuszeństwa! – Ciemne oczy błysnęły i Viviana poczuła moc matki niczym podmuch gorącego wiatru.



– Doprawdy? – Viviana sięgnęła po ostatnią broń. – A może po prostu czekasz, żeby się mnie pozbyć, kiedy urodzisz dziecko, które właśnie nosisz?

Zobaczyła rumieniec na twarzy matki i poznała, że jej osąd był trafny. Przypuszczała, że stało się to w dzień letniego przesilenia. Zastanowiła się, kto jest ojcem albo czy wiedział o swoim ojcostwie.

– Powinnaś się wstydzić! Brzemienna w tym wieku, kiedy ja powinnam uczynić cię babcią!

Chciała, żeby zabrzmiało to wyzywająco, ale nawet sama usłyszała potulne brzmienie własnego głosu. Twarz jej stanęła w płomieniach. Gdy Ana zaczęła się śmiać, Viviana odwróciła się, wlokąc kaftan. Śmiech matki ścigał ją jak przekleństwo, kiedy uciekała.

Po aktywnie spędzonym lecie Viviana była zahartowana i w doskonałej kondycji. Biegła, nie wybierając drogi, i nogi zaniosły ją na ścieżkę okrążającą jezioro, z dala od Toru. Słońce wysuszyło błoto na dużych połaciach moczarów i wkrótce znalazła się dalej od Avalonu niż kiedykolwiek. Nie zaprzestawała biegu.

Zatrzymało ją nie zmęczenie, tylko mgła, która podniosła się zniecka i zaćmiła światło. Viviana zwolniła, serce jej waliło. Powiedziała sobie, że to tylko lądowa mgła, wyssana z podmokłej ziemi przez żar słońca. Ale takie opary pojawiały się zwykle o zachodzie słońca, kiedy noc zaczynała chłodzić powietrze, a przecież do zmierzchu było jeszcze daleko. Otaczał ją srebrzysty blask, padający z nieokreślonego kierunku.

Viviana przystanąła i rozejrzała się dokoła. Powiadano, że Avalon został wciągnięty w miejsce leżące w połowie między światem ludzi a Czarowną Krainą. Ci, którzy znali zakłęcie, przechodzili przez mgły i docierali do ludzkiego brzegu. Ale niekiedy coś szło nie tak, jak powinno, i jedna czy druga osoba gubiła się w innej sferze.

Gdyby moja matka była mądrzejsza, pomyślała Viviana, pokryta lepkiem potem, który powoli wysychał na skórze, pozwoliłaby mi spróbować przebyć mgły od strony śmiertelnego świata.

Mleczna zasłona zrzędła; Viviana zrobiła krok i stanęła jak wryta, zbocze bowiem, które ukazało się jej oczom, porośnięte było bujną zielenią i nie znanymi jej kwiatami. Widok był piękny, lecz nie należał do żadnej znanej jej krainy.

Po drugiej stronie wzniesienia ktoś nucił. Śpiewak miał dość przyjemny głos, ale nie potrafił utrzymać tonacji. Viviana ostrożnie rozsunała paprocie i wyjrzała.

Wśród kwiecica siedział jakiś starzec. Miał wygoloną tonsurę jak druid, lecz nosił bezkształtny kaftan z ciemnej wełny, a na jego piersiach spoczywał drewniany krzyż. Przejęta zdumieniem, musiała nieopatrnie narobić hałasu, bo starzec odwrócił głowę. Popatrzył na nią z uśmiechem.

– Bądź błogosławiona, czarodziejko – powiedział cicho, jakby się bał, że zniknie.

– Co tutaj robisz? – zapytała, schodząc ku niemu.

– Mógłbym zapytać cię o to samo. – Omiótł wzrokiem jej podrapane nogi i spocone czoło. – Bo choć naprawdę wyglądasz jak dziewczę z Czarownego Ludu, musisz być śmiertelniczką.

– Widziałeś ich? – zawołała z przejęciem.

– Było mi to dane, i choć moi bracia w wierze ostrzegają, iż stworzenia te są demonami czy złudami, nie przypuszczam, by coś tak pięknego mogło być złe.

– W takim razie, wnosząc z tego, co słyszałam, wielce niezwykły z ciebie mnich. – Viviana przysiadła obok staruszka.

– Obawiam się, że masz rację. Nie mogę przewyciężyć odczucia, że nasz Pelagiusz miał rację, kiedy powiedział, iż człowiek może osiągnąć niebo, żyjąc cnotliwie i w zgodzie ze wszystkimi. Zostałem wyświęcony przez biskupa Agrykolę i przybrałem imię Fortunatusa. Mój patron uważał za herezję doktrynę Augustyna, która mówi, że wszyscy rodzą się grzesznikami i ich zbawienie zależy tylko od kaprysu Boga. Ale w Rzymie są innego zdania, dlatego tutaj, w Brytanii, jesteśmy prześladowani. Bracia z Inis Vitrin przyjęli mnie i wyznaczyli do pilnowania kaplicy na Wyspie Ptaków.

Uśmiechnął się. Raptem jego spojrzenie wyostrzyło się. Wyciągnął rękę, wskazując coś za plecami Viviany.

– Sza! Oto ona, śliczna, widzisz?

Viviana powoli odwróciła głowę i zdążyła zobaczyć, jak opalizujące migotanie, promieniujące z krzaka czarnego bzu, zestala się w smukłą postać, odzianą w lśniące granatowe szaty, w koronie z białych kwiatów.

– Dobra matko, witam cię – wymamrotała, nisko chyląc głowę i wznosząc ręce w rytualnym pozdrowieniu.

– Oto dziewczę starej krwi, siostry – powitajmy ją! – Gdy duch przemówił, w powietrzu zaroily się jasne istoty w strojach w setkach odcieni. Przez chwilę wirowały wokół Viviany; czuła mrowienie, wywołane pieszczotą ich niematerialnych rąk. Potem, z perlistym śmiechem, istoty uleciały.

– Aha, teraz rozumiem. Pochodzisz z tej drugiej wyspy, z Avalonu. – Ojciec Fortunatus pokiwał głową.

Przytaknęła.

– Nazywam się Viviana.

– Mówią, że to błogosławiona wyspa – powiedział tylko. – Jak się wydostałaś?

Popatrzyła na niego podejrzliwie, a on odpowiedział rozbrajająco niewinnym spojrzeniem. Poznała, że nigdy nie wykorzysta przeciwko niej niczego, co mu powie, ani przeciw jej matce – zapytał, ponieważ martwił się o nią.

– Wpadłam w złość. Moja matka jest brzemienna – w tym wieku! – a mnie nadal traktuje jak dziecko! – Viviana potrząsnęła głową; w tej chwili z niejakim trudem przypominała sobie przyczynę wściekłości.

Ojciec Fortunatus szeroko otworzył oczy.

– Nie mam prawa ci radzić, niewiele bowiem wiem o niewieścim rodzaju, ale z pewnością nowe życie jest powodem do radości, tym bardziej gdy jego przybycie jest swego rodzaju cudem. Z pewnością matka będzie potrzebowała twojej pomocy. Czyż słodki ciężar dziecka w ramionach nie sprawi ci radości?

Tym razem zdumiała się Viviana, bo, ogarnięta oburzeniem, wcale nie myślała o dziecku. Biedne maleństwo, jak długo Pani będzie mu matkować? To jej będzie ono potrzebowało, nawet jeśli Ana obejdzie się bez jej wsparcia. Uznała ojca Fortunatusa za zabawnego staruszka, ale rozmowa z nim podniosła ją na duchu.

Popatrzyła w górę, rozmyślając, czy zdoła znaleźć drogę powrotną. Zobaczyła, że bezkierunkowe srebrzyste światło ściemniało do purpurowego zmierzchu usłanego jasnymi rozbłyskami.

– Masz rację, pora wracać do świata – powiedział kapłan.

– Jak znalazłeś drogę?

– Widzisz ten kamień? Jest tak stary, że stoi również na Wyspie Ptaków, i kiedy na niego wstępuję, mogę wejść kilka kroków do Czarownicy Krainy. Istnieje wiele takich miejsc mocy, jak sądzę, gdzie cienkie są woale między światami. Przyszedłem po mszy niedzielnej, żeby słać boskie dzieło stworzenia, jeśli bowiem On jest Stwórcą wszystkiego, z pewnością powołał do istnienia także to miejsce, a nie znam piękniejszego. Jeśli wrócisz ze mną, dziewczeczko, zostaniesz dobrze przyjęta. Na Wyspie Briga są święte niewiasty, które udziela ci schronienia...

Takiej okazji wyglądałam, pomyślała Viviana, aby uciec i samodzielnie decydować o własnym losie. Ale pokręciła głową.

– Muszę wracać do swojego domu. Może znajdę inne podobne miejsce, w którym woale cienieją.

– Dobrze, ale pamiętaj o tym kamieniu. Zawsze będziesz mile widziana, gdy zechcesz się ze mną spotkać. – Starzec wstał i wyciągnął ręce w błogosławieństwie, a Viviana zasłoniła się, jakby był starszym druidem.

Bogini, prowadź mnie, pomyślała, gdy kapłan zniknął w roziskrzonym mroku. Moje słowa były śmiałe, lecz nie mam pojęcia, w którą stronę się skierować.

Podniosła się i zamknęła oczy, wyobrażając sobie wyspę Avalon spowitą purpurowym blaskiem zmierzchu, z resztkami różowego żaru jarzącymi się na wodach jeziora. I gdy uciszyła myśli, zewnątrz cichość zmaćił srebrzysty deszcz pierwszych taktów muzyki. Ich piękno było niemal nieziemskie. Od czasu do czasu w melodię zakradała się jednak fałszywa nuta i po tych chwilach ludzkiej niedoskonałości poznała, że słyszy nie muzykę elfów, ale pieśń niezrównanego mistrza harfy.

Tak jak niebo w Czarownicy Krainie nigdy nie było całkowicie jasne, tak nigdy do końca nie ciemniało. Purpurowy zmierzch pozwalał dostrzegać drogę i Viviana powoli kierowała się

w stronę źródła dźwięków. Muzyka, coraz głośniejsza, brzmiała tak żałośnie, że zbierało jej się na płacz. Nie tylko sama melodia ścisnęła za serce, ale i przenikająca ją tęsknota. Pieśń smutku, pieśń nostalgii, płynęła przez wzgórza i wodę, wzywając wędrowca do domu...

*Śnieg zimy jest biały i piękny...  
Przemija, a ja go oplakuję...  
Topi się, obnażając wilgotną nagą ziemię.  
Och, być może powróci,  
ale już nie Ten sam.*

I Viviana, kierowana muzyką, wreszcie znalazła się na łące, na którą już zaczynała napływać mgła podnosząca się na podmokłym terenie. W dali na tle nieba rysował się wyraźny kontur Toru. Jej spojrzenie przywarło jednak do czegoś bliższego – do Taliesina, który siedział, grając na harfie, na wygładzonym szarym kamieniu.

*Kwiat rozchyła płatki na wiosnę...  
Przemija, a ja go oplakuję...  
Przekwita, by zrodzić owoce.  
Och, być może powróci,  
ale już nie ten sam.*

Czasami w trakcie gry wizje wyczarowane muzyką stawały się takie żywe, że bard miał pewność, iż mógłby ich dotknąć, gdyby tylko oderwał palce od strun. Zbliżająca się ku niemu dziewczyna, smukła postać otulona mgłami Czarownicy Krainy, wyglądała na mieszkankę tamtego świata. Stąpała z uniesioną wysoko głową i tak lekko, że nie mógł być pewien, czy dotyka ziemi. Jeśli jednak była zjawą, to musiała pochodzić z Avalonu, bo posuwisty krok był chodem kapłanki.

*Na letnim polu złocą się kłosy...*

Patrzył na nią, oszołomiony, a jego palce pomykały po strunach. Znał ją, lecz była obca, gdyż sercem wzywał umiłowane dziecko, a nadchodziła kobieta, piękna kobieta.

*Zżęte na chleb przed chłodem zimy.*

Potem wykrzyknął jej imię i to przełamało czar. Ledwie zdążył odłożyć harfę, gdy ze szlochem padła mu w ramiona.

– Viviano, moje dziecko... – Gładził ją po plecach, świadom, że to nie ciało dziecka spoczywa w jego ramionach. – Martwiłem się o ciebie.

Odsunęła się i popatrzyła mu w oczy.

– Byłeś przerażony, słyszałam to w twojej pieśni. A moja matka? Też się bała? Zastanawiałam się, czy już przeczesują bagno.

Taliesin wrócił myślami do niedawnych wypadków. Pani mówiła niewiele, ale w jej oczach dostrzegł obłądny strach.

– Też była przerażona. Dlaczego uciekłaś?

– Byłam zła. Nie obawiaj się nie zrobię tego ponownie... nawet po narodzinach dziecka. Wiedziałaś? – zapytała.

Zasłużyła na prawdę, pomyślał i przytaknął.

– Zdarzyło się to przy ogniach letniego przesilenia. – Zobaczył zrozumienie rodzące się w jej oczach i zastanowił się, czemu ogarnął go wstyd.

– Więc tym razem – zaczęła piskliwie – pamiętasz. Teraz nie jestem potrzebna ani tobie, ani jej.

– Viviano, to nie tak! – zaprotestował. Chciał powiedzieć, że zawsze będzie jej ojcem, zwłaszcza teraz, kiedy jej matka nosi jego dziecko... W tej chwili, kiedy tak bardzo przypominała młodą Anę, stwierdził, że jego uczucia nie są całkowicie ojcowskie, i nie wiedział, co rzec.

– Nie wyświęci mnie na kapłankę! I co ja mam zrobić!

Taliesin-mężczyzna był zbity z tropu, lecz zareagował na skargę jako kapłan.

– Jest jedna rzecz, jaką możesz zrobić właśnie dlatego, że jesteś dziewicą. To coś, czego ogromnie potrzebujemy. Cztery Skarby znajdują się w pieczy druidów. Mieczem i Włócznią mogą zajmować się nasi kapłani, a Tacą jedna z kobiet, lecz Kielicha może dotykać jedynie dziewica. Czy przyjmiesz na siebie taką odpowiedzialność?

– A matka pozwoli?

Zobaczył, że boleść na jej twarzy ustępuje nabożeństwu.

– Myślę, że wola Bogini jest, abys tak uczyniła, Viviano, a Jej nie sprzeciwi się nawet Pani Avalonu.

Uśmiechnęła się, lecz w sercu Taliesina nadal zalegał smutek, a w myślach rodził się nowy wiersz, jak gdyby część wcześniejszej pieśni...

*Figlarne, roześmiane dziecko...*

*Przemija, a ja je oplakuję...*

*staje się piękną kobietą.*

*Och, być może powróci,*

*ale już nie to samo.*

W Zachodnim Kraju rolnicy spieszyli żąć zboże sierpami, a na wschodzie Saksonowie zbierali krwawe żniwo orężem. Pogłoski jak rozkrakane wrony polatywały po całym kraju. Jedna banda wojowników, pod wodzą Hengesta, spaliła Callevę; inni, dowodzeni przez jego brata Horzę, odstąpili z niczym spod murów Venta Belgarum napadli z furią na Sorviodunum.

Dalej na północ leżało bogate Aquae Sulis i żyzne ziemie Mendipów. Mieli też do wyboru inny szlak, mniej uczęszczany, wiodący prosto na zachód do Lindinis.

Saksonowie byli zbyli nieliczni, żeby zasiedlić podbite krainy, mieli jednak dość wojowników, aby je tak okaleczyć, by stały się łatwiejszą ofiarą jakiegoś późniejszego ataku. Barbarzyńcy, jak mówiono, nie dbali o miasta ani o warsztaty. Zależało im tylko na ziemi – żyznej ziemi, leżącej wysoko, która nie mogła zostać pochłonięta, jak w ich ojczyźnie, przez słone fale morza.

Ludzie z Kraju Lata kiwali głowami i powtarzali jeden drugiemu, że powinni być w miarę bezpieczni na swoich bagnach, ale rok był tak suchy, że miejsca przez większość czasu skryte pod wodą teraz pokrywał kobierzec żywej zieleni.

Viviana nie poświęcała większej uwagi sytuacji kraju. Barbarzyńcy mogli spustoszyć wszystko, ale Avalon był niedostępny. Nie przejmowała się nawet widoczną już ciążą matki, Taliesin bowiem dotrzymał słowa i wreszcie przydzielono jej samodzielne zadanie. Wcześniej wraz z innymi nowicjuszkami zgłębiała wiedzę o Czterech Skarbach, ale później stwierdziła, że to zaledwie początek, choć wiedziała dużo więcej niż większość ludzi. Teraz już nie potrzebowała wiedzy – zajmowanie się świętymi przedmiotami wymagało nie mądrości głowy, tylko serca. Aby zostać Strażniczką Graala, musiała ulec przemianie.

W pewien sposób szkolenie było bardziej żmudne i uciążliwe od nowicjatu, ale dużo bardziej konkretne. Codziennie kąpała się w wodzie ze świętej studni. Pozostawała na lekkiej diecie, ograniczonej do samych owoców i warzyw z odrobiną zboża, bez mleka i sera. Wychudła i miewała niekiedy zawroty głowy; poruszała się tak, jakby musiała pokonać opór wody. W otaczającym ją migotliwym świetle wszystko stało się dla niej przejrzyste i nawet podwójny wzrok wyostrzył się jeszcze bardziej.

W miarę postępów szkolenia coraz lepiej rozumiała, dlaczego znalezienie dziewicy do tego zadania nastęrczało takie trudności. Dziewczynie zabrakłoby sił ciała lub umysłu, aby sprostać wymaganiom, a młoda kobieta w jej wieku zwykle już była kapłanką i egzekwowała swoje prawo do uczestniczenia w obrzędzie przy ogniu Beltane. Młodsze dziewczęta, które wcześniej zastanawiały się, jaka ułomność opóźnia jej inicjację, teraz patrzyły na nią z nabożnym podziwem.

Gdy ciąża zniekształciła ciało matki, Viviana poruszała się z pogodą i wdziękiem, triumfalnie obnosząc swoje dziewictwo. Wiedziała, że Graal, jak bogini, objawia się na wiele sposobów, ale dla niej najważniejsza była postać, pod jaką strzegli go druidzi – jako promienne naczynie niepokalanej czystości.

W przeddzień jesiennego przesilenia, kiedy rok balansował na progu między słońcem a cieniem, druidzi przybyli po Vivianę. Odziali ją w szatę, której biel była bardziej nieskazitelna od ich strojów, i w milczącej procesji powiedli do podziemnej komory. Leżał tam miecz na kamiennym ołtarzu, w pochwie spękanej i łuszczącej się ze starości. O ścianę wspierała się włócznia. Obok niej widniały wykute dwie nisze. W dolnej na białej serwecie

spoczywała szeroka taca. W górnej... Viviana wstrzymała oddech, gdyż po raz pierwszy ujrzała Graala.

Nie umiała powiedzieć, jak by wyglądał dla nie wtajemniczonych oczu – może jak gliniany kubek albo srebrny puchar, albo szklana misa połyskująca mozaiką bursztynowych kwiatów. Jej jawił się jako naczynie tak czyste, iż zdawało się uczynione nie z kryształu, a z samej wody, która zapragnęła przyjąć kształt czary. Zapewne, pomyślała, jej śmiertelne palce przeniknęłyby przez niego na wskroś. Ale powiedzieli jej, że ma go podnieść, więc podeszła.

Znalazszy się bliżej, poczuła najpierw jakby lekki opór, potem prąd, z którym musiała walczyć jak w drodze w górę strumienia. A może, pomyślała mgliście, była to wibracja, bo teraz – o ile nie dzwoniło jej w uszach – słyszała słodki pomruk. Brzmiał cicho, ale szybko zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Przemknęło jej przez głowę, że może rozkruszyć jej kości.

I ogarnął ją strach. Obejrzała się – druidzi patrzyli na nią wyczekująco, pragnąc, aby szła dalej. Powiedziała sobie, że atakujący ją lęk jest irracjonalny, lecz to nie pomogło – strach nie zelżał.

A jeśli to wszystko było spiskiem uknutym przez Taliesina i matkę, mającym na celu pozbycie się jej? Niezależnie jednak, czy było to prawdą czy wymysłem, wiedziała, że dotknięcie Graala w stanie przerażenia niechybnie zakończy się jej śmiercią. Powiedziała sobie, że wcale nie musi tego robić. Może odwrócić się i odejść... i żyć we wstydzie. Śmierć byłaby lepsza od takiego życia, więc nie miała nic do stracenia. Postanowiła podnieść Graala.

Popatrzyła na święte naczynie i tym razem zobaczyła kocioł, który zawierał kosmiczne morze brzemienne gwiazdami. Z ciemności dobiegł głos, tak cichy, że ledwo słyszalny, a jednak czuła go każdą częścią ciała.

– Jam jest zanikiem, rozkładam wszystko, co przeminęło; ze Mnie wytryska wszystko, co ma nadejść. Obejmij Mnie, a Moje ciemne wody uniosą cię, jestem bowiem Kotleń Poświęcenia. Jestem także naczyniem Narodzin i w Moich głębiach narodzisz się na nowo. Córko, przybędziesz do Mnie i poniesiesz Moją moc światu?

Łzy spłynęły po policzkach Viviany, ponieważ w głosie tym słyszała nie Anę, lecz prawdziwą Matkę, za którą zawsze tęskniła. Osiągnęła punkt równowagi, który leży między Ciemnością a Światłem, i podniosła Graala.

Skrząca się promienność i promienne skrzeczenie, będące jednym i drugim, i zarazem żadnym, zaczęło pulsować w komorze. Jeden druid krzyknął i uciekł, inny osunął się zemdłony. Twarze pozostałych wyrażały bezbrzeżne zdumienie, a gdy Dziewica – świadoma, że jest teraz czymś więcej niż Vivianą – podniosła Graala, rozświetliła je radość.

Ona przeszła między nimi i wspięła się po schodach, unosząc w dłoniach święte naczynie. Statecznym krokiem pokonała ścieżkę wiodącą do świętej studni i tam, gdzie woda wznosiła się nieprzerwanie z tajemnych źródeł, uklękła i napełniła czarę. Blask rozjaśnił studzienną niszę, w której skrywano flakonik ze świętą krwią, powierzony opiece kapłanek przez ojca Józefa. Woda tryskająca ze świętego źródła była przejrzysta i krynicznie czysta, ale

zostawiała na kamieniach krwawe ślady. Gdy Viviana podniosła naczynie napełnione po brzegi, Graal zaczął pulsować różowym żarem.

Światło niewypowiedzianej piękności płonęło niczym świt o północy, gdy ruszyła Ścieżką nad jezioro. Tam wzniosła Graala raz jeszcze i wylała jego zawartość. Odmienionym wzrokiem widziała, jak studzienna woda poniosła z sobą blask, który rozpościerał się połyskliwymi cętkami coraz dalej i dalej, póki nie zajaśniał opalizującą powłoką na całym jeziorze. Wiedziała, że wszystko, czego dotknie ta woda, otrzyma błogosławieństwo – nie tylko w Avalonie, ale na całym świecie.

Ceremonia z Graalem przepelniła Vivianę wielkim spokojem. Ale w zewnętrznym świecie nadal grasowali Saksonowie.

Pewnego wieczoru kilka tygodni później, kiedy dni zaczęły skracać się z nadejściem Samhainu, jedna z dziewcząt przybiegła znad jeziora z wieścią, że nadpływa jakaś łódź. Wiosłował Heron, mieszkaniec bagien znający zakłęcie umożliwiające przebycie mgieł, a pasażerem, sądząc po stroju, był mnich z Inis Witrin. Nim Najwyższa Kapłanka zdążyła wyrzec słowo, wszyscy, którzy usłyszeli wiadomość, gromadnie pospieszyli na brzeg.

Łódź osiadła na grząskim dnie. Wioślarz zostawił mnicha, który z zawiązanymi oczami siedział na rufie, i pobrnął przez płycizny do brzegu.

– Ojciec Fortunatus! – zawołała Viviana.

Ana obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem, lecz nie miała czasu na zadawanie pytań.

– Heronie, czemuś przywiózł tego obcego bez mojej zgody?

Głos Najwyższej Kapłanki rzucił mężczyznę na kolana. Pochylił się, bijąc czołem w błoto, podczas gdy mnich odwrócił głowę, jakby mógł widzieć uszami. Ręce miał wolne, jednakże nie próbował zdjąć opaski.

– Pani, przywiódłem go, by mówił za mnie! Wilkołaki... – Potrząsnął głową i zamilkł, trzęsąc się jak osika.

– Mówi o Saksonach – przemówił wówczas Fortunatus. – Splądrowali Lindinis i teraz idą tutaj. Wioskę Herona, która leży na południowym brzegu jeziora, już trawia płomień. Jego ludzie znaleźli schronienie w naszym opactwie, ale jeśli Saksonowie tam trafią, co wydaje się wielce możliwe, my nie stawimy im oporu. Nie wiń tego człowieka, to był bowiem mój pomysł. My z opactwa jesteśmy gotowi ponieść męczeńską śmierć za naszą wiarę, ale ci niewinni ludzie, ich żony i dzieci nie powinni umierać. Trudziliśmy się, aby ich nawrócić, jednakże nadal bardziej wierzą w starych bogów niż w nowych. Żadna znana mi moc nie może ich ochronić, prócz mocy Avalonii.

– Jesteś osobliwym mnichem, jeśli tak uważasz! – zdumiała się Najwyższa Kapłanka.

– On jest tym, który widuje Czarowny Lud i cieszy się jego łaskami – powiedziała Viviana.

Mnich z uśmiechem obrócił głowę w jej stronę.



– To ty, czarowna dziewczeczko? Cieszę się, słysząc, że bezpiecznie wróciłaś do domu.

– Wysłuchałam twojej prośby, lecz nie mogę podjąć decyzji od razu – zawyrokowała Ana. – Musisz poczekać, póki nie odbędziemy narady. A jeszcze lepiej będzie, gdy Heron zabierze cię do swoich. Jeśli postanowimy pospieszyć z pomocą, nie musisz pokazywać nam drogi!

Narada w sali spotkań trwała do nocy.

– Od czasów Karauzjusza istnienie Avalonu skrywała tajemnica – dowodziła Elen. – Wcześniej, jak słyszałam, Najwyższe Kapłanki niekiedy ingerowały w sprawy świata, z różnym skutkiem. Nie sądzę, że powinniśmy zmieniać politykę, która służyła nam tak dobrze.

Jeden z druidów energicznie pokiwał głową.

– Jak najbardziej, i wydaje mi się, że ten atak, w całym swoim okropieństwie, tylko dowodzi wartości naszej izolacji.

– Saksonowie są poganami – rzekł Nectan. – Może wyrządzą nam przysługę i oczyszczą kraj z chrześcijan, którzy zwą naszą Boginię demonem i zabijają nas jako czcicieli swojego diabła.

– Przecież Saksonowie mordują nie tylko chrześcijan! – rzuciła zapalczywie Julia. – Jeśli wybiją bagienny lud, kto obsadzi łodzie wożące nas tam i z powrotem?

– Pozostawianie na lasce losu tych, którzy służyli nam tak długo i dobrze, byłoby haniebnym postępkim – wtrącił młodszy Druid.

– I chrześcijanie z opactwa są inni – dodała nieśmiało Mandua. – Czyż Matka Caillean nie przyjaźniła się z ich założycielem?

– Jeśli nie teraz, to kiedy wreszcie skorzystamy z naszej mocy? – zapytał młody druid. – Po co uczymy się magii, skoro nie posługujemy się nią w potrzebie?

– Musimy poczekać na Oswobodziciela, którego obiecali nam bogowie – powiedziała Elen. – On weźmie Miecz i wypędzi tych złoczyńców z naszej ziemi!

– Oby narodził się niedługo! – westchnęła Mandua.

Dyskutowali, kiedy Viviana, już nie panując nad rozdrażnieniem, wyszła z sali. Ojciec Fortunatus dał jej jedynie dobre rady, lecz nie mogła o nim zapomnieć. Z pewnością nie wszyscy chrześcijanie byli zaślepionymi fanatykami, skoro żyli wśród nich tacy ludzie jak on. Wiedziała, że nadal istnieje związek między Avalonem a Inis Witrin. Kapłanki chełpiły się swoim bezpieczeństwem, lecz ją nurtowało pytanie, jaki skutek na Avalonie wywarłoby zniszczenie Inis Witrin.

Jak często bywało w owe dni, same nogi zaniósły Vivianę do sanktuarium, w którym przechowywano Skarby. Miała prawo zachodzić tam wedle życzenia i druid stojący na warcie bez słowa odsunął się na bok.

Dlaczego ich pilnuje? – zaciekawiła się, kontemplując widmowe migotanie mocy, które przenikało przez okrywające je sztuki materiału. Prawda, użyła Graala do pobłogosławienia

kraju, ale Avalon już był święty. Ziemia potrzebująca błogosławieństwa leżała w zewnętrznym świecie. Nikt nie dzierżył Miecza od czasów Gawena; nie miała pojęcia, kiedy ktoś po raz ostatni korzystał z Tacy czy Włóczni. Dla kogo były oszczędzane?

Jak gdyby Graal odczytał jej myśli, od strony niszy dobiegł jaśniejszy blask. On chce tego, pomyślała w zdumieniu. Chce służyć światu!

Przebiegła w myślach parę minionych dni. Choć rytualna wstrzeźliwość w ostatnich tygodniach przed zrównaniem została złagodzona, ona nadal przestrzegała surowej diety, a dziś z powodu ekscytujących wydarzeń nie zjadła nic od południa. Odetchnęła głęboko i ruszyła do Graala.

– Co robisz? – Taliesin stanął w wejściu, z wyraźnym strachem w oczach. – Nie było przygotowań, żadna ceremonia...

– To, co musi zostać zrobione. Jesteście zbyt podzieleni, aby cokolwiek przedsięwziąć, ale ja widzę tylko potrzebę i czuję, że Graal pragnie działania. Odmówisz mi racji?

– Masz rację. Ty jesteś Strażniczką – przyznał niechętnie. – Lecz jeśli mylnie zrozumiałaś jego intencje, Graal porazi cię...

– Ryzykuję własne życie, i mam do tego prawo... – rzekła łagodnie i zobaczyła zmianę w jego twarzy. Omylny człowiek ustąpił komuś większemu. Jak zdarzało się w czasie obrzędów i przy innych okazjach.

– Jak przejdiesz na drugą wyspę?

– Gdy tylko będę miała zamiar tam pójść, Graal wskaże mi drogę.

Pochylił głowę.

– Tak. Idź do studni i obejdź ją trzy razy, skupiając myśli na miejscu, do którego chcesz się udać, a kiedy skończysz trzecie okrążenie, zostaniesz tam przeniesiona. Nie mogę ci zakazać, lecz pójdę, jeśli zezwolisz, aby nad tobą czuwać...

Viviana przyzwoliła. Gdy tylko podniosła Graala, odeszły ją ludzkie zmysły.

Taliesin rozumiał, że Tajemnice Avalonu nie zostały naruszone, Dziewica unosząca Graala ze skarbca nie była już bowiem Vivianą. On sam zachował dość przytomności umysłu, aby w pełni odczuwać strach i nabożny podziw, gdy wkroczyli między światy. Słodka ciemność Avalonu ustąpiła swądowi, a nocny śpiew świerszczy jękom umierających ludzi.

Wojownicy Białego Smoka atakowali Inis Witrin. Kilka budynków już stało w płomieniach. Ciemnocy ludzie bagien próbowali stawiać opór, lecz padali jak dzieci pod śmiercionośnymi razami Saksonów. Bój przenosił się coraz dalej od pustelni skupionych wokół starego kościółka, do mnisiego sadu i w okolice szop wzniesionych poniżej studni.

Dziewica stanęła przed studnią, patrząc z góry na krwawą scenę. Przytulony do jej piersi Graal, nadal przysłonięty woalem, użyczał blasku całemu jej ciału. Z głębi domku kryjącego studnię zaczął emanować rudawy poblask, jakby w odpowiedzi. Ktoś zobaczył

Dziewicę i krzyknął. Mieszkańcy bagien cofnęli się, ale Saksonowie, słysząc słowo „skarb”, ruszyli ku niej biegiem, wyjąc jak wilki na szlaku.

Zaatakowali z furią szalejącego pożaru. To prawda, pomyślał Taliesin, moc Wody powinna ich pokonać. Choć ich wycie zaćmiewało mu rozsądek, przezornie stanął szybko za Dziewicą, która stawiała im czoło z niewzruszonym spokojem. Kiedy widział już wyraźnie odbicie blasku na wyszczerzonych zębach pierwszego mężczyzny, zdjęła welon z Graala.

– Och, ludzie krwi, ujrzyjcie krew swojej matki! – zawołała czystym głosem i jęła wylewać wodę zaczerpniętą ze studni w Avalonie. – Chciwcy, macie upragniony skarb i pójďte do Mnie!

Według Taliesina ku wojownikom popłynęła rzeka światła tak jaskrawego, że ledwo widział na oczy. Saksonowie zaczęli potykać się jak ślepcy i krzyczeć coś o ciemności. A potem woda pochłonęła ich i wszyscy potonęli.

W ciągu następnych dni powstało tyle relacji na temat tego zdarzenia, ile było widzących je oczu. Niektórzy mnisi przysięgali, że pojawił się sam święty Józef, z płonąca w dłoni flaszą z krwią Chrystusa, którą przywiózł był do Brytanii. Ci Saksonowie, którzy przeżyli, klęli się, że tuż przed podniesieniem się rzeki otaczającej ziemię ujrzeli wielką królową Podziemnego Świata. Mieszkańcy bagien, uśmiechając się tajemniczo, mówili między sobą o bogini studni, która już kiedyś pomogła im w potrzebie.

Być może najbliższy prawdzie był Taliesin, który wiedział, że w przypadku niezemskich zjawisk ludzkie słowa mogą tylko zniekształcić rzeczywistość. Relacjonując Najwyższej Kapłance przebieg wydarzeń, przemilczał ich nadnaturalne szczegóły.

Sama Viviana nie potrafiła nic powiedzieć – pozostało jej tylko wspomnienie glorii. I wianek z czarownych kwiatów, przysłany przez ojca Fortunatusa za pośrednictwem mieszkańca bagien.

## 20

Zima mijała spokojnie. Pierwsze chłody zmusiły rabusiów do powrotu do legowisk na wschodzie, a ich ofiary opatrywały rany i zaczynały odbudowywać domy. Nowiny mówiły, że synowie Vortigerna wyparli Hengesta z powrotem na wyspę Tanatus i tam go oblegali. Świat cierpliwie wyczekiwał wiosny; w Avalonie wszyscy czekali na narodziny dziecka Pani.

Po najeździe Saksonów Viviana jeszcze raz poprosiła matkę o zgodę na poddanie inicjacji, ale nie była zaskoczona odmową. Ana powiedziała, że aby wziąć sprawę we własne ręce, córka najpierw musi nauczyć się karności. Jediną rzeczą usprawiedliwiającą postępek Viviany było to, że osiągnęła sukces. Najwyższa Kapłanka nie mogła skrytykować tego, co zaaprobował sam Graal, lecz nie musiała nagrażać samowoli córki.

Tym razem Viviana się nie skarżyła. Wiedziała, podobnie jak matka, że w każdej chwili może po prostu odejść, jeśli będzie miała takie życzenie. Momentem przełomowym miały być narodziny dziecka i jego płeć – dziewczynka mogłaby ją zastąpić. Tak więc Viviana, podobnie jak Ana, z narastającą niecierpliwością czekała na nadejście wiosny.

Minął festiwal Brigi i płatki zaczęły osypywać się z gałęzi jabłoni. W miarę jak zbliżała się pora równonocy, łąki, porośnięte żywą zielenią po zimowych zalewach, coraz bujniej stroiły się w mleczę, drobne purpurowe storczyki i białe gwiazdki dzikiej pietruszki. Na podmokłych terenach można było znaleźć kwitnące na białą jaskry i rozproszone złote nagietki; na brzegach zółcił się tatarak, a pierwsze niezapominajki przypominały okruchy nieba. Pogoda stała się kapryśna – jeden dzień był burzowy, przypominając chłody zimy, następny uśmiechał się obietnicą słońca. Dziecko Any, bezpieczne w łonie, rosło niezależnie od pogody.

Wspierając się na lasce, Ana podniosła się z ławy i podjęła wspinaczkę. Aż do tej chwili nie przyszło jej do głowy, by nazywać „wspinaczką” coś, co młodsze kapłanki robiły tuzin razy dziennie. W obecnym stanie odpoczynek na ławce ustawionej w połowie drogi między brzegiem jeziora a salą spotkań dla wygody starszych członków wspólnoty był wielce pożądany. Laska w zasadzie nie służyła jej do podpierania, tylko do zachowania równowagi w wypadku, gdyby potknęła się o kamień. Wystający brzuch uniemożliwiał jej patrzenie pod nogi.

Z mieszaniną rozdrażnienia i dumy omiotła wzrokiem wypukłość brzucha. Z pewnością musiała wyglądać jak koń pchający wóz. Cięża, która przydałaby godności wyższej kobiecie, w jej przypadku wyglądała groteskowo. Taliesin był chudy, ale nie brakowało mu wzrostu, i Ana przypuszczała, że dziecko wdało się w niego. Miała nadzieję, że poród przebiegnie bez komplikacji. Pierwsze dwie córki urodziła bez większych problemów, a były one duże i słusznej wagi. Narodziny drobnej Viviany były wręcz przyjemnością.

Ale, z drugiej strony, pomyślała z przekąsem, wtedy nie dobijałam do czterdziestki. W wieku szesnastu lat do samego dnia rozwiązania śmigła w górę i w dół Toru bez zatrzymywania się na złapanie oddechu. Tym razem, choć radość z ciąży wprawiała ją w doskonały nastrój przez pierwsze sześć miesięcy, ostatnie trzy jasno dały jej do zrozumienia, że ciało utraciło już prężność młodości. To musi być moje ostatnie dziecko...

Zmysł subtelniejszy od słuchu nakazał jej stanąć. Podniosła głowę i zobaczyła córkę. Jak zawsze, widok Viviany wywołał w niej ból i dumę. Ostre rysy dziewczyny nie wyrażały żadnych emocji, lecz Ana wyczuła tę samą mieszaninę zazdrości i pogardy, jaka opadła Vivianę w chwili, gdy po raz pierwszy dowiedziała się o dziecku. Zazdrość jednakże malała, gdy brzuch matki stawał się coraz większy.

Teraz zaczyna rozumieć. Gdyby tylko mogła pojąć, że reszta – praca kapłanki, a zwłaszcza rola Pani Avalonu – przynosi tyle samo radości, co bólu! Muszę sprawić, żeby to wreszcie dostrzegła!

Zaprzątnięta myślami o córce, zwracała mniejszą uwagę na ścieżkę i kiedy pośliznęła się w błocie, nawet laska nie mogła jej pomóc. W locie próbowała przekręcić się na bok i poczuła ból nadwyreżonych mięśni, gdy uderzyła ramieniem o ziemię. Nie mogła nic zrobić i całym ciężarem legła na wydętym brzuchu. Stęknęła ciężko, gdy powietrze uciekło jej z płuc, i na chwilę popadła w omdlenie.

Kiedy otworzyła oczy, obok niej klęczała Viviana.

– Dobrze się czujesz?

Ana zagryzła wargi, gdy skurcze, których doświadczała od zeszłego tygodnia, naprężyły mięśnie jej brzucha. Tym razem jednak pozostawiły głębszy, trwalszy ból w jej łonie. Wypuściła powietrze w długim westchnieniu.

– Nic mi nie będzie – wyszeptała. – Pomóż mi wstać.

Podniosła się dzięki pomocy silnego ramienia Viviany i poczuła strumyczek ciepła między udami. Pochyliła się i zobaczyła, jak pierwsze krople odchodzących wód wsiąkają w ziemię.

– Co to takiego? – zawołała Viviana. – Krwawisz? Och... – Powiązała ten widok z wiadomościami nabytymi w czasie szkolenia położniczego, które przechodziły wszystkie nowicjuszeki, i zwróciła pobladłą twarz ku matce.

Ana skrzywiła się, widząc jej minę.

– Tak. Zaczęło się.

Viviana z zachwytem obserwowała, jak brzuch matki dygoce w kolejnym skurczu. Ana przestała chodzić i przytrzymała się stołu, z trudem chwytając oddech. Była naga; w izbie płonął ogień, żeby się nie wyziębiła. Viviana pociła się w lekkim odzieniu, ale Julia, najbardziej doświadczona akuszerka, i stara Elen z ożywieniem rozprawały przy samym palenisku.

W ciągu paru godzin, jakie upłynęły od początku porodu, Vivianie niejedną raz przemknęło przez myśl, że ludzkie istoty przychodzą na świat w wyjątkowo nieprawdopodobny sposób. Łatwiej niemal było uwierzyć w rzymskie opowieści o wykluwaniu się z jaj łabędzich i o innych niezwykłych początkach. W dzieciństwie, w gospodarstwie Neithena, widywała narodziny różnych zwierząt, ale było to dawno. Poza tym, choć pamiętała wyślizgujące się na świat oseski, mokre i kwilące, poród przebiegał szybko i jakby mimo woli. Teraz dokładnie widziała mięśnie przężące się pod nagą skórą matki. Ana westchnęła i wygięła ciało w łuk.

– Pomasować ci plecy? – zapytała Julia.

Ana przytaknęła i zapała się o stół, gdy akuszerka przystąpiła do masażu.

– Jak możesz chodzić w takim stanie? – zapytała Viviana. – Nie jesteś zmęczona? Czy nie byłoby lepiej, gdybyś się położyła? – Wskazała łóżko, gdzie czyste płótno przykrywało stertę świeżego siana.

– Tak – przyznała matka – jestem zmęczona, ale nie... – zgrzytnęła zębami i kazała Julii zaprzestać masażu, bo nastąpił kolejny skurcz – nie byłoby mi łatwiej. Kiedy stoję, sam ciężar małej kieruje ją ku wyjściu.

– Jesteś taka pewna, że to dziewczynka! A jeśli nosisz chłopca? Może to sam Obrońca Brytanii domaga się wyjścia na świat.

– W tej chwili – wysapała rodząca – byłabym wdzięczna nawet za obojnaka.

Julia nakreśliła znak odczyniający urok, a Ana mocno zacisnęła powieki. Ten skurcz był silniejszy i kiedy się skończył, na jej czole załśnił pot.

– Może masz rację. Chyba... trochę odpocznę. – Puściła stół i Viviana pomogła jej się położyć. W tej pozycji bóle miały być silniejsze, ale warto było zapłacić tę cenę za chwilę wytchnienia.

– W każdym porodzie następuje moment... kiedy wszystko przestaje się liczyć. Zostaje tylko cierpienie... – Ana zamknęła oczy, oddychając płytko, nękana skurczami. – Dziewczęta wzywają swoje matki... Nawet kapłanki. Często to słyszałam. I sama to zrobiłam, pierwszy raz w życiu.

Viviana przysunęła się i kiedy nadeszła następna fala bólu, Ana chwyciła ją za rękę. Po sile uścisku mogła poznać, jakim kosztem matka powstrzymuje się od krzyku.

– Osiągnęłaś ten punkt?

Ana przytaknęła. Viviana patrzyła na nią, zagryzając usta, gdy palce matki znów wbiły się w jej dłoń. Przechodziła przez to samo, wydając mnie na świat... Ta myśl przyniosła opamiętanie. Od pięciu lat walczyła z matką bez skrupułów, mając niewielką nadzieję na zwycięstwo. Teraz los Any spoczywał w ręku Bogini – była bezradna, niezdolna sprzeciwić się Jej mocy. To, że matka pozwoliła oglądać się w czasie całkowitej bezbronności, było ostatnią rzeczą, jakiej Viviana się po niej spodziewała.

Skurcz przeminął i Ana leżała, dysząc ciężko. Nastąpiła dłuższa chwila spokoju. Może skurcze były jak ulewa, która raz słabnie, raz przybiera na sile, gdy wiatr gna burzowe chmury.

Viviana odchrząknęła.

– Dlaczego chciałaś, żebym tu była?

– Oglądanie narodzin dziecka jest elementem szkolenia.

– Twojego dziecka? Mogłam zdobyć doświadczenie, pomagając przy porodzie jakiejś kobiecie z bagien...

Anna pokręciła głową.

– One wydają dzieci niczym kocięta. U mnie też tak było, trzy razy. Mówią, że późniejsze dzieci rodzą się szybciej, ale chyba moje łono zapomniało, jak to się robi – westchnęła. –

Chciałam, żebyś zobaczyła... iż są pewne rzeczy, nad którymi nawet Pani Avalonu nie ma władzy.

– Nawet nie uczyniłaś mnie kapłanką. Czemu miałyby to mnie interesować? – Poczucie krzywdy wyostrzyło ton Viviany.

– Myślisz, że nie chciałam zobaczyć twojej inicjacji? Tak, chyba rozumiem, dlaczego tak myślałaś. Przyczyna... – Urwała, potrząsając głową. – Obowiązki matki i kapłanki często są trudne do pogodzenia. Mogę powić chłopca albo dziewczynkę pozbawioną wszelkich talentów. Jako najwyższa kapłanka muszę wychować następczynię. To mój obowiązek. Nie mogę narażać cię na ryzyko, dopóki nie będę wiedziała... – Ból pozbawił ją tchu.

A jako matka? – Viviana nie śmiała wypowiedzieć tego na głos.

– Pomóż mi wstać – przykazała chrapliwie Ana. – Poród się przedłuży, gdy będę leżała.

Podciągnęła się i przytrzymała ramienia córki. Była ona wystarczająco wysoka, by pomóc jej lepiej od pozostałych kobiet. Viviana dopiero teraz, zdała sobie sprawę, że są prawie równe – pełna majestatu Ana zawsze wydawała się wyższa.

– Mów do mnie... – poprosiła Ana, gdy chodziły po izbie, zatrzymując się w czasie skurczów. – Opowiedz mi o Monie... i zagrodzie...

Viviana spojrzała na nią zdziwiona. Ana nigdy wcześniej nie interesowała się jej dzieciństwem. Zastanawiała się czasami, czy matka w ogóle pamięta imię Neithena. Ale ta kobieta, kurczowo uczepona jej ramienia, zasapana, nie była matką, do której żywiła wrogość, dlatego żal otworzył jej serce i wspomnienia. Opisała zieloną, omiataną wiatrem wyspę, od lądu porośniętą drzewami, a z drugiej strony stawiającą czoło siwym falom morza. Opowiedziała o rozrzuconych kamieniach, niegdyś będących świątynią druidów, i o nadal praktykowanych obrzędach, odziedziczonych po tych, którzy przeżyli masakrę za czasów namiestnika Paulinusa. I o zagrodzie Neithena, i o cielątku, które uratowała.

– Myślę, że wyrosło na krowę, która wydała wiele własnych cieląt.

– Wydaje się, że wiodłaś zdrowe i szczęśliwe życie... Miałam na to nadzieję, gdy oddawałam cię Neithenowi. – Gdy ból minął, matka wyprostowała się i znów ruszyły, choć wolniej.

– To dziecko też oddasz na wychowanie?

– Powinam... nawet gdyby była urodzoną kapłanką – rzuciła gorączkowo Ana. – Ale zastanawiam się, czy w dzisiejszych czasach jest jakieś miejsce, w którym mogłaby rosnać bezpiecznie.

– Czemu nie miałaby zostać tutaj? Wszyscy mi powtarzają, że jestem za stara na rozpoczęcie szkolenia.

– Myślę... – zaczęła Ana. – Lepiej się położę. – Po jej nodze spłynął strumyczek krwi.

Julia pochyliła się i stwierdziła rozwarcie na cztery palce. Wszyscy uznali to za dobry znak, choć dla Viviany wszystko wyglądało raczej makabrycznie.

– Najlepiej... gdy dziecko nabywa doświadczenia w zewnętrznym świecie. Amara tam się wychowała. Myślę, że w pewien sposób to uczyniło ją słabszą. – Popadła w zadumę. Zwężyły się mięśnie jej szczęki, gdy zagryzła zęby w obronie przed boleściami.

– Co się z nią stało? – zapytała szeptem Viviana, pochylając się bliżej. – Dlaczego moja siostra umarła?

Przez chwilę była przekonana, że matka nie odpowie. Zobaczyła łzę wymykającą się spod jej zamkniętych powiek.

– Moja Anara, była taka piękna... nie jak my – wyszeptała Ana. – Miała włosy jasnym niczym pole pszeniczne w promieniach słońca. I starała się zadowolić...

Nie jak my, istotnie! – pomyślała Viviana z posępnym poczuciem humoru, ale nie odezwała się słowem.

– Powiedziała, że jest gotowa na próbę, a ja chciałam jej wierzyć... Chciałam, żeby tak było. I pozwoliłam jej pójść. Modłę się, Viviano... – złapała ją za rękę – byś nigdy nie trzymała w ramionach martwego ciała córki!

– Czy dlatego odsuwasz moją inicjację? – zdumiała się Viviana. – Ze strachu?

– Mogę osądzać gotowość innych, ale nie twoją. – Załkała, nie panując nad bólem. Gdy skurcz przeminął, podjęła: – Myślałam, że Anara jest gotowa... Myślałam, że dobrze osądziłam...

– Pani, musisz się rozluźnić! – Julia pochylała się nad nią, gniewnie mierząc wzrokiem Vivianę. – Niech ta dziewczyna odejdzie, ja z tobą pobędę.

– Nie... – wyszeptała Ana. – Viviana musi zostać.

Julia nastroszyła się, ale już nic nie powiedziała. Zaczęła lekko masować napięty brzuch Any. W ciszy Viviana usłyszała strumyczek dźwięków i uzmysłowiła sobie, że muzyka brzmi już od długiego czasu. Mężczyźni nie mieli wstępu do położnej izby; Taliesin musiał siedzieć zaraz za drzwiami.

Szkoda, że go tu nie ma! – pomyślała ze złością. Chciałabym, żeby każdy mężczyzna mógł zobaczyć, przez co przechodzi kobieta rodząca mu dziecko.

Skurcze następowały coraz częściej po sobie. Wydawało się, że Anie ledwo starcza czasu na zaczerpięcie oddechu. Elen złapała ją za jedną rękę, Viviana za drugą, podczas gdy Julia zajrzała między jej uda.

– Długo jeszcze? – zapytała szeptem dziewczyna, gdy rodząca jęknęła rozzwierając.

Julia wzruszyła ramionami.

– Wszystko wskazuje na to, że nie. Nastal czas, kiedy ciało kończy otwierać łono i gotuje się do wypchnięcia dziecka. Rozluźnij się Pani – powiedziała do Any, delikatnie ugniatając palcami jej brzuch.

– Och, Bogini... – wyszeptała Ana. – Bogini, proszę!

To nie do zniesienia, pomyślała Viviana. Pochyliła się, mruczając słowa otuchy i błagania. Oczy matki, rozszerzone z bólu, wpiły się w jej twarz, a potem uległy nagłej zmianie. Przez



chwilę wyglądała młodziej; jej długie, wilgotne od potu włosy utworzyły gęszcz spletaných loków.

– Isarmo! – szepnęła. – Dopomóż mi, i dziecku!

I niczym echo nadeszły słowa: *Niechaj owoce żywotów naszych związane będą z Tobą i oddane Tobie, o Matko, o Niewiasto Wieczysta, któraś jest kolebką wszystkich Swoich córek...* Patrząc na białą twarz matki, Viviana poznała, że ona też je słyszała. W tej chwili nie były matką i córką, ale kobietami, duchowymi siostrami związanymi z sobą i z Wielką Macierzą przez kolejne żywoty od czasów, zanim Wiedzący przybyli zza morza.

I z tym wspomnieniem napłynęła inna wiedza, przyswojona w innym życiu, w świątyni, bogatsza od tej, jaką kiedykolwiek poznały kobiety Avalonu. Viviana wolną ręką wyrysowała pieczęć Bogini na rodzącym łonie.

Ana opadła na plecy z przeciągłym westchnieniem, a Viviana, z oszalamiającą nagłością wracając do terażniejszej jaźni, przeżyła chwilę przeraźliwego strachu. Oczy matki otworzyły się; płonął w nich nowy cel.

– Posadźcie... mnie! – syknęła. – Już czas!

Julia zaczęła wykrzykiwać polecenia. Pomogły Anie przełożyć nogi nad krawędzią łóżka i posadzić ją w kucki. Elen i Viviana uklęknęły na sianie, aby ją podtrzymywać. Julia żwawo rozpostarła czyste płótno i czekała, gdy Ana stęknęła głośno. Parła raz za razem; utrzymanie jej przypominało próbę pochwylenia jakiejś wielkiej siły natury. Julia przynagliła ją, mówiąc, że już widzi główkę dziecka – spróbuj jeszcze raz, mocno, a ukaże się całe.

Viviana, czując drzenie przenikające całe ciało matki, zaczęła wzywać Boginię w żarliwej modlitwie. Wessała powietrze i poczuła eksplodujące w płucach powietrze, jakby odetchnęła ogniem. Światło zapłonęło w jej każdej kończynie, siła zbyt wielka do zawarcia w ludzkim ciele: przez chwilę była Wielką Matką rodzącą świat.

Kiedy zrobiła wydech, moc z szybkością pioruna uciekła z niej w ciało położnicy. Ana zadygotała konwulsyjnie, pracując ze wszystkich sił. Julia krzyknęła, że główka wychodzi, i Ana spróbowała jeszcze raz z wyciem, które musiało być słyszane nawet w zewnętrznym świecie. Coś mokrego, czerwonego i wierzącego się wyśliznęło się w nadstawione ręce akuszerki.

Dziewczynka... W nagłej, rezonującej ciszy wszystkie patrzyły na nowe życie, które właśnie przyszło na świat. Dziecko przekreśliło główkę i cichym kwileniem oznajmiło swoje przybycie.

– Ach jaka śliczna dziewczynka – mruknęła Julia, wycierając małą twarzyczkę miękkim gałgankiem. Podniosła dziecko, żeby krew spłynęła z pępownicy. – Elen, wesprzyj Panią, a Viviana niech mi pomoże.

Viviana otrzymała dokładne instrukcje, lecz ręce jej drżały, gdy podwiązywała pępownik. Skóra maleństwa pod smugami krwi porodowej była różowa, jego główkę pokrywał schnący szybko jasny meszek. Nie było to czarowne dziecko, ale złotowłosy potomek rasy królów.

Elen zapytała, jakie imię powinno nosić.

– Igriana... – wymruczała Ana. – Nazywa się Igriana...

Jak gdyby w odpowiedzi dziewczynka otworzyła oczy i Viviana oddała jej całe serce. Ale gdy zaglądała w ten mglisty błękit, nagle naszedł ją Wzrok. Zobaczyła jasnowłosą młodą kobietę – dorosłe dziecko – z własnym małościem. Był to krzepki chłopiec, i chwilę później ujrzała go dorosłego, jak ruszał w bój z bohaterskim światłem w oczach i z Mieczem Avalonu u boku.

– Nazywa się Igriana... – jej głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka – a jej łono wyda Obrońcę Brytanii...

Taliesin siedział przy palenisku w wielkiej sali spotkań i grał na harfie. Często grywał tej wiosny. Kapłanki i kapłani z uśmiechem mówili, że ich bard wyraża powszechną radość głosem, który konkuruje ze śpiewem ptactwa wracającego z wiosną na bagna Avalonu. Taliesin uśmiechał się, kiwał głową i grał, i miał nadzieję, że nie zauważą, iż uśmiecha się tylko ustami.

Powinien być szczęśliwy. Choć nie mógł rościć sobie prawa do małej, był jej ojcem, a Ana wracała do zdrowia.

Zdrowiała powoli. Choć nie krzyczała w czasie rozwiązania, jak robią niektóre kobiety, siedząc blisko drzwi, słyszał niekończące się stękanie i jęki. Grał wtedy nie tylko po to, by podnieść na duchu kobiety, ale by zagłuszyć te straszne odgłosy. Jak oni to wytrzymują, ci mężczyźni, którzy co rok zostają ojcami? Jak mężczyzna może znieść świadomość, że ukochana kobieta ryzykuje życie, aby urodzić dziecko, które on zaszczerpił w jej łonie?

Może nie kochali swoich żon tak, jak on kochał Panią Avalonu. Albo może ratowało ich to, że nie zostali obdarzeni przekleństwem w postaci wyostrzonych zmysłów druida – zmysłów, które pozwalały Taliesinowi dzielić jej cierpienie. Palce harfiarza spłynęły krwią, gdy próbował barierą muzyki odgrodzić się od tego bólu.

A teraz miał nowe zmartwienie. Niezbyt dobrze pamiętał narodziny Viviany – był pochłonięty zwykłymi obowiązkami, poród przebiegał łatwiej, a on nie wiedział, czy dziecko było jego. Ktokolwiek jednak ją począł, Viviana teraz była jego córką. A Ana wreszcie zezwoliła na jej inicjację. Rozumiał teraz, dlaczego Najwyższa Kapłanka zwlekała tak długo. On także z lękiem czekał na dzień, kiedy dziewczyna wyruszy w mgły, aby samodzielnie znaleźć drogę powrotną.

Dlatego grał, a wielka harfa lamentowała nad wszystkim, co przemija, co nawet powracając, już nie jest takie samo. I posłuszny instrument przeistaczał jego ból i strach w przepiękną melodię.

Viviana szła brzegami jeziora i patrzyła przez wodę na spiczasty Tor, zbierając odwagę do próby, która miała uczynić ją kapłanką Avalonu. Gdyby musiała się upewnić, że nie jest już w świecie, w którym spędziła pięć zeszłych lat, wystarczyło przyjrzeć się wzgórz.

Zamiast znajomej kamiennej korony na szczycie widniała na nim na wpół zbudowana wieża. Była poświęcona bogu imieniem Michał, jak słyszała, choć oni zwali go *angelos*. Był on Panem Światła, którego chrześcijanie wezwali do walki ze smokiem-mocą bogini ziemi, niegdyś zamieszkującym wewnątrz wzgórza.

I nadal zamieszkuje, dumiała, w Avalonie. Ale, jakiegokolwiek by były zamysły budowniczych, falliczna sylwetka wieży zdawała się nie tyle grozić ziemi, ile rzucać wyzwanie niebu – była latarnią znaczącą przepływ mocy. Chrześcijanie odziedziczyli tak wiele z dawnych wierzeń, a tak słabo rozumieli ich prawdziwe znaczenie! Powinna być zadowolona, że, choć w zniekształconej formie, niektóre Tajemnice przetrwały w ich świecie.

Gdyby nie zdołała wrócić do Avalonu, ta Tajemnica stałaby się ostatnią, jaką ujrzałyby jej oczy. Sprawdzian przejścia był zarazem inicjacją, gdyż kapłanka osiągała moc poprzez akt transformacji rzeczywistości Inis Witrin, leżącej w świecie ludzi, w rzeczywistość Avalonu.

Viviana obejrzała się za siebie, gdzie bagna i łąki równiny zalewowej Brue rozciągały się ku ujściu Sabriny. Fantazjowała, że gdyby odetchnęła głębiej, poczułaby słonawy zapach odległego morza.

Zobaczyła biały trakt, wijący się w trzech szerokich zakrętach ku szarym grzbietom wzgórz Mendips i, po przeciwnej stronie, łagodniejsze wzniesienia Poldens. Gdzieś za nimi leżało Lindinis i rzymska droga. Przyszło jej na myśl, że mogłaby wyruszyć w dowolnym kierunku i znaleźć tam nowe życie. To samo mogła zrobić już wcześniej. Teraz mogła również wybrać drogę powrotną. Nie miała nic prócz zmiany odzieży w węzélku na plecach i sierpowatego noża u pasa, ale matka wreszcie dała jej wybór.

Usiadła na wybielonej przez deszcze kłodzie i patrzyła, jak zimorodek śmiga nad ziemią i wzbija się niczym podniebny duszek. Słońce skrzyło się na wodzie i płonęło na podniszczonych burtach małej płaskodenki, takiej, jakich używali mieszkańcy bagien. Zostawili ją dla niej, żeby mogła wrócić. Powietrze zachowało ciepło południa, ale od zachodu ciągnęła lekka bryza niosąca chłodne tchnienie morza. Uśmiechnęła się, rozluźniając mięśnie, które skurczyły się z napięcia. Sama możliwość wyboru między wyruszeniem w świat a powrotem do Avalonu była zwycięstwem, lecz ona już wiedziała, jaką podejmie decyzję.

Przez wiele nocy śniła o tej próbie, wyobrażając sobie każdy moment, planując, co powinna zrobić. Zaprzeczanie tych przygotowań byłoby zawstydzające. Ale nie to zaważyło na ostatecznej decyzji. Już nie dbała, czy ona, czy też mała Igriana pewnego dnia zostanie Najwyższą Kapłanką – chciała tylko udowodnić matce, że płynie w niej najprawdziwsza stara krew. Szybko otrząsnęła się z euforii będącej następstwem narodzin dziecka i wiedziała, że ona i Ana nadal będą się kłócić. Były do siebie bardzo podobne, ale teraz rozumiały się znacznie lepiej.

Choć cel Viviany nie uległ zmianie, od narodzin siostry odmieniły się jej motywy. Musiała udowodnić, że nadaje się na kapłankę. I chciała wrócić, by wadzić się z matką, patrzeć, jak rośnie Igriana, i słuchać śpiewu Taliesina.

I bardzo dobrze, pomyślała, podnosząc się i idąc wzdłuż brzegu. Ale zadanie jeszcze nie zostało wykonane.

Magia, jak ją nauczono, polegała na skupieniu zdyscyplinowanej woli. Lecz czasami wolę należało porzucić. Sekret krył się w wiedzy, kiedy odzyskać kontrolę, a kiedy z niej zrezygnować.

Niebo było jasne, lecz wiatr od morza przybrał na sile, a z nim miała nadejść mgła, tocząca się od Sabriny w fali wilgoci nieuchronnej jak przyływ.

To nie mgły musiała przemienić, lecz siebie.

– Pani Życia, dopomóż mi, bez Ciebie bowiem nie zdołam wrócić do Avalonu. Wskaż mi drogę... Pozwól zrozumieć – wyszeptała, a potem, świadoma, że to nie propozycja wymiany, lecz proste stwierdzenie faktu, dodała: – Składam się Tobie w ofierze...

Usadowiła się wygodniej na kłodzie i skrzyżowała nogi w kostkach, a otwarte dłonie wsparła na kolanach. Pierwszy krok polegał na znalezieniu środka. Wciągnęła powietrze, przytrzymała je w płucach i wypuściła powoli, a z nim opuściły ją wszystkie tłoczące się myśli, które mogły oderwać ją od nadrzędnego celu. Wdech i wydech, powtarzała, odliczając powoli. Świadomość wycofała się do wewnątrz i na Vivianę spłynął pozaczasowy spokój.

Kiedy jej umysł był czysty, kiedy pozostała w nim tylko jedna myśl, odetchnęła głęboko i wysłała świadomość w dół, głęboko w ziemię. Tutaj, na bagnach, przypominało to sięganie w wodę, w nieuchwytny, płynny ośrodek. Jednakże głębie te, choć zdradliwe, były siedliskiem mocy. Viviana zasysała ją poprzez korzenie, które wypuścił jej duch, i wciągała do góry w mrowiącym strumieniu, który na koniec trysnął fontanną z czubka jej głowy ku niebu.

W chwili pierwszego uniesienia pomyślała, że jej dusza opuściła ciało, ale reakcje, które stały się instynktowne, ściągnęły energię z powrotem w dół, śląc ją wzdłuż kręgosłupa do ziemi. Moc wezbrała raz jeszcze i tym razem Viviana wstała, wznosząc ręce. Moc pulsowała w jej ciele. Stopniowo prąd przeszedł w wibrację, w kolumnę energii od ziemi do nieba, a ona sama stała się przewodzącym ją kanałem.

Wysunęła ręce do przodu, a jej duch rozrósł się i zawarł wszystko w obrębie poziomej płaszczyzny. Odbierała swoje otoczenie, jezioro, bagno i łąkę, aż po wzgórza i morze, w postaci świetlanych cieni. Mgła była ruchomym woalem tłumiącym zmysły, chłodnym dla skóry, wibrującym mocą. Z zamkniętymi oczami powoli odwróciła się twarzą do niej i skoncentrowała całe swoje pragnienie w milczącym zawołaniu.

I mgła wezbrała niczym wielka szara fala, przysłaniając łąkę i bagno, i samo jezioro. Viviana poczuła, że jest jedyną pozostałą na świecie żywą istotą. Kiedy otworzyła oczy, zaszła niewielka zmiana. Ziemia była ciemniejszym cieniem u jej stóp, woda sugestią ruchu

gdzieś z przodu. Wyczuwała drogę przed sobą, póki nie pojawił się długi kształt łodzi – niewyraźny, jakby mgła wyssała jego substancję i barwę.

Łódka sprawiała wrażenie solidnej, nawet dla jej odmienionych zmysłów. Viviana wsiadła i odepchnęła ją od brzegu. Po chwili cieniste masy brzegu zniknęły. Jej śmiertelne oczy nie widziały żadnego miejsca przeznaczenia. Miała wybór – mogła siedzieć tu do świtu, kiedy wiatr od lądu rozwieje mgły, albo znaleźć drogę przez mgły do Avalonu.

Z głębi pamięci zaczęła wzywać zakłęcie. Było ono, jak ją nauczono, nieco inne dla każdego, kto go używał – czasami zmieniał je każdorazowe użycie. Same słowa nie miały znaczenia; liczyły się rzeczywistości, do których były kluczem. I nie wystarczyło po prostu wypowiedzieć zakłęcie – słowa były jedynie spustem, katalizatorem transformacji zachodzących w jej duchu.

Viviana pomyślała o górze, która oglądana w pewnym oświetleniu stawała się postacią śpiącej bogini. Pomyślała o Graalu, samym w sobie tylko prostym kubku, chyba że oglądano go oczami ducha. Czym była mgła, kiedy nie była mgłą? Czym, tak naprawdę, była bariera między światami?

*Nie ma bariery...* – do jej świadomości wsączyła się myśl.

– Co to jest mgła?

*Nie ma mgły... Jest tylko iluzja.*

Viviana zastanowiła się nad tym. Jeśli mgła była złudzeniem, zatem co z krajem, który skrywała? Czy Avalon był mirażem, czy może chrześcijańska wyspa nie była prawdziwa? Może ani jedno, ani drugie nie istniało poza jej umysłem, ale w takim razie czym była jaźń, która je wyobraziła? Myśl ścigała iluzję w dół nieskończonej spirali bezsensu, przy każdym skreśle tracąc spójność, gdy znikало coraz więcej granic, za pomocą których ludzie określają swoje istnienie.

*Nie ma Jaźni...*

Myśl ta wprawiła Vivianę w drzenie. W przeblysku nagłego olśnienia odgadła, że w tej ciemności utonęła Anara. Czyżby nic nie istniało? Czy tak brzmiała odpowiedź?

*Nic... i Wszystko...*

– Kim jesteś? – wykrzyknął duch Viviany.

*Twoją Jaźnią...*

Jej jaźń była niczym, punktem ćmiącym się na skraju wygaśnięcia; potem – w tym samym momencie albo wcześniej lub później, tutaj bowiem nie było Czasu – stała się Jednością, światłem wypełniającym wszystkie rzeczywistości. Na wiekuiącą chwilę zatopiła się w ekstazie.

Potem, jak liść nie dość lekki, by płynąć na wietrze, runęła w dół, do wewnątrz, scalając wszystkie rozproszone części. Ale ta Viviana, która powróciła do swego ciała, nie była całkowicie tą samą, która została od niego oderwana. Gdy tylko zaistniała na nowo, wrócił jej

głos. Wykrzyknęła melodyjne sylaby zaklęcia przejścia, a wówczas świat też powrócił do istnienia.

Wiedziała, jeszcze zanim mgły zaczęły się rozdzielać, czego dokonała. Przypominało to chwilę, kiedy raz wyszła z gęstego lasu, pewna, że idzie w niewłaściwym kierunku, a potem, między jednym krokiem a drugim, coś zaskoczyło jej w głowie i rozpoznała drogę.

Później, kiedy Viviana zastanawiała się, jakim sposobem odniosła sukces tam, gdzie Amarę spotkało niepowodzenie, doszła do wniosku, że być może pięcioletnia walka z matką wymusiła na niej stworzenie jaźni, która mogła znieść nawet kontakt z Pustką. Nie popadała jednak w nadmierne zadufanie. Wiedziała, że niektórzy tracili zmysły w czasie próby, bo ich dusze, znajdujące się tak blisko Jedności, zlewały się z nią niczym krople wody z morzem.

Sama była tak bliska tego ekstatycznego zjednoczenia, że łzy żalu napłynęły jej do oczu, kiedy zaczęła się od niego oddalać. Nagle przypomniała sobie, jak zanosiła się płaczem, gdy matka odsyłała ją z Neithenem. Aż do tej chwili nie pozwalała sobie na rozpamiętywanie owego dnia.

– Pani... nie zostawiaj mnie! – wyszeptała, i niby echo nadeszła wewnętrzna odpowiedź: *Nigdy cię nie opuściłam; nigdy cię nie opuszczę. Za życia i po życiu. Ja jestem tutaj...*

Ale jeśli wewnętrzne światło ciemniało, rzędząca mgła stawała się jasnością i w następnej chwili Viviana stanęła, oszołomiona, w pełnym blasku słońca.

Zamrugła na widok światła na wodzie, jasnych kamieni zabudowań i żywej zieleni trawy na Torze i wiedziała, że we wszystkich światach nie ma nic piękniejszego. Ktoś krzyknął; ocieniła oczy dłonią i poznała jasne włosy Taliesina. Omiotła wzrokiem skłon, szukając matki, i spięła się, zdjeta dawnym bólem. Taliesin wypatrywał jej, prawdopodobnie od chwili odejścia. Czy nawet teraz matki nie obchodził jej los?

A potem spłynęło na nią olśnienie: domyśliła się, że matka nie wyszła jej na spotkanie, bo ani przed sobą, ani przed nikim innym nie chciała przyznać, jak bardzo zależy jej na bezpiecznym powrocie do domu najstarszej żyjącej córki.

## 21

– Wysoko! Fivy Ja chcę do góry! – Igriana wyciągnęła pulchne rączki i Viviana ze śmiechem wzięła ją na ręce. Bawiły się w ogrodzie; mała najpierw chciała oglądać wszystko z bliska, a później z wysoka.

– Uff... Fivy musi postawić cię na ziemi, kochanie, póki jeszcze ma całe plecy! – Mając cztery latka, Igriana ważyła prawie połowę tego, co Viviana. Nie było wątpliwości, że jest córką Taliesina: co prawda jej włosy przypominały barwą czerwonawe złoto, ale odcień błękitu w oczach był taki sam.

Igriana zagruchała z zadowolenia i pogalopowała ścieżką w pogoni za motylem.

Słodka Bogini, pomyślała Viviana, patrząc, jak słońce igra na złotych loczkach, ależ ona będzie piękna!

– Nie, kochanie – zawołała, kiedy Igriana skrzyła w stronę żywopłotu z jeżyn – te kwiatki nie chcą, żeby je zrywać! – Za późno. Igriana już machnęła rączką i kropelki czerwieni posączyły się z zadrapania. Policzki jej poczerwieniały i zebrała się do krzyku, gdy Viviana przytuliła ją do piersi.

– Popatrz tylko, kochanie, ugryzł cię paskudny kwiatek! Musisz uważać, rozumiesz? Pocałuję skaleczenie i zaraz się zagoi! – Zawodzenie przycichło, gdy Viviana kołysała ją w ramionach.

Na nieszczęście płuca małej były równie dobrze rozwinięte, jak ona sama, i wszyscy znajdujący się w zasięgu słuchu, to znaczy prawie wszyscy mieszkańcy Avalonu, pospieszyli tłumnie na pomoc.

– To tylko zadrażnienie... – zaczęła Viviana, ale pierwszą z nadchodzących była jej matka, i nagle, choć nosiła na czole błękitny półksiężyc, poczuła się jak najmłodsza nowicjuszka.

– Sądziłam, że tobie mogę zaufać! – rzekła z wyrzutem Ana.

– Nic się nie stało! – zaproponowała Viviana. – Niech nauczy się ostrożności na tym, co nie może wyrządzić jej prawdziwej krzywdy. Nie możesz bez końca otulać jej gęsim puchem!

Ana wyciągnęła ręce i Viviana niechętnie oddała jej małą.

– Możesz wychowywać dzieci po swojemu, gdy będziesz je miała, ale nie mów mi, jak mam postępować ze swoimi! – syknęła przez ramię, zabierając Igrianą. Viviana poczerwieniała z zażenowania, bo matka zrugowała ją przy innych.

Skoro jesteś taką mądrą matką, dlaczego pierwsze dwie córki, które sama wychowałeś, nie żyją, i tylko ta, którą odesłałeś, miewa się dobrze? – pomyślała. Jediną rzeczą, jaką potrafisz robić, jest odmawianie wybaczenia. Pohamowała się przed wypowiedzeniem tych słów tylko dlatego, że mogły być prawdą.

Otrzeпаła spódnice z kurzu i przeszła surowym spojrzeniem Aelię i Silwię, dwie z najnowszych nowicjuszek.

– Czy skóra owcza jest już oskrobana do czysta? No to do roboty – mówiła, wyczytując odpowiedź w ich spuszczonej oczach. – Skóra nie zmięknie od leżenia, trzeba ją wyczyścić i natrzeć solą.

Pomaszerowała w stronę garbarni, ulokowanej z dala od innych budynków, po zawietrznej stronie wzgórza. Za nią podążyły skarcone dziewczęta. Niekiedy w takich przypadkach Viviana zastanawiała się, czemu chciała zostać kapłanką. Z pewnością jej obowiązki nie uległy zmianie. Jedyne różnica polegała na tym, że zwiększyła się odpowiedzialność.

Gdy zbliżyły się do jeziora, zobaczyła płynącą szybko płaskodenkę.

– To Heron – zawołała Aelia. – Czego może chcieć? Okropnie się spieszy!

Viviana stanęła jak wryta, wspominając atak Saksonów. Ale przyczyna pośpiechu Herona musiała być inna – Vortimer przed dwoma laty drugi raz przepędził Hengesta na Tanatus. Dziewczęta szybko pobiegły na brzeg. Ona wolniej ruszyła za nimi.

– Pani! – Nawet w desperackim pośpiechu, Heron pozdrowił ją jak należało. Od kiedy poniosła Graala, aby ich uratować, ludzie bagien czcili ją na równi z Panią Avalonu, a ona nie potrafiła tego zmienić.

– Co się stało, Heronie? Przybyli Saksonowie?

– Nie, my jesteśmy bezpieczni! – Rozprostował plecy. – Przybyli po tego dobrego kapłana, Ojca Szczęśliwego, i chcą go zabrać!

– Ktoś chce uprowadzić ojca Fortunatusa? – Viviana nachmurzyła się. – Ale dlaczego?

– Mówią, że jego poglądy nie podobają się ich bogu. – Mężczyzna pokręcił głową, najwyraźniej niewiele z tego rozumiejąc.

Viviana dzieliła jego konfuzję, choć dobrze pamiętała, jak ojciec Fortunatus mówił, że niektórzy chrześcijanie uważają, jego koncepcje za herezje.

– Chodź, Pani! Ciebie wysłuchają!

Viviana nie była tego taka pewna. Jego wiara była wzruszająca, ale przepędzenie chmary Saksonów wydawało się dużo łatwiejsze w porównaniu z ułagodzeniem skłóconych chrześcijańskich odłamów. Wątpiła, czy świadectwo z Avalonu wywrze korzystny wpływ na zwierzchników Fortunatusa.

– Heronie, spróbuję pomóc. Wracaj, a ja porozmawiam z Panią Avalonu. To wszystko, co mogę ci obiecać...

Viviana spodziewała się, że jej matka skwituje opowieść Herona grzecznymi słowami współczucia, ale ku jej zdumieniu głęboko przejęła się sprawą.

– Jesteśmy oddzieleni od Inis Witrin, jednak więź nadal istnieje – powiedziała, ściągając brwi. – Słyszałam, że tamtejsi mieszkańcy śnią o nas czasami, a nasza praca zostaje zaburzona, gdy tam pojawia się jakiś problem. Jeśli chrześcijańscy fanatycy wypełnią wyspę strachem i nienawiścią, z pewnością odczujemy zły wpływ w Avalonie.

– Co możemy zrobić?

– Od jakiegoś czasu nawiedza mnie myśl, że Avalon powinien wiedzieć więcej o przywódcach zewnętrznego świata i ich polityce. W przeszłości Pani Avalonu często naradzała się z książętami. Od chwili pojawienia się Saksonów bywanie w świecie stało się mało rozsądne, lecz obecnie kraj jest dużo bezpieczniejszy niż w minionych latach.

– Pójdiesz tam, Pani? – zapytała zdumiona Julia.

Ana potrząsnęła głową.

– Pomyślałam, że pošlę Vivianę. Po drodze może wypytać o tego Fortunatusa. Takie doświadczenie będzie dla niej przydatne.

Viviana szeroko otworzyła oczy.



– Ale ja ani nie znam książąt, ani nie orientuję się w polityce...

– Nie posłę cię samej. Pojedzie z tobą Taliesin. Rzymianom będziesz mówiła, że jesteś jego córką.

Viviana rzuciła okiem na matkę. Czy taka była odpowiedź na pytanie, którego ani ona, ani Taliesin nie śmieli zadać? Może pani dawała jej wskazówkę, co powinna odczuwać? Jakikolwiek by były powody, rozmyślała dziewczyna, szykując się do podróży, Ana wybrała jedyną osobę, w towarzystwie której Viviana chciałaby opuścić Avalon.

Pociągnęli śladem Fortunatusa do Venta Belgarum. Mury miasta, choć wyszczerbione atakami barbarzyńców, jeszcze stały. Powiedziano im, że główny magistratus, niejaki Elafius, gości biskupa Germanusa, tego samego, który przed dziesięcioma laty tak skutecznie wystąpił przeciwko Piktom. W czasie tej wizyty duchowny koncentrował jednakże swoje ataki na braciach chrześcijanach. Usunął z urzędu dwóch brytyjskich biskupów i kazał uwięzić wielu księży – mieli odzyskać wolność dopiero wtedy, gdy przejrzą na oczy i dostrzegą błędną drogę, na jaką wstąpili.

– Niewątpliwie Fortunatusa spotkał taki sam los – powiedział Taliesin, gdy wjeżdżali przez ufortyfikowaną bramę. – Naciągnij szal i schowaj włosy, moja droga. Jesteś skromną dziewczyną z przyzwoitego domu, pamiętasz?

Viviana rzuciła mu buntownicze spojrzenie, jednakże podporządkowała się poleceniu. Nie zezwolono jej podróżować w męskim odzieniu, lecz przysięgła, że jeśli kiedykolwiek zostanie Panią Avalonu, to będzie nosić to, na co przyjdzie jej ochota.

– Opowiedz mi o Germanusie – poprosiła. – Mało prawdopodobne, że będę miała okazję z nim rozmawiać, ale dobrze jest znać swojego wroga.

– Jest następcą Martinusa, biskupa Caesarodunum w Galii, którego czczą teraz jako świętego Marcina. Martinus był zamożnym człowiekiem, który rozdał cały swój majątek, nawet przedarł płaszcz i połowę oddał biedakowi. Germanus występuje przeciwko nierównemu podziałowi bogactw, zyskując w ten sposób popularność.

– Czyli nie jest tak źle – zauważyła Viviana, poganiając kuca, by zrównał się z mułem Taliesina. Po pobycie w Lindinis i Durnovarii przyzwyczajała się do miast, ale Venta była największym z widzianych. Kuc zrobił się drażliwy na widok tłumu, podobnie jak ona.

– Nie, ale na motłoch łatwiej jest wpływać strachem. Dlatego wmawia ludziom, że spłoną w ogniach piekielnych, chyba że ich bóg postanowi im wybaczyć. Oczywiście tylko kapłani Kościoła rzymskiego są władni stwierdzić, czy bóg tak uczyni. Germanus głosi, że okupacja Rzymu przez Wandalów i nasze kłopoty z Saksonami są karą boską za grzechy bogatych. W niepewnych czasach taka filozofia spotyka się z szerokim poparciem.

Viviana pokiwała głową.

– Tak... wszyscy pragniemy zrzucić na kogoś winę. Wnoszę, że Pelagius i jego zwolennicy są innego zdania?

Jechali teraz szeroką ulicą, która wiodła do forum. Strażnik przy bramie powiedział, że heretycy są sążeni w bazylice.

– Sam Pelagius zmarł wiele lat temu. Jego wyznawcy to w większości ludzie wywodzący się ze starej kultury rzymskiej, dobrze wykształceni i przyzwyczajeni do samodzielnego myślenia. Według nich bardziej logiczne jest, że bóg prędzej nagrodzi dobre uczynki niż ślepią wiarę.

– Innymi słowy to, co człowiek robi, jest ważniejsze od tego, w co wierzy, podczas gdy rzymscy kapłani uważają dokładnie na odwrót... – zauważyła kąśliwie Viviana, a Taliesin pochwalił ją z uśmiechem.

Kucyk spłoszył się, gdy przebiegli obok nich dwaj mężczyźni. Taliesin złapał wodze i popatrzył przed siebie; jego wzrost i wysokość wierzchowca zapewniały mu lepszy widok.

– Jakieś zamieszanie, może powinniśmy poczekać...

– Nie – sprzeciwiła się Viviana – chcę zobaczyć. – W wolniejszym tempie dotarli na plac.

Tłum gromadził się przed bazyliką. Usłyszała pomruk przypominający pierwszy grzmot przed burzą. Wielu nosiło zgrzebne odzienie robotników, ale stroje innych były dużo świetniejsze, choć poplamione i wyswiechtane. Najpewniej byli to uchodźcy, żądni znaleźć kozła ofiarnego, aby na nim wylądować swoją złość. Taliesin pochylił się w siodle i zapytał, co się dzieje.

– Heretycy! – Mężczyzna splunął na bruk. – Biskup Germanus zrobi z nimi porządek i uratuje ten grzeszny kraj!

– Wydaje się, że trafiliśmy we właściwe miejsce – rzekł Taliesin obojętnie, ale twarz miał ponurą.

W niewłaściwym czasie... – dodała w myślach Viviana, zbyt zatrwożona, żeby się odezwać.

Drzwi bazyliki otworzyły się i dwaj mężczyźni w mundurach straży zajęli miejsca po obu stronach. Pomruk tłumu pogłębił się. Błysnęło złoto i ukazał się kapłan, w haftowanej kapie na białej tunice. Viviana domyśliła się, że to biskup we własnej osobie, miał bowiem dziwny kapelusz i niósł ozdobną, złożoną laskę pasterza.

– Ludzie Venty! – zawołał i gwar ścichł do głuchego pomruku. – Srodze ucierpiełeś od miecza poganina. Ludzie krwi spustoszyli tę ziemię niczym wilcze stado. Wzniesz wołanie do Boga, na klęczkach pytaj, czemuś został ukarany!

Laska biskupa zatoczyła łuk nad głowami zebranych i wszyscy pokłonili się nisko. Pomruk przerodził się w zawodzenie. Germanus patrzył na nich przez chwilę, po czym, spokojniej, podjął:

– Dobrze, że pytacie, moje dzieci, ale lepiej błagajcie Pana Niebios o miłosierdzie, On postępuje bowiem wedle własnej woli i tylko za sprawą Jego łaski możecie uniknąć potępienia wiecznego.

– Módl się za nami, Germanusie! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Zrobię coś lepszego – oczyszczę tę ziemię. Każdy jeden z was narodził się w grzechu i tylko wiara może was uratować. Co do Brytanii, tę plagę sprowadziły na was grzechy wielmożów. Atoli potężni zostali rzućeni na kolana. Poganin stał się kosą w ręku Boga. Oni, którzy jadali przy suto zastawionych stołach, teraz żebrzą o kromkę chleba, a ci, którzy nosili szaty jedwabne, chadzają w łachmanach. – Postąpił krok do przodu, wymachując zakrzywioną łaską.

– Prawdę rzecz! Boże, bądź miłościw! – Ludzie bili się w piersi i padali krzyżem na kamienie.

– Chełpili się, że uratują ich uczynki, i mówili, że bogactwo zjedna im łaskę Boga. Gdzie jest teraz łaska Boża? Plugawe herezje Pelagiusa zwiody was na manowce, ale zostaniemy oczyszczeni dzięki łasce Ojca Niebieskiego!

Wygląda tak, jakby sam wziął na przeczyszczenie, pomyślała Viviana – wytrzeszczał oczy, ślina tryskała mu z ust. Jak można wierzyć w takie bzdury? Ale ludzie płakali, pogrążeni w ekstazie. Jej kucyk przytulił się do boku Taliesinowego muła, jakby nawet on potrzebował ochrony.

Krzyki nasiliły się, gdy w drzwiach ukazali się strażnicy wiodący trzech ludzi. Viviana zeszywniała, niezdolna uwierzyć, że jednym z popychanych więźniów może być Fortunatus. Ten idący na przędzie, jakby odczytując jej myśli, wyprostował ramiona i z pełnym smutku uśmiechem popatrzył na tłum. Twarz miał posiniaczoną, a włosy w nieładzie, lecz Viviana bez trudu rozpoznała mnicha, który był jej przyjacielem. Strażnicy zaczęli spychać więźniów po schodach.

– Heretycy! – zawył tłum. – Diabły wcielone! Sprowadziliście na nas pogan!

Gdyby tylko to było możliwe – pomyślała Viviana – z armią pogan rozegnałaby ten motłoch na cztery wiatry.

– Ukamienować ich! – zawołał ktoś z tłumu i w następnej chwili całe forum podjęło okrzyk. Ludzie schylali się, by podważać kamienie bruku. Viviana widziała, jak je rzucają; w przelocie mignęła jej skrwawiona głowa Fortunatusa.

Przez długą chwilę biskup z niepokojącym zadowoleniem przyglądał się szalejącej tłuszczy. Potem jakby z żalem przypomniał sobie, że chrześcijanie mają miłować pokój, i przemówił do strażnika. Żołnierze wbili się klinem w tłum, na oślep zadając razy tępych końcami włóczni.

Gdy tylko tłum sam zaczął padać ofiarą przemocy, poszedł w rozsypkę i małe grupki zaczęły stawiać opór strażnikom. Duchowni zniknęli w bazylice, kiedy tylko doszło do bijatyki. Gdy rozproszona hałastra przestała tarasować drogę na drugi koniec forum, Viviana bez namysłu wbiła pięty w boki kuca.

– Viviano, co robisz? – Taliesin pognał muła w ślad za nią. Ona już dotarła do kłębowiska ciał powalonych w potyczce. Jedni zaczęli siadać, jęcząc i postępując, ale trzech leżało bez ruchu wśród rozrzuconych kamieni.

Viviana zsunęła się z siodła i pochyliła nad Fortunatusem. Świeża krew pokrywała wcześniej zadane rany. Jedno oko było okropnie opuchnięte. Gdy go dotknęła, aby sprawdzić puls, otworzył drugie oko. Ostrożnie odwróciła mu głowę, żeby mógł ją zobaczyć.

– Śliczna pani... – zamrugał ze zdziwienia. – Ale to nie jest Czarowna Kraina.

– Fortunatusie, jak się czujesz?

Patrzył na nią przez długą chwilę. Na jego wargach zajaśniał uśmiech.

– To ty... moja dziewczeczka ze zbroczy. Ależ masz długie włosy... Co tutaj porabiasz?

– Przybyłam ci na pomoc. Gdybym tylko mogła pojawić się wcześniej! Zabierzemy cię, opatrzymy rany i wszystko będzie dobrze!

Fortunatus chciał zaprzeczyć ruchem głowy, skrzywił się i znieruchomiał.

– Mogłem uciec ludziom biskupa – wyszeptał. – Starczyłoby wejść do Czarownej Krainy. Ale winienem mu posłuszeństwo.

– Nie pozwolę ci wrócić, bo znów mogą nastawać na twoje życie!

Zaskoczył ją ogrom słodczy w jego uśmiechu.

– Nie... Moja droga jest już krótka.

Od czasu do czasu umierał w Avalonie jeden czy drugi z chorych sprowadzonych z bagien i Viviana знаła oznaki bliskiej śmierci. Twarz starca zbieiała jak płótno, przy nosie i na skroniach pokazały się sine plamy. Młodszy mężczyzna przeżyłby takie obrażenia, ale wiekowe serce Fortunatusa odmawiało posłuszeństwa.

– Pomodlisz się za mnie?

Viviana spojrzała na niego zdumiona.

– Jestem przecież poganką i kapłanką! – Pokazała półksiężyc na czole.

– Obawiam się, że jestem większym heretykiem, niż Germanus może przypuszczać – wyszeptał Fortunatus – nie sądzę bowiem, aby Bóg nie wyrastał poza ramki, w które próbują wtłoczyć Go ludzie. On jest ojcem, tedy nie może być matką, a skoro tak, czyż nie może być widziany w Bogini, której ty służysz?

Pierwszą reakcją Viviany było oburzenie; potem przypomniała sobie chwilę Jedności, kiedy wracała przez mgły do Avalonu. Moc, którą wówczas czuła, nie miała ni żeńskiego, ni męskiego charakteru.

– Może i tak... – mruknęła. – Będę się modlić do Jedności, która wyniesiona jest ponad wszelkie różnice, by poprowadziła cię łagodnie ku Światłu. – Zobaczyła, jak ból wykrzywił jego rysy; potem oddychał łatwiej, lecz płycej.

– Często myślałem... umieranie może być jak przejście do Czarownej Krainy. Krok do wnętrza i w bok... poza ten świat.

Łzy zaszczyły ją w oczy, ale pokiwała głową i ujęła jego rękę. Poruszył ustami, jakby chciał się uśmiechnąć. Potem twarz zaczęła mu tężeć.

Viviana siedziała przy nim, czując, jak życie wycieka z niego niczym woda z pękniętego dzbanu. Wydawało się, że minął długi czas, lecz kiedy oderwała oczy od nieruchomego ciała, Taliesin dopiero nadjeżdżał. Potrząsnęła głową, próbując powstrzymać łzy.

– Nie żyje, ale nie zostawię im jego ciała. Pomóż mi go zabrać. Bard przekreślił się w siodle, kreśląc znak palcami i mrużąc zakłęcie pomieszania. Viviana przyłączyła się, pojmując jego intencje.

– Nie widzicie nas... Nie słyszycie nas... Nikogo tutaj nie było... Niech chrześcijanie myślą, że Fortunatusa porwały demony, jeśli to im sprawi przyjemność; ważne, żeby niczego nie zobaczyli.

Taliesin dźwignął starego kapłana na siodło i posadził Vivianę na kucu, potem okrył ciało płaszczem, złapał wodze obu wierzchowców i ruszył przez plac.

Iluzja chroniła ich do samych bram miasta. Viviana chciałaby pogrzebać starca na jego świętej wyspie, obok kamienia, z którego wkraczał do Czarownej Krainy. Taliesin miał inny pomysł. Wiedział o chrześcijańskiej kaplicy, porzuconej, lecz stojącej na poświęconej ziemi. I tam go złożyli, z obrzędami stosowanymi przez druidów. Viviana, pamiętając tę chwilę w mgłach, kiedy była zjednoczona ze Światłem i знаła całą Prawdę Jedności, pomyślała, że Fortunatus nie byłby temu przeciwny.

Jeśli pierwsza część podróży zakończyła się porażką, pozostała była bardziej pomyślna, choć Viviana niewiele o tym myślała. Udali się do Londinium, gdzie Najwyższy Król walczył o zachowanie pozorów władzy, licząc na silnych synów. Viviana rozpoznała Vortimera, tego, który kiedyś przybył do Avalonu, choć teraz wyglądał poważniej. On z początku uznał ją za Anę; nie zdradziła mu, że była zawaalowaną kapłanką, która w rytuale reprezentowała Dziewicę. Vortimer nosił się ze spokojną dumą z powodu sukcesów odniesionych w walce z barbarzyńcami. Viviana nie wątpiła w jego lojalność wobec Avalonu.

Jego ojciec, Vortigern, był zupełnie inny: stary lis, żonaty teraz z rudowłosą saską lisią. Władał długo i przeżył wiele, i Viviana osądziła, że z wdzięcznością przyjmie propozycję każdego przymierza, które pomoże mu utrzymać się przy władzy. Opowiedziała mu o biskupie Germanusie i o tym, jak jego fanatyzm dzielił kraj, choć miała niewielką nadzieję, że Najwyższy Król będzie chciał – czy mógł – wystąpić przeciwko niemu. Ale wiadomości od Pani Avalonu wysłuchał uważnie; dla dobra Brytanii obiecał spotkać się ze swoim starym rywalem Ambrozjuszem, aby omówić warunki współpracy, jeśli do spotkania dojdzie na neutralnym gruncie.

Później ruszyli do zachodnich warowni, gdzie nie dotarli jeszcze Saksonowie. W Glevum Ambrozjusz Aurelian, którego ojciec obwieścił się cesarzem i rywalizował z Vortigernem o władzę, gromadził ludzi. Władca z zainteresowaniem wysłuchał wiadomości Pani, bo choć sam był chrześcijaninem, zaliczał się do ludzi rozsądnych i szanował druidów jako filozofów, a poza tym znał już Taliesina.

Był postawnym mężczyzną po czterdziestce, miał ciemne włosy i orle, rzymskie rysy. Jego wojownicy w większości byli młodzi. Jeden z nich, chudy jasnowłosy Uther, nie był starszy od Viviany. Taliesin droczył się z nią, że zyskała wielbiciela, ale ona ignorowała obydwóch. W porównaniu z księciem Vortimerem, Uther był gołowąsem.

Ambrozjusz wysłuchał jej skarg na Germanusa z pewnym współczuciem, ponieważ sam wywodził się z klasy, którą galijski biskup atakował z takim upodobaniem. Venta Belgarum leżało jednak w tej części wyspy, która nie podlegała ani jemu, ani Vortigernowi, a poza tym świecki wielmoża miał niewielką władzę nad klerem. Jego odpowiedź była dużo bardziej dworna od tej udzielonej przez Najwyższego Króla, lecz Viviana wyczuwała, że Ambrozjusz nie przedsięwzięnie nic pożytecznego.

Gdy wraz z Taliesinem zawróciła do Avalonu, rozmyślała w drodze nad rzuceniem klątwy na morderców Fortunatusa. Powstrzymało ją tylko podejrzenie, że stary mnich zapewne im wybaczył.

Nakłaniając Vortigerna i Ambrozjusza do zawiązania przymierza, Viviana posiała ziarno zjednoczenia Brytanii, lecz pierwsze kielki wzrosły dopiero następnego roku. Wieści mówiły, że Saksonowie znów rosną w siłę we wschodnim Cantium, i Vortimer, zdecydowany tym razem zetrzeć ich w pył, zwrócił się do Avalonu. Z tego powodu, tuż przed świętem Beltane, Pani Avalonu wyruszyła ze świętej wyspy na wschód, na spotkanie z książętami Brytanii. Towarzyszyła jej starsza córka, kapłanki i bard.

Na miejsce narady wybrano Sorviodunum, miasteczko leżące na brzegach rzeki, gdzie trakt z północy spotykał się z główną drogą z Venta Belgarum. Skrzyżowanie było przyjemnym miejscem, ocienionym przez drzewa, otwartym ku północy na rozległą równinę. Wokół na płaskich łąkach, niczym jakieś nowe wiosenne kwiaty, wyrosły barwne kopuły namiotów.

– My ze wschodu przelewaliśmy krew w obronie Brytanii – zagaił z dumą Vortigern, usadowiony na ławie pod dębem. Nie był wysoki, ale mocno zbudowany; posiwał znacznie od czasu, gdy Viviana widziała go w Londinium. – W ostatniej kampanii mój syn Categirn wymienił swoje życie za życie brata Hengesta u brodu w Rithergabail, Ciała naszych ludzi utworzyły mur, który nie dopuścił Saksonów na wasze ziemie. – Wskazał ręką kryte łupkiem, skąpane w słońcu dachy Sorviodunum.

– Cała Brytania jest wdzięczna – przyznał obojętnie Ambrozjusz, siedzący po drugiej stronie kręgu wielmożów.

– A ty? – zapytał Vortimer. – Łatwo mówić, ale słowa nie powstrzymają Saksonów. – On też się postarzał, nie był już tym zapalczywym młodzieńcem, który oddał się Bogini. Przemienił się w doświadczonego wojownika, ale jego pociągłe rysy nie uległy zmianie i sokoła duma jak dawniej płonęła w jego zielonych oczach.

Bohater, myślała Viviana, przyglądająca mu się z miejsca u boku matki. On teraz, jest Obrońcą. Wszyscy wiedzieli, że kapłanki zaaranżowały to spotkanie, lecz nie wypadało przyznawać tego publicznie. Przybysze z Avalonu zostali usadzeni w cieniu głogowego żywopłotu, w odosobnieniu, jednak dość blisko, by wszystko widzieć i słyszeć.

– Czy cokolwiek może ich powstrzymać? – zapytał jeden ze starszych uczestników narady. – Nawet gdybyśmy wielu zabili, Germania zrodzi następnych...

– Możliwe, ale gdybyśmy byli silni, poszukaliby sobie łatwiejszej ofiary. Niech napadną na Galię, jak uczynili Frankowie. Można ich wyrznąć! Wystarczy jeszcze jedna kampania. Nie wystarczy jednak ich wypędzić. Musimy utrzymać ich z dala od naszych ziem, i to mnie kłopotuje.

– Prawdę rzeczesz – przyznał Ambrozjusz. Sprawiał wrażenie czujnego, jakby doszukiwał się ukrytego znaczenia w słowach Vortimera. Vortigern zaśmiał się szczeniście. Plotki mówiły, że przybył tu tylko wiedziony synowską powinnością i miał niewielką nadzieję na osiągnięcie porozumienia.

– Wiesz równie dobrze jak ja, czego wymaga osiągnięcie celu – podjął Najwyższy Król. – Przez wiele lat walczyłem o to z twoim ojcem. Niezależnie od miana, czy będzie to cesarz czy król, Brytania musi podlegać jednemu panu. Tylko dzięki jedynowładztwu Rzym przez wiele stuleci trzymał barbarzyńców w ryzach.

– I co, mielibyśmy podążyć za tobą? – zawołał jeden z ludzi Ambrozjusza. – Powierzyć pieczę nad owczarnią człowiekowi, który zaprosił wilki?

Vortigern obrócił się ku niemu; Viviana zrozumiała, dzięki czemu starzec przez tyle lat utrzymywał się przy władzy.

– Napuściłem wilki do walki z wilkami, jak często czynili sami Rzymianie. Ale zanim rozprawiłem się z Hengestem, zdarłem gardło, prosząc swój lud o podniesienie miecza we własnej obronie – błagałem, jak błagam teraz was!

– Przestaliśmy płacić Hengestowi, dlatego zwrócił się przeciwko nam – rzekł nieco spokojniej Vortimer. – A my dusiliśmy jego watahy. Czego wyście dokonali, siedząc wśród swoich spokojnych wzgórz? Musimy mieć ludzi i środki na ich utrzymanie, nie tylko w czasie tej kampanii, ale co roku, by chronić odzyskane ziemie.

– Nasze ziemie są spustoszone, ale odrodzą się po paru latach, pokoju. – Vortigern jeszcze raz włączył się do dyskusji. – A wówczas nasza zjednoczona siła wystarczy, by przedrzeć się przez bagna i lasy, które są schronieniem Anglów, i odbić ziemie Icenów.

Ambrozjusz nic nie rzekł, tylko przeszył spojrzeniem Vortimera. Naturalną koleją rzeczy mógł oczekiwać, że przeżyje on starca; to młodszy mężczyzna miał być jego prawdziwym rywalem albo sprzymierzeńcem.

– Wszyscy ludzie szanują twoje męstwo i doceniają twoje zwycięstwa – zaczął z wolna – i z pewnością cała Brytania jest ci wdzięczna. Gdyby nie ty, wilk skoczyłby nam do gardeł.

Ale ludzie chcą decydować o tym, kto wydaje ich pieniądze i komu służą. Twój lud jest ci winien wierność. Ludzie z zachodu, nie.

– Ale podążą za tobą! – zawołał Vortimer. – Proszę tylko, byś wraz ze swoimi ludźmi walczył ramię w ramię z moimi!

– Może tobie zależy tylko na tym, ale twój ojciec, jak sądzę, pragnie, bym uznał w nim przywódcę. – Zapadła cisza, która ciążyła jak ołów. – Oto, co zrobię – podjął książę z zachodu. – Otworzę spichrze i przyślę wam prowianty. Nie mogę jednak z czystym sumieniem stanąć pod sztandarem Vortigerna.

Narada zakończyła się bezładną wymianą zdań. Do oczu Viviany napłynęły łzy rozczarowania, ale odpędziła je, gdy zobaczyła, że Vortimer przygląda się jej z desperacką nadzieją. Zawiodła go mądrość mężczyzn. Co mu pozostało prócz szukania rady w Avalonie? Nie była zaskoczona, kiedy odwrócił się plecami do innych i ruszył w ich stronę.

Przez całe życie Viviana słyszała o Tańcu Olbrzymów, choć nigdy go nie widziała. Jadąc na północ wzdłuż rzeki, chciwie wyglądała widoku kamieni na równinie. Ale to Taliesin, najwyższy spośród nich, pierwszy zobaczył ciemne cętki i pokazał je najpierw Vortimerowi, następnie Vivianie i Anie. Viviana była wdzięczna księciu za stworzenie okazji. Kiedy Vortimer poprosił Panią Avalonu o przepowiedzenie przyszłości, ona odparła, że najlepiej będzie zaczerpnąć mocy z jakiegoś starożytnego miejsca. Viviana zadawała sobie pytanie, czy podany powód był prawdziwy – może Ana po prostu nie chciała uprawiać magii w pobliżu tyłu nieprzyjaznych oczu.

Prawie trzygodzinna jazda nieco stępiła ciekawość. Choć popołudniowe słońce grzało mocno, Viviana drżała. Równina wydawała się bezkresna pod ogromem czystego nieba; z tego powodu czuła się dziwnie bezbronna, jak mrówka drepcząca po kamieniach bruku. Powoli ciemne plamy rosły w oczach. Już mogła rozróżnić poszczególne kamienie.

Znała doskonale kamienny krąg na szczycie Toru, ale ten był większy, otoczony szerokim rowem. Ociosane głazy stały w precyzyjnym porządku; wiele z nich łączyły poprzeczne belki, dlatego całość bardziej przypominała budowlę niż święty gaj. Niektóre upadły, ale to w niewielkim stopniu zmniejszyło ich moc. Choć wokół rosła gęsta i zielona trawa, w kręgu była ona skąpa i pożółkła. Viviana słyszała, że wewnątrz nigdy nie pada śnieg, nawet nie przylega do kamieni.

W trakcie bliższych oględzin zobaczyła wystające z ziemi skalne fragmenty. Wewnątrz pierścienia stał mniejszy krąg kolumn i cztery wyższe trylity, które półkolem otaczały kamień ołtarzowy. Zastanawiała się, do jakich rzeczywiście można by wkroczyć poprzez tę mroczną bramę.

Zsunęli się z siodła i spętali konie, gdyż w pobliżu nie było drzew, do których mogliby je przywiązać. Zaciekawiona Viviana ruszyła brzegiem rowu.

– I co o tym myślisz? – zapytał ją Taliesin po powrocie.



– Dziwnie tu, lecz cały czas myślałam o Avalonie, a raczej o Inis Witrin, gdzie mieszkają mnisi. Te dwa miejsca nie mogłyby różnić się bardziej, a jednak tutaj krąg trylitów jest prawie takiej samej wielkości, co krąg chat otaczających tamtejszy kościół.

– Zgadza się. – Taliesin mówił szybko, jakby niecierpliwie. Pościł od zeszłej nocy, żeby przygotować się do magicznego obrzędu. – Wedle naszej tradycji to miejsce zostało zbudowane przez mędrców, którzy w zamierzonych czasach przybyli przez morze z Atlantydy. Wierzmy także, że święty, który założył wspólnotę na Inis Witrin, był wcieleniem jednego z tych wtajemniczonych. Z pewnością był mistrzem starożytnej wiedzy, znającym zasady proporcji i liczb. Jest jeszcze inny powód, dla którego możesz odczuwać obecność Avalonu. – Wskazał na zachód. – Linia mocy biegnie stąd prosto do świętej studni.

Viviana pokiwała głową i odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na krajobraz. Na wschodzie szereg pagórków znaczył miejsca pochówku starożytnych królów, ale poza nimi niewiele tutaj było oznak ludzkiej działalności i tylko kilka kęp wyrzeźbionych wiatrem drzew urozmaicało monotonną przestrzeń trawy. Było to odludne miejsce i choć wszędzie lud Brytanii przygotowywał się do radosnego święta Beltane, tutaj coś ponurego tłamsiło dziewiczość wiosny.

I żadne z nas nic odejdzie stąd niezmienione... Znow przeniknął ją chłód.

Słońce zachodziło i cienie kamieni kładły się długimi pręgami na trawie. Viviana instynktownie odsunęła się od nich i znalazła się blisko samotnej kolumny, która od północnego wschodu strzegła dostępu do kręgu. Taliesin przeszedł przez rów do długiego kamienia, który leżał płasko na ziemi. Ukląkł, trzymając w rękach różowe prosię, spętane i kwiczące, które z sobą przywieźli. Wyjął nóż i umiejętnie wraził ostrze tuż poniżej szczęki zwierzęcia. Prosiak szarpnął się z przeraźliwym kwikiem. Gdy zamilkł, bard podniósł go, poruszając ustami w modlitwie. Czerwona krew bryznęła na dziobatą powierzchnię kamienia.

– Najpierw spróbujemy sposobem druidów – cichym głosem wyjaśniła Ana Vortimerowi. – Taliesin poi swoje duchy i duchy tej ziemi.

Kiedy zwierzę wykrwawiło się i jego duch uleciał, Taliesin ściągnął pas skóry i wykroił kawałek mięsa. Podniósł się, już z pustką w oczach, trzymając w ręce kawałek mięsa, jaskrawoczerwony w promieniach gasnącego słońca.

– Chodź – nakazała cicho Ana, gdy bard, krokiem człowieka pogrążonego we śnie, ruszył w stronę kręgu kamieni. Viviana wzdrygnęła się, gdy pokonała rów i minęła miejsce, gdzie złożył świnie w ofierze. Wrażenie, choć mniej silne, przypominało to, co odczuła, gdy rozdzielała mgły zagrządzające drogę do Avalonu.

Druid zatrzymał się tuż przy zewnętrznej krawędzi kręgu. Poruszał szczękami; po chwili wyjął z ust przeżute mięso i mruczając modlitwę, złożył je u podstawy jednego z kamieni.

– Panie, przybyliśmy do miejsca mocy – powiedziała Ana do księcia. – Musisz raz jeszcze wyznać, czemuś nas tutaj przywiódł.

Vortimer odchrząknął i płynnie oznajmił:

– Pani, pragnę wiedzieć, kto będzie władał Brytanią i kto poprowadzi jej wojowników ku zwycięstwu.

– Druidzie, słyszałeś pytanie – czy możesz udzielić odpowiedzi?

Taliesin zwrócił w ich stronę niewidzące oczy. Z tą samą senną gracją przeszedł pod kamiennym nadprożem do kręgu. Słońce niemal stykało się z linią horyzontu i czarne sylwetki kamieni obrysowane były płomieniem. Gdy Viviana ruszyła dalej, doświadczyła kolejnej chwili dezorientacji. Kiedy znów mogła się skupić, odniosła wrażenie, że w powietrzu pulsują roztańczone okruchy blasku. Druid wznosił ręce ku umierającemu światłu, obrócił je do siebie i wymruczał w dłonie kolejne zaklęcie.

Wypuścił powietrze w długim westchnieniu, potem legł przy środkowym płaskim kamieniu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem Vortimer.

– Czekamy – odparła Najwyższa Kapłanka. – To sen transu, z którego nadejdzie proroctwo.

Czekali, podczas gdy niebo ciemniało, ale choć zapadał mrok, wszyscy w obrębie kręgu widzieli się wzajemnie, jak gdyby oświetlało ich jakieś padające od wewnątrz światło. Lśniące gwiazdy zaczęły wędrówkę po niebie. Mimo to czas nie miał znaczenia. Viviana nie umiała powiedzieć, ile go upłynęło, nim Taliesin mruknął i poruszył się.

– Śpiący, przebudź się; w imię Tej, która rodzi gwiazdy, wołam do ciebie. Przemów ludzkim językiem, powiedz nam, co widzisz. – Ana uklękła przed nim, gdy usiadł oparty o kamień.

– Będzie trzech królów walczących o władzę: Lis władający teraz, a po nim Orzeł i Czerwony Smok, który zapagnie osiąść kraj. – Słowa padały powoli i z trudem, jakby Taliesin mówił przez sen.

– Czy oni zniszczą Saksonów? – zapytał Vortimer.

– To Sokół zmusi Białego Smoka do ucieczki, atoli Czerwony Smok spłodzi syna, który nastanie po nim, i to on zwany będzie pogromcą Białego Smoka.

– Co Sokół... – zaczął Vortimer, ale Taliesin mu przerwał:

– Za życia Sokół nigdy nie zdobędzie władzy; po śmierci będzie strzegł Brytanii na wieki... – Głowa druida opadła na piersi, a głos przeszedł w szept. – Nie próbuj dowiedzieć się więcej...

– Nie rozumiem. – Vortimer przysiadł na piętach. – Już zostałem oddany Bogini. Czego więcej po mnie oczekuje? Powiedziałeś mi albo za dużo, albo za mało. Wezwij Boginię, chcę wysłuchać Jej woli.

Viviana obrzuciła go zatrwożonym spojrzeniem. Chciała go ostrzec, żeby zważał na to, co mówi, bo słowa wypowiedziane w tym miejscu i tej nocy miały potężną moc.

Taliesin z trudem podniósł się, potrząsając głową i przecierając oczy jak człowiek wyłaniający się z głębokiej wody.

– Wezwij Boginię! – Vortimer przemówił jako księżę przywykły do rozkazywania i druid, który jeszcze nie otrząsnął się z transu, posłuchał go bez słowa.

Viviana zadygotała, gdy migocąca energia w kręgu odpowiedziała na to wezwanie. Ale moc skoncentrowała się na jej matce. Vortimer sapnął, gdy niewielka posiać Najwyższej Kapłanki nagle rozrosła się do nadludzkich rozmiarów. Niski śmiech odbił się echem od kamieni. Bogini wyciągnęła ramiona i poruszyła palcami, jak gdyby je wypróbując, po czym znieruchomiła, przenosząc spojrzenie z przerażonej twarzy Viviany na oblicze Taliesina. Widniała na nim konsternacja – druid dopiero teraz uświadomił sobie, co był uczynił, bez przygotowania i zasięgnięcia porady.

Vortimer, z nadzieją płonąca w oczach, rzucił się do Jej stóp.

– Pani, dopomóż!

– Co oddasz w zamian? – Jej głos był rozleniwiony, pełen rozbawienia.

– Swoje życie...

– Już je ofiarowałeś i, zaprawdę, zażądam go od ciebie. Atoli jeszcze nie teraz. W tę noc życzę sobie... – rozejrzała się, wybuchając śmiechem – ofiary dziewicy...

Przerażająca cisza trwała bardzo długo. Taliesin, zaciskając rękojeść noża z taką siłą, jakby się bał, że broń wyrwie mu się z dłoni, pokręcił głową.

– Musi ci wystarczyć krew maciory, Pani. Dziewczyny nie dostaniesz.

Przez chwilę Bogini patrzyła na niego z namysłem. Obserwując ją, Viviana dostrzegła jakby cieniste kształty krążących kruków i zrozumiała, że przybyła do nich Mroczna Matka z kotła.

– Przysięgłeś Mi służyć – wszyscyście przysięgli – przypomniała surowo – a jednak nie chcesz oddać mi tego, o co proszę.

Viviana odezwała się wbrew własnej woli, słysząc drżenie swojego głosu.

– Jeśli to otrzymasz, co zyskasz?

– Ja? Nic. Już mam wszystko. – Wesołość znów zabrzmiała w Jej tonie. – To ty nauczysz się... że tylko poprzez śmierć rodzi się życie, a czasami klęska poprzedza zwycięstwo.

To próba, pomyślała Viviana, wspominając Głos we mgle. Rozpięła płaszcz i pozwoliła, by opadł na ziemię.

– Druidzie Jako zaprzysiężona kapłanka Avalonu rozkazuję ci w imię mocy, którym przysięgliśmy służyć. Zwiąż mnie, żeby ciało nie próbowało się wzbraniać, i czyń, co nakazuje Bogini. – Podeszła do kamienia.

Gdy Taliesin drżąc ujął podany mu pas i przytroczył jej ręce do boków, Vortimer wreszcie odzyskał głos.

– Nie! Nie możesz tego zrobić!

– Księżę, czy ty byś posłuchał, gdybym poprosiła, abyś trzymał się z dala od bitwy? To moja decyzja i moja ofiara. – Głos Viviany był czysty, lecz zdawał się docierać z bardzo daleka.

Straciłam rozum, myślała, gdy Taliesin układał ją na kamiennej płycie. Opętały mnie mroczne duchy tego miejsca. Dobrze, że przynajmniej czekała ją śmierć bez męki; widziała już, jak zabijał. Kobieta, która była i która nie była jej matką, obserwowała wszystko niewzruszenie spod kamienia. Matko, jeśli to twoje dzieło, zostanę pomszczona. Ja zyskam wolność, ale gdy ty przyjdiesz do siebie, na zawsze będziesz dźwigać to wspomnienie.

Kamień ziębił ją przez chwilę, potem zrobił się ciepły i wygodny. Sylwetka Taliesina ciemniała na tle rozgwieżdżonego nieba. Druid wyciągnął nóż; światło zalsniło na skraju, gdy drzenie mężczyzny przeniosło się na ostrze. Ojcze, nie zawieź mnie... Viviana zamknęła oczy.

I, pogrążona w ciemności, usłyszała śmiech Bogini.

– Druidzie, odłóż ostrze. Żądam innej krwi, i to księżę musi odebrać ofiarę...

Przez chwilę Viviana nie potrafiła zrozumieć, o co jej chodzi. Potem usłyszała brzęk noża na kamieniu. Otworzyła oczy i zobaczyła Taliesina ze szlochem tulącego się do jednego z dalszych kamieni. Vortimer stał nieruchomo jakby sam przemienił się w kamień.

– Weź ją... – przynagliła łagodniej Bogini. – Myślisz, że mogłabym zażądać jej życia w wigilię Beltane? W jej objęciach staniesz się królem. – Miękkim krokiem zbliżyła się do księcia i pocałowała go w czoło. Następnie opuściła krąg, a Taliesin podążył jej śladem.

Viviana usiadła.

– Możesz mnie oswobodzić – powiedziała, kiedy Vortimer nadal stał jak wryty. – Nie ucieknę.

Zaśmiał się drżąco i ukląkł przed nią, rozwiązując supeł. Viviana popatrzyła na jego pochyloną głowę z nagłą czułością, która, jak wiedziała, była początkiem pożądania. Kiedy sznur opadł, on złożył głowę na jej łonie i objął jej biodra. Pulsujące między nimi ciepło nasiliło się; pozbawiona tchu, przegarnęła palcami jego ciemne włosy.

– Chodź do mnie, mój ukochany, mój królu... – wyszeptała, a on podniósł się i legł obok niej na kamieniu.

Ręce Vortimera poczynwały sobie coraz śmielej, aż poczuła, że ogarnia ją błogość. Gdy jego ciężar przycisnął ją do skały ołtarza, jej świadomość rozproszyła się i popłynęła wszystkimi liniami mocy, które promieniście odchodziły od kręgu. To śmierć... – mignęła jej myśl. To życie – jego krzyk przypomniał odwieczną prawdę.

Tej nocy umierali wiele razy, i wiele razy odradzali się w swych ramionach.

## 22

Księżę Vortimer zawrócił na wschód, zabierając z sobą Vivianę. Ana przynagliła kuca i podjechała do muła Taliesina, oglądając się za odjeżdżającymi.

– Zaskoczyłaś mnie, po tylu latach – stwierdził bard. – Nie sprzeciwiłaś się słowem, gdy powiedziała, że chce jechać.

– Utraciłam to prawo – rzekła chrapliwie Najwyższa Kapłanka. – A Viviana z dala ode mnie będzie bezpieczniejsza.

– To Bogini, nie ty... – zaczął Taliesin, lecz głos mu się załamał.

– Jesteś pewien? Pamiętam...

– Co pamiętasz? – odwrócił się do niej.

Ana dostrzegła na jego twarzy zmarszczki, których nie było wcześniej.

– Słyszałam wypowiedane przez siebie słowa i czułam radość, widząc, jak stoisz nad nią z nożem, widząc, jak się boisz. Przez wszystkie te lata byłam pewna, że wypełniam wolę Pani, ale jeśli dałam się zwieść, jeśli przemawiała przeze mnie tylko moja duma?

– Myślisz, że ja też zostałem oszukany?

– Skąd ja mogę to wiedzieć? – Zadrżała, jakby słońce już nie mogło jej ogrzać.

– Cóż... – mruknął przeciągle – wyznam ci prawdę. Tej nocy strach zaćmił mi rozsądek. Z nas wszystkich tylko Viviana zachowała jasność myśli, dlatego uhonorowałem jej prawo do uczynienia ofiary.

– Nie pomyślałeś o mnie? – zawołała Ana. – Myślisz, że mogłabym żyć ze świadomością, iż skazałam na śmierć własne dziecko?

– A ja – powiedział bardzo cicho – wiedząc, że zginęła z mojej ręki?

Przez długą chwilę patrzyli na siebie i Ana wyczytała pytanie w jego oczach. I raz jeszcze odmówiła odpowiedzi. Lepiej, żeby myślał, że dziewczyna jest jego córką, nawet teraz.

Bard westchnął.

– Nieważne, czy to twoje prawdziwe ja zapragnęło ją uratować, czy też Bogini zmieniła zdanie, cieszymy się, że Viviana jest bezpieczna i ma szansę na szczęście. – Obdarzył ją uśmiechem.

Ana zagryzła wargi, zastanawiając się, czym sobie zasłużyła na miłość tego człowieka. Nie była już młoda i nigdy nie była piękna. Obecnie jej kobiece przypadłości stały się tak nieregularne, że nawet nie wiedziała, czy jest jeszcze płodna.

– Moja córka stała się kobietą, a ja Staruchą Kostuchą. Zabierz mnie do Avalonu Taliesinie. Zabierz mnie do domu...

W Durovernum panował upał i taki ścisk, jakby połowa Cantium schroniła się w obrębie jego mocnych murów. Saksonowie atakowali je kilka razy, ale miasto nigdy się nie poddało. Przedzierając się przez tłum u ramienia Vortimera, Viviana pomyślała, że mury rozpękną się od środka, jeśli choć parę osób więcej zgromadzi się w mieście.

Ludzie tręcali się łokciami i pokazywali sobie Vortimera. Z ich komentarzy jasno wynikało, że widok księcia podnosi ich na duchu. Viviana ucisnęła jego rękę, a on odpowiedział uśmiechem. Kiedy byli sami, otwierała się na niego i wiedziała, co czuje. W

takim tłumie musiała podnieść psychiczne tarcze mocne jak mury Durovernum, inaczej zgiełk doprowadziłby ją do obłędu, i mogła oceniać jego nastrój tylko na podstawie tonu i wyrazu oczu. Nie dziwota, że wśród ludzi w zewnętrznym świecie dochodziło do tylu nieporozumień. Była ciekawa, czy kiedykolwiek znów zazna spokoju Avalonu.

Dom, do którego zmierzali, stał w południowej części miasta, blisko teatru. Należał do Enniusza Klaudiana, jednego z dowódców Vortimera, który wydawał ucztę. Viviana uznała za dziwne to, że Vortimer i jego kapitanowie chcą marnować czas na rozrywki w przededniu bitwy. Książę wyjaśnił, że należy uzmysłwić ludziom, iż wbrew przeciwnościom losu życie dalej toczy się normalnie.

Zapadał zmrok i niewolnicy z pochodniami pobiegli przodem. Na niebie czerwieniały chmury, jakby ogarnięte pożogą. Viviana przypuszczała, że żywą barwę zawdzięczają lunom z płonących strzech, Saksonowie bowiem maszerowali na Londinium, ale efekt był wyjątkowo widowiskowy. Wspominając liczne porzucone zagrody, mijane w drodze do Durovernum, była zaskoczona, że zostało w nich coś do spalenia.

Dlaczego tu przybyła? Czy naprawdę kochała Vortimera, czy tylko ustąpiła własnemu ciału, które go pragnęło? A może wypędził ją brak zaufania do matki? Nie wiedziała.

Gdy znaleźli się w atrium i popatrzyła na wytwornie ubrane Rzymianki, poczuła się jak dziecko w sukniach matki. Z pochodzenia ci ludzie mogli być Brytyjczykami, lecz ich dusze desperacko trzymały się snu o cesarstwie. Fleciści przygrywali w ogrodzie, a w atrium akrobaci skakali i wywijali koziołki w takt bicia bębna. Zakaśki, jak jej powiedziano, były niewyszukane w porównaniu z tym, co podawano w lepszych czasach, ale zostały wybornie przyrządzone. Mimo wysiłków podejmowanych w celu zagłuszenia wewnętrznych zmysłów, Vivianie zbierało się na płacz.

– Co ci jest? – Ręka Vortimera na jej ramieniu wyrwała ją z zadumy. – Jesteś niezdrowa?

Viviana podniosła na niego oczy i z uśmiechem pokręciła głową. Zastanawiali się, czy nie zaszła w ciążę w czasie pierwszego aktu miłości w kamiennym kręgu, ale w ciągu dwóch następnych miesięcy jej okres pojawiał się regularnie. Vortimer był bezpotomny; przypuszczała, że jak każdy mężczyzna stawiający czoło śmierci pragnął zostawić coś po sobie. Ona też miała nadzieję na dziecko.

– Tylko zmęczona. Nie przywykłam do takiego skwaru.

– Niedługo wyjdziemy – zapewnił z uśmiechem, który przyspieszył jej puls.

Książę rozejrzał się czujnie, co wprawiło ją w zdumienie. Przez cały dzień, myślała, na coś czekał; gdyby byli sami, zmusiłaby go do wyznania, o co chodzi. Kochając się po raz pierwszy, przy Tańcu Olbrzymów, poznali się do głębi. Od tamtej pory sypiała z nim w miejscach, które nie były chronione, i instynktownie powstrzymywała się przed całkowitym oddaniem. Vortimer nie uskarżał się; być może, posiadając większe doświadczenie, nie uważał tego za problem; może, myślała z żalem, zwykle właśnie takie były związki między mężczyznami i kobietami, a tylko jej inicjacja stanowiła odstępstwo od normy.

Nagle zniecierpliwiona, położyła ręce na jego ramionach i zniosła ochronne bariery. Najpierw wyczuła ciepło jego uczucia, mieszankę namiętności, podziwu i wcale niemałą miarkę lęku. Potem świadomość, którą wcześniej blokowała, naparła na nią jak fala, i zobaczyła...

Vortimer wyglądał niczym widmo. Ręce mówiły jej, że jego ciało nadal jest materialne, że to iluzja, ale oglądany Wzrokiem rozmywał się i płówał. Z gwałtownym sapnięciem oderwała od niego oczy, lecz niewiele to pomogło. Z ludzi zebranych w komnacie ledwie jeden nie stał się duchem. Spojrzała w stronę miasta i zobaczyła wyludnione ulice, zrujnowane budynki i zarośnięte ogrody.

Nie mogła tego znieść, nie chciała tego oglądać! Ostatnim wysiłkiem woli zamknęła oczy i uwolniła się od Wzroku. Kiedy odzyskała jasność myśli, byli na zewnątrz i Vortimer ją podtrzymywał.

– Powiedziałem im, że źle się czujesz i muszę zabrać cię do domu...

Viviana pokiwała głową. To dobra wymówka jak każda inna. Nie mogła dopuścić, by zaczął podejrzewać, co zobaczyła.

Tej nocy spoczęli w swoich ramionach przy otwartych okiennicach, mogli więc patrzeć na księżyc. Był w trzeciej kwadrze i wspinał się na niebo.

– Viviano. Viviano... – Palce Vortimera gładziły jej gęste włosy. – Gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, byłaś boginią i oddałaś mi się również jako bogini. Prosząc cię, byś ruszyła ze mną do Cantuin, nadal miałem zamęt w głowie. Kierowało mną przekonanie, że będziesz moim talizmanem zwycięstwa. Teraz jednak zależy mi na śmiertelnej kobiecie. – Podniósł pasemko włosów do ust. – Wyjdź za mnie, chciałbym zapewnić ci ochronę.

Viviana zadrzała. On został skazany przez przeznaczenie, jego los miał się dopełnić jak nie w tej, to w następnej bitwie.

– Jestem kapłanką. – Uciekła się do starego wykrętu, choć już nawet nie wiedziała, czy mówi prawdę. – Nie mogę poślubić żadnego mężczyzny inaczej, tylko w Wielkim Rytuale, tak jak my się połączyliśmy, w obliczu bogów.

– Ale w oczach świata... – zaczął, lecz ona położyła palec na jego ustach.

– ...jestem twoją kochanicą. Wiem, co mówią ludzie, i jestem ci wdzięczna za troskę. Żeby mnie zaakceptowali, Kościół musiałby pobłogosławić nasz związek, a ja należę do Pani. Nie, ukochany, póki żyjesz, nie potrzebuję innej opieki niż Jej i twoja...

Po długiej chwili milczenia powiedział:

– Dziś rano otrzymałem wieści, że Hengest idzie na Londinium. Nie sądzę, by wziął miasto, a w takim wypadku zawróci przez Cantium. Ja będę na niego czekał. Zbliży się wielka bitwa. Wierzę, że odniesiemy zwycięstwo, lecz na wojnie życie człowieka zawsze jest wystawione na ryzyko.

Oddech uwiązał jej w gardle. Wiedziała, że bitwa jest nieunikniona, ale nie przypuszczała, że dojdzie do niej tak szybko! Z trudem zapanowała nad głosem, mówiąc:

– Gdyby coś ci się stało, myślisz, że ochroniłoby mnie twoje imię? Gdybyś... zginął, wróciłabym do Avalonu.

– Avalon... – Wypuścił oddech w długim westchnieniu. – Pamiętam go, ale zdaje mi się snem. – Jego dłoń przesunęła się z włosów na jej twarz, obrysowała krzywiznę policzka i czoła, pogładziła jedwabistą skórę szyi i spoczęła na sercu. – Jest jak ty – masz ptasie kości, mógłbym zmiażdżyć je w garści, jednak wewnętrznie jesteś silna. Ach, Viviano, czy ty mnie kochasz?

Bez słowa wtuliła się w jego ramiona i pocałowała go, zdając sobie sprawę, że płacze, dopiero wtedy, gdy on otarł jej łzy. On też nic nie mówił i tylko ich ciała porozumiewały się z umiejętnością, wyrastającą nad wszelkie słowa.

Tej nocy Viviana śniła, że znów jest w Avalonie i przygląda się matce pracującej przy warsztacie tkackim. Dach tkalni był wyższy niż w rzeczywistości; belki krosna ginęły w cieniach, unosząc pas tapiserii. Podniosła głowę i ujrzała maszerujących ludzi, jezioro i Tor, i jazdę z Taliesinem w strugach deszczu; w miarę przybywania nitek wątku gobelin przesunął się poza pole widzenia i ginął w mroku zapomnianych lat. Niżej sceny były wyraźniejsze. Zobaczyła Taniec Olbrzymów, siebie i Vortimera, i przemierzające kraj wojsko, różne armie niosące krew i ogień.

– Matko! – krzyknęła. – Co ty robisz? – Kobieta odwróciła się i Viviana zobaczyła, że to ona sama jest tkaczką.

– Bogowie napinają osnowę, ale to my tkamy wzory – powiedziała ta Druga. – Tkaj mądrze, tkaj dobrze...

Viviana usłyszała grzmot i krosno rozpadło się na kawałki. Próbowwała je złapać, ale wyslizgiwało się jej z rąk. Ktoś nią potrząsnął. Otworzyła oczy i zobaczyła Vortimera, a jednocześnie usłyszała walenie do drzwi.

– Saksonowie... Saksonowie zostali odparci i wycofują się spod Londinium! Panie, musisz przyjść...

Viviana zamknęła oczy, gdy on je otwierał. Tych wieści oczekiwał, wiedziała, i rozpaczliwie pragnęła, aby nigdy nie nadeszły. Wspomniała tkaczkę ze snu i usłyszała jej upomnienie. Tkaj dobrze...

Co to oznacza? Vortimer szedł na wojnę, a ona nie mogła go powstrzymać. Co miała począć?

Vortimer już zakładał ubranie. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła głowę do piersi; czuła przyspieszone bicie jego serca. On rzucił tunikę i objął ją mocno. Za drzwiami rozległy się hałasy. Vortimer drgnął, a ona zacisnęła ręce. Westchnął i musnął ustami jej włosy. Potem, bardzo delikatnie, uwolnił się z jej uścisku.

– Vortimerze... – Znów wyciągnęła ramiona i on ujął jej dłonie. Uzmysłowiła sobie, że płacze, kiedy otarł jej łzy.



– A jednak... – głos mu się łamał – kochasz mnie... jak ja Kocham Ciebie. Żegnaj, umiłowana! – Odsunął się od niej, podniósł pas i tunikę, ruszył do drzwi.

Patrzyła za nim, czekając, póki nie usłyszała szczęku opadającej klamki. Osunęła się na posłanie, które zachowało odcisk ich splecionych ciał. Płakała tak, jakby chciała wyczerpać życiowy zapas łez.

W końcu nawet łzy przestały płynąć.

Viviana długo leżała, wsłuchując się w ciszę. Wreszcie przyszło jej na myśl, że przecież nadal jest kapłanką. Czy po to latami uczyła się magii, by nie móc użyć jej do ochrony człowieka, którego kochała?

Daleko jeszcze było do południa, kiedy ruszyła w drogę. Nie napotykała żadnych trudności. Podróż za wojskiem była bezpieczna jak nigdy, o ile miało się własne jedzenie. Przedsięwzięła dodatkowe środki ostrożności, przywdziewając pożyczony od ogrodnika chłopięcy kaftan. Ścięła też włosy; w ciągu wielu lat przyzwyczała się do noszenia krótkich, a gdyby musiała przybrać szacowny wygląd, starczyło nakryć głowę welonem.

Nawet jej wierzchowiec nie mógłby nikogo skusić. Był to brzydki i narowisty deresz, uznany za zbyt powolnego, by zabrać go na wojnę. Ale gdy tylko zmusiła go do ruchu, wałach wcale się nie lenił i wytrwale kroczył nierównym klusem. Tej nocy spała w miejscu, z którego widać było ogniska obozu Vortimera, a następnego dnia, nie zwracając niczyjej uwagi i nie wzbudzając podejrzeń, przyłączyła się do kucharzy jako pomocnik.

Trzeciego dnia brytyjska straż przednia natknęła się na bandę Saksonów i rozprawiła się z nią krótko. Hengest wycofywał się do swojej starej warowni na wyspie Tanatus, Vortimer liczył, że przetnie mu drogę i zniszczy jego główne siły, nim zdążą przebyć kanał oddzielający wyspę od lądu. Brytyjczycy skręcili na wschód i pędzili, co koń wyskoczy.

Wieczorem niechętnie rozbili obóz, bo wróg mimo nocnej pory mógł maszerować dalej, lecz nie mogli postąpić inaczej. Ludzie straciliby siły i wigor, a i konie musiały wypocząć, jeśli Brytyjczycy chcieli zachować przewagę, jaką zapewniała im jazda. Vivianę przenikał dreszcz, bo od ujścia Tamesis napływało wilgotne morskie powietrze. Marzyła o ciepłym ramieniu Vortimera, ale lepiej, żeby on myślał, iż jest bezpieczna w Durovernum. Przygotowała sobie posłanie na niewielkim wzniesieniu, skąd mogła patrzeć na połyskującą skórę jego polowego namiotu. I tam, w ciemności, wzywała starych bogów Brytanii, by strzegli jego ciała i wzmocnili siłę ramienia.

Wojownicy wstali o brzasku i wyruszyli przed wschodem słońca, pozostawiając za sobą tabor, Viviana miotając przekleństwa na powolnego wałacha. Więz z Vortimerem stała się tak silna, że od razu poznała, kiedy Brytyjczycy zetknęli się z wrogiem.

W taborze usłyszeli bitwę, zanim ją zobaczyli. Konie zastrzygły uszami, gdy zmienny wiatr przyniósł odgłosy przypominające huk odległego morza. Najbliższą wodą był kanał oddzielający Tanatus od reszty Cantium, zbyt płytki, by mogły powstać na nim ryczące bałwany. Słyszeli krzyki i szczęk broni, zlewające się w jeden złowieszczy harmider.

Wojska starły się na równinie przed kanałem. Za polem bitwy wznosiła się forteca Rutupiae, tyłem zwrócona ku morzu. O tej porze roku podmokłe łąki były suche i w powietrzu wisiała mgiełka kurzu. W górze krążyły kraczące niecierpliwie kruki.

Wozy zatrzymały się. Woźnice z fascynacją przyglądali się bitwie, ściszonymi i napiętymi głosami komentując rozpoznawalne manewry. Viviana wysunęła się do przodu, pragnąc zapewnić sobie jak najlepszy widok. Pierwsza szarża musiała przełamać saksoński mur tarcz i teraz ścierały się rozproszone grupy. Od czasu do czasu kilku konnych przypuszczało atak na większe skupiska nieprzyjaciela albo też rozproszeni Saksonowie próbowali zewrzeć szeregi. W takim zamęcie nie można było odgadnąć, na czyją stronę chyli się szala zwycięstwa.

Viviana tak bardzo była pochłonięta obserwacją, że nie zwróciła uwagi na krzyki woźniców za jej plecami. Dopiero kiedy jakiś brodaty mężczyzna złapał za cugle jej wierzchowca, zrozumiała, że gromada Saksonów wyrwała się z pola bitwy i postanowiła uciekać na koniach taboru. Uratowała ją złośliwość wałacha, który kłapnął długimi zębiskami. Wojownik uznał zwierzę za bardziej niebezpieczne od jeźdźca i uskoczył do tyłu. Był to śmiertelny błąd: Viviana, która zdążyła otrząsnąć się z szoku, uderzyła go sztyletem w kark. Nie musiała się wysilać, bo uwolniony koń skoczył do przodu i Sas niejako sam nadział się na ostrze.

Następny wojownik z krzykiem rzucił się w jej stronę. Viviana puściła wodze i wplotła palce w grzywę, gdy wałach stanął dęba. Wierzchowiec ruszył z kopyta, a ona całym sercem łączyła się z jego instynktem ucieczki. Nim się zatrzymał, robił ciężko bokami i piana sphywała po jego karku. Viviana odzyskała przytomność umysłu. Nadal zaciskała w dłoni skrwawiony sztylet. Już chciała go odrzucić, gdy nagle jakiś pomysł wpadł jej do głowy.

Krew wroga mogła się przydać, a sam sztylet był podarunkiem od Vortimera, jego pamiątką z dzieciństwa. Spoglądając na daleką bitwę, Viviana położyła czerwone ostrze na dłoniach i zaczęła wyśpiewywać inwokację.

Sławiła ostrość mieczy Brytów, które, jak ten sztylet, miały pozbawiać życia nieprzyjaciół; śpiewała o krwi bluzgającej z ran Saksonów, tak jak popłynęła krew jej napastnika. Zwracała się do duchów tego kraju, aby na zawsze odebrali wolę walki najeźdźcom. Prosiła trawę, by oplatała ich stopy, wodę, by ich zatopiła, i ogień, by rozgorzał im w trzewiach.

Nie wiedziała, o czym śpiewa, wpadła bowiem w trans, a jej duch niczym kruk krążył nad polem bitwy. Zobaczyła Vortimera wycinającego sobie drogę ku potężnemu mężczyźnie w złotym diademie i z siwymi warkoczami, który wymachiwał wielkim toporem bojowym z taką łatwością, jakby to była zabawka. Z krzykiem zniżyła lot nad głowę Vortimera i spikowała na jego przeciwnika.

Człowiek ów musiał być bardziej wrażliwy od swoich towarzyszy, a może naprawdę ukazał mu się jej sobowtór, bo wzdrygnął się, jego następny cios chybił, z furia bitewna w jego oczach ustąpiła zwątpieniu.

Jesteś skazany, jesteś przegrany, musisz uciekać! – zawołała. Trzy razy zatoczyła krąg nad jego głową, potem poszybowała ku morzu.

Vortimer przypuścił atak. Wymieniali ciosy, ale wielki Sas już tylko się bronił. Książę obrócił konie, jego miecz z błyskiem pomknął w dół. Topór, który poderwał się na jego spotkanie, nagle wykonał unik, zatoczył łuk, przeciął ogniwa kolczugi chroniącej nogę Vortimera i ugrzązł w boku wierzchowca. Zwierzę z kwikiem zatańczyło na zadnich kopytach i w następnej chwili przewróciło się na bok, przygniatając Vortimera do ziemi. Miast skorzystać z okazji i dobić wroga, barbarzyńca krzyknął coś w swoim języku i ruszył biegiem w stronę wody.

Na brzegu leżało pół tuzina saksońskich galer. Wojownicy pospieszyli za wycofującym się przywódcą. W mgnieniu oka zepchnęli na wodę pierwszy okręt; ci, którzy nie zdążyli na czas, bezradnie miotali się w wodzie. Brytyjczycy skoczyli za nimi, ujadając jak psy, i woda poczerwieniała. Druga łódź, wyładowana do granic wyporności, oddalała się ociężale. Saksoński wódz stanął przed trzecią, w pojedynkę powstrzymując napastników, podczas gdy jego ludzie wskakiwali do łodzi. Gdy odbiła od brzegu, wojownicy wciągnęli naczelnika na pokład.

Tylko trzy łodzie zdołały ujść z pogromu; ocaleli też ci nieliczni, którym wpływ udało się przebyć kanał. Brytyjczycy zebrali krwawe żniwo, wycinając w pień tych, którzy pozostali na brzegu. Unosząc się ponad pobojowiskiem Viviana widziała, jak żołnierze ściągają konia z ciała dowódcy. Vortimer sam podniósł się na nogi i wyczerpanie na jego twarzy przerodziło się w uniesienie, gdy zrozumiał, że odnieśli zwycięstwo.

Viviana otworzyła oczy. Leżała na ziemi; niedaleko deresz z zadowoleniem poszcypywał trawę. Usiadła z trudem, krzywiąc się z bólu. Mięśnie bolały ją tak, jakby walczyła nie tylko duchem, ale i ciałem. Wbiła sztylet w ziemię, aby oczyścić ostrze z krwi, potem wytarła je w kaftan i wsunęła do pochwy. Pomrukując uspokajająco, bo wałach łypał na nią podejrzliwie, sięgnęła po wodze i dźwignęła się na siodło.

Wśród nielicznych rzeczy, jakie zabrała z Durovernum, znajdowała się sakwa z medykamentami – wiedziała, że w bitwie na pewno się przydadzą. Kiedy wierzchowiec przycisnął Vortimera, jeździec miał niewielkie szansę wyjść z tego bez szwanku. Pragnąc znaleźć się przy nim jak najszybciej, pognęła konia w dół zbocza.

Zwycięzcy wycofali się do forticy Rutupiae. Vortimer był pochłonięty wydawaniem rozkazów i na razie nie miała do niego dostępu. Dlatego zajęła się pomaganiem tym, którzy odnieśli poważniejsze obrażenia.

Jej zdaniem w tym miejscu nawet w powietrzu czuło się historię. Nie przez przypadek Hengest wybrał Tanatus na swoją warownię. Były to wrota Brytanii. Samo Rutupiae wyrosło z fortu wzniesionego do ochrony pierwszego przyczółka założonego przez Cezara. Przez pewien czas było głównym portem prowincji; o jego znaczeniu świadczył wielki posąg, którego ruiny stały się podstawą wieży sygnalizacyjnej. Później rolę portów handlowych przejęły Clausentuni i Duhris, ale mury i fosy Rutupiae, przebudowane przed stuleciem w okresie umacniania wszystkich fortów na Saksońskim Brzegu, nadal były w dobrym stanie.

Zapadła noc, gdy Vortimer wreszcie spoczął i Viviana mogła się do niego zbliżyć. Zdjął zbroję, ale nie zrobił nic z raną. Ktoś odkrył piwnicę z winem i brytyjscy dowódcy zaczęli świętować zwycięstwo.

– Widziałeś, jak zmykali? Zawodzili niczym baby, gdy tonęli, nie mogąc wdrapać się do swoich łodzi...

– Ach, zabili jednak wielu naszych dzielnych chłopców – zauważył drugi. – Ułożymy dla nich pieśń sławiącą ten dzień!

Viviana ściągnęła brwi. Już wiedziała, że Vortimer stracił tuzin swoich dowódców, nie licząc szeregowych wojowników. Może dlatego z ponurą miną wpatrywał się w ogień. Jednakże Hengest uciekł i oddał im pole bitwy. To było znakomite zwycięstwo. Viviana po cichu stanęła przy jego ramieniu.

– Mój pan troszczy się o wszystkich prócz siebie. Czas opatrzyć własną ranę.

– To tylko draśnięcie, inni są w dużo gorszym stanie.

Nie była zaskoczona, że jej nie poznał, bo światło było niepewne. Musiała stanowić nie lada widok, w obszernym kaftanie i spodniach, powalanych ziemią i zbryzganych krwią rannych.

– Zrobiłem, co mogłem, aby im pomóc. Teraz kolej na ciebie. Pozwól, obejrzę ranę. – Uklękła przed nim, chyląc głowę i kładąc rękę na jego kolanie.

Może jego ciało rozpoznało dotyk, bo zeszywniał i zrobił niezdecydowaną minę.

– Jesteś taki młody. Czy na pewno masz doświadczenie, aby... – Urwał, gdy pokazała mu zęby w uśmiechu.

– Panie mój, czy wątpisz w moje doświadczenie?

– Dobry Boże! Viviana! – Skrzywił się, gdy zaczęła badać brzydkie rozcięcie na jego udzie.

– O dobra Bogini! – Podniosła się, już bez uśmiechu. – W Jej imię obiecuję ci, że jeśli nie znajdziesz izby, gdzie na osobności będę mogła cię opatrzyć, ściągnę ci spodnie przy wszystkich.

– Przychodzi mi na myśl wiele innych rzeczy, które wolałbym robić z tobą, w odosobnieniu... ale zrobię, co zechcesz – odpowiedział półgłosem. – Ja też mam ci coś do powiedzenia. – Podniósł się z cichym jękiem, bo rana zeszywniała, ale powstrzymał się od utykania. Udali się do kwater trybuna, jednego z zabitych dowódców.

Viviana ostrożnie zamoczyła nogawkę, żeby rozpuścić zaschniętą krew. Zdjęła mu spodnie i przystąpiła do oczyszczania rany. Vortimer leżał na boku, szukając ucieczki od bólu w drobiazgowej analizie przyczyn, które odebrały jej rozum i skłoniły do ruszenia w drogę. Pomyślała, że gdyby była jego podkomendnym, poczułaby się stłamszona, nawet unicestwiona. Mieszkając z matką, która rugała ją z psychiczną siłą rzeczywiście mogącą nieść zniszczenie, rozwinęła wyborny system obronny i zwykłe słowa nie mogły uczynić jej krzywdy – zwłaszcza kiedy podsycala je nie złość, lecz miłość.

– Prawda, gdybym była twoją żoną, mógłbyś rozkazać mi zostać – powiedziała na koniec.  
– Nie jesteś zadowolony, że tego nie zrobiłam? Nieliczni mają przywilej cieszyć się opieką kapłanek Avalonu.

Rozcięcie samo w sobie nie było groźne, ale brzegi się wyszarpały, gdy ciężar konia przygniótł nogę, a do wnętrza dostało się pełno ziemi i żdzbeł trawy. Vortimer nie przestawał marudzić, gdy oczyszczała ranę.

– I ścięłaś swe piękne włosy! – zakończył.

– Z długimi raczej nikt nie wzięłby mnie za chłopca. Jesteś Rzymianinem; nie podobam ci się jako chłopiec?

– Myślisz chyba o Grekach... – Zarumienił się czarująco. – Miałem nadzieję, że pokazałem ci, co lubię...

Uśmiechnęła się i podała mu kawałek skóry.

– Zagryź to w zębach, zaleję winem twoją ranę. – Szarpnął się, gdy trunek podrażnił nerwy, pot wystąpił mu na czoło. – Żuj skórę, gdy będę szyć. Zostanie ci interesująca blizna.

W czasie zabiegu nie wydał dźwięku poza paroma stęknieniami, ale po zakończeniu był błydy i roztrzęsiony. Viviana ujęła jego głowę w dłonie i przycisnęła usta do jego warg; całowała go, dopóki szybciej krążąca krew nie zaróżowiła mu skóry. Delikatnie go umyła i przebrała w czystą tunikę, Vortimer spał, kiedy pojawił się szukający go Enniusz Klaudian. Viviana znalazła tunikę należącą do poległego trybuna, dość długą, by mogła służyć jej za suknię. Umyła się w resztkę wody, zmieniła ubranie i uczesała włosy; doprowadziwszy się do porządku, mogła liczyć, że Enniusz pozna ją i bez sprzeciwu przyjmie rozkazy, iż księciu nie należy przeszkadzać.

Zwycięstwo pod Rutupiae okupione zostało ciężkimi stratami, tym niemniej pozostawało zwycięstwem. Nawet ponury obowiązek policzenia i pogrzebania poległych nie zaćmił do końca powszechnej radości. Hengest odszedł – może nie z wysp, ale z Brytanii na pewno. Trzy ocalałe galery wyniosły się za morze, do Germanii albo germańskiego piekła – Brytyjczycy ani tego nie wiedzieli, ani o to nie dbali. Dokądkolwiek by Hengest trafił, miał tam pozostać, skąd bowiem, po takiej klęsce, mógłby wziąć ludzi dość głupich, by za nim podążyli?

– Zatem już po wszystkim? Wygraliśmy? – Viviana w zdumieniu potrząsała głową. Saksonowie przez tak długi czas stanowili zagrożenie, że trudno było uwierzyć w ich odejście.

Vortimer westchnął ciężko i poprawił się na ławie, bo rana nadal mu doskwierała.

– Pobiliśmy Hengesta, który był naszym największym wrogiem, ale barbarzyńcy lęgną się w Germanii niczym robaki na trupie i ciągle są głodni, Pewnego dnia przybędą większą siłą, a jeśli nie, mamy jeszcze Piktów i plemiona Hibernii. To jeszcze nie koniec, maleńka, jednak zyskaliśmy chwilę odpoczynku. – Wyciągnął rękę ku świeżym mogiłom. – Ich krew zapewniła nam czas na odbudowę. Zachód i południe nadal są zamożne. Teraz z pewnością nie odmówią nam wsparcia!

Popatrzyła na niego z ciekawością.

– Co masz na myśli?

– Chcę udać się do Ambrozjusza. Na Boga, uratowałem Brytanię; on i mój ojciec będą musieli mnie wysłuchać. Mógłbym za ich plecami obwołać się cesarzem, lecz nie chcę jeszcze bardziej dzielić tego kraju. Niemniej jednak, zyskałem okazję do rozpoczęcia negocjacji. Mój ojciec jest stary. Jeśli obiecuję Ambrozjuszowi, że poprę go po śmierci Vortigerna, on udzieli mi pomocy potrzebnej w tej chwili.

Viviana odpowiedziała mu uśmiechem, ożywiona jego wizją. Wydawało jej się, że wszystko, co wydarzyło się od połączenia w Tańcu Olbrzymów, było zasądzone przez los. Wreszcie zrozumiała impuls, który pchnął ją do połączenia się z Vortimerem. Słyszała, że Karauzjusz przed ogłoszeniem się panem Brytanii poślubił kobietę z Avalonu. Czyż małżonką Zbawcy Brytanii nie powinna zostać kapłanka, chroniąca go i służąca mu radą?

Vortimer podarował jej innego wierzchowca, ale Viviana polubiła dereszowatego wałacha i nie chciała się z nim rozstawać. I mimo nierównego chodu odnosiła wrażenie, że jazda na nim jest o wiele wygodniejsza niż na księżącym pysznym siwym ogierze. Prosiła, by został w Rutupiae do czasu zagojenia się rany, ale on twierdził uparcie, że musi spotkać się z Ambrozjuszem teraz, gdy w Brytanii nadal huczy jak w ulu od pogłosek o jego zwycięstwie.

Pobyt w Londinium został zakłócony przez poważną scysję między Vortimerem a jego ojcem. Vortigern, gotów obwołać syna prawowitym następcą, wpadł w zrozumiałe rozdrażnienie, gdy dowiedział się o jego zamiarze, jak to ujął, zniweczenia odniesionej wiktarii. Vivianie przyszło na myśl, że Vortigern i jej matka mogliby złożyć sobie wzajem wyrazy współczucia z powodu krnąbrnych, nieposłusznych dzieci. Vortimer cierpiał tym bardziej, że potrafił zrozumieć ojcowski punkt widzenia. Często wspominał, jak Vortigern starał się naprawić błąd polegający na zaproszeniu Saksonów do Brytanii. Chociaż dostrzegał przewiny ojca, szanował go i kłótnia ze starcem sprawiła mu ból. Kiedy wreszcie ruszyli drogą do Callevy, był blady i milczący.

Dopiero gdy stanęli w miarę wygodnym *mansio* w Callevie, Viviana zrozumiała, że nie całe cierpienie Vortimera jest wynikiem uderzeń duchowych. Kiedy rozebrali się do kąpieli, zobaczyła, że okolice rany są zaczerwienione i opuchnięte. On zapewniał, że wcale nie odczuwa bólu, ona klęła się, że łączy w żywe oczy. Po dłuższej wymianie zdań wymogła na nim obietnicę, że zezwoli jej na przyłożenie gorących kompresów.

Wieczorem poczuł się jakby lepiej i kiedy się położyli, po raz pierwszy od bitwy przyciągnął ją do siebie.

– Nie powinniśmy – wyszeptała, gdy całował jej szyję. – To sprawi ci ból...

– Nie zauważę... – Jego usta znalazły jej piersi. Viviana sapnęła.

– Nie wierzę ci – powiedziała drżącym głosem, ze zdumieniem uświadamiając sobie, jak bardzo uzależniła się od miłości i jak bardzo jej tego brakowało.

– Zatem będziemy się zmieniać... – Podniósł się na łokciu, a potem położył na plecach, lecz nie przestał jej pieścić. – Taki z ciebie drobiazdek! Skoro jednak udało ci się przejechać taki szmat drogi na tym dereszowatym walu, z pewnością dasz radę pojeździć na mnie!

Viviana zarumieniła się w ciemności, ale jego błędząca ręka budziła w niej potrzebę, której nie potrafiła się oprzeć. Namiętność, z jaką się kochali, szybko wyrwała się spod kontroli. Było jak za pierwszym razem, kiedy ich połączone ciała stały się kanałem dla nadludzkiej siły, i tej nocy komnata sypialna w Callevie stała się świętą ziemią.

– Ach, Viviano... – wyszeptał, kiedy uniesienie przeminęło i zaczęli przypominać sobie, że znów są śmiertelnikami. – Jakże ja cię kocham. Nie opuszczaj mnie, najdroższa. Nie pozwól mi odejść...

– Nie pozwolę – zapewniła żarliwie, całując go. Dopiero dużo później zastanawiała się, dlaczego nie wyznała, że też go kocha.

Rankiem wyruszyli w kierunku Glevum, ale w południe drugiego dnia podróży Vortimer zaczął gorączkować. Nie przerwał jednak jazdy i nie pozwolił obejrzeć rany. Po południu ludzie z eskorty zaczęli podzielać niepokój Viviany i kiedy na rozdrożu rozkazała im skręcić ku Cunetio, posłuchali bez słowa.

Tej nocy chora noga była bardzo gorąca i twarda. Viviana wiedziała, że mimo jej starań jakiś brud musiał pozostać w ranie. Zmiękczyła i przecięła szwy, a wówczas z otworu wylała się cuchnąca materia. *Mansio* w Cunetio było małe i ubogie, ale zrobiła, co mogła, by zapewnić Vortimerowi wszelkie wygody. Mimo to spał niespokojnie, podobnie jak ona. Zamartwiała się, na jak długo wystarczy zapas ziół i co zrobić, kiedy się wyczerpie.

O ogromie cierpień Vortimera świadczył fakt, że nie sprzeciwiał się, gdy postanowiła przedłużyć pobyt w *mansio* o jeszcze jeden dzień. Z rany nadal sączyła się ropa; jeśli cokolwiek mogło napawać otuchą, to tylko brak pogorszenia.

Następnego dnia rano Viviana usiadła przy łóżku i złapała Vortimera za rękę.

– Nie możesz jechać konno, tym bardziej do Glevum – oznajmiła spokojnie. – A tutaj nie mogę zapewnić ci właściwej opieki. Na szczęście nie jesteśmy daleko od Avalonu. Mają tam nieprzebrane zapasy ziół, a umiejętności kapłanek w ich stosowaniu o niebo przewyższają moje. Jeśli pozwolisz, zbudujemy konną lektykę i zawieziemy cię na świętą wyspę. Jestem pewna, że tam szybko wrócisz do zdrowia.

Przed długi czas patrzył jej w oczy.

– Kiedy jechaliśmy do Tańca Olbrzymów, wiedziałem, że jedno z nas musi zostać poświęcone. Nie boję się. Mam wrażenie, że już wcześniej umierałem dla Brytanii. – Uśmiechnął się, widząc jej zatrwożone spojrzenie. – Niech będzie po twojemu. Zawsze chciałem wrócić do Avalonu...

Dwa dni później stanęli w Sorviodunum. Vivianie robiło się słabo na myśl, jak blisko są kręgu kamieni, w którym zaczęło się jej życie z Vortimerem. Z drugiej strony, już od trzech dni była na wpół przytomna ze strachu. Wiedziała, że podrygiwanie lektyki musi sprawiać Vortimerowi katusze, a na domiar złego ledwo udawało jej się hamować postępujące zakażenie. Vortimer był silnym mężczyzną; z pewnością wyzdrowieje, jeśli tylko na czas dotrą do Avalonu. Dlatego nie przerywali jazdy i niedługo po opuszczeniu miasta skręcili na starożytny trakt wiodący na zachód przez wzgórza.

Drugiego dnia wieczorem rozbili obozowisko na zaokrąglonym pagórze przy drodze. Viviana udała się po drewno na opał. Pagór był zarośnięty, ale wokół wierzchołka, niegdyś wyrównanego, zachowały się ślady rowów i wałów ziemnych. Zrozumiała, że zatrzymali się w grodzie obronnym, jakie budowano w zamierzchłych czasach. Nikomu nie wspomniała o swoim odkryciu – znała zaklęcia uciszające duchy takich miejsc i nie chciała trwożyć ludzi.

Już byli niespokojni, bo pod jej nieobecność Vortimer jął mówić coś nieskładnie o jakichś bitwach. Myśleli, że wspomina Rutupiae, gdzie został raniony, ale kiedy się wsłuchała, usłyszała inne nazwy – Brigantowie, ojciec Paulus, Gesoriacum, Maksymian.

W świetle ognia wyraźnie zobaczyła, jak bardzo wychudł w ciągu paru dni gorączkowania. Kiedy odkryła ranę, z przerażeniem ujrzała ciemne macki gangreny odchodzące promieniście ku pachwinie. Oczyszczyła ranę i obandażowała ją jak zwykle, nie zdradzając nękającego ją strachu.

Tej nocy czuwała do późna, chłodząc rozpalone ciało Vortimera zimną wodą ze źródła. Gdyby woda pochodziła ze świętej studni, z pewnością wróciłaby mu zdrowie. Wreszcie, zmęczona, zapadła w sen, z gałgankiem w dłoni.

Przebudził ją krzyk Vortimera. Siedział wyprostowany, mając coś o włóczniach i wrogach przy bramie, ale tym razem przemawiał archaiczną odmianą mowy ludu bagien. Przerażona, zawołała do niego, najpierw w dawnym języku, a potem w ich własnym. Przytomne światło zalśniło mu w oczach i opadł na koce, z trudem chwytając powietrze. Viviana rzuciła naręczę drew na węgle, aby rozbudzić uśpiony płomień.



– Widziałem ich... – wyszeptał. – Malowanych ludzi ze złotymi naszyjnikami i włóczykami z brązu. Byli podobni do ciebie...

– Tak... – przyznała cicho. – To miejsce starożytnych.

Popatrzył na nią z nagłym lękiem.

– Powiadają, że z takiego miejsca może człowieka porwać Czarowny Lud.

– Chciałabym, żeby to było możliwe. Szybciej znaleźlibyśmy się w Avalonie.

Vortimer zamknął oczy.

– Myślę, że nigdy tam nie dotrę. Zabierz mnie do Cantium, Viviano. Jeśli pogrzebiesz mnie na brzegu, na którym odniosłem zwycięstwo, będę go strzegł i Saksonowie nigdy tam się nie osiedlą, nawet jeśli zdobędą inne brytyjskie porty. Obiecasz mi to, ukochana?

– Nie umrzesz, nie możesz! – Kurczowo uchwyciła jego rękę. Była gorąca i tak szczupła, że wyczuwała kości.

– Jesteś Boginią... nie będziesz okrutna na tyle, aby kazać mi żyć w takim bólu.

Viviana patrzyła na niego, wspominając pierwszy rytuał. Pani dała mu zwycięstwo, a teraz, jak zapowiedziała, upomniała się o jego ofiarę. I Viviana jako kapłanka Bogini była narzędziem, które przyczyniło się do wypełnienia obietnicy. Chciała ustrzec Vortimera przed czekającym go przeznaczeniem. Wszystkim, co osiągnęła, było doprowadzenie go do samotnej śmierci na wzgórzu nawiedzanym przez duchy starożytnych wojów.

– Zdradziłam cię... – wyszeptała – nie chciałam tego... – Ujęła jego nadgarstek i wyczuła nierówny puls.

Vortimer otworzył oczy pociemniałe z bólu.

– Czy zatem wszystko na darmo? Czy całe to zabijanie było na próżno? Pomóż mi. Viviano, bo oszaleję. Niech chociaż umrę przy zdrowych zmysłach!

Nagle zrozumiała, że zwraca się do niej jako do kapłanki i że gdyby teraz go zawiodła, istotnie byłoby to zdradą. Widziała, jak życie tli się w nim niczym gasnący płomień. I chociaż pragnęła z płaczem rzucić się na jego piersi, pokiwała głową i wróciła myślami do dawnych lekcji. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie wdzięczna za pobranie tych nauk.

Ujęła zimne dłonie i uwięziła jego spojrzenie, aż oddech Vortimera dostosował się do jej oddechu.

– Uspokój się... – szepnęła. – Wszystko będzie dobrze. Gdy wypuścisz powietrze, odejdzie cię ból... – Jego energia ustabilizowała się, ale była słaba, bardzo słaba. Przez krótką chwilę trwali w milczeniu. Żrenice Vortimera rozszerzyły się.

– Ból minął... moja Królowo... – Wpił w nią oczy, jednakże Viviana nie sądziła, by ją widział. – Niech bogowie mają cię w opiece... do ponownego... spotkania.

Jej usta jęły poruszać się machinalnie w modlitwie, którą niegdyś odmawiano w Atlantydzie za umierającego króla. Przynajmniej tym razem jestem przy tobie, aby ułatwić ci odejście! – powiedziała w duchu, a potem zastanowiła się, jakież to życie przywiodło tę myśl. Czowała, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni. Po chwili uścisk zelżał, ręce opadły

bezwładnie. Vortimer wyzionął ducha z westchnieniem człowieka, który, walcząc do samego końca, w krytycznej chwili dostrzega zapowiedź zwycięstwa.

## 23

– Jeden jest dla Bogini, która jest wszystkim... – Uśmiech Igriany przywodził na myśl promyk słońca. Minęły zniwa i koło roku obracało się ku Samhainowi, ale tutaj, na brzegu jeziora, słońce przygrzewało niczym w pełni lata. Jego blask odbijał się od drobnych fal i jasnych włosów dziecka.

– Tak jest, słoneczko – powiedział Taliesin. – A czy możesz mi powiedzieć, czym jest dwa? – Za połącią błękitnej wody, pod bladym niebem, ziemia przystrajała się w dojrzałe barwy jesieni.

– Dwa... jest czymś, tym, w co Ona się przemienia, jak Pan i Pani albo Ciemność i Światło.

– Doskonale, Igriano! – Taliesin przytulił ją do piersi. Przynajmniej to dziecko wolno mu było kochać.

Jego spojrzenie przesunęło się ku drugiej córce, która spacerowała brzegiem jeziora, z pochyloną, krótko ostrzyżoną głową, przystając od czasu do czasu, aby popatrzeć w stronę Strażniczego Wzgórza, gdzie pochowali Vortimera. Księżyc odmienił się dwa razy od czasu, gdy mieszkańcy moczarów znaleźli ją z jego ciałem przy starym grodzisku i sprowadzili do Avalonu. Błagała ich, żeby pozwolili jej zabrać ciało z powrotem do Rutupiae, ale byłoby to zbyt niebezpieczne, gdyż po wybrzeżu nadal grasowały niedobitki Saksonów. Czy dlatego jej twarz tak wyszczuplała? A jednak wychudzenie nie obejmowało ciała. Gdy stanęła bokiem, ciemna sylwetka wyraźnie zaznaczyła się na tle jasnej wody i Taliesin dostrzegł pełny kształt jej piersi...

– A trzy jest wtedy, gdy Dwoje ma dziecko! – zawołała triumfalnie Igriana.

Taliesin wypuścił oddech w długim westchnieniu. Klatka piersiowa Viviany, zawsze płaska niemal jak u chłopca, teraz nabierała kobiecych kształtów. Dlaczego nie powiedziała im, że nosi dziecko?

– Mam rację? – Igriana niecierpliwie pociągnęła go za rękaw.

– W rzeczy samej... – Mając pięć lat była bystrzejsza od wszystkich znanych mu dzieci, ale ostatnio, jak nigdy wcześniej, stale domagała się potwierdzenia swojej wartości.

– Powiesz mamusi, dobrze? I ona będzie ze mnie zadowolona, prawda? – Jej głos niósł się czysto w nieruchomym powietrzu.

Viviana odwróciła się. Ich spojrzenia się skrzyżowały i Taliesin zobaczył, jak smutek w jej oczach przeradza się w gniew. Być może wspominała własne dzieciństwo. Potem oczy złagodniały i dziewczyna podeszła szybko, aby wziąć małą w ramiona.

– Ja jestem zadowolona. Igriano. Kiedy byłam w twoim wieku, nie uczyłam się nawet w połowie tak dobrze!

Nie było to do końca prawdą, pomyślał bard. Zanim jednak Viviana osiągnęła szósty rok życia, została odesłana z Neithenem. W czasie lat spędzonych na farmie zapomniała wcześniejsze nauki i musiała na powrót uczyć się wszystkiego po przybyciu do Avalonu.

– Teraz możesz pobiegać po brzegu i poszukać ładnych kamyczków. – Taliesin pochylił się i pocałował dziecko. – Ale nie odchodź daleko i nie próbuj wchodzić do wody.

– Igriana jest zagubiona, i nie dziwota – powiedziała Viviana, wodząc za nią wzrokiem. O tej porze roku niebezpieczeństwo nie było duże; poziom wody obniżył się w następstwie długiej posuchy do tego stopnia, że niemal można było przebyć jezioro suchą stopą. – Ana już nie ma dla niej czasu, prawda? Pamiętam, jak było, kiedy zaczęła odsuwać się ode mnie...

Taliesin potrząsnął głową, słysząc gorycz w jej głosie.

– Ale w niemowlęctwie Igriany była taką przykładną matką...

– Słyszałam, że z niektórymi kobietami tak bywa. Cieszą się odmiennym stanem i uwielbiają maleńkie dzieci, ale jakby nie wiedzą, co z nimi robić, gdy maleństwa podrosną i zaczynają kierować się własną wolą.

– Jesteś mądra – powiedział, godząc się z jej uwagą. – Jestem pewien, że nie popełnisz tego błędu ze swoim...

Twarz Viviany pobladła tak nagle, iż Taliesin przestraszył się, że dziewczyna zaraz upadnie.

– Z moim dzieckiem? – Jej ręka w instynktownym, obronnym geście przesunęła się na brzuch.

– Jesteś przy nadziei, powiedziałbym, że mniej więcej od czasu Beltane. Moja droga, musiałaś wiedzieć! – Ale nie wiedziała. Taliesin poznał to po jej mieniącej się twarzy. Ujął jej rękę. – Chodź, trzeba to uczcić! Sadzę, że to dziecko Vortimera?

Viviana przytaknęła i wybuchnęła płaczem – po raz pierwszy od czasu, kiedy pojawiła się z ciałem ukochanego.

W Samhain, kiedy zmarli przybywają ucztować z żywymi, a Bogini kończy półroczne rządy i przekazuje władzę Bogu, lud Brytanii ruszał w procesji od wioski do wioski, śpiewając i tańcząc w słomianych przebraniach. Mieszkańcy moczarów podróżowali łodziami, a blask łuczyw kładł się na wodę niczym płynny ogień. Na chrześcijańskiej wyspie mnisi wznosili śpiewy, aby odpędzić złe moce, które panowały w noc otwarcia się drzwi między światami. Mnisi, przemykający chyłkiem między kościołem a swoimi celami, widywali niekiedy, jak światła na wodzie rozplývają się we mgle i nikną. Ci, którzy widzieli tajemnicze zjawisko, nie wspominali o nim słowem. Ale dla ludu bagien był to czas radości; w tę noc, podobnie jak w wigilię Beltane, mieli utworzyć krąg na Wyspie Avalon.

Pani Jeziora siedziała na tronie z giętkich gałęzi narzuconych białą końską skórą, twarzą do ogniska rozpalonego na wielkiej łące poniżej świętej studni. Wkrótce miała nadejść północ i ludzie tańczyli; ziemia dudniła pod ich bosymi stopami i odpowiadała hukowi bębnow. Kapłanka miała na sobie tylko talizman z wizerunkiem białej klaczy i półksiężyc Bogini. Nie zdobiło jej nic innego, tej nocy bowiem była kapłanką Wielkiej Matki ich wszystkich.

Nie nadszedł jeszcze czas na ucztę, ale wrzosowe piwo lało się obfitym strumieniem. Nie było zbyt mocne, choć pochłonięte w dużych ilościach mogło wywołać przyjemny szum w głowie. Ana piła tylko źródlaną wodę z rogowego kubka opleczonego srebrem. Jak jej ozdoby, naczynie było bardzo stare. Być może ekstatyczne bicie w bębny sprawiło, że chciała roześmiać się pełną piersią. Obserwując, jak córka promienieje pięknem wczesnej ciąży, zwykle czuła się staro, ale tej nocy jeszcze raz była młoda.

Popatrzyła na szczyt Toru, gdzie pochodnie migotały jak błędne ognie na tle ciemnego nieba. W pewnym sensie tym właśnie były, te duchy bowiem, które ani nie wyszły poza kręgi świata, ani nie narodziły się ponownie, mogły na pewien czas zbłądzić do Czarownej Krainy. Tej nocy kapłani i kapłanki Avalonu składali swoje ciała w ofierze, pozwalając duchom przodków zastąpić własne dusze, i w ten sposób umarli mogli ucztować z żywymi, a ci, którzy w innych okolicznościach bali się duchów albo Czarownego Ludu, witali ich serdecznie.

Viviana też przyglądała się Torowi, z napięciem, które matka uznała za niepokojące. Czy myślała, że przyjdzie do niej ukochany? Ana mogłaby jej powiedzieć, że nie, że przez rok i jeden dzień zmarli przebywają w Letniej Krainie, gdzie leczą swoje dusze. Nawet największa rozpacz nie mogła im w tym przeszkodzić i nie wolno było ich wzywać przed upływem tego czasu. Ale dusza, która pozostawiła na tym świecie nie ukończone sprawy, mogła ociagać się z odejściem. Vivianą targęła rozpacz czy też może poczucie winy, że czegoś nie zrobiła?

Ktoś dorzucił drewna do ognia i Ana zaczęła śledzić iskry, które wlatywały niemal do zimnych ogni nieba. Była prawie północ, jej oczekiwanie narastało. Strażnik przy studni wydał przeciągły krzyk, który przebił się przez wrzawę tańca. Sznur pochodni ruszył ze szczytu, wijąc się Drogą Procesyjną wokół Toru. Bębniści podnieśli ręce i nagle, jakby za sprawą zaklęcia, zapadła cisza.

Przerwało ją ponowne bicie w bębny, bardzo ciche, uparte jak bicie serca, tętniące w ciele i ziemi. Ludzie cofnęli się i przykucnęli przy jedzeniu przyniesionym na ucztę. Widmowa procesja była coraz bliżej. Pobielone twarze kapłanów i ciała pokryte znakami stanowiły element odwiecznej magii, starej już wówczas, gdy z morza przybyli Atlantydzii. Ana uważnie przyjrzała się kapłanom i nie znalazła wśród nich Taliesina. W migotliwym blasku nie mogła być niczego pewna, poza tym nikt nie mógł przewidzieć, kto wyciągnie los Rogatego, ale nadzieja przyspieszyła jej puls.

Przodkowie okrążyli ognisko. Zebrani przystąpili do wykrzykiwania imion, a wówczas anonimowe dotychczas twarze zaczęły się jakby odmieniać, nabierać indywidualnych rysów. Jakaś starsza kobieta zawołała głośno, rozpoznając bliską sobie osobę. Jeden z tancerzy, utykając i mamrocząc jak starzec, opuścił szereg i usiadł obok niej. Dziewczyna, może ich córka, uklękła przed nim i głaskała się po brzuchu, błagając go, by odrodził się w jej łonie.

Przodkowie jeden po drugim przyłączali się do uczty. Viviana, która obserwowała ich z rozpaczliwą nadzieją w oczach, odwróciła się z płaczem. Może w przyszłym roku, o ile nadal będzie tego pragnęła, zobaczy Vortimera i pokaże mu ich dziecko.

Usta Any wykrzywił grymas. Sama powiła pierwsze dziecko, gdy była dużo młodsza, ale ciąża córki nadal wydawała się jej niestosowna. W Tańcu Olbrzymów czuła się stara: miesięczny upływ krwi ustał na parę miesięcy i już była gotowa ogłosić się staruchą, gdy raptem miesiączki wróciły. Sądziła, że powstrzymało je zmartwienie. Nadal była w płodnych latach.

Kobieta z bagiennego ludu uklękła przed nią z talerzem, oferując paski wołowiny jeszcze parujące od żaru. Zaburczało jej w brzuchu, obowiązywał ją bowiem rytualny post, ale odmówiła poczęstunku. Wokół niej trwała uczta. Przodkowie, zadowoleni z przyjęcia, opuszczali goszczące ich ciała i kapłani odchodzili, aby zmyć farbę i się pożywić. Ana poczuła mrowienie i poznała, że odmieniają się astralne pływy. Wkrótce otworzą się drogi między przeszłością a przyszłością, wiążące wszystkie światy.

Z sakiewki u pasa wyjęła trzy maleńkie grzybki, przyniesione przez znachorkę z plemienia Herona. Nadal były pulchne i świeże; ich gorzki smak ściągnął jej usta, lecz przeżuła je dokładnie. Unosiła się na pierwszej fali oszołomienia, gdy Nectan skłonił się głęboko przed tronem.

– Nadeszła pora: studnia czeka. Daj nam poznać, jakie skrywa przeznaczenie...

Ana podniosła się niepewnie, uśmiechając się do emanującej z tłumu mieszaniny ciekawości i strachu. Stary druid ujął ją pod rękę i razem ruszyli w górę zbocza. Zwierciadlany Staw czekał nieruchomo w świetle gwiazd, odwrócony obraz Łowcy Światów odbijał się w jego toni. Na powierzchni zamigotał blask pochodni. Najwyższa Kapłanka ruchem dłoni kazała cofnąć się ludziom z pochodniami i wszyscy w milczeniu zajęli miejsca wokół stawu.

Viviana wysunęła się, by zajrzeć w wodę, jak w każdy Samhain od czasu pierwszej wizji, ale tym razem Ana złapała ją za ramię.

– Głupia dziewczyno, nie możesz Widzieć, nosząc dziecko w łonie!

Nie było to całkowicie prawdą. Rzeczywiście, Widzenie było utrudnione, bo kobieta przy nadziei silniej niż kiedy indziej była związana z ciałem i energia, która przez nią przepływała, mogła być niebezpieczna dla dziecka. Ale Ana, odpychając córkę, wiedziała, że nie tylko to nią powodowało.

Zamrugła, pragnąc zachować normalny wzrok jeszcze przez parę chwil. Nadszedł czas, aby pokazać, dlaczego nadal jest Najwyższą Kapłanką Avalonu.

Na skraju stawu leżał kawałek owczej skóry. Nectan pomógł jej uklęknąć. Bardzo ostrożnie, bo grzybki osiągnęły pełnię mocy, Ana uchwyciła się zimnych kamieni. Dyscyplina wieloletniej praktyki unieruchomiła jej mięśnie. Długie włosy spłynęły po obu stronach jej twarzy, uniemożliwiając spojrzenie na boki. Patrzyła w dół, w ciemność, i jej oczy przestały się skupiać. Jeden głęboki oddech uspokoił ją, następny wstrząsnął jej ciałem, a trzeci uwolnił świadomość.

Zmarszczki na wodzie przemieniły się w góry i doliny. Krzyżujące się linie mocy pożyłkowały ziemię światłem. Tej nocy szlaki powiązane były z duchami spieszącymi ku migoczącym ogniom Samhainu.

– Biała Klaczy, błagam cię, przemów do nas. – Ze światów, które opuściła, dobiegł głos Nectana. – Powiedz nam, co widzisz.

– W kraju panuje spokój i drogi stoją otworem; zmarli wracają do domów...

– A w przyszłym roku? Czy deszcz i słońce pobłogosławią nasze pola?

Szarość wypełniła jej oczy. Ana zakaszła, jakby zakrztusiła się wodą.

– Napęlnijcie spichrze i wyreperujcie domy, nadchodzi bowiem mokra zima i powódzie zatopią niziny Brytanii... – Gdzieś w tym drugim świecie ludzie pomrukiwali nieszczęśliwie, ale Wzrok już ukazywał coś innego. – Wiosną nadciągną burze i rzeki wystąpią z brzegów na pola. Będzie to dla was ciężki rok i chude żniwa...

Zapadła cisza. Ana unosiła się w pozaczasowym miejscu, obserwując tworzące się i rozpadające tęczowe wzory.

– Ale czy będzie pokój? – Głos Nectana przyciągnął ją na powrót do świata. – Czy Brytanii nie będzie groziło niebezpieczeństwo ze strony ludzi?

Wstrząsnął nią niespodziany śmiech.

– Skoro ludzie żyją w tym kraju, jakim sposobem mógłby on być przed nimi bezpieczny?

Rozbrzmiał inny głos, jej córki.

– Czy Saksonowie przybędą?

Wzrok zmaćił się w oszłamiającej spirali i ukazał jej szare morze i leżące za nim ziemie, gdzie brązowe wody powodzi ogarniały nisko położone pola. Ana poruszyła ustami, ale, pochłonięta wizją, nie słyszała własnych słów. Widziała tonących ludzi i bydło, i żniwa gorsze niż w Brytanii. Minęło więcej równie deszczowych, choć nie tak zimnych sezonów. Po pewnym czasie ludzie zaczęli rozbierać swoje siedziby i budować z belek okręty wojenne. Zobaczyła nieprzebrane wojska, a trzy łodzie, na których uciekł Hengest, pomnożone stukrotnie.

– Nie... – Broniła się przed tą wizją, jednak nie mogła przed nią uciec, – Nie chcę...

– Co widzisz? – Viviana była nieugięta.

– Minęło pięć zim. Saksonowie gromadzą się niczym dzikie gęsi przed odlotem za morze. I jest ich wielu, nigdy nie byli tak liczni, i napadają z wrzaskiem na nasze wybrzeża...

Załkała, pragnąc odrzucić wiedzę, która siłą wdarła się do jej umysłu. Musiała zapobiec temu nieszczęściu! Dość wycierpieli; zrobi wszystko, żeby tylko wizja nie stała się prawdą...

– Ana, wystarczy! – przemówił ostro Nectan. – Niech wizja przemienie, niech pochłonie ją ciemność!

Szlochała, gdy jego głos łagodniał, wypowiadając jej imię, kojąc jej lęki, prowadząc do domu. Wreszcie otworzyła oczy i osunęła się, drżąc na całym ciele, w jego ramiona.

– Nie musiałaś zadawać jej tego ostatniego pytania – powiedział ktoś z tłumu.

– Naprawdę? – powiedziała Viviana. – Nie zrobiłam jej większej krzywdy niż ona mnie...

Viviana została przy Zwierciadlanym Stawie, gdy inni wrócili z jej matką do ogniska. Kusilo ją zajrzeć w jego głębie, ale Staw rzadko ujawniał swoje sekrety więcej niż jednej prorokini naraz, a poza tym nie śmiała narażać dziecka. Dziecka Vortimera. W jakim świetle się ono narodzi?

Błagał ją, żeby pogrzebała go na Saksońskim Brzegu, ale nie pozwolono jej tego uczynić. Z drugiej strony, nawet w krytycznej chwili był przekonany, że jego duch zdoła ustrzec tylko ten skrawek Brytanii. Pomyślała, że Strażnicze Wzgórze wzmocni jego moc, która dzięki temu otoczy opieką cały kraj. Jeśli nie miała racji, to znaczyło, że zdradziła go nawet po śmierci.

Pięć lat... Jeśli wizja Any była prawdziwa, wielkie zwycięstwo Vortimera co prawda nie pójdzie na marne, ale zezwoli jedynie na krótkotrwałe odrodzenie się Brytanii. Viviana nie miała serca do dalszej walki; pragnęła skulić się w ciepłym gniazdku i czekać na narodziny dziecka.

Kiedy wróciła do kręgu, matka już doszła do siebie i zasiadła na tronie. Powinna iść do łóżka, pomyślała cierpko. Ana wyglądała na wyczerpaną, ale ludzie z bagien krzątali się wokół niej jak pszczoły i z każdą chwilą odzyskiwała siły. Po co jej wsparcie? – zastanowiła się Viviana. Przez ponad dwadzieścia lat była królową tego ula... Ale ja mogę iść spać, gdy najdzie mnie ochota, pomyślała wtedy. Nikt nawet nie zauważył mojego odejścia!

Odwróciła się w stronę ścieżki biegnącej przez sad i znieruchomiała. Ktoś albo Coś patrzyło, stojąc między drzewami na ruchliwej granicy między światłem a cieniem. To cień, powiedziała w duchu, ale domniemany cień nie zmieniał się wraz z natężeniem blasku. To drzewo... Ale znała wszystkie drzewa w sadzie i w tym miejscu nie powinno być drzewa. Z walącym sercem wysłała w przód wyszkolone zmysły kapłanki i poczuła: Ogień... ciemność... żądę drapieżcy i przerażenie ofiary...

Skowyt nabrzmiął jej w gardle i Coś, jakby słysząc, poruszyło się. Spomiędzy gałęzi wysunęło się rosochate poroże przybrane szkarłatem jesiennych liści. Blask ognia zajaśniał na zszytych skórkach i odbił się od miedzianych i kościanych ozdób, a potem załśnił na

muskularnych nogach, gdy On wychynął z cieni. Obróciła się rogata głowa; w ocienionych oczodołach zalśnił czerwony żar. Viviana zamarła, z rozszerzonymi oczami, gdy pradawna wiedza zakazała jej uciekać.

Ktoś zobaczył jej reakcję i zawołał do innych. Po raz wtóry liczne zgromadzenie popadło w milczenie. Z niehumanym wdziękiem Rogaty postąpił do przodu, niosąc włócznię, którą po raz ostatni widziała opartą o ścianę obok Graala. Zatrzymał się przed nią; Jego ozdoby zadzwoniły i ucichły.

– Lękasz się Mnie? – Głos był chrapliwy, zimny. I obcy.

– Tak... – szepnęła. Grot włóczni niespiesznie przesunął się od jej gardła ku łonu.

– Nie ma potrzeby... jeszcze nie... – Włócznia odsunęła się. Nagle wydało się, że Rogaty stracił zainteresowanie nią i ruszył dalej.

Vivianę opuściły siły i upadła na ziemię. Rogaty przechadzał się między ludźmi, na jednych nie zwracał uwagi, innych trącał włócznią. Widziała, jak trzęsą się silni mężczyźni; jedna kobieta zemdląca. Inni prostowali się dumnie, gdy do nich przemówił, a w ich oczach rozblyskiwało bojowe światło. Wreszcie Rogaty zatrzymał się przed tronem Pani.

*Gdy słońce świeciło wysoko i mocno,  
Ziemia, nasza Matka, wytrzymała siły.  
Błogosławiąc nas duszą i ciałem;  
Nadchodzi czas, by odpoczęła.*

– Pani Lata – mówił – pora Światła dobiega końca. Zdaj mi swoją władzę. – Ogień przygasł; wyolbrzymiony cień Rogatego sięgnął jej krzesła.

Kapłanka, blada i dumna, niewzruszenie stawiała mu czoło.

– Przez sześć księżyców wszelkie stworzenie cieszyło się moim światłem; za sprawą mojej mocy ziemia wydała owoce, a bydło obrosło tłuszczem na zielonych pastwiskach.

*Szczodroblive było Lata panowanie:  
Zebrano już złote ziarno.  
Zebrano dojrzałe owoce.  
Zrobiono zapasy na Zimę.*

Ona również wypowiadała rytualne słowa, ale jako kapłanka, natomiast Istota pod maską Rogatego była czymś więcej – Odpowiedź przybysza nie była nieuprzejma, jednak nie pozostawiała wyboru.

*Jesienny wiatr zrywa liście z drzewa.  
Zamiata plewy na pustych polach.  
Od ciepła lata po chłody zimy  
Ty zmieniasz się i starzejesz.*



*Liść i gałąź gotuje się do snu.  
Jelenie zaś skaczą po lesie.  
Kiedy wiatr burzy im krew w żyłach,  
Nastaje pora Mego panowania.*

– Plony zostały zebrane. Twoje dzieci dorosły. Czas, by zatriumfowała ciemność i Zima zawładnęła światem.

– Nie dam ci nad nim władzy...

– Sam ją sobie wezmę...

Ana wstała i choć nie była Boginią, dostojność urzędu kapłanki czyniła ją równą wzrostem Rogatemu.

– Mroczny Łowco, dobijemy targu... – Słowa te wywołały pomruk zdziwienia. – Obecnie panuje pokój, atoli Wzrok ukazał mi ponowne przybycie wrogów Brytanii. Oddam Ci siebie, teraz, w tej świętej godzinie, kiedy moce nasze są równe, żebyśmy poczęli dziecię, które obroni kraj przed nieprzyjacielem...

Patrzył na nią przez chwilę. Potem z chrapliwym śmiechem poderwał głowę.

– Kobieto, moje nastanie jest nieuchronne jak spadające liście albo zamierający oddech. Ze Mną nie można się targować. Wezmę, co mi dajesz, ale wynik już został zapisany w gwiazdach i nie może zostać odmieniony. – Szpic włóczni zatoczył łuk i zastygł nad jej piersią.

Gdy Rogaty przesunął się, blask ognia padł na ciało Any. Viviana z żalem ujrzała obwisłe piersi i srebrne rozstępy cięż na zwiotczącej skórze brzucha.

– Matko... – wychrypiała, pokonując ból, który ścisnął ją za gardło – dlaczego to robisz? To nie jest częścią obrzędu...

Ana spojrzała na nią i Viviana usłyszała słowa wracające z otchłani pamięci: Nigdy nie tłumaczę się ze swoich poczynań... Ana, szyderczo wykrzywiając usta, odwróciła się do Rogatego Boga.

– Od Wiosny do Lata – powiedziała, robiąc krok ku niemu – od Lata do Jesieni – daję wszystkiemu Życie i Światło...

Włócznia obróciła się i grot ugrzązł w ziemi.

– Od Jesieni do Zimy – odpowiedział i ludzie odetchnęli swobodniej, poznając znajome słowa – od Zimy do Wiosny – przynoszę w darze Noc i odpoczynek.

– Twoje wejście jest Moim schyłkiem – powiedzieli razem. – To, co Ty tracisz, staje się Moje. Wieczne pragnienia, wieczyste oddawanie, tworzymy Jedność w Wielkim Tańcu... – Wyciągnął ramiona i objęli się. Kiedy odsunęli się od siebie, jego odzienie rozchyliło się i każdy mógł zobaczyć, że On jest mężczyzną w pełnym tego słowa znaczeniu.

Potem Rogaty uniósł Panią w ramionach, a Jego niski śmiech zahuczał w nocnym powietrzu. Została tylko włócznia, triumfalnie tkwiąca przed pustym tronem.

Nectan omiół wzrokiem wstrząśnięte twarze. Chrząknął, próbując przywrócić rytm obrzędu.

*Zakończył się złoty czas Lata  
Gdy słońce straciło siłę:  
Po zimowych śniegach i deszczach,  
nastanie radość Lata!  
Odzyska wolność wszystko, co było uwięzione,  
Cykl sezonów zatacza krąg!  
Moc zmiany zostaje wyzwolona.  
Wszystko dzieje się za naszą wolą.*

Ale czy tego chciała Ana? Viviana z zadumą patrzyła w kierunku cieni, w których zniknęła. I co się wydarzy?

Gdy zbliżał się Środek Zimy, przygnębienie, w jakim Avalon trwał od czasu Samhainu, powoli zaczęło ustępować. Jak na tę porę roku, pogoda była łaskawa, a blisko przesilenia Ana zyskała pewność, że jest brzemienna. Ludzie szeptali, że ofiara Pani została przyjęta i fatalne przepowiednie nigdy się nie spełnią.

Kapłani i kapłanki oddali się spekulacjom. Dzieci często rodziły się tym, którzy łączyli się w czasie obchodów Beltane albo przy ogniach letniego przesilenia, ale Samhain, choć zapraszano na niego duchy przodków, nie był festiwalem płodności. Niektórzy podśmiewali się i mówili, iż nie obwarowuje tego żaden rytualny zakaz, tylko że o tej porze roku kobieta musiałaby być w transie albo naprawdę rozpalona namiętnością, aby kłaść się z mężczyzną na zimnej ziemi.

Tylko Viviana nadal się martwiła. Zbyt żywo pamiętała trudny poród Igriany, a było to przed pięciu laty. Czy matka przeżyje kolejne rozwiązanie? Posunęła się do tego, że zaproponowała jej zażycie ziół na spędzenie płodu. Ana wtedy oskarżyła ją, że Viviana myśli tylko o własnym dziecku. Następstwem tej wymiany zdań była kłótnia, najgwałtowniejsza od lat, i w efekcie obrażona Viviana zamknęła się w sobie.

Krótko przed świętem Brigi, kiedy na świecie powinny ukazać się pierwsze oznaki wiosny, uderzyły pierwsze burze. Przez trzy dni wichury gięły czubki drzew, pędząc przed sobą chmury, a kiedy wiatr wreszcie przycichł – zaczęły padać deszcze.

Nękały one ziemię, w ulewach albo mżawkach, przez większą część miesiąca Brigi i w miesiącu Marsa, a ciemne i grube chmury rzadko ustępowały słońcu. Dzień po dniu jezioro wpełzało na brzeg, aż przekroczyło normalną granicę i sięgnęło znaków wysokiej wody, zostawionych przez starożytne powodzie.

Poszycie dachów przesiąkło i woda ściekała po krokwiach, zbierając się w kałużach na podłodze. Ubrania były wiecznie wilgotne, jak samo powietrze, i nawet we wnętrzu świątyni

kamienie porosły mchem. Dni w większości były pochmurne, chmury zalegały tak nisko, że przysłaniały jezioro. Kiedy podnosiły się w rzadkich przypadkach, ze szczytu Toru roztaczał się widok na świat cynowej wody, która sięgała nieprzerwanie po ujście Sabriny i morze. Tylko święte wyspy i wzniesienia Poldens, a na północy odległe wzgórza Mendips wystawiały głowy ponad rozlewisko.

Na wyspie Inis Witrin mnisi z pewnością musieli się zastanawiać, czy ich Bóg postanowił zesłać drugi Potop, aby unicestwić ludzkość. Nawet w Avalonie snuto różne domysły. Minął jednak czas, kiedy Pani mogłaby bezpiecznie pozbyć się dziecka i, gwoli prawdy, choć wszyscy inni chudli i bledli, ona kwitła, jak gdyby ciąża wróciła jej młodość.

To Viviana cierpiała, tej mokrej i strasznej wiosny. Jak zawsze w okresie zrównania, zapasy stały się skąpe, a ten rok był jeszcze gorszy, bo woda zniszczyła część żywności. Z myślą o dziecku zjadała wszystko, co przypadało jej w udziale, ale chociaż brzuch stawał się coraz większy, nogi i ręce miała chude jak patyki i zawsze było jej zimno.

Po Beltane, mówili ludzie, na pewno się odmieni. Viviana, patrząc znad twardego wzgórka brzucha, mogła tylko przyznawać im rację, to wówczas bowiem miała wydać dziecko. Niestety, ocieplenie przyniosło nie tylko poprawę pogody, ale i chorobę, zimnicę z mdłościami i bólem mięśni, która u starych czy osłabionych – a było ich wielu – szybko atakowała płuca i niosła śmierć.

Umarł Nectan i druidzi na jego miejsce wybrali Taliesina. Wiekowa Elen też odeszła, co nikogo nie zdziwiło, ale wszyscy byli wstrząśnięci, gdy za nią podążyła Julia. Mała Igriana też zapadła na zdrowiu, przy czym prócz siostry nie było nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować. Ledwo wydobrzała, kiedy Viviana zauważyła u siebie pierwsze objawy choroby.

Siedziała przy ogniu, któremu jakby brakowało siły, aby ją ogrzać, i zastanawiała się, czy bez szkody dla dziecka może zażywać ziołowe lekarstwa. Do izby weszła jej matka, z kropelkami deszczu na płaszczu i we włosach. W ciemnych lokach pobłyskiwały srebrne pasma, lecz u niej stanowiły ozdobę, nie świadectwo wieku. Strząsnęła wodę z płaszcza, powiesiła go na haku i odwróciła się do córki.

– Jak się miewasz, moje dziecko?

– Głowa mnie boli – powiedziała kwaśno Viviana – i gdybym nawet miała coś dobrego do zjedzenia, żołądek oddałby to z powrotem.

Pomyślała, że matka wygląda na dobrze odżywioną. Jej obwisłe piersi podniosły się i choć brzuch już miała wyraźnie zaokrąglony, jeszcze nie osiągnęła etapu niezgrabności. Viviana czuła się jak kocioł na nogach.

– Pomyślmy, jak można ci pomóc... – zaczęła Ana, lecz Viviana pokręciła głową.

– Nie miałaś czasu, kiedy Igriana zapadła na zdrowiu. Dlaczego mną się przejmujesz?

Ana zarumieniła się, ale odparła spokojnie.

– Wołała ciebie, a ja zajmowałam się Julią. Bogini wie, że tej strasznej wiosny nikomu nie brakowało zajęcia.

– Cóż, nie możemy się skarżyć, że nie zostaliśmy ostrzeżeni. Musisz być z siebie dumna, okazałaś się prawdziwą wyrocznią... – Viviana urwała, przestraszona tymi ociekającymi jadem słowami. Wycieńczenie odebrało jej opanowanie.

– To okropne – warknęła matka – sama powinnaś wiedzieć! Ale jesteś chora i nie wiesz co mówisz.

– A może po prostu jestem zbyt zmęczona, by dbać o cokolwiek. Odejdź, matko, bo obie możemy pożałować moich słów.

Ana popatrzyła na nią i usiadła.

– Viviano, co się z nami dzieje? Obie nosimy w sobie nowe życie, powinna łączyć nas wspólna radość. Dlaczego odsuwamy się od siebie?

Viviana wyprostowała się, pocierając bolące plecy. Narastał w niej gniew. Powtarzała sobie, że kobiety w odmiennym stanie łatwo wpadają, w złość, ale tylko jej matka potrafiła tak kompletnie wyprowadzić ją z równowagi.

– Wspólna radość? Jestem twoją córką, nie siostrą. Powinnaś wyglądać dnia, który uczyni cię babcią, a nie rodzić własne dziecko. Zrzuciłaś mi zawiść, ale czy nie jest na odwrót? Gdy tylko dowiedziałaś się o moim stanie, jak najszybciej sama postarałaś się o dziecko!

– Wcale nie dlatego...

– Nie wierzę ci!

– Jestem Panią Avalonu i nikomu nie wolno wątpić w moje słowo! Zawsze byłaś krnąbrna, nigdy nie powinnaś być zostać kapłanką. – Oczy Any pociemniały i ona także dała upust złości. – A niby czemu sądzisz, że ty nadajesz się na matkę? Tylko popatrz! Nawet w moim wieku jestem w lepszym stanie. Myślisz, że urodzisz zdrowe dziecko?

– Nie możesz tak mówić! Nie wolno ci! – wrzasnęła Viviana, słysząc w słowach matki odbicie własnych lęków. – Chcesz rzucić na mnie urok, tak blisko rozwiązania? A może już to zrobiłaś. Nie wystarczy ci, że wszyscy zajmują się tobą? Wyssałaś siły z mojego dziecka, żeby donosić swoje?

– Oszalałaś! Jak mogłabym...

– Jesteś Panią Avalonu – skąd mogę wiedzieć, jakie znasz czary? Od chwili, gdy poczęłaś, ja zaczęłam niedomagać i rozchorowałam się. Ty oddałaś się Łowcy. Jakimi mocami obdarza On tę, która nosi w łonie Jego nasienie?

– Oskarżasz mnie o złamanie przysięg? – Twarz Any pobieliała.

– Och, jestem pewna, że dokonało się to w imię najszlachetniejszych celów. Poświęciłabyś każdego i wszystko, gdybyś tylko była pewna, że taka jest wola bogów. Ale moja przysięga jest inna, matko. Mnie nie poświęcisz i nie skrzywdzisz mego dziecka!

Wściekłość przyćmiła doskwierający jej ból. Ana coś mówiła, lecz Viviana nie słuchała. Trzęsąc się ze złości, porwała swój płaszcz z kołką i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Kiedyś też tak biegła, ale teraz Avalon naprawdę stał się wyspą. Zepchnęła na wodę pierwszą napotkaną łódź. Ocieężała z powodu brzucha, miała kłopoty z utrzymaniem równowagi i odpychaniem się tyczką, lecz nie zawróciła. W przeszłości pomagała ludziom z wioski Herona dość często, by mieć pewność, że ją przyjmą.

Nie padało, ale mgła leżała nisko na bagnach, a wiatr był wilgotny i zimny. Pot wystąpił jej na czoło, bo w obecnym stanie wysiłek niemal przerastał jej siły, i wkrótce ból pleców stał się dużo dotkliwszy niż wcześniej. Stopniowo gniew, który nią kierował, przerodził się najpierw w zniecierpliwienie, z jakim wyglądała brzegu, a potem w strach. Minęły miesiące, od kiedy posługiwała się magią. Czy mgły usłuchają jej wezwania?

Głęboka woda zmusiła ją do wiosłowania. Po pewnym czasie podniosła się ostrożnie, wyciągając ramiona. Trudno było uwolnić jaźń, która tak mocno związała się z dzieckiem, trudno było pozbyć się gniewu na matkę, ale wreszcie się udało. Viviana powoli opuściła ręce i wykrzyknęła Słowo Mocy.

Równowaga światów uległa zmianie i zniknęła. Płaskodenka podskoczyła pod jej stopami i nabrała trochę wody, ale nie wywróciła się. Viviana wyczuła różnicę – powietrze stało się jakby cięższe, a wiatr niósł wilgotną, błotnistą woń. Chciała się wyprostować, gdy pochwycił ją skurcz, krótki, ale dotkliwy. Przytrzymując się burty, skuliła się, czekając, aż przejdzie. Gdy tylko usiadła, poczuła następny. Nie miała mdłości i to ją zaskoczyło, lecz kiedy trzeci skurcz przetoczył się przez jej brzuch, konsternacja ustąpiła czystemu przerażeniu. To nie mógł być poród! Nie o miesiąc przed terminem!

Dzieci nie rodziły się w jednej chwili i, jak jej powiedziano, pierwsze wymagało szczególnie dużo czasu. Dostrzegła kępę drzew ciemniejszą w oddali; zatrzymując się przy każdym kurczu, dopłynęła w końcu do brzegu. Dobrze, że przynajmniej nie będę rodzić na środku jeziora, pomyślała. Bóle stawały się coraz silniejsze i zaczynała podejrzewać, że klucie w plecach, uznane za zapowiedź choroby, było w rzeczywistości początkiem porodu.

Pamiętała, jak szybko kobiety z bagien rodzą dzieci i jak bardzo jest do nich podobna. Rozpaczliwie pragnęła znaleźć się w jednej z ich wiossek. Przyszło jej na myśl, że zgotowała sobie los dużo gorszy od uroków, o które posądzała matkę, że własną głupotę może przypłacić życiem, swoim i dziecka.

Nigdy, myślała, sapiąc, gdy kolejny skurcz zgiął ją we dwoje, już nigdy nie pozwolę, by gniew zaćmił mi rozsądek! Strumyczek ciepłego płynu spłynął po jej nodze; uświadomiła sobie, że dzieje się tak od pewnego czasu.

Udało jej się przedrzeć przez pas błota na brzegu, ale nie mogła liczyć na skrawek suchej ziemi. Nogi nie chciały jej unieść, musiała się czołgać, i tak dobrnęła do kępy drzew. Znalazła osłonięte miejsce w gąszczu potężnego dzikiego bzu, rozpostarła płaszcz i zwinęła się na ziemi.

I tam, gdzieś między południem a zachodem słońca, urodziła dziecko Vortimera. Była to dziewczynka, mała, bez żadnej skazy, ale od razu było widać, że jest zbyt słaba, by

przeżyć. Miała włosy ciemne jak Viviana i zakwiliła cichutko, gdy poczuła muśnięcie wiatru. Viviana oddała koronkę z sukni, podwiązała pępowinę i przecięła ją małym sierpowatym nożem kapłanki, który zawsze miała przy sobie. Starczyło jej siły, by przystawić dziecko do piersi, otulić je suknią i owinąć się płaszczem. Nic więcej nie mogła zrobić.

Wyczerpana, zapadła w sen, chroniona przez krzak bzu. To tam, gdy zmierzch zaczął spowijać moczary woalem cienia, znalazł ją myśliwy z ludu Herona.

## 24

Viviana siedziała na Wyspie Świętego Andrzeja, obok świeżego grobu w cieniu leszczyny. Ziemia była wilgotna, ale nie przesiąknięta wodą. Po festiwalu Środka Lata burze stały się rzadsze. To niosło jej pewną pociechę. Nie chciała myśleć, że mała Eilantha spoczywa w zimnej, mokrej ziemi.

Spod leszczyny roztaczał się widok na całą Dolinę po Inis Vitrin. Była pewna, że właściwie wybrała miejsce, w świecie ludzi będące odpowiednikiem tego, w którym na Strażniczym Wzgórzu złożyli ciało Vortimera. Bogini powiedziała, że Wielki Rytuał uczynił Vortimera królem – ale dała mu królestwo leżące w Innym Świecie. Może tam ojciec zapewni małej bezpieczeństwo, skoro matce nie udało się tego dokonać na tym świecie. Córeczka Viviany przeżyła tylko trzy miesiące i pod koniec tego okresu była nie większa od Igriany w dniu narodzin.

Pełne piersi sprawiały Vivianie dotkliwy ból. Jak z oczu łzy, tak z nich spływało mleko. Viviana skrzyżowała ramiona, tuląc źródła niepotrzebnego pokarmu. Nie szukała ziół, które mogłyby powstrzymać jego potok. Czas sam miał to zrobić; na razie to cierpienie było jej potrzebne. Zastanawiała się, czy łzy również z czasem przestaną płynąć.

Usłyszała kroki na ścieżce i podniosła głowę, spodziewając się zobaczyć mnicha pustelnika, który opiekował się kapliczką na wzgórzu. Co prawda nie był on ojcem Fortunatusem, ale też nie zaliczał się do tych, którzy uważają wszystkie kobiety za sidła Diabła, i był dla niej uprzejmy. Słońce świeciło jej w oczy i przez moment widziała tylko wysoką postać na tle nieba. Coś przypomniało jej Rogatego i spięła się wewnętrznie. Potem przybysz przesunął się i rozpoznała Taliesina.

Odetchnęła z ulgą.

– Żałuję, że nie było mi dane jej zobaczyć – powiedział półgłosem. Po smutku malującym się na jego twarzy poznała, że mówi prawdę.

– Mówią, że była odmieńcem – powiedziała. – Kiedy Eilantha zaczęła chorować, kobiety z wioski Herona stwierdziły, że to dlatego, iż czarodziejki podrzuciły mi swoje chore dziecko, kiedy, wyczerpana porodem, zapadłam w sen.

– Myślisz, że to prawda?

– Czarowny Lud mnoży się nieczęsto. Nie sądzę, by mieli dość dzieci, zdrowych czy chorowitych, by ponosić odpowiedzialność za wszystkie te, które umierają w krajach ludzi. Ale to możliwe. Pani Czarownej Krainy wiedziała o moim dziecku – kazała szukać nas myśliwemu, który mnie uratował. Byłam zbyt zmęczona, by wypowiedzieć choć najśłabsze zaklęcie ochronne, i byliśmy same.

Jej głos był dziwnie płaski i bard popatrzył na nią z zastanowieniem. Mieszkańcy bagien bali się mówić z nią o dziecku, ale czy miało to znaczenie? Rzeczywiście, gdy śmierć zabrała Eilanthę, niewiele rzeczy mogło ją interesować.

– Nie zadreżaj się takimi myślami, Viviano. Mieliśmy zły rok; wiele dzieci zmarło, choć przyszły na świat w suchych i bezpiecznych domach.

– A jak się miewa mój nowy brat, obrońca Brytanii? – zapytała gorzko – Czy w Avalonie piją już za jego zdrowie? A może urodziła się córka, która wyruguje Igrianę?

Taliesin skrzywił się, ale odpowiedział spokojnie:

– Dziecko jeszcze się nie narodziło.

Viviana zmarszczyła brwi, licząc, ile miesięcy upłynęło od Samhainu. Jej dziecko przyszło na świat wcześniej, niż powinno, ciąża Any była zaś przenoszona.

– Powinieneś z nią być, trzymać ją za rękę. Dla mnie nic nie możesz zrobić...

Popatrzył na nią.

– Przybyłbym wcześniej, moja córko, ale Heron dał nam znać, że chcesz, aby zostawiono cię w spokoju.

Wzruszyła ramionami, bo było to prawdą, chociaż niekiedy ogromnie go potrzebowała. Myślała, że jeśli druidzi są tak mądrzy, jak wszyscy powiadają, sam powinien odgadnąć prawdę.

– To matka przysłała mnie po ciebie, Viviano...

– Co, znowu? – Roześmiała się niewesoło. – Jestem dorosłą kobietą. Powiedz jej, że już nigdy nie będę tańczyć, jak mi zagra.

Pokręcił głową.

– Źle to ująłem. To nie rozkaz, tylko prośba. Viviano... – Nagle przestał nad sobą panować. – Ona rodzi już od całych dwóch dni!

Dobrze jej tak! – pomyślała, lecz w następnej chwili ogarnął ją strach. Jej matka nie mogła umrzeć. Ana była Panią Avalonu, najpotężniejszą kobietą w Brytanii; jak sam Tor, ukochany czy znienawidzony, była opoką, na której Viviana wybudowała własną tożsamość.

W ten sposób przemawiała ta jej część, która, jak Viviana sądziła, została pogrzebana w małym grobie Eilanthy. Ale część, która w takim znoju nauczyła się myśleć jak kapłanka, podpowiadała, że śmierć matki jest możliwa. I było jasne, że Taliesin umiera ze strachu.

– Nie potrafiłam utrzymać przy życiu własnego dziecka – wyrzekła z trudem. – Czego się po mnie spodziewasz?

– Że do niej pójdziesz, to wszystko. Ona cię potrzebuje. Ja ciebie potrzebuję, Viviano. – Dotarła do niej udręka zawarta w jego głosie i przypatrzyła mu się uważnie.

– To ty byłeś Rogatym, prawda? – zapytała cicho. – Ona nosi twoje dziecko. – Nagle zmroziło ją wspomnienie, jak Rogaty dotknął włócznią jej brzucha.

On ukrył twarz w dłoniach.

– Nie pamiętam... Gdybym wiedział, nigdy bym się nie zgodził...

– Żaden mężczyzna nie może przypisywać sobie ojcostwa dziecka Pani... – zacytowała po cichu. – To nie byłeś ty, Taliesinie. Widziałam Boga i nie wiedziałam, że przybrał się w twoje ciało. Wstań i zabierz mnie do domu.

– Och, Viviano, jak się cieszę! – Rowan wybiegła z mieszkania Pani i uściskała ją raczej rozpaczliwie. – Julia nie zdążyła mnie nauczyć, nie wiem, co robić!

Viviana pokręciła głową i spojrzała na przyjaciółkę.

– Moja droga, mam jeszcze mniejsze doświadczenie...

– Ale byłaś z nią ostatnim razem, i jesteś jej córką... – Rowan patrzyła na nią niemal zachłannie. Viviana pomyślała, że nieraz ludzie w podobny sposób spoglądali na Panią Avalonu. To ją zaniepokoiło. – Słyszałam o twoim dziecku. Przykro mi, Viviano – dodała Rowan, trochę poniewczasie.

Viviana poczuła, jak jej rysy tężeją w pozbawioną wyrazu maskę. Sztywno skinęła głową, ominęła dziewczynę i weszła do izby.

W cieniach pomieszczenia zalegała ciężka woń krwi i potu. Ale jeszcze nie śmierci – Viviana aż nazbyt dobrze poznała fetor śmierci. Gdy jej oczy dostosowały się do półmroku, wstrzymała oddech na widok matki leżącej na sianie. Obok niej siedziała Claudia, jedyna z kapłanek, która urodziła więcej niż jedno dziecko.

– Nie chodzi?

– Chodziła pierwszego dnia i większą część drugiego – odparła szeptem Rowan. – Skurcze stały się rzadsze, a otwór w jej łonie jest mniejszy niż wcześniej...

– Viviano... – Głos matki był słaby, jednak zachował irytujący ton rozkazu.

– Jestem tutaj. – Viviana zdołała zapanować nad głosem, choć wstrząsnął ją widok jej zapadniętej szarej twarzy i zniekształconego ciała. – Czego chcesz ode mnie?

Zdumiewające: w odpowiedzi rozbrzmiał śmiech. Potem Ana westchnęła.

– Może mogłybyśmy zacząć od wybaczenia...

Skąd matka wiedziała, że przysięgła nigdy jej nie wybaczyć? Przy łóżku stała niska ława; Viviana, którą nagle opadło wyczerpanie, osunęła się na nią ciężko.

– Jestem dumną kobietą córko. Myślę, że odziedziczyłaś po mnie tę cechę... Chciałam wykorzenić z ciebie wszystkie te rzeczy, których nie lubię w sobie. Z niewielkim powodzeniem. – Skrzywiła usta. – Gdybym zachowała zimną krew, ty też nie dałabyś ponieść się emocjom. Nie chciałam cię wypędzać.



Oczy jej zmętniały, gdy skurcz ściągnął mięśnie brzucha. Viviana widziała, że był bardzo słaby. Kiedy Ana rozluźniła się, przybliżyła usta do jej ucha.

– Matko, zapytam cię tylko raz. Czy używałaś magii, aby odebrać siły mnie lub mojemu dziecku?

Była wstrząśnięta, gdy oczy matki napełniły się łzami.

– Przysięgam w obliczu Bogini: nie.

Viviana pokiwała głową. Poród Any musiał zacząć się mniej więcej w czasie śmierci małej Eilanth, lecz jeśli istniał jakiś związek, to nie wierzyła, że za wiedzą i wolą matki. A teraz nie była to ani pora, ani miejsce, żeby obwiniać Boginię. Musiały jeszcze porozmawiać.

– W takim razie wybaczam ci. Skoro jestem do ciebie podobna, być może pewnego dnia też będę potrzebowała wybaczenia. – Chciała wybuchnąć płaczem albo wraskiem, lecz nie mogła sobie pozwolić na marnowanie energii. Pomyślała, że matka jest zbyt wyczerpana, aby odczuwać zbyt wiele emocji.

Usta Any już, już miały wygiąć się drwiąco, gdy chwycił ją następny kurcz. Przetrzymała go, ale wyraźnie była jeszcze bardziej zmęczona.

– Zastanawiasz się, co możesz dla mnie zrobić? Brakuje ci wiedzy. Chyba nawet Julia nie mogłaby mi pomóc.

– Trzy dni temu patrzyłam, jak umiera moja córka, i nic nie mogłam zrobić... – wyznała Viviana. – Nie pozwolę ci odejść bez walki, Pani Avalonu!

Zapadło milczenie, przerwane przez Anę, która z nikłym uśmiechem powiedziała:

– Co zatem zrobisz? Zawsze byłam dla ciebie twarda i teraz zapewne cieszysz się, że możesz mną rządzić. Jednakże stawką jest nie tylko moje życie. Jeśli nie ma innej rady, otwórz mnie i wyjmij dziecko.

– Słyszałam, że tak czasami postępowali Rzymianie, ale to zabija matkę! – zawołała Viviana.

Ana wzruszyła ramionami.

– Mówi się, że Najwyższa Kapłanka poznaje swój czas, lecz może zatraciliśmy ten dar. Różdżka podpowiada mi, że jeśli dziecko się nie narodzi, to umrzemy oboje. Nadal żyje – czuję, jak się porusza – ale długo nie wytrzyma.

Viviana bezradnie potrząsnęła głową.

– Tego właśnie się bałam, błagając cię, żebyś pozbyła się...

– Córko, nie rozumiesz? Wiedziałam, że ryzykuję, tak samo jak ty w Tańcu Olbrzymów, kiedy położyłaś się na kamieniu ołtarza. Gdybym nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, nie byłoby prawdziwej ofiary.

Viviana skłoniła głowę, wspominając, co Vortimer powiedział przed wyruszeniem na wojnę. Przez moment pojmowała znaczenie tego całego cierpienia. Potem widok matki

sprowadził ją do chwili obecnej. Wspomnienie Vortimera podsunęło jednakże pewien pomysł. Ujęła w dłonie twarz Any i uwięziła jej spojrzenie.

– Dobrze. Ale jeśli umrzesz, to w walce, słyszysz?

– Tak... Pani... – Twarz Any wykrzywiła się, gdy dopadł ją kolejny skurcz.

Viviana podeszła do drzwi.

– Niech będą otwarte, okna też, żeby miała więcej powietrza. Ty... – skinęła na Taliesina – przynieś harfę i powiedz innym, żeby przynieśli bębny. Widziałam, jak muzyka przydaje sił mężczyznom w boju. Zobaczymy, czy nie przyda się tutaj.

Walczyły przez całe popołudnie, w rytm dudnienia bębnow. Krótco przed zachodem słońca plecy rodzącej wygięły się w łuk i przez chwilę Viviana widziała, jak skraje łona napinają się wokół krzywizny główki dziecka. Ana, wspierając się o Claudię, wyteżyła się raz jeszcze, wykrzywiając twarz w okropnym grymasie, i jeszcze raz.

– Główka jest zbyt wielka! – Rowan odwróciła się z przerażeniem w oczach.

– Już więcej nie mogę. – Ana westchnęła z rezygnacją i opadła bezwładnie po ostatniej próbie.

– Możesz! – warknęła Viviana. – Na Brige, to dziecko musi się w końcu urodzić! – Położyła ręce na twardym brzuchu i wyczuła ruch mięśni. – Teraz!

Ana wessała powietrze i gdy zaczęła przec, Viviana wyrysowała na jej brzuchu starożytną pieczęć, a polem nacisnęła ze wszystkich sił. Moc wstrząsnęła jej dłońmi i rodząca dźwignęła się ciężko. Viviana poczuła, że coś ustępuje, a Ana wrzasnęła.

– Główka wyszła! – krzyknęła Rowan.

– Trzymaj ją! – Brzuch Any znów się sprężył, nieco słabiej, i Viviana znów nacisnęła. Kącikiem oka zobaczyła, jak dziecko wysuwa się z łona, ale uwagę kierowała na Anę, która opadła z jękiem na posłanie.

– Po wszystkim! Udało ci się! – Zerknęła przez ramię. – To dziewczynka! – Niemowlę pisnęło gniewnie.

– Nie... Obrońca... – wychrypiała Ana. – Ale odegra... tę samą... rolę. – Wciągnęła powietrze z wyrazem nagłego zaskoczenia. Zduszony krzyk Rowan sprawił, że Viviana odwróciła się w jej stronę. Trzymając dziecko, dziewczyna wlepiła oczy w strumień jasnej krwi, która trysnęła z łona Any.

Viviana zmeła przekleństwo w ustach, złapała gałganek i wepchnęła go między uda Any. W jednej chwili był przesiąknięty. Dziecko wrzeszczało bez chwili przerwy, gdy starały się pohamować krwotok, ale położnica nie wydawała dźwięku.

Po pewnym czasie potok krwi zmaleł do strumyczka. Viviana wyprostowała się i popatrzyła na białą twarz matki. Oczy Any były szeroko otwarte, ale już nic nie widziały. Viviana zalkała.

– Matko... – szepnęła, nie wiedząc, czy zwraca się do Bogini czy do kobiety, która leżała w kałuży krwi. – Dlaczego? Przecież wygrałyśmy! – Ale nie doczekała się odpowiedzi. Po dłuższej chwili pochyliła się i zamknęła te niewidzące oczy.

Dziecko nadal wrzeszczało. Walcząc z ogarniającą ją sztywnością, Viviana podwiązała i przecięła pępowinę.

– Umyj małą i zawiń ją w pieluszki – powiedziała do Rowan. – Przykryjcie ją. – Machnęła ręką w stronę ciała i nagle usiadła bez siły.

– Słodka Bogini, jak ją wykarmimy? – zapytała przytomnie Rowan.

Viviana zdała sobie sprawę, że stanik sukni ma mokry, a piersi aż tętnią w odpowiedzi na krzyki noworodka. Z westchnieniem rozwiązała sznurówkę pod szyją i wyciągnęła ręce.

Dziecko szeroko otworzyło usta i uparcie trykało głową w jej pierś. Viviana krzyknęła, gdy znalazło sutek. Nawet mając trzy miesiące, jej własna córka nie ssała z taką siłą. Dziecko zakrztusiło się, zgubiło sutek i nabrało powietrza do wrzasku. Viviana spieszenie pomogła mu podjąć ssanie.

– Ćśśś... To nie twoja wina, maleńka – wyszeptwała, chociaż nie dawało jej spokoju pytanie, jakąż to dusza postanowiła wcielić się w nią w noc Samhainu. Noworodek miał karnację Igriany, ale był dużo większy, o wiele za duży dla matki o posturze Any, nawet gdyby była młodsza.

Czemu to dziecko ma żyć, skoro jej własne umarło? Viviana mimowolnie zacisnęła ręce i dziecko zakwiliło ale nie puściło sutka. Przypuszczała, że taka jest odpowiedź. Rozluźniła palce. Ta mała była żądna życia i zawsze miała taka być.

Do izby weszło kilka osób. Viviana odpowiadała i wydawała polecenia, nie bardzo wiedząc, co robi. Przybyli owinęli całunem i zabrali ciało Any. Viviana siedziała, trzymając w ramionach śpiące teraz niemowlę. Nie poruszyła się, kiedy przyszedł Taliesin. Zmienił się od rana, pomyślała obojętnie. Wyglądał jak starzec. Pozwoliła, by wyprowadził ją z cieni izby w jasność dnia.

– Ale Viviana musi się zgodzić – powiedziała Claudia. – Wybralibyśmy Julię na Najwyższą Kapłankę, ale ona też nie żyje. Prawdę mówiąc, nigdy nie rozmawialiśmy o sukcesji. Ana nie miała nawet pięćdziesięciu lat!

– Możemy zaufać Vivianie? Uciekła... – powiedział młodszy druid.

– Wróciła – stwierdził ponuro Taliesin. Zastanawiał się, czemu bierze udział w dyskusji, czemu miałby zmuszać córkę, jeśli to była jego córka, do przyjęcia roli, która zabiła jej matkę? W uszach brzmiał mu jeszcze ostatni przeraźliwy krzyk Any.

– Viviana pochodzi z królewskiej linii Avalonu i jest kapłanką – zauważył Talenos. – Oczywiście, że ją wybierzemy. Jest bardzo podobna do Any i ma już dwadzieścia sześć lat. Będzie dobrze służyła Avalonowi.

Dobra Bogini, to prawda, pomyślał Taliesin, wspominając, jak piękna była Ana, kiedy nosiła Igriane, i jak bardzo przypominała ją Viviana trzymająca w ramionach małą, której

nadał imię Morgause. Ona przynajmniej mogła walczyć o życie matki, podczas gdy on tylko siedział i czekał. I Vivianie wolno było okazać żal, On nie mógł nazywać zmarłej ani ukochaną, ani kochanką, tylko Najwyższą Kapłanką. Ana, krzyczało jego serce, czemuś tak szybko mnie opuściła?

– Taliesinie – zagadnęła go Rowan. Podniósł głowę i spróbował się uśmiechnąć. Rozpacz odbijała się na ich twarzach; córki Any nie były jedynymi osobami, które płakały po jej odejściu. – Musisz powiedzieć Vivianie, jak bardzo jej potrzebujemy. Ciebie z pewnością wysłucha.

Dlaczego? Żeby to brzemie ją także zabiło? Znalazł Vivianę w sadzie, gdzie karmiła dziecko. Przypuszczał, że nie musiała używać Wzroku, aby odgadnąć, co go sprowadza.

– Zajmę się tą małą – powiedziała za zmęczeniem w głosie – ale nie zostanę Najwyższą Kapłanką Avalonu.

– Myślisz, że jesteś niegodna? Ten argument zawiódł mnie donikąd, gdy padł na mnie wybór druidów...

Popatrzyła na niego, prawie ze śmiechem.

– Taliesinie, ty jesteś najszlachetniejszym ze znanych mi ludzi; mnie brakuje twojej dojrzałości. Nie jestem gotowa, by przyjąć na siebie taki obowiązek, nie nadaję się do tego, nie chcę go. Dość powodów? – Niemowle, zapadając w szybki sen dzieciństwa, puściło pierś. Viviana okryła się welonem.

– Nie... i wiesz o tym. Matka przygotowywała cię do tego, choć nie przypuszczała, że przyjdzie jej zdać władzę tak szybko. Ogromnie ją przypominasz, Viviano...

– Ale ja nie jestem Aną, ojciec. Pomyśl! – dodała porywczo. – Nawet gdyby nie było innego powodu, wystarczy ten, że nie możemy odprawić obrzędu, w którym Arcydruid wyświęca Najwyższą Kapłankę.

Taliesin wytrzeszczył oczy, bo rzeczywiście o tym zapomniał. Ana nigdy nie mówiła mu, czy to on począł Vivianę, ale w każdy inny sposób był jej ojcem, od kiedy skończyła czternaście lat. W tej chwili jednakże czuł do niej coś innego. Była tak podobna do matki – czemu nie miałaby stać się nią, teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebował?

Nieoczekiwany jęk wyrwał się z jego ust. Taliesin podniósł się, rozdygotany. Nagle zrozumiał, dlaczego Viviana wtedy uciekła.

– Ojciec, co się dzieje?

Poderwał rękę, jakby chcąc odeprzeć cios, i jego palce musnęły jej miękkie włosy. Potem ruszył szybkim krokiem między drzewa.

– Ojciec, czy ciebie też mam utracić? – Jej krzyk dopędził go. Dziecko przebudziło się i zaczęło płakać.

Tak, pomyślał dziko, i sam muszę się zatracić, zanim sprowadzę hańbę na nas wszystkich. Ana zakazała mi oddawać ciało Merlinowi, lecz teraz muszę go wezwać. Nie ma innego wyjścia...

Taliesin nigdy nie przypomniał sobie dokładnie, co zaszło między tą chwilą a zapadnięciem nocy. W pewnym momencie musiał zająć do swojej izby i zabrać harfę, bo kiedy długi zmierzch lata ustąpił ciemności, znalazł się u stóp Toru z futerałem z foczej skóry w ramionach.

Patrzył na ostry, zębaty wierzchołek, czarny na tle żaru wschodzącego księżyca, i polecił ducha boskiej opiece. Nim dotrze na szczyt – o ile dotrze – księżyc będzie wysoko na niebie. A kiedy zejdzie – o ile wróci – już nie będzie tym samym człowiekiem. W czasie inicjacji ścieżka wiodła nie w górę wzgórza, lecz jakby poprzez nie, do tego miejsca poza ludzkim zrozumieniem, które leżało w sercu wszystkich rzeczywistości. Wtedy prowadził go dym ze świętych ziół. Ale od tamtej pory poświęcił duszę muzyce. Jeśli moc harfy nie pomoże mu dotrzeć w upragnione miejsce, nigdy go nie osiągnie.

Taliesin wyciągnął prawą rękę i trącił najdłuższe struny, dobywając z nich pierwszy słodki dźwięk. Wybrał tonację, której używał w czasie odprawiania najbardziej starożytnej magii; wibrujące dźwięki miały moc otwierania drogi między światami. Lewą rękę przesunął w górę, uwalniając perliste nuty melodyjnego akordu. Tworzył muzykę, posuwając się powoli, aż nagle ujrzał rozbłysk w trawie.

Czuł twardą ścieżkę pod stopami, ale kiedy spojrział w dół, duchy traw oploty jego łydki, a potem kolana. Harfa wyraziła jego zadowolenie w serii triumfalnych akordów, gdy wstąpił na Tor.

Święta wyspa istniała w rzeczywistości, która być może była poziomem usuniętym z rzeczywistości ludzkiego świata. Mieszkając tutaj, zapominało się, że poza Avalonem istnieją inne poziomy, dziwniejsze sfery. Taliesin okrążył wzgórze świętą drogą, skreślił do wewnątrz, i znowu dokoła. Gdy szedł tędy pierwszy raz, droga doprowadziła do kryształowej groty ukrytej w jądrze wzgórza. Teraz wyczuwał, że ścieżka biegnie w górę. Narosła w nim nadzieja i palce przyspieszyły swój taniec po strunach.

Był tym bardziej zaskoczony, gdy natknął się na barierę. W melodię wkradła się fałszywa nuta, gdy wokół niego rozbłysło światło. Przeszkoda promieniała; obok stała jakaś postać. Taliesin cofnął się i tak samo postąpił Strażnik; ruszył do przodu, a Tamten wyszedł mu na spotkanie; spojrział mu w oczy i zobaczył, że Tamten jest i zarazem nie jest nim samym.

Taliesin robił to wcześniej, w czasie pierwszej inicjacji, z symbolami lustra i płomienia świecy. To była Rzeczywistość. Znieruchomiał, pragnąc osiągnąć spokój.

– *Po coś tu przyszedł?*

– *Pragnę poznać cel, któremu mam służyć...*

– *Dlaczego? Nie staniesz się przez to lepszy od innych ludzi. Gdy życie następuje po życiu, każdy mężczyzna i każda kobieta kiedyś osiągną doskonałość. Nie ludź się, że wysuwając się do przodu, uwolnisz się od swoich problemów. Jeśli weźmiesz na barki brzemień wiedzy,*

*droga stanie się trudniejsza. Nie wolałbyś zaczekać na osiągnięcie oświecenia w naturalnym biegu czasu, jak inni?*

Czy ten Głos był jego głosem? Taliesin wiedział to wszystko, o czym mówił Głos, jednak teraz pojął, że wcześniej tego nie rozumiał.

– Prawo mówi, że jeśli ktoś naprawdę pragnie, nie można odmówić mu dostępu do Tajemnic... Oddaję się Merlinowi Brytanii, który poprzez mnie może ocalić ten kraj.

– *Wiedz, że sam możesz otworzyć bramę pomiędzy tym, co jest na zewnątrz, i tym, co jest wewnątrz. Ale zanim dotrzesz do Niego, musisz stawić czoło Mnie...*

Taliesin zamrugał, gdy błądy płomień zamigotał ponad jego głową. W lustrze światło też zapłonęło. Patrzył, zatrwożony tym, co zobaczył, twarz przed nim promieniała bowiem straszliwym pięknem, i wiedział już, co utraci, jeśli uporczywie będzie dążył do celu, który go tu sprowadził.

– Pozwól mi przejść...

– *Prosiłeś trzy razy i nie wolno mi odmówić... Jesteś przygotowany na cierpienia związane z przywilejem niesienia światu oświecenia?*

– Jestem...

– *Niechaj tedy światło Ducha wskaże ci drogę...*

Taliesin ruszył. Światło zaiskrzyło się i zamigotało wokół niego, gdy stopił się z postacią w lustrze, a wówczas bariera zniknęła.

Nie był tym zaskoczony. Gdy pokonał następny zakręt, drogę zatarasowała kolejna. Tym razem była to sterta kamieni i ziemi, która drżała, jakby w każdej chwili miała runąć z trzaskiem.

– *Stój...* – Sycząca komenda sprawiła, że część luźnej ziemi osunęła się na dół. – *Nie możesz przejść. Moja ziemia przydusi twój ogień.*

– Ogień płonie w sercu ziemi; ziemia nie zgasi mojego światła.

– *Przejdź tedy, z nie umniejszonym płomieniem.* – Sterta przemieniła się w cień i odpłynęła jak mgła. Taliesin zaczerpnął powietrza i poszedł dalej.

Okrążył wzgórze, raz i drugi. Chłodny podmuch, który zawsze był obecny w korytarzach, przybrał na sile i w końcu stał się wichurą. Taliesin ledwo trzymał się na nogach.

– *Stój! Wiatr zdmuchnie twój ogień!*

– Bez niego żaden ogień nie zapłonie; twój wiatr tylko podsyca mój płomień! – Rzeczywiście, jeszcze nie skończył mówić, gdy nad nim rozbłysło oślepiające światło; przygasło, gdy wichura ucichła.

Szedł dalej, trzęsąc się, gdyż powietrze stało się wilgotne. Słyszał, jak woda kapie z tą samą bezlitosną mocą, która na wpeł zatopiła świat. W ciągu minionej zimy nauczył się bać deszczu. W powietrzu było coraz więcej wilgoci i jego płomień zaczął się dusić.

– *Stój...* – Głos był płynny i niski. – *Woda zaleje twój ogień, podobnie jak Wielkie Morze Śmierci pochłonie znane ci życie.*

Taliesin odetchnął z trudem, bo powietrze wokół niego przemieniło się w mgłę. Chwilę później jego światło zniknęło.

– Bywa i tak – wycharczał, zanosząc się kaszlem. – Woda gasi ogień, a śmierć rozkłada ciało na jego składowe. Ale w wodzie skrywa się powietrze, i te elementy mogą przetworzyć się, by nakarmić nowy płomień... – Wiedział, że tak jest, lecz trudno mu było w to uwierzyć. Walczył w ciemności o oddech, lecz wypełniła go woda i zatonął w mrocznym, bezsensnym morzu.

Nie tak miało być.

Iskra świadomości, która była Taliesinem, zastanawiała się, co się stało z jego harfą. Nie czuł już nawet swego ciała. Zawiódł. Rankiem, być może, znajdą jego porzucone ciało na Torze i będą się dziwować, jakim sposobem mógł utonąć na suchym lądzie. Cóż, niech się dziwują. Rozważał tę myśl bez emocji. Unosząc się, dotarł w miejsce leżące poza wszelką manifestacją, utracił wolną wolę, i pamięć, i samą tożsamość, i osiągnął spokój.

Mógłby tam zostać do końca wieczności. Nagle usłyszał głosy.

– *Dziecię ziemi i gwiazdzistego nieba, powstań...*

– *Czemuż przeszkadzasz temu, kto skończył ze światem i jego udrękami? Pozwól mu odpocząć, bezpiecznemu w Moim kotle. Należy do Mnie...*

Zdawało mu się, że już wcześniej słyszał tę rozmowę, ale wówczas to męski głos sprowadzał ciemność.

– *Zaprzysiągł się sprawie Życia; zobowiązał się zanieść światu święty ogień...*

To także już kiedyś słyszał. Ale o kim oni rozprawiali?

– Taliesinie, wzywa cię Merlin Brytanii... – Głos zadźwięczał niczym gong.

– *Taliesin nie żyje* – oznajmił głos kobiecy. – *Połknęłam go.*

– *Jego ciało żyje, i jest on potrzebny na świecie.*

Słuchał z większym zainteresowaniem, bo przyszło mu na myśl, że kiedyś, dawno, dawno temu, on zwał się Taliesinem.

– On odszedł – powiedział. – Wymagali od niego więcej, niż mógł ofiarować. Weźcie pozostawione przez niego ciało i wykorzystajcie je wedle woli. – Zapadła długa chwila ciszy, a po niej, niespodziewanie, rozbrzmiał niski, męski śmiech.

– *Ty też musisz wrócić, potrzebne bowiem mi będą twoje wspomnienia. Wpuść mnie, mój synu, i nie lękaj się...*

Pustka wokół niego jęła wypełniać się Obecnością, ogromną i złotą. Taliesin zatonął w Ciemności; teraz kapał się w Światle. Ciemność spowila go, ale jasność powoli, lecz zdecydowanie przenikała do jego środka. Chociaż się bał, poznał, że przyjęcie Tamtego jest spełnieniem jego pragnień, i w ostatecznym akcie samopoświęcenia otworzył się, by Go wpuścić.

Przez chwilę widział twarz Merlina, a potem dwóch stało się jednym.

Korytarz wokół niego zapłonął światłem. Merlin popatrzył w górę i zobaczył, niewyraźne i falujące, niczym widziane przez warstwę wody, pierwsze światło brzasku.

Od zachodu słońca, kiedy Taliesin nie przyszedł na wieczorny posiłek, prowadzono poszukiwania. Łodzi nie brakowało, więc musiał nadal przebywać na wyspie, o ile, oczywiście, nie unosił się gdzieś na falach jeziora. Viviana, na zmianę płacząc i złorzecząc, zrozumiała teraz, jak bardzo musiał martwić się jej ucieczką. Gdyby tylko umiała grać na harfie, spróbowałaby śpiewem zwabić go do domu. Ale harfa Taliesina także zniknęła. To dało jej nadzieję, sądziła bowiem, że, gdyby nawet szukał własnej śmierci, nie narażałby instrumentu na zniszczenie.

Kiedy przed świtem Viviana powróciła po nakarmieniu Morgause, poszukiwacze przetrząsali sad, a ich pochodnie migotały blado w jaśniejącym powietrzu. Niedługo, pomyślała, wstanie słońce. Odwróciła się w stronę Toru, żeby sprawdzić niebo na wschodzie, i zamarła.

Wzgórze było przezroczyste jak szkło, a źródłem blasku, który przez nie przeświecał, nie mogło być słońce. Światło nabrało mocy, rozprzestrzeniając się w górę, i wreszcie wybuchło na samym wierzchołku. Wzgórze zaczęło tracić przejrzystość, a światłość na jego wierzchołku przygasła w miarę jaśnienia nieba. Viviana najpierw dostrzegła postać, potem poznała, że to Taliesin. Ale on ś w i e c i ł...

Z krzykiem popędziła w kierunku Toru. Nie było czasu na podążanie dostojnymi spiralami Drogi Procesyjnej. Viviana wspinała się w górę, przytrzymując się kęp darni, ślizgając na zmoczonej rosą trawie. Brakowało jej tchu, chrapliwie wciągała powietrze. Wreszcie zadyszana stanęła na szczycie i wsparła o jeden z kamieni.

Mężczyzna, którego widziała z dołu, stał w środku kręgu, ze wzniesionymi rękami, pozdrawiając wschodzące słońce. Nie był to człowiek, którego zwała ojcem. Ubranie i wzrost pasowały do Taliesina, ale postura i, co bardziej subtelne, jego aura, nie były takie same. Żar na wschodnim niebie nasilał się, rozwijając różowe i złote proporce. Zmrużyła oczy, oślepiąca, gdy nowo narodzone słońce zapłonęło ponad skrajem świata.

Kiedy odzyskała wzrok, mężczyzna odwrócił się ku niej. Zamrugła, widząc tylko jego sylwetkę obramowaną płomieniem. Potem oczy dostosowały się do blasku i ujrzała wyraźnie, czym się stał.

– Gdzie jest Taliesin?

– Tutaj... – Głos też był dużo głębszy. – Gdy dostosuje się do mojej obecności, a ja na powrót przywyknę do noszenia ciała, często będzie nade mną przeważał. Ale w tej godzinie Znak to ja muszę władać.

– To czemu sprzyja ta godzina? – zapytała.

– Wyświęceniu Pani Avalonu...

– Nie. – Viviana pokręciła głową i puściła się kamienia. – Już odmówiłam.



– Ja żądam w imieniu bogów...

– Jeśli bogowie są tak potężni, dlaczego moja matka leży martwa i mężczyzna, którego kochałam, i moje dziecko?

– Martwi? – Wzniósł brew. – Nie przebywają już w ciałach, ale musisz wiedzieć, że znów ich zobaczysz... jak znałaś ich wcześniej. Pamiętasz... Isarmę?

Wstrząsnęło nią drzenie, gdy usłyszała imię, które Ana wykrzyknęła w czasie porodu Igriany. Słyszając je, ujrzała w postaci obrazów, krótkich i żywych jak fragmenty snu, wszystkie te żywoty, w których byli powiązani, w każdym jednym pragnąc ponieść Światło choć trochę dalej...

– W tym życiu Taliesin był ci ojcem, ale nie zawsze tak było. Teraz to nie ma znaczenia. Teraz liczy się nie związek ciała, lecz ducha. I pytam cię po raz wtóry – Córko Avalonu, czy nadasz znaczenie widzianemu przez siebie cierpieniu i przyjmiesz swoje przeznaczenie?

Viviana patrzyła na niego, zastanawiając się pospiesznie. Proponował jej władzę wykraczającą nad królewską. Jej matka całe życie spędziła bezpiecznie na wyspie i nigdy naprawdę nie korzystała ze swojej władzy. Ale Viviana widziała wroga. W świecie, w którym władali Rzymianie, Avalon mógł być ledwie czymś więcej jak legendą; przechowywał starożytną mądrość, ale rzadko wychodził na zewnątrz, by kierować sprawami ludzi. Teraz wszystko się zmieniło. Legiony odeszły, a Saksonowie zniszczyli stare pewniki – Z tego chaosu wyłaniał się nowy naród. Czemuż nie miałby on poddać się przewodnictwu Avalonu?

– Jeśli wyrażę zgodę – rzekła powoli – wtedy ty musisz obiecać, że razem przygotujemy drogę Obrońcy – Świętemu Królowi, który zmiążdży Saksonów obcasem i na zawsze będzie władał z Avalonu! – Wydawało się jej, że taka zawsze była jej rola, u boku Vortimera i wcześniej, kiedy była Najwyższą Kapłanką Avalonu w poprzednich wcieleniach, a duch Obrońcy żył w innych ludziach. – Temu celowi poświęcę życie i przysięgam, że zrobię wszystko, aby tego dokonać.

Merlin pokiwał głową i w jego oczach ujrzała odwieczny smutek i wiecznie młodą radość.

– Król nastanie – oznajmił – I na wieki będzie władał z Avalonu...

Viviana westchnęła przeciągle i podeszła do niego. Przez chwilę patrzył na nią z uśmiechem, potem ukląkł przed nią i musnął ustami jej stopy.

– Błogosławione stopy, które cię tu przyniosły – obyś zapuściła korzenie w tej świętej glebie! – Położył dłonie na podbiciu jej stóp i nacisnął mocno, i Viviana poczuła, że jej dusza przez podeszwy sięga głęboko, głęboko w Tor. Kiedy zaczerpnęła tchu, moc powróciła potężnym strumieniem i Viviana zachwiała się niczym drzewo na wietrze.

– Błogosławione twoje łono, Święty Graal i kocioł życia... – jego głos wibrował – w którym wszyscy się odradzamy. Obyś wydała same dobrodziejstwa. – Gdy dotknął jej brzucha, poczuła, jak jego pocałunek przepala materiał jej sukni. Pomyślała o Graalu i

zobaczyła go, jak jarzy się szkarłatem niczym krew, która trysnęła z łona jej matki, a potem ona stała się Graalem i z niej, w bólu i ekstazie, popłynęło wieczne życie.

Drżała, kiedy ucałował jej piersi, twarde i pełne mleka dla dziecka.

– Błogosławione twoje piersi, które wykarmią wszystkie twoje dzieci...

Gdy moc wezbrała, jej piersi zatętniły słodkim bólem. Teraz były pełne dla dziecka, którego nie urodziła. Zrozumiała, że choć po pewnym czasie będzie mogła mieć własne, zawsze w pewnym sensie będzie karmicielką tych, które były jej dziećmi nie ciałem, lecz duchem.

Merlin ujął jej dłonie i złożył na nich pocałunek.

– Błogosławione twoje ręce, którymi Bogini wypełni Swoją wolę...

Viviana pomyślała o tym, jak uścisk Vortimera słabł w chwili śmierci. Dla niego była wtedy Boginią, ale chciała rozdawać życie, nie śmierć. Pragnęła pogłodzić jasne włosy Igriany i jedwabistą skórę Morgause. A jednak, gdy zgięła palce i poczuła ich siłę, wiedziała, że niezależnie od tego do czego zostaną powołane – do życia czy śmierci – sprostają swojej roli.

– Błogosławione twoje usta, które poniosą światu Słowo Avalonu... – Pocałował ją niezmiernie delikatnie. Nie był to pocałunek kochanka, ale przepełnił ją zarem. Zachwiała się, choć była zbyt mocno zakorzeniona, by upaść.

– Umiłowana, tym sposobem czynię cię Najwyższą Kapłanką i Panią Avalonu, która może nadawać władzę królom. – Ujął w dłonie jej głowę i przycisnął usta do półksiężyca na czole.

Światło wybuchło jej w czaszce i otworzyła się Wizja; razem pędzili przez tysiące żywotów, tysiące światów. Była Vivianą i była Aną. Była Caillean, wzywającą mgły do ukrycia Avalonu; była Dierną, grzebiącą Karauzjusza na świętym wzgórzu; była każdą Najwyższą Kapłanką, która kiedykolwiek stanęła na Torze. Ich wspomnienia przebudziły się w niej i wiedziała, że od tej pory już nigdy nie będzie zupełnie sama.

A potem wróciła jej świadomość. Poczuła własne ciało i stwierdziła, że znów może poruszać stopami. A jednak widziała stojącego przed nią mężczyznę podwójnym wzrokiem, stojące kamienie jarzyły się, a każde źdźbło trawy za nimi zdawało się podświetlone. Poznała wówczas, że zmieniła się na zawsze, jak Taliesin.

Słońce stało już wysoko nad wschodnimi wzgórzami. Ze szczytu Viviana widziała jezioro i wszystkie święte wyspy, i ludzi Avalonu patrzących z dołu ze zdumieniem w oczach. Taliesin sięgnął ku niej i ona podała mu rękę.

Merlin Brytanii i Pani Avalonu zeszli z Toru, aby rozpocząć nowy dzień.

Królowa Czarownej Krainy mówi:

*Kobieta-dziecko o mojej twarzy włada teraz w Avalonie. Przed chwilą rządziła jej matka; za chwilę być może nastanie córka Igriany, która tak bardzo przypomina moją Siannę. Od czasów Pani Caillean i mojej córki wiele Najwyższych Kapłanek nosiło ozdoby Pani Avalonu. Niektóre dziedziczyły je prawem krwi, a inne dzięki temu, że w nich odradzał się starożytny duch.*

*Kapłanka czy Królowa. Król czy Mag, wzór stale się przemienia i przeobraża. Ludzie myślą, że liczy się krew, i marzą o dynastiach, ja jednak obserwuję ducha, który przyćmiewa śmiertelność. Na tym polega różnica – z życia na życie i z wieku na wiek oni dojrzewają i zmieniają się, ja zaś jestem wiecznie taka sama.*

*Podobnie jest ze świętą wyspą. Gdy kapłani tego nowego kultu, który odrzuca wszystkich poza jednym bogiem, zyskają większą władzę w Brytanii, Avalon kapłanek odsunie się jeszcze dalej od wiedzy ludzkości. A jednak oba te światy nigdy nie zostaną całkowicie rozdzielone, jak stało się w przypadku Czarownej Krainy. Duch ziemi przenika wszystkie wymiary, podobnie jak Duch, który stoi za wszystkimi bogami.*

*Nadchodzi nowa epoka, w której Avalon stanie się dla ludzi tak odległy, jak teraz Czarowna Kraina. Dziewczyna, która włada obecnie na Torze, użyje swoich mocy, aby odmienić to przeznaczenie, a ta, która nastanie po niej, spróbuje czynić to samo. Doznają niepowodzenia – nawet Obrońca, kiedy przyjdzie, odniesie tylko chwilowe zwycięstwo. Jak mogłoby być inaczej, skoro istnienie ludzi jest ledwie chwilą w życiu świata?*

*Avalon przetrwa w ich snach, sny bowiem są nieśmiertelne – jak ja. I choć świat ulegnie całkowitej zmianie, do ludzkiego świata przenikać będzie odrobina światła z Innego Świata. I ludzie nie utracą jego dobrodziejstwa dopóty, dopóki szukać będą pociechy w świętej ziemi zwanej Avalonem.*